

**Tom Clancy**  
**general Tony Zinni, Tony Koltz**

**GOTOWOŚĆ BOJOWA**

*Tytuł oryginału BATTLE READY*

*Tłumaczenie: KRZYSZTOF BEDNAREK,*

*PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI,*

*KRZYSZTOF KUREK,*

*PAWEŁ MARTIN*

*Żołnierzom Armii Amerykańskie.*

*To nasze dzieci.*

*Największy skarb naszego narodu.*

*Nasi prawdziwi bohaterowie.*

*Dzięki nim cenię każdą sekundę czterdziestu lat mojej służby.  
Obdarzyli mnie największym zaszczytem, jakiego w życiu dostąpiłem -  
przywilejem dowodzenia nimi.*

Tony Zinni

## *Spis treści*

1. „Pustynny Lis” 3
  2. 12 000 mil od Filadelfii 17
  3. Ostrze włóczni 75
  4. Nowy nieporządek świata 109
  5. Somalia 157
  6. Centralne Dowództwo - CENTCOM 209
  7. Wojownik niosący pokój 242
  8. Powołanie 285
- Wykaz skrótów 302  
Podziękowania 303

## 1. „Pustynny Lis”

Tomahawki namierzały cel. Był 12 listopada 1998 roku. Generał amerykańskich marines Tony Zinni, wódz naczelny Centralnego Dowództwa Sił Zbrojnych USA (CENTCOM[\* objaśnienia skrótów na końcu książki]), stał w pokoju operacyjnym, patrząc na centrum dowodzenia w kwaterze głównej CENTCOM-u w Tampie na Florydzie. Kierował przygotowaniem do ataku na Irak, który mógł się okazać najbardziej miażdżący od czasu wojny w Zatoce Perskiej w 1991 roku.

Rozległe centrum dowodzenia wyposażono w biurka, telefony, komputery, mapy oraz duże i małe ekrany, ukazujące najnowsze doniesienia oraz aktualne pozycje samolotów i okrętów. Poza zwykłym sprzętem biurowym w oszklonym pomieszczeniu znajdowały się zabezpieczone linie telefoniczne i wideo, służące do komunikacji z przełożonymi Zinniego i podległymi mu komandorami. To tu znajdował się mostek kapitański Zinniego.

Z końcem pierwszej wojny w Zatoce Perskiej Irak zgodził się zniszczyć pod nadzorem ONZ posiadaną broń masowego rażenia i wycofać się z programów jej projektowania i tworzenia. Porozumienie to było kłamstwem. Reżim Saddama Husajna nigdy nie miał zamiaru zrezygnować z programu budowy broni masowego rażenia. Przez kolejnych siedem lat prowadził wojnę podjazdową z Komisją Specjalną ONZ (UNSCOM) - misją inspektorów ONZ w Iraku - starając się na wszelkie możliwe sposoby program ten chronić, kryjąc broń, przemieszczając ją, łżąc, grając na zwłokę i odmawiając współpracy.

Mandat ONZ obejmował dwie zasadnicze kwestie: przestrzeganie

porozumienia i rozliczanie się z tego. Oznaczało to, że inspektorzy musieli uzyskać wyczerpujące odpowiedzi na dwa proste pytania: „Czy Irakijczycy spełniają wymagania ONZ w zakresie zniszczenia broni masowego rażenia i zaprzestania jej budowy?” oraz „Czy w zadowalający sposób zdają relację z tych czynności?” Brak współpracy w obu tych kwestiach doprowadził UNSCOM do oczywistego wniosku, iż Irakijczycy coś ukrywają - albo broń nadal istnieje, albo Irak chce przynajmniej zachować zdolność do jej produkcji. Inspektorzy ONZ musieli zakładać najgorsze[\* W 2003 roku, w trakcie i po inwazji Stanów Zjednoczonych na Irak, stało się jasne, że w owym czasie Irakijczycy w rzeczywistości posiadali niewielką ilość broni masowego rażenia - o ile w ogóle jakaś tam istniała. Wydaje się, że celem ich wieloletniej rozgrywki było ukrycie możliwości podjęcia budowy takiej broni.].

Kiedy UNSCOM nastawał na realizację mandatu ONZ, Irakijczycy podnieśli stawkę, jeszcze bardziej utrudniając inspektorom wykonanie ich zadania. Coraz więcej było gróźb, kłamstw, utrudnień i wrogości. Towarzyszyły im starania dyplomatyczne, których celem było skłócenie przyjaźnie nastawionych mocarstw (przede wszystkim Francji, Rosji i Chin) z resztą Rady Bezpieczeństwa ONZ i wykorzystanie ich wsparcia do sabotowania programu rozbrojeniowego.

W odpowiedzi na każdą eskalację niesubordynacji ze strony Iraku ONZ groziła atakiem Stanów Zjednoczonych, gdyby inspektorzy opuścili Irak, nie ukończywszy swojej pracy. Groźby nie uchodziły uwadze Irakijczyków. Kiedy eskalacja napięcia sięgała szczytu i inspektorzy zaczęli wycofywać się z kraju, Saddam naraz ustępował i pozwalał im powrócić, za każdym razem jednak osłabiając ich pozycję.

Tym razem wydawało się jednak, iż Irakijczycy nie ustąpią. Dzień wcześniej, 11 listopada, inspektorzy ONZ znów wyjechali - najwyraźniej na dobre. Kiedy opuścili Irak, prezydent Clinton dał Zinniemu sygnał do działania. Rozpoczęło się 24-godzinne odliczanie.

Generał wiedział, że zbliża się moment odpalenia pocisków - chwila prawdy. Tomahawki to nie samoloty. Kiedy już znajdą się w powietrzu, nie będzie odwrotu.

Bezpośrednia linia łączyła go z Białym Domem, gdzie zasiadał wiceprzewodniczący Komitetu Szefów Połączonych Sztabów (ICS), generał lotnictwa Joe Ralston. Ten z kolei miał bezpośrednie połączenie z dowódcą floty, wiceadmirałem Willym Moore'em, stacjonującym w Bahrajnie. Moore utrzymywał stałą łączność z ośmioma okrętami, które miały odpalić pierwsze pociski balistyczne. Zegar wciąż tykał.

Upłynęły 24 godziny. Zinni wcześniej poinformował prezydenta, że atak można wstrzymać w dowolnym momencie, do sześciu godzin przed planowanym uderzeniem pocisków w cel. Był to ostateczny termin podjęcia decyzji o odwołaniu ataku. Zinni potajemnie zostawił sobie jeszcze 15 minut marginesu bezpieczeństwa...

Jednak ostateczny moment na odwołanie decyzji minął. A potem 15 minut, które Zinni zostawił sobie w zapasie.

Generał wziął głęboki oddech... i zapaliła się kontrolka połączenia z Białym Domem. Irak znów się ugiał. Zgodził się na Żądania inspektorów ONZ-tu.

W słuchawce zabrzmiał głos generała RaJstona.

- Atak odwołany. Nie strzelaj - oznajmił Zinniemu. - Zostało nam

jeszcze trochę czasu?

Sam Zinni nie znał odpowiedzi na to pytanie. Mógł tylko chwycić za słuchawkę i zadzwonić do Willy'ego Moore'a...

Dla Zinniego cała ta historia miała początek 15 miesięcy wcześniej, 13 sierpnia 1997 roku, kiedy został mianowany szóstym z kolei CINC - naczelnym dowódcą CENTCOM-u\*[\*Do jego poprzedników należeli generał Norman Schwarzkopf, dowódca wojsk koalicji podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej, admirał Joe Hoar, jeden z najstarszych przyjaciół Zinniego oraz generał Binnie Peay. Jego następcą został w 2000 roku generał Tommy Franks, który był dowódcą CENTCOM-u podczas wojny w Afganistanie w 2001 roku oraz wojny w Iraku w 2003 roku. Dobrane towarzystwo...].

Do jego obowiązków należało nadzorowanie ogromnego rejonu, obejmującego większość Bliskiego Wschodu, wschodnią Afrykę oraz południową i środkową Azję. Stał przed nim cały szereg wyzwań: delikatne i skomplikowane relacje z miejscowymi sprzymierzeńcami, rosnące zagrożenie terrorystami pod wodzą jeszcze nie tak sławnego Osamy bin Ladena, rozprzestrzenianie się broni masowego rażenia, chroniczne problemy krajów przechodzących kryzys władzy, wojny domowe, spory graniczne i działalność przestępcza, taka jak przemyt czy handel narkotykami, wreszcie trudności z zapanowaniem nad dwiema regionalnymi potęgami, Iranem i Irakiem.

Chociaż Zinni wolał zrównoważone podejście do wszystkich problemów rejonu od skupiania całej swojej energii i wszystkich możliwości CENTCOM-u na amerykańskiej obsesji na punkcie Saddama Husajna, to jak dotąd największym wyzwaniem było dla niego

wymuszanie przestrzegania sankcji ONZ nałożonych na reżim Saddama po wojnie w Zatoce Perskiej. W opinii generała dyktatora można było zmarginalizować - robienie z niego głównego problemu tylko zwiększało jego wpływy i odciągało Stany Zjednoczone od ważniejszych kwestii regionalnych, takich jak proces pokojowy między Izraelem a Palestyną, Iran, terroryzm i tworzenie sojuszków.

Niedługo po objęciu dowództwa przedstawił Williamowi Cohenowi - sekretarzowi do spraw obrony prezydenta Clintona - sześciopunktowy program strategiczny, zmierzający do takiej równowagi. Po uprzejmym wysłuchaniu przez Cohena oraz sesji z liderami większości i mniejszości senackiej tudzież przewodniczącym Kongresu, powiedziano mu, by trzymał się z dala od planowania strategii i skupił się na wykonywaniu rozkazów.

- Tak jest - odparł jak na dobrego marine przystało.

Tymczasem przypomniano mu o wadze kwestii irackiej już w pięć dni po objęciu dowodzenia, na odbywającym się w kwaterze głównej CENTCOM-u spotkaniu z ambasadorem Richardem Butlerem, nowym szefem UNSCOM-u; CENTCOM wspierał UNSCOM w zakresie nadzorowanych przez ONZ lotów U-2 nad Irakiem.

Misje te nie były dla Zinniego niczym nowym. Zanim został mianowany naczelnym dowódcą, koordynował - jako zastępca generała Peaya - misje wsparcia CENTCOM-u z poprzednikiem Butlera, Rolfem Ekeusem.

Na pierwszy rzut oka mandat UNSCOM-u był nieskomplikowany. Rezolucja ONZ nr 687, która powoływała do życia UNSCOM (i którą Irak



zaakceptował i zgodził się realizować), nakazywała Irakowi „zniszczenie, usunięcie lub unieszkodliwienie” posiadanej broni masowego rażenia oraz wszelkich rakiet o zasięgu większym niż 150 kilometrów. Proces ten miał obejmować trzy etapy: Irak deklaruje, jaką posiada broń masowego rażenia, UNSCOM weryfikuje tę deklarację, a następnie razem przystępują do niszczenia broni.

Ekeus nie miał z Irakijczykami łatwego życia, jednak jego problemy były niczym w porównaniu z przeszkodami, jakie stawiali przed jego następcą. Ich wysiłki zmierzające do ukrycia programów budowy broni masowego rażenia - „szkaradna szarada”, jak mawiał o nich Butler - miały okazać się dramatyczne w skutkach dla Tony’ego Zinniego.

Choć Tony Zinni nie wyglądał na żywcem wyjętego z plakatu poborowego, od razu znać było po nim marine. Był wzrostu nieco niższego niż przeciętny, solidnej budowy, o szerokiej klatce piersiowej i ciemnych włosach przystrzyżonych na modłę marine - bardzo krótko, z wygolonymi bokami i tyłem głowy. Spojrzenie miał zazwyczaj skupione, bezpośrednie i przyjazne. Był skory do śmiechu, a jego otwartość, ciepło i umiejętność trafiania do serca prostego człowieka były wynikiem długiego obcowania z najprzeróżniejszymi rodzajami ludzi. Zahartowany przez całe życie spędzone w wojsku - a zwłaszcza przez służbę w Wietnamie, która go radykalnie zmieniła - nie obawiał się podejmowania trudnych decyzji.

Zanim został szefem UNSCOM-u, Richard Butler był australijskim ambasadorem przy ONZ. Miał spore doświadczenie w dziedzinie kontroli zbrojeń i broni masowego rażenia. Tak jak Zinni, pochodził z katolickiej, mieszczańskiej rodziny robotniczej (Zinni dzieciństwo spędził w Filadelfii, Butler w Sydney) i tak jak on był krzepkim, imponującej postury,

otwartym na ludzi, przyjaznym i bezpośrednim twardzielem.

Nic dziwnego, że obaj mężczyźni szybko się dogadali. Obaj byli dobrymi słuchaczami i chętnie przedstawiali swoje poglądy.

Butler od razu postawił sprawę jasno: nie będzie nikogo faworyzować ani grać na zwłokę. Jednak pomyślny wynik inspekcji zależał tylko i wyłącznie od Irakijczyków. Gdyby wyjaśnili kwestię rakiet i broni masowego rażenia, gotów był im wystawić świadectwo moralności, by mogli otrzymać swoją nagrodę - zniesienie drakońskich sankcji nałożonych w konsekwencji inwazji na Kuwejt w 1990 roku.

Na razie jednak reżim Saddama nie wykazywał absolutnie żadnych oznak, że chce poprawić sytuację własnego kraju. Wylewając krokodyle łzy nad swoimi ziomkami, cierpiącymi z powodu okrutnych sankcji nałożonych przez amerykańskiego szatana, poplecznicy Saddama zamieszkiwali królewskie pałace.

Naga prawda była taka, że byli o wiele bardziej zainteresowani kontynuowaniem programów budowy rakiet i broni masowego rażenia niż zniesieniem sankcji. Jednakże gdyby mogli doprowadzić do ich zniesienia bez porzucania zbrojeń - to tym lepiej.

Butler nie miał też złudzeń co do innych uczestników gry o tak wysoką stawkę: był w pełni świadom, że Amerykanie mieli własne plany, nie wspominając nawet o biurokratach z ONZ, Francuzach, Rosjanach, Chińczykach i wszystkich innych, którzy chcieli maczać palce w wewnętrznych sprawach kraju posiadającego drugie na świecie co do wielkości zasoby ropy, kraju, którego rząd niektórzy uznawali za najbardziej represyjny od czasów stalinowskiego ZSRR.

Irakijczycy, w pełni świadomi tych planów, wygrywali jednych

przeciw drugim, próbując różnych gambitów mających na celu zakończenie działalności UNSCOM-u - lub przynajmniej jego osłabienie - od kantowania Butlera, poprzez skłócanie Rady Bezpieczeństwa, aż po apelowanie do Sekretarza Generalnego o dyplomatyczne rozwiązanie problemu (innymi słowy, demokratyczne poddanie się woli Iraku). Słusznie uważali, iż Francuzi, Rosjanie i Chińczycy zyskaliby na zniesieniu sankcji, jednak ich poparcie było warunkowe i kryło się pod maską poparcia dla wcześniejszych rezolucji wzywających do rozbrojenia. Irakijczycy sądzili też - nie bez racji - że Sekretarz Generalny i jego współpracownicy mieli nadzieję na osiągnięcie „dyplomatycznego rozwiązania”, nawet jeśli oznaczało ono poświęcenie celu Rady Bezpieczeństwa, jakim było rozbrojenie Iraku.

Plany Stanów Zjednoczonych były jeszcze bardziej subtelne i złożone. Amerykanie coraz bardziej utwierdzali się w przekonaniu, że rozbrojenie nie dojdzie do skutku, póki Saddam pozostaje przy władzy. Co się z tym wiąże, nie leżało w ich interesie, aby Irakijczycy pokazali, że przestrzegają dyrektyw ONZ, i doprowadzili do zniesienia sankcji. W ich oczach, jeśli tylko Saddam wydawałby się współpracować z inspektorami, wydawałby się spełniać warunki rezolucji ONZ, jeśli tylko wyczyściłby sobie konto - wówczas bez wątpienia wznowiłby produkcję broni masowego rażenia w ramach programów, których nie udało mu się uchronić przed inspekcją.

W miarę upływu czasu zdanie Amerykanów w kwestii Iraku uległo zmianie. Nie interesowało ich już zniszczenie broni masowego rażenia w celu zniesienia sankcji - chcieli obalenia reżimu. Zamiarów tych nie mogli jednak ujawnić ze względu na swe wcześniejsze poparcie dla rezolucji

ONZ. Było jednak jasne, że nie mają najmniejszego zamiaru znieść sankcji dopóty, dopóki w Iraku panuje reżim Saddama Husajna.

Zmiana amerykańskiej strategii nie ułatwiała Butlerowi zadania. Oczywiście stało się, że Saddam nie ma żadnego powodu, by przestrzegać warunków, jakie narzucił mu ONZ. Skoro problemem był reżim, a nie broń masowego rażenia, nie istniał żaden powód, by zaprzestać jej produkcji. Rzecz jasna, była to wymówka, nie prawdziwa przyczyna. Saddam zamierzał produkować broń bez względu na wszystko.

Przez kolejnych kilka miesięcy Irakijczycy dokładali starań, by wyrolować Butlera. Nic z tego. Kiedy zdali sobie sprawę, że nie da sobą pomiatać - co więcej, coraz bardziej drażniły go ich kłamstwa i podstępny podnieśli stawkę, próbując go zastraszyć. Z końcem października 1997 roku zaczęli mnożyć przeszkody dla inspektorów UNSCOM-u, posuwając się wręcz do gróźb. W owym czasie inspektorzy mieli dwa główne cele: ochronę kilku kluczowych placówek, które określali mianem prezydenckich, oraz usunięcie z procesu inspekcji wszelkich śladów obecności Amerykanów, w tym lotów U-2 nad Irakiem. (Z około 1000 inspektorów UNSCOM-u jakąś jedną czwartą stanowili Amerykanie).

Tymczasem odmowa współpracy ze strony Irakijczyków spowodowała, że CENTCOM zdecydował się wprowadzić w życie plan awaryjny, zakładający naloty odwetowe. Co prawda Stany Zjednoczone atakowały Irak, zanim naczelnym dowódcą został mianowany Zinni, jednak dotychczas naloty były mocno ograniczone. Zinni chciał uderzyć tak, żeby zabolalo.

Kryzys osiągnął moment przełomowy na początku listopada, gdy Irakijczycy nakazali wszystkim amerykańskim inspektorom opuścić Irak i

zagrozili zestrzeleniem U-2. Mimo że trzeba dużo szczęścia, by trafić lecący na wysokim pułapie samolot, było to jednak teoretycznie możliwe.

Pytanie brzmiało: jak zareagować na tę groźbę? Następny lot U-2 zaplanowano na 10 listopada. Było oczywiste, że na próbę jego strącenia Amerykanie odpowiedzą bombardowaniem. Ale może już sama groźba dawała pretekst do uderzenia w Saddama?

W takim właśnie położeniu znalazł się Zinni. Wolał, by misja U-2 w ogóle się nie odbyła, chcąc od razu uderzyć na Irak (w odpowiedzi na groźbę), ewentualnie ukarać Irakijczyków w inny sposób, na przykład rozszerzając strefę zakazu lotów\*[\* Strefa zakazu lotów i odpowiadająca jej strefa zakazu poruszania się pojazdami były dużymi obszarami na północy i południu Iraku, ustanowionymi przez ONZ po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej. W strefach tych (z pewnymi wyjątkami) nie wolno było latać armii irackiej samolotami wojskowymi i jeździć wojskowymi pojazdami.].

Waszyngton był jednak innego zdania. Zdecydowano, że lot się odbędzie, Zinnemu natomiast rozkazano przygotować się do przeprowadzenia natychmiastowych ataków powietrznych i raketowych na Irak, gdyby do samolotu strzelano. W ramach tych przygotowań odbył on kilka lotów do przyjaźnie nastawionych krajów w Zatoce Perskiej. Chciał zapewnić sobie dostęp do przestrzeni powietrznej, baz i wód terytorialnych na potrzeby ataku. Taką rundę będzie musiał wykonać jeszcze kilkakrotnie jako szef CENTCOM-u.

Po drodze odwiedził pilotów U-2 stacjonujących w Arabii Saudyjskiej. Dowiedział się tam, że dowódca szwadronu zdecydował się

sam wykonać lot. Ten akt odwagi zrobił takie wrażenie na Zinnim, że później przyznał mu medal za lot w strefę rażenia irackich rakiet ziemia-powietrze.

Uzyskanie zgody od przyjaznych przywódców z rejonu wcale nie było czystą formalnością. Perspektywa ataku budziła w nich niepokój. Choć żaden z nich nie miał złudzeń co do irackiego dyktatora, wszyscy okazywali współczucie cierpiącym prześladowania mieszkańcom Iraku - w końcu też Arabom. Rozwiązanie, które nie poprawiało sytuacji Irakijczyków, nie miało dla nich sensu. Wszyscy poparliby atak, który doprowadziłby do usunięcia Saddama, ale ich zdaniem kolejne punktowe bombardowania tylko umacniały jego pozycję.

W końcu jednak zgodzili się na atak w przypadku otwarcia ognia do U-2. Mimo poważnych wątpliwości co do korzyści z amerykańskich ataków z powietrza, zawsze w końcu oferowali wsparcie (wbrew doniesieniom amerykańskich mediów), jednak jego zakres woleli utrzymywać w tajemnicy.

U-2 odbył planowy lot 10 listopada. W trakcie misji Zinni przebywał wraz z saudyjską starszyzną w saudyjskim Ministerstwie Obrony w Rijadzie, utrzymywał jednak bezpośrednią łączność z centrum operacji lotniczych CENTCOM-u, gotów wydać rozkaz do ataku przy pierwszej oznace zagrożenia dla samolotu.

Jak bywało w przeszłości, groźby Saddama okazały się puste. Lot przebiegł bez zakłóceń.

Czternastego listopada, wobec irackich żądań wycofania Amerykanów, Butler przeprowadził ewakuację całego kontyngentu inspektorów. W wyniku intensywnych zabiegów dyplomatycznych

pozwolono im powrócić, jeszcze bardziej ograniczając jednak ich swobodę działania. Każde takie „dyplomatyczne rozwiązanie” zmniejszyło szansę UNSCOM-u na doprowadzenie do rozbrojenia.

Tymczasem Irakijczycy nie zaprzestali kłamstw i grózb. W ciągu kolejnych miesięcy Saddam stale podnosił stawkę, wyszukując kolejne słabe punkty, próbując ograniczyć skuteczność UNSCOM-u.

W odpowiedzi na jego posunięcia CENTCOM zgromadził w rejonie Zatoki Perskiej siły gotowe uderzyć, gdyby inspektorom uniemożliwiono wykonywanie ich pracy. Operacja ta otrzymała nazwę „Pustynnego Gromu”.

W lutym sekretarz obrony Cohen wraz z Zinnim odbyli czterodniową podróż do 11 krajów, starając się uzyskać wsparcie dla zmasowanego ataku z powietrza w przypadku odwołania misji inspektorów Butlera. Nadszedł 17 lutego. Konfrontacja z Saddamem wydawała się nieuchronna. Prezydent Clinton oznajmił w telewizyjnym przemówieniu, że Stany Zjednoczone wkroczą do akcji, jeśli dyktator nie będzie współpracować z inspektorami. Zinni przeprowadził dla prezydenta i głównych członków gabinetu briefing w zakresie planowanego ataku i obrony amerykańskich sprzymierzeńców z rejonu.

Tymczasem Saddam znów się wycofał w ostatniej chwili. Sekretarz generalny ONZ Kofi Annan złożył wizytę w Bagdadzie 20 lutego i uzyskał zgodę Saddama na podjęcie współpracy z Butlerem. Było jednak oczywiste, że jej ponowne przerwanie jest tylko kwestią czasu.

A amerykańskie wojska, które dołączyły do jednostek stacjonujących w rejonie, pozostały w Zatoce Perskiej, gotowe do ataku.

Kiedy dokonywano wyboru celów na potrzeby operacji „Pustynny

Grom”, prezydent wprowadził do planu całkiem nowy element. Najwyraźniej zaczął poważnie rozważać możliwość, że Saddam ostatecznie zablokuje działania UNSCOM-u.

- Czy możemy wyeliminować program budowy broni masowego rażenia Saddama działaniami militarnymi? - spytał Zinniego.

Wcześniejsze ataki z powietrza miały tylko ukarać Irakijczyków i wymusić ich współpracę. Teraz prezydent chciał wiedzieć, czy bombardowanie z powietrza mogłoby dokonać tego, czego inspektorzy nie byli w stanie osiągnąć na ziemi.

W owym momencie Zinni musiał udzielić odpowiedzi przeczącej.

- Za mało wiemy o programie budowy broni masowego rażenia - wyjaśnił - a co dopiero o rozmieszczeniu jej elementów. Dlatego właśnie mamy tam inspektorów.

Ale Clinton nie ustępował.

- Co można zrobić militarnie w kwestii broni masowego rażenia? - nastawał. - Do jakiego stopnia możemy ją wyeliminować?

Z czasem Zinni zaczął odpowiadać na te pytania.

Gotową broń masowego rażenia stosunkowo łatwo ukryć. Jednakże instalacje i urządzenia potrzebne do jej budowy znacznie trudniej zamaskować. Ludzie Zinniego sporo o nich wiedzieli. Systemy nośne oraz ich paliwo były podatne na zniszczenia, tak samo jak systemy zabezpieczeń i personel ochrony obiektów, dokumenty, informacje, materiały oraz operacje badawczo-rozwojowe, jak również wyspecjalizowane, trudno dostępne maszyny potrzebne do wytwarzania części o dużej odporności (takich jak wirówki do oddzielania uranu rozszczepialnego od jego postaci stabilnej).



Kiedy atak powietrzny był nieunikniony (zazwyczaj, w wyniku napięć, poprzedzało go zgrupowanie sił CENTCOM-u w rejonie), Irakijczycy usuwali z pola rażenia co bardziej newralgiczne komponenty programu budowy broni masowego rażenia. Te właśnie komponenty można było wyeliminować, jeśli tylko zdołano by w nie uderzyć przed przeniesieniem ich w bezpieczne miejsce.

- Irakijczykom wolno posiadać określone rodzaje rakiet - meldował Zinni prezydentowi. - Jednak korzystając nawet tylko z tych możliwości, są w stanie je rozszerzać i w końcu opracować system przenoszenia broni masowego rażenia. Możemy wykluczyć tę ewentualność. Możemy zbombardować ich fabrykę rakiet.

- Poza tym mają eksperymentalne programy rozwojowe w zakresie paliwa dla pocisków i rakiet. Je też możemy wyeliminować.

- Wiemy, że na siłach specjalnych gwardii republikańskiej spoczywa obowiązek ochrony informacji o programach budowy broni masowego rażenia, związanych z nimi dokumentów, materiałów i opracowań badawczo-rozwojowych. Możemy w nie uderzyć.

- Wiemy, w jakich ośrodkach trzymają maszynię o dużej odporności, niezbędną do realizacji programu zbrojeń nuklearnych. Możemy je zaatakować.

- Do tej listy możemy dodać cele o żywotnym dla reżimu znaczeniu, na przykład kwaterę główną wywiadu i siedzibę partii Baas. Ich usunięcie poważnie ograniczy zdolność dowodzenia.

- Wyeliminowanie tych celów nie położy kresu programowi budowy broni masowego rażenia - ostrzegł Zinni. - Jeśli atak się powiedzie, jeśli będziemy mieli dużo szczęścia, możemy co najwyżej liczyć na

wstrzymanie działań na dwa lata. Tyle mniej więcej czasu zajmie im odtworzenie i zastąpienie tego, co zniszczymy.

Za zgodą prezydenta Zinni mógł rozpocząć planowanie ataków na te cele.

„Pustynna Żmija”

Butler i jego inspektorzy z UNSCOM-u robili swoje, ale trudności narastały. Od maja 1998 do końca tego roku kryzys trwał niemal nieprzerwanie.

Chociaż UNSCOM był instytucją weryfikacyjną, nie śledczą, przeszkody, jakie piętrzyli przed nim Irakijczycy, wymagały stworzenia jednostki dochodzeniowej. W czerwcu 1998 roku śledztwo UNSCOM-u doprowadziło do wykrycia tak usilnie poszukiwanych śladów przestępstwa - magazynów materiałów miotających dla scudów oraz bezspornych dowodów na produkcję VX (jednej z najgroźniejszych substancji działających na układ nerwowy[\* Kontakt pojedynczej kropli ze skórą jest zabójczy. W głowicy pocisku można zmieścić ilość wystarczającą do zgładzenia większości mieszkańców Tel Awiwu.]).

Ponieważ materiały miotające nadawały się tylko do scudów, nie było powodów, dla których Irakijczycy mieliby je trzymać - jeśli, jak od dawna utrzymywali, zniszczyli wszystkie posiadane scudy.

Jak później udowodniono, Irak już dawno temu wyprodukował blisko 4000 litrów VX - już po tym, jak przyznał się do znacznie mniejszej ilości. Wobec UNSCOM-u Irakijczycy utrzymywali jednak, że rzecz jasna zniszczyli wszystko, co wcześniej wyprodukowali.

Rezolucja ONZ upoważniała UNSCOM do zweryfikowania tych

twierdzeń, jednak Irakijczycy stale uniemożliwiali mu przeprowadzenie jakiegokolwiek istotnej weryfikacji.

Jak łatwo się domyślić, sukcesy misji UNSCOM-u nie ucieszyły Irakijczyków.

Piątego sierpnia potyczka weszła w ostatnią fazę. Irak oficjalnie zawiesił prace rozbrojeniowe UNSCOM-u. I chociaż Kofi Annan i inni przedstawiciele ONZ objechali wszystkie możliwe stolice, usiłując doprowadzić do kolejnego dyplomatycznego rozwiązania, 31 października nikt już nie wątpił, że UNSCOM właściwie zakończył pracę. Nie wiadomo było tylko, jak będzie wyglądał ten koniec - czy Irakijczycy wyrzucą inspektorów, czy też sami inspektorzy poddadzą się i wyjadą - tak czy inaczej, było pewne, że misji UNSCOM-u w Iraku nie da się kontynuować.

Z jej końcem zmasowany atak z powietrza stawał się nieunikniony.

Gdy zbliżał się ten moment, sekretarz obrony Cohen, za pośrednictwem generała Hugh Sheltona, przewodniczącego JCS, polecił Zinniemu przygotowanie dwóch planów ataku - opcji maksimum i minimum. Opcja maksimum zakładała ataki na wiele celów w ciągu kilkunastu dni. Opcja minimum - krótsze ataki na mniejszą liczbę celów.

Chociaż obie opcje były do przyjęcia, Zinni wolał maksimum.

- Jak już mamy na niego uderzyć, zrobmy to porządnie - tłumaczył JCS.

Siódmego listopada poleciał do Waszyngtonu, aby przedstawić swój plan.

Jeśli sądził, iż briefing będzie prosty, a plan zostanie automatycznie zatwierdzony, to był w błędzie.

Spotkanie z JCS odbyło się w niewielkiej sali konferencyjnej w Pentagonie, nazywanej Zbiornikiem. Kiedy Zinni skończył, przewodniczący wezwał do przegłosowania wariantów.

Powiedzieć, że Zinni był zaskoczony - to mało. Głosowanie nie miało przecież sensu. Nie dość że nie było poprzedzone żadną poważną dyskusją ani też - według jego wiedzy - żadnymi wcześniejszymi sesjami poświęconymi omówieniu wariantów, to, co istotniejsze, Zinni nie podlegał JCS (tylko bezpośrednio sekretarzowi obrony, a ten z kolei prezydentowi). CINC działają niezależnie od JCS, których głównym zadaniem jest dostarczanie CINC personelu i sprzętu niezbędnego do wykonywania ich roboty. Innymi słowy, w oczach Zinniego głosowanie było bez znaczenia (choć żaden CINC nie zignorowałby ot tak zaleceń JCS w kwestii zaangażowania sił amerykańskich). Jeszcze bardziej zszokował generała wynik głosowania - cztery do dwóch na rzecz opcji minimum, po tym, jak on sam zalecił maksimum. Jako że głosowania nie poprzedziła poważna dyskusja, przyczyny takiego rozkładu głosów były niejasne. Bez względu na przyczynę Zinni wyczuwał jednak zdenerwowanie JCS. Nikt nie lubi krytykować swego dowódcy polowego.

I choć Zinni powtórzył, że obie opcje są dla niego do przyjęcia, różnica zdań pozostała. Ponieważ jej rozstrzygnięcie leżało w kompetencjach wyżej postawionych osób, generał Shelton zasugerował sekretarzowi Cohenowi, by Zinni wziął udział w zebraniu głównych członków gabinetu w siedzibie prezydenta w Camp David w celu przedyskutowania wariantów.

Następnego dnia, 8 listopada, Zinni poleciał do Camp David.

Zebranie odbyło się w wyłożonym panelami pokoju konferencyjnym

w głównym budynku farmy. Bill Clinton zasiadał u szczytu stołu. Towarzyszyli mu dyrektor CIA George Tenet, sekretarz stanu Madeleine Albright, sekretarz obrony Bili Cohen, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Sandy Berger oraz przewodniczący i wiceprzewodniczący JCS, generałowie Shelton i Ralston. Wiceprezydent był nieobecny, ale wypowiadał się przez telefon głośno mówiący.

Obserwując dyskusję, Zinni wyczuł, że rząd jest równie niejednomysłny co JCS. Kiedy przyszło do głosowania, znów nie było konsensusu. Sekretarz stanu skłaniał się ku wariantowi maksimum, sekretarz obrony - ku minimum, George Tenet - znów ku maksimum i tak dalej...

Ostatnie słowo miał Sandy Berger.

- Czy te dwie opcje wykluczają się nawzajem? - zagadnął nie bez racji. - Czemu nie mielibyśmy zacząć od minimalnej i zobaczyć, jakie przyniesie efekty, ale trzymać w odwodzie maksymalną?

- Dla mnie brzmi nieźle - odparł Zinni. Nie był to czas ani miejsce na obstawanie przy swoim. Na tym etapie chciał tylko ruszyć z miejsca. - Nie mam zamiaru utrudniać. Jeśli tego chcecie, tak właśnie zrobimy.

Prezydent zaaprobował ten kompromis.

Sygnałem do rozpoczęcia operacji „Pustynna Żmija” miało być przerwanie inspekcji. Kiedy tylko Richard Butler ogłosiłby: „Dosyć tego, wynosimy się. W takich warunkach nie można pracować”, zaczęłoby się odliczanie. W ciągu kilku godzin rozpoczęto by bombardowanie.

Przygotowania do czegoś takiego wymagają czasu. Naprowadzenie bomb na cele jest niezwykle złożonym zadaniem, wymagającym zaangażowania samolotów startujących z ziemi i z lotniskowców oraz

pocisków balistycznych wystrzeliwanych ze statków i bombowców B-52. W powietrzu muszą się znaleźć rozmaite samoloty bojowe, jak również latające cysterny i Powietrzny System Ostrzegania i Kontroli (AWACS) oraz wszelkie inne samoloty wsparcia; okręty i lotniskowce muszą znać pozycje do odpalenia pocisków i startu samolotów; załogi muszą być wypoczęte... i tak dalej, i tak dalej. Ludzie Zinniego potrzebowali około 24 godzin na przygotowanie ataku.

W którymś momencie po tym, jak inspektorzy zapakowali się do swych białych terenówek, udali się do bazy wojsk powietrznych w Al-Habbaniji\*[\* Pomimo że rezolucja ONZ dawała UNSCOM-owi nieograniczony dostęp do wszelkich niezbędnych ośrodków, Irakijczycy nalegali na zezwolenie na dostęp z powietrza do jednej tylko lokalizacji - szczególnie niedogodnej bazy w Al-Habbaniji. Decyzję o protestowano, ale nikt nie chciał na serio angażować się w tę walkę.], 140 kilometrów na północny zachód od Bagdadu, i odlecieli do Bahrajnu - lub jakiegoś innego przyjaznego miejsca - prezydent musiał zezwolić na rozpoczęcie operacji „Pustynna Żmija”. W 24 godziny później spadłyby pierwsze bomby.

Po rozpoczęciu 24-godzinnego odliczania atak można było wstrzymać w dowolnym momencie, jednak najpóźniej na sześć godzin przed zaplanowanym uderzeniem. Później nie było już odwrotu, ponieważ wtedy właśnie wystrzeliwane były pierwsze pociski balistyczne.

Fakt ten wywołał kontrowersje. Doradcy Clintona nie chcieli mówić prezydentowi, że nie może czegoś zrobić.

- Chyba czegoś nie rozumiecie - tłumaczył im Zinni. - Kiedy minie sześć godzin, odpalenie pocisków stanie się faktem. Nikt tego nie zmieni.

- Nie można tego powiedzieć prezydentowi! - odparli. - Musi mieć możliwość zmiany decyzji w ostatniej chwili.

- Jak dla mnie to nie problem - zapewnił ich Zinni. - Mówię wam tylko, że ta ostatnia chwila to sześć godzin przed bombardowaniem. To tylko musicie mu powiedzieć.

Kontrowersja wyplęła na sesji w Pentagonie, w której uczestniczył prezydent. Zinni miał przy sobie tak zwany główny plan ataku powietrznego - ogromną, zawikłaną makietę rozplanowania zdarzeń w czasie, zwiniętą w rulon niczym pergamin.

Kiedy doradcy wyczuli, że Zinni zamierza zademonstrować plan ich szefowi, ogarnęło ich przerażenie:

- Tak nie można! To zbyt skomplikowane!

Jednak kiedy nadarzyła się okazja, Zinni rozwinął plan na stole konferencyjnym.

- Panie prezydencie - oznajmił - byłoby dobrze, gdyby dowiedział się pan, jakie elementy muszą znaleźć się na miejscu i jakie mamy ograniczenia czasowe. Chcę, żeby zobaczył pan, kiedy musi podjąć decyzję o rozpoczęciu operacji. Zobaczył, co się stanie, kiedy pociski balistyczne osiągną gotowość bojową. Musi pan też dokładnie zrozumieć, co dzieje się z pociskami balistycznymi. Zostają naprowadzone na cel i odpalone na sześć godzin przed właściwym atakiem. Kiedy zostaną wystrzelone, nie ma odwrotu. Nikt ich nie zatrzyma, aż uderzą w cel, w który zostały wymierzone. Jeśli chce pan odwołać rozkaz, musi pan to zrobić wcześniej.

Obawy doradców były oczywiście bezpodstawne. Zinni pamiętał z

poprzednich briefingów, że Clinton w lot chwytał, o co chodzi. Tak było i tym razem.

- Rozumiem - oświadczył. - Dobrze, dostanie pan decyzję na czas.

Ludzie Zinniego uważnie obserwowali postępy w pracach inspektorów - lub ich brak - czekając na sygnał do ataku. Nadszedł w połowie listopada. Inspektorzy w dalszym ciągu żądali dostępu i współpracy i w dalszym ciągu spotykali się z odmową Irakijczyków. W miarę rozwoju wydarzeń CENT-COM przygotował do uderzenia siły powietrzne i morskie w Zatoce Perskiej.

W końcu 11 listopada inspektorzy dali sobie spokój z pozorami współpracy ze strony Irakijczyków. Mieli tego dość. Butler zarządził ewakuację swojego zespołu, a prezydent wydał rozkaz rozpoczęcia operacji „Pustynna Żmija”, gdy tylko inspektorzy opuszczą Irak...

I tak 12 listopada Tony Zinni, znajdujący się w pokoju operacyjnym w Tampie, kiedy cały jego rezerwowy czas upłynął, chwycił za telefon i zadzwonił do Willy'ego Moore'a w nadziei, że admirał może jeszcze zatrzymać tomahawki.

- Chyba ma pan szczęście, sir - odparł admirał. - Sam zostawiłem sobie 15 minut w rezerwie. Ale już upływają.

Moore zerwał się z miejsca. Musiał dać znać wszystkim ośmiu okrętom, żeby zatrzymano pociski - do tego czasu żyroskopy zaczęły już się obracać - ostatni etap przed odpaleniem.

Dokładnie osiem minut przed startem procedurę udało się zatrzymać. Tymczasem Zinni zawrócił samoloty. Operacja „Pustynna Żmija” została odwołana. Jednak jej cele zostały osiągnięte: Saddam jeszcze raz ustąpił. Inspektorzy Richarda Butlera wrócili do Al-Habbaniji i podjęli pracę.



„Pustynny Lis”

Jeden z aspektów (tymczasowego) sukcesu martwił jednak Zinniego i pozostałych amerykańskich dowódców wysokiej rangi. Kilka dni po tym, jak odwołano „Pustynną Żmiję”, generał Shelton zadzwonił do Zinniego, by o tym porozmawiać.

- Wiesz - zaczął - za każdym razem, gdy rozmieszczamy tam nasze wojska, Saddam widzi, co się święci, i zabiera sprzęt i materiały z namierzanych ośrodków.

- Racja - przyznał Zinni. - A skoro wie o precyzji naszych bombardowań i niechęci do wywoływania zniszczeń ubocznych, to nie musi nawet zabierać ich daleko.

- Musimy - ciągnął Shelton - dorwać go, kiedy wszystkie te rzeczy ciągle są na miejscu. Jeśli zaatakujemy go bez ostrzeżenia, możemy wyrządzić o wiele większe szkody.

Zinni przyznał mu rację.

- Musimy go jakoś przechytrzyć - stwierdził Shelton. - Następny atak powinniśmy nazwać „Pustynny Lis” - roześmiał się.

- Pewnie. - Zinni się zaśmiał. Ale obaj generałowie mówili śmiertelnie poważnie.

- Mówiąc serio - kontynuował Shelton - wszystko sprowadza się do tego, że musimy przygotować następne uderzenie z udziałem już obecnych sił, tak żeby nie widział ich zgrupowania. Albo też, jeśli już musimy to robić, zgrupować je potajemnie lub przemieszczać po trochu.

- Pytanie brzmi: czy możemy zaatakować siłami, które już mamy w teatrze działań, przy maksymalnych środkach bezpieczeństwa i ograniczonej liczbie osób zaangażowanych w planowanie?

- Niechże się zastanowię - odrzekł Zinni. - Zobaczę, co da się zrobić, i oddzwonię.

Ostateczna odpowiedź Zinniego była twierdząca. I tak sugestia generała Sheltona stała się częścią kolejnego planu ataku CENTCOM-u - operacji „Pustynny Lis”.

Okazało się, że nazwa budzi kontrowersje. Ktoś zauważył, że był to przydomek niemieckiego marszałka polowego Erwina Rommla, będącego plagą dla Brytyjczyków i Amerykanów w północnej Afryce na początku lat 40. „Jak można nazwać atak powietrzny na cześć słynnego nazisty?” - pytano. Jakoś nie przyszło to do głowy Sheltonowi ani Zinniemu. Dla nich był to tylko szelmowski żart: chcieli przechytrzyć lisa. Jednak mimo tych wątpliwości nazwa się przyjęła[\* Nazwy operacji wojskowych zawsze składają się z dwóch słów. Pierwsze z nich oznacza teatr działań. I tak przymiotnik „pustynny” określa operację CENTCOM-u.].

Groźba, jaką stanowiła operacja „Pustynna Żmija”, nie zakończyła irackich gier. Przez resztę listopada i dwa pierwsze tygodnie grudnia Irakijczycy dalej utrudniali życie Butlerowi i jego inspektorom z UNSCOM-u.

Wreszcie w połowie grudnia Richard Butler wycofał ich na dobre. Kiedy inspektorzy przygotowywali się do wyjazdu, ponownie rozpoczęło się 24-godzinne odliczanie. Zinni znów zajął stanowisko w centrum dowodzenia w Tampie, aby poprowadzić atak.

Tym razem wykonania wyroku nie odwołano w ostatniej chwili. W cztery godziny po tym, jak inspektorzy wylądowali w Bahrajnie, rozpoczął się atak z zaskoczenia - operacja „Pustynny Lis”. Trwał od 17 do 20 grudnia, z możliwością kontynuacji - kolejnego uderzenia na te same cele

lub przejścia do wariantu maksimum.

Atak został rozegrany perfekcyjnie. Przeprowadzono ponad 600 nalotów z użyciem samolotów sił powietrznych, marynarki i marines (w tym ponad 300 nalotów nocnych), wystrzelono ponad 400 pocisków, zrzucono ponad 600 bomb (w tym zdalnie naprowadzanych), wykorzystano ponad 200 samolotów i 20 statków. Zaskoczenie było całkowite. Nie przeniesiono żadnego sprzętu, nie przygotowano obrony żadnych obiektów. Wszystkie cele zostały trafione - i poniosły ogromne straty.

Uderzenie zakończyło się tak spektakularnym sukcesem, że Zinni zdecydował się nie przechodzić do opcji maksimum - zwłaszcza że tego roku ramadan rozpoczynał się 21 grudnia, po czterech dniach bombardowania.

Nie ma sensu bombardować przez kolejne trzy czy cztery dni ramadanu - powiedział generałowi Sheltonowi. - Wyrządziliśmy tyle szkód w programie budowy broni masowego rażenia, ile mogliśmy. Dalsze bombardowanie to sztuka dla sztuki.

Po wyjeździe inspektorów UNSCOM-u i operacji „Pustynny Lis” Saddam stał się o wiele bardziej agresywny wobec samolotów pilnujących stref zakazu lotów. Niemal co drugi dzień jego siły obrony przeciwlotniczej ostrzeliwały myśliwiec koalicji lub jego lotnictwo próbowało zwabić samoloty koalicji w zasięg rażenia pocisków. W odpowiedzi Amerykanie przeprowadzili akcje skierowane przeciwko całemu irackiemu systemowi obrony przeciwlotniczej, które zaowocowały znaczącymi stratami broni, radarów oraz zasobów dowodzenia po stronie

irackiej. Seria ataków i kontrataków trwała od zakończenia operacji „Pustynny Lis” (grudzień 1998) aż do rozpoczęcia operacji „Iracka Wolność” (marzec 2003). Siły koalicji nie straciły ani jednego samolotu, obrona lotnicza Saddama poniosła natomiast dotkliwe straty w wyniku swojej lekkomyślności.

„Pustynna Przeprowadza”

Oddajmy głos Tony’emu Zinniemu:

Operacja „Pustynny Lis” zakończyła się pełnym militarnym sukcesem. Jednakże spowodowała też konsekwencje polityczne, których nikt z nas się nie spodziewał. Były one dla mnie całkowitym zaskoczeniem.

Wkrótce po zakończeniu operacji zaczęliśmy dostawać niezwykle interesujące raporty z Iraku - zarówno od dyplomatów, jak i od innych przyjaznych nam osób - wskazujące, że atak mocno wstrząsnął reżimem. Prawdę powiedziawszy, wydawało się, że zamarli w szoku.

Chociaż podejrzewali, że uderzymy na nich po wycofaniu się inspektorów, okazuje się, że brak widocznych przygotowań do ataku oraz nadejście ramadanu najwyraźniej uspiły ich czujność i sprawiły, że niedbale podeszli do własnych przygotowań. Ktoś wydał polecenie przeniesienia sprzętu i dokumentów, jak zazwyczaj, nikt jednak nie kwapił się z wykonaniem rozkazów. Dzięki temu wzięliśmy ich z zaskoczenia. W dodatku zupełnie nie spodziewali się, że zniszczymy siedzibę partii Baas i kwaterę główną wywiadu - Dom Bólu, jak ją nazywali Irakijczycy, pamiętając o torturach, jakim byli tam poddawani więźniowie.

Jak na razie zdawali się tak oszołomieni i zdruzgotani, że całkiem potracili głowy.

Zazwyczaj po ataku następowały napady wścieklej retoryki i publiczne pogróżki. Tym razem - nic z tych rzeczy. Co więcej, mieliśmy doniesienia, że ludzie cieszyli się ze zbombardowania Domu Bólu.

Niektórzy z nas zaczęli się nawet zastanawiać nad stabilnością reżimu. Zaczęły też do mnie docierać historie (opowiadane moim arabskim przyjacielom przez wysokich rangą oficerów Gwardii Republikańskiej), że gdyby bombardowanie potrwało nieco dłużej, mogłoby wywołać powstanie.

Fakt, że wyrządziliśmy im sporo szkód, znalazł ponowne potwierdzenie w styczniu 1999 roku, kiedy Saddam wygłosił doroczne przemówienie z okazji Dnia Wojska, w którym z furią zaatakował wszystkie inne kraje arabskie - obarczając je winą za usankcjonowane przez nie ataki, grożąc odwetem, nazywając regionalnych monarchów „karłami na tronach” - wszystkich tych, którzy mieli się litować nad nim albo przynajmniej nad jego narodem. Pokaz takiej furii skierowanej przeciw sąsiadom był bezprecedensowy. Oznaczał, że nasze uderzenie ubodło go do żywego.

Wszystko to sprawiło, że zacząłem się zastanawiać: Co by się stało, gdybyśmy faktycznie przeważyli szalę? Gdybyśmy uderzyli w Saddama lub w jego synów i poderwali naród? Gdyby wybuchło powstanie, a my musielibyśmy zająć się jego pokłosiem?

Przed „Pustynnym Lisem” rozważaliśmy możliwość wyeliminowania Saddama, zawsze jednak sądziliśmy, że nastąpi to po jego ataku na Izrael, ponownym użyciu broni masowego rażenia przeciw własnemu narodowi czy też popełnieniu jakiejś innej zbrodni, tak potwornej, że nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko wkroczyć i

obalić reżim.

- Ale co by się stało, gdyby reżim po prostu upadł? - spytałem sam siebie.

Znalezienie odpowiedzi na to pytanie nie zajęło mi zbyt wiele czasu: ktoś będzie musiał udać się do Iraku, by odbudować struktury państwa.

- Ale kto? - spytałem się ponownie. - Jako CINC mam przygotowany plan militarnego pokonania Saddama. Nie będzie to trudne. Ale kiedy już go pokonamy, kto zajmie się odbudową kraju i wszystkimi wynikłymi w związku z nią problemami?

Było jasne, że musimy się skupić na tej możliwości. Nie trzeba było geniusza, by pojąć, że w przeciwnym wypadku znajdziemy się w poważnych kłopotach.

Zdałem sobie sprawę, że musimy wspólnie opracować wszechstronny plan. Potrzebujemy pomocy wszystkich agencji rządowych - nie tylko CENT-COM-u i Departamentu Obrony, ale także CIA, Departamentu Stanu i wchodzącego w jego skład Biura Kryzysów Międzynarodowych (OFDA) oraz Amerykańskiej Agencji Rozwoju Międzynarodowego (USAID), jak również wszystkich innych instytucji, które mogłyby coś wnieść. Musimy też zaplanować zaangażowanie ONZ, różnych organizacji pozarządowych oraz członków koalicji.

Ale kto to zrobi?

Próbując wysondować tę kwestię w Waszyngtonie, szybko zrozumiałem, że nikt tym się nie zajmuje i nikt nie jest tym zainteresowany.

Powiedziałem więc sobie: Musimy wywołać takie zainteresowanie. Musimy zorganizować konferencję, seminarium czy też grę wojenną, która

skłoni ludzi do opracowania obejmującego wszystkie zainteresowane agencje planu rozwiązania tej kwestii. Opierając się na nim, mogę opracować plan przeznaczony dla CENTCOM-u, w którego ramach znajdują się niektóre spośród wymagających natychmiastowej uwagi kwestii praktycznych.

Zdecydowałem się zorganizować „grę wojenną” prezentującą szereg scenariuszy irackich po obaleniu Saddama. Gra o nazwie „Pustynna Przeprowa” odbyła się jeszcze przed końcem 1999 roku w Waszyngtonie, w ośrodku Booz Allen (firma zajmująca się organizowaniem gier symulacyjnych dla instytucji rządowych). Wzięli w niej udział specjaliści ze wszystkich zainteresowanych sektorów administracji rządowej.

Scenariusze obejmowały szczegółowe omówienie kwestii pomocy humanitarnej, bezpieczeństwa, polityki, ekonomii oraz innych spraw związanych z odbudową kraju. Przyjrzelśmy się problemom z żywnością, wodą pitną, elektrycznością, uchodźcami, konfliktem szyitów z sunnitami, Kurdów z pozostałymi Irakijczykami, Turków z Kurdami - oraz z bezkrólewem, jakie z całą pewnością nastąpiłoby po upadku reżimu (jako że Saddam z dużym powodzeniem wyeliminował wszelką miejscową opozycję). Zajęliśmy się wszelkimi problemami, z którymi borykają się Stany Zjednoczone od 2003 roku, próbując odbudować Irak. Po zakończeniu gry zacząłem pojmować ogromną skalę problemów i zrozumiałem, jak ogromnym zadaniem będzie odbudowa.

„Pustynna Przeprowa” dała nam do rąk narzędzia do zdefiniowania problemów, jakie miały się pojawić po obaleniu Saddama, ale był to zaledwie początek.

Kto wykona kolejny krok? - zastanawiałem się.

Odpowiedź brzmiała: „nikt”. W Waszyngtonie nie było zainteresowanych zgłębianiem tematu. Większość uczestników gry była pozytywnie nastawiona, jednak żaden z nich nie zamierzał opracowywać planu działania. Okazali się aż nadto chętni do pomocy w definiowaniu problemu, może nawet chcieli dowiedzieć się co nieco o tym, co trzeba by zrobić, ale nikt nie chciał się w nic angażować. Po prostu Irak po upadku Saddama stał zbyt nisko na liście priorytetów jakiejkolwiek agencji, która mogłaby się zainteresować problemem.

Trudno ich za to winić. Nikt nie dostrzegł w Iraku realnego zagrożenia. Wojska Saddama były unieszkodliwione. Nasza strategia zakładała izolowanie Iraku i jak na razie się sprawdzała. Kiedy Saddam wychodził przed szereg, dostawał po łapach. Na tym etapie rozgrywki prawdopodobieństwo, że zaatakuje Kuwejt, Iran czy Izrael było niemal zerowe. Nie miał też szans na przeprowadzenie poważnego ataku na nas ani też my nie zamierzaliśmy inicjować poważnych działań przeciw niemu.

Poza tym mieliśmy bardziej palące kwestie: problem Kosowa, Bośni, konflikt izraelsko-palestyński, wojny narkotykowe w Kolumbii, konflikt indyjsko-pakistański, Korea... wreszcie kłopoty w większości krajów Afryki.

Kiedy patrzy się z perspektywy obecnych wydarzeń, może dziwić, że nie potrafiłem wywołać zainteresowania kwestią Iraku po upadku Saddama. Ale wówczas nie miała ona wysokiego priorytetu dla nikogo z Waszyngtonu.

Trzeba też pamiętać o barierze struktur władzy, jaką się napotykało, próbując zrealizować coś takiego w Waszyngtonie. W Waszyngtonie nie



ma jednej agencji czy instytucji, która kieruje współpracą między agencjami. Współpraca taka odbywa się ad hoc i polega na współdziałaniu pojedynczych osób czy grup. Tak więc w przypadku problemu takiego jak rekonstrukcja Iraku po pokonaniu Saddama, wymagającego wspólnej pracy wielu agencji rządowych (nie wspominając już o organizacjach pozarządowych i instytucjach międzynarodowych, takich jak ONZ), nie wiadomo, od czego zacząć.

Mogłem z tym iść do Departamentu Obrony. Ale dokąd udaliby się oni? Zapewne do doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. On z kolei mógłby zainteresować sprawą głowę państwa. A może ktoś przedłożyłby kwestię na zebraniu rządu i w ten sposób zwrócił uwagę prezydenta?

Jeśli to zawiedzie, pozostaje oczekiwanie. Nie można wpłynąć na biurokratów bez działania z samej góry.

Rzecz jasna, problem sam nie zniknął. Nawet wówczas wiedziałem, iż istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, że jeszcze nas będzie prześladować. Czyli że gdyby reżim Saddama naprawdę upadł, na kogoś spadnie odpowiedzialność za poskładanie tego wszystkiego do kupy.

Wiedziałem, kim najpewniej będzie ten „ktoś”. To my, wojskowi. Niezbyt dobre rozwiązanie, ale musi wystarczyć, dopóki ktoś nie wpadnie na coś lepszego.

Powiedziałem więc swoim ludziom, że sami musimy się zabrać do planowania. Tak też zrobiliśmy. Ale tymczasem nadszedł rok 2000 i moja kadencja dobiegła końca. A kiedy odszedłem z CENTCOM-u (w połowie 2000 roku), plan nie zaczął się nawet klarować.

Nie mam pewności, co się z nim potem działo.

O ile mi wiadomo, plan odłożono ad acta. Do czasu rozpoczęcia operacji „Iracka Wolność” wszyscy w CENTCOM-ie zdążyli już o nim zapomnieć.

Tymczasem żyjemy właśnie pokłosem upadku Saddama Husajna i wszystkie moje obawy zaczynają się sprawdzać. Ponieważ nikt z Waszyngtonu nie przygotował planu uwzględniającego konsekwencje upadku dyktatora, to wojsko - jak to zwykle bywa - obarczono odbudowaniem kraju po jego obaleniu.

Jedenastego lutego 2003 roku, na miesiąc przed rozpoczęciem operacji „Iracka Wolność”, Tony Zinni został wezwany przed senacką komisję spraw zagranicznych, by zeznawać w sprawie planowania odbudowy Iraku po obaleniu Saddama. Wszedł po grupie urzędników z Departamentu Stanu i Departamentu Obrony, których właśnie ostro skrytykowano za oczywisty brak zainteresowania tym newralgicznym etapem.

W swoim zeznaniu Zinni przywołał doświadczenia z „Pustynnej Przeprawy”. Następnie odniósł się do licznych wydarzeń z własnej przeszłości, które dowodziły, że pokonanie sił wroga niekoniecznie oznacza zwycięstwo. W ocenie Zinniego zwycięstwo może nastąpić jedynie wtedy, kiedy pokonani widzą przed sobą przyszłość i wiedzą, że mają w jej kwestii coś do powiedzenia.

Tę lekcję przyswoił sobie jeszcze jako młody porucznik w Wietnamie.

## **2. 12 000 mil od Filadelfii**

Tony Zinni nigdy nie zapomniał, jak po raz pierwszy do niego

strzelano. Był koniec kwietnia 1967 roku. Zinni był kompletnie zielonym podporucznikiem marines, zaledwie od miesiąca w Wietnamie, gdzie służył jako doradca elitarnych południowowietnamskich marines, najsilniejszych sił bojowych Wietnamu.

Zadaniem doradców nie było udzielanie wietnamskim marines porad taktycznych (mieli większe doświadczenie bojowe niż większość Amerykanów i znajdowali się we własnym kraju). Do obowiązków doradców należało natomiast wzywanie amerykańskiego wsparcia artyleryjskiego i lotniczego, kiedy było niezbędne (czyli często), oraz zapewnianie amerykańskiego wsparcia logistycznego, koordynacji z amerykańskimi jednostkami oraz z amerykańskim wywiadem. W tych obszarach Wietnamczycy byli bowiem najslabsi. Innymi słowy, zadaniem doradców było zapewnianie sprawnego funkcjonowania wietnamskich wojsk.

Jako najmłodszy z doradców Zinni nie został przydzielony do jednego oddziału, jak to zazwyczaj bywało. Zamiast tego wysyłano go tam, gdzie był potrzebny, z oddziału do oddziału. Używając jego słów, był „pomocnikiem rezerwowym”.

Z jego punktu widzenia nie był to wcale zły układ. Miał okazję zobaczyć przeróżne miejsca, poznać najróżniejszych ludzi i zyskać najróżniejsze bogate doświadczenia.

W ramach pierwszego przydziału jako doradca spędził kilka tygodni w bagnistych rozlewiskach Rung Sat - „Lasu Śmierci” w pobliżu delty Mekongu. Teraz dostał rozkaz przeniesienia do prowincji Binh Dinh w północnej części II CTZ - Strefie Taktycznej Korpusu, gdzie miał przejąć obowiązki doradcy 5. Batalionu Wietnamskiego Korpusu Piechoty

Morskiej, który wracał do domu na okolicznościową przepustkę.

Piąty Batalion od dłuższego czasu zaangażowany był w operację ochrzczonej przez Amerykanów mianem „Pershing”. Jej celem było wykorzystanie amerykańskiej 1. Dywizji Kawalerii oraz (VNMC) Wietnamskiego Korpusu Piechoty Morskiej do wykorzenienia struktur komunistycznych: trzebić i pacyfikować, zapobiegać infiltracji oraz reedukować ludzi („zdobywać serca i umysły”). Operacja „Pershing” trwała przez większą część 1967 roku.

Podróż z Rung Sat do Binh Dinh zajęła Zinniemu trzy dni. Ostatni jej etap przeleciał śmigłowcem. Przybył na pozycje batalionu o zachodzie słońca.

Śmigłowiec wylądował na wyschniętym ryżowym poletku nieopodal ściany lasu. Na Zinniego czekał Jim Laney, młodszy doradca 5. Batalionu, zastępujący teraz swojego szefa przebywającego na przepustce okolicznościowej. Z Laneya był niezły pistolet. Zaczynał służbę jako szeregowiec, ale w uznaniu zasług otrzymał nominację oficerską.

Poprowadził Zinniego w las, do stanowiska dowodzenia batalionu. Była nim na wpół zrujnowana chata (brakowało jej dachu, a ściana zwrócona ku szeregom wojska i ryżowemu poletku została wysadzona w powietrze). Kiedy mijali pozycje marines, Zinni zauważył, że żołnierze okopują się na skraju poletka, zaledwie kilka metrów od chaty, najwyraźniej przygotowując się do szturm. Batalion przeczesywał obie strony szerokiej równiny ryżowych poletek, ze wschodu na zachód.

- Jesteśmy w stałym kontakcie z wrogiem od czasu, gdy zaczęliśmy przeczesywanie terenu - wyjaśnił Laney. - Atakują nas każdej nocy. Uważają ten teren za swój. Zajmowali go od dłuższego czasu. My

jesteśmy tu intruzami. Jutro rano przejdiesz na drugą stronę poletka - ciągnął - i dołączysz do zastępcy dowódcy batalionu. Dowodzi dwiema kompaniami po drugiej stronie.

- Czemu nie mogę przejść teraz? - spytał Zinni.

Laney zaśmiał się.

- Nie zdołasz pokonać 10 metrów, jak cię zdejmą. Rano marines wyczyszczą teren na zachód. Wtedy będziesz mógł przejść.

Zinni wszedł do pozbawionej dachu chaty o trzech ścianach, gdzie spotkał dowódcę batalionu. Był nim zahartowany w bojach, ale przyjazny i mądry stary major marine Nha - legenda wśród żołnierzy. Serdecznie przywitał Zinniego, nalegając, by ten zjadł z nim chów.

Kiedy spożywali posiłek, księżyc w pełni rzucał upiorny blask na pola ryżowe. Po kolacji, gdy Zinni układał się do snu w kącie chaty, Laney przypomniał mu, że na pewno zostaną ostrzelani - powinien być gotowy.

Młody Zinni wziął to sobie do serca. Podekscytowany perspektywą pierwszego w życiu ataku na kwatery, starannie ułożył swój M-16 i szelki, planując, że przetoczy się, uwalniając ze śpiwora, chwyci karabin i osprzęt, po czym zajmie pozycję do oddania strzału.

Jak było do przewidzenia, około północy ciemność eksplodowała ogniem.

Zinni, wyrwany z głębokiego snu, od razu ruszył do działania z szybkością, która jego samego zaskoczyła. Przetoczył się, chwycił sprzęt i już leżał w pozycji strzeleckiej, gotów do działania. Mały problem - panowały egipskie ciemności. Gdzie się podział księżyc? Słyszał głosy żołnierzy przez radio, słyszał, jak się ostrzeliwują, ale za diabła nic nie widział, nawet smugaczy.

- Widzisz coś? - krzyknął do Laneya. - Bo ja nie.

- Patrzysz w złą stronę - odparł Laney, przekrzykując kanonadę.

Zinni zdał sobie naraz sprawę, że przetoczył się w złym kierunku i teraz był zwrócony ku tylnej ścianie chaty. Czerwony jak burak zawrócił, czołgając się. Major Nha śmiał się życzliwie - najwyraźniej polubił nowego.

Jednak zawstydzenie Zinniego szybko minęło, kiedy dotarło do niego, że pociski świszczą mu nad głową i szatkują tylną ścianę. Widział wyraźnie rozbłyski u wylotów nieprzyjacielskich luf i smugacze ostrzeliwujących się marines.

Z czasem stanie się doświadczonym weteranem, potrafiącym zachować koncentrację nawet pod ostrzałem. Na podstawie odgłosów i rozbłysków będzie potrafił ocenić, z jakiego typu broni strzelają, z jakiej odległości i ilu jest przeciwników. Wówczas jednak słyszał jedynie kakofonię dźwięków i widział fajerwerki rozbłysków.

Po około 20 minutach ostrzał przycichł, by w końcu umilknąć. Żołnierze wczołgali się na powrót do śpiworów, jednak Zinni był nadal zbyt podekscytowany, by zasnąć. Pierwszy raz doświadczył wymiany ognia na tak niewielką odległość.

Stał przed chatą, wpatrując się w tonące w świetle księżyca pola ryżowe i dumając o ataku, gdy zaterkotał karabin. Pojedyncza seria świsnęła mu dokładnie między nogami i trafiła w klepisko chaty.

- Cholera! - stwierdził. - Nie powinienem stać!

Zanurkował z powrotem do chaty i zawinął się w śpiwór. Następnego ranka o brzasku jego wietnamski kowboj\*[\* Każdemu doradcy towarzyszył mały zespół wietnamskich marines: kowboj,

radiooperator i czasami kierowca. Kowboj dbał o bezpieczeństwo i podstawowe potrzeby doradcy. Gotował mu, zajmował się praniem i przygotowaniem noclegu. Radiooperator niósł radio, stanowiące środek łączności doradcy z jego kwaterą główną. Bez radia nie mógł wykonywać swojej roboty - to łącze było dla niego jak pępowina.

], który był świadkiem przygody, wręczył mu kubek gorącej kawy i pociski wydłubane z klepiska.

- Zatrzymaj je, byś pamiętał, żeby nie być głupim - powiedział.

- Dzięki - odparł szczerze Zinni.

Tymczasem zwiadowcy i straż przednia ruszyli już do przodu, major Nha zaś doszedł do wniosku, że teren został oczyszczony na tyle, iż Zinni, jego kowboj i jego radiooperator mogli przejść na drugą stronę i dołączyć do drugiej połowy batalionu po południowej stronie poletek.

Po dołączeniu do drugiego oddziału zastępca dowódcy batalionu płynnym angielskim opisał Zinniemu teren i przebieg operacji.

- Wietnamscy marines działają w prowincji Binh Dinh ze zmiennym powodzeniem od trzech lat - wyjaśniał zastępca dowódcy (XO) po drodze.

- Nasz obszar działania obejmuje równinę Bong Son, rozciągającą się od wybrzeża Morza Południowochińskiego na zachód, aż do podnóża wzgórz i gór Wyżyny Centralnej na zachodzie. To newralgiczny obszar. Tu znajdują się główne miasta nadmorskie, lotniska i porty; stąd pochodzi większość produkcji ryżu, jest wiele jezior i szlaków wodnych; tędy biegnie autostrada nr 1, główna droga z północy na południe Wietnamu. Z tego obszaru pochodzi również większość żywności dla środkowego Wietnamu.

- W 1965 roku wkroczyła tu 1. Dywizja Kawalerii Powietrznej

Stanów Zjednoczonych, która pozostaje główną formacją amerykańską działającą na tym obszarze.

- Jest to region szczególnie nasilonej aktywności VC - to maruderzy pozostawieni przez Ho Chi Minha po pierwszej wojnie indochińskiej - z pogwałceniem traktatu pokojowego określającego podział Wietnamu. Są tu duże skupiska sympatyków VC. W wielu domach i salach lekcyjnych wciąż wiszą portrety Ho Chi Minha. Gęste lasy i góry w zachodniej części prowincji dają wrogowi schronienie i łatwy dostęp do gęsto zaludnionych równinnych obszarów wybrzeża z Wyżyny Centralnej w pobliżu granicy z Kambodżą. Możesz się spodziewać niemal ciągłego ostrzału snajperskiego i ataków z zaskoczenia.

Niedługo po tym, jak Zinni wyruszył w marsz z dwiema kompaniami pod dowództwem XO batalionu, znów nawiązali kontakt z VC. Przemierzali właśnie kolejny spłachetek pól ryżowych, kierując się ku skrajowi lasu, gdy ich czujka dostała się pod ostrzał. Marines szybko uformowali szyk i wdali się w ostrą wymianę ognia z okopanymi żołnierzami VC. Jako że dzieliło ich zaledwie jakieś 300 do 400 metrów pól ryżowych, powietrze zaroilo się od świszczących kul.

Zinni i XO ruszyli do przodu, by lepiej przyjrzeć się walce. XO stanął na skraju lasu, badawczo obserwując pozycje nieprzyjaciela. Obejrzał się na Zinniego i skinął, by ten do niego dołączył. Zinni podszedł szybko, obawiając się, żeby znów czegoś nie schrzanić.

- Chciałbym ostrzelać pozycje nieprzyjaciela z artylerii - oznajmił XO Zinniemu, wskazując obszar jakieś 500 metrów od miejsca, w którym stali.

W tym momencie seria trafiła w pobliskie drzewo i Zinni padł na



ziemię.

- Nie przejmuj się - uspokoił go XO z uśmiechem - VC strzela wysoko. Można stać.

Zinni podniósł się z ziemi i nawiązał kontakt radiowy. Choć nigdy wcześniej nie wzywał wsparcia artyleryjskiego, nawet podczas szkolenia, ogólnie rzecz biorąc, wiedział, jak to się robi - znał teorię. Starannie wykonał całą zapamiętaną procedurę. W kilka minut później pociski artyleryjskie uderzyły w odległe o kilkaset metrów pozycje VC. Wokół drzewa eksplodowały od przelatujących szrapneli, a on stał, obserwując, i korygował parametry ostrzału, nie zauważając przy tym, że żołnierze VC robią to samo, strzelając coraz niżej. Ich pociski latały wszędzie wokół, jednak nie zbiło to z tropu Zinniego, skupionego na działaniach artylerii.

Po jakimś czasie ostrzał VC osłabł - widać przerywali kontakt.

Kiedy jednak Zinni odwrócił się do XO, aby poznać jego zdanie na ten temat, spostrzegł, że wszyscy leżą na ziemi z rękami na głowach.

- Padnij! - krzyknął XO. - Teraz strzelają nisko!

Kilka chwil później marines ruszyli przez ryżowiska w pościgu za wrogiem. Przechodząc obok Zinniego, uśmiechali się do niego i pokazywali uniesione w górę kciuki.

XO powiedział mu potem, jak wielkie na nich zrobił wrażenie, kiedy tak stał pod ostrzałem i kierował ogniem artyleryjskim „w pobliżu wojsk własnych” - i to podczas swojej pierwszej misji! Zinni nie wiedział wówczas, o czym mowa, ale skoro wszyscy byli zadowoleni, powstrzymał się od zadawania pytań.

Dopiero później zdał sobie sprawę, co się stało - nie będąc obeznanym z całą procedurą naprowadzania artylerii na cel, nakierował

ogień bezpośrednio na pozycje wroga, zamiast ostrzeliwać je z tyłu, jak to się zazwyczaj robi, gdy cel znajduje się w odległości nieprzekraczającej 600 metrów od własnych wojsk, czyli „w pobliżu wojsk własnych”.

Tymczasem marines traktowali go niczym nieustraszonego bohatera. Bóg ma w swej opiece niewinnych ignorantów.

Reszta przeczesywania upłynęła im na ciągłym odpieraniu ataków z zaskoczenia, przeradzających się w gwałtowne wymiany ognia.

Któregoś razu żołnierze VC wyskoczyli z zakamuflowanych jam prosto na przechodzących oficerów sztabowych, ale zostali zdjęci przez pluton strażniczy, niemalże zanim Zinni zdążył się zorientować, co się święci. Dowódca plutonu - wielkolud i półkrwi Francuz - dźwigał pozbawiony korpusu pistolet maszynowy Thompsona, którego używał z zabójczą skutecznością.

Po kolejnej wymianie ognia znaleźli kilka ciał żołnierzy VC, w tym - ku zdumieniu Zinniego - dwie piękne dziewczyny, najwyraźniej bliźniaczki.

- Nic niezwykłego - oznajmił mu porucznik. - W szeregach VC jest wiele kobiet.

Dziwna wojna, pomyślał Zinni.

Tony Zinni przybył do Wietnamu miesiąc wcześniej, 26 marca 1967 roku, pozostawiając w domu liczną kochającą rodzinę włoskich robotników z Filadelfii oraz poślubioną ledwie kilka tygodni wcześniej żonę, która pod nieobecność Tony'ego przebywała ze swoją rodziną w Atlancie.

Wstąpił do marines dzięki studiom na uniwersytecie Villanova w Filadelfii, gdzie włączył się w program PLC - Klasy Dowódców Plutonów

- odpowiednik programu szkolenia oficerów rezerwy dla marines. Przeszedł dodatkowe szkolenie zasadnicze i oficerskie w Quantico i ukończył Villanovę jako podporucznik marines.

Po dodatkowym szkoleniu w Quantico wysłano go do 2. Dywizji Piechoty Morskiej w Camp Lejeune, w Karolinie Północnej. Spędził tam nieco ponad rok, służąc jako dowódca plutonu strzelców, dowódca kompanii piechoty oraz dowódca kompanii szkoleniowej piechoty.

Odsłużywszy swoje w Regimencie Szkoleniowym Piechoty, powrócił do macierzystej jednostki - 1. Batalionu 6. Korpusu Piechoty Morskiej, gdzie spodziewał się awansować na dowódcę plutonu. Jednak z powodu niedoboru oficerów został dowódcą kompanii - nadzwyczajny uśmiech losu, zważywszy, że była to funkcja kapitana, a Zinni wciąż jeszcze był jedynie podporucznikiem.

Tymczasem porucznicy z jego batalionu wysyłani byli do Wietnamu. Wkrótce znalazło się tam - i wzięło udział w pierwszych poważnych starciach - 2/3 Korpusu Piechoty Morskiej. Brakowało oficerów.

Jeden podporucznik pozostawał jednak bez przydziału do Wietnamu - Tony Zinni. Wszyscy jego rówieśnicy, jego kumple zostaną weteranami, a on miał pozostać prawiczkim? Też chciał jechać do Wietnamu!

Jego życzenie spełniło się, gdy wrócił do swego batalionu z krótkiego miesiąca miodowego w Williamsburgu w Wirginii. Przydział do Wietnamu już na niego czekał. Był dziwny. Wszyscy jego kumple zostali wysłani do oddziałów amerykańskich marines, w większości do jednej z dwóch dywizji marines obecnych wówczas w Wietnamie. Zinni natomiast miał zameldować się w Jednostce Doradczej Piechoty Morskiej, należącej do Grupy Doradczej Marynarki, wchodzącej w skład Dowództwa Asysty

Wojskowej na Wietnam (MACV). Nie miał pojęcia, co to znaczy. Cóż, dowie się na miejscu.

Wcześniej jednak wysłano go do ośrodka szkoleniowego niestandardowych technik walki w Fort Bragg, gdzie przeszedł kurs MATA - asysty, szkolenia i doradztwa wojskowego, obejmujący między innymi podstawy wietnamskiego w mowie i piśmie.

Po tygodniowym przeszkoleniu w Sajgonie skierowano Zinniego do kwatery głównej Wietnamskiego Korpusu Piechoty Morskiej (VNMC) na Le Thanh Ton - skupiska starych kolonialnych budynków, niegdyś siedziby legendarnej Legii Cudzoziemskiej.

Po zwyczajowej odprawie i wydaniu ekwipunku (uważał, że pokryte tygrysimi pasami mundury polowe i zielone berety[\* W każdej armii świata prócz amerykańskiej symbolem komandosów piechoty morskiej jest zielony берет - tak jest na przykład w Brytyjskiej Królewskiej Piechocie Morskiej. Jedynie w wojsku amerykańskim to nakrycie głowy noszą członkowie sił specjalnych - chociaż berety innych kolorów są rozpowszechnione w innych jednostkach. Korpusu Piechoty Morskiej to nie dotyczy.] wietnamskich marines są bardzo macho) zakwaterowano go w pokoju hotelowym. Doradcy mieszkali albo w samym Sajgonie, albo w Cholon, chińskiej dzielnicy Sajgonu. Pokój Zinniego w hotelu Five Oceans w Cholon stał się jego drugim domem, w którym mieszkał po powrocie do miasta z pola walki - oazą spokoju, gdzie mógł się w końcu umyć i porządnie wyspać.

Pierwsze dni na Le Thanh Ton upłynęły na odprawach poświęconych jednostce i jej misji.

Były zwięzłe, techniczne i dotyczyły podstaw: liczby batalionów

VNMC, ich struktury, lokalizacji, uzbrojenia, codziennych działań, pracy doradców... niewiele było jednak tła historycznego czy informacji o ich kulturze wojskowej. Chociaż Zinni żądny był wiedzy o tej fascynującej formacji - zdobył ją dopiero później, czy to w misjach, czy podczas pogaduszek w barach.

Oto podstawowe wiadomości:

Wietnamski Korpus Piechoty Morskiej - po wietnamsku Thuy Quan Luc Chien (TQLC) - sformowano w 1954 roku. Swoje początki miał we francuskich Dinassault - oddziałach walki rzecznej z czasów wojny indochińskiej. Ze zbieraniny małych oddziałów specjalnych, stanowiących pozostałość po wojnie, TQLC wyrósł na główną południowowietnamską formację militarną. Przez cały 21-letni okres istnienia uczestniczył w walkach i dosłużył się wielu zaszczytów. W połączeniu z Wietnamską Kompanią Powietrznodesantową TQLC tworzył Narodowe Siły Bojowe - brygady „strażaków”, które wkraczały do akcji jedynie wówczas, gdy istniało poważne zagrożenie militarne. W czasie wojny bataliony marines brały udział w operacjach bojowych we wszystkich strefach taktycznych południowego Wietnamu (nie mówiąc o Kambodży czy Laosie), zdobywając reputację twardych, nieustraszonych wojowników i najskuteczniejszej lekkiej piechoty, jak również potężnej siły politycznej, której wsparcie było nieodzowne dla każdego wietnamskiego przywódcy, aspirującego do władzy lub starającego się przy niej utrzymać.

To marines stali za zamachem stanu w 1963 roku, który doprowadził do pojmania, a następnie egzekucji prezydenta Diema. Odgrywali rolę królotwórcy także w kolejnych przewrotach i tak zwanych „wyborach” - w tym tych w 1967 roku, które Zinni miał okazję z bliska obserwować.

W 1967 roku w skład Wietnamskiego Korpusu Piechoty Morskiej wchodziło pięć batalionów piechoty w gotowości bojowej (kolejny, wówczas dopiero formowany, rozpoczął służbę jeszcze w tym samym roku). W roku 1975, gdy wojna dobiegła końca, TQLC osiągnął liczebność dywizji!

Wietnamscy marines nie byli gryziopórkami. Ponad 80 procent czasu upływało im na polu walki, gdy przeprowadzali akcje bojowe. Pozostały czas spędzali w Krajowym Centrum Szkoleniowym lub w bazach macierzystych batalionów, gdzie zazwyczaj mieszkały ich rodziny. Wszystkie one znajdowały się w okolicach Sajgonu - z wyjątkiem obozu 4. Batalionu w Vung Tau, który mieścił się w pięknym nadmorskim kurorcie nad Morzem Południowochińskim.

Choć od czasu do czasu uczestniczyli we wspólnych operacjach ziemno-wodnych z amerykańskimi marines czy też zakrojonych na szeroką skalę działaniach rzecznych w południowej części kraju, to w większości operacji walczyli jako oddziały specjalne lekkiej piechoty, złożone z jednego do trzech batalionów wraz z pododdziałami wsparcia.

Sercem TQLC były bataliony piechoty, każdy dumny z własnej tożsamości, każdy z wymyślną nazwą, jak „Szalony Bawół”, „Wilk Morski”, „Czarny Smok” czy „Ptak Grzmotu”.

Marines cieszyli się uznaniem i podziwem Wietnamczyków (każdy, kto nosił ich barwy, także Amerykanie, był przyjmowany z honorami w miastach, miasteczkach i wioskach w całym kraju). Tradycyjnie zajmowali miejsce na czele parady wojsk podczas corocznych obchodów Święta Narodowego - a było to miejsce, na które trzeba było zasłużyć sobie rokrocznie osiągnięciami na polu walki. Całkiem inaczej przyjmowano ich

na terenach opanowanych przez Wietkong - co tylko potwierdzało wzbudzany przez nich respekt.

Rekrutami byli żyłaści twardziele, którzy zdobyli sobie prawo do wstąpienia w szeregi marines, przechodząc przez morderczy obóz szkoleniowy. W krótkim czasie wykształcali w sobie zdolność do walki na przekór trudnościom i bólowi, w ekstremalnych warunkach, które złamałyby większość mężczyzn. Wielu z nich wytatuowało sobie na przedramionach motto, takie jak „Cop Bien” (tygrysy morza) czy „Sat Cong” (zabić komunistów), przesądzające o ich losie, gdyby dostali się w niewolę, i zachęcające do walki do końca, bez rozważania możliwości poddania się. Wielu było rannych, większość cierpiała na ataki malarii. Przyjaciele i towarzysze broni ginęli na ich oczach. Mimo to wcale nie byli ponurakami. Wykorzystywali każdą sposobność, by dać ujście swej żywiołowej naturze i poczuciu humoru. Jako niepoprawni kawalarze ciągle starali się wywinąć komuś numer - ale nigdy okrutny czy złośliwy - zawsze by wywołać śmiech, nigdy by sprawić przykrość.

Wietnamscy oficerowie byli nie mniej twardzi i nie mniej żywiołowi. Jednak wszyscy oni przeszli gruntowne szkolenie zawodowe w wietnamskich odpowiednikach amerykańskich akademii wojskowych, które ukończyli z celującymi wynikami. Tak jak szeregowcy, więcej czasu spędzali na polu walki niż w macierzystych bazach. Doświadczenie uczyniło z większości z nich kompetentnych przywódców o wyjątkowych umiejętnościach dowodzenia małymi oddziałami i biegłości taktycznej i technicznej. Zwykli dowodzić na linii frontu. Wielu starszych oficerów odznaczono niezliczonymi medalami za odwagę, tak wietnamskimi, jak i amerykańskimi.

Nietrudno się domyślić, jak surowa dyscyplina panowała w TQLC.

Okna biur jednostki doradczej na Le Thanh Ton wychodziły na areszt wojskowy dla wietnamskich marines. Osadzeni biegali w kółko, dźwigając głazy w najgorętszej porze dnia. Jeśli tylko któryś potknął się lub niewystarczająco szybko wypełnił wyszczekany przez strażnika rozkaz, był natychmiast bity.

Kwestię bezpieczeństwa traktowali z podobną surowością.

Pewnego dnia podczas przerwy Zinni stał na balkonie na pierwszym piętrze nad frontowym wejściem do kwatery głównej, obserwując ruch na jednokierunkowej ulicy. Młody człowiek na skuterze jechał pod prąd. Wietnamski marinę stojący na straży krzyknął, żeby się zatrzymał, ale ten tylko roześmiał się i przyśpieszył. Strażnik wymierzył z karabinu i zastrzelił skuterzystę.

Incydent ten zaszokował młodego Zinniego, ale też pozwolił mu zrozumieć zasadniczą prawdę o wietnamskich marines: oni się nie patyczkowali.

## **Doradcy**

Początki Jednostki Doradczej Piechoty Morskiej wiązały się z osobą pułkownika amerykańskich marines Victora J. Croizata. Ten biegle mówiący po francusku weteran II wojny światowej zdobywał doświadczenie, walcząc u boku Francuzów w Algierii i w wojnie indochińskiej. Służył w MACV w czasach jego formowania po wojnie indochińskiej, wreszcie był bezpośrednio zaangażowany w formowanie wietnamskich marines. Wsparcie doradcze dla wojsk wietnamskich oparł na modelu francuskim: zwyczajowo wykorzystywane w Wietnamie zespoły amerykańskich doradców zastąpił jednym bądź dwoma doradcami



na batalion piechoty oraz specjalistami w zakresie artylerii, łączności, medycyny, transportu zmotoryzowanego i oficerami wysokiej rangi. Doradcy całkowicie wtopili się w oddziały wietnamskie. Amerykanie się nie izolowali - nosili mundury wietnamskich marines, jedli to samo jedzenie, mówili tym samym językiem i dzielili z Wietnamczykami trudy boju. Wymuszało to całkowitą integrację i zależność oraz przyczyniało się do budowania wzajemnego zaufania.

W 1967 roku w skład Jednostki Doradczej Piechoty Morskiej wchodziło ogółem 35 doradców. W późniejszych latach, kiedy VNMC zbliżył się rozmiarami do dywizji, ich liczba wzrosła.

W czasie wojny w Jednostce Doradczej Piechoty Morskiej służyło od dwóch do trzech setek amerykańskich marines. Jako że zazwyczaj należeli do czołówki oficerów amerykańskich marines, Wietnamczycy szanowali ich i cenili (nazywając „sabatem”, co jednak było przejawem respektu). Ogólnie rzecz biorąc, relacje między Amerykanami i Wietnamczykami układały się wspaniale, choć od czasu do czasu jakiś doradca przeżywał ostry „szok kulturowy” lub miał poważne problemy z przyjęciem wietnamskiego sposobu życia - i trzeba było przenieść go do innej jednostki.

Rola doradcy nie była ściśle zdefiniowana. Zinni nigdy nie otrzymał pisemnego opisu swoich obowiązków. Oczekiwano od niego, iż całkowicie zaangażuje się w pracę i sam odkryje, co ma robić.

Nie był zaskoczony. Tak już jest w marines: dostajesz wszystko, czego trzeba, i jesteś zdany na siebie - zakłada się, że sobie poradzisz. Zinniemu odpowiadało takie podejście do życia.

Chociaż na początku otrzymał niewiele wyjaśnień, zakres

obowiązków doradcy szybko stał się dla niego jasny: obejmował on koordynowanie wszystkich działań operacyjnych z oddziałami amerykańskimi oraz z amerykańskim wsparciem lotniczym, logistycznym i artyleryjskim. Doradcy kontrolowali i naprowadzali ogień artylerii i okrętów wojennych oraz ataki z powietrza. Poza tym każdy z nich pomagał, jak tylko mógł, opierając się na własnym doświadczeniu i potrzebach wietnamskich dowódców.

Wietnam to kraj bardzo zróżnicowany geograficznie. Są tu wysokie góry, rozległe nadbrzeżne równiny, gęste bagna namorzynowe, splątane dzungle i szerokie rozlewiska. Poruszający się po całym kraju marines musieli uwzględniać wiele czynników, w unikalny sposób wpływających na kształt lokalnego konfliktu. Wszystko to mieli okazję obserwować doradcy.

Ponieważ przenoszono ich z oddziału do oddziału i w dowolnym momencie mogli zostać odwołani do kwatery głównej, zobaczyli więcej Wietnamu niż jakakolwiek inna grupa amerykańskiego personelu wojskowego (otrzymywali nawet rozkazy wyjazdu in blanco, upoważniające do przemieszczania się po całym Wietnamie). Jako młodszy doradca Zinni był przenoszony z oddziału do oddziału, podróżując po całym kraju, tam gdzie był akurat potrzebny, by wypełnić lukę w personelu... wożąc się okazją wszelkimi możliwymi wojskowymi i cywilnymi środkami transportu.

Każdy obszar stawiał przed żołnierzami inne wyzwania, którym musieli sprostać, aby prowadzić operacje wojskowe i przetrwać kolejny dzień. Przykładowo, w odróżnieniu od oddziałów amerykańskich, wietnamscy marines sami musieli troszczyć się o jedzenie. Jeśli nie mogli

go kupić - musieli złapać. Żywności nie brakowało w rozlewiskach - można było zbierać tłuste białe pędraki z drzew namorzynowych, łatwo było znaleźć duże, podobne do iguany jaszczurki o smakowitym mięsie. W dżungli jedzenie zdobyć było trudniej - chyba że wiedziało się, czego szukać, i miało cierpliwość zdobywać takie przysmaki, jak małpy, węże, pędy bambusa czy owoce chlebowca. W górach północy żywności było bardzo mało, zwłaszcza w porze suchej - zdarzały się dni, kiedy trzeba było obejść się zieleniną, suszoną rybą i garstką ryżu.

W Wietnamie występują dwie pory roku - deszczowa i sucha. Każda - ekstremalna. W porze monsunowej wszystko przemakało w trakcie popołudniowych ulew, a utrzymująca się w powietrzu wilgoć utrudniała wyschnięcie. W porze suchej niemiłosierny upał nie dawał wytchnienia nawet w nocy. Zabójcze gorąco utrudniało działania na polu walki. Zinniemu - jak innym Amerykanom - zajęło trochę czasu, nim zaaklimatyzował się i nauczył sztuki przetrwania.

Podczas wojny Wietnam Południowy podzielony był na cztery strefy CTZ, RSSZ - Strefę Specjalną Rung Sat, oraz CMD - Stołeczny Dystrykt Wojskowy.

W czasie swojej służby w 1967 roku Zinni brał udział jakby w pięciu całkiem różnych wojnach. Razem z wietnamskimi marines przemierzał namorzynowe bagna i sieć rzek RSSZ; wodny świat bezkresnych pól ryżowych, kanałów i rzek delty Mekongu (IV CTZ); gęste, parne dżungle przy granicy z Kambodżą (III CTZ); rozległe nadbrzeżne równiny i wysokie góry w centralnej części kraju (II CTZ) oraz zespół wiosek i kolonialnych plantacji otaczających Sajgon (CMD).

Podczas drugiego pobytu w Wietnamie, w 1970 roku, zaliczył

ostatnią strefę - północną (1 CTZ, lepiej znaną pod nazwą Pierwszej Korpusu)\*.

W każdym z tych regionów napotkać było można najróżniejsze siły wroga - od regularnych oddziałów Armii Północnego Wietnamu (NVA)\*[\* NVA i VC też stosowały podział na regiony i dystrykty działań dywizji - do pewnego stopnia odpowiadające tym wyznaczonym przez siły amerykańskie i południowowietnamskie.], poprzez oddziały Wietkongu, aż po partyzantkę. Przebiegle przystosowywali styl walki do otoczenia i lokalnych warunków, jeszcze zwiększając zróżnicowanie operacji między obszarami. Styl działań VNMC różnił się znacząco, w zależności od typu oddziałów w regionie i ich przystosowania do walki na danym terenie.

Zinni szybko pojął, że wojna ma niespójny charakter. Nie można jej było jednoznacznie scharakteryzować. Pierwsza wojna światowa czy wojna koreańska były wojnami pozycyjnymi, z okopanymi frontami. Podczas rewolucji Castro wojnę wygrały oddziały partyzanckie i rebelianci wmieszani w tłum zwykłych ludzi. W Wietnamie zaś toczono różne rodzaje wojny.

Dzięki swym podróżom Tony Zinni zakosztował większości z nich. To doświadczenie wywarło na niego głęboki wpływ.

Oto jego własne przemyślenia na ten temat:

Kiedy byłem jeszcze w Stanach, ludzie uznający się za znawców tematu nazywali tę wojnę rebelią, mając na względzie wszystkie właściwe jej rekwizyty i atrybuty: tajne operacje zamiast otwartych działań wojennych, działania polityczne w celu zdobycia serc i umysłów, terror i zastraszanie, oddziały partyzantów - za dnia robotników lub rolników, nocą wojowników - brak linii frontu, potyczki i naloty zamiast regularnych

bitew.

Owszem, w Wietnamie mieliśmy do czynienia z operacjami partyzantki. Ale też z regularnymi bitwami przeciw siłom północnowietnamskim. Prawdę powiedziawszy, w północnych regionach Wietnamu Południowego te drugie zdarzały się częściej! Na południu - przeciwnie. Tam częściej natykaliśmy się na oddziały partyzanckie, ale nawet tam mieliśmy do czynienia z różnymi rodzajami wojny. Czasem byli to rolnicy, którzy nocą zmieniali się w partyzantów, co innego w przypadku regularnych oddziałów VC - pełnoetatowej partyzantki. Jeszcze inaczej sprawy się miały w przypadku żołnierzy NVA, z którymi walczyło się w inny sposób.

Sytuację jeszcze bardziej komplikowała specyfika otoczenia. W delcie Mekongu w Strefie Specjalnej Rung Sat walczyło się całkiem inaczej niż podczas patrolowania dżungli czy też w potyczkach dużych oddziałów na północy, na wybrzeżu czy na równinach. Jeszcze inaczej wyglądała walka w górach.

Warunki geograficzne, rodzaj wrogich jednostek, styl walki, a nawet specyfika niektórych oddziałów - wszystkie te czynniki tworzyły różne wojny czy też różne odmiany tej samej wojny.

Ponieważ doświadczyłem tak wielu aspektów wojny, wyniosłem stamtąd dogłębne zrozumienie faktu, że miała ona wiele twarzy. Nie można było jej rozważać w prosty sposób. Jednakże większość Amerykanów w Wietnamie służyła wszystkiego może z rok i widziała jeden tylko rejon geograficzny. Byli jak ci ślepcy i słoń. Wojna, jaką znali, była prawdziwa, ale stanowiła tylko część prawdy.

Pamiętam rozmowę z kumplem z marines, który najpewniej walczył

na północy, w Pierwszej Korpusie jak większość marines. Wszyscy oni sądzili, że znają prawdziwy obraz wojny. A ja myślałem: O rany, widzieliście tylko jej małą część. To samo wrażenie miałem, rozmawiając z oficerem służącym w delcie Mekongu czy też w Papuzim Dziobie. Okazuje się, że każdy z tych ludzi miał zupełnie inne pojęcie o wojnie.

Tak więc moje doświadczenia były niemal zupełnie wyjątkowe. Nie widziałem wszystkich możliwych metod prowadzenia wojny, ale większość z nich tak.

Wszystko to nie uczy, jak radzić sobie w każdej sytuacji. Walcząc na bagnach, uczysz się walczyć na bagnach. Walcząc w lesie deszczowym, uczysz się, jak walczyć w lasach deszczowych. Walcząc w górach, uczysz się, jak walczyć w górach. Walcząc na nadbrzeżnej równinie z mnóstwem wiosek i ryżowych poletek - uczysz się, jak walczyć w takim właśnie terenie. Uczysz się, kiedy strzelasz i kiedy do ciebie strzelają, i współpracując z pozostałymi ludźmi z oddziału. Ale jedna lekcja nie pomaga zbyt wiele w przyswojeniu kolejnej. Najważniejsze, czego można się nauczyć, to jak być otwartym na zaskakujące nowe doświadczenia i jak przekształcić tę otwartość w pomysłowość i kreatywność, przydatne w radzeniu sobie z nowymi wyzwaniami.

Ponownie odkryłem te prawdy w późniejszym okresie życia, kiedy zacząłem uczestniczyć w operacjach pokojowych i humanitarnych. Gdy zakończyłem pierwszą z nich, myślałem, że nauczyłem się wszystkiego, czego można było się nauczyć. Te nauki są uniwersalne, mówiłem sobie.

Jednak podczas drugiej operacji dotarło do mnie, iż w rzeczywistości niewiele z nich ma zastosowanie w jakiegokolwiek innej sytuacji. Wcześniejsze doświadczenia były z pewnością pomocne - pomagały

osiągnąć właściwe nastawienie, ale nie podpowiadały, jak rozwiązywać konkretne problemy.

Trzeba być otwartym na każde nowe doświadczenie. Nie można korzystać z modeli. Stykając się z problemami, nie można myśleć stereotypowo.

Tony Zinni przebył długą drogę z Filadelfii. Ale przed nim była jeszcze dłuższa podróż.

## Las śmierci

Po tym jak Zinni zakończył odprawę w Sajgonie, pułkownik Nels Andersen, oficer dowodzący jednostką doradczą, zdecydował, że Tony nie powinien czekać, aż pojawi się wakat w którymś z oddziałów, tylko natychmiast udać się na pole walki, uczyć się fachu od doświadczonych doradców. Tak miał posmakować prawdziwej walki.

Wydano mu rozkaz, by zgłosił się do 4. Batalionu Wietnamskiej Piechoty Morskiej, który wówczas przeprowadzał operacje rzeczne w Strefie Specjalnej Rung Sat.

Rung Sat to liczący 1200 kilometrów kwadratowych strategiczny obszar na południowy wschód od Sajgonu - ogromne bagna namorzynowe i istny labirynt dróg wodnych. Przebiegały tędy kanały żeglugowe z Morza Południowochińskiego do Sajgonu. Żołnierze Wietkongu usiłowali przechwytywać transporty. „Zdejmowali” ludzi z pokładów przy pomocy snajperów, ostrzeliwali statki z raketnic lub karabinów bezodrzutowych czy też zaminowywali kanały żeglugowe. W tym celu często mocowali miny na linach rozciągniętych od nabrzeża do nabrzeża. Lina zwisała swobodnie, kiedy chcieli przepuścić statek. Kiedy spostrzegli cel, w który chcieli uderzyć, podciągali miny do góry.

Działania na terenach Rung Sat były nadzwyczaj trudne - namorzynowe zarośla na bagnach stanowiły iście nieprzebyte gąszcz, a w czasie przyływu poziom wody był tak wysoki, że zalewało nawet wioski. Nie było ani jednego suchego miejsca.

Doradcy otrzymywali rozkazy wyjazdu in blanco, upoważniające do korzystania z wszelkich środków transportu wojskowego na terenie całego Wietnamu Południowego, jeśli akurat nie towarzyszyli żadnemu oddziałowi. Zazwyczaj sprowadzało się to do udania się do najbliższej bazy wojsk lotniczych, takiej jak Tan Son Nhut w pobliżu Sajgonu, gdzie można było zabrać się okazją do regionu najbliższego pozycji danego oddziału. Często zajmowało to całe dni podróży samolotem, helikopterem czy też jakimś pojazdem kołowym.

Zinnemu nie pomogła nawet taka podstawowa wiedza. Nie miał pojęcia, jak dotrzeć do Rung Sat. Powiedziano mu po prostu, że ma się tam udać, był jednak tak zielony, że nie miał pomysłu, jak się tam najlepiej dostać.

Koniec końców znalazł się w wietnamskim cywilnym autobusie, przepelnionym mężczyznami, kobietami, dziećmi, staruszkami, kurczakami i tobołkami. Wszyscy przyglądali się samotnemu Amerykaninowi w mundurze wietnamskiego marine, w pełnym rynsztunku bojowym, jak jakiemuś dziwowisku. Amerykanie w Wietnamie nie podróżowali cywilnymi autobusami.

Wreszcie dotarł do bramy niewielkiej amerykańsko-wietnamskiej bazy marynarki w miejscinie o nazwie Nha Be, leżącej niedaleko celu jego podróży. Kiedy spytał, jak się dostać do 4. Batalionu w Rung Sat, zaprowadzono go do centrum operacyjnego, w którym zastał oficera



amerykańskiej marynarki.

- Jak się tu dostałeś? - spytał oficer, wpatrując się w Zinniego, jakby ten spadł z Księżyca.

- Przyjechałem autobusem z Sajgonu.

- Autobusem z Sajgonu?! - warknął. - Chcesz się dać zabić? Chyba całkiem ci odbiło! VC miał cię jak na dłoni! - Po czym zaczął ochrzaniać młodego podporucznika za narażenie się na takie ryzyko.

Zinni usiłował wyjaśnić, że nie zdawał sobie sprawy, iż jazda autobusem była niebezpieczna... a poza tym podróż była przyjemna, a po drodze poznał miłych ludzi.

Oficer marynarki potrząsnął z niedowierzaniem głową i pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiech.

- Jak dzieci...

- Codziennie wysyłamy śmigłowiec z zaopatrzeniem dla 4. Batalionu - oznajmił. - Polecisz nim jutro. Możesz tu zanocować z resztą oficerów w ich chacie.

Przez pozostałą część dnia Zinni rozmawiał z innymi oficerami i szeregowcami, korzystając z ich bogatych zasobów wiedzy o działaniach w Rung Sat: specyfice regionu, operacjach rzecznych i o wrogu.

W bazie w Nha Be stacjonowały amerykańsko-wietnamskie oddziały patrolu rzeczno-śmigłowcowego, saperów oraz Grupa Walki Rzecznej RAG (oddziały południowowietnamskie z amerykańskimi doradcami - ich amerykańskie odpowiedniki w delcie Mekongu znane były pod nazwą Mobilnych Sił Rzecznych). Oddziały RAG korzystały ze specjalnie przystosowanych okrętów desantowych, umożliwiających transport wojsk, nadzór nad operacjami i zapewniających wsparcie ogniowe na

skomplikowanych szlakach wodnych południowych regionów Wietnamu. Statki matki (w rzeczywistości barki) stanowiły pływające bazy tych jednostek. Wietnamscy marines byli oddziałami szturmowymi wewnątrz RAG i na potrzeby tego rodzaju misji posiadali własne małe oddziały z szybkimi łodziami z włókna szklanego, nazywanymi Dong Mai, wyposażonymi w zewnętrzne silniki o dużej mocy.

Ich działania bywały wspierane przez ataki z powietrza z wykorzystaniem wietnamskich douglasów AD Skyraider. Te stareńkie amerykańskie samoloty śmigłowe były prawdziwym darem niebios dla żołnierzy na ziemi. Ciężko uzbrojone, mogły przez długi czas pozostawać w powietrzu, powoli krążąc nad celami i starannie namierzając ich lokalizację. Odrzutowce mogły być sexy, ale nie dawały tej długotrwałej satysfakcji.

Samoloty obserwacyjne często wykorzystywano do śledzenia jednostek wodnych oraz obserwacji terenu przed oddziałami marines i na ich flankach. Najbardziej naturalnym rozwiązaniem byłoby latanie równoległe do trasy oddziału, jednak VC miał na to oko. Lecący samolot wskazywał im, którym szlakiem wodnym poruszają się marines i w którym kierunku zmierzają. Najlepiej było zmieniać trasy przelotów, tak żeby samoloty latały tam i z powrotem w poprzek szlaku wodnego.

Następnego ranka śmigłowiec z zaopatrzeniem wylądował w małej wiosce Tan Hiep pośrodku labiryntu namorzynowych bagnisk i rzeczulek Rung Sat. Kryte trzcina chaty wioski stały na wysokich palach, a do drzwi prowadziły chwiejne drabiny. Zalegające ziemię szczątki świadczyły o odpływie. Zin-niemu trudno było sobie nawet wyobrazić, co tu się działo podczas przyływu.

Kiedy wygramolił się ze śmigłowca, powitało go dwóch doradców batalionu - kapitanowie Joe Hoar i Bob Hamilton. Wyjaśnili, że pułkownik Andersen poinstruował ich przez radio, aby przygarnęli Zinniego na kilka tygodni - jednak ich sceptyczne spojrzenia świadczyły, że zastanawiali się, co tu w ogóle robi ten podporucznik.

Zabrali Zinniego na spotkanie z dowódcą batalionu, majorem Tri, oraz kilkoma spośród oficerów, w tym oficerem operacyjnym batalionu, porucznikiem Hoa Dang Nguyen. Hoa był szczupłym młodzieńcem, wzrostu mniej więcej takiego jak Zinni (173 centymetry), absolwentem akademii wojskowej. Jak wielu oficerów marines, dobrze mówił po angielsku, był przyjazny, otwarty i towarzyski... i miał bardzo zachodni sposób bycia. Szybko przypadli sobie z Zinnim do gustu, by w końcu stać się bliskimi przyjaciółmi.

Tri (absolwent amerykańskiej uczelni wojskowej) miał równie zachodni sposób bycia co Hoa, lecz był przy tym niezwykle gładki w obejściu. Był także bardzo inteligentny, przez swoich uważany za jednego z najbardziej błyskotliwych i pomysłowych dowódców. Charakteryzowało go bardziej intelektualne podejście do małych operacji niż jego działających na wyczucie kolegów, którzy szlify zdobywali w większości na polu bitwy. W 1967 roku miał już za sobą znaczące doświadczenie bojowe i był wielokrotnie odznaczany, w tym kilkoma Srebrnymi Gwiazdami. Oczekiwano, że pewnego dnia zostanie dowódcą wszystkich marines.

Następnie Bob Hamilton zaprowadził Zinniego do domu na palach, w którym miał nocować. Należał on do szefa osady i był w nim zakwaterowany lekarz batalionu. Choć Zinni nie mógł uwierzyć, że nie

nadużywa jego gościnności, gospodarz wydawał się autentycznie szczęśliwy, mogąc go gościć.

Kiedy się już zadomowił, Hamilton wprowadził go w szczegóły działań w Rung Sat:

Misją marines było, jak wyjaśnił, wykorzenienie struktur VC i zapewnienie żeglowności szlaków wodnych. Warunki terenowe były koszmarnie - muliste błotne równiny podczas odpływu i nadzwyczaj wysokie przyływy, zatapiające dosłownie cały region. Niemal nieprzebyty gąszcz namorzynów sprawiał, że przemieszczanie się było powolne i trudne. Sytuację dodatkowo utrudniały węże, ogromne słonowodne krokodyle\*[\* Widząc krokodyla, marines otwierali do niego ogień. Początkowo Zinni myślał, że strzelają do krokodyli, bo się ich boją. Potem dowiedział się, że za skórę płacono w Sajgonie 60 dolarów. Załatwienie krokodyla mogło się niemalże równać z załatwieniem żołnierza VC.] i roje moskitów.

Taktyka stosowana przez wietnamskich marines obejmowała patrolowanie rzek i strumieni, ataki z zaskoczenia na domniemane bazy VC z użyciem łodzi RAG, kontrolę żeglugi oraz organizowanie nocnych zasadzek na szlakach wodnych. Od następnego dnia Zinni miał uczestniczyć w tych misjach.

- Czego oczekują ode mnie Wietnamczycy? - zagadnął Zinni.

- Słuchaj - odparł Hamilton - nie masz im udzielać porad taktycznych. Nie potrzebują ich. Ale jesteśmy im przydatni pod innym względem. Oto czego tak naprawdę oczekują. - Tu zaczął objaśniać Zinniemu kwestie techniczne, z którymi musiał się zaznajomić, by pomagać wietnamskim marines z RungSat: współpraca z oddziałami

RAG, wzywanie wsparcia artyleryjskiego i powietrznego oraz wzywanie ewakuacji medycznej.

Po wyjściu Hamiltona Zinni z trudem krył podekscytowanie na myśl, że w końcu zobaczy marines w akcji.

Według raportów z następnego ranka kompania strzelców nawiązała kontakt z VC. Wywiązała się krótka wymiana ognia. Były straty po stronie marines. Kompania zażądała ewakuacji medycznej - amerykańskim śmigłowcem. Zgodnie z przepisami śmigłowce amerykańskie wlatujące w strefę lądowania musiały znajdować się pod nadzorem amerykańskich doradców. Chociaż kompanii nie towarzyszył żaden z nich, piloci zgodzili się zabrać doradcę po drodze, żeby wyznaczył koordynaty strefy lądowania z powietrza. Ponieważ żaden z wietnamskich marines w strefie nie znał angielskiego, całe przedsięwzięcie miało spocząć na barkach doradcy lecącego w jednym ze śmigłowców medevacu.

Hamilton i Hoar zdecydowali, że najwyższa pora, by Zinni postawił pierwsze kroki.

Podekscytowany, zdenerwowany Zinni obserwował lądujące śmigłowce. Wszedł na pokład. Kiedy wznieśli się w powietrze, rozpoczął odprawę dla pilotów, starając się ze wszystkich sił zachowywać profesjonalnie.

W parę minut później znaleźli się nad strefą lądowania. Była nią błotnista polana.

Radio skrzeczało po wietnamsku. Zinni robił, co mógł, żeby w odpowiedzi krzyczeć po wietnamsku, szybko tłumaczyć i po angielsku wydawać polecenia pilotom.

Wietnamczycy wystrzelili granat dymny. Zinni sprawdził kolor\*[\* Ponieważ także VC często wystrzeliwał granaty dymne na dźwięk lub widok śmigłowca, ważne było potwierdzenie koloru, by mieć pewność, że ląduje się we właściwym miejscu.] i śmigłowiec zszedł do lądowania na polance pośród splątanych namorzynów. Jeszcze chwila i Zinni ujrzał trzy czy cztery ciała żołnierzy Wietkongu w czarnych kimonach i przykryte pałatkami ciała martwych marines. Ranni czekali na helikopter na skraju strefy.

Śmigłowiec usiadł na ziemi. Ruch łopat wirnika wzbił w powietrze szczątki po walce. Marines pośpieszyli z zabitymi do helikoptera, by się oddalić, nim przyciągną wrogi ogień. Szybko umieszczono rannych na pokładzie, po czym wciągnięto okryte pałatkami ciała. Jedno z nich znalazło się na kolanach Zinniego (który siedział z tyłu pokładu, przy drzwiach). Kiedy chwycił je, by nie wypadło ze śmigłowca, podmuch powietrza zerwał pałatkę, odsłaniając szarozielonego trupa. Pośpiesznie unieśli się w powietrze, zmierzając do szpitala polowego. Zinni wciąż trzymał ciało, nie odrywając wzroku od martwych i rannych marines. W połowie drogi powrotnej zorientował się, że wciąż ścisną słuchawkę radiotelefonu. Odłożył ją na widełki.

Kiedy tak siedział na pokładzie śmigłowca, trzymając w ramionach trupa i gapiąc się na obandażowanych, krwawiących żołnierzy, pierwszy raz doświadczył tego, czym jest wojna. Oczekiwana wspaniała przygoda miała też paskudne aspekty.

W ciągu kolejnych dni Zinni udał się w kilka nocnych misji łodziami Dong Nai i łodzią patrolową RAG, biorąc udział w organizowaniu zasadzek. Niektóre z nich zakończyły się powodzeniem - jak wówczas,

gdy zaskoczyli dwa oddziały snajperów VC z rosyjskimi karabinami snajperskimi, lunetami i specjalną amunicją w nowiutkich skórzanych futerałach.

Zinni przebywał w Rung Sat od 3 do 21 kwietnia. Następnie otrzymał rozkaz, by zgłosić się do 5. Batalionu w prowincji Binh Dinh (II CTZ), gdzie przeprowadzano operację „Pershing” - najbardziej zacieklej z operacji bojowych wietnamskich marines. Był tam trzykrotnie: od 24 kwietnia do 13 maja, od 20 czerwca do 10 sierpnia oraz od 8 listopada do 13 grudnia.

Przed połową swojego drugiego przydziału do prowincji Binh Dinh - pod koniec czerwca - Tony Zinni osiągnął biegłość w sztuce wojennej.

Umiejętności te pochodziły z kilku źródeł: z codziennych doświadczeń z pola walki - wzywania medevaców, wsparcia artyleryjskiego i lotniczego oraz koordynacji z oddziałami amerykańskimi - powtarzanych do znudzenia w warunkach ogromnego napięcia nerwowego; z uczenia się na przykładzie bardziej doświadczonych doradców (jak Joe Hoar i Bob Hamilton); z uczenia się od wietnamskich marines, zwłaszcza podczas udanych działań taktycznych, i wreszcie z własnej pasji zgłębiania tajników wojny. Ze wszystkich sił starał się rozgryźć, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedy angażował się w wymianę ognia - zwłaszcza z wojskami północno wietnamskimi lub regularnymi oddziałami Wietkongu - walczył z wrogiem, który posiadał nadzwyczajne umiejętności. Twardym wrogiem, nie żadną hołotą, jak w Iraku. Trzeba było rozkładać tę wojnę na czynniki pierwsze. Aby zdecydować, co się najlepiej sprawdzi, co da przewagę, trzeba było wyobrazić sobie, jak ktoś po drugiej stronie - czy to północnowietnamski kapitan, czy inny dowódca

- kombinuje, jak może uzyskać przewagę. To był pojedynek woli, intelektu i doświadczenia. O czym on myśli? Co próbuje zrobić? Co ja muszę zrobić, żeby go przechytryć?

Pod koniec swojej służby w Wietnamie Zinni był już mistrzem sztuki wojennej.

### Operacja „Pershing”

Choć istniało wiele czynników, które sprawiały, że działania w prowincji Binh Dinh były trudniejsze niż gdzie indziej, najgorszym z nich były zabójcze pułapki minowe, na które można się było natknąć dosłownie wszędzie. Żołnierze VC byli mistrzami w stawianiu min pułapek - od wyrafinowanych po prowizoryczne - a wietnamscy marines, z jakichś tajemniczych powodów szczególnie łatwo padali ich ofiarą - i to mimo swej niewątpliwej biegłości na polu walki i zrozumieniu technik wroga. Większość ofiar podczas operacji „Pershing” zginęła w ten właśnie sposób. Zdarzyło się kiedyś, że 22 marines, w tym doradca, zginęło lub odniosło rany podczas przeprawy przez strumień, w którym VC umieścił „wianek” zdalnie odpalanych ładunków wybuchowych.

VC gustował zwłaszcza w stawianiu pułapek minowych wzdłuż szlaków, ścieżek, strumieni i innych prawdopodobnych tras marszu. Czasami niepozorne znaki ostrzegały o ich obecności innych żołnierzy VC i cywilów sprzyjających sprawie. Zinni i jego towarzysze nauczyli się, jak ich wypatrywać - kamieni lub gałązek ułożonych na ścieżce, zgiętych drzew nad strumieniem i tym podobnych oznak. Próbowali unikać utartych szlaków i oczywistych tras. Ponieważ pułapki minowe i strefy rażenia zasadzek zazwyczaj znajdowały się wzdłuż tych tras, najlepszą taktyką było poruszanie się nie równoległe do nich, lecz zygzakiem w poprzek, tak



żeby zaskoczyć przeciwnika od tyłu.

Kiedy przeprawiano się przez strumień (lub przekraczając szlak), traktowano go jako obszar rażenia i postępowano zgodnie z wcześniej ustaloną i przećwiczoną procedurą: czujka sygnalizowała zbliżanie do strumienia; umieszczano stanowisko karabinu maszynowego lub żołnierza z bronią automatyczną dla osłony przeprawy; sprawdzano drugi brzeg i na sygnał „czysto” marines przeprawiali się grupami. Procedura bywała bardziej złożona w przypadku większych obszarów rażenia, takich jak polany czy pola ryżowe.

Napotkawszy kiedyś cały kompleks okopów, krzewów\*[\* Wietkong często okopywał się za krzewami wzdłuż szlaków, wykorzystując potem okopy na zasadzki.] i ścieżek na obszarze pełnym min pułapek, zdecydowali przekroczyć go pojedynczo. Kiedy przyszła kolej Zinniego, pobiegł i przeskoczył przez okop, ale lądując, poczuł, że zahaczył butem o drut. Natychmiast rozluźnił mięśnie, padł na ziemię i rozpląszczył się, słysząc za sobą stłumiony odgłos wybuchu. Z ogromną ulgą stwierdził, że jest cały. Ale kiedy obejrzał się za siebie, na wypełniony pyłem okop, zauważył jakiś ruch na jego dnie. Leżał tam marine, jeden z kucharzy kompanii, zwijając się z bólu, z pokiereszowaną twarzą. Ponieważ mieli poruszać się pojedynczo, nie powinno go tam w ogóle być, tymczasem ruszył w ślad za Zinnim, deptając mu po piętach, ignorując instrukcje.

Co dziwne, żył jeszcze, choć wybuch uszkodził górną połowę jego ciała. Niósł ze sobą małą klatkę z dwoma gołębiami - bez wątplenia na obiad. Gołębie ocalały.

Zinni i kilku znajdujących się w pobliżu marines skoczyli mu na pomoc. Zinni wezwał medevaca, nie robił sobie jednak nadziei, jako że

mężczyzna miał silny krwotok z oczu.

W kilka miesięcy później Zinni dowiedział się, że kucharz przeżył, choć stracił oczy.

Innym razem, przekraczając ścieżkę, Zinni wpadł do płytkiego, zakamuflowanego dołu. Napiął mięśnie, oczekując, że zaraz przebiją mu stopę naostrzone bambusowe kije - nic się jednak nie stało. Z zaskoczeniem i ulgą wygramolił się z dołu. Zdjęto kamuflaż, ujawniając prawdziwy charakter pułapki - na szczęście już niegroźnej. Na dnie dołu leżał niewielki martwy wąż - niemrawiec, jeden z najbardziej jadowitych gatunków żmii (jednak w dole nie było jedzenia, a wąż nie potrafił wspiąć się po jego stromych ścianach).

VC zastawiał też pułapki minowe w domniemanych strefach lądowania śmigłowców, utrudniając ataki z ich użyciem i ewakuację medyczną. Ponieważ tę ostatnią nadzorowali doradcy, Zinni miał obowiązek sprawdzać strefy lądowania, by upewnić się, że są bezpieczne. Zawsze wykonywał to zadanie ze szczególną starannością i koncentracją, ostrożnie stawiając kroki.

Stawiając miny pułapki, VC nie wprowadzał rozróżnienia między żołnierzami a cywilami. Karano każdy rodzaj współpracy z wrogiem. Cywilom pomagającym wietnamskim siłom zbrojnym zdarzało się wrócić do domu, który wylatywał w powietrze po ich przybyciu. Nawet ludzie gromadzący się w wyznaczonych miejscach, by otrzymać dokumenty identyfikacyjne lub wziąć udział w rządowych programach informacyjnych, mogli obawiać się podłożenia ładunków wybuchowych w swoich domach czy wioskach. Ponieważ dokumenty były obowiązkowe, zwykli ludzie znajdowali się między młotem a kowadłem.

Pomijając ich podatność na miny pułapki, wietnamscy marines byli mistrzami działań na polu walki.

Przemieszczali się z lekkim ekwipunkiem. Żywili się tym, co znaleźli lub upolowali - po trosze z konieczności, po trosze dlatego, że uważali za niezwykle istotne, by być lekkimi i mobilnymi jak wróg. Świadczy to o najistotniejszej różnicy między wietnamskimi marines a ich amerykańskimi sprzymierzeńcami.

Amerykanie zawsze uważali za pewnik, że stoi za nimi cała potęga Stanów Zjednoczonych. Amerykańskie oddziały, nie dość że oczekiwały trzech posiłków dziennie, to jeszcze zawsze działały w przeświadczeniu, że bez względu na wszystko ktoś ich wyciągnie z tarapatów, a amerykańska siła ognia przeważy szalę zwycięstwa. Jasne, czasami zostawiano ich samym sobie, ale przecież w końcu zawsze nadchodziła pomoc - czy to w postaci ewakuacji, czy wsparcia ogniowego.

Wietnamscy marines nie mieli tej pewności. Nigdy nie wiedzieli, czy danego dnia dane im będzie cokolwiek zjeść. Kiedy wdawali się w wymianę ognia, nie mieli gwarancji, że przyjdzie im z pomocą kawaleria. Wiedzieli, że muszą walczyć, posługując się tym, co mają.

Dlatego też ciężki ekwipunek amerykańskich żołnierzy tylko by im zawadzał. Nie mogli sobie pozwolić na ich bez troskę w kwestii broni i zapasów i bez problemu radzili sobie bez codziennych dostaw śmigłowcem, mogących ujawnić ich pozycje.

Wietnamscy marines byli mistrzami prowizorki i obchodzenia problemów. Potrafili zmyślnie przygotować pozycje ogniowe, kwatery czy urządzenia ostrzegawcze z tego, co oferowała dzicz. Największy nacisk kładli na szybką reakcję i sprawność w kontakcie z wrogiem. Dobrze

wiedzieli, że ich przeciwnicy posiadli te cechy.

Ich osprzęt był nie tylko lekki, ale również praktyczny. Sypiali w nylonowych hamakach umocowanych na nylonowych linkach. Zwinięte, mieściły się w kieszeniach ich mundurów polowych w tygrysie pasy - w przeciwieństwie do amerykańskich hamaków do dżungli, ciężkich i nieporęcznych. Używali małych i lekkich kuchenek oraz pojemników na żywność zrobionych z aluminium. Korzystali też ze specjalnych plecaków, pozwalających na łatwe pakowanie i przenoszenie ekwipunku żołnierzom piechoty. Rzadko nosili kamizelki kuloodporne i woleli płócienne kapelusze w barwach ochronnych od hełmów, zwłaszcza wyruszając na patrol. Często kupowali lekkie, luźne nylonowe peleryny przeciwdeszczowe w zastępstwie ciężkich gumowanych amerykańskich pałatek, w jakie ich wyposażano. Upodobali sobie jednakże miękkie amerykańskie śpiwory, które - obok butów do dżungli - były chyba najlepszym elementem ekwipunku używanego podczas wojny wietnamskiej.

Na ich uzbrojenie składała się zbieranina pochodzącej z czasów II wojny światowej amerykańskiej broni strzeleckiej, moździerzy, pistoletów maszynowych, karabinów bezodrzutowych i broni artyleryjskiej - w tym karabinów M-1, karabinków, pistoletów maszynowych i innej wiekowej broni.

Podczas służby Zinniego w 1967 roku VNMC otrzymali karabiny M-16 oraz karabiny maszynowe M-60, jednak proces ich przydziału był ściśle kontrolowany przez Amerykanów. Zakładano, iż żaden wietnamski oddział nie może dostać nowej broni, zanim będzie ją miał każdy oddział amerykański - i że najpierw dostaną ją marines i lotnictwo. W

rzeczywistości Wietnamczycy mieli już kilka M-60, zanim zostali oficjalnie upoważnieni do ich otrzymania - zdobyli je na wrogu lub wysepieli od oddziałów amerykańskich za pośrednictwem doradców.

Raporty o zawodności karabinków szturmowych M-16 poprzedziły ich dostępność. Plan zakładał wycofywanie po jednym batalionie VNMC do narodowego centrum szkoleniowego na dwa tygodnie w celu wymiany uzbrojenia i przeciwiczenia posługiwania się nowym karabinem.

Amerykańscy marines dostarczyli broń do centrum i nadzorowali jej przekazanie i przeszkolenie żołnierzy. Jednakże kiedy tylko pierwsze oddziały rozpoczęły szkolenie w zakresie używania nowych karabinów, wystąpił stan zagrożenia w delcie Mekongu. Oddziały wysłano na spotkanie znaczących sił wroga, zanim jeszcze marines zdążyli oddać choćby jeden strzał z nowej broni (ledwo co zaczęli uczyć się obchodzenia się z nią i jej czyszczenia). Poradzili sobie znakomicie, pokonując twardego wroga w zażartej walce. Fakt, że żaden z karabinów nie zaciął się ani nie zepsuł, przyciągnął uwagę amerykańskich dowódców. Rozpoczęto dochodzenie. Tajemnica szybko się jednak wyjaśniła: wietnamscy marines czyścili swoją broń. Wykazywali niemalże obsesyjną drobiazgowość przy konserwacji uzbrojenia - często skarżyli się Zinniemu na amerykańską beztroskę w obchodzeniu się z bronią i sprzętem.

Taką samą dokładność wykazywali w kwestii dyscypliny ognia. Byli na przykład mistrzami w ukrywaniu sprzętu obsługiwanego przez drużyny - nie otwierały one ognia w odpowiedzi na sondowanie przez wojska północno-wietnamskie i regularne oddziały VC (które chciały skłonić je do odpowiedzenia ogniem, aby zlokalizować kluczowe stanowiska ogniowe i potem łatwo je wyeliminować).

Ten nacisk na dbałość i konserwację przenosił się na większość innych dziedzin.

Wietnamscy marines, jak wszyscy Wietnamczycy, zażywali sjesty. Jeśli tylko nie przeszkadzały w tym zaplanowane operacje, zatrzymywali się, by na kilka godzin rozwiesić hamaki w najgorętszej porze dnia. Starali się też odpoczywać przy każdej innej sposobności. Jeśli tylko było to możliwe, oszczędzali zasoby, siły i energię oddziału.

Ich wytrzymałość była niewiarygodna. Potrafili maszerować przez całe dnie. Nie żeby byli szczególnie silni. Potrafili tylko przyjąć odpowiednie tempo i oszczędzać siły.

Amerykańscy dowódcy wciąż gdzieś się spieszyli. Chcieli zakończyć wojnę w ciągu roku swojej służby. Wietnamscy dowódcy zdawali sobie sprawę, że będą musieli w niej uczestniczyć, jak długo potrwa. Choć nigdy się nie poddawali, choć nie brakowało im męstwa, jednak starannie wazyli ryzyko i do walki podchodzili metodycznie. Rzucanie się w wir walki na sposób amerykański było dla nich wykluczone.

Zinniemu uświadomiono tę prawdę podczas działań w II CTZ. Oto, jak sam to wspomina:

Było lato. Nasz batalion VNMC od kilku tygodni działał w okolicach autostrady nr 1. Zatrzymaliśmy się na upragniony całodzienny odpoczynek w wiosce leżącej przy drodze. Dowódca batalionu, starszy doradca i większość oficerów udali się wraz z żołnierzami na wypoczynek do pobliskiego miasta. Zostałem w wiosce z pododdziałem ubezpieczającym. Dowodził oficer operacyjny batalionu w randze porucznika. Był bystrym młodym człowiekiem i szybko się z nim zaprzyjaźniłem.

Pewnego gorącego letniego dnia, gdy nasi żołnierze odpoczywali,

czyścili sprzęt i pełnili straż, przybiegła do nas niezwykle podekscytowana kobieta.

- Wietkong zwołał zebranie miejscowych partyjnych szyc w osadzie na zachód od autostrady - wykrzyczała.

- Musimy ich dorwać - oznajmiłem oficerowi operacyjnemu.

Nie był przekonany. Wszyscy dowódcy wyjechali, a to była znacząca decyzja, zwłaszcza że miał do dyspozycji jedynie szczątkowe oddziały.

Był jednak agresywnym oficerem. Wiedziałem, że skłonię go do działania. Tak też się stało. Szybko zebraliśmy grupę marines i wyruszyliśmy w drogę.

Traf chciał, że dopadliśmy żołnierzy VC, kiedy opuszczali osadę po zerwaniu zebrania. Wywiązała się chaotyczna wymiana ognia w biegu, zakończona pościgiem. Trwał on kilka godzin i prowadził nas coraz dalej i dalej, na krzaczaste pogórze na zachód od autostrady.

Podczas pościgu udało nam się pojmać jednego żołnierza VC. Ślady krwi świadczyły, iż trafiliśmy kilku innych. Jednakże w naszym podekscytowaniu i entuzjazmie nie zauważyliśmy, jak bardzo oddalamy się od bazy. Wróg coraz częściej odpowiadał ogniem, a teren stawał się coraz trudniejszy. Chociaż wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, pojawiło się prawdopodobieństwo, że zostaniemy wciągnięci w pułapkę.

W końcu otrzymaliśmy wezwanie przez radio. Wściekły dowódca batalionu rozkazał nam przerwać kontakt i powrócić do bazy.

W drodze powrotnej zdałem sobie sprawę, że postawiłem swojego wietnamskiego kolegę w fatalnym położeniu. Nie kwapił się do spotkania z dowódcą batalionu.

Jak było do przewidzenia, dowódca był dla niego surowy - tak jak

starszy doradca dla mnie. Chociaż byłem niezadowolony, że musieliśmy przerwać pościg, nie wyrywałem się z tym. Próbowałem natomiast wziąć winę na siebie, wyjaśniając, że to ja przekonałem swojego kolegę do wyruszenia w misję.

Dowódca batalionu wezwał mnie później na rozmowę w cztery oczy. Był wielokrotnie odznaczanym oficerem, błyskotliwym taktykiem i odważnym człowiekiem wzbudzającym mój ogromny szacunek.

- Słuchaj - klarował mi - moja jednostka to nie amerykańscy marines. Jest mniejsza i ma mniejsze możliwości: nie mamy stałego napływu uzupełnień i nie możemy polegać na całym tym imponującym arsenale, jaki mają do dyspozycji oddziały amerykańskie\*[\* Amerykańskie zasoby w pierwszej kolejności kierowane były do jednostek amerykańskich.].

- Moi żołnierze - ciągnął - walczyli przez lata i będą walczyć przez kolejne. Jutro też jest dzień. Wróg wciąż tu będzie. A to oznacza, że muszę starannie wybierać, kiedy i gdzie podejmować ryzyko, które może osłabić moją pozycję na polu walki\*[\* To samo dotyczyło wroga. Około 80 procent potyczek rozpoczynali żołnierze VC lub NVA. Zawsze starali się walczyć na własnych warunkach i nie podejmować walki, jeśli tylko nie leżało to w ich interesie.].

- To nie kwestia odwagi, agresywności czy ducha walki - wyjaśnił. - Mam nadzieję, że zdążyłeś się przekonać, że moi marines mają i jedno, i drugie.

Pod tym względem całkowicie się z nim zgadzałem. W pełni też rozumiałem, że jego uwagi były trafne. Jednak siedzący we mnie amerykański marine wciąż nie mógł się pogodzić z utratą okazji na starcie z wrogiem, bez względu na okoliczności.



- Masz pojęcie, czemu żołnierze VC nie przzerwali kontaktu i nie rozplłynęli się w terenie? - zagadnął w końcu. - W końcu są mistrzami tego rodzaju taktyki.

Dobre pytanie. Wracając myślami do wymiany ognia i pościgu, uświadomiłem sobie, jak łatwo mogli przerwać walkę. Zamiast tego podtrzymywali wymianę ognia. Oddawali kilka strzałów, po czym wycofywali się, pozostawiając widoczny trop.

I wtedy dotarło do mnie, że groziło nam zwabienie na manowce, z dala od bazy i wsparcia, gdzie siły wroga czekały na nas w zasadzce.

- Masz rację - przyznałem. - Ściganie ich było pochopne. Ale pamiętaj, proszę, że to moja wina. Nie odgrywaj się na swoim oficerze operacyjnym.

- Nie martw się - odrzekł z uśmiechem. - Cieszy mnie, że dwaj młodzi porucznicy czegoś się nauczyli... dla odmiany bez poważnych konsekwencji.

Z czasem Zinni stał się ekspertem od wymiany ognia. Zdobył też bogate doświadczenie w innych dziedzinach - nauczył się, jak się poruszać podczas walki, jak patrolować, jak przekraczać drogi, jak radzić sobie ze snajperami na drzewach, jak konstruować systemy alarmowe z lian i pędów bambusa (które kłkowały przy poruszeniu). Zaczął kolekcjonować takie techniki.

Szybko odkrył, że wiele z technik, których go nauczono - lekcji z dawnych wojen - zupełnie nie przystaje do obecnej sytuacji. Za wszelką cenę starał się je poprawiać. Doskonalenie sposobu walki przynosiło oczywistą korzyść - pozwalało przeżyć. Ale Zinni podchodził do tego jak prawdziwy zawodowiec. Najlepsi dowódcy komenderowali swoimi

oddziałami niczym najlepsi dyrygenci orkiestrą, scalając różnorodne elementy w jedno wspaniałe brzmienie. Zinni chciał się dowiedzieć, jak to się robi, i doprowadzić tę sztukę do perfekcji.

Oto jego dalsze przemyślenia na ten temat:

Od samego początku mojej kariery w Korpusie Piechoty Morskiej, kiedy jeszcze rozwiązywaliśmy problemy taktyczne podczas ćwiczeń polowych, najbardziej fascynowała mnie perspektywa spotkania twarzą w twarz z wrogiem, który ze wszystkich sił będzie usiłował zrobić nam to, co my chcemy zrobić jemu... To nie wycieczka do lasu. Gdzieś tam jest nieprzyjaciel, a ty musisz wykorzystać wszystko to, co wiesz, wszystko, czego cię nauczono, całe swoje wyszkolenie - by osiągnąć swój cel i uniemożliwić mu osiągnięcie jego celu.

Nie ma nic bardziej namacalnego.

Można rozumieć teoretyczne podstawy różnych sportów - obrona, atak, taktyka gry... Ale, rzecz jasna, teoria to jedno, a rozgrywka - coś całkiem innego.

A podczas walki poziom komplikacji i ryzyka jest znacznie wyższy - wszystkie te latające pociski, serie wystrzałów, eksplozje, zamieszanie... a ty próbujesz wszystko to rozgryźć, próbujesz szybko podjąć sensowne działanie, które pozwoli tobie samemu i twoim kolegom wyjść z tego cało.

Co się dzieje? Jak się zorganizować? Jak strzelać? Jak nacierać na wroga? Jakich technik używać?

Jeśli na przykład jesteś w lesie i próbujesz odszukać wroga, jednocześnie nie chcesz, by on odszukał ciebie. Jakie techniki pozwolą to osiągnąć? Co musisz wiedzieć?

Zawsze chciałem uczyć się takich rzeczy. Od dawna

kolekcjonowałem techniki walki dla małych oddziałów. Od zawsze mnie to fascynowało... pochłaniało. Jako katolik myślę o kapłaństwie jako o powołaniu, wymagającym całkowitego oddania. W ten sam sposób patrzę na powołanie pod broń. Profesja wojownika to powołanie wymagające takiego samego oddania jak kapłaństwo. Aby je wypełnić, zacząłem od czytania podręczników - książek historycznych o prowadzeniu działań z udziałem niewielkich jednostek, książek o Birmie, Malajach i Wietnamie z czasów sprzed „naszej” wojny (czyli o miejscach, gdzie sposób prowadzenia walki musiał być podobny do tego, czego miałem doświadczyć).

Część informacji zaczerpniętych z książek czy od instruktorów okazała się bujdami. Wydawało mi się, że nie mają sensu, zanim jeszcze wyjechałem do Wietnamu - zdawały się nienaturalne, nie współgrały z prawdopodobnym przebiegiem zdarzeń. Nie mam pojęcia, skąd ludzie biorą takie pomysły!

A kiedy już się znalazłem, powiedzmy, w II CTZ, ćwiczenia się skończyły i wiele z tego, czego mnie nauczono, okazało się mieć jeszcze mniej sensu.

Jednak tam miałem najlepszych z możliwych nauczycieli. Przyglądałem się Wietnamczykom, którzy, rzecz jasna, mieli niesamowite doświadczenie bojowe. Widziałem, jak sobie radzą, i mogłem analizować stosowane przez nich techniki.

Jedną z wielkich zalet bycia doradcą jest to, że nie dowodzisz wojskiem. Pewnie, nie narzekasz na brak zajęć, musisz być gotowy kierować ogniem i wypełniać wszystkie inne obowiązki doradcy. Jednak masz również wiele okazji do obserwacji z pewnego oddalenia. Możesz

obserwować, jak poruszają się walczący, możesz przysłuchiwać się, co mówią. A ponieważ nie jesteś bezpośrednio zaangażowany w działania, masz szansę przemyśleć to i przeanalizować.

Potem można pytać zaprawionych w bojach weteranów: „Czemu tak zrobiliście?” i „Co o tym sądzicie?” A oni podzielą się swym doświadczeniem.

Moja kariera zaczęła się rozwijać właśnie z tego nasienia znajomości podstawowej taktyki, by w końcu doprowadzić mnie do tworzenia wielonarodowych strategii w CENTCOM-ie i wszędzie tam, gdzie w jakiejś części świata próbowaliśmy nawiązać relacje militarne i wdrożyć strategię.

Jednym ze szczególnie newralgicznych elementów wiedzy taktycznej jest coś, co można nazwać „wyczuciem wymiany ognia” - czyli określanie, na podstawie poszlak dźwiękowych i wizualnych, co tak naprawdę się dzieje, gdy zaczynają latać kule. Łączy się z tym wyczucie tego, co trzeba zrobić w odpowiedzi. Można się tego nauczyć jedynie z własnego doświadczenia. Oto, co ma do powiedzenia na ten temat Tony Zinni:

Choć od samego początku pobytu u wietnamskich marines zdobywałem doświadczenie operacyjne, minęły jakieś trzy miesiące służby, nim osiągnąłem poziom biegłości, na jakim ma się prawdziwe „wyczucie wymiany ognia”.

Z początku gdy dochodziło do strzelaniny, była ona dla mnie kakofonią. Nie wiedziałem, co się dzieje. Nie miałem pojęcia, czy to już III wojna światowa, czy tylko mała potyczka. Nie byłem nawet pewien, skąd dobiegają strzały.

Jednakże po trzech miesiącach mogłem ocenić, z jakiej broni strzelają, z którego kierunku i z jak daleka. Potrafiłem też całkiem nieźle wyczuć, co się dzieje na podstawie strzałów: Czy to ktoś strzelał na chybił trafił? A może to początek regularnego ostrzału? Czy wróg będzie się starał utrzymać pozycje (i jakie są tego implikacje)? A może wciągnie nas w potyczkę, a następnie się wycofa?

Przed upływem trzech miesięcy byłem w stanie szybko analizować takie sytuacje na podstawie zaledwie kilku symptomów.

Coś podobnego ma miejsce w przypadku naprawdę dobrych sportowców, kiedy biorą udział w szczególnie intensywnej rozgrywce.

Pamiętam, jak raz wybrałem się na mecz Miami Dolphins z San Diego. Dostałem świetne miejsce, blisko boiska, skąd był doskonały widok. Miałem okazję obserwować Dana Marino, jednego z najlepszych rozgrywających wszech czasów, wówczas u szczytu formy. Rozgrywający San Diego (nie pamiętam, jak się nazywał) był dobrym graczem, ale daleko mu było do Dana.

Marino często kończył naradę, ustawiał się na linii rozpoczęcia akcji i zmieniał zagrywkę. Można by się spodziewać, że nim to zrobi, ogarnie wzrokiem całą linię obrony. Nic z tych rzeczy. Spoglądał tylko na jednego z obrońców i podejmował decyzję - niemal zawsze najlepszą z możliwych.

Jednak drugi rozgrywający przyglądał się obronie w sposób, jakiego można było oczekiwać. Musiał dokładnie się rozejrzeć przed podjęciem decyzji. Pomyślałem sobie: Dan Marino osiągnął taki poziom umiejętności, który pozwala mu skupić się na jednym tylko elemencie i na jego podstawie wywnioskować wszystko, co musi wiedzieć. Ma o wiele lepsze „wyczucie” niż rozgrywający przeciwnej drużyny.

Z walką jest podobnie: im więcej masz doświadczenia, tym większymi zasobami analitycznymi dysponujesz. Dzięki nim możesz wywnioskować to, co musisz wiedzieć, i, jak Marino, podjąć rozsądną decyzję na podstawie kilku kluczowych wskazówek, zamiast przetwarzać w myślach złożony, a nawet chaotyczny zestaw czynników. Tak więc kiedy już zdobyłem odpowiednie doświadczenie w wymianie ognia, byłem w stanie szybko przeanalizować jedną czy dwie wskazówki i podjąć odpowiednie działania.

Muszę dodać, że ten rodzaj wycucia, o którym mówię, to nie tylko kwestia doświadczenia. Wymaga też zrozumienia, co się właściwie wyczuwa. To ważna część analizy, wymagająca studiów, badań i inteligentnego podejścia. Jeśli nie ma się podstaw w postaci wiedzy i zrozumienia, pozwalających docenić „wycucie”, można doświadczyć wiele i przegapić każdą okazję do nauki. Powiedzmy na przykład, że kiedy już wiem, że słyszę strzały z AK-47, a nie z M-16, muszę ocenić na ich podstawie, czy napastnik oddał tylko kilka przypadkowych salw i ruszył dalej, czy też strzelec zajął upatrzoną pozycję i zamierza ją utrzymać.

W jaki sposób mogę ocenić, czy strzały dobiegają z odległości 500, a nie 200 metrów (z początku nie potrafiłem nawet powiedzieć, czy z 20, czy z 2000)? Odpowiedź: szacuje się to metodą, którą określiliśmy mianem „rozbłysk-huk”. Istnieje opóźnienie między rozbłyskiem wystrzału z broni a jego hukem. Kiedy zobaczysz rozbłysk, zaczynasz odliczać sekundy: 1001,1002, 1003... Następnie używasz wyuczonej formuły, pozwalającej ustalić odległość broni.

Czemu źródło dźwięku wydaje się bliższe w nocy? Odpowiedź: z powodu warunków atmosferycznych i ponieważ otoczenie jest cichsze i

jego odgłosy nie zakłócają dźwięku wystrzałów.

Informacje takie zbierałem, gdzie tylko mogłem - z lektury, od wietnamskich marines, od innych doradców, ze szkolenia.

Zdarzało się oczywiście, że to, czego się nauczyłem, nie zgadzało się z moimi własnymi doświadczeniami, i musiałem poszukać innego rozwiązania.

Przykład: podczas szkolenia zawsze nam mówiono, że widząc wystrzeloną w nocy flarę, masz zastygnąć w bezruchu. Ci, co ją wystrzelili, wypatrują ruchu. Kiedy go wykryją - odkryją twoje położenie.

Jak dla mnie było to bez sensu. Instynkt podpowiadał, żeby paść na ziemię, by się ukryć.

- Słuchaj instynktu, padnij - powiedziałem sobie. - Lepiej, żeby wykryli ruch, podczas gdy ja znajdę schronienie, niżbym miał siedzieć tam, ociekając potem i rozmyślać: Żeby tylko mnie nie zobaczyli.

Trzeba też wiedzieć, że istnieją różne rodzaje flar, a każdy z nich oznacza inny przekaz. Flara ręczna - czy też granat świetlny - oznacza coś innego niż artyleryjska, choć obie są źródłem światła. Granat świetlny oznacza, iż nieprzyjaciel jest blisko i strzela, ponieważ czegoś się spodziewa, coś usłyszał lub wydawało mu się, że usłyszał - wyęcza więc wszystkie zmysły. Co w takim wypadku robić? Paść plackiem na ziemię!

Tak więc moja własna analiza tej informacji doprowadziła mnie do wniosków zupełnie odmiennych od tego, co wpajano mi podczas szkolenia.

W późniejszych latach miałem okazję uczestniczyć we wprowadzaniu ulepszeń do programu szkolenia marines, zmieniając sporo

z tego, czego mnie uczono. Nakręciłem kilka filmów, z których wciąż korzysta się podczas szkolenia zasadniczego. Niektóre potwierdzają to, czego się nauczyłem, inne - wręcz przeciwnie.

Zinni zanurzył się w wietnamskiej kulturze i nie ograniczało się to tylko do operacji wojskowych. Wspólnie ze swymi towarzyszami z wietnamskich marines przez większość czasu mieszkał w domach zwykłych Wietnamczyków w ich wioskach i osadach. W Wietnamie obowiązywało prawo dotyczące zakwaterowania, zgodnie z którym ludność miała obowiązek zapewniania miejsca we własnych domostwach oddziałom wojska działającym na danym terenie. Dla wieśniaków nie było to znowu takie obciążenie, jakim mogło się wydawać. Marines nie przejmowali domów i nie wyrzucali z nich mieszkańców. Traktowali miejscowych z szacunkiem, płacili za żywność i pomagali w pracach - zwłaszcza wychowani na wsi żołnierze z przyjemnością pomagali przy znanych czynnościach, które przypominały im o ich rodzinnych stronach.

Zinniemu trudno było z początku przywyknąć, że wprowadza się do czyjegoś domu. Bał się, że się narzuca, iż potraktują go jak intruza. Jednak kiedy zobaczył, że wieśniacy wydają się akceptować ten stan rzeczy - w większości wypadków nawet z zadowoleniem - zaczął przewycięzać swe własne zakłopotanie. Filadelfijski mieszczuch zrozumiał, że uczestniczy w czymś budującym. Z czasem zdał sobie też sprawę, iż wszystkie trudy i wyrzeczenia, na jakie narażał się wraz ze swymi towarzyszami, były niską ceną za możliwość obcowania z Wietnamczykami.

Oto jego wspomnienia z wietnamskich wiosek i mających tam miejsce spotkań z wrogiem:



Moi rówieśnicy służący w oddziałach amerykańskich z rzadka mieli okazję dobrze poznać Wietnamczyków i traktowali ich z podejrzliwością albo wręcz z pogardą. Jednak życie pośród tych ludzi pozwoliło mi poznać ich bogatą, cudowną kulturę... i zrozumieć, jaki wpływ wywarły na nią straszliwe dziesięciolecia wojen i cierpień.

Kiedy rozmawiałem z wietnamskimi rodzinami przy posiłkach lub podczas codziennych prac, zawsze traktowano mnie ciepło i przyjaźnie, choć zarazem z nieśmiałością i uprzejmą rezerwą. Jednak kiedy już lepiej poznałem tych ludzi, stawali się otwarci. Zawieranie przyjaźni było już trudniejszą sprawą - niełatwo się zaprzyjaźniali. W ich oczach przyjaźń była poważnym, długotrwałym zobowiązaniem, nie można było go podejmować niefrasobliwie. Kiedy jednak zaprzyjaźniałeś się z Wietnamczykiem, była to przyjaźń na całe życie.

Na wojnę reagowali tyleż enigmatycznie, co stoicko. Nigdy nie spotkałem się z uzalaniem nad sobą. Trudno było do tego przywyknąć. Skąd znajdowali w sobie tyle siły, by ze spokojem przyjmować ból i cierpienie, jakie często musieli znosić? Dlaczego tak rzadko okazywali emocje - nawet po najbardziej traumatycznych przejściach?

Chociaż przez wioski przetaczały się ogromne oddziały amerykańskie, rzadko dochodziło do kontaktów. Nie chcieli ich ani Amerykanie, ani Wietnamczycy. Tak więc samotny Amerykanin zamieszkujący w wietnamskiej wiosce był nowością - istnym kuriozum. Prawdę powiedziawszy, miejscowe dzieciaki często nie były pewne, czy jestem prawdziwy, i musiały mnie szturchać, by to sprawdzić.

Chociaż uwielbiałem przebywać wśród Wietnamczyków, chociaż zawsze traktowali mnie z szacunkiem - trudno było się domyślić, co sądzą

o Amerykanach jako takich, czy o naszym udziale w konflikcie.

Istotna część tej prawdy ujawniła się podczas przyjaznej rozmowy z rodziną naczelnika wioski (z którym dzieliłem dom). W malowniczej osadzie nastał przyjemnie chłodny wieczór. Siedzieliśmy przed domem, skończywszy smaczny posiłek.

- Pokaż mi zdjęcia swojej rodziny i swojego domu w Stanach - zagadnęła żona szefa, będąca kobietą w podeszłym wieku. - Masz jakieś przy sobie?

Miałem tylko wspólne zdjęcie z żoną, zrobione przed domem jej rodziców. Wyjąłem je, a starsza pani przyglądała mu się dłuższą chwilę. Wreszcie popatrzyła na mnie przenikliwym wzrokiem.

- Po co przyjechałeś do Wietnamu? - spytała.

Udzieliłem jej standardowej odpowiedzi o konieczności powstrzymania komunizmu i ochrony demokracji - i naszych wietnamskich sprzymierzeńców. Potrząsnęła głową.

- To smutne, że musiałeś porzucić rodzinę i zaangażować się w cały ten tragiczny bałagan - oznajmiła.

Postanowiłem trzymać się oficjalnej wersji.

- Ale co zamierzacie zrobić, by ochronić nas przed nimi? - zapytała, wskazując na południe.

Z początku pomyślałem, że się pomyliła - w końcu nieprzyjaciel był na północy. Zaraz jednak zdałem sobie sprawę, że dokładnie to miała na myśli. Mówiła o skorumpowanym rządzie Południowego Wietnamu. Dla niej wróg był zarówno na północy, jak i na południu.

Zaczynałem rozumieć. Ci ludzie znaleźli się w pułapce. Mieli dwa wyjścia, oba złe. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że „środkiem

ciężkości ”\*[\* Termin, jakiego używa Clausewitz do opisu kluczonej umiejętności walczącego, bez której musi przegrać.] byli ludzie... i że zdobycie serc i umysłów to nie tylko slogan - to jedyny sposób na wygranie tej wojny.

A tymczasem wieśniacy robili, co mogli, by przetrwać.

W końcu zdobywanie serc i umysłów stało się kwestią na tyle ważną, że zaangażowano w nią wietnamskich marines. Konkretnie zaangażowano ich w prowadzenie programów pacyfikacyjnych w II CTZ. Polegało to na wkraczaniu do wiosek w celu identyfikacji, przepytania i przeciągnięcia ludności na swoją stronę za pomocą prac społecznych. Z początku marines odnosili się do tych zadań niechętnie. Uważali się za wojowników, a nie za jakichś mięczaków od prac społecznych.

Zazwyczaj operacja pociągała za sobą zorganizowanie jarmarku. Marines stawiali namioty, stoiska i posterunki. Odpytywanie i legitymowanie przeplatały się z usługami medycznymi, rozdawaniem jedzenia i rozrywką. Nie brakowało też politycznej propagandy - by zdobyć serca i umysły.

Okazało się, że ludziom naprawdę spodobały się takie imprezy, zaś marines wkrótce dostrzegli płynące z tego korzyści i zaczęli czerpać przyjemność z organizowania jarmarków. Większość z nich wychowywała się w takich okolicach. Lubili obcować z podobnymi sobie. Z upływem czasu nawiązali przyjazne stosunki z większą częścią populacji II CTZ.

Nie spodobało się to VC, który zaczął grozić wieśniakom uczestniczącym w jarmarkach.

Jednak mimo prób zastraszania coraz więcej wieśniaków zaczynało wychodzić z ukrycia, by dostarczać informacji o ruchach armii.

Pewnego razu w położonej na uboczu wiosce do stanowiska medycznego przyszła matka z dzieckiem. Twarz maleństwa była cała opuchnięta. Kiedy okazało się, że personel medyczny marines nie ma odpowiedniego sprzętu, by zająć się ropniem dziecka, przyprowadzono ich do mnie.

Skontaktowałem się z pobliskim oddziałem amerykańskim. Zgodzili się zorganizować transport i leczenie w szpitalu miejskim w Qui Nhon. Przerażoną matkę z dzieckiem oraz z ciotką zaprowadzono do strefy lądowania, gdzie miały oczekiwać na śmigłowiec. Nim wylądował, były już na skraju paniki. Naraz matka kucnęła, jak stała, i oddała mocz - na oczach zszokowanej załogi helikoptera. Potem jednak zebrała się jakoś na odwagę i wdrapała na pokład. I tyle ich widzieliśmy. Życzyłem im powodzenia, lecz szybko zapomniałem o całej sprawie.

W kilka miesięcy później ponownie odwiedziłem tę wioskę, tym razem z kompanią z innego batalionu.

Dowódca kompanii oznajmił, że chce się ze mną widzieć jakaś kobieta z wioski.

- Nie ma sprawy - zgodziłem się, nie pamiętając o tamtym wypadku.

Jednak gdy kobieta zbliżyła się do nas, z dumą demonstrując puciołowatego, zdrowego niemowlaka, natychmiast ją rozpoznałem i ucieszyłem się, że przyszła podziękować za ocalenie jej dziecka. Opowiedziała mi o pobycie w szpitalu i o podróży powrotnej do wioski. Kiedy już miała odejść, naraz odwróciła się do mnie i wyszeptała:

- Żołnierze Wietkongu chowają się w tunelach niedaleko stąd. Pokażę wam gdzie.

Natychmiast zebraliśmy oddział i udaliśmy się w miejsce, które nam pokazała, tuż na skraju wioski. Znaleźliśmy tam zakamuflowane wejście do ogromnego podziemnego kompleksu.

Zaczawszy go oczyszczać, zorientowaliśmy się, że w środku są ludzie. Wyciągnęliśmy ich na zewnątrz, grożąc wysadzeniem tuneli.

Wkrótce potem, ku memu zaskoczeniu, z tunelu wyłoniła się grupa żołnierzy VC w różowawych mundurach. Okazało się, że należą do pułkowego oddziału medycznego, którego stanowisko znajdowało się w systemie tuneli. Jakimś trafem - choć jak się nad tym zastanowić, nie było to takie zaskakujące - lekarz naszego batalionu rozpoznał lekarza VC. Obaj uczęszczali na akademię medyczną we Francji i kiedyś się przyjaźnili. Potem starzy kumple zjedli razem lunch, gawędząc po przyjacielsku (co było dla mnie tyleż dziwne, co interesujące), opowiadając sobie o życiu i karierze od czasu ostatniego spotkania. Skończywszy posiłek, przyjaźnie uścisnęli sobie dłonie, pożegnali się - i żołnierze VC zostali skuci i odprowadzeni jako jeńcy wojenni.

Kiedy już odeszli, przypomniałem sobie, że podobne zdarzenia miały miejsce podczas wojny secesyjnej.

VC i NVA byli mistrzami w budowie doskonale ukrytych systemów podziemnych tuneli. Odkrywaliśmy całe złożone sieci, łączące ogromne podziemne komnaty, umeblowane, wyposażone w ręcznej roboty maski gazowe z filtrami węglowymi oraz starannie zabezpieczone minami pułapkami ślepe korytarze.

Kiedy latem wysychały głębokie pola ryżowe, często wyłaniały się wejścia do niektórych z tych kompleksów, zatopione w porze deszczowej.

Pewnego razu zatrzymaliśmy się na sjęstę i posiłek opodal takiego

pola. W jednym z jego narożników widoczne było wejście do tunelu, tak duże, że można było tam wejść, nie schylając się. Ponieważ była pora sucha, a wejście odsłonięte, przyjęliśmy, że tunel jest pusty. Tymczasem gdy odpoczywaliśmy, kilku marines zaczęło kręcić się u jego wylotu. Postawił ich na nogi dobiegający ze środka hałas. Szybko otoczyliśmy otwór i rozkazaliśmy ukrywającym się tam ludziom wyjść na zewnątrz. Perswazją i groźbami skłoniliśmy ich do poddania się. W wylocie tunelu pojawiło się dwóch młodzieńców w starannie odprasowanych mundurach khaki, z krótko przyciętymi włosami. Jeden z nich był porucznikiem NVA, drugi podoficerem. Porucznik, dostrzegłszy mnie, zwrócił uwagę podoficerowi i energicznie zaszalutował. Ku uciesze marines odwzajemniłem salut. Obaj mężczyźni zostali wzięci do niewoli.

W innych przypadkach wzięcie jeńców wojennych było o wiele trudniejsze. Tutaj na przykład Zinni opisuje, jak żołnierze VC próbowali ukryć się między rybakami pływającymi po jeziorze, używając ich w charakterze żywych tarcz:

Obszar rozciągający się wzdłuż wybrzeża prowincji Binh Dinh pokrywają jeziora, zatoczki i bagna. Ze wszystkich stron otaczają je rybackie wioski (z których wiele zostało opuszczonych w ramach programu przesiedleń). Jako że obfitość pożywienia i duże zagęszczenie populacji sprawiały, że obszar ten był jednym z ulubionych celów VC, zawsze mogliśmy tam liczyć na nawiązanie kontaktu z wrogiem. Ile razy przeczesywaliśmy region, tyle razy wdawaliśmy się w wymianę ognia.

Szczególnie duża przytrafiła się pewnego dnia nad Dam Tra O, największym jeziorem regionu.

Podczas zakrojonego na szeroką skalę przeczesywania terenu, które

dwa spośród naszych batalionów przeprowadzały wspólnie z i. Dywizją Kawalerii, wdaliśmy się w wymianę ognia w marszu, udając się na wschód w kierunku jeziora z czujką batalionu. Drugi batalion zmierzał w kierunku jeziora od południa.

Zbliżyliśmy się do zbiornika, spychając VC ku wodzie. Najwyraźniej złapaliśmy ich w pułapkę na bagnie. Nie mieli szans prześliznąć się z flanki. Mogli tylko uciekać w kierunku jeziora.

Przy pierwszym kontakcie kawaleria wysłała nam helikopter obserwacyjny i śmigłowiec szturmowy (czyli „Zespół Srebrny”). Pojawiły się, gdy dotarliśmy do nabrzeżnych wiosek. Skierowałem je nad bagno, gdzie ostatnio widzieliśmy VC. Wypatrzyły kilku żołnierzy, leżących w płytkiej wodzie i oddychających przez rurki z trzciny. Śmigłowiec szturmowy ostrzelał wodę i zabił sporo VC. Inni skapitulowali. Niestety, większość żołnierzy VC dotarła do brzegu jeziora, wsiadła do łodzi i wypłynęła na szerokie wody, między łodzie rybackie z cywilami na pokładzie.

Zebraliśmy się na brzegu, by zdecydować, co robić. Kiedy się naradzaliśmy, usłyszałem, jak starszy doradca z batalionu znajdującego się na południu wzywa przez radio wsparcie artyleryjskie - salwę z zapalnikami zbliżeniowymi (pociski miały eksplodować nad głowami nieprzyjaciół i spuścić na łodzie zabójczy deszcz szrapneli). Natychmiast doskoczyłem do radia i wstrzymałem ogień.

- Czekaj chwilę - krzyknąłem do mikrofonu - nie możesz wzywać artylerii. Tam są niewinni ludzie. VC wmieszał się między rybaków, jeśli spróbują odpłynąć, ci z VC ich zastrzelą. - Kiedy to mówiłem, dowódca kompanii VNMC przekonywał swoich przełożonych, żeby nie strzelać.

Wdałem się w żarliwy spór z drugim doradcą, w randze kapitana, który upierał się, że wszystkie łodzie zajmuje VC. Jako że sam byłem porucznikiem kwestia była drażliwa. Wkrótce włączył się doradca grupy operacyjnej w randze majora.

Tymczasem dziesiątki spanikowanych cywilów zebrało się na brzegu, drżąc z niepokoju o swoich krewnych na łodziach.

- Tam są nasi ojcowie i bracia. Łowią ryby - przekonywali nas. - Oni nie są zWietkongu.

Nawet kiedy zwróciłem na to uwagę majorowi, ten i tak zdawał się skłaniać ku wersji kapitana. Ponieważ uważałem się za spryciarza, postanowiłem wtedy dać sobie luz.

- Musi pan wiedzieć, sir, że jeśli zdecydujemy się strzelać, to moim zdaniem zabijemy wielu niewinnych ludzi - a ja to zaświadczę.

- jakie zatem masz pomysły?

Przekazałem pytanie dowódcy kompanii VNMC. Od razu wiedział, co trzeba zrobić:

- Moi ludzie popłyną łodziami i dorwą VC - odparł.

Niebezpieczne. Ale ani on, ani jego ludzie nie chcieli patrzeć, jak giną niewinni. Przekazałem propozycję, ale doradca z drugiego batalionu stwierdził, że ani on, ani jego wietnamski kolega nie pochwalają tego pomysłu.

- Dajcie sobie spokój - powiedziałem. - To nie o wasze tyłki chodzi.

Podejrzywałem, że przyjdzie mi zapłacić za ten komentarz, ale guzik mnie to obchodziło.

Chociaż wiedziałem, że porucznik nigdy nie może być pewien, iż postępuje właściwie, jeśli nie zgadza się ze starszymi rangą, zdarzyło mi



się już znajdować w wielu takich sytuacjach, gdy pozostawało mi tylko trwać przy swoim, jak podpowiadała mi intuicja, i zbierać za to cięgi. Widziałem już, jakie rezultaty daje powątpiewanie w samego siebie i wycofywanie się. Obiecałem sobie, że nigdy już nie ustąpię po tym, jak zastanowiłem się głęboko i ustaliłem, co muszę zrobić.

Choć moje stanowisko nie zjednało mi sympatii moich rozmówców, nikt nie był gotów się sprzeciwić.

Marines ruszyli do łodzi. Nie mogłem przestać myśleć, że wielu z nich może zginąć lub odnieść rany w ryzykownym ataku. Mimo że sami marines zapewniali mnie, że postępujemy właściwie, i oczywiście się z nimi zgadzałem, wiedziałem, iż każda śmierć zaciąży na moim sumieniu.

To, co nastąpiło potem, było niesamowite. Scena jak z filmu o piratach.

Marines wypłynęli na jezioro. Wkrótce dogonili łodzie VC, otworzyli ogień, a następnie dokonali abordażu. W kilka chwil później opanowali wszystkie łodzie nieprzyjaciół i zabili lub pojмали każdego żołnierza VC... a wszystko to bez jednej ofiary wśród marines czy cywilów.

Kilku jeńców zapadło potem na tyfez nagłą, co śmiertelną „chorobę”. Naszym marines najwyraźniej nie spodobało się używanie cywilów jako żywych tarcz.

Już wcześniej wielokrotnie miałem powody do dumy z tych odważnych wojowników, jednak ten przypadek znalazł się na samym szczycie listy.

Przekonawszy się o kwalifikacjach i umiejętnościach bojowych oddziałów VNMC, amerykańscy dowódcy przydzielili im jeszcze

trudniejsze zadania. W lipcu amerykańskie jednostki w II CTZ zaczęły przenosić się z działaniami ku Wyzynie Zachodniej - gdzie miały miejsce szczególnie ciężkie walki - wycofując się z nadbrzeżnych równin. Ruch ten był możliwy jedynie dzięki przejęciu odpowiedzialności za większość działań przez VNMC.

W kwaterze głównej II CTZ zasugerowano, by marines rozpoczęli bardziej agresywne operacje nocne (obiecując przy okazji pełne wsparcie, w tym transport helikopterowy i wsparcie ogniowe - ogromny plus w oczach marines). Wietnamczycy poszli na to.

Proponowane działania obejmowały serię nocnych rajdów śmigłowcami na cele wyznaczone dzięki najświeższym informacjom wywiadowczym - dla VNMC była to misja tyleż ekscytująca, co trudna (nie mieliśmy wówczas noktowizorów). Udzieliło mi się ich podekscytowanie. Miałem już wówczas pewność, że potrafię się zmobilizować podczas walki.

Skończyło się na czterech rajdach. W trzech z nich uczestniczyłem w charakterze doradcy, ale tylko jeden skończył się starciem z wrogiem.

Dwudziestego piątego lipca nadeszło pilne wezwanie z dowództwa armii amerykańskiej: według najnowszych informacji wywiadu drużyna VC konwojowała amerykańskiego jeńca przez wioski, wykorzystując go w celach propagandowych i rekrutacyjnych. Dowództwo uznało, że dobrze przeprowadzony rajd może doprowadzić do jego uwolnienia. Ponieważ byliśmy jedynym oddziałem zdolnym do wystarczająco szybkiego zareagowania, wybrano nas do jego przeprowadzenia.

Natychmiast wysłano zespół wywiadowców, który miał przygotować odprawę. Wiadomość pochodziła od mieszkańca jednej z wiosek, który

dodatkowo doniósł, że drużyna VC zmierza na nocleg do opuszczonej wioski na wybrzeżu. Wywiadowcy nie mieli pewności, czy informacje są dokładne, ale wydawało się, że warto je wykorzystać. Dostarczyli opis więźnia oraz określili jego przypuszczalną tożsamość.

Szybko zabraliśmy się do planowania.

Rajd trzeba było zaplanować niezwykle dokładnie, biorąc pod uwagę próby zmylenia przeciwnika (wiedzieliśmy, że VC nas obserwował) i uściślając informacje wywiadowcze. Solidnie się do tego przyłożyliśmy.

Zdecydowaliśmy się wyruszyć w sile 80 marines. Aby zmylić obserwatorów, grupa miała poruszać się w ramach większej jednostki, która owego dnia wyruszała w celu przeprowadzenia rutynowej zmiany jednego z posterunków w górskich wioskach. Grupa operacyjna miała oderwać się od jednostki w odległym buszu, w pobliżu górskich wiosek, i czekać we wstępnie przygotowanej strefie lądowania na amerykańskie śmigłowce, które miały ją zabrać nocą. Skoordynowaliśmy działania z pilotami, żeby skrócić czas, jaki będą zmuszeni spędzić na ziemi w owej strefie.

W tamtym czasie nie mieliśmy jeszcze w wyposażeniu M-16, zabraliśmy więc pistolety maszynowe Thompsona i M3A1, karabinki - całą broń automatyczną - z zapasowymi magazynkami, aby zapewnić sobie maksymalną siłę ognia dla naszej stosunkowo małej grupy operacyjnej działającej na terenie wroga. Rajd miał przebiegać możliwie jak najszybciej. Chcieliśmy zaskoczyć ich, kiedy będą spać (taką mieliśmy nadzieję), i natychmiast otworzyć ogień. Flanki miały osłaniać karabiny maszynowe.

Z poprzednich misji na tym obszarze znaleźliśmy opuszczoną wioskę

nad brzegiem Morza Południowochińskiego, będącą naszym celem. Na północ od niej znajdował się wysunięty w morze skalisty występ, wznoszący się na kilkadziesiąt metrów. Zdecydowaliśmy się wylądować na tym kawałku skały. Niewielkie skrawki odkrytej przestrzeni mogły pomieścić po jednym śmigłowcu naraz. Lądowanie po przeciwnej stronie występu niż wioska miało wytłumić hałas. Następnie mogliśmy zejść po skałach i zaatakować wioskę od strony morza, skąd by się nas nie spodziewano (zakładaliśmy, że nieprzyjaciel zorientuje swą obronę w głąb lądu). Istniał jeden potencjalny problem: choć mogliśmy odciąć szlaki z wioski biegnące z północy na południe (wzdłuż wybrzeża), nie byliśmy w stanie odciąć drogi ucieczki na zachód, przez rozległe pola ryżowe ku innym wioskom i obszarom zalesionym. Ponieważ natarcie miało przebiegać ze wschodu na zachód, nie chcieliśmy rozmieszczać oddziałów na zachód od osady, w potencjalnych strefach ostrzału. Mieliśmy natomiast nadzieję, że uda nam się szybko przemieścić na zachód. Był to kolejny powód do błyskawicznego i gwałtownego ataku. Jeśli by się nie powiodł, VC mógł zbiec przez ryżowiska.

Odłączenie się od głównej grupy i przesiadka na helikoptery przebiegły znakomicie. Piloci polecili nad morzem (zwiększając element zaskoczenia) i nadlecieli nad występ od północy, zgodnie z planem. Napotkaliśmy tylko problemy, gdy niektóre ze stref lądowania okazały się zbyt małe, by pomieścić śmigłowiec, i żołnierze musieli skakać z wysokości prawie 2 metrów. Kilku miało problemy ze skręconymi kostkami i tym podobne, ale nie były na tyle poważne, aby wyłączyć ich z gry.

Zejście po ostrych skałach było trudne i powolne do bólu, jednak w

końcu każdy znalazł się na dole, z kilkoma zaledwie sińcami i zadrapaniami. Szybko ruszyliśmy w kierunku punktu zbiórki u podnóża występu. Stamtąd wysłaliśmy czteroosobowe zespoły ubezpieczające, które miały odciąć wioskę od północy i południa. Aby uniknąć przedwczesnego wykrycia, usiłowaliśmy zsynchronizować nasze ruchy i jednocześnie rozmieścić zespoły ubezpieczające i grupę ataku.

Przemieszczałem się wraz z grupą ataku wzdłuż plaży, w kierunku długiej wydmy, rozciągającej się z północy na południe, którą wykorzystywaliśmy jako linię rozmieszczenia. Było to idealne miejsce na rozpoczęcie uderzenia. Położone jakieś 100 metrów od krańca wioski, umożliwiało atak z osłoniętych i ukrytych pozycji, zaś fale przyływu zagłuszały nasz ruch.

Wszystko szło dobrze do czasu, gdy rozmieściliśmy się na pozycjach wyjściowych u podstawy wydmy. Miałem nadzieję, że oba nasze założenia okażą się trafne - że obrona wroga jest zorientowana w głąb lądu i że mamy do czynienia jedynie z oddziałem wielkości drużyny.

Oba założenia były chybione.

Nie mieliśmy do czynienia z drużyną, ale ze wzmocnioną posiłkami kompanią, a jej obrona albo była zorientowana ku morzu, albo obejmowała pełne 360 stopni!

Wspięliśmy się na grzbiet wydmy i powoli ruszyliśmy w dół, czekając na sygnał do rozpoczęcia ataku - ogień z karabinów maszynowych na flankach. Miał nas osłaniać podczas zbliżania się do skraju wioski, następnie karabiny maszynowe miały zostać przemieszczone do przodu, by podczas ataku nadal osłaniać nasze flanki.

Jednak zanim się to stało, nieprzyjaciel spostrzegł nas i otworzył

ogień z własnych karabinów maszynowych i z każdej innej broni, jaką posiadał! Natychmiast odpowiedzieliśmy ogniem i przeszliśmy do natarcia.

Kiedy zbiegaliśmy z wydmy, ostrzeliwując się, ujrzałem, jak smugacze wroga przelatują nam nad głowami. Zdałem sobie sprawę, że za dużo ich jak na drużynę. Zrozumiałem też, że obrona jest zorientowana w kierunku morza... w naszym kierunku. Widać było, że jest dobrze zorganizowana - krzyżujące się trajektorie tworzyły ścianę ognia zaporowego, niemożliwą do przebycia, na szczęście jednak strzelano za wysoko. Zdarza się tak, gdy obrona zorientowana jest na wznoszący się element ukształtowania terenu, taki jak wydma. W ciągu tych kilku sekund, jakie zajęło nam dopadnięcie pozycji wroga, zmówiłem za to w myślach krótkie dziękczynienie. W kilka chwil później miałem okazję po raz kolejny zmówić modlitwę dziękczynną, kiedy stało się jasne, że nasz ostrzał, w przeciwieństwie do strzałów nieprzyjaciół, jest skuteczny i że udało nam się przełamać ich linię obrony.

Kiedy wycofali się do wioski, zaczęła się walka o każdą chatę. Staraliśmy się utrzymać w szeregu, by wróg nie zaszedł nas od tyłu. Oznaczało to, iż musieliśmy porzucić plan posłania żołnierzy na zachodni kraniec wioski do osłaniania ryżowisk. Było zbyt wielu nieprzyjaciół i zbyt wiele kryjówek, by ryzykować kulę w plecy.

Tymczasem usłyszałem strzały od strony zespołów osłaniających szlaki z północy na południe.

Systematyczne oczyszczanie wioski zajęło resztę nocy (musieliśmy wystrzeliwać flary, by oświetlić sobie drogę).

Śmigłowce miały przylecieć po nas o brzasku. Mogłem mieć tylko

nadzieję, że do tej pory VC nie otrzyma posiłków (mimo iż mieliśmy plan awaryjny sprowadzenia sił reagowania wietnamskich marines w przypadku napotkania trudności).

Nim zaświtało, skończyliśmy oczyszczanie wioski, umocniliśmy naszą pozycję i zabezpieczyliśmy strefę lądowania śmigłowców.

Kapitan wietnamskich marines dowodzący rajdem wysłuchał raportów. Mieliśmy wielu rannych, ale, o dziwo, nikt nie został zabity, a żadna z ran nie zagrażała życiu. Zabiliśmy 19 żołnierzy nieprzyjaciela i pojмалиśmy 32. Dowiedzieliśmy się od nich, iż amerykański jeńiec wojenny istotnie z nimi przebywał, jednak po rozpoczęciu strzelaniny wyprowadzono go z wioski przez ryżowiska.

Natychmiast wezwałem do wypatrywania z powietrza uciekających oddziałów VC, jednak obserwatorzy niczego nie dostrzegli. Siły reagowania, które przeszukały obszar późnym rankiem, również nie miały szczęścia. Rozczarowujący finał świetnie przeprowadzonego rajdu.

Kluczem do sukcesu wietnamskich marines był znakomity dobór dowódców batalionów i kompanii. Zdarzyło mi się współpracować z większością kompanii piechoty, miałem więc dobre pojęcie o ich mocnych i słabych stronach.

Tylko jeden dowódca nie dorastał do wysokich standardów, do jakich przywykłem. Jego zdolności przywódcze były mizerne, a umiejętności taktyczne - marginalne. Był również nadzwyczaj próżny i nieelastyczny jak na żołnierza marines (zawsze miał przy sobie o wiele więcej kłopotów niż zwyczajny marines w podróży). Cechowało go pełne wyższości podejście, jakie zazwyczaj spotykało się u oficerów Armii Republiki Wietnamu - ARVN. Jednak jego głównym problemem był fakt,

iż nie potrafił robić kilku rzeczy naraz, co jest niezbędną umiejętnością dowódcy wojskowego, który podczas walki musi wykonywać jednocześnie jakieś 20 czynności. Ta wada niemal kosztowała nas życie.

W owym czasie prowadziliśmy działania w opuszczonych nadbrzeżnych wioskach, ciągle przemieszczając się między nimi całą kompanią, by uniemożliwić VC założenie bazy wypadowej, a dawnym mieszkańcom - potajemny powrót. Chociaż kompanie zmieniały się co kilka tygodni w celu wypoczynku, młodszych doradców było niewiele, w związku z czym towarzyszyłem każdej kompanii wyruszającej w teren\*[\* Starszy doradca towarzyszył dowódcy batalionu, ale młodszy musiał przebywać na polu walki.]. Po jakimś czasie któryś z dowódców kompanii musiał zauważyć, że wyglądam na wymizerowanego, i wspomniał dowódcy batalionu, iż powinienem zrobić sobie przerwę. Nie spodobał mi się ten pomysł. Na polu bitwy działo się wiele rzeczy, którym sprostać mógł jedynie doradca.

Jednak przy następnej zmianie dowódca rozkazał mi powrócić do bazy.

- Wracasz razem z kompanią - zakomunikował - a następna po prostu wyruszy bez doradcy.

- Mowy nie ma - zaproponowałem. - Zostaję. Kompania na polu bitwy musi mieć doradcę.

- Słuchaj - nastawał - wróc razem z kompanią. Doprowadź się do porządku. Zrób sobie przerwę. Mamy dla ciebie pocztę. Weź przynajmniej dzień wolnego, a potem możesz wracać. Zatrzymamy dowódcę plutonu i jedną drużynę z wyruszającej kompanii - potowarzyszą ci w drodze powrotnej.



- No dobra, wróćę na jeden dzień - przystałem. Trzeba przyznać, iż propozycja była kusząca. Wydawało się, że niewiele się może wydarzyć przez jeden dzień.

Miałem jednakże jedno zmartwienie. Kompanią wyruszającą do boju dowodził właśnie ów kiepski oficer. Sama kompania nie była zła; miała dobrych dowódców plutonów, ale już ten krótki czas, który do tej pory z nimi spędziłem, sprawił, iż martwiłem się o kompetencje głównodowodzącego, pozostawionego samemu sobie.

Tak czy siak, wróciłem do bazy, doprowadziłem się do porządku, oddałem sprzęt do przeglądu, zjadłem przyzwoity posiłek, przeczytałem zaległą pocztę i przespałem się spokojnie kilka godzin.

Około południa spotkałem się z dowódcą plutonu, w stopniu porucznika, aby omówić trasę patrolu i przygotować się do wymarszu. Byliśmy na terenie wroga i nie można było ryzykować. Porucznik miał głowę nie od parady - jego dojrzałość i profesjonalizm były imponujące jak na kogoś tak młodego.

Spotkaliśmy się ponownie wczesnym rankiem następnego dnia i o uzgodnionym czasie oddzieliliśmy się od reszty sił.

Kiedy zbliżaliśmy się do pozycji kompanii, usłyszeliśmy strzały. Zdziwiłem się. Nie doniesiono nam o nawiązaniu kontaktu z wrogiem. Skontaktowałem się z batalionem, by to sprawdzić - do nich też nie dotarły żadne raporty. Trzeba było dowiedzieć się, co jest grane. Przerwaliśmy patrol i przez radio nawiązaliśmy kontakt z dowódcą kompanii.

- Jestem pod ciężkim ostrzałem, z trzech stron otoczony przez VC - oznajmił nam. Natężenie słyszanego przez nas ognia zdawało się to

potwierdzać.

Przez głowę przebiegło mi mnóstwo pytań. Żołnierze VC i NVA byli bardzo dobrze wyszkoleni. Niemal zawsze to oni inicjowali kontakt - sondując i sprawdzając umiejętności. Jeśli się ich w odpowiedzi solidnie przydusiło, szybko się oddalali. Ale jeżeli widzieli, że nie dostają ciągów, nasilali atak i wzywali posiłki, mając nadzieję na łatwą zdobycz. Z mojego doświadczenia wynikało, że jeśli sparzyli się zaraz na początku, wycofywali się. Nie było szans, by wdali się w zażarty bój z kimś przygotowanym i szybko odpowiadającym ogniem. Z tej właśnie przyczyny zawsze starałem się nakierować na nich artylerię i lotnictwo, jak tylko zaatakowali.

Najwyraźniej tu się jednak tak nie stało. Dlaczego? - spytałem sam siebie.

Nieprzyjaciele z pewnością widzieli, iż mają do czynienia z dobrą kompanią, zajmującą dobrze umocnione pozycje. Jednak nie dostawali w kość. W powietrzu nie było śmigłowców, samolotów obserwacyjnych ani myśliwców, nie słychać było artylerii. Kiedy zdali sobie z tego sprawę, powiedzieli sobie: „Ci goście albo są nieprzygotowani, albo nie mają dostępu do ciężkiego sprzętu. A my mamy wystarczające siły, by na nich uderzyć. Do dzieła”.

Kompania okopała się w opuszczonej osadzie. Ponieważ otoczono ją z trzech stron, jedyna droga dojścia biegła z zachodu. Musieliśmy zatem ostrożnie obejść osadę, a następnie powoli zbliżyć się do pozycji kompanii. Młody dowódca plutonu doskonale poradził sobie z tym ryzykownym zadaniem. Nietrudno było przecież natknąć się na żołnierzy VC lub - wcale nie lepiej - zostać za nich wziętym i ostrzelanym przez

swoich, jednak dowódca poprowadził patrol z nadzwyczajną zręcznością.

Kiedy w końcu dotarliśmy do pozycji kompanii, oczom naszym ukazał się przejmujący widok. Marines ostrzeliwali wciąż atakujących nieprzyjaciół. Stanowiska bojowe były położone bardzo blisko siebie, wrogowie byli wszędzie. Wówczas nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z faktu, iż bitwa trwa już od dłuższego czasu, co miało się okazać groźne w skutkach.

Ruszyłem między chaty, ku stanowisku dowodzenia kompanią, zaś porucznik dołączył do swojego plutonu. Tam będzie z niego pożytek... Nagle zapragnąłem, żeby to on był dowódcą kompanii.

Na stanowisku dowodzenia kilku marines gadało przez radia umieszczone pod glinianymi ścianami chat. O ile dobrze widziałem, dowódca kompanii rozmawiał z dowódcami plutonów i wydawał się kontrolować obronę. Nadal jednak nie rozumiałem, czemu nie doniósł o kontakcie z wrogiem ani nie wezwał wsparcia ogniowego. Walki były ciężkie, zaś VC najwyraźniej starał się otoczyć kompanię.

Kiedy dotarłem do stanowiska dowodzenia, dowódca kompanii zdecydował się wezwać wsparcie artyleryjskie. Jednak, jak to bywało w jego przypadku, wpadł na to dopiero chwilę wcześniej. Nie wydał precyzyjnych poleceń oficerowi naprowadzania artylerii na wysuniętym stanowisku i traf chciał, iż ten pomylił nasze koordynaty. Tak się złożyło, że dopiero co je sprawdzałem, i kiedy usłyszałem, jak wietnamski oficer wzywa wsparcie, dotarło do mnie, że podaje naszą lokalizację - a nie wroga!

Chwyciłem za radio i kazałem amerykańskiemu doradcy wstrzymać ogień, było już jednak za późno.

- Poszły - usłyszałem w odpowiedzi, co oznaczało, że pociski już wystrzelono.

- Padnij! - wrzasnąłem, kiedy dwa z nich świsnęły nam nad głowami i eksplodowały za naszymi plecami. Cudownym zrzędzeniem losu pociski trafiły w otwartą przestrzeń na naszych tyłach. Ukryci marines nie zostali ranni.

W tym momencie w radiu odezwały się głosy amerykańskiego doradcy artyleryjskiego, starszego doradcy naszego batalionu oraz starszego doradcy grupy operacyjnej - wszyscy oni krzyczeli, próbując się dowiedzieć, co jest grane. Aktywność w eterze zaalarmowała też wietnamskie dowództwo. Próbowałem podać swoim krótkie wyjaśnienie, prosząc, by dali mi czas na uporządkowanie tego bajzlu, ale oni nie chcieli o tym słyszeć. Skoro to ja powiedziałem o problemie, to widocznie byłem jego przyczyną. Mimo wszystko ufali mi przynajmniej na tyle, by wysłuchać prośby o pomoc: wysłanie nad nasze pozycje samolotu obserwacyjnego i odwołanie ognia artyleryjskiego do czasu, gdy będę przygotowany.

Jako że wydawało się, iż obrona kompanii jest nieźle zorganizowana, byłem przekonany, że nie ma potrzeby natychmiastowego przesunięcia jednostek.

Złapałem dowódcę kompanii i przepytalem go z naszej sytuacji.

- Uderzyli na nas trzy - czy czterokrotnie - wyjaśnił. - Za każdym razem bardziej zdecydowanie i z większej liczby kierunków.

Chociaż, tak jak przypuszczałem, skoncentrował się na bitwie i manewrowaniu jednostkami, nie pomyślałszy jednocześnie o zameldowaniu o swojej sytuacji ani o wezwaniu wsparcia ogniowego czy

obserwacji powietrznej, czułem, iż mogę nad tym zapanować, kiedy dobił mnie, rzucając mimochodem:

- Moi ludzie mają mało amunicji.

Z początku zastanawiałem się, kiedy ma zamiar coś z tym zrobić (coś, co powinien był zrobić na długo, zanim się pojawiłem), ale szybko stało się oczywiste, że zrzuca ten problem na mnie.

- Jak mało? - spytałem.

- Po kilka nabojów na głowę - odparł.

No to świetnie! - pomyślałem.

Na szczęście VC przzerwali właśnie ostrzał. Zdawali się przegrupowywać.

Natychmiast zgłosiłem nagłe zapotrzebowanie na amunicję, czym ściągnąłem na siebie jeszcze większe niezadowolenie dowództwa logistycznego, wciąż wkurzonego po poprzedniej rozmowie.

- Jakiego rodzaju amunicji potrzebujesz i ile? - pytali, kiedy się już nieco uspokoili. Wciąż uważali, że zapotrzebowanie powinno zostać zgłoszone zgodnie z regulaminem... a na to nie miałem czasu.

- Trzydziestki, czterdziestki i pięćdziesiątki... dawajcie tu wszystko, co możecie. - Marines mieli oczywiście kupę starej broni i żadnych M-16. - Nie mogę wam teraz podać zapotrzebowania. To sytuacja awaryjna. Mamy trzy czy cztery pociski na głowę i nieźle dostajemy w kość.

Dopiero kilka minut wcześniej poinformowano ich o tym, że toczymy walkę. Coś tu się im nie zgadzało. Nikt nie pakuje się tak szybko w tak poważne kłopoty!

- Kto to zgłasza, do cholery? - indagowali. Było jasne, że nie dociera do nich powaga naszego położenia. Sądziło się, że mają do czynienia z

nadmiernie podekscytowanym porucznikiem. Smutna prawda była taka, iż żaden z tych gości siedzących na tyłach nie miał wystarczającego doświadczenia bojowego, by zrozumieć sytuację - w owym czasie spędziłem już na polu bitwy więcej czasu niż którykolwiek z nich.

Tymczasem poleciłem dowódcy kompanii, by włączył swoje radio i zdał batalionowi pełne sprawozdanie z sytuacji, ze szczegółowym podaniem stanu amunicji.

Wreszcie nadleciał lekki amerykański samolot obserwacyjny O-1 Birdog. Ze względu na kryptonim wywoławczy tych samolotów nazywaliśmy je „Ziółkami”. Nie sposób znaleźć wystarczających słów uznania dla ich pilotów - uwielbialiśmy tych gości!

Bogu dzięki za Ziółka, pomyślałem. Podałem pilotowi naszą pozycję i kierunek ostatniego kontaktu z wrogiem i poprosiłem o sprawdzenie tych obszarów.

W kilka minut później zgłosił się ponownie:

- Macie silne zgrupowania wroga z trzech stron - oznajmił. - Dodatkowo widzę żołnierzy VC pieszo, na rowerach i na motocyklach, wszyscy zmierzają w waszym kierunku. Opracuję atak z powietrza, ale musicie przygotować się na silne uderzenie w najbliższym czasie. Mogą do was dotrzeć, zanim uda się zorganizować wsparcie powietrzne.

Nie mylił się. Żołnierze VC uderzyli na nas, nim zaatakowano ich z powietrza. Pewien jestem, że kiedy ujrzeli Birdoga, wiedzieli, iż muszą zaatakować, nim spadną na nich pociski.

Kiedy się zbliżyli, rozgorzała zażarta walka, jednak marines oszczędzali pociski. Nie mieli wyjścia. Przy walce z bliskich pozycji kilku żołnierzom VC udało się przedrzeć przez naszą linię obrony. Czerwona

flara ręczna oznajmiła, że wróg dokonał penetracji.

W tym czasie ja koncentrowałem się na Ziółku, który podawał mi koordynaty ostrzału artyleryjskiego pozycji wroga. Przycisnąłem głowę do ściany chaty, zatykając jedno ucho palcem, ze słuchawką radia przy drugim. Strzelanina i krzyki ograniczały słyszalność. Zanim jednak zdołałem nakierować ostrzał, odciągnął mnie do tyłu mój radiooperator.

Odwróciłem się i ujrzałem starszaka w koszuli i szortach khaki, z pistoletem maszynowym Thompsona, który strzelał dokładnie w moim kierunku z jakichś 20 metrów. Na szczęście pociski uderzały w glinianą ścianę tuż nad moją głową. Sięgnąłem po moją czterdziestkępiątkę, okazało się jednak, iż kaburę mam pustą. Pistolet miał radiooperator, który już strzelał do napastnika. Mój kowboj poszedł w jego ślady. Wszyscy strzelali, modląc się o celność, jednak nikt nie został trafiony.

W chwilę później starszek wyczerpał magazynek, a kiedy sięgnął po nowy, radiooperator z kowbojem pomknęli w jego kierunku i powalili go na ziemię. Potarłosili go trochę, po czym przywlekli pod ścianę.

No to świetnie!, pomyślałem. - Nie dość że muszę rozwiązywać te wszystkie problemy, to teraz jeszcze mamy jeńca wojennego, którym trzeba się zająć.

Kiedy moi chłopcy wiązali więźnia, zauważyłem, iż ogień słabnie. Odparliśmy czwarty atak. To była dobra wiadomość.

Zła: podszedł do mnie dowódca kompanii, by zakomunikować, że żołnierzom zostały góra dwa pociski na głowę. Następnie wydał rozkaz umocowania bagnetów.

Świetnie, nie ma co. Osiągnął tyle, iż teraz cała kompania trzęsła się ze strachu.

W tym momencie odebrałem przez radio wezwanie od pilota amerykańskiego śmigłowca, który leciał z dostawą amunicji. Szybko wyjaśniłem mu sytuację:

- Zbliź się od zachodu - poleciałem. - Szybko zrzuć amunicję i zmykaj tą samą drogą, którą przyleciałeś.

Jednocześnie Ziółko dostrzegł, że VC się przegrupowuje. Przygotowywali się do kolejnego uderzenia.

Wyglądało na to, iż teraz wszystko się rozstrzygnie. Jeśli uda nam się sprowadzić śmigłowiec i zdobyć amunicję, może zdołamy wytrwać do ataku lotniczego i artyleryjskiego.

Śmigłowiec zbliżył się na niskim pułapie i zrzucił skrzynie z amunicją. Marines szybko się do nich dobrali i roznieśli naboje żołnierzom na pozycjach. Jak na razie wszystko szło po naszej myśli.

Jednak naraz pilot śmigłowca skontaktował się ponownie, by oznajmić, że poleci na wschód, „żeby się rozejrzeć”.

- Na wschodzie jest pełno wrogów! - wrzasnąłem przez radio. - Leć na zachód! - Jednak zignorował mnie i ruszył na wschód. Natychmiast ściągnął na siebie ogień, który niemal go trafił. Szybko wspiął się wyżej i odleciał, ścigany przekleństwami Ziółka.

Pilot śmigłowca zaraportował potem w kwaterze głównej grupy operacyjnej, iż posłałem go na wschód i niemal doprowadziłem do jego zestrzelenia, czym znów ściągnął na mnie gniew doradców, teraz już całkiem wkurzonych. Jednak nadciągało już wówczas wsparcie artyleryjskie i lotnicze, odparłem więc, iż nie mam czasu na głupoty. (Najwyraźniej nadal nie połapali się, jak kiepska jest nasza sytuacja\*[\*] Potem znów wsiedli na mnie za to, że „pozwoiliłem mu polecieć na



wschód”, a ja ponownie wyjaśniłem, że tego mu właśnie zakazałem. Na tym sprawa się skończyła.]).

Wsparcie nadeszło dokładnie w momencie kolejnego uderzenia VC.

Przez jedną straszną chwilę zamartwiałem się, czy amunicja dotarła do żołnierzy, jednak obawy szybko się rozwiały: dudnienie wystrzałów z naszych karabinów zabrzmiało w moich uszach niczym najwspanialsza muzyka. Na tym etapie służby potrafiłem już rozróżniać, z jakiej broni się strzela, czy strzelają wrogowie, czy swoi - nawet przy tak blisko położonych pozycjach - i która strona ma przewagę ognia. Najwyraźniej odpieraliśmy uderzenie, zaś wsparcie lotnicze i artyleryjskie przerwało szczyk VC. Tak skończył się piąty i ostatni atak.

Nieprzyjaciele rozbiegli się na wszystkie strony. Uciekali, czym kto mógł, jak zameldował podekscytowany Ziółko. Następnie udał się w pościg za rozproszonymi wojskami, ściągając na nie ogień artylerii i lotnictwa.

Wkrótce potem mogliśmy ewakuować ofiary i przegrupować się, mając nadzieję na spokojną noc. Na szczęście taka właśnie była. Miałem okazję usadzić dowódcę kompanii i upewnić się, że przygotował porządny plan nocnej obrony. Sporo czasu strawiłem też na wyjaśnianie kwaterze głównej, co się właściwie wydarzyło. Nadal byli tyleż skonfundowani, co wściekli. Ze mną rozmawiali, więc i na mnie krzyczeli. Tak to już jest.

Wreszcie mogłem powiedzieć mojemu radiooperatorowi i mojemu kowbojowi, jak dumny jestem z ich zachowania podczas ostrzału.

- Wkrótce jednak musimy poćwiczyć celność - oznajmiłem im. - I jeszcze jedno: nikt więcej nie rusza mojej broni!

W kilka miesięcy później dowódcę kompanii zdymisjonowano,

aresztowano za korupcję i wsadzono do więzienia. Nie znałem szczegółów sprawy, ale VNMC z pewnością nie odczuł jego odejścia jako straty.

Często trudno sobie wyobrazić, że wróg to też ludzka istota. Czasem jednak zdarzają się sytuacje, które dobitnie dowodzą, iż tak właśnie jest.

Pewnego ranka udałem się z inną kompanią na wzgórze położone na zachód od autostrady nr 1, by ubezpieczyć przeczesywanie terenu przez 1. Dywizję Kawalerii. Weszliśmy na jedno z niskich wzgórz, by zająć pozycje powyżej kilku niewielkich osad. Nasza czujka zaczęła schodzić w dół ku wiosce, naraz jednak zatrzymała się, a jeden z żołnierzy zasygnalizował ręką obecność wroga. Marines szybko w milczeniu rozciągnęli się w szczyk, zwracając się we wskazanym kierunku.

Kiedy dołączyłem do nich razem z dowódcą kompanii, ujrzałem jakieś 75 metrów poniżej niewielką grupę ludzi zgromadzoną wokół ogniska pośrodku wioski - pewnie rodzinę spożywającą poranny posiłek. Jednocześnie jednak zauważyłem, iż obok dwóch młodych mężczyzn leżą na ziemi karabiny szturmowe AK-47.

W momencie, w którym to spostrzegłem, ludzie wokół ognia zauważyli naszą obecność. Dwóch młodzieńców chwyciło za broń i rzuciło się ku jakiejś szopie czy stodole, ostrzeliwując się po drodze. Nigdy tam nie dotarli. Marines ścięli ich gradem kul. Jednego z nich trafili tyle razy, iż jego ciało dosłownie podskakiwało na ziemi.

Tymczasem reszta rodziny - kobiety, starcy i dzieci - rozbiegła się na wszystkie strony.

Ruszyliśmy szybko na dół, otoczyliśmy rodzinę i zamknęliśmy w zadaszonej zagrodzie dla zwierząt, podczas gdy żołnierze kontynuowali przeszukiwanie terenu. Odkryli mundury, sprzęt i dokumenty należące do

tych dwóch młodzików - w tym dziennik starszego z nich, porucznika NVA - tego, którego dosięgło tak wiele naszych kul. Drugi mężczyzna był jego przybocznym.

Później dowiedzieliśmy się od rodziny, że porucznik był dowódcą plutonu na przepustce i odwiedzał właśnie swoją matkę, ojca, żonę i dzieci. Przybył do swej rodzinnej wioski ze wschodu, znad granicy z Kambodżą.

Podczas południowego posiłku na tarasie rodzinnego domu wspólnie z dowódcą kompanii przejrzelśmy dziennik i dokumenty porucznika. Wkrótce zaczął padać deszcz, schroniliśmy się więc pod okap z palmowych liści.

Dziennik zawierał fascynującą i niewiarygodnie drobiazgową relację z życia dowódcy plutonu. Zdało się, iż niczego nie pominął - od osobistych zapisków o żonie i dzieciach, poprzez pieniądze wydane na jedzenie dla żołnierzy, aż po fundusze na wynajęcie im prostytutek. Były tam fotografie z ceremonii ukończenia akademii wojskowej w Północnym Wietnamie i zdjęcia żony z dziećmi. Młody człowiek był idealistą, zaangażowanym w sprawę, równie oddanym swojej „wierze”, co my swojej - było to dość trzeźwiące odkrycie.

Czytając, poczułem naraz, że ktoś mnie obserwuje. Uniosłem wzrok. Cała rodzina stała w niemej, zszokowanej grupce, niczym zombi, gapiąc się na mnie przez kurtynę deszczu ściekającego ze słomianego dachu zagrody, w której ją zamknęliśmy. Choć zachowali właściwy wszystkim Wietnamczykom stoicki spokój, z ich spojrzeń można było wyczytać ciężkie oskarżenie.

Ta z pozoru bezsensowna, pomyłona wojna obfitowała w takie

oszałamiające i niepokojące sytuacje, wstrząsające moją pewnością siebie. Ta była jedną z najgorszych.

W lipcu Zinni awansował na kapitana. Wojna skróciła okres promocji.

### **Pomocnik rezerwowy**

Jako „pomocnik rezerwowy” doradców Zinni nigdzie nie zagrzewał długo miejsca. Oto jak wyglądały jego podróże w kolejności chronologicznej:

- od 3 do 21 kwietnia: Strefa Specjalna Rung Sat;
- od 24 kwietnia do 13 maja, od 20 czerwca do 10 sierpnia i od 8 listopada do 13 grudnia: II CTZ - operacja „Pershing”;
- od 15 do 19 maja, od 2 do 9 września i od 19 października do 15 listopada: CMD;
- od 24 do 31 maja: delta Mekongu;
- od 7 do 17 czerwca, od 11 sierpnia do 2 września i od 9 września do 10 października: III CTZ - dżungla;
- od 24 do 30 października: wypoczynek w Hongkongu;
- 13 grudnia: ewakuacja do Qui Non.

Pobyty Zinniego w II CTZ naznaczone były ciągłymi działaniami wojennymi, jednak czas spędzony w dżungli - w III CTZ - był nie mniej pamiętny.

Działał na tym terenie przez trzy okresy swojej służby: przez 10 dni w czerwcu (kiedy był jeszcze dość zielony) oraz przez większą część sierpnia i września. Obszar ten nazywano Ong Dong. Był to typowy las deszczowy, rzadko zaludniony, za to przepełniony różnorodnością egzotycznej flory i fauny - słoniami, tygrysami, wszelkimi rodzajami

kąśliwych owadów, jadowitymi wężami i innymi nieprzyjemnymi stworzeniami. Działania w dżungli były ćwiczeniami z survivalu, a nie tylko operacjami militarnymi, polegającymi na znalezieniu wroga. Zinni je uwielbiał. W dżungli przeżył najbardziej fascynujące chwile swego pobytu w Wietnamie.

Oddajmy mu głos:

Wchodząc do dżungli, wkraczasz do dziwnego, nowego świata - świata, który zdaje się być nietknięty przez ludzi... całkowicie obcy. Wszystko jest nieznane. Masz poczucie całkowitego braku pewności, co cię czeka. Niespodzianki trafiają się na każdym kroku. Mimo iż wyruszyłem tam w towarzystwie sprytnych i doświadczonych żołnierzy, stale czułem się, jakbym był sam jeden. Dżungla tak właśnie wpływa na człowieka - sprawia, że czuje się samotny.

Nasze działania znane były Amerykanom pod nazwą operacji „Billings”, zaś Wietnamczykom - pod nazwą „Song Than” i „Dong Nai”. Amerykańską jednostką stacjonującą na tym obszarze była 1. Dywizja Piechoty Stanów Zjednoczonych - „Czerwona Jedyńka”. Choć przeprowadziliśmy kilka operacji skoordynowanych z siłami amerykańskimi, dżungla była zbyt gęsta na działania na większą skalę. Trzeba było dosłownie wycinać sobie drogę przez pnącza i gęste listowie. Poruszało się bardzo wolno, na patrol wychodziło zazwyczaj małymi oddziałami - o rozmiarach drużyny, plutonu... co najwyżej kompanii. Podczas takich patroli biegli wietnamscy marines wiele mnie nauczyli o walce w dżungli, patrolowaniu, taktyce i przetrwaniu.

Celem operacji „Billings” było odizolowanie wroga poruszającego się szlakiem Ho Chi Minha, biegnącym przez Laos i Kambodżę, i

przenikającego przez góry i dżunglę do gęsto zaludnionych regionów wybrzeża. Właściwie to nie napotkaliśmy znaczących sił nieprzyjacielskich, wiedzieliśmy jednak, iż ukrywają się gdzieś w dżungli. Naszym zadaniem było wyszukiwanie oznak ich obecności, szlaków, obozów czy innych miejsc schronienia. Coraz to natrafialiśmy na opuszczone pozycje VC - często były to całe bunkry, ciągnące się tunelami pod gęstymi zaroślami bambusowymi, zapewniającymi naturalną osłonę.

Z powodu trudnego terenu wietnamskie dowództwo potrzebowało tam najlepszych oddziałów - czyli marines.

Naszą bazą operacyjną była położona na skraju dżungli wioseczka Tan Uyen. Stamtąd wyruszyliśmy kompanią w dżunglę na sześć-siedem dni, rozglądając się za nieprzyjaciółmi przemieszczającymi się na wschód od granicy z Kambodżą.

Skryci pod gęstą osłoną listowia, zdani byliśmy wyłącznie na siebie - nie mogliśmy liczyć na posiłki ani dostawy i mieliśmy ze sobą mało jedzenia. Nie posiadaliśmy racji żywnościowych, jak oddziały amerykańskie. Z wyjątkiem kilku kulek podgotowanego ryżu w małych aluminiowych puszkach, jednego czy dwóch kurcząt przywiązanych do plecaków (przeznaczonych do zabicia i zjedzenia w ciągu pierwszych dwóch dni) i odrobiny nouc mam - wietnamskiego sosu rybnego - jedliśmy tylko to, co sami zebraliśmy (jak owoce chlebowca czy pędy bambusa) lub zabiliśmy (jak małpy i węże).

Działający w dżungli marines wiedzieli, jaki zrobić użytek z materiałów, które znajdowali, by podnieść standard życia i zwiększyć bezpieczeństwo.

Od doświadczonych zwiadowców nauczyłem się, jak szybko

konstruować bambusowe platformy na sprzęt, jak rozmieszczać urządzenia alarmowe i pułapki wokół nocnej bazy oraz jak odczytywać pozostawione w dżungli ślady i znaki. Jednak najważniejszą nabytą umiejętnością było ograniczanie ciężaru noszonych rzeczy. Przed każdym patrolem odkrywałem nowe sposoby na odciążenie swojego bagażu i pozostawiałem kolejny niegdyś niezbędny element ekwipunku.

Na pierwszy patrol zabrałem ze sobą ciężki amerykański hamak do dżungli oraz „gumową damę”, czyli nadmuchiwany materac. Kiedy kładłem się spać, marines ostrzegali mnie, bym nie kładł się na ziemi.

- Rozwieś hamak na drzewie - radzili.

Uznałem to za kiepski pomysł.

- Nie powinniśmy spać na drzewach - odrzekłem. - Musimy być gotowi na wypadek ataku nieprzyjaciela.

Potrząsnęli tylko głowami i poszli spać na drzewa.

Na wszelki wypadek rozwiesiłem jednak hamak, ale zaległem na „gumowej damie”.

W środku nocy z materaca zeszło nagle powietrze, niczym z przebitej opony, a w moje ciało wbiła się setka żadeł. Oganiając się wściekle, wskoczyłem w hamak. Więcej nie trzeba mnie było przekonywać. Z czasem przeszywający ból zmaleł na tyle, że byłem w stanie zasnąć.

Następnego ranka cała moja skóra pokryta była czerwonymi bąblami od ukąszeń. Kiedy wystawiłem głowę z hamaka, ujrzałem swój materac... albo raczej to, co z niego zostało - łatkę wielkości około pół metra. Resztę pożarły tysiące mrówek.

A nie mówiliśmy - zdawało się oznajmiać spojrzenie marines.

Poradzili mi, bym pozbył się ciężkiego hamaka i wziął jeden z tych lekkich, nylonowych, których sami używali (a które dało się złożyć tak, by mieściły się w kieszeni). Tak też zrobiłem.

Umiejętności bojowe Wietnamczyków były imponujące.

Każda czynność wykonywana podczas patrolu była zgodna z ustaloną procedurą. Przed wyruszeniem w teren ćwiczyliśmy wszystko jeszcze raz - zakładanie bazy patrolowej, zdobywanie wody i jedzenia, wystawianie nocnych straży, przekraczanie obszarów niebezpiecznych, takich jak strumienie i polany, zastawianie pułapek... nawet korzystanie z latryn. Nic nie pozostawiano przypadkowi czy improwizacji. Nikt nie robił niczego sam. Jedynym zadaniem niektórych marines było stanie na straży, gdy inni szli po wodę lub zbierali pożywienie). Nikt też nie mógł robić niczego bez rozkazu. Kto postępował inaczej - robił to na własne ryzyko.

Na jednym z patroli straciliśmy nowego rekruta, który poszedł po wodę do pobliskiego strumienia, nim został wydany rozkaz. Udało nam się znaleźć tylko jego hełm, leżący nad brzegiem strumienia.

W dżungli musisz martwić się nie tylko wrogiem. Grozi ci wiele innych niebezpieczeństw. Pewnego ranka po przebudzeniu usłyszałem zagniewanego dowódcę kompanii, który ochrzaniał swoich ludzi za nocne naruszenie ochrony. Dziwne - można było polegać na czujności wietnamskich marines, zwłaszcza nocą. Kiedy spytałem go, o co chodzi, wskazał wielki parujący wzgórek odchodów na środku bazy - tygrys zrobił kupę.

Marines zaklinali się, że byli czujni. Wierzyłem im. Tygrys dostał się do obozu, nie uruchamiając żadnego z alarmów z bambusowymi kołatkami ani nie wchodząc na żadną z min kierunkowych, i nie został



wykryty przez strażę. Po tym incydencie nie spałem już zbyt mocnym snem.

Innego ranka obudziła mnie grupka marines zgromadzona wokół mego hamaka i z podnieceniem pokazująca sobie coś nad rozwieszoną nad nim pałatką. Odchyliłem pałatkę i ujrzałem gigantycznego węża zwiniętego na gałęzi metr nad moją głową - liczącego 4 metry pytona, z potężnym zgrubieniem pośrodku ciała. Widać niedawno się pożywił.

Dla Wietnamczyków wąż był na wagę złota. Szybko odcięli go, owinęli pogrążonego w letargu gada wokół prowizorycznej tyczki zrobionej z gałęzi i zaszyli mu paszczę skórzaną dratwą. Mimo iż wydawał się na wpół martwy, domyślałem się, że stan ten wywołał jedynie niedawny posiłek.

Marines zdecydowali, że powinniśmy zabrać węża z powrotem do wioski, bo zabijanie go i jedzenie w terenie byłoby marnowaniem pożywienia (żywność szybko się psuła i trzeba ją było spożywać wkrótce po zabiciu zwierzęcia). Do końca patrolu zostały trzy dni.

Im bliżej końca patrolu, tym bardziej aktywny stawał się wąż, zdołaliśmy jednak powrócić z nim do bazy, by cieszyć się wspaniałym posiłkiem.

Marines opuszczali obóz równie ostrożnie, jak go rozbijali. Starali się nie zostawiać żadnych śladów swej obecności. Zwijając bazę, drobiazgowo wszystko sprzątaaliśmy. Celem było zostawianie możliwie niewielu dowodów na nasze istnienie oraz upewnienie się, że żołnierze VC nie dostaną w swoje ręce niczego, czego mogliby użyć... w końcu wyrzuconą puszkę po racji żywnościowej w połączeniu z granatem można łatwo zmienić w minę pułapkę. Kilkakrotnie natrafialiśmy na obozy

opuszczone przez jednostki amerykańskie lub południowowietnamskie. Dobrze, że nasza strategia zakładała, iż nigdy nie zajmujemy pozycji, które zajmował ktoś przed nami - niemal zawsze były zaminowane przez wroga. Wietnamczyków złościła beztroska wojsk amerykańskich. W opuszczonych amerykańskich bazach pozostawiano miny kierunkowe i pełno wyrzuconego lub zapomnianego sprzętu.

Chociaż kontakt z wrogiem na patrolach w dżungli był rzadki, jednak czasem się zdarzał:

Podczas jednego z patroli przez kilka nocy z rzędu naszą bazę ostrzeliwano ogniem pośrednim. Na szczęście gęste listowie i trudny teren ocaliły nas przed stratami, wiedzieliśmy jednak, iż jest tylko kwestią czasu, kiedy przestanie nam dopisywać szczęście.

Jako że ogień pochodził z broni małokalibrowej i zawsze wycelowany był w nasze pozycje, musiał go nakierowywać ktoś z bliska. Znaczyło to, iż ktoś nas śledzi. Kolejnego dnia postanowiliśmy więc zastawić na tyłach pułapkę.

Nasz plan zakładał wyszukanie polanki (idealnej strefy zniszczeń) i przygotowanie zasadzki przez czujkę podczas przekraczania polany przez resztę patrolu. Po przejściu przez obszar zasadzki patrol miał pozostawić za sobą pododdział wzmacniający czujkę.

Plan zadziałał. Czterooosobowa grupa VC weszła w strefę zniszczenia w kilka minut po tym, jak nasz patrol niby to ją opuścił. Marines zabili trzech żołnierzy, ranili i pojmali czwartego. Choć jeńiec już przedtem był w kiepskiej kondycji i nie najlepszego zdrowia, udało nam się dowiedzieć od niego, iż czterech żołnierzy VC stanowiło grupę obserwacyjną, która śledziła oddziały patrolujące dżunglę i nakierowywała na nie ogień.

Jako że w regionie tym trudno było wziąć kogoś do niewoli, kwatera główna 3. Korpusu zażądała, by natychmiast sprowadzić im jeńca. Rozkazano nam zabezpieczyć strefę lądowania, ja zaś miałem zająć się dostarczeniem więźnia i sprzętu VC na tyły.

Kiedy nadleciał śmigłowiec, załadowałem na pokład jeńca ze sprzętem i odlecieliśmy tam, gdzie go potrzebowali. Dolecieliśmy do strefy lądowania w pobliżu jakichś budynków. Wokół zgromadziła się grupka oficerów i żołnierzy w odprasowanych mundurach i wypolerowanych butach. Kiedy śmigłowiec wylądował, chwyciłem żołnierza VC i sprzęt, zawlokłem go do miejsca, gdzie stali, i zrzuciłem im ładunek pod nogi. Byłem pewien, iż nigdy jeszcze nie znaleźli się tak blisko wroga. Popatrzyłem na te zszokowane twarze i wróciłem do śmigłowca. Pilotowi powiedziałem, aby od razu zabrał mnie do mojego oddziału. W drodze powrotnej zastanawiałem się, ilu z nich dostanie odznaczenia bojowe za pracę na tyłach. Rad byłem, że nie jestem jednym z nich.

Moje 24. urodziny obchodziłem podczas jednego z pobytów w dżungli - we wrześniu. Nie zaprzątałem sobie tym głowy, jednak tego dnia śmigłowiec zrzucił zaopatrzenie i od dawna oczekiwaną pocztę, którą trzeba było szybko przeczytać i zniszczyć.

W pakiecie z korespondencją znalazłem kopertę oznaczoną tylko moim nazwiskiem. Wewnątrz znajdowała się rozkładówka „Playboya” z nagą Miss Września leżącą w hamaku. Na marginesie rozkładówki były życzenia urodzinowe od doradców z kwatery głównej grupy operacyjnej, wraz z listą zatytułowaną 9 błędów taktycznych:

1. Brak osłony.

2. Odkryte flanki.
3. Brak krycia z góry.
4. Brak sondujących patroli.
5. Brak kontaktu z sojusznikami.
6. Nikogo na posterunku.
7. Niespodziewanie się ataku.
8. Wykorzystana rezerwa.
9. Podatność na penetrację.

Pokazałem rozkładówkę uradowanym wietnamskim marines, kiedy wieczorem rozwieszaliśmy hamaki. Wciąż ją mam - przypomina mi o tych drobiazgach, które podtrzymywały nas na duchu.

### **Bitwa o równinę Bong Son**

Bitwa, która stała się znana pod nazwą bitwy o równinę Bong Son w II CTZ, przez niektórych postrzegana jest jako pierwsza bitwa ofensywy Tet. Chociaż stoczono ją na miesiąc przed styczniowymi atakami na Tet, sygnalizowała ona zmianę nieprzyjacielskiej strategii.

Tony Zinni opowiada:

Zaczęło się dziwnie. Ostatnie miesiące 1967 roku były nadzwyczaj spokojne. Walki zdawały się ograniczać do trudno dostępnych obszarów południowego Wietnamu - miejsc takich jak Khe Sank czy dolina la Drang. Wielu z nas sądziło, że VC i NVA utraciły zdolność ataków na dużą skalę poza obszarami wzdłuż granic z Kambodżą i Laosem, w pobliżu swych baz i szlaków zaopatrzeniowych.

Rzecz jasna byliśmy w błędzie. Przygotowywano serię ataków, które stały się sławne pod nazwą ofensywy Tet. Jej celem były południowowietnamskie miasta. Dowództwo północnowietnamskie pod

wodzą generała Giapa uważało, iż jeśli w wyniku ataków zdawać się będzie, że wojska sprzymierzone tracą kontrolę nad sytuacją, wówczas lud powstanie, a wojna dobiegnie końca - tak jak kilka dekad wcześniej miało to miejsce z Francuzami.

Jednym z celów ataków było nadbrzeżne miasto Qui Nhon w II CTZ.

Pewnego ranka obserwator powietrzny podczas rutynowego lotu nad obszarem położonym na północ od miasta wypatrzył coś, co wyglądało jak polowa antena radiowa. Miejskowa dywizja ARVN wysłała patrol, by to sprawdził. Przepadł bez wieści. Wysłana do tego obszaru kompania natrafiła na duże zgrupowanie sił VC i została unicestwiona.

Wydarzenia te zapoczątkowały ogromną operację wojskową połączonych sił amerykańskich i południowowietnamskich. Nastąpiły zażarte walki. Wojska sprzymierzone poniosły ogromne straty. Nasza złożona z dwóch batalionów grupa operacyjna wietnamskich marines została postawiona w stan gotowości i wysłana jako rezerwa do II CTZ, gdzie rozgorzała bitwa.

W owym czasie znów towarzyszyłem 4. Batalionowi. Jego dawny dowódca, major Tri, wyjechał na przeszkolenie do Stanów. Nowym dowódcą został jego zastępca, major Voung. Jego zastępcą z kolei - kapitan Kinh, barwna postać, ciesząca się ogromnym poważaniem - stary wojownik, który szczycił się równie wielką liczbą ran, co żon. Bob Hamilton był teraz starszym doradcą, ja zaś zajmowałem stanowisko młodszego. Staraliśmy się śledzić rozgrywającą się bitwę, nie mieliśmy jednak pojęcia, jak poważna jest sytuacja - aż nadeszły rozkazy rzucenia nas (czyli odwodów) w wir walki.

Kiedy batalion przygotowywał się do wyruszenia, na odprawie

pojawił się doradca z grupy operacyjnej i kilku oficerów z kwatery głównej Korpusu.

- Sytuacja wygląda źle - oznajmili. - Dywizja ARVN jest w katastrofalnym stanie. Oddziały amerykańskie z 1. Dywizji Kawalerii również poniosły dotkliwe straty. Musicie jak najszybciej wzmocnić je posiłkami.

Batalion nasz zaplanowano przewieźć śmigłowcami w dwóch rzutach bezpośrednio na pozycje ARVN. Miałem polecieć z kapitanem Kinhem i dwiema kompaniami w charakterze czujki. Następnie śmigłowce miały przerzucić pozostałą część batalionu. Drugi batalion wraz z dowództwem grupy operacyjnej pojechałby ciężarówkami autostradą nr 1 i dołączył do naszego. Grupa miała znaleźć się pod kontrolą operacyjną 22. Dywizji ARVN, która toczyła bitwę.

Nie było jasne, co mamy zrobić po wylądowaniu. Napawało nas to pewnym niepokojem. Walka była zążarta, a nasza misja niejasna. Mieliśmy wrażenie, że nikt nie orientuje się dobrze, co się dzieje, pozostało nam więc samodzielnie nawiązać kontakt z oddziałami na miejscu i wypracować jakiś schemat działania.

Z odprawy i map wynikało, iż VC opanował grupę wiosek, podczas gdy ARVN i siły amerykańskie rozłożyły się na wzniesieniach nad nimi. Bitwa toczyła się od wielu dni, z udziałem znacznych sił lotnictwa i artylerii. Nastąpiło też kilka niepomysłnych ataków naziemnych, przeprowadzonych przez oddziały, do których mieliśmy dołączyć.

Dobrze znałem te wioski z poprzednich operacji. Były to zakątki piękne - o scenerii jak z obrazka, z krytymi słomą domami, palmami i ryżowiskami - i zasobne (dzięki produkcji wina ryżowego). Ich

mieszkańcom dobrze się żyło.

Miło wspominałem spędzony tam czas i poznanych tam ludzi. Z niepokojem myślałem o chwili, gdy zobaczę skutki walk.

Spotkałem się z kapitanem Kinhem w strefie lądowania, gdy oczekiwaliśmy na śmigłowce. Miałem podawać koordynaty pilotom i chciałem mieć pewność, że będziemy gotowi na walki w strefie lądowania, gdyby sytuacja uległa pogorszeniu. Nie byłem przekonany, czy na odprawie przedstawiono nam pełny obraz warunków na miejscu.

Z radością spostrzegłem, że mój najlepszy wietnamski przyjaciel kapitan Hoa, wraz ze swoją kompanią dołączy do czujki. Druga kompania również składała się z doborowych żołnierzy. Przebywanie w otoczeniu tak doświadczonych wojowników dodawało mi pewności siebie. Wszyscy jednak wydawali się ponurzy - mieliśmy złe przeczucia co do tej misji.

Wreszcie śmigłowce wylądowały. Po odprawie odlecieliśmy na północ, zastanawiając się, co nas tam czeka.

Kiedy helikoptery zaczęły podejście do lądowania, wyjrzałem z kabiny, by szybko ocenić sytuację na dole.

- Brak oznak nieprzyjacielskiego ognia - oznajmił mi pilot.

Widziałem jednak pobojuwisko po zaciętych walkach. Wioski, niegdyś tak malownicze, były całkowicie zdewastowane. Na widok terenu, na którym rozlokowały się oddziały ARVN, wyglądającego niczym powierzchnia księżyca - usianego kraterami po pociskach i pozbawionego roślinności - przez głowę przemknął mi obraz niedawnego piękna i spokoju tego miejsca.

Kiedy śmigłowce powoli opadły na ziemię, ujrzeliśmy kolejny niepokojący widok. Ku samolotom biegli spanikowani żołnierze ARVN.

Wielu z nich po drodze porzucało broń i sprzęt. Kilku oficerów bez większego przekonania próbowało ich stopować, nie mogli jednak powstrzymać owczego pędu. Tymczasem piloci nie ukrywali niezadowolenia z zagrożenia dla bezpieczeństwa, jakie stwarzają uciekinierzy.

Kiedy wysiadaliśmy z helikopterów i szybko zajmowaliśmy pozycje obronne wokół strefy lądowania, nasi marines z niesmakiem przyglądali się żołnierzom ARVN. Natychmiast zaniepokoiłem się - tak jak i kapitan Kinh - że VC może zobaczyć ten zamęt i wykorzystać okazję do ataku.

Śmigłowce odleciały z żołnierzami ARVN uczepionymi płóz. Sfrustrowane załogi helikopterów przestały spychać przerażonych wojaków. Stało się oczywiste, iż oddział ARVN był pobity i będzie bezużyteczny w jakiegokolwiek nadchodzącej bitwie.

Kinh, Hoa i ja rozglądaliśmy się z niedowierzaniem. Nasze ponure miny odzwierciedlały także twarze pozostałych marines.

Kinh polecił dowódcom kompanii szybko zająć pozycję, przygotować się do obrony strefy w czasie kolejnych lądowań i nie polegać w kwestii bezpieczeństwa na stacjonujących już tutaj jednostkach. Następnie powiedział, bym do niego dołączył.

- Spróbujmy znaleźć jakiegoś dowódcę - zdecydował.

Dziwne, że jak dotąd nie podszedł do nas żaden oficer.

Obeszliśmy wiele stanowisk, aż w końcu natrafiliśmy na głęboki dół z wystającymi antenami radiowymi. Ku mojemu zaskoczeniu siedział w nim generał brygady ARVN. Kiedy zdał sobie sprawę z naszej obecności, wyskoczył z dołu i zaczął wydzierać się na Kinha. Był tak przerażony, iż trudno było go zrozumieć. Najwyraźniej stracił panowanie nad sobą.



Sednem sprawy był jednak rozkaz do ataku, jaki wydał Kinhowi.

Kinh nawrzeszczał na niego w odpowiedzi.

- Zaatakujemy - oznajmił - ale biorąc pod uwagę siły wroga, powinniśmy poczekać, aż reszta batalionu, a jeszcze lepiej oba bataliony marines, znajdą się na ziemi.

Generał nie przestawał krzyczeć.

- Nie, musicie atakować teraz! Musicie atakować teraz!

Kinh spoglądał na niego z tak absolutną pogardą, iż obawiałem się, że zaraz go walnie.

Zdecydowałem się odpuścić sobie tę konfrontację. Nie chciałem patrzeć, jak tych dwóch wietnamskich dowódców wrzeszczy na siebie. Moim zadaniem było robić, co w mojej mocy, by pomóc Kinhowi i marines. Wiedziałem, że w pobliżu znajdują się oddziały amerykańskie. Chciałem się z nimi skontaktować, by dowiedzieć się, czy możemy się połączyć. Poza tym trzeba było sprawdzić, kiedy przybędzie reszta batalionu.

Najpierw jednak spiknąłem się z Hoa. Poinformował mnie, że oddziały na flankach jego kompanii donoszą, iż niedaleko stąd znajdują się amerykańskie transportery opancerzone (należące do oddziału amerykańskiego, z którym chciałem się połączyć). Poszliśmy, aby przyrzeć się temu z bliska. Kiedy dotarliśmy na miejsce, na spotkanie wyszli nam amerykańscy żołnierze. Na ich czele szedł kapitan, którego kompania jakiś tydzień temu stacjonowała na tych samych pozycjach, co jeden z naszych oddziałów. Był dobrym oficerem. Ucieszyłem się, że w końcu natrafiłem na coś pozytywnego w całym tym burdelu.

Kiedy już się przywitaliśmy, oznajmił mi, że jego zmechanizowana

kompania piechoty wspierała regiment ARVN, poniosła jednak pewne straty, w tym kilka transporterów opancerzonych M-113, w daremnych atakach pod kiepskim dowództwem ARVN. Podczas ataków piechota ARVN trzymała się z tyłu, a następnie zbiegła, wystawiając ich tyły na działanie „pajęcznych pułapek” VC - były to zakamuflowane dziury w ziemi, z których wyskakiwali żołnierze, by zaatakować jednostki, które właśnie ich minęły. W tym przypadku żołnierze VC wyposażeni byli w ręczne granatniki przeciwpancerne, z których ostrzeliwali tyły M-113.

Naraz rozłożeni za naszymi plecami marines zaczęli zbierać sprzęt, szykując się do wyruszenia w teren. Hoa potwierdził przez radio rozkaz wymarszu.

Wydawało się to szaleństwem. VC okopał się na silnych pozycjach na skraju wioski pod nami. Oddziały wroga były liczne i w dobrej kondycji (jak sądziliśmy), podczas gdy my jeszcze nie zebraliśmy pełnych sił. Cała nasza trójka pośpieszyła do Kinha, by się dowiedzieć, co się dzieje.

Kinh był wściekły. Generał ARVN upierał się przy rozkazie do ataku na okopanych żołnierzy.

- To szaleństwo - oświadczyłem Kinhowi. Wszystkie dotychczasowe ataki powietrzne, artyleryjskie i naziemne nie zdołały przełamać obrony VC. Dla dwóch lekkich kompanii piechoty to będzie rzeź.

- Masz rację - przyznał, wzruszając gniewnie ramionami. Nie mógł jednak nic zrobić. Spojrzał na mnie ze smutkiem. - Nie chcę, byś uczestniczył w tym ataku - oznajmił.

Spojrzałem na tego człowieka. Zawsze podziwiałem jego bojowego ducha.

- Na tym wzgórzu nie ma niczego, dla czego warto by zostać -  
odparłem. - Chcę być z naszymi marines.

Uśmiechnął się.

Wtedy kapitan oddziałów amerykańskich wtrącił swoje trzy grosze.

- jeśli zaatakujecie - powiedział - moja kompania idzie z wami.  
Zgadzam się z porucznikiem. Tu nie ma niczego wartego zachodu.

Kinh znów się uśmiechnął.

Szybko skoordynowaliśmy plany i przygotowaliśmy atak. Kiedy  
odeszliśmy na bok, kapitan poprosił mnie, bym upewnił się, że tym razem  
Wietnamczycy pójdą pierwsi.

Usłyszał to Hoa. Nim zdołałem odpowiedzieć, wepchnął się między  
nas, z twarzą o centymetry od twarzy kapitana.

- Jesteśmy marines - oznajmił. - Zawsze będziemy pierwsi.

Kapitan uśmiechnął się do mnie.

- Podoba mi się ten gość - oświadczył\*[\* Ten wspaniały kapitan  
zginął potem w akcji.].

Po wydaniu rozkazów i skoordynowaniu ataku sformowaliśmy szyk i  
wyruszyliśmy.

Miło byłoby przed uderzeniem na pozycje VC nakierować na nie  
ataki z powietrza, ale tym razem nie mieliśmy tyle szczęścia. Na miejscu  
stacjonowały skromne siły powietrzne, nie mogliśmy im jednak  
wyznaczyć celów! Wiedzieliśmy, że pozycje VC znajdują się u stóp  
naszego wzgórza i dalej, na skraju kompleksu wiosek, nie widzieliśmy  
jednak żadnych śladów nieprzyjaciół. Jako że byli oni mistrzami  
kamouflażu, o niczym to jednak nie świadczyło.

Okazało się, że nasze obawy były bezpodstawne.

Kiedy zbliżyliśmy się do stóp wzgórza, oczekiwałem ciężkiego ostrzału, ale powitały nas tylko sporadyczne wystrzały z lekkiej broni. Czujka odpowiedziała ogniem.

W kilka chwil później dotarliśmy do pozycji VC. Wciąż nie napotkaliśmy poważnego oporu. Nieprzyjaciele wycofywali się! W ogóle nie zamierzali walczyć. Ostrzał z broni pochodził najwyraźniej od ich straży tylnej, usiłującej nas opóźnić i osłonić odwrót.

W tym momencie mogliśmy założyć trzy rzeczy: że nie obserwowali chaosu, jaki panował w szeregach ARVN, że widok lądujących śmigłowców przekonał ich o przybyciu posiłków i że nie byli w stanie przetrzymać kolejnego ataku ze strony świeżych oddziałów.

Krótko potem założenia te okazały się trafne. Wrogowie ponieśli większe straty, niż początkowo sądziliśmy: nasi marines odkryli za nieprzyjacielskimi pozycjami masowe groby - ogromne jamy zawierające całe stosy ciał, pośpiesznie okryte palmowymi liśćmi. Według naszych szacunków jeden z nich mieścił nawet 80 ciał, pozostałe zaś jakieś 10 lub 20 każdy. Potem dowiedziałem się, iż przed przybyciem marines w ogromnej bitwie poległo łącznie 650 żołnierzy VC.

Tymczasem ja połączyłem się już z kwaterą główną grupy operacyjnej, by zameldować o naszym położeniu. Mimo że Kinh chciał zachować ostrożność wobec potencjalnie dużych sił wroga, był agresywnym dowódcą i zamierzał zarządzić szybki wymarsz, by dopaść wycofujące się wojska.

Jako że mieliśmy szansę na pojmanie większej liczby wrogów, odpowiedź dowództwa była wręcz niewiarygodna.

- Dowództwo Korpusu chce, żebyście policzyli ciała w dołach -

oznajmiono mi.

Amerykanie mieli fioła na punkcie liczby zabitych. Jakiś popieprzony menedżer umyślił sobie, że to najlepszy sposób na „statystyczny” pomiar sukcesu na polu bitwy. Było to bez sensu. Liczenie ciał to zawsze szaleństwo, ale w tym przypadku było to szaleństwo zwielokrotnione: wiele z tych trupów leżało w dołach przez całe dni - upał sprawił, iż smród rozkładu był nie do zniesienia. Jednak, co istotniejsze, nasze wojsko gotowe było do wymarszu. Przed nami był nieprzyjaciel - w odwrocie, podatny na atak!

Przekazałem Kinhowi rozkazy dowództwa korpusu.

- Nie liczymy ciał - oznajmił cicho i wydał rozkaz wymarszu.

W pełni mi to odpowiadało. Z radością powiadomiłem kwaterę główną, że tego nie zrobimy. Mieli mi to za złe, jednak będąc w Wietnamie od 10 miesięcy, przyzwyczałem się już do posyłania do wszystkich diabłów gości kiszących się na tyłach.

Wkrótce potem wkroczyliśmy między ruiny wioski, którą tak dobrze zapamiętałem. Ta niesamowita scena już zawsze będzie mnie prześladować. Z pięknej niegdyś osady zostały jedynie gruzy: domy wysadzone w powietrze, pnie palm połamane i poskręcane. W powietrzu unosił się silny odór trupów ludzi i zwierząt, zaś szara mgła ścieląca się nad całym obszarem na poziomie drzew ograniczała widoczność do kilkudziesięciu metrów. (Wydaje się, że jej źródłem był pył wzniecony przez bomby i pociski).

Upiorna scena przeraziła marines. Nie wystraszył ich VC, jednak ich przesądna natura sugerowała im, że to złe miejsce.

Wolno przeszliśmy przez spustoszoną wieś, wpatrując się uporczywie w mgłę. W pewnym momencie zauważyliśmy duży kawał jakiegoś zwierzęcia zwieszający się z drzewa - był to strzęp bawołu błotnego, rozerwanego przez wybuch. Jeszcze później natrafiliśmy na ciało mężczyzny z twarzą jasnoszarego koloru i odstrzelonym czubkiem głowy. Patrzyliśmy na niego, gdy naraz przeraził nas nagły ruch - to wąż wypełził z rozłupanej czaszki.

Dla wietnamskich żołnierzy był to z pewnością zły omen.

Parliśmy do przodu, coraz bardziej zdenerwowani.

Nieco później dojrzałem we mgle stojącą bez ruchu postać. Marines też ją zauważyli. Przyszykowali broń. Postać pozostała nieruchoma. Kiedy się zbliżyliśmy, zorientowaliśmy się, że jest to mały chłopiec. Zamarł ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dali, całkowicie nieświadomy naszej obecności. Podeszliśmy do niego, a jeden z marines wziął go za rękę i zabrał z nami, wciąż milczącego.

Przez następnych kilka dni\*[\* Reszta batalionu marines dołączyła do nas pod koniec pierwszego dnia.] dane nam było zobaczyć o wiele więcej równie przerażających scen.

Chociaż zdarzało nam się nawiązywać kontakt z wrogiem, VC nie był zainteresowany walką. Oddawali tylko po kilka strzałów, by spowolnić nasz marsz. Kosztowało nas to paru rannych, jednak ich obrażenia nie były poważne.

Podczas jednej z takich strzelanin oficer, który leżał koło mnie, został postrzelony nabojem, który wszedł zaledwie na 2 centymetry w biodro - co dowodziło, że nieprzyjaciel strzelał do nas z dużej odległości,

w desperackiej nadziei odepchnięcia nas od siebie. Oficer sam z łatwością wydobył pocisk z rany.

Z czasem zaczęły do nas docierać raporty wywiadu z przesłuchań jeńców oraz doniesień wieśniaków, którzy zbiegli z pola bitwy. Ścigane przez nas siły nieprzyjaciela zidentyfikowano jako 22. Regiment NVA, wzmocniony miejscowymi pododdziałami VC. Niezłe pokiereszowany, został w końcu odcięty przez inne oddziały amerykańskie i południowowietnamskie i poniósł kolejne straty podczas ucieczki w kierunku wzgórz na zachodzie.

Według niektórych raportów dowódcą NVA była kobieta, jednak nigdy nie zostało to potwierdzone. Często otrzymywaliśmy równie szalone raporty: widziano, jak dowódca dosiada białego konia, lub utrzymywano, że jest Chińczykiem lub Rosjaninem. Ten raport zaliczyłem do tej samej kategorii.

Nasza misja zakończyła się z chwilą osiągnięcia autostrady nr 1, stanowiącej zachodnią granicę przydzielonej nam strefy działań, teraz oczyszczonej z wrogów. Uciekający na zachód nieprzyjaciel znalazł się w strefie działania innych jednostek. Mieliśmy kilku rannych i szereg jeńców, jednak ogólnie rzecz biorąc, starcia były o wiele lżejsze, niż oczekiwaliśmy. Żołnierze byli wyczerpani kilkudniowym marszem i walkami, ale jeszcze bardziej potwornymi widokami po drodze. Chłopczyk, którego znaleźliśmy, pozostał z nami, marines zaopiekowali się nim. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Zostawiliśmy go potem pod opieką mieszkających przy autostradzie cywilów, którzy go znali.

Przez większą część swej długości autostrada nr 1 - jako główna

południowowietnamska arteria komunikacyjna - stanowiła swego rodzaju pasaż handlowy, z ciągnącymi się wzdłuż niej małymi sklepami, kafejkami, straganami i restauracjami. W normalnych okolicznościach na autostradzie panował duży ruch, teraz jednak został on zatamowany przez tłumy uchodźców, uciekających przed walkami. Wielu z nich było rannych.

Kiedy ruszyliśmy na południe wzdłuż autostrady, natknęliśmy się na jednostkę zmechanizowaną ARVN. Stacjonowała ona w na wpół zniszczonej stacji kolejowej, a jej żołnierze nie wyglądali na kogoś, kto brał udział w walce. Kiedy nasi marines ich dostrzegli, wyczułem jakąś animozję, jednak nie zaprzątałem sobie tym głowy.

Tymczasem dowiedzieliśmy się, iż wysłano po nas ciężarówki, które zabiorą nas z powrotem do naszych baz na południu. Jako że nikt nie wiedział, kiedy dokładnie przyjadą, dowódcy zdecydowali się pozwolić żołnierzom skorzystać z kafejek i straganów z żywnością - skoro okoliczności pozwalały na odrobinę wytchnienia. Hoa zaprosił mnie na zupę z kluskami i piwo. Brzmiało obiecująco.

Siedzieliśmy w knajpce, kiedy zauważyliśmy marines w rynsztunku bojowym, poruszających się ukradkiem, jakby podchodzili wroga. Z zaciekawieniem podeszliśmy do drzwi, by zobaczyć, co jest grane. Kinh dowodził marines, rozmieszczając ich na pozycjach do ataku.

- Kinh - zawołałem - co się dzieje? - jednak on zignorował mnie.

Nagle ulica eksplodowała ogniem.

Hoa i ja zanurkowaliśmy w głąb knajpki. Chwyciłem za radio, aby dowiedzieć się, o co chodzi. Właściciel uparcie wskazywał nam wejście do rodzinnego bunkra, jaki wybudował pod podłogą.



- Nie, nie, idź sam - powiedziałem. My musieliśmy spróbować wyjaśnić, co się tutaj dzieje.

Kiedy skontaktowałem się z Bobem Hamiltonem, powiedział mi, że marines wydają się z rozmysłem atakować drugi oddział południowowietnamski. Z mojego punktu obserwacyjnego sam dojrzałem, iż strzelają do żołnierzy z jednostki zmechanizowanej ARVN, których spotkaliśmy wcześniej. Ogień nasilał się, wszędzie wokół latały pociski. Znaleźliśmy się w samym środku starcia dwóch jednostek!

W radio usłyszałem wielce ożywiony głos starszego doradcy grupy operacyjnej.

- Mam połączenie z doradcą amerykańskim jednostki ARVN - zakomunikował mi.

- Zrozumiałem - odparłem.

- Musimy doprowadzić do tego, żeby nasi żołnierze przestali walczyć w obszarze zabudowanym - ciągnął.

- Wyjdę na ulicę i spróbuję to zrobić - oznajmiłem.

Pomyślałem, że jeśli obie strony zobaczą mój mundur, to może się powstrzymają.

- Idę z tobą - oznajmił Hoa.

Przekazałem to starszemu doradcy.

Połączyłem się też z doradcą jednostki ARVN. Kiedy jednak odparował, że nie płacą mu za powstrzymywanie walk między swoimi i odmówił wyjścia z bunkra, doszedłem do wniosku, iż kłótnia z nim nic mi nie da. Miałem ważniejsze rzeczy do roboty.

Kiedy znów wyjrzelismy na ulicę, zorientowaliśmy się, iż wiele przelatujących pocisków miało kaliber 50 milimetrów - pochodziły więc z

transporterów opancerzonych ARVN. Marines natomiast używali strzelb bezodrzutowych. Pociski z broni ciężkiej przelatywały w tę i we w tę. Spojrzeliśmy na siebie, wzruszyliśmy ramionami, po czym powoli wyszliśmy na ulicę, krzycząc po wietnamsku:

- Wstrzymać ogień!

Kiedy dotarliśmy na środek ulicy i żołnierze po obu stronach zorientowali się, kim jesteśmy, otrzeźwiali trochę i ostrzał osłabł... choć wcześniej kilka pocisków kalibru 50 milimetrów zdążyło śmignąć mi koło ucha. W tym momencie podbiegł do nas żołnierz z jednostki ARVN. Był to czarny sierżant sztabowy armii amerykańskiej, jeden z doradców.

- Sprzątałem właśnie, gdy usłyszałem strzały - oznajmił. - Przybiegłem tak szybko, jak tylko mogłem.

Kiedy powtórzyłem mu odpowiedź jego szefa, przewrócił oczami.

- Typowe! - orzekł.

Rozeszliśmy się następnie do swoich oddziałów, krzycząc, by przestali strzelać. Po kilku minutach strzały wreszcie umilkły.

Napięcie jednak pozostało. W końcu jeepami zajechali z piskiem opon major Voung wraz z innymi wietnamskimi oficerami (oraz z Bobem Hamiltonem). Ruszyli ku stacji kolejowej. W kilka chwil później wylądował śmigłowiec. Wysiadł z niego wietnamski generał dywizji, który dołączył do reszty dowódców. Najwyraźniej wysłano go, by uprzątnął ten bałagan i rozdzielił walczące jednostki. Minął nas major Voung. Tak rozzłoszczonego nigdy jeszcze go nie widziałem.

Zaczekaliśmy, by usłyszeć, co też tam w środku zadecydują. Dyskusja była najwyraźniej gorąca, a rozmówcy często krzyczeli na siebie.

Tymczasem Hoa znalazł chwilę, by wyjaśnić, co się dzieje.

- Od dawna nienawidzimy tych gości - oznajmił. - Wiele lat temu ci z ARVN spieprzyli z pola bitwy, zostawiając nas na pastwę wroga. Na ich widok odżyły dawne uczucia i kilku żołnierzy wdało się w bijatykę, która przerodziła się w ten burdel.

W kilka chwil później wyczułem, że zbliża się rozstrzygnięcie. Kinh rozkazał żołnierzom z naszego batalionu otoczyć stację. Kiedy to zrobili, wkroczył do środka i wyszeptał coś do majora Vounga. Ten natychmiast przerwał rozmowy.

- Stacja jest otoczona - zakomunikował. - Marines zaatakują, jeśli nie przekazemy im dowódcy ARVN i jego zastępcy w celu egzekucji.

Generał dywizji nie mógł oczywiście do tego dopuścić. Sytuacja jednak niemal wymknęła mu się spod kontroli. Kinh chciał atakować. Jednak Voung zachował zdrowy rozsądek. Po długich deliberacjach udało się go przekonać do wycofania.

Sytuację poprawiło przybycie ciężarówek. Żołnierze chcieli jak najszybciej powrócić do baz. Tak więc wsiedliśmy na skrzynie i - ku mojej ogromnej uldze - odjechaliśmy. Przybyliśmy na miejsce późno w nocy, a ja spałem do późnego ranka.

Po śniadaniu dołączyłem do siedzącego w swoim bunkrze Boba Hamiltona. Oznajmił mi, że zgłosił mnie do odznaczenia Medalem Marynarki Wojennej i Korpusu Piechoty Morskiej (przyznawanym za bohaterstwo poza polem bitwy, najczęściej za ratowanie życia).

- Dzięki - odparłem. - Doceniam to. Ale powinienesz też przedstawić tego sierżanta sztabowego do odznaczenia Medalem Żołnierza\*[\* Odpowiednik dla wojsk lądowych.]

- Zajmę się tym - powiedział, kiedy opisałem mu całe zajście.

Choć medalu nigdy nie dostałem, w kilka miesięcy po wyjeździe z Wietnamu otrzymałem list od pułkownika armii amerykańskiej, starszego doradcy 22. Dywizji ARVN. „Pańska błyskawiczna interwencja podczas tego wydarzenia - brzmiał ostatni akapit - zapobiegła sytuacji, która mogłaby okazać się niezmiernie kłopotliwa dla rządu Wietnamu”.

Stało się jasne, iż dowództwo chciało ukryć całe zajście, nie nadając mu rozgłosu przez przyznawanie odznaczeń. Mnie tam było wszystko jedno.

### **Medevac po raz pierwszy**

W 10 miesiącu swej rocznej służby Zinni przebywał z 4. Batalionem, prowadzącym działania na terenie odległych, porośniętych bujną roślinnością wzgórz w pobliżu Wyżyny Centralnej w 2CTZ. To było dobre 10 miesięcy - zastanawiał się, czy nie przedłużyć służby o kolejne sześć.

Wciągnął go ten konflikt. Stał się całym jego życiem. Wiedział, że tu jest jego miejsce; wiedział, dlaczego tu jest i co robi... i był absolutnie pewny swego. Wiedział, że potrafi sobie poradzić podczas wymiany ognia i w każdej innej sytuacji taktycznej, w jakiej się może znaleźć. Zżył się z wietnamskimi marines. Stali się jego najlepszymi kumplami. Wielu z nich zginęło na jego oczach.

- Tam był sens mojego istnienia - tłumaczy.

Były jednak i złe strony, czuł się coraz gorzej. Odcisnęły na nim swoje piętno trudy nieprzerwanych operacji na polu bitwy. Mimo że inni doradcy zwracali uwagę, jak bardzo stracił na wadze - jakieś 18 kilogramów (a nigdy nie należał do wielkoludów) - on sam nie zwracał sobie tym głowy. W końcu wszyscy tracili na wadze. Jego jednak gnębiło

jakieś choróbsko, którego nie mógł przezwyciężyć. Wszyscy doradcy miewali napady czerwonki, ale w jego przypadku ostatni atak choroby jakoś nie chciał się skończyć. Jego mocz przybrał barwę czarnej kawy, skóra mu pożółkła, miał trudności z zasypianiem i problemy z jedzeniem (czegokolwiek by spróbował, wywoływało nudności). Z każdym dniem stawał się coraz słabszy. Trzeba było coś z tym zrobić. Ale co? Chciał wytrzymać do czasu, gdy odwołają go na tyły, wiedział jednak, iż musi odwiedzić amerykańskiego lekarza (wietnamski zalecił mu tylko zastrzyki, które w niczym nie pomogły). Sądził, że amerykański doktor znajdzie lepsze lekarstwo i szybciej postawi go na nogi.

Pewnego dnia jego patrol przechodził w pobliżu wysuniętej bazy logistycznej wojsk amerykańskich, ulokowanej na szczycie jednego ze wzgórz (co ułatwiało obronę i wsparcie lotnicze żołnierzy na polu bitwy).

- Chciałbym wspiąć się do bazy po lekarstwa - powiedział Zinni dowódcy patrolu.

- Ruszajmy - przystał tamten.

- Kto idzie? - spytał jeden ze strażników, gdy zbliżyli się do pozycji na szczycie wzgórza.

- Jestem amerykańskim marine - oznajmił Zinni.

Nie dowierzali. W końcu towarzyszyli mu wietnamscy marines, miał na sobie ich mundur w tygrysie pasy i zielony beret, a w dłoni M3A1. Jako że Amerykanie nie wiedzieli, że na ich terenie stacjonują marines i nie byli świadomi roli doradców, zdecydowali, iż nie będą ryzykować. Nie kazali marines zdawać broni, ale też nie mieli zamiaru witać ich po przyjacielsku.

- Chcę odwiedzić lekarza - powiedział im Zinni.

Skontaktowali się ze swoim oficerem, który powiedział, że mogą

zabrać go stanowiska pomocy medycznej - ale tylko pod strażą. Tak też zrobili. Kiedy zbliżali się do szpitala polowego, ktoś wrzasnął do Zinniego.

- Stój. Nie ruszaj się z miejsca.

Z namiotu wyszedł lekarz wojskowy w stopniu kapitana. W rękę trzymał butelkę, którą podał Zinniemu ze słowami:

- Nasikaj do niej.

Kiedy do fiolki spłynął czarny strumień uryny, lekarz orzekł:

- Nie wiem, kim czy czym tam jesteś, ale jeśli jesteś Amerykaninem, to twoja służba tu się kończy. Ewakuujemy cię.

- Nie mogę odejść - zaprotestował Zinni. - Daj mi jakieś prochy i wszystko będzie dobrze.

Doktor obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Słuchaj - powiedział - jeśli szybko nie znajdziesz się w szpitalu, możesz umrzeć.

To do niego przemówiło.

Kiedy lekarz zajmował się organizacją ewakuacji helikopterem do szpitala wojsk amerykańskich w Qui Nhon, Zinni skontaktował się z kwaterą główną grupy operacyjnej, by opowiedzieć im, co się dzieje. Następnie przekazał swój sprzęt kapitanowi wietnamskich marines dowodzącemu patrolu.

- Niedługo wrócę - oznajmił mu Zinni, kiedy śmigłowiec podchodził do lądowania w pobliżu stanowiska pomocy medycznej.

Kiedy przybył do szpitala w Qui Nhon, natychmiast poddano go serii badań. Wreszcie zawiodła go siła woli i ciało poddało się chorobie. Nie mógł nic jeść. Na sam widok jedzenia robiło mu się niedobrze. Opuściła

go ta resztkę sił, która pozwalała mu funkcjonować na polu bitwy. Nie miał nawet siły wstać z łóżka.

Lekarz przyniósł wyniki badań.

- Ważysz 56 kilogramów - poinformował Zinniego. - Masz zaawansowaną żółtaczkę, czerwonkę, mononukleozę i prawdopodobnie chorujesz na malarię. Dobra wiadomość jest taka - ciągnął - że wszystko to wymaga takiej samej terapii: musisz dużo wypoczywać i jeść, nawet gdybyś miał wmuszać w siebie posiłki.

Podłączyli go pod kroplówkę, aby przywrócić mu siły. Otrzymywał sześć posiłków dziennie. Stale podawano mu smaczne cheeseburgery, frytki i koktajle mleczne, jednak utrzymanie w żołądku więcej niż kilku kęsów graniczyło z niemożliwością.

Tony Zinni był teraz bardzo nieszczęśliwym młodym marine. Rozpaczliwie pragnął wrócić do jednostki doradczej. Wylegiwanie się w szpitalnym łóżku nie było jego ulubionym sposobem spędzania czasu.

Poprawiało mu się zdrowie, ale nie nastrój. Cóż, zobaczymy, na co mnie stać, powiedział sobie i spróbował zrobić kilka pompek. Zemdlał po trzech.

Jednak największy cios nadszedł kilka dni później.

- Zostaniesz ewakuowany do szpitala marynarki wojennej w Guam - oznajmił mu doktor - a stamtąd do Stanów.

Wtedy zrozumiał, że już nie wróci do doradców.

Samolot ewakuacyjny sił powietrznych zabrał Zinniego wraz z innymi chorymi do Bazy Sił Lotniczych Clarka na Filipinach. Tam zastało go Boże Narodzenie. Kolejny samolot przewiózł go do Guam, gdzie spędził kolejne kilka tygodni, odzyskując siły przed powrotem do Stanów

Zjednoczonych.

Pobyty w Guam był jeszcze trudniejszy do zniesienia od pobytu w Qui Nhon. Choć personel był troskliwy, Zinni czuł się odizolowany od świata - był jedynym pacjentem na oddziale dla oficerów. Jego morale jeszcze bardziej spadło, gdy rozgorzała ofensywa „Tet”. VC i NVA przeprowadzały skoordynowane ataki na główne wietnamskie miasta. A Zinni mógł tylko leżeć w łóżku i bezradnie gapić się w telewizor.

Wietnamscy marines, jak zawsze w ogniu walki, prowadzili działania w Cholon, chińskiej dzielnicy Sajgonu.

Pewnego dnia Zinni zobaczył w telewizji, jak jego marines przyprowadzili schwytanego żołnierza VC przed oblicze szefa sajgońskiej policji. Żołnierza stracono. Jednemu z tych marines - dowódcy plutonu z 4. Batalionu - Zinni towarzyszył podczas wielu operacji.

Inni marines wzięli udział w desperackich walkach o Hue, wyróżniając się w bohaterskim ataku na miasto.

W końcu przywieziono go do domu - do szpitala w okolicach Filadelfii. Wkrótce wydozbrał na tyle, żeby stać się pacjentem dochodzącym - co oznaczało, że musiał jedynie meldować się codziennie w szpitalu, przez resztę czasu przebywając w domu swoich rodziców (gdzie dołączyła do niego żona Debbie).

Minęło trochę czasu, nim całkiem się odprężył. W drodze do domu, w pierwszą noc spędzaną poza szpitalem, nieźle wystraszył swego brata.

- Czemu jedziemy drogą nocą bez uzbrojenia i straży? - dociekał.

W lutym 1968 roku otrzymał rozkaz udania się do Quantico w charakterze instruktora szkoły dla oficerów marines. Przez następne dwa lata uczył technik zwiadu, patrolowania i walki z siłami powstańczymi, po



czym wstąpił do szkoły zawodowej dla kapitanów, którą ukończył w lecie 1970 roku. Jednocześnie ciężko pracował nad odzyskaniem utraconej formy - biegał, podnosił ciężary... W 1970 roku w pełni odzyskał siły. Był gotów powrócić do Wietnamu.

Skierowano go do 1. Dywizji Piechoty Morskiej w Danang i przydzielono do 1. Batalionu, 5. Regimentu Piechoty Morskiej, znanego jako Pacyfikatorzy.

## **Pacyfikatorzy**

Oczekiwano, że w trakcie procesu wietnamizacji NVA może zadać znaczne straty wycofującym się siłom amerykańskim. Aby temu przeciwdziałać, potrzebne były siły szybkiego reagowania - silna jednostka pełniąca rolę „strażaków”, mediatorów (coś jak wietnamscy marines, ale działająca lokalnie) i ratowników (od wyciągania żołnierzy z tarapatów).

Było to zadanie dla Pacyfikatorów (nazwa pochodziła od kryptonimów ich misji specjalnych). Pacyfikatorzy, zgodnie z oficjalnym opisem, stanowili „uniwersalną, wysoce mobilną śmigłowcową grupę operacyjną szybkiego reagowania”.

Batalion pozostawał pod kontrolą 1. Dywizji Piechoty Morskiej i miał na swój użytek flotę powietrzną, na którą składały się śmigłowce dowodzenia, desantowe, szturmowe i obserwacyjne. Wchodzące w jego skład cztery kompanie pozostawały naprzemiennie na jednym z czterech poziomów gotowości. Najwyższym był Pacyfikator 1 - wymagał od kompanii przygotowania do odlotu w ciągu 10 minut. Drugi poziom dawał godzinę na przygotowania, trzeci - 12 godzin, zaś czwarty - 24 godziny.

Zazwyczaj kompania przez kilka tygodni pozostawała na poziomie

Pacyfikator 1. Był on naprawdę ciężki. Podobnie Pacyfikator 2. Pacyfikator 3 był nieco łatwiejszy i obejmował pełnienie straży w kwaterze głównej dywizji. Natomiast w ramach Pacyfikatora 4 zabezpieczało się bazę.

Wchodzące w skład batalionu kompanie piechoty były bardzo liczne i zorganizowane w specyficzny sposób. W odróżnieniu od większości innych jednostek zachowywały one przez cały czas pełną strukturę organizacyjną, z kompletem oficerów i podoficerów - ponad 260 marines i marynarzy. Wielkość takich jednostek dwu - czy trzykrotnie przekraczała wielkość innych kompanii biorących udział w wojnie wietnamskiej.

Co więcej, należały do nich dodatkowe drużyny karabinów maszynowych i moździerzy. W wyposażeniu miały też broń eksperymentalną, taką jak granatniki automatyczne (XM-174, ochrzczone przez żołnierzy mianem Super-Blooper) i miotacze ognia (XM-202)\*[\* Normalnie granat rzucić można na odległość około 40 metrów. Na wcześniejszym etapie wojny wietnamskiej wojska miały w wyposażeniu granatnik M-79, ochrzczone przez żołnierzy mianem Blooper (od określenia piłki baseballowej spadającej tuż za polem), który miotał granaty na około 150 metrów. Super-Blooper miał jeszcze większy zasięg i wyposażono go w łatwo wymienialny magazynek pełen granatów. Dawało to wojskom możliwość zasypywania granatami obszaru między obszarem rażenia 60-milimetrowego moździerza i M-79. Granatniki często się zacinały. Kiedy otrzymali je Pacyfikatorzy, były jeszcze bronią eksperymentalną. Miotacz ognia był wielostrzałowy - cztery cylindry w pudełkowatej ramie.

]. Na każdą kompanię przypadała ponadto własna drużyna saperów,

zwiadowców, Zwiadowców Kita Carsona\*[\* Zwiadowcami Kita Carsona nazywano byłych żołnierzy VC, którzy przeszli na naszą stronę. Po przejściu przez program indoktrynacji przydzielano ich do jednostek działających na terenach, gdzie wcześniej prowadzili działania jako VC.] i... psów tropiących.

Oddziały Pacyfikatorów wysyłano jedynie w odpowiedzi na świeże doniesienia wywiadu o kontakcie z wrogiem lub w celu ratowania zestrzelonych pilotów. Mobilność zapewniały im śmigłowce. Nie ścigali nieprzyjaciół na piechotę, chyba że pozostając z nimi w bezpośrednim kontakcie. W celu ułatwienia identyfikacji z powietrza, na hełmach żołnierzy umieszczono różnokolorowe znaczniki, w zależności od plutonu.

Tony Zinni podejmuje opowieść:

Dowódcą batalionu był podpułkownik Bernard E. „Mick” Trainor (późniejszy generał broni i znany dziennikarz), jeden z najinteligentniejszych oficerów w Korpusie. Podczas mojej służby w batalionie wielokrotnie miałem okazję obserwować jego geniusz taktyczny.

Kiedy się spotkaliśmy, Trainor skwapliwie odnotował fakt, iż ukończyłem szkołę oficerską, a wcześniej odbywałem służbę jako doradca. Chciał, bym został jego oficerem operacyjnym, ja zaś błagałem o przydzielenie mi dowództwa kompanii. Nie chciałem roboty w sztabie - pragnąłem być na polu bitwy. Powiedział, że się nad tym zastanowi.

Zameldowawszy się, wprowadziłem się do namiotu kapitańskiego, zamieszkiwanego przez oficerów sztabowych batalionu - doborowe towarzystwo, które szybko naświetliło mi sytuację. Oficer operacyjny batalionu, tyleż sprytny, co spokojny wielkolud, major W.M. Anderson,

znał się na swojej robocie. Szybko się z nim zaprzyjaźniłem.

Kiedy wyrzuciłem z siebie, jak bardzo chcę dostać dowództwo kompanii, odparł, żebym się o to nie martwił.

- Zobaczę, co da się zrobić. Odpocznij przez kilka dni, zadomów się. Myślę, że bardziej przydasz się w kompanii. I pewien jestem, że potrafię do tego przekonać naszego dowódcę.

Uwielbiałem tego gościa!

Po dwóch dniach niecierpliwego wyczekiwania zostałem wezwany do chaty podpułkownika Trainora, który poinformował mnie, iż będę oficerem dowodzącym Kompanii A 1. Batalionu 5. Regimentu Piechoty Morskiej.

Byłem w siódmym niebie.

Kiedy objąłem dowodzenie, kompania pozostawała na poziomie Pacyfikator 3 i zajmowała Grzbiet Dywizji, ochraniając bazę dywizji. W przypadku wprowadzenia do akcji, naszą misję strażniczą miały przejąć inne jednostki, spoza batalionu Pacyfikatorów. Misja była stosunkowo prosta i pozwalała żołnierzom wypocząć po trudach poziomów Pacyfikator 1 i 2.

Danang leży na wybrzeżu. Na zachód od miasta znajduje się masywny grzbiet górski. Jako że kwatera główna dywizji znajdowała się po wschodniej stronie grzbietu, jej ochrona - jak również ochrona tyłów dywizji oraz baz logistycznej i lotniczej - wiązała się z koniecznością stacjonowania na Grzbiecie Dywizji.

Zadanie to należało do Pacyfikatorów na najniższych poziomach gotowości. Nie było trudne. W ciągu dnia do obsadzenia stanowiska

wystarczał pluton. Pozwalało to reszcie żołnierzy schodzić na dół do baz w celu wypoczynku i umycia się - co było niemożliwe, kiedy przebywali na polu bitwy.

Przejęcie dowodzenia miało miejsce na grzbiecie górskim 8 września (na poziomie Pacyfikator 3 pozostaliśmy do 21 września). Był słoneczny dzień. Najpierw dokonałem inspekcji szeregów i uścisnąłem dłoń każdemu żołnierzowi, po czym rozpocząłem dowodzenie od awansowania kilku zasłużonych marines.

Co za dzień! - pomyślałem sobie.

Pozostałe dwa tygodnie misji strażniczej spędziłem na poprawianiu kondycji kompanii. Jednostki wsparcia i oddziały południowowietnamskiej milicji na flankach, od wielu miesięcy pozbawione kontaktu z wrogiem, zgnuśniały. Szybko uporaliśmy się z tym problemem.

Dwudziestego pierwszego września przeszliśmy na poziom Pacyfikator 4. A od 1 października do 3 listopada byliśmy na poziomie Pacyfikator 1 - gotowi do działania w 10 minut. Na dźwięk syreny marines chwyтали swój ekwipunek, formowali szyk i marszobiegiem udawali się do bunkrów z amunicją, by odebrać wcześniej przygotowane i posortowane zapasy amunicji. Następnie biegli w formacji do strefy lądowania, gdzie kolejno wsiadali do śmigłowców. Zabezpieczenie strefy również przebiegało zgodnie z wyćwiczoną procedurą, tak samo jak działania w strefie ogniowej.

Życie w obozie, kiedy obowiązywał poziom gotowości Pacyfikator 1, biegło spokojnie, do czasu ćwiczeń lub alarmu. Każda drużyna miała własną chatkę. Oficerowie najwięcej czasu spędzali w chacie

poruczników, nazywanej Srebrnym Barem, na planowaniu... ale też i na grze w karty. Chciałem, by kompania przykładała się do walki i ćwiczeń, ale chciałem też, żeby wiedzieli, kiedy jest czas na przerwę. Każdego tygodnia staraliśmy się znaleźć choć jeden dzień na grilla i gry zespołowe w drużynach. Dni takie nie trafiały się często, tym bardziej je jednak doceniano.

Jako że alarm mógł być ogłoszony w każdej chwili, musieliśmy być stale w pogotowiu. Chociaż mógł oznaczać konieczność natychmiastowego startu (jak w przypadku zestrzelonego pilota), najczęściej jednak dostawałem wezwanie na odprawę do centrum operacyjnego batalionu. Lubiłem te odprawy, bo dawały czas na planowanie. Jeśli miałem wejść do akcji, wołałem wiedzieć, co mnie czeka i co muszę zrobić. Nie miałem zamiaru zastanawiać się, co zastanę na miejscu i czy będę potrafił sobie z tym poradzić. W związku z tym starałem się być na bieżąco z działaniami prowadzonymi w okolicy, jako że było prawdopodobne, że będą wymagać naszej interwencji. Równie ważną rolę pełniły oczywiście poranne raporty operacyjne i wywiadowcze.

Chociaż wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, właśnie rozpoczęła się moja ostatnia i najbardziej dramatyczna operacja w Wietnamie. Przeszło miesiąc wcześniej jedna z kompanii na poziomie Pacyfikator 1 odpowiedziała na raport wywiadu dotyczący spotkania kadry oficerskiej VC w małej wiosce. Wkrótce po wylądowaniu opodał, kompania starła się z uciekającym wrogiem. Podczas krótkiej wymiany ognia pewien mariner wziął sprawy w swoje ręce i rzucił się w pościg za jednym z oficerów VC. Udało mu się pojmać Nguyena Dac Loi, szefa wywiadu strefy specjalnej Quang Da, rzekomo najwyższego rangą oficera wywiadu schwytanego

podczas wojny.

Znaczenie jeńca nie było oczywiste dla żołnierzy naszego batalionu aż do pierwszych dni listopada, kiedy to kazano nam przygotować się do szczególnej misji. Loi zgodził się zaprowadzić nas do swojej kwatery głównej w górach Que Son.

Kiedy ja przebywałem w centrum operacyjnym na odprawie przed misją, moja kompania przygotowywała się do wymarszu. Według oficera instruktazowego Loi podał chłopcom z wywiadu mnóstwo informacji, z których wiele wskazywało, że południowowietnamscy dostojnicy rządowi w regionie współpracują z VC [\* Nieprzyjaciele nie mieli hierarchii wtajemniczenia według nazwisk, stopni i numerów, jak Amerykanie. Zakładali po prostu, że wszystko, co wiedzą, zostało już zdekonspirowane. Niektórzy żołnierze VC i NVA okazywali się otwarci, innych było trudniej złamać. Chociaż Loi podał nam mnóstwo informacji, było widać, że trudno mu określić, wobec kogo jest lojalny. Bywały chwile, w których jego niezdecydowanie prowadziło do spieć.]. To utrudniało sprawę. Jednak choć do Wietnamczyków doszły wieści o ważnym więźniu, nie wiedzieli jeszcze, kogo dokładnie mamy. Dowództwo amerykańskie chciało to utrzymać w tajemnicy jak najdłużej, żebyśmy mogli w pełni wykorzystać współpracę Loi, nim sprawą zajmą się Wietnamczycy, którzy zapewne by to uniemożliwili.

Plan zakładał, że Loi (eskortowany przez zespół ITT[\* Interrogator-Translator Team, czyli zespół składający się z tłumacza i specjalisty do spraw przesłuchań (przyp. tłum.).]) zaprowadzi moją kompanię do swojej kwatery głównej - ogromnego kompleksu jaskiń w jakimś głębokim wąwozie. Ponieważ nie potrafił precyzyjnie określić jej położenia,

zwiadowcy marines mieli otoczyć obszar kordonem, natomiast kompania B, wraz z dowództwem batalionu miała zająć miejsce na wzniesieniu z widokiem na okolicę.

Liczba szych obecnych na odprawie świadczyła o wadze, jaką przykładano do tej operacji.

Spotkałem się z Loi w strefie lądowania, zanim przyleciały helikoptery. Studiował mapę. Sprawiał wrażenie inteligentnego i wykształconego, ale też zdenerwowanego.

- Potrafisz na tym wskazać swoją kwaterę? - zapytałem.

- Nie jestem pewien - powiedział, zakreślając spory obszar. - Nasze mapy różnią się od waszych. Wiem jednak, że zauważę ją, jak będziemy przelatywać nad tym terenem.

Nie podobał mi się pomysł lotu bez wcześniej ustalonej strefy lądowania, było jednak oczywiste, że musimy przyjąć warunki Loi.

Kiedy wszystkie jednostki desantowe były gotowe, wystartowaliśmy. Siedzący obok mnie Loi próbował odnieść mapę do terenu pod nami, ale gdy dotarliśmy nad wskazany przez niego obszar, jeszcze bardziej się pogubił. Zaczęliśmy krążyć. Kiepski pomysł. Niweczył element zaskoczenia.

Ciągle naciskałem naszego jeńca, ale nie na wiele się to zdało.

- Nigdy nie leciałem helikopterem - oświadczył. - Z góry trudno rozpoznać punkty orientacyjne.

Wreszcie chyba coś zauważył.

- Tam - wyciągnął rękę. - Znam tamto miejsce.

Nadaliśmy komunikat do pozostałych śmigłowców, żeby przygotowano się do desantu na terenie wskazanym przez Loi. Lądowanie



przebiegło spokojnie. Osiedliśmy na rozległym, błotnistym i porośniętym trawą terenie. Mimo że Loi zapewniał, że stąd znajdzie już drogę do swojej kwatery głównej, okolica nie wyglądała mi dobrze: w pobliżu nie było żadnych głębokich wąwozów.

Gdy Loi i jego ITT poszli szukać szlaku, rozkazałem swoim plutonom rozproszyć się i przeczesać teren.

W chwilę później dowódca plutonu wezwał mnie na swoją pozycję. Kiedy tam dotarłem, pokazał mi szeroką błotnistą połąć ziemi, pokrytą świeżymi śladami mnóstwa butów. Niedawno przeszła tędy spora jednostka NVA.

Natychmiast powiadomiłem batalion o naszym odkryciu, wezwałem pozostałych dowódców plutonów i pośpiesznie zorganizowałem obronę, jednak kontakt z nieprzyjacielem nie nastąpił.

Tymczasem inny pluton znalazł 225-kilogramowy niewybuch. Wspólnie z jednym z saperów, porucznikiem Billem Wardem, zaczęliśmy debatować, co z nim zrobić. Po krótkiej dyskusji uznaliśmy, że i tak straciliśmy już przewagę wynikającą z zaskoczenia, a nikt nie chciał pozostawiać za sobą potencjalnej miny pułapki. Saperzy Billa uzbroili więc ładunki wybuchowe i wysadziliśmy bombę.

Wrócił Loi - z niczym, jednak nie znał tej okolicy. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko wezwać śmigłowce i raz jeszcze rozpocząć poszukiwania.

Po kilku minutach w powietrzu jeniec wskazał ścieżki u podstawy dużego wzgórza.

- Tamte ścieżki prowadzą do mojej kwatery głównej - obwieścił.

To już bardziej trzymało się kupy. Ścieżki biegły w górę zbocza

pooranego głębokimi wąwozami. Zwłaszcza jeden z nich mógł pomieścić rozległy kompleks jaskiniowy, jaki opisał Loi.

Wylądowaliśmy. Znowu było cicho, pobliska sieć ścieżek wyglądała jednak na uczęszczaną.

- Oddziałów amerykańskich i południowowietnamskich nie było na tym terenie od lat - oznajmił Loi. - VC i NVA korzystają z niego do woli.

Świetnie, pomyślałem, przypominając sobie swoje doświadczenia z wietnamskimi marines. To znaczy, że nie będą przygotowani. Bardzo zależało mi na zaatakowaniu kwatery głównej Loi, ale nie chciałem tam podążać tą drogą.

Uformowałem kompanię w kolumnę, z pierwszym plutonem na czele. Przodem poszli zwiadowcy i Zwiadowcy Kita Carsona. Loi miałem przy sobie, na czele pierwszego plutonu. Obawiając się min pułapek, kazałem zwiadowcom iść powoli i ostrożnie.

Loi nadal nie potrafił określić, gdzie jest. Prowadził nas jakimś szlakiem, zawracał i ruszaliśmy następnym. W efekcie szlak kompanii falował niczym miech akordeonu; trudno było utrzymać odpowiednie odstępy między oddziałami. W trakcie marszu zwiadowcy meldowali o minach podłożonych pośpiesznie na szlakach czy o niedawno opuszczonych posterunkach, z tłącymi się wciąż ogniskami. Chciałem zejść ze szlaku, lecz zanim jeszcze zasugerowałem to dowództwu, już znałem odpowiedź: dezorientacja Loi już kosztowała nas pół dnia, żołnierze VC zaś zdążyli się dowiedzieć o naszej obecności. Musieliśmy się do nich dobrać, zanim zniszczą to, czego szukamy, i ulotnią się. Zejście ze szlaku byłoby bezpieczniejsze, ale zajęłoby trochę czasu. Pozostaliśmy na ścieżce. Wiedziałem, że dla mojego szefa była to trudna decyzja, ale

musiałem się zgodzić, że słuszna.

Żeby mieć oko na zmiany kierunku zarządzane przez Loi, przeniosłem go na czoło kompanii. Przed nami szli tylko zwiadowcy i szpica. Byłem zdecydowany wsiąść na niego i położyć kres jego dezorientacji. I faktycznie, kiedy tylko zacząłem go mocniej naciskać, sprawy zaczęły nabierać tempa.

Zwiadowcy (pod dowództwem kaprała Jamesa, czarnego marine z Waszyngtonu, z nadzwyczajną umiejętnością czytania śladów i wykrywania min) odwalali wspaniałą robotę. Teren był bardzo nierówny - wysokie góry z ostrymi grzbietami.

W pewnej chwili zbliżyliśmy się do jednego z tych grzbietów. Byłem pewien, że po drugiej stronie leży wąwóz z kwaterą główną Loi. Zbliżaliśmy się do czegoś ważnego. Widzieliśmy wyżłobienia w skałach, które najwidoczniej służyły za stanowiska nasłuchu radiowego i strażnice. W jednym z nich znaleźliśmy miseczkę jeszcze ciepłego ryżu, porzuconą podczas ucieczki przed nami. Zwiadowcy natykali się też na zastawione naprędce pułapki - druty przywiązane do granatów i tym podobne.

Chciałem jak najszybciej dostać się na to wzniesienie, starcie z nieprzyjacielem było bowiem tylko kwestią czasu. Spodziewałem się, że pierwszy kontakt z wrogiem będzie polegał na ostrzelaniu nas z jakiegoś stanowiska strażniczego; mogliśmy też wpaść na jakiś posterunek, z którego nie zdążyły się wycofać oddziały nieprzyjaciela.

Mylilem się. Jakies 200 metrów od szczytu Loi zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Nie pozwolą wam posunąć się ani kroku dalej - powiedział i przeniósł wzrok z powrotem na ścieżkę.

- O czym ty mówisz? - zapytałem.

- Tego grzbietu bronią kompanie VC i NVA - odparł. - Nie dopuszczają was bliżej niż na 150 metrów.

Informacja ta wymagała sprawdzenia. Wywołałem parę helikopterów zwiadowczych Cobra, które mieliśmy nad grzbietem, żeby piloci przekazali mi, co widzą. Rozmawiałem z nimi, kiedy nieprzyjaciel otworzył ogień.

Obróciłem się bokiem, żeby oddać słuchawkę radiooperatorowi, kapralowi Franky'emu, kiedy oberwałem. Trzy pociski AK-47 z niewielkiej odległości, wystarczająco małej, żeby gładko przejść przez moją kamizelkę przeciwodłamkową. Poczulem się, jakby ktoś pociągnął mi po biodrach i plecach ręcznikiem ociekającym wrzątkiem. Upadłem. Przetoczyłem się do płytkiego rowu erozyjnego i spróbowałem ogarnąć, co się dzieje. W chwilę później rzucili się ku mnie porucznik Bob Myers, dowódca 1. plutonu, i porucznik Pete Metzger, batalionowy oficer wywiadu.

Wciąż byłem przytomny. Właściwie ani na chwilę nie straciłem przytomności, dopóki mnie nie ewakuowano. Nie czulem też rozdzierającego bólu. Miałem tylko poczucie wyciekającej ze mnie energii i wiedziałem, że zostałem poważnie ranny.

To nie mogło się wydarzyć w mniej odpowiednim momencie. Moja kompania była pod ciężkim ostrzałem. Wiedziałem, że jestem im potrzebny tak długo, jak długo zdołam zachować przytomność.

- Rozproszyc pluton i odpowiedziec ogniem - rozkazałem Bobowi Myersowi.

Wróg był dobrze ukryty; marines trudno było wyszukiwać cele, ale

ja chciałem tylko zmusić nieprzyjaciół do schylenia głów, kiedy my będziemy się przemieszczać. Obok mnie stał marine z wielostrzałowym miotaczem ognia. Kiedy kazałem mu go użyć, zapytał:

- Gdzie?

- Gdziekolwiek - odparłem. - Po prostu wal.

Tak też zrobił. Ogień nieprzyjaciela osłabł.

Bob pomógł mi zdjąć kamizelkę przeciwodłamkową. Nie znosiłem ich, ale regulamin nakazywał ich noszenie. Wietnamscy marines nigdy nie wkładali kamizelek, podobnie jak pracujący z nimi doradcy. Byłem przekonany, że dodatkowy ciężar i dyskomfort osłabiały żołnierzy i obniżały ich czujność.

Świetnie, pomyślałem, a teraz mnie postrzelili. Kamizelka przeciwodłamkowa nie nadawała się do ochrony przed pociskami.

Kiedy zdierał ze mnie kamizelkę, wypadł z niej krwawy kawał mięsa. Mało zachęcające. Bob zaczął zakładać mi opatrunek polowy. Rzut oka na jego twarz powiedział mi, że rana jest paskudna. Kiedy to robił, skontaktowałem się z pułkownikiem Trainorem, żeby złożyć mu raport o sytuacji. Tymczasem dotarł już do mnie jeden z sanitariuszy, Doc Miller. Czuję się tak słaby, że bałem się, iż zemdleję.

- Będziesz musiał przejąć dowodzenie kompanią, jeśli stracę przytomność - powiedziałem Bobowi. - Albo gorzej - dodałem.

Bob był porządnym i kompetentnym facetem. Oficer, który normalnie przejąłby moje stanowisko, XO Dan Hughes, był w punkcie dowodzenia batalionu, gdzie wykonywał jakieś zadanie koordynacyjne. Postara się jak najszybciej do nas dotrzeć, ale wiedziałem, że zanim przybędzie, dowództwo musi przejąć Bob.

Na razie nadal sam dowodziłem kompanią. Kiedy opatrywali mi ranę, leżałem na brzuchu. Teraz podniosłem się trochę, żeby widzieć, co się dzieje. Zauważyłem wzniesienie terenu po lewej i wyczułem, że nieprzyjaciel próbuje się tam dostać. Mogliby stamtąd ostrzelać naszą flankę, z katastrofalnym skutkiem. W tej samej chwili dotarło do mnie, że moglibyśmy zrobić im to samo, gdybyśmy tylko dostali się tam pierwsi.

- Wyślij drużynę z karabinem maszynowym na tamto wzgórze - poleciłem Bobowi. Natychmiast powierzył zdobycie wzgórza dowódcy jednej ze swoich drużyn, sierżantowi Bamberowi. Ekipa niezwłocznie wyruszyła i po krótkiej walce zajęła pozycję.

- Sanitariusza! - wołano tymczasem ze szpicy przed nami. Obrywali.

Doc Miller wyjaśnił pokrótce, co mi się stało.

- Masz na plecach niezły bajzel - oznajmił. - Widać ci kręgosłup. Nie wiem, czy jest uszkodzony. Jeśli tak, musimy zacząć się martwić ewentualnym paraliżem. Szczyp się po nogach i sprawdzaj, czy masz czucie. Straciłeś też dużo krwi, więc prawdopodobnie nie zachowasz przytomności. - I wreszcie: - Nie wiem, jak bardzo cię boli. Mogę ci podać morfinę, ale lepiej tego uniknąć, chyba że nie będziesz już mógł bez niej wytrzymać.

Ból nie był specjalnie rozdzierający. Poza tym nie chciałem brać morfiny, bo wiedziałem, że wtedy nie przydam się ani Bobowi Myersowi, ani nikomu innemu. Nawoływania o sanitariusza stawały się coraz bardziej natarczywe. Spojrzałem lekarzowi w oczy.

- Potrzebują cię tam, Doc - powiedziałem.

Obszar oddzielający nas od szpicy przeszywały pociski.

Podniósł wzrok i wstał.

- Cholera! - wrzasnął, po czym pognął do rannych.

- Musimy ściągnąć tu z powrotem szpicę i rannych - powiedziałem Bobowi. - Wyślij po nich drużynę.

Usłyszał mnie kapral Rocky Sławinski, dowódca drużyny na szpicie. Podeszedł do nas.

- Ściągnę ich. To moi marines - oświadczył.

Wraz z niedobitkami swojej drużyny ruszył pod ostrzałem po rannych. Był między nimi zwiadowca Kita Carsona, postrzelony w ramię.

W tym zamieszaniu Loi dorwał jakoś karabin (co mnie naprawdę wkurzyło), przedarł się do przodu w kierunku nieprzyjaciela, po czym przykucnął w pasie neutralnym. Wyglądał na zdesperowanego. Jego dawni towarzysze najwidoczniej zauważyli go i poznali. Dopadły go rozterki moralne.

- Wołają mnie po imieniu - powtarzał bez przerwy. Musiał zdecydować, w której drużynie chce grać.

- Zabierzcie mu karabin - rozkazałem ITT i starszemu sierżantowi Lambertowi z plutonu Boba.

Z początku Loi się ociągał, jednak Lambert położył kres jego rozterkom, ładując broń. Loi oddał karabin i wycofał się w naszym kierunku.

Był jednak kolejny poważny problem.

Nie mieliśmy jak ściągnąć medevaców. Nie było stref lądowania, a nieprzyjaciel przemieszał się z nami w gęstych zaroślach.

Ledwie to do mnie dotarło, gdy nadleciały dwa CH-46 - nasze medevaki.

- Nie wzywaliśmy was - stwierdziłem - i nie możemy was teraz

przyjąć.

- Wiem - odparł pilot. - Po prostu chcę, żebyście wiedzieli, że tu jesteśmy i przylecimy kiedykolwiek i gdziekolwiek zechcecie.

Minęło już parę godzin, odkąd zostałem ranny. Czułem się coraz słabszy i było mi coraz zimniej z powodu utraty krwi.

Bob, który odwalił kawał dobrej roboty przy umacnianiu pozycji, znalazł strefę lądowania dla medevaców - kawałek niżej na stoku. Była to zwieszająca się nad klifem półka skalna. Pod nią ziała głęboka na kilkadziesiąt metrów przepaść. Piloci umyślili sobie, iż podlecą tyłem i opuszczą rampy. Rannych będzie można załadować bez lądowania. Niektórzy chłopcy będą mieli portki pełne strachu, ale powinno się udać.

Zależało mi, żeby moi marines widzieli, jak na własnych nogach schodzę do śmigłowców. Chociaż wiedziałem, że długo już nie wytrzymam, zdołałem z pomocą dokuśtykać do pozostałych rannych. Nim wszedłem po rampie, popatrzyłem jeszcze na swoich żołnierzy. Zawsze będę pamiętał te pełne troski spojrzenia.

Kiedy śmigłowce wisiały przy urwisku, pojawił się żołnierz VC z granatnikiem, jednak jeden z marines zauważył go i otworzył ogień. VC musiał się schować, zanim zdołał oddać strzał.

Szef załogi helikoptera zauważył, że trzęsę się na gołym płótnie. Przypinając mnie do noszy, zdjął swoją białą, podbitą wełną kurtkę pilotkę, by mnie opatulić.

- Nie rób tego - szepnąłem. - Zniszczysz sobie kurtkę.

- Pieprzyć to - odparł i okrył mnie.

Póki nie dostałem się do śmigłowca, emocje i adrenalina utrzymywały ból na znośnym poziomie. Jednak zanim wystartowaliśmy,



ból uderzył z pełną siłą. Czuję się gorzej niż kiedykolwiek w życiu - ciałem, umysłem i duchem.

Kilka tygodni później, już w szpitalu, dostałem list od pułkownika Trainora:

„Nie wiem, czy por. Hughes (Dan Hughes, mój XO) lub ktoś z pozostałych napisał Panu o wydarzeniach, które nastąpiły po Pańskiej ewakuacji. Pozwoli Pan, że je Panu nakreślę. Dan i ja zeszliśmy na pozycję Reda (pozycja mojego pierwszego plutonu), gdzie Dan objął dowodzenie kompanią. Skierowaliśmy Becketa (mój drugi pluton) do doliny. Świetnie wyszkolił Pan swoich ludzi. Poradzili sobie wyśmienicie. Operacja potrwała jeszcze dwa tygodnie. Mieliśmy tam prawdziwą wojnę. Alpha (moja kompania) miała największy udział w działaniach. Żołnierze VC próbowali powstrzymać nas przed penetracją, lecz kiedy Bravo (kompania B) zeszła na nich z góry, uciekli. Potem strzelali z zewnątrz kordonu. Pewnie starali się odciągnąć nas od tamtego obszaru. To jednak się im nie udało”.

Dodał jeszcze, iż mieliśmy trzech zabitych i dziewięciu rannych, sami zaś zabiliśmy 41 żołnierzy VC z kompanii C-111.

Nazajutrz po tym, jak zostałem postrzelony, moja kompania znalazła jaskinię Loi, a w niej 18 000 stron dokumentów: dossier oraz listy płac agentów, wraz z nazwiskami i zdjęciami wysokich rangą południowowietnamskich dostojników. Odkryto również broń i rezerwy żywności. Było to największe osiągnięcie wywiadu w ciągu całej wojny.

„Móc Panem dowodzić to przyjemność - dodał Trainor. - Przedstawiłem Pana do odznaczenia Brązową Gwiazdą”.

Chociaż Trainor lubił rozdawać medale oddziałom, rzadko dawał je

oficerom. Zaskarbił sobie w ten sposób ogólną sympatię - a kiedy już przedstawiał kogoś do odznaczenia, było to prawdziwym zaszczytem.

## **Medevac po raz drugi**

Medevac zabrał rannych do szpitala polowego armii amerykańskiej na południe od Danang.

Rany Zinniego były na tyle poważne, że natychmiast poddano go operacji. Prześwietlono go (wciąż miał kule w plecach), umyto i podłączono do kroplówek.

Kiedy tak leżał na brzuchu, zauważył niespodziewane nasilenie szeptów między zebranymi w ciasnej grupce lekarzami i pielęgniarkami. Coś się działo.

Po jakimś czasie szepty ucichły, a grupka się rozproszyła. Jedna z pielęgniarek przysunęła krzesło do łóżka i usiadła. Pochyliła się przy tym tak, że jej twarz niemal stykała się z twarzą Zinniego.

- Jestem siostrą przełożoną - oznajmiła. - Słyszysz mnie pan wyraźnie?

- Tak - odparł Zinni.

- Dostaliśmy niedawno eksperymentalny lek. Nazywa się ketamina - ciągnęła. - Chcielibyśmy go panu podać. Oficer taki jak pan może wystawić cenną opinię o jego skuteczności.

Zinni skinął niepewnie głową. To byli fachowcy. Ufał, że wiedzą, co robią.

- Lek jest w fazie testów - dodała przełożona. - Będziemy potrzebować pańskiej zgody na jego użycie. Powinien pan wiedzieć, że będzie pan przytomny przez cały czas trwania operacji, a my nie będziemy wpychać panu rurek do gardła, jak zazwyczaj w takich przypadkach.

- To zachęcające - przyznał Zinni. - Ale jak to „będę przytomny”?

- To lek halucynogeny - wyjaśniła - ale zarazem skuteczny środek znieczulający, któremu nie towarzyszą skutki uboczne typowe dla zwykłej narkozy.

- Brzmi nieźle - odparł Zinni - i przemawia do mnie ten brak rur w gardle. Do dzieła.

- To dobry wybór - zapewniła. - Jestem pewna, że nie będzie pan żałował. I jeszcze pan nam pomoże.

Ketamina okazała się być piekłem na ziemi. Nie odczuwał fizycznego bólu, jednak miał koszmary tak wyraziste, jakby były jawą. Jeden z nich przypominał doświadczenie pozacielesne - zawisł nad swoim ciałem, kiedy kroili je chirurdzy. Innym razem ponownie przeżywał chaos i śmierć na polu bitwy, podczas której został ranny. Potem znów wracał martwy w trumnie do żony i rodziny w Stanach. Koszmary były tak realistyczne, intensywne i zajadłe, iż zaczął się dziko rzucać podczas operacji i trzeba było go przywiązać i uśpić.

Obudził się zlany potem, przywiązany do łóżka na oddziale intensywnej opieki medycznej.

Był z nim jego sierżant sztabowy Alls. Ze łzami w oczach ścisnął rękę Zinniego. Trzymał go tak, odkąd wylądował na intensywnej terapii. Zinni ledwie zdawał sobie sprawę z uścisku, jednak była to dla niego drobna pociecha. Złożywszy Zinniemu raport o stanie kompanii, sierżant wyszedł.

- Miałeś naprawdę niezłą jazdę - powiedziała mu potem pielęgniarka.

- Wiem - odparł Zinni. - Wciąż ją pamiętam.

Spróbował się poruszyć. Wtedy właśnie zaczął sobie uświadamiać, że coś jest nie tak. Niewiele organów powyżej pasa pracowało poprawnie -

na przykład ręce. Później chirurg wyjaśnił dlaczego.

- Kiedy wyjęliśmy panu kule z pleców - tłumaczył - nie mogliśmy tak po prostu oczyścić rany i zaszyć pana z powrotem. Rana była zbyt głęboka. Żeby zapobiec infekcji, musieliśmy usunąć zdewitalizowaną tkankę, czyli wyciąć jakąś 1/3 mięśni grzbietu. Ma pan tam całkiem spory krater - dodał ze współczuciem. - Potrzymamy tu pana przez jakiś tydzień - mówił dalej chirurg - a potem wyślemy do Guam na intensywną fizykoterapię. Pobiorą też panu fragmenty skóry z nóg i pośladków i przeszczepią na tę dziurę w plecach.

- Muszę być z panem szczery - podsumował. - Wątpię, czy odzyska pan pełną sprawność rąk i pleców.

To był szok. Co będzie z moją rodziną? Co mnie czeka? - głowił się Zinni.

Wychodząc, chirurg dał Zinniemu jeden z pocisków wydobytych z jego pleców.

Następny tydzień był ciężki. Dwa razy dziennie sanitariusze dosłownie zdierali bandaż z rany, czemu towarzyszył najbardziej rozdzierający ból, jakiego Zinni doświadczył. Przed rozpoczęciem tego rytuału każdy pacjent zdolny się poruszać opuszczał teren. Sama obecność przy tym zabiegu była zbyt bolesna.

- Nieźle panu dojebali, sir - stwierdził ranny starszy szeregowy. - Musi pan zobaczyć swoje plecy.

Nie, dzięki, pomyślał Zinni.

Kilka dni później był już w stanie wstać i przejść się kawałek. Nie było to łatwe, ale potrafił zwlec się z łóżka i mozolnie przemieszczać po oddziale. Inni pacjenci robili, co mogli, aby mu pomóc.

Któregoś dnia pielęgniarka przyniosła niepokojące wieści. Jeden ze zwiadowców Kita Carsona (ranny w tej samej bitwie, teraz przebywał na innym oddziale tego samego szpitala) był w kiepskiej formie.

- Jest ranny w ramię - mówiła. - To nic poważnego. Nie wiemy, czemu jest z nim tak źle. Wydaje się jednak, że tego nie przetrzyma. Zupełnie, jakby stracił chęć do życia.

Nie zaskoczyło to Zinniego. Będąc doradcą, wielokrotnie doświadczał fatalizmu. Jego doświadczenie podsunęło mu też pomysł, jak pomóc swemu zwiadowcy.

- Możecie przenieść jego łóżko obok mojego? - zagadnął.

- Naprawdę nie powinniśmy - odparła. - Zasady mówią, że wietnamscy pacjenci są leczeni osobno. Jednak tym razem zrobimy wyjątek.

Zinni spędził kilka następnych dni na pocieszaniu swojego zwiadowcy. Pomogła też odwiedzająca go rodzina. Po kilku dniach wahań nastrojów Wietnamczyk wyszedł z dołka.

W końcu Zinni poczuł się na tyle silny, by pójść poszukać żołnierzy ze swojej kompanii, którzy zostali ranni i ewakuowani w tym samym czasie co on. Przeszukawszy oddziały, znalazł tylko jednego nadal niewypisanego ze szpitala - starszego szeregowego Maui. Był to potężnie zbudowany młody Hawajczyk ze szpicy. Oberwał w kostkę. Noga była w fatalnym stanie. Odbył z Zinnim szczerą rozmowę. Był przygnębiony - nie wiedział, czy w pełni wyzdrowieje.

Nie była to jedyna rzecz, która nie dawała mu spokoju. Trapiło go coś poważniejszego. Wreszcie wyrzucił to z siebie.

- Sir, dlaczego tu jesteśmy? - zapytał.

Zinni przedstawił mu oficjalną wersję, wiedząc, że jest ona guzik warta. „Wiedziałem, że toczymy wojnę, której nie popierają ani Wietnamczycy, ani Amerykanie, korzystając z beznadziejnej strategii i okropnej taktyki. Gdy opuściłem Maui, przyrzekłem sobie, że od tamtej pory żaden z moich żołnierzy nie usłyszy ode mnie tak gównianej odpowiedzi. Ode mnie dowiedzą się, o co walczą. A gdybym poczuł, że coś jest nie tak, że niepotrzebnie ryzykują życie - powiem to głośno, nie wahając się poświęcić karierę, by zrobić to, co dla nich najważniejsze”.

Tydzień później czas Zinniego w Wietnamie dobiegł końca. Jego nosze załadowano na pokład innego medevaca, którym poleciał do Guam.

W kilka godzin później, leżąc na oddziale w Guam, zaczął rozmyślać o opatunku na plecach. Nie był zmieniany od dwóch dni. Usunięcie go będzie istną męką.

Przyszedł sanitariusz, by omówić jego obrażenia.

- Ma pan szczęście - stwierdził. - Pana przypadkiem zajmie się najlepszy chirurg w marynarce wojennej.

W tej samej chwili obok łóżka Zinniego pojawił się lekarz.

- Obejrzyjmy ranę tego gościa - mruknął.

Zinni zaczął rytuał powolnego przewracania się na brzuch. Żelaznym uściskiem złapał poręcz łóżka.

- Co pan do cholery wyprawia? - spytał lekarz.

Zinni wyjaśnił procedurę znaną mu ze szpitala w Wietnamie.

- Jaja pan sobie robi - stwierdził doktor. - Podaj mu głupiego jasia - rzucił do sanitariusza.

Zinni dostał zastrzyki w oba ramiona. Sanitariusz nasączył opatrunek roztworem, który rozpuścił klej. W kilka minut później po prostu zdjął

bandaż.

- Miałem ochotę zabić tych konowałów, którzy mi to zrywali dwa razy dziennie - powiada Zinni.

Obejrzawszy obrażenia, chirurg wyjaśnił, co zamierza zrobić.

- Za kilka dni zaszyję ranę i przyczepię mięśnie grzbietowe - oznajmił.

Innymi słowy, nie widział potrzeby przeszczepiania tkanki mięśniowej z innych części ciała.

- Jeśli zechce pan przejść intensywną fizykoterapię, być może wróci pan do normy. Będzie to jednak wymagało mnóstwa pracy... o ile szczęśliwie uniknie pan zakażenia.

Świetne wieści! Morale Zinniego natychmiast poszybowało wyżej niż kiedykolwiek po postrzale. Zaczął poważnie myśleć o wyzdrowieniu i powrocie do swojej kompanii.

Dwa dni później przewieziono go na salę operacyjną. Operacja w pełni się udała, a fizykoterapia szybko zaczęła przynosić efekty, chociaż wiedział, że przed nim jeszcze długa droga. Ciało płatało mu figle, mięśnie i nerwy były całkiem przemieszane, kiedy coś dotykało jego pleców, czuł to na piersiach. Musiał od nowa nauczyć się władać mięśniami. Najważniejsze jednak, że znów funkcjonowały.

W kolejnym miesiącu Zinni nabawił się kilku miejscowych infekcji, które wymagały potężnych dawek penicyliny, jednak pod koniec tego okresu wyzdrowiał na tyle, że wypisano go ze szpitala.

Zinni błagał o zezwolenie na wyjazd do Wietnamu. Wiedział, że tam jest jego miejsce. Czas spędzony w szpitalu tylko utwierdził go w tym przekonaniu. Chociaż lekarz nie był do tego przekonany, spodobała mu się

pasja Zinniego i chęć powrotu do swoich żołnierzy. Wreszcie poddał się i zezwolił na powrót do czynnej służby, jednak pod warunkiem że przyrzeknie dalej ćwiczyć.

Zinni obiecał.

Wysłano go na Okinawę. To tylko przystanek w drodze do Wietnamu, myślał.

Wiosną 1975 roku ofensywa w Wietnamie załamała się. Amerykańscy obywatele przestali popierać wojnę.

Wietnamscy marines nieźle oberwali w ostatnich bitwach. Niedobitki walczyły jeszcze przez jakiś czas na wzgórzach. Wreszcie marines przestali istnieć\*[\* Tych, którzy przeżyli, osadzano w obozach reedukacyjnych, których nie opuścili przez wiele lat. Kiedy w końcu wypuszczono przyjaciela Zinniego, Hoa, i jego starego dowódcę batalionu, Tri, pozwolono im przyjechać do Stanów wraz z rodzinami.]

### **3. Ostrze włóczni**

W czasie rekonwalescencji Zinni pozostawał nieświadomy tego, że wojna w Wietnamie zakończyła się dla niego z chwilą ewakuacji z gór Que Son.

Do końca grudnia 1970 roku jego stan zdrowia polepszył się na tyle, że można go było przenieść do Camp Hauge na Okinawie - bazy, przez którą musiał przejść każdy żołnierz piechoty morskiej stacjonujący w regionie Zachodniego Pacyfiku (z Wietnamem włącznie). Gdy Zinni tam dotarł, spodziewał się krótkiego pobytu w obozie i szybkiego powrotu do służby w swojej jednostce w Wietnamie. Jednak nowe przepisy, odzwierciedlające coraz poważniejszą redukcję amerykańskich sił



zbrojnych, przekreślały taką możliwość: ponieważ został ranny i ewakuowany na ponad 30 dni, nie zezwolono mu na powrót do walki. Nie mógł również wrócić do Stanów, ponieważ przekonał lekarzy - pomimo ich poważnych zastrzeżeń - by pozwolili mu wrócić do pełnej służby. Wreszcie nie mógł też zostać przydzielony do jednej z jednostek piechoty stacjonujących na Okinawie, takich jak 3. Dywizja Piechoty Morskiej, która niedawno wróciła z Wietnamu, gdyż formacje te mogły zostać przerzucone znów do Wietnamu, Zinni zaś nie mógł tam trafić zgodnie z wcześniej wspomnianym przepisem. Na własnej skórze przekonał się więc, co to takiego paragraf 22.

Zinni spędził więc pozostałe osiem miesięcy rocznej służby w Wietnamie w 3. Pułku Wsparcia Logistycznego, pomocniczej jednostce logistycznej stacjonującej w Camp Foster na Okinawie.

Spodziewał się przytłaczającej nudy. Był w wielkim błędzie.

Baza Camp Foster nie pozwalała się nudzić. Właściwie jeśli życzył sobie bojowej atmosfery, jego życzenie zostało spełnione. Camp Foster okazało się miejscem niewiele różniącym się od prawdziwej strefy walki. A pod wieloma względami było tu nawet gorzej niż w Wietnamie.

Po kilku dniach wypełniania papierków wysłano go wreszcie, by zgłosił się do 3. Pułku Wsparcia Logistycznego. Wszystko, co miał, to zestaw do golenia z darów Czerwonego Krzyża oraz cywilną odzież kupioną za lichy żołd w małym punkcie pocztowym w Camp Hauge.

Po zapadnięciu nocy wyszedł z obozu Camp Hauge przez główną bramę i wezwał miejscową taksówkę, żeby zawiozła go do Camp Foster, gdzie miał się zameldować. Gdy ciasny samochód jechał główną drogą wyspy, Zinniego nawiedzały dręczące myśli o towarzyszach marines w

Wietnamie oraz o rodzinie zostawionej w Stanach. Tęsknił za powrotem do jednych i do drugich.

Okinawa - długa zaledwie na 106 kilometrów i szeroka może na 30 kilometrów - ciągnie się, z grubsza rzecz biorąc, z północy na południe. Na północnym krańcu kraj jest dzikszyszy, porośnięty dżunglą. Gęściej zaludnione obszary leżą na południu. Ludność wyspy to mieszanina Japończyków, Chińczyków i wyspiarzy z Południowego Pacyfiku, a jej historia jest bardzo skomplikowana. Przed II wojną światową wyspa znalazła się pod japońską okupacją, ale wcześniej miała bardzo długie tradycje niepodległościowe. Mieszkańcy Okinawy nigdy nie uważali się za Japończyków, z kolei Japończycy zawsze traktowali ich jak ubogich krewnych. Większość pragnęła odzyskania niepodległości.

W tym czasie wyspa należała wciąż do terytoriów okupowanych przez Stany Zjednoczone i była zarządzana przez amerykańskiego trzygwiazdkowego generała i sytuacja ta oczywiście bardzo nie podobała się wyspiarzom. (Stany Zjednoczone po zakończeniu okupacji zwróciły Okinawę Japonii). Na wyspie dosłownie roilo się od amerykańskich obiektów militarnych, co było kolejną przyczyną poważnych tarć. Jednostki piechoty rozlokowano w najbardziej odległych zakątkach na północy. Bardziej na południe mieściły się podstawowe jednostki taktyczne i logistyczne. Należały do nich obiekty Camp Foster, leżącego w południowej części wyspy nieopodal bazy amerykańskich sił powietrznych Kadena oraz miasta Koza, jednego z dwóch największych na wyspie ośrodków miejskich. Drugim była stolica Naha.

W 1970 roku niegdyś spokojna i urocza wyspa stała się jednym wielkim obozem amerykańskiego wojska. Po zniszczeniach II wojny

światowej nastąpił ogromny napływ amerykańskich żołnierzy, a po nim z kolei doszło do wysypu obskurnych lokali komercyjnych, sklepów, barów, klubów ze striptizem czy lombardów, nastawionych na obsługiwanie żołnierzy. Kobiety, alkohol i narkotyki były łatwo dostępne poza bramami obozów wojskowych.

Gdy taksówka wjechała w obręb miasta Koza, Zinni zauważył w pewnej odległości przed autem płomienie. Wyły syreny. Do czasu gdy dotarli do głównej arterii w centrum miasta, kierowca stał się widocznie podenerwowany. Miał bardzo dobry powód. Zbity, rozjuszony, rozspiewany tłum wyłonił się tuż przed nimi. Wiele osób miało na głowach czerwone, komunistyczne chusty. Przewracane samochody były natychmiast podpalane.

Część demonstrantów, dostrzegłszy taksówkę wiozącą Amerykanina, zaczęła biec w jej kierunku. Nie czekając na instrukcje, kierowca wrzucił wsteczny i ruszył z piskiem opon, po chwili skręcił w boczną uliczkę i następnie pomknął labiryntem małych ulic i zaułków miasta. Przez cały czas szaleńczej jazdy jego pasażer podskakiwał na tylnym siedzeniu. Taksówkarz wyjaśnił łamaną angielszczyzną, że demonstranci byli komunistami z Okinawy, którzy sprzeciwiali się okupacji wyspy. Choć gorączkowo usiłował zapewnić Zinniego, że nic mu się nie stanie, w całym mieście panował chaos. Niemal na każdym zakręcie wpadali na rozszalały tłum, przed którym raz po raz ledwie udawało im się uciec.

W końcu z widoczną ulgą taksówkarz zdołał przedrzeć się na ulicę prowadzącą do Camp Foster.

Jednak uczucie ulgi szybko go opuściło. Wielkie zbiorowisko mieszkańców Okinawy w czerwonych bandanach i z długimi

bambusowymi kijami napierało na łańcuch strażników marines wyposażonych w sprzęt do tłumienia zamieszek. Buntownicy wykorzystywali długie żerdzie niczym kopie do powalania żołnierzy. Taksówka ponownie zawróciła z piskiem opon, gdy kierowca zaczął szukać bezpiecznej drogi do obozu.

Wreszcie trafili na jedną z bram, której akurat nie atakowano, i samochód zatrzymał się w miejscu przeznaczenia. Zinni nagroził kierowcę hojnym napiwkem w uznaniu jego odwagi i umiejętności prowadzenia samochodu.

- Nie osądzaj wszystkich mieszkańców Okinawy na podstawie tego, co widziałeś - rzekł taksówkarz łamaną angielszczyzną, zanim odjechał\*[\* Zinni dowiedział się potem, że tej nocy w czasie ataku komunistów na posterunki amerykańskie w rejonie Kozy spłonęło 85 amerykańskich pojazdów, głównie policyjnych i wojskowych.].

Zinni zameldował się nazajutrz. Ponieważ po ewakuacji nie zostało mu nic z okresu poprzedniego dowództwa, musiał zdobyć nowe mundury i odtworzyć dokumentację. Gdy załatwiał te sprawy, dotarły do niego interesujące i niepokojące informacje dotyczące jego nowego przydziału.

Choć bunt miejscowych poprzedniej nocy okazał się poważny, nie był niczym niezwykłym. Kryzysy na tle rasowym czy też tarcia wynikające z nadużywania narkotyków, które objęły wówczas Stany Zjednoczone, dosięgły również Okinawy. Zwłaszcza napięcia na tle rasowym były bardzo silne. Zagrożenie poważnym wybuchem agresji na wielką skalę wydawało się całkiem realne. W obliczu komunistycznych demonstracji na zewnątrz oraz nader częstych konfliktów rasowych wewnątrz obozu noc w Camp Foster miały być bardzo ekscytujące.

Problemy rasowe dotarły również do miasta. Jedna z dzielnic Kozy, nazywana Buszem, była zdominowana przez członków gangów Bushmasters i Mau

Maus - grup czarnoskórych wojskowych noszących charakterystyczne stroje. Żaden biały żołnierz nie odważył się tam zapuszczać.

Wewnątrz bazy gangi w swoich barwach posuwały się do organizowania manifestacji - przeciwko rzeczywistej lub wyimaginowanej niesprawiedliwości, żeby dać upust złości lub czasem tylko po to, żeby coś zdemolować. Incydenty o podłożu rasowym zdarzały się codziennie. Niektóre miały łagodny charakter, jak przepychanki i obrzucanie się obelgami, ale inne miały bardzo dramatyczny przebieg, jak walki na noże. Dochodziło także do gwałtownych reakcji białych żołnierzy na te konflikty - w stylu zgromadzeń Ku-Klux-Klanu i palenia krzyżów. Ponadto konflikty rasowe nie wybuchały wyłącznie pomiędzy czarnymi i białymi. Latynosi także dorzucali swoje trzy grosze, podobnie jak inne kolorowe mniejszości.

Wśród buntowników znajdowały się grupy zwykłych przestępców: gangsterów lub - dosłownie - morderców. Inne grupy (zwłaszcza działające poza centrami miast) czuły się uciskane i buntowały się nie tylko przeciwko marines, ale wręcz przeciwko całemu porządkowi społeczeństwa i odwiecznemu poniżającemu traktowaniu Afroamerykanów. Inni upatrywali wroga w każdym białym człowieku, a jeszcze inni mieli specyficzne, „militarne” bolączki wszelkiego rodzaju. Jeden szczególnie wielki gang o nazwie Though the Corps przyjmował

stale rosnącą liczbę młodszych czarnoskórych oficerów, ponieważ wyższe rangi oficerskie wciąż były zastrzeżone niemal wyłącznie dla białych. Żołnierze będący w mniejszości mieli powody do niezadowolenia z tej sytuacji.

Tymczasem strażnicy strzegący Camp Foster nie dawali sobie rady z coraz bardziej krwawymi incydentami na tle rasowym. Nie tylko pododdziały 3. Pułku Wsparcia Logistycznego musiały rekrutować niewyszkolonych, a zatem nieefektywnych żołnierzy jako uzupełnienie dla wzmocnienia sił porządkowych, ale 3. Dywizja Piechoty Morskiej, zlokalizowana w obozach na północnym krańcu wyspy, musiała trzymać w pogotowiu specjalne, uzbrojone w długą broń kompanie jako siły reagowania kryzysowego.

Zinni, spacerując po okolicy w przerwach między kolejnymi meldunkami, widział jednostki ćwiczące szyki służące do tłumienia rozruchów i wykorzystujące specjalny sprzęt do poskramiania uczestników zamieszek. Zdawał sobie sprawę, że napięcia na tle rasowym są niezwykle silne w całym wojsku, a sytuację pogarszały rosnące sprzeciwy wobec wojny i poczucie międzypokoleniowej zdrady. Miał też świadomość brutalnych incydentów w Wietnamie i Stanach. Sam zresztą musiał zmierzyć się z niewielkim buntem jako oficer na służbie w swoim batalionie w Camp Lejeune kilka lat wcześniej. Nigdy jednak nie spotkał się z tak poważnymi, gwałtownie narastającymi problemami rasowymi w jednostkach, którymi dowodził.

- To obóz w stanie oblężenia - mówił do siebie. - Siedzimy tu jak na beczce prochu.

Z upływem kolejnych tygodni, gdy Zinniemu przyszło osobiście

zmierzyć się z problemami tego dowództwa, zaczął doceniać głębię zagadnień, z którymi spotkał się wówczas po raz pierwszy.

Nabierająca wyraźnego kształtu spuścizna Wietnamu była oczywistością.

W czasie wojny wietnamskiej zapotrzebowanie na rekrutów było tak wielkie, że werbownicy wysyłali w szeregi wojska ludzi, którzy nigdy nie powinni się w nich znaleźć. Masowo trafiali tu ludzie z powszechnego poboru (nawet Korpus Piechoty Morskiej przyjmował takich poborowych); szkolenie wstępne było zredukowane do minimum; natomiast później awanse następowały zbyt szybko - przy kompletnej ignorancji normalnych procesów wykształcania się kadr dowódczych. Niespodziewanie szybko zwykli żołnierze otrzymywali stopnie wojskowe, do których posiadania mieli zbyt małe doświadczenie. Nie mieli odpowiedniej wiedzy ani nie przeszli treningu niezbędnego do wykonywania złożonych zadań. Wielu sierżantów w rzeczywistości nie miało nic wspólnego z prawdziwymi sierżantami; zaś wielu poruczników, kapitanów, a nawet wojskowych wyższej rangi nie powinno być w tak wysokim stopniu.

Istniały również chybione próby przekształcenia służby wojskowej w wielki program edukacyjny i reformatorski dla rozmaitych wyrzutków i nieudaczników. Prym wśród tego wszystkiego wiódł „Project 100 000” - owoc myśli Roberta McNamary - który sprowadził 100 000 młodych nieudaczników do wojska w nadziei, że dzięki temu uda się naprawić społeczeństwo. Ale to nie mogło się sprawdzić. „Project 100 000” po prostu przerzucił problem całego społeczeństwa na wojsko. Jakby tego było mało, sędziowie często wykorzystywali doraźne skierowanie

człowieka do wojska jako alternatywę wobec posłania go do więzienia lub zakładu poprawczego.

Skutek tego było opłakany. Wojsko musiało przyjmować żołnierzy nieodpowiadających żadnym standardom, którzy nie byli w stanie poradzić sobie z wymogami służby.

Na dodatek silnym piętnem na wojsku odcisnęła się rosnąca popularność narkotyków. W Camp Foster - i w każdym innym obiekcie wojskowym - liczba żołnierzy przyłapanych, leczonych i wydalonych ze służby z powodu brania narkotyków stale rosła. Miało to być pierwsze doświadczenie Zinniego w zmaganiach z narkomanią na wielką skalę. Tak jak dla innych przywódców jego pokolenia, narkotyki były dla niego czymś obcym. Starał się zrozumieć to zjawisko.

- Co sprawia, że tak wiele osób chce krzywdzić się w ten sposób? - pytał samego siebie raz po raz. - Czy piwo już nie wystarcza?

W Stanach noszenie munduru nie cieszyło się popularnością. Nikt nie wracał do ojczyzny jako bohater wojenny; nie organizowano żadnych wielkich parad z serpentynami i konfetti. Trudno było w ogóle znaleźć Amerykanów, którzy sami wybrali walkę w Wietnamie. Większość, która tam służyła, została wysłana przymusowo.

Po spełnieniu wszystkich biurokratycznych wymogów i odbyciu spotkań z dowódcami Zinni dostał przydział służbowy jako dowódca Kompanii Służb Pomocniczych (HSCS) pułkowego Batalionu Zaopatrzenia - było to jego czwarte dowództwo kompanii. Ponieważ takie dowództwo stanowiło istotę bycia kapitanem marines, czuł zadowolenie przynajmniej z tej jednej rzeczy.

Kompania H&S, jak ją skrótowo określano, stanowiła zbieraninę



żołnierzy z różnymi wojskowymi specjalizacjami zawodowymi\*[\* Zwanymi MOS - Military Occupational Specialities.] i umiejętnościami technicznymi, którzy pracowali w wielu oddziałach całego batalionu. Specjaliści od komputerowego przetwarzania danych, kucharze, mechanicy samochodowi, ludzie zajmujący się utrzymaniem i porządkowaniem bazy, a także wielu innych specjalistów - wszyscy byli przydzieleni do Kompanii H&S dla określonych potrzeb administracji i dowództwa oraz ze względu na konieczność wojskowego szkolenia i zwiększania ich sprawności bojowej (ponieważ należeli do marines, spodziewano się, że potrafią strzelać), ale poza tym wszyscy oni codziennie pracowali w różnych własnych biurach i warsztatach.

Dla Zinniego było jasne, że taką kompanią ciężko się dowodzi i trudno jej wpoić poczucie wspólnoty całej jednostki. Choć było to niełatwe wyzwanie, zdecydował się podjąć, starsi oficerowie zaś wsparli go dobrymi radami.

- To trudny przydział dla pełnego zapędu, młodego oficera piechoty - powtarzali mu. - Ale, tak jak wszyscy pozostali marines, ludzie ci posłuchają dobrego dowódcy. Najważniejsze, żebyś nie okazał im swego niezadowolenia z powodu tego, że jesteś w jednostce nienależącej do twojej specjalizacji. Poza tym takie doświadczenia dadzą ci wyjątkową okazję do nauczenia się czegoś o różnych funkcjach logistycznych pełnionych przez tę jednostkę. Wiedza taka nie zaszkodzi ci w przyszłości.

Zinni robił, co w jego mocy, żeby wykorzystać tę radę, odsunąć od siebie poczucie rozczarowania i dać się pochłonąć pracy.

W odróżnieniu od dowolnej kompanii piechoty, gdzie poczucie wspólnoty i dumy z przynależności do danego oddziału jest silne niejako

w naturalny sposób, kompania H&S przypominała raczej worek, do którego wszystkich wrzucono przypadkowo. Nikt nie odnosił wrażenia, że do niej przynależy.

Komputerowcy myśleli o sobie jako o komputerowcach, mechanicy samochodowi zaliczali siebie do mechaników samochodowych, kucharze identyfikowali się z kuchnią i kantyną, a żaden z nich nie postrzegał kompanii H&S jako czegoś więcej niż sztuczny twór biurokratyczny.

Jednak Zinni, wywodzący się z jednostki piechoty, chciał spróbować wytworzyć w tych ludziach świadomość wspólnoty i poczucie dumy z przynależności do oddziału. Wiedział, że nie będzie to łatwe. Nie tylko wszyscy dzień w dzień rozchodzili się do własnych zajęć, ale też istniały spore tarcia pomiędzy kompanią i miejscami ich pracy.

Na przykład wszyscy marines musieli spełniać specyficzne wojskowe wymogi. Musieli ćwiczyć strzelanie. Musieli utrzymywać dobrą kondycję fizyczną. Musieli nadawać się do prawdziwej walki. Na Zinnim jako na kapitanie ciążył obowiązek dopilnowania, że będą skuteczni w tych elementach służby wojskowej. Wszystko szło świetnie do chwili, aż szef centrum przetwarzania danych w stopniu podpułkownika doszedł do przekonania, że takie treningi kolidują z pracą jego podopiecznych zajmujących się komputerową obróbką danych.

Zinni starał się jak mógł, by zminimalizować takie konflikty i wypracować jakiś rodzaj wzajemnego porozumienia; ale w rzeczywistości nie można było wyeliminować ich całkowicie. Każdy tydzień miał tyle godzin, ile miał, więc w tej sytuacji mogła wygrać tylko jedna strona.

W celu wytworzenia poczucia wspólnoty i dumy w ludziach ze

swojej jednostki Zinni uczestniczył w ich zadaniach na tyle, na ile tylko mógł, żeby mogli go poznać, a jednocześnie żeby on sam mógł dowiedzieć się, co nimi powoduje. Zorganizował więcej grupowych imprez w obrębie kompanii, takich jak wspólne gry sportowe czy grillowanie. Starał się ze wszystkich sił dbać o dobre samopoczucie fizyczne i psychiczne żołnierzy, okazać im szczerze zainteresowanie i dowieść, że nie jest typem biurokratycznego zwierzchnika, ale prawdziwym dowódcą kompanii.

Błogosławieństwem dla Zinniego byli wspierający go podwładni - zadziorny, zdecydowany i odpowiedzialny pierwszy sierżant, który przeszedł przez Wietnam; świetny sierżant zbrojmistrz, który skończył amerykańską wojskową Akademię Sprawności Fizycznej i był instruktorem musztry oraz należał do drużyny strzeleckiej marines i wreszcie świetny zastępca dowódcy, młody porucznik.

W ciągu kolejnych tygodni i miesięcy Zinni stworzył kompanię, jednostka zaczynała stanowić spójną grupę ludzi.

Ale wciąż miał wiele zmartwień. Nie był tak naiwny, by wierzyć, iż żaden z jego podopiecznych nie należy do gangu i nie uczestniczy w demonstracjach i zamieszkach. Niektórzy żołnierze nie potrafili udawać, inni mieli poważne problemy z nadużywaniem narkotyków. Jednak ogólnie rzecz biorąc, w większości przypominali regularnych marines potrzebujących rozsądnego przywództwa, kogoś, kto pokierowałby nimi i zadbałby o nich; i na to wszyscy byli gotowi zapracować. W końcu ta wspólna praca zaowocowała podniesieniem morale, zwiększeniem się dyscypliny, a także poczucia tożsamości i dumy w obrębie kompanii.

Wiosną 1971 roku narastające napięcia rasowe w końcu doprowadziły do wybuchu. Przez całą zimę coraz częściej dochodziło do

konfrontacji, jednostka wartownicza zaś w coraz mniejszym stopniu dawała sobie radę z tego rodzaju incydentami. Wielki wybuch był nieunikniony.

Zinni znajdował się w swojej kwaterze oficerskiej, wypoczywając po ciężkim dniu, gdy zadzwonił telefon. Nieopodal obszaru jego kompanii wybuchły zamieszki. Strażnicy ścierali się z czarnoskórymi żołnierzami noszącymi kurtki z logo jakiegoś gangu. Zapanował chaos.

Zinni, gdy tylko dotarł do kwatery swojej kompanii, polecił, żeby zabezpieczono drzwi i sprawdzono liczebność ludzi. Szczęśliwie tylko kilku jego żołnierzy było poza kwaterami. Po powrocie tych, którzy byli na przepustce, Zinni zabronił wszystkim pozostałym wychodzenia przez resztę wieczoru. Nie chciał, by jego podopieczni znaleźli się w pobliżu miejsca zamieszek. Zdawał sobie sprawę, że niektórzy mogliby zechcieć wziąć udział w konfrontacji, ale nie chciał też, żeby trzymający się na uboczu gapie dodatkowo zwiększali panujący bałagan.

W nocy panowała atmosfera napięcia. Zamieszki miały coraz gorszy przebieg, zaś wartownicy obozowi tracili kontrolę. Część z ich oddziałów, pozostających w mniejszości, przyłączyła się do buntowników lub po prostu zbiegła.

W koszarach Zinni i jego ludzie rozmawiali tylko i wyłącznie o buncie, nasłuchiwali, jak sytuacja wymyka się strażnikom spod kontroli - dochodziły ich krzyki i odgłosy walki, a wszystko potwierdzały telefoniczne raporty. Buntownicy usiłowali wdrzeć się do koszar i przeciągnąć na swoją stronę niektórych marines Zinniego. Ale zostali odprawieni z kwitkiem.

W końcu wezwano oddziały żandarmerii wojskowej i sił reagowania

kryzysowego, żeby zaprowadziły porządek w obozie.

Nazajutrz rano można było stwierdzić, że rozmiary zniszczeń są bardzo poważne. Izba chorych pękała w szwach od rannych żołnierzy.

Wieczorem w kantynie oficerskiej część młodszych oficerów rozmawiała o buncie, kiedy Zinni - oszołomiony nieco kilkoma piwami - popełnił spory błąd, pozwalając sobie na opinię na temat niezbyt udanej interwencji wartowników.

- Potrafiłbym stworzyć jednostkę wartowniczą, która byłaby w stanie poradzić sobie bez trudu z problemami takimi jak wczorajsze - chełpił się.

Jego słowa dotarły do dowódcy pułku, który wezwał go w celu złożenia wyjaśnień w tej sprawie.

Następnego ranka zakłopotany młody kapitan stanął na dywaniku przed biurkiem pułkownika.

- Podobno twierdzisz, że potrafisz zmusić wartowników do uporania się z sytuacją - rzekł pułkownik, taksując go spojrzeniem.

- Tak powiedziałem, sir - przyznał Zinni.

Gdy już zaczynał składać przeprosiny za ten wybryk, pułkownik wszedł mu w słowo.

- Dobrze, zostałeś więc nowym dowódcą kompanii wartowniczej.

- O cholera - mruknął Zinni pod nosem, przeklinając samego siebie za pijacką paplaninę w kantynie.

- Daję ci wolną rękę - ciągnął pułkownik. - Możesz zorganizować wartowników, jak tylko chcesz. Masz dzień do zastanowienia się nad tym, co chcesz zrobić. Przyjdź potem do mnie ze swoimi pomysłami.

To trafiło do Zinniego. Takie podejście mogło uczynić niemożliwe zadanie możliwym.

Spędził resztę dnia na rozmyślaniach nad zmianami, które mogłyby się sprawdzić.

Następnego dnia przedstawił swoją propozycję. Chciał 100-osobowego oddziału strażniczego, składającego się w całości z ochotników o zróżnicowanej przynależności rasowej. Każdy musiał mieć ponad 180 centymetrów wzrostu i ważyć ponad 90 kilogramów (Zinni był w tym wypadku niższym i lżejszym „wyjątkiem”); poprosił również o zgodę na odbycie rozmowy z każdym żołnierzem, który mógłby zostać dobrym członkiem straży.

Konkretna liczba wartowników, którą podał, nie była podyktowana jakimś określonym powodem. Zinni żądał po prostu zwiększenia składu oddziału wartowniczego w stosunku do obecnej liczebności, chciał bowiem mieć jednostkę, która uporałaby się z każdym możliwym do wyobrażenia incydentem bez konieczności zasilania jego szeregów przez słabo wytrenowanych żołnierzy. Ale przygotował też wiele innych praktycznych pomysłów, które należało opracować, takich jak liczba wart, posterunków i godziny, w których trzeba było zachować szczególną czujność.

Pułkownik miał wątpliwości, czy Zinni zdoła zebrać 100 ochotników, a zwłaszcza 100 ludzi o zróżnicowanej przynależności rasowej. Zinni zresztą miał podobne wątpliwości, ale zamierzał przynajmniej spróbować.

- Zabieraj się więc do tego - oznajmił mu wreszcie pułkownik. - Zobaczymy, co wskórasz.

Odzew był ogromny - zwłaszcza w przypadku zadowolonych z takiego rozwiązania Afroamerykanów, Latynosów i innych żołnierzy

należących do mniejszości etnicznych. Nikt nie przypuszczał, że tak wielu ludzi ma dosyć całej tej koszmarnej sytuacji. W ciągu dwóch dni Zinni z łatwością zebrał setkę ludzi - bez wyjątku bardzo dobrych marines.

Między innymi udało mu się przekonać do przyłączenia się do niego sierżanta zbrojmistrza z Kompanii H&S Bobby Jacksona, Afroamerykanina i wzorowego żołnierza piechoty morskiej. Objął on funkcję jednego z dwóch szefów służby wartowniczej. „Gunny” Jackson odbywał swoją służbę głównie jako instruktor musztry, znakomity snajper oraz nauczyciel w Akademii Sprawności Fizycznej Piechoty Morskiej, a wkrótce miał otrzymać awans na starszego sierżanta. Zinni od pierwszego wejrzenia rozpoznał jego znakomite zdolności dowódcze i czuł, że czarnoskóry urodzony przywódca odegra kluczową rolę przy formowaniu nowej straży.

Na drugiego szefa straży wybrał sierżanta zbrojmistrza Dicka DeCostę, wielkiego, ważącego 125 kilogramów żołnierza piechoty morskiej, który czasowo został mianowany oficerem na okres wojny w Wietnamie; ostatnio, wraz z dogasaniem działań wojennych, cofnięto mu ten stopień. DeCosta spędził większą część swojej żołnierskiej kariery na Wschodzie, ożenił się z Chinką i był ekspertem w zakresie wschodnich sztuk walki. Miał trzeci dan w judo i był mistrzem judo marines w wadze ciężkiej\*[\* DeCosta wziął później Zinniego pod swoje skrzydła. Powiedział mu kiedyś: „Kiedy przebywasz na tej wyspie, możesz zachowywać się jak wszyscy inni marines, możesz chodzić na miasto i bawić się tam jak w wielkim barze. Lub też możesz zacząć wchłaniać całą tę obcą kulturę. Chętnie oprowadziłbym cię po tym miejscu jako twój przewodnik”. DeCosta zabierał Zinniego w miejsca, o których wiedziała

garstka Amerykanów, takich jak domy gejsz - prawdziwe domy gejsz, a nie burdele. Oprowadzał go po miejscach zabytkowych i historycznych. Przedstawił go miejscowym rodzinom i swoim licznym przyjaciołom - wielu z nich było ekspertami w dziedzinie sztuk walki, którzy zapoznali Zinniego z niefizycznymi walorami tych sztuk - aspektami mentalnymi i „duchowymi”. Zinni przyjmował to z prawdziwą fascynacją.]

Na swoich dwóch poruczników wybrał wyjątkowo bystrego i dynamicznego czarnoskórego oficera oraz pewnego amerykańskiego Żyda z Nowego Jorku.

Plan Zinniego nie polegał na stworzeniu zwyczajnych sił reagowania kryzysowego, ale na uczynieniu z każdego wartownika wyrazistego wzoru lojalności wobec jednostki oraz wysokiego morale. Chciał, żeby wszyscy przekonali się, iż zróżnicowana grupa ludzi potrafi sprawnie współpracować i dobrze się bawić wspólnie. Ale dążył również do tego, żeby wszyscy zrozumieli, że są oni zdolni nabić kilka guzów, jeśli tylko zajdzie taka konieczność. Zamierzał uprzytomnić wszystkim możliwości nowej straży obozowej - zastosował więc operacje psychologiczne wymierzone przeciwko wywrotowcom.

Członkowie nowej kompanii wartowniczej odbywali swoje ćwiczenia fizyczne na oczach wszystkich, w takich porach, żeby każdy mógł się im dobrze przyjrzeć - żeby nikt nie zapominał o prostym fakcie, iż są to silni, twardzi faceci, którzy dźwigają wielkie ciężary i jednocześnie doskonalią się w sztukach walki. Nowi strażnicy zawsze biegali przez koszary dwukrotnie, śpiewając i robiąc mnóstwo hałasu. Ćwiczyli szyki formacji służących do tłumienia rozruchów na wielkim placu apelowym obozu, tam gdzie byli doskonale widoczni. Ustawiali



beczki, które miały naśladować buntowników, po czym sprowadzali ciężarówkę z działkiem wodnym i potężnym strumieniem przewracali beczki. Zinni na ogół kazał zostawiać beczki tam, gdzie upadły, tak żeby potem żołnierze mogli podejść do nich i je obejrzeć. Chciał, żeby myśleli: „To mógłbym być ja”. I tak właśnie myśleli.

Ponadto Zinni zapraszał poszczególne pododdziały stacjonujące w obozie na specjalne „ćwiczenia tłumienia zamieszek”. Wartownicy sprowadzali daną jednostkę - powiedzmy kompanię zaopatrzeniową - i wyjaśniali jej członkom, że mogą oni zostać wezwani jako posiłki do wzmocnienia straży obozowej, a więc muszą przejść odpowiednie szkolenie, żeby zrozumieć, jak wartownicy mają postępować z buntownikami.

Zinni tak naprawdę nie miał zamiaru używać tych jednostek jako posiłków; chciał tylko dać im do zrozumienia, jak brutalnie strażnicy mogą potraktować każdego, kto przyłączy się do buntu.

Choć wszystkie te operacje psychologiczne sprawdzały się zgodnie z planem, Zinni wiedział, że to nie uchroni strażników przed realnymi sprawdzianami ich sprawności.

Pierwsze tygodnie organizowania nowej straży były pełne demonstracji i konfrontacji, które wymagały zaangażowania całych sił wartowniczych obozu z grubsza co trzeci dzień. Niekiedy demonstracje miały brutalny przebieg. W trakcie jednego incydentu żołnierz ze straży został dźgnięty nożem; wielu innych miało liczne rany cięte i siniaki. Jednak tego rodzaju obrażenia nie przeszkodziły wartownikom w tym, żeby powstrzymać, kontrolować i szybko kończyć każdy taki incydent.

Jak można było przewidzieć, członkowie sił wartowniczych należący

do kolorowych mniejszości otrzymywali pogróżki od gangów. Nie ustępowali jednak, mimo iż niekiedy tak naprawdę nawet zgadzali się z niektórymi skargami buntowników.

Gdy pewien bardzo inteligentny czarnoskóry podoficer zgłosił się na ochotnika do straży, Zinni zapytał go o powody takiej decyzji.

- Ktoś musi zwiększyć dyscyplinę i może nawet rozbić parę głów. To jest nieuniknione. To, co oni robią, jest złe. Jednak mimo iż walczą o swoje prawa w niewłaściwy sposób, podzielam wiele poruszanych przez nich kwestii. Wiem doskonale, o co im chodzi. To moi bracia, ale trzeba z nimi zrobić porządek. Ja zaś wolę być po drugiej stronie, żeby upewnić się, iż sprawy nie posuną się za daleko i że problemy będą rozwiązywane we właściwy sposób, że siła będzie stosowana z rozsądkiem.

- Właśnie takich ludzi mi trzeba - odparł mu Zinni.

Integracja grupy wartowników nie odbywała się bynajmniej w sposób naturalny; wymagało to wielkiego nakładu pracy. W tamtych czasach w przypadku młodych ludzi wstępujących do marines czymś naturalnym była raczej separacja rasowa. Nawet gdy Zinni zdołał zintegrować kompanię wartowniczą, nadal pojawiały się groźby, i to nie tylko ze strony członków mniejszości. Częściowo więc ze względów bezpieczeństwa, a częściowo dlatego, żeby pokazać, iż działania Zinniego są godne naśladowania, kompania wartownicza miała własne bary i miejsca spotkań po godzinach - stanowiła jedyną zwartą grupę żołnierzy na Okinawie, spędzającą wspólnie czas także na przepustkach. To zwróciło uwagę bardzo wielu osób, w tym również tubylców. Niektórzy rodowici mieszkańcy Okinawy twierdzili, że były to jedyne miejsca, w których widzieli białych, czarnych, Latynosów czy Samończyków

siedzących ramię w ramię i utrzymujących kontakty towarzyskie jak na prawdziwych przyjaciół przystało.

Jak to ujął sam Zinni, jego polityka od początku polegała na tym, żeby:

Reagować na każdy incydent przy użyciu żołnierzy wszystkich ras. To znaczy, poleciłem zorganizować straż w taki sposób, żeby niezależnie od wszystkiego w celu opanowania sytuacji wysyłać żołnierza czarnego, białego, latynoskiego i samońskiego - grupa taka zawsze była wielokolorowa.

Kiedy nie udawało nam się tak dobrać ludzi, zawsze potem żałowaliśmy.

Pewnego dnia doszło do incydentu w izbie chorych. Lekarze z marynarki wojennej powiadomili nas, że pewien hospitalizowany u nich żołnierz wpadł w szal, szamotał się, roztrzaskując rzeczy i grożąc wszystkim. Okazało się, że rozszalały dzieciak miał problemy psychiczne spowodowane pewnymi tragicznymi przejściami. Okazało się także, że był czarnoskóry.

Tego dnia jednak mój dyżurny sierżant do rozwiązania problemu posłał czterech białych marines.

Kiedy czterej wartownicy dotarli do izby chorych, znaleźli w niej szalejącego żołnierza w sali rekreacyjnej ze stołem do bilardu i automatami do napojów, który trzymał w garści kij bilardowy i groził, że stłucze każdego, kto się zbliży.

Czterej wartownicy zrobili dokładnie to, co uczyniliby normalnie, żeby się zająć takim delikwentem. Chwycili go, skuli i powalili na ziemię, podczas gdy chłopak wciąż wściekle wierzgał nogami i usiłował stawiać

im opór. Następnie strażnicy zanieśli go do jeepa, żeby przewieźć go do tymczasowego aresztu do chwili przetransportowania do szpitala.

Tak się złożyło, że było wówczas samo południe - przerwa na jedzenie - tak więc mnóstwo ludzi wychodziło z budynków mieszkalnych i warsztatów. Kiedy czarni marines zobaczyli, jak czterej biali wartownicy dręczą ich pobratymca, ciskają go na siedzenie jeepa i wiozą do aresztu, wywołali zamieszki.

Gdy wróciłem do biura wartowni po lunchu, ujrzałem sporą liczbę czarnoskórych marines otaczających miejsce zdarzenia. Natychmiast zacząłem zachodzić w głowę, jak mogło do tego dojść, i zastanawiać się, jak zażegnać problem.

Czarnoskórzy żołnierze wybrali przywódcę - starszego szeregowego, którego nazywali Superman, ponieważ był zbudowany niczym Arnold Schwarzenegger. Facet, który rzeczywiście przypominał Herkulesa, zbliżył się i zmierzył mnie wzrokiem, przekonany, że spuściliśmy łomot jednemu z jego braci. (Oczywiście wciąż nie miałem bladego pojęcia, co zaszło).

Pogadaliśmy przez chwilę i pomyślałem, że może jakoś uda mi się załagodzić sytuację, gdy zjawił się „Gunny” DeCosta, który natychmiast stwierdził, że nie podoba mu się sposób, w jaki zwracał się do nas ten drab. Rzucił się na niego i błyskawicznie go powalił. Ta akcja wstrząsnęła wszystkimi i pozwoliła nam zapanować nad sytuacją. Dzięki takim incydentom przekonaliśmy się, jak sprawnie radzić sobie z kłopotami i jak szybko rozładowywać napięcia.

Zinni studiował i stosował metody tłumienia zamieszek w taki sam sposób, jak wcześniej uczył się metod walki zbrojnej. Zainspirowany

przez „Gunny’ego” DaCostę wraz ze strażnikami trenował kendo, czyli walkę na kije (z wykorzystaniem pałek), a także inne elementy wschodnich sztuk walki.

Zinni zachęcał do wprowadzania innowacji i eksperymentowania w jednostce i jego strażnicy wypracowali nowe, kreatywne metody poskramiania buntowników. Jeden z wielkich problemów można było streścić w pytaniu: Jak zidentyfikować sprawców po zakończeniu zamieszek? Kiedy wybucha bunt, chodzi o to, żeby go stłumić. Kiedy to w końcu następuje, buntownicy rozpraszają się, a następnego dnia zjawiają się na swoich stanowiskach pracy, nie wyróżniając się niczym szczególnym spośród swoich kolegów.

Ostateczne rozwiązanie tego problemu polegało na napełnieniu kanistrów paliwowych na ciężarówce roztworem zawierającym niezmywalny niebieskawy barwnik, który wykorzystuje się do stemplowania mięsa (dostarczyli go ludzie z zaopatrzenia medycznego). W trakcie zamieszek wartownicy pryskali na wszystkich tym właśnie roztworem. Nazajutrz przeszukiwali koszary i wyławiali wszystkich, którzy mieli fioletowe plamy.

Z biegiem czasu trzeba było przyswoić sobie nowe lekcje.

Przede wszystkim było zbyt wielu słabych dowódców.

Choć żadna jednostka w Camp Foster nie była wolna od tego problemu, Zinni nauczył się przewidywać, gdzie napotka największe kłopoty, poprzez identyfikację najslabszych dowódców. Nie powinien dziwić fakt, że najgorsze incydenty wybuchały z udziałem żołnierzy z oddziałów mających najslabsze dowództwo... Problem ten z pewnością wyplýwał ze strat personelu związanych z wojną i zintensyfikował się,

kiedy oficerowie z bardziej technicznymi wojskowymi specjalizacjami zawodowymi nagle musieli zmierzyć się z poważnymi kryzysami dowódczymi, z którymi po prostu nie potrafili sobie poradzić.

Kolejna, znacznie ważniejsza lekcja: wartość otwartego dyskusowania problemów z żołnierzami jest ogromna.

W tamtych czasach amerykańska piechota morska dopiero zaczynała wprowadzać szkolenia z zakresu stosunków międzyludzkich - usiłując propagować ideę, że sam fakt, iż ktoś ma inny kolor skóry, inaczej się ubiera lub słucha innej muzyki, wcale nie oznacza, że radykalnie różni się od ciebie lub kogokolwiek innego. Wciąż wszyscy macie te same podstawowe wartości. Dowództwo starało się wpoić wszystkim żołnierzom piechoty morskiej zrozumienie i szacunek dla tych odmienności, nawet jeśli musiało nakłaniać ich do szukania w sobie uprzedzeń, z których nie zdawali sobie sprawy - podświadomych, automatycznie tworzonych stereotypów, z którymi się wychowywali.

Tego rodzaju szkolenia wprowadzano z trudem, a niekiedy też z poważnymi błędami. Na przykład próbowano urządzać „noce stawy duchowej” w kantynie, ze smażonymi kurczakami, potrawką z kaszy kukurydzianej i flakami wieprzowymi, a wszyscy sądzili, że to jakiś dziwaczny żart. Początkowo szkolenia były na ogół źle przeprowadzane. Ale mimo to skłoniły do dialogu i szczerych dyskusji o różnych problemach. Jeśli dyskusje takie były dobrze prowadzone, a żołnierze mogli konstruktywnie rozmawiać o swoich niepokojach, to procentowały one tak, że z czasem zyski przeważały nad pierwotnie słabą koncepcją całego programu.

Stało się tak dzięki temu, że niezależnie od trudnego startu u

podstawy treningu relacji międzyludzkich organizowanego przez Korpus Piechoty Morskiej legła słuszna idea. Dowództwo starało się najlepiej, jak umiało, dotrzeć do źródeł problemów i nie poddawało się, wciąż podtrzymując wysiłki - tak długo, jak długo było trzeba, żeby program zaczął działać.

Wymagało to wielu lat.

Nie trzeba dodawać, że pojawiał się spory opór wobec tego programu. Starzy zatwardziali marines nie lubili go. Mawiali: „To jakieś śmierdzące gówno, którego nie potrzebujemy. Zapomnij o bzdurach rasowych. Nie ma czarnych ani białych marines. Wszyscy są zieloni. Wystarczy trochę prawdziwej dyscypliny, żeby rozwiązać wszystkie te problemy”. Na szczęście dowództwo marines łączyło ściśle przestrzeganie i zachowywanie swoich standardów z bardziej otwartymi środkami komunikacji.

W wyniku tego jakość treningu interpersonalnego wzrastała i spotykał się on z coraz powszechniejszą akceptacją. Nie zawsze, ale od czasu do czasu żołnierze uwalniali swoje napięcia, wyrzucali z siebie to, co ich naprawdę gryzło, i nawiązywali głęboki wzajemny kontakt.

W końcu gdy pozytywne zmiany stały się normą, potrzeba takiego szkolenia zniknęła. Wielu musiało odetchnąć z ulgą, gdyż postrzegali je jako coś upierdliwego.

Ale nie była to wcale oznaka niepowodzenia, lecz raczej sukcesu.

Druga strona całej procedury była taka, że pozwalała ona usunąć ludzi stwarzających prawdziwe problemy - zbirów, osoby o zbyt radykalnych poglądach czy też nadpobudliwe i agresywne. Najlepszym rozwiązaniem w przypadku takich delikwentów był tymczasowy areszt, a

następnie odesłanie samolotem z powrotem do Stanów Zjednoczonych i więzienie. Ale piechota morska wypracowała również sposoby pozbywania się mniej groźnych wichrzycieli bez odwoływania się do długotrwałego procesu karnego. Wprowadziła bowiem rozwiązanie nazwane szybkimi zwolnieniami. Oznaczało ono, że ludziom dawano możliwość wyboru - mogli odejść ze służby na zwykłych warunkach, a więc uniknąć prawnych procedur karnych i obciążeń związanych ze zwolnieniem dyscyplinarnym. Było to łatwiejsze dla wszystkich stron.

W latach 70., gdy szeregi marines z okresu tuż po wojnie wietnamskiej stopniały, piechota morska z coraz większymi sukcesami wychwytywała tych, którzy pochodzili z „Projektu 100 000” oraz inne osoby, które nie pasowały do wojska lub miały chroniczne problemy z przystosowaniem się do służby.

Tymczasem kilka tygodni rozsądnych i skutecznych starań nowej służby wartowniczej powstrzymało zamieszki i demonstracje w Camp Foster, zaś wartownicy Zinniego stali się niezwykle popularni. Do kompanii chciał teraz dołączyć nawet niejedyn dowódca. Była to teraz jednostka elitarna, najlepsza w całej bazie.

Osiem miesięcy, które Zinni spędził w 3. Pułku Wsparcia Logistycznego, jak później sobie uprzytomnił, były najtrudniejszymi w całej jego karierze w Korpusie Piechoty Morskiej. Nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie musiał zmierzyć się z walkami marines przeciwko marines; w Camp Foster musiał radzić sobie z takimi konfliktami niemalże dzień w dzień. Nie wspominając już o zakresie przemocy, która czyniła bazę logistyczną niemalże polem bitewnym. To były trudne wyzwania dla pełnego zapału, oddanego pracy młodego oficera piechoty morskiej. Z



drugiej strony, mógł on opuścić obóz Camp Foster z większą pewnością siebie. Natknął się tam na najgorszy problem, jaki mógł spotkać marines, jak również pozostałą część wojska, i wiedział, że można się z nim uporać.

Opuścił 3. Pułk Wsparcia Logistycznego w sierpniu 1971 roku, miesiąc później zaś zgłosił się do 2. Dywizji Piechoty Morskiej w Camp Lejeune, w Karolinie Północnej. Wrócił do służby w macierzystej jednostce.

### **Powrót do piechoty**

Kiedy Zinni zameldował się w 2. Dywizji Piechoty Morskiej, odrzucił uprzejmą propozycję oficera kadrowego, by zrobił sobie przerwę po dwóch ciężkich okresach wietnamskiej służby i odniesieniu niebezpiecznych dla życia ran. Nie chciał niewymagającej pracy biurowej, wolał znaleźć się w kompanii strzelców piechoty, gdzie toczyła się prawdziwa akcja - w sercu marines. Nie było niczego bliższego istocie piechoty.

- W porządku, załatwione, jeśli tego chcesz - oznajmił mu oficer kadrowy.

I posłał Zinniego do 1. Batalionu 8. Dywizji Piechoty Morskiej. Z kolei dowódca batalionu zaproponował mu dowództwo Kompanii D, która w tym czasie była w stanie kadrowym\*[\* Ze względu na braki kadrowe w okresie po wojnie wietnamskiej wiele jednostek zostało zredukowanych do tak zwanego „stanu kadrowego”, czyli stanu bez żołnierzy, a zaledwie z garstką administracji w celu zachowania dokumentacji i utrzymania wyposażenia. Z biegiem czasu Korpus Piechoty Morskiej ponownie uzupełniał swoje szeregi.]

Kompania D miała zostać zasilona nowymi rekrutami w ciągu

najbliższych tygodni.

Zinni był zachwycony. Miał objąć dowództwo szóstej już kompanii i była to kompania strzelców.

Kompania strzelców amerykańskiej piechoty morskiej składała się zazwyczaj z trzech plutonów piechurów - zwanych plutonami strzelców - oraz plutonu uzbrojenia, który dysponował obsługiwana przez kompanię bronią: wówczas były to 60-milimetrowe moździerze, karabiny maszynowe M-60 i zazwyczaj broń przeciwczołgowa. Liczba ludzi w kompanii różniła się w zależności od rozmaitych zmian organizacyjnych i fluktuacji personalnych. Zinni znalazł się w kompanii 120-osobowej, stanowiło to zaledwie cień 250-osobowej jednostki, którą dowodził w Wietnamie, ale było to znakiem czasów.

Miał teraz okazję zdobyć nowe doświadczenie w dowodzeniu kompanią strzelców, jak również wypróbować w praktyce wiele nowych pomysłów szkoleniowych, które zrodziły się z jego doświadczeń wietnamskich oraz lektur na temat wojskowości - od podręczników technicznych po książki biograficzne i historyczne. Tak jak większość dowódców, chciał stworzyć najlepszą, najskuteczniejszą pod względem taktycznym kompanię w całej dywizji, ale także niekłamaną przyjemność sprawiało mu przekazywanie innym umiejętności, do których doszedł sam metodą prób i błędów, obserwacji i analiz.

Szkolenie dowolnej kompanii ma wiele stron. Oczywiście prowadzi się trening z bronią i naukę taktyki, ale ponadto wprowadza się bardziej wyspecjalizowane szkolenia na wypadek walk w trudnych warunkach zimowych\*[\* Korpus Piechoty Morskiej zgodnie z umową zimnowojenną powinien rozmieścić żołnierzy w Norwegii powyżej koła

podbiegunowego, w wypadku gdyby wybuchła prawdziwa wojna.], na pustyni lub w terenie górzystym; ćwiczenia z udziałem czołgów i broni pancernej, a także ćwiczenia operacji desantowych (zwłaszcza przed planowanym rozwinięciem sił). Niektóre rodzaje treningu były standaryzowane, inne natomiast unikatowe, a zależało to od tego, jaką specjalną misję lub rozwinięcie sił zaplanowano dla danej jednostki.

Kompania Zinniego przechodziła je wszystkie - trening w warunkach mrozu w 30-centymetrowej warstwie śniegu w stanie Nowy Jork, symulacją walki w dżungli w lasach tropikalnych Panamy czy też ćwiczenia operacji desantowych na Karaibach. Te ostatnie były pierwszym poważnym doświadczeniem

Zinniego z przeprowadzeniem typowej misji marines, która okazała się również najbardziej złożoną ze wszystkich operacji militarnych. Obejmowała ona transfer sił zbrojnych z okrętu na inny środek transportu (lądowego lub powietrznego), a następnie przewiezienie ich w ściśle wyliczonym czasie i w zsynchronizowany sposób na miejsce lądowania na obcej plaży pod ostrzałem wroga i wreszcie utworzenie przyczółka na wybrzeżu. Cała operacja - od zejścia z pokładu okrętu, poprzez coś, co nazywa się „manewrem lądowania desantu na brzegu”, po akcję zbrojną - musiała zostać przeprowadzona jako jeden gładki, płynny proces. Z pomocą ataku lotniczego i ostrzału z dział okrętowych dla wsparcia jednostek desantowych trzeba było przenieść kontrolę nad operacją z okrętów na ląd, niezbędne było uwzględnienie logistyki, zapasów i sprzętu. Zgranie tego wszystkiego polega na opanowaniu niezwykle wielkiej złożoności i wymaga równie złożonego planowania (tabele

sekwencji desantu, rozkład ataków lotniczych, harmonogram wprowadzenia do walki helikopterów), niezwykle precyzyjnej koordynacji oraz doskonałej łączności. A wszystko w obliczu działań wroga, który robi wszystko, co w jego mocy, by to zakłócić i zepsuć.

W ciągu całej swojej kariery Zinni przeprowadził wiele morskich operacji rozwinięcia sił i operacji desantowych - misji, które z czasem zaczął naprawdę lubić. Uwielbiał przebywanie na morzu i tradycyjny wizerunek żołnierzy piechoty morskiej uderzających na obcy brzeg i pędzących po plaży zawsze go ekscytował. Z czasem stał się miłośnikiem takich operacji właśnie ze względu na ich złożoność - pokochał składanie w jedną całość wszystkich elementów układanki w synchroniczny i zarazem dynamiczny sposób. Misje takie stały się jedną z jego pasji. Później nauczał prowadzenia operacji desantowych w uczelniach marines; zaś w Somalii miał dowodzić wojskami w prawdziwej bojowej operacji wodno-lądowej - największym desancie od czasu lądowania w Inchon w wojnie w Korei.

Zinni dowodził Kompanią D nieco ponad rok i po tym czasie był pewny, że jego żołnierze poradzą sobie z dowolną misją bojową, w której się znajdą - słuszności tej opinii wkrótce miał dowieść, gdy Kompania D przeszła zorganizowany przez dowództwo dywizji test taktyczny.

Test składał się z szeregu trudnych wyzwań. Na przykład kompania mogła zostać poproszona o dokonanie desantu wodno-lądowego, a następnie przeprowadzenie ataku z użyciem zmechanizowanej broni opancerzonej lub wykonanie nocnego natarcia z wykorzystaniem helikopterów. Pomysł polegał na tym, żeby przetestować zdolności dowódcy poprzez jednoczesne zrzućenie na jego barki wielu trudnych

zadań i poddanie go wielkiemu stresowi. Dowódca nie miał czasu nawet na sen, musiał nieprzerwanie działać, podczas gdy sędziowie nieustannie przypatrywali się jego umiejętnościom wydawania rozkazów i sprawnego wypełniania zadań. Jednocześnie oceniali wydajność żołnierzy, ich wytrzymałość i sprawność taktyczną, a także zdolności taktyczne podoficerów i oficerów.

Jak dotychczas wszystkie kompanie dywizji oblewały ten test.

Zinni i jego kompania zdali go.

Była to wielka chwila dla Zinniego, po której (ze słusznych względów) jego ego nieco urosło. Wkrótce dotarły do niego listy z gratulacjami i rozdzwoniły się telefony od dowódców pułku i dywizji. Ponieważ kompania przodowała również w statystykach dyscypliny, statystykach ponownych przyjęć do wojska oraz wielu innych zestawieniach, powodów do dumy było znacznie więcej. Choć Zinni upajał się swoim sukcesem, miał on także pewną cenę.

Uwielbiał być dowódcą kompanii, nie potrafił myśleć o niczym innym, co chciałby robić, może tylko o powrocie do swojej Jednostki Doradczej Piechoty Morskiej w Wietnamie.

Natomiast sukcesy jego kompanii przekreśliły tę możliwość.

Opowiada o tym Tony Zinni:

Niedługo przed końcem jednej z naszych karaibskich operacji rozwinięcia sił dowódca mojego batalionu wezwał mnie do swojego biura w naszej bazie w Vieques Island nieopodal Puerto Rico i wręczył mi wiadomość od dowódcy dywizji generała dywizji Freda Haynesa. Haynes prosił o wskazanie mu w każdym batalionie kandydatów na adiutanta. Ostatni wiersz tej wiadomości sugerował, że w naszym batalionie ja

powiniennem otrzymać tę nominację.

- Wiesz coś o tym? - zapytał dowódca batalionu. - Dlaczego jesteśmy jedynym batalionem, w którym wprost zasugerowano nominację?

- Ja tak samo nie mam o tym pojęcia, sir - odpowiedziałem mu. - Zdecydowanie nie chcę takiego zadania. - Była to praca sztabowa, a ja nigdy nie marzyłem o pracy sztabowej.

- W porządku. Przekażę mu to - stwierdził oficer dowodzący i przesłał generałowi wiadomość, że odmawiam przyjęcia tej nominacji.

Szybko zapomniałem o całej sprawie i wróciłem do zajęć polowych z własną kompanią.

Dwa tygodnie później, gdy nasz okręt zacumował w Morehead City w Karolinie Północnej, żeby rozładować grupę desantową naszego batalionu, zostałem przywitany przez pewnego oficera ze sztabu dywizji, który oznajmił mi, że mam natychmiast wsiąść do sztabowego samochodu czekającego u stóp wzniesienia i udać się do biura dowódcy dywizji, by zameldować się u generała Haynesa.

- Nie mogę - odparłem mu. - Muszę sprowadzić moją kompanię z powrotem do Camp Lejeune i rozłokować ją w koszarach.

- To rozkaz - rzucił z uśmiechem.

Powiadomiłem więc mojego dowódcę batalionu o tym, gdzie się udaję, pojechałem do dowództwa dywizji i zdenerwowany wszedłem do gabinetu generała. Haynes był wysokim, dystyngowanym wyglądającym Teksaszczykiem, weteranem spod Iwo Jima, uznawanym za jednego z najbardziej błyskotliwych ludzi w Korpusie Piechoty Morskiej. Na wyraźne zaproszenie generała usiadłem. Po spytaniu mnie o przebieg rozwinięcia sił i przebieg całej akcji, wyjaśnił, czego spodziewa się po

proponowanej funkcji.

- Chciałbym, żeby mój starszy adiutant pełnił funkcję „adiutanta operacyjnego”. Będę miał również młodszego adiutanta, pewnego porucznika, który zajmie się wszystkimi sprawami socjalnymi, odpowiednim umundurowaniem i innymi tego rodzaju rzeczami. W adiutancie operacyjnym chciałbym mieć doradcę, kogoś, kto przeszedł przez samo piekło i komu mogę ufać. Chcę człowieka, który doskonale wie, co się dzieje w dywizji, który wie wszystko o szkoleniu i gotowości bojowej, który był w ogniu walki. Chcę kogoś, z kim młodszy oficerowie i podoficerowie będą rozmawiać szczerze, kto będzie moim pośrednikiem w kontaktach z nimi, kto powie mi, co oni myślą i co ich zdaniem należałoby ulepszyć. Musi to być człowiek, który, kiedy znajdziemy się na polu walki, będzie na tyle łebski, żeby mi powiedzieć: „Pański punkt widzenia, generale, nie jest dobry”, ponieważ będzie on naprawdę wiedział, że nie jest on dobry. Ja straciłem taką perspektywę. To było wiele lat temu, w zamierzchłej przeszłości. Teraz uzyskuję dane przetworzone i przefiltrowane. Gdy rozmawiam z innymi generałami i pułkownikami, zdobywam cenne informacje, ale nie dochodzą do mnie sygnały od prostych żołnierzy. Chcę, żeby mój adiutant operacyjny stanowił dla mnie taki dodatkowy zmysł. Rozmawiałem już ze wszystkimi kandydatami - mówił dalej generał - ale zwlekałem z podjęciem decyzji do pańskiego powrotu i rozmowy z panem - po czym odczytał mi listę kandydatów.

- Sir, znam większość z nich - rzekłem. - Nie mógłby pan znaleźć lepszej grupy kapitanów. Jestem pewien, że któryś z nich będzie odpowiedni.

Generał spojrzał na mnie bacznie.

- Wie pan, kapitanie, wiadomość od pańskiego dowódcy wydaje się bardzo interesująca. Wygląda na to, że jest pan jedynym kandydatem, który nie chce tej pracy.

- Nie sędzę, żebym był dobrym materiałem na adiutanta - wyznałem mu i naprawdę tak myślałem. Zawsze wyobrażałem sobie adiutanta jako kogoś wysokiego, przystojniaka, takiego żołnierza z plakatu. A ja byłem niskim facetem w typie włoskim, przysadzistym i kanciastym, i miałem niby być lepszy od Teksańczyka o wzroście 1,80 metra w stylu gościa grającego w golfa. (Chwilę później, kiedy powiedziałem mu, że nie gram w golfa, sądziłem, że wbiłem sobie ostatni gwóźdź do trumny).

Ale on raczej uśmiechał się, jakby się ze mną bawił.

- Przyjmuję, że wynika to stąd, iż chce pan pozostać dowódcą kompanii strzelców - rzekł. - To potrafię zrozumieć. Nie ma pan nic przeciwko temu, by zostać moim adiutantem, prawda?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziałem, mając cichą nadzieję, że go nie obraziłem. Była to ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął.

- Cóż, rozumiem, że nie chce pan tej funkcji. Mam wielu niezwykle zdolnych kapitanów, którzy są nią zainteresowani i z którymi już rozmawiałem. Doceniam to, że pan do mnie zajrzał. Nie chciałem podejmować tej decyzji, zanim nie przesłucham wszystkich kandydatów.

To stwierdzenie nieco zbiło mnie z tropu, ponieważ nie sądziłem, że byłem jednym z kandydatów. Myślałem, że wiadomość przesłana przez mojego dowódcę ukreśliła łeb całej tej sprawie. Chcąc uniknąć nieporozumienia, podkreśliłem raz jeszcze:

- Doceniam pańskie zainteresowanie, sir. Ale ja naprawdę nie chcę tej funkcji, a ma pan pod ręką tak wielu świetnych kapitanów.



- To prawda i rozumiem dobrze pańską postawę; a teraz pozostaje mi tylko podjąć decyzję.

- Dziękuję za wyrozumiałość, sir - rzuciłem i wyszedłem.

Kiedy wróciłem do kwater mojego batalionu, poszedłem do biura mojego dowódcy i oznajmiłem mu, że wszystko załatwione. Wyglądało to na czystą formalność, której generał wymagał, by móc stwierdzić, iż przesłuchał wszystkich kandydatów. Jednak gdy znalazłem się na terenie mojej kompanii, zadzwonił telefon. To był mój dowódca. Przeprowadził właśnie rozmowę z generałem Haynesem. Zostałem wybrany na adiutanta i otrzymałem rozkaz stawienia się na służbę już nazajutrz.

Bez wątpienia generał dywizji Haynes powziął decyzję już przed spotkaniem ze mną. Potem dowiedziałem się dlaczego.

Przygotował listę ośmiu lub dziewięciu kryteriów - w większości całkiem oczywistych, takich jak dowodzenie kompanią w czasie walk w Wietnamie, uczęszczanie na zajęcia do szkoły wojskowej dla kapitanów, a także dowodzenie kompanią w 2. Dywizji Piechoty Morskiej. Tak się złożyło, że byłem jedynym człowiekiem w całej dywizji, który spełniał wszystkie te kryteria.

Tymczasem obecny adiutant generała (nie znałem go dobrze) rozmawiał z różnymi innymi ludźmi, którzy wspominali moje nazwisko; i kiedy zestawili te rekomendacje z innymi czynnikami, wypadło na mnie.

Spędziłem rok jako adiutant dwóch generałów - najpierw generała dywizji Haynesa; po tym zaś, jak otrzymał on rozkaz wyjazdu do Korei, generała brygady Jake'a Poilliona, który był zastępcą dowódcy dywizji Haynesa. Kiedy Haynes wyjechał, Poillion został natychmiast dowódcą, przy czym oznajmiono mu, że tylko tymczasowo; generał dywizji miał

wkrótce wrócić na swoje stanowisko. W rzeczywistości ten okres przejściowy przeciągnął się do sześciu czy siedmiu miesięcy. Z czasem, kiedy generał dywizji Haynes w końcu wrócił, doszły mnie słuchy, że zamierza zatrzymać mnie u swojego boku na dłużej. Musiałem więc właściwie walczyć o to, by pozbyć się tej funkcji.

Choć pod wieloma względami moja przygoda w funkcji adiutanta stanowiła cenne doświadczenie, nigdy nie polubiłem tej pracy; moje początkowe powody, dla których jej nie chciałem, pozostały aktualne. Mimo to miałem szczęście pracować z generałami, którzy interesowali się moimi poglądami i byli bardzo szanowanymi dowódcami. Doświadczenie to otworzyło mnie na inne poziomy percepcji niż te, do których przywykłem. Problemy, co do których miałem pewność, że znam ich rozwiązanie, kiedy dowodziłem kompanią, teraz okazały się bardziej złożone. Uprzytomniłem sobie, że istnieje ogromny obszar tego, czego nie wiem, i że muszę się wciąż uczyć.

Kiedy funkcjonujesz na poziomie kompanii, dostrzegasz świat czarno-biały; nie masz szerszej perspektywy. Dostrzegałem na przykład wiele niewłaściwości w zakresie uzbrojenia i wydawały mi się one oczywiste. „Asortyment broni mógłby być znacznie lepszy. Teraz jest lichej. Wymaga poważnej konserwacji i unowocześnienia. To dotyczy przecież każdego z nas, a zwyczajnie pozwalamy, by to wszystko diabli wzięli”.

Nagle zacząłem patrzeć na wszystko z generalskiego punktu widzenia, uwzględniać budżet, z którym trzeba pracować, rozważyć wszelkie alternatywne rozwiązania, zdawać sobie sprawę z tego, że trzeba zrezygnować z niektórych rzeczy. Niespodziewanie musiałem przyjąć do

wiadomości, iż moje „absolutne rozwiązania” nie są wcale takie absolutne. Zacząłem doceniać to, że wiele generalskich decyzji nie wypływa z braku zainteresowania lub niedbałości. Wybory te były kwestią ustalonych priorytetów. Była ta sprawa faktów, których nie bierzesz pod uwagę, kiedy funkcjonujesz na poziomie kompanii.

Jedna sprawa niepokoiła mnie w szczególny sposób, kiedy byłem adiutantem. Kapitanowie bardziej rwali się do prowadzenia wojny niż wyższa kadra oficerska.

Kapitanowie uwielbiali omawiać kwestie operacyjne - przerabiać je po wielokroć, zamartwiać się wszystkim, wypracowywać nowe pomysły. Byliśmy facetami z Wietnamu. Na własnej skórze odczuliśmy skutki słabej taktyki, złej polityki, wszelkich gównianych rzeczy, które przydarzają się na polach bitewnych. Trawiło nas więc pragnienie, by upewnić się, iż dysponujemy umiejętnościami, których nie dostrzegaliśmy w Wietnamie. Przeszliśmy ciężką próbę już na samym starcie.

Starsi oficerowie to zupełnie inna bajka i to był dla mnie wielki wstrząs. Spodziewałem się nauczyć wiele o prowadzeniu wojny właśnie od nich - bezpośrednio u źródła, ale tak się nie stało. Z pewnością znali oni wojnę od podszewki; wynieśli ogromne doświadczenie z walk w II wojnie światowej, w Korei i Wietnamie. Jednak toczenie wojny znajdowało się bardzo nisko na liście ich priorytetów. Kompetencja operacyjna była po prostu mało ceniona i traktowano ją niemal na równi z kompetencją administracyjną. W tych czasach oceniano ludzi na podstawie ich umiejętności zarządzania, a nie zdolności taktycznych.

Właściwie trudno było znaleźć kogoś w stopniu powyżej kapitana, kto dyskutowałby kwestie taktyczne i sprawy prowadzenia operacji

wojennych.

Rozumiałem, że walki w Wietnamie dobiegały końca, powojenna rzeczywistość zaś przynosiła wiele nowych poważnych problemów - konflikty rasowe, nadużywanie narkotyków, krytyczny brak personelu, ostre cięcia budżetowe, reorganizację oraz wiele innych zjawisk, które pochłaniały uwagę i czas wysokich rangą oficerów. Sądziłem jednak, że w większym stopniu będą oni skupiać się na tym, co stanowi sedno naszej profesji - na sztuce walki. Była to moja pasja; myślałem, że jest to pasja każdego żołnierza piechoty morskiej. Było jednak inaczej.

Pewnego dnia rozmawiałem z generałem Poillionem.

- Mój Boże, dzieje się z nami coś bardzo złego - wyznałem mu. - Tracimy nasz operacyjny charakter. Nie mamy ludzi odpowiednich do naszych zadań. Niektórzy starsi oficerowie - w funkcji dowódców batalionu czy pułku - albo nie mają bladego pojęcia o prowadzeniu wojny, albo zapomnieli, jak to się robi. Byli w Wietnamie i innych miejscach, ale ich doświadczenie przepadło. Nie ma sposobu, żeby pociągnąć ich za to do odpowiedzialności. Przeprowadzamy na dowódcach kompanii testy dowodzenia taktycznego, które są rzeczywiście trudne. Ale poza tym nie dzieje się nic. Co robimy, żeby sprawdzić pozostałych?

Myślał przez chwilę, po czym spojrzał na mnie.

- Czy słyszałeś kiedyś o kimś, kto został zwolniony ze służby za słabą czy nawet gównianą taktykę? - zapytał.

- Nie - odparłem.

- A słyszałeś kiedyś o kimś, kto został zwolniony za słabą administrację lub logistykę?

- Tak.

To przydarzało się nieustannie - ciągle wyrzucano z wojska za niegospodarne wykorzystywanie środków finansowych lub zasobów ludzkich i tym podobne.

- Właśnie o to chodzi - stwierdził. - Oficerowie są pociągani do odpowiedzialności za złe dowodzenie albo złą administrację, ale nie za słabe umiejętności operacyjne. Na tym polega problem.

Istniał jednak jeden zauważalny wyjątek od tej reguły.

Kiedy jeszcze dowodziłem Kompanią D, pewien znajomy kapitan i dowódca kompanii, mój przyjaciel Jack Sheehan (znałem go od pierwszych dni w Quantico; z czasem został on czterogwiazdkowym generałem), przechwalał się mocno swoim dowódcą batalionu. Przełożony Jacka naprawdę znał się na tym wszystkim, czym żyją i oddychają prawdziwi zaprawieni w bojach i waleczni oficerowie wojenni. Poświęcał każdą wolną chwilę, mówiąc o tym - o planach desantowych, taktyce, małych pododdziałach, formacjach patrolowych, zastosowaniu broni i tak dalej. Spędził sporo czasu w Wietnamie, pięć czy sześć lat, jego umiejętności bojowe zaś stały się legendarne. I tak jak wszyscy najlepsi przywódcy, czytał dosłownie wszystko. Ponadto należał do nielicznych starszych oficerów, którzy lubili zasiadać, omawiać taktykę i rozwodzić się na temat swoich młodszych żołnierzy. Nazywał się Al Gray.

- Hej, może wpadniesz na obiad? - rzucił do mnie Jack. - Możemy zmówić się z pułkownikiem Grayem, urządzimy sobie coś na kształt spotkania nocnego klubu dla prawdziwych facetów.

- Jasne - odparłem.

Wiedziałem co nieco o Grayu, w Lejeune trudno było o nim nie słyszeć. Był żywą legendą. Żołnierze kochali go, a on naprawdę świetnie

radził sobie z szeregowymi marines. Sam przeszedł przez wszystkie stopnie żołnierskie i nigdy nie stracił kontaktu z żołnierzami niższymi rangą. Później, jako adiutant, dowiedziałem się, że w równym stopniu cieszył się szacunkiem generałów.

Poznałem zatem generała Ala Graya w klubie oficerskim w Camp Lejeune za pośrednictwem Jacka Sheehana. Kiedy wszedł, pierwszą rzeczą, która zrobiła na mnie szczególne wrażenie, było to, jak bardzo był naturalny i zżyty ze zwykłymi żołnierzami. Rozmawiał z nami, a nie przemawiał do nas, nie traktował nikogo protekcyjnie. Ale najbardziej zaimponowało mi to, jak dogłębnie znał się na sprawach operacyjnych. Znał się na swoim gównie - jak mawiali żołnierze. Miał w sobie ogień tej samej pasji, co ja. Niezależnie od tego, jakie zagadnienie poruszono w czasie dyskusji, miał on na jego temat dojrzały, kompetentny pogląd. Widywałem tego rodzaju fascynację taktyką i prowadzeniem wojny zaledwie u kilku wysokich rangą oficerów. Zrobił na mnie wielkie wrażenie.

Oczywiście miałem nadzieję, że będę miał szansę znów go spotkać i rozwinąć naszą dyskusję, ale będąc realistą, stwierdziłem, że jest to mało prawdopodobne. Nie tylko byłem w innym batalionie, ale nawet w innym pułku i prawdopodobnie byłem dla niego tylko jednym z wielu przypadkowo spotykanych kapitanów. Ale mimo to najwyraźniej znalazł on we mnie coś godnego zainteresowania, ponieważ podtrzymał znajomość - a nawet wziął mnie pod swoje skrzydła.

W czasie, kiedy ja zostałem adiutantem generała, on objął wyższą funkcję dowódcy pułku 2. Dywizji Piechoty Morskiej i widywałem go dość często, jako że zawsze miał wiele spraw do załatwienia z generałami.

Z czasem nawet się zaprzyjaźniliśmy. Potem, gdy obaj otrzymywaliśmy coraz wyższe stopnie, przyjaźń trwała i dojrzewała, rozwijając się w klasyczną relację mistrz - uczeń. Zawsze postrzegałem go jako swojego wybitnego mentora (a miałem ich kilku, począwszy od generała Micka Trainora). Znajomość ta przetrwała 30 lat. Gray z czasem został komendantem Korpusu Piechoty Morskiej, znacząco zmienił sposób myślenia całej piechoty morskiej i przeprowadzania przez nią operacji wojskowych.

Kiedy moja przygoda adiutancka dobiegła końca, otrzymałem propozycję objęcia dowództwa innej kompanii (byłaby to już moja siódma). Ucieszyłem się z tej sposobności, ale generał Poillion szybko przekreślił ten pomysł. Dowodziłem już sześcioma kompaniami, nie byłoby to dobrze przyjęte, gdyby generalski adiutant otrzymał dowództwo siódmej.

Zostałem więc przydzielony do G-3, sekcji operacyjnej dywizji, i przyjąłem to z niekłamanym rozczarowaniem. Dobra wiadomość była jednak taka, że Al Gray, w stopniu pułkownika, zrzekł się dowództwa swojego pułku i miał zostać nowym dowódcą G-3. Jeśli nie mogłem być w jednostce piechoty, to kolejnym najlepszym przydziałem z mojego punktu widzenia był przydział do sekcji operacyjnej lub szkoleniowej. Wiedziałem, że mogłem się wiele nauczyć od pułkownika Graya.

Kiedy zameldowałem się w sekcji, pułkownik Gray mnie zaskoczył.

- Co chcesz robić? - spytał.

- Coś związanego ze szkoleniem byłoby w porządku - odrzekłem, myśląc o tym, co najlepszego mógłbym uzyskać jako kapitan w funkcji jakiegoś asystenta szkoleniowego - administratora, który pilnował

statystyk i aranżował plany zajęć. To była nudna robota, ale przynajmniej pozwalałaby mi przyglądać się szkoleniu. Taki był los młodszych oficerów w sztabie dywizji.

- Nie, kapitanie, nie zrozumiałeś mnie - rzucił pułkownik Gray. - Nie pytałem, w jakiej robocie spodziewasz się utknąć. Pytałem, co tak naprawdę chciałbyś robić. Chcę, żebyś wykorzystał kilka dni na przemyślenie odpowiedzi. Rozmawialiśmy dużo o doskonaleniu umiejętności piechoty w pododdziałach naszej dywizji. Obaj jesteśmy przekonani, że naszym jednostkom brakuje taktycznych umiejętności, które powinny mieć, a także, że nasi dowódcy kompanii nie dostali środków finansowych i wsparcia niezbędnych do szkolenia swoich ludzi. Ponieważ tak bardzo się tym przejmujesz, dlaczego nie pomyślisz o czymś, co pomogłoby zmienić taką sytuację?

Wróciłem kilka dni później z szalonym pomysłem. Zaproponowałem utworzenie ośrodka doskonalenia działań operacyjnych piechoty i umiejętności wykorzystania broni, który zapewniłby szkolenie i wsparcie kompaniom i batalionom piechoty i który przeprowadzałby oddziały i ich dowódców przez kursy i programy treningowe, a także oferował „pakiety” szkoleniowe obejmujące publikacje źródłowe, materiały pomocnicze, sugerowane harmonogramy, rekomendacje dotyczące zakresu i miejsca ćwiczeń, specjalistyczną pomoc instruktorską i oceny szkolenia danych jednostek.

Pułkownikowi Grayowi spodobał się ten pomysł, więc nakreśliliśmy bardziej szczegółowe plany. Obeszliśmy problem ograniczonych środków finansowych, personelu i funduszy dostępnych w okresie powojennego kryzysu dzięki wykorzystaniu starego obiektu szkoleniowego



przeznaczonego do rozbiórki oraz zatrudnieniu minimalnego zespołu specjalistów. Budynek znajdował się w najdalszym zakątku bazy, głęboko wśród lasów i bagien. Jedyne drogi dostępu do niego prowadziły gruntowymi drogami, przy których stały stare strzelnice obecnie zlikwidowanego Pułku Szkolenia Piechoty. Miejsce okazało się idealne do tego, co planowałem.

Po przejrzeniu ostatecznych planów pułkownik Gray zaniósł je nowemu generałowi dowodzącemu, generałowi dywizji Samowi Jaskilce, twardemu jak stal staremu wojownikowi, którego bohaterstwo w Korei i w rejonie Chosin w obliczu potężnego ataku Chińczyków przeszło do legendy.

Pomysł przypadł do gustu generałowi, który zezwolił na jego realizację, sugerując przy tym, że ośrodek powinien być ascetyczny, stwarzać surowe, realistyczne warunki treningu i uwzględniać jak największą ilość strzelania i ćwiczeń terenowych.

- Zamierzam spędzić tam wiele czasu, sprawdzić wszystko z Zinnim - oświadczył pułkownikowi Grayowi. - Lepiej, żebym nie znalazł dywanów na podłogach albo żołnierzy mieszkających w czymś więcej niż zwykłe namioty.

Był to człowiek mojego pokroju - generał wojownik, nie biznesmen.

Ośrodek okazał się wielkim sukcesem z kilku przyczyn.

Po pierwsze, oceny były przekazywane tylko dowódcom uczestniczącym w treningu, nigdy ich przełożonym. Wszyscy mogli więc sprawdzać swoje ograniczenia i pracować nad własnymi słabościami bez obawy o to, że dane takie znajdą się w oficjalnych świadectwach czy raportach. (Odrzuciłem próby wykorzystania ośrodka w celu

opracowywania ocen szkolonych w nim pododdziałów). Pozwalało mi to być brutalnie szczerym w kwestii ich słabych stron; a im pozwalało popełniać błędy i następnie je naprawiać.

Po drugie, choć moi instruktorzy nie zawsze byli najlepszymi z dostępnych ludzi (było to celowe, ponieważ wybór najlepszych źle wpłynąłby na wszystkich pozostałych), wszyscy byli wystarczająco kompetentni, żeby przyzwoicie wykonywać swoje zadania, a ja posłałem ich na najlepsze kursy dowodzenia i taktyki, żeby zwiększyć ich wiedzę i umiejętności. Praca instruktorska była ciężka i wymagająca i pochłaniała mnóstwo czasu, ale instruktorzy ją uwielbiali.

Uczyniliśmy też wiele w zakresie szkolenia instruktorów w naszym ośrodku. Przeanalizowałem kursy operacji specjalnych[\* W tamtych czasach operacje specjalne piechoty morskiej znaczyły coś innego niż obecnie. Były to operacje przeprowadzane w bardzo trudnych warunkach środowiskowych, takich jak góry, pustynie czy obszary polame.] i dodatkowo trenowałem moich instruktorów pod kątem tych specjalistycznych umiejętności. W celu wzbogacenia ćwiczeń dla żołnierzy dołożyliśmy kursy przetrwania i poruszania się w urozmaiconym terenie, choć nigdy nie straciliśmy z oczu naszej głównej misji - rozwijania zdolności bojowych piechoty w jednostkach dywizji.

Z biegiem czasu wyniki strzelania żołnierzy i pododdziałów uczestniczących w programie szkoleniowym poszły ostro w górę, zaś pozytywny oddźwięk całej dywizji był wręcz przytłaczający. Szkoliliśmy nawet dla naszej dywizji specjalne drużyny wyznaczone do corocznych zawodów marines w Quantico w Wirginii. Drużyny 2. Dywizji zazwyczaj okazywały się popychadłami w tym współzawodnictwie, jednak drużyny,

które trenowaliśmy tego roku, zdobyły lwie najwyższe nagrody.

Prowadziłem Ośrodek Szkolenia Piechoty grubo ponad rok - delektowałem się każdym dniem tego okresu, bardzo wiele się uczyłem i eksperymentowałem z pomysłami, które chciałem wypróbować od czasów Wietnamu. Niektóre sprawdziły się świetnie, inne nie, ale możliwość skupienia się na taktyce, broni, działaniach operacyjnych w różnych warunkach i ćwiczeniu zdolności dowódczych w małych jednostkach okazała się bezcenna.

Później piechota morska zajęła się problemami taktycznej oceny jednostek powyżej poziomu kompanii. Ich ostateczne rozwiązanie zostało zaczerpnięte z wzorów amerykańskich sił lądowych.

Po wojnie w Wietnamie wszystkie rodzaje sił zbrojnych mierzyły się z poważnymi problemami, ale spośród nich wszystkie siły lądowe miały do pokonania najdłuższą i najtrudniejszą drogę; musiały przejść najbardziej radykalne reformy. Trzeba przyznać, że armia lądowa zrobiła wszystko to, co musiała zrobić, przy tym wykonała tę pracę naprawdę znakomicie.

Jedną z największych i najbardziej trwałych reform było stworzenie BCTP - Programu Szkolenia Bojowego Dowództwa, który pozwala taktycznie oszacować pododdział i zdolności jego dowództwa aż po poziom korpusu. Pomysł polega na tym, żeby szkolić ludzi poprzez pokazywanie im, gdzie popełniają błędy, oraz podpowiadanie im, jak mogą sprawniej i rozsądniej podejmować decyzje. Program nie jest wykorzystywany jako kryterium wyznaczania ludzi do awansu czy też jako narzędzie ich dręczenia. Ale jest wymagający. Trzygwiazdkowy generał na poziomie dowództwa korpusu przechodzi przez test bitewny i

otrzymuje ocenę. Jest też precyzyjny i niedwuznaczny, a specjaliści wydający oceny nie chcą słyszeć żadnych narzekań, złorzeczeń czy wymówek.

Gdy pierwszy raz obserwowałem ćwiczenia BCTP, pewien trzygwiazdkowy generał zawałił test i przyznał to bez wymigiwania się.

- Tak, zawałiłem - oznajmił. - Powinienem podjąć inną decyzję.

Był to znak prawdziwej przemiany.

Kiedy w Korpusie Piechoty Morskiej zorientowano się, że świetnie sprawdzają się metody BCTP, podchwyciliśmy ten pomysł i opracowaliśmy podobny program, nazywany dziś MSTP - Programem Szkolenia Sztabu Powietrzno-Lądowych Grup Operacyjnych Piechoty Morskiej. Znaleźliśmy doskonałe miejsce do przeprowadzania ćwiczeń na wielką skalę współpracujących rodzajów wojsk w Twentynine Palms w Kalifornii, gdzie jednostki batalionowe i większe są poddawane testom i oceniane. (Siły lądowe przeprowadzają podobne ćwiczenia niedaleko tego miejsca w Narodowym Ośrodku Szkoleniowym -

National Training Center, w skrócie NTC). Opracowaliśmy także System Oceny Gotowości Bojowej Piechoty Morskiej, który zapewniał pododdziałom i poszczególnym żołnierzom procedury testowe dla naszych oddziałów szykujących się do rozwinięcia sił.

### **Obowiązki sztabowe i szkoła sztabowa**

Pod koniec 1974 roku Tony Zinni był kapitanem już od ośmiu lat i oficerem w funkcji dowódcy kompanii od dziewięciu lat. Na początku tego roku został wybrany do nominacji na majora, ale rzeczywista promocja była jeszcze daleko przed nim, ponieważ znajdował się dopiero od niedawna na liście kandydatów. Jako że majorzy zazwyczaj

obejmowali stanowiska sztabowe, wiedział, że jego cudowne i ekscytujące chwile „na polu walki” i „ramię w ramię z żołnierzami” miały się ku końcowi. Ponieważ doradcy z szeregów piechoty morskiej wciąż działali w Wietnamie, marzył o powrocie do Jednostki Doradczej Piechoty Morskiej, wiedział jednak, że taka możliwość z każdym dniem staje się coraz odleglejsza.

Oprócz tego miał nadzieję wykładać taktykę znów w Quantico. Ale i to się nie spełniło. Pod koniec roku skierowano go do Dowództwa Piechoty Morskiej w Waszyngtonie, do departamentu zasobów ludzkich, gdzie został oficerem do spraw przyjmowania i zwalniania z wojska, zaś później oficerem do spraw planowania w dziale przydziałów oficerskich. Nie potrafił wyobrazić sobie gorszego losu.

Zinni nie lubi Waszyngtonu - nie lubi wysokiej koncentracji biurokracji i przekładania papierków. Jego pierwszą pracą w departamencie zasobów ludzkich było planowanie, prowadzenie programu, który przydzielał specjalizacje zawodowe oficerom w szkole oficerskiej i ustalał zasady augmentacji wojska\*[\* Program augmentacji czynił zawodowych oficerów z młodych oficerów rezerwy, którzy zdecydowali się zrobić karierę w marines. Było to zażarte współzawodnictwo, jeśli weźmie się pod uwagę niewielką liczbę dostępnych miejsc w zawodowej służbie w piechocie morskiej.].

Można to wszystko skwitować, używając słów Zinniego:

- To było nudne... potwornie nudne.

Każdą chwilę wolnego czasu spędzał w Quantico (które mieści się zaledwie kilka kilometrów na południowy wschód od Waszyngtonu), gdzie brał na siebie wszelką możliwą dodatkową pracę, pomagał w

prowadzeniu ćwiczeń polowych i nauczaniu taktyki. Zaś młodzi oficerowie kontynuowali swoje nieformalne seminaria dotyczące taktyki i działań operacyjnych.

W tych czasach wśród wielu wojskowych tego pokolenia co Zinni narastało uczucie, że amerykańska piechota morska musi znacznie zmienić operacyjne myślenie; oficerowie ze szkół w Quantico zaczęli spotykać się po godzinach, żeby omawiać te kwestie i dyskutować o przyszłości Korpusu Piechoty Morskiej. W znacznej mierze ich myślenie wykraczało poza konwencję, co większość starszych oficerów, a nawet niektórzy rówieśnicy Zinniego postrzegali jako niebezpieczeństwo. Ale nie Zinni. Podobała mu się ta cicha rewolucja wśród żołnierzy.

Gdy wojna w Wietnamie dobiegała końca, siły zbrojne zaczęły zwracać uwagę z powrotem na związaną z zimną wojną konieczność obrony Europy. Ponieważ był to również okres okrojonych budżetów, cnotę wojskową mierzono głównie na podstawie zdolności do spełniania oczekiwań i tylko oczekiwań. Jako że walka z Układem Warszawskim miała toczyć się z wykorzystaniem najcięższych sił zmechanizowanych, wiele osób kwestionowało istnienie Korpusu Piechoty Morskiej - przynajmniej w ówczesnej formie jako ekspedycyjnej lekkiej piechoty. Wielu ekspertów w dziedzinie obronności zalecało różne radykalne rozwiązania - od diametralnego przekształcenia po rozwiązanie.

Toczyła się wojna o duszę piechoty morskiej.

Tony Zinni opowiada:

Pierwszą rzeczą, jaką żołnierze piechoty morskiej muszą sobie uprzytomnić, jest to, że nasza służba nie jest niezbędna dla istnienia narodu. Drugą sprawą, którą musimy sobie uświadomić, jest jednak to, że

ofiarowujemy narodowi służbę o unikatowej jakości i wyjątkowych wartościach, które naród podziwia, szanuje i na których utratę nie może sobie pozwolić. Oto te wartości:

Po pierwsze: Naszą podstawową tożsamością jako żołnierzy piechoty morskiej jest bycie żołnierzami piechoty morskiej. Nie jesteśmy w pierwszym rzędzie pilotami myśliwców, pływaczami, strzelcami, informatykami, kucharzami i tak dalej. Najwłaściwszym określeniem każdego żołnierza piechoty morskiej od cywilów po generałów jest określenie „żołnierz piechoty morskiej”.

Po drugie: Każdy żołnierz piechoty morskiej musi być wykwalifikowanym strzelcem. Każdy marine jest wojownikiem. Nie mamy w swoich szeregach ludzi w typie obiboków. Wszyscy jesteśmy wojownikami.

Po trzecie: Odczuwamy silniejsze przywiązanie do naszych narodowych tradycji niż członkowie pozostałych rodzajów sił zbrojnych. Oddajemy cześć przeszłości. Nie są to tylko czcze rytuały czy pusta, wielka gala. Jest to część istoty marines. Jedną z zasadniczych rzeczy, które każdy żołnierz piechoty morskiej musi znać, jest historia Korpusu Piechoty Morskiej; każdy musi ją poznać i uczynić z niej ważną część siebie samego.

Po czwarte: Mamy poczucie odpowiedzialności za tych, którzy byli przed nami, co znaczy szczególnie wiele dla marines, którzy biorą udział w walce.

Nie chcemy zawieść naszych poprzedników ani splamić naszego wspaniałego dziedzictwa.

Po piąte: Jesteśmy szczególnie wymagający w stosunku do naszych

ludzi pod względem żelaznej dyscypliny i sztywnych standardów służby. Jednak spośród wszystkich rodzajów sił zbrojnych prawdopodobnie mamy najwięcej tolerancji dla osób myślących niekonwencjonalnie i ekscentryków. W innych rodzajach sił zbrojnych, jeśli nie pasujesz do standardowego wzorca myślenia, rzadko możesz odnieść sukces. Odcinasz wszystkie prawidłowe kupony i stopniowo awansujesz. Wśród marines łatwiej spotkać ludzi, którzy odnieśli sukces i jednocześnie nie pasują do standardów wojskowego myślenia.

Oznacza to również, że jesteśmy gotowi jawnie mówić o tym, co nas gryzie... wyrzucamy z siebie wszystko, niezależnie od tego, kogo to może rozjuszyć. Poza Korpusem Piechoty Morskiej cieszę się reputacją osoby szczerzej aż do bólu. Zawsze mnie to zdumiewało, ponieważ w piechocie morskiej bycie szczerym do bólu to jeden z podstawowych wymogów.

Oznacza to także, że stanowimy instytucję, w której osądza się ludzi na podstawie ich dokonań, a nie opinii.

Po szóste: Słyniemy z innowacji. Po bitwie o Gallipoli w I wojnie światowej, po źle zaplanowanym ataku desantowym nagle wszyscy zaczęli głosić mądrość: „Nie można przeprowadzić z powodzeniem operacji wodno-lądowej desantu na obcą plażę pod ostrzałem wroga”. Jednak w marines stwierdzono wprost: „Nie zgadzamy się z tym” i dowiedliśmy w II wojnie światowej nieocenionej zdolności do przeprowadzania operacji desantowych.

Później przyjrzeliliśmy się tradycyjnemu rozdziałowi sił powietrznych, lądowych i morskich i wpadliśmy na pomysł zintegrowania wszystkich trzech formacji sił zbrojnych na znacznie niższym szczeblu. Dziś więc nie potrzebujemy silnego wsparcia artylerii; polegamy na



naszym własnym wsparciu powietrznym, ściśle zintegrowanym z działaniami piechoty w ramach jednej, połączonej siły uderzeniowej.

Jako pierwsi doceniliśmy wartość helikopterów i wykorzystywaliśmy je skutecznie już w okresie wojny w Korei. Obecnie mamy samolot MV-22, maszynę pionowego startu i lądowania o zmiennym położeniu silników. Choć samolot ten budził sporo kontrowersji, w końcu wydatnie zwiększył naszą mobilność.

Zawsze obstajemy przy tego rodzaju innowacjach.

Po siódme: W odróżnieniu od innych rodzajów sił zbrojnych nie jesteśmy nierozzerwalnie przywiązani do ustalonych i sprawdzonych metod działania i teorii. Nigdy nie należeliśmy do skostniałych doktrynerów. Jesteśmy bardziej elastyczni i łatwiej przystosowujemy się do nowych okoliczności; polegamy raczej na pomysłach niż na doktrynach. Oznacza to, że naprawdę wierzymy w indywidualność. Nie lubimy wielkich narzucanych odgórnie struktur. Naprawdę wierzymy, że jeśli wyedukujemy i wyszkolimy naszych dowódców i oficerów, tak by naprawdę potrafili dowodzić, a ponadto damy im możliwość rozwoju szerokich horyzontów myślenia i nie ograniczymy ich ścisłą „doktrynalną” koniecznością, to lepiej wykonają swoją pracę.

Po ósme: Jesteśmy z natury „ekspedycyjni”. Oznacza to kilka rzeczy. Przede wszystkim wysoki stan gotowości; jesteśmy w stanie podjąć akcję w mgnieniu oka. Nasze zorganizowanie, sprzęt, cała struktura są zaprojektowane tak, by pozwalać nam na bardzo szybkie i skuteczne rozwinięcie sił. Nie bierzemy niczego, co nie jest niezbędne. Jesteśmy smukli, odciążeni, aerodynamiczni. Nie potrzebujemy mnóstwa „rzeczy” - czy to sprzętu wojskowego, czy wygod. Umiemy poradzić sobie z tym, co

mamy, lub nawet z tym, co zdobędziemy w danym miejscu. Jesteśmy przyjaciółmi podatników.

Jest to również stan ducha i umysłu - bycie w gotowości do błyskawicznego rozwinięcia sił i do zachowywania elastyczności. Możemy łatwo i szybko przejść od operacji bojowych do humanitarnych.

Istnieją również systemy, które musimy znać, czy to dotyczące załadunku na okręty lub na samoloty, czy też przygotowania niezbędnego sprzętu; istnieją również programy komputerowe, które podpowiadają nam, czego potrzebujemy i jak możemy najszybciej to załadować. Piechota morska doprowadziła te systemy do perfekcji.

Wreszcie chodzi też o to, w jaki sposób się organizujemy, przygotowujemy i trenujemy.

Wszystko to dotarło do mnie szczególnie silnie, kiedy leżałem w szpitalu po odniesieniu ran w Wietnamie. Nie było to wówczas coś wykoncypowanego, lecz raczej wszechogarniające uczucie. To mnie dosłownie uderzyło - to jest mój dom, to są moi ludzie.

W szpitalu widziałem, jak żołnierze piechoty morskiej zmagali się ze swoimi ranami. A na ekranie telewizora oglądałem, jak moi marines walczą za innych marines. Tylko w ten sposób potrafię to wyrazić. To byli faceci, których chciałem prowadzić do walki i o których chciałem się troszczyć. Kochałem żołnierzy piechoty morskiej. Są oni największym skarbem Ameryki.

Zdarzało się później, że kusiło mnie, by odejść ze służby. Ale ostatecznie to wszystko sprawiło, że zostałem.

Tymczasem w latach 1974, 1975 i 1976 wielu spośród nas w Korpusie Piechoty Morskiej dostrzegło konieczność zmian. Bitwa zbliżała

się ku końcowi.

Niektórzy specjaliści w zakresie obronności zaczęli myśleć o piechocie morskiej jako instytucji, która to, co najlepsze, miała już za sobą. Uważali, że we współczesnym świecie lekkie siły zbrojne stopniowo wymierały. Przyszłość należała do ciężkich sił zbrojnych\*[\* Co ciekawe, nawet siły lądowe zaczynają obecnie wyzbywać się ciężkich jednostek. Inteligentna broń czyni czołgi przestarzałymi.]

W ich mniemaniu ani nie potrafilibyśmy się przystosować do nowych warunków, ani wnieść niczego istotnego do walk, jakie spodziewano się toczyć w rejonie Fuldy (na równinie w Niemczech, gdzie miała się rozstrzygnąć bitwa o Europę). Proponowane przez nich rozwiązanie dla marines polegało na szybkim przekształceniu się piechoty morskiej w zupełnie inną organizację - na stworzeniu z niej cięższej, zmechanizowanej formacji wyposażonej w znaczną liczbę czołgów, opancerzone transportery, ciężki sprzęt artyleryjski.

Inni czuli inaczej. Mawiano: „Nie, to nie jest dobry kierunek. To kierowanie się modą, a nie tym, co jest konieczne i słuszne. Nasza misja nie polega na dublowaniu ciężkich formacji sił lądowych. Armia lądowa doskonale sama sobie z tym radzi. To prawda, że musimy się zmienić i musimy znaleźć sposoby na to, by móc odegrać większą rolę w Europie, ale przy tym nie powinniśmy przekreślać naszego ekspedycyjnego charakteru. Kraj wciąż potrzebuje formacji wysoce ekspedycyjnych, szybkiego reagowania kryzysowego, i to właśnie piechota morska robi najlepiej”.

To była kolejna kwestia, która mnie szczerze fascynowała. Jak piechota morska mogłaby przekształcić się w formację zmechanizowaną,

prorowadzić walkę z użyciem czołgów i piechoty w tych nowych warunkach, a jednocześnie zachować swój ekspedycyjny charakter? Zaangażowałem się poważnie w dyskusje na ten temat i włączałem się w nie zawsze i wszędzie, gdy tylko miałem taką sposobność\*[\* W ciągu paru kolejnych lat żołnierze piechoty morskiej w kilku wielkich manewrach europejskich wykazali, że potrafią skutecznie się „zmechanizować” i radzić sobie w bitwach z użyciem ogromnej ilości ciężkiego sprzętu.]

Tymczasem wielu specjalistów z Korpusu Piechoty Morskiej i spoza niego zaczęło rozglądać się za sposobami walki, które różniły się od tradycyjnych schematów bezpośredniego, walnego starcia sił. Choć ten nowy styl prowadzenia wojny nazwano z czasem „manewrowaniem”, określenie to nie było stosowane w normalnym technicznym, militarnym znaczeniu - przemieszczania sił zbrojnych w celu zdobycia pozycji. Chodziło tu raczej o nastawienie umysłowe, w którym niekoniecznie dążyło się do stosowania brutalnej siły, a następnie zmiażdżenia i całkowitego podporządkowania przeciwnika. Idea polegała na znalezieniu innowacyjnych - i nieoczekiwanych - metod zaszachowania drugiej strony. Koncepcja ta przeszła do historii jako „wojna manewrowa” lub „wojna nękająca”.

W dziejach wojskowości zdarzało się wielokrotnie, że niewielkim oddziałom udawało się pokonać znacznie większe siły dzięki wytworzeniu sytuacji, w której wrogi dowódca nabierał przekonania, że przegrał, lub która stawiała silniejsze wojska w sytuacji nie do obrony poprzez narzucenie im słabszej pozycji czy też zakłócenie, rozerwanie i zniszczenie tego, co Clausewitz określił mianem środka ciężkości - czegoś niezwykle istotnego ze względu na zdolność operacyjną danej jednostki.

Istnieje wiele takich środków ciężkości. Może to być wybrana osoba, taka jak niezastąpiony dowódca, może to być miejsce, takie jak stolica państwowa czy obiekt o znaczeniu strategicznym, może to być ośrodek dowodzenia, środki transportu, zapasy paliwa czy cokolwiek innego.

Zwolennicy wojny manewrowej usiłowali rozpoznać środki ciężkości wojsk nieprzyjaciela, wybrać jeden z nich, którego zniszczenie powinno spowodować skrajne osłabienie wroga, a następnie skupić swoje działania przeciwko niemu.

Głównym celem było wtargnięcie w cykl decyzyjny nieprzyjacielskiego dowódcy i wprowadzenie weń chaosu - uzyskanie zarówno psychologicznej, jak i fizycznej przewagi dzięki uzyskaniu kontroli nad tempem operacji oraz zyskaniu możliwości przeprowadzania działań szybciej i elastyczniej niż druga strona.

Osiągnięcie tych celów stawało się bardzo złożone, wyrafinowane i subtelne. Niełatwo było poprawnie połączyć czynniki manewrowania, ostrzału, kontrolę i ochronę informacji, a następnie zachować i zabezpieczyć formację, po czym rzucić ją do akcji. Zawsze zbyt sztywno trzymaliśmy się standardów organizacji pododdziałów, sądząc, że muszą one walczyć w jeden i tylko jeden sposób. Zamiast tego zwolennicy wojny manewrowej zaczęli uświadamiać sobie, że możemy rozczłonkować duże jednostki i modyfikować je już na polu bitewnym w bardziej elastyczny sposób, przystosowując je do konkretnych warunków.

Chłonałem te rewolucyjne pomysły jak gąbka wodę.

Naturalnie niezmiernie trudno było zmienić stare schematy myślenia. Nie tylko starsi oficerowie czuli się zagrożeni nowatorskimi ideami, ale stanowiły one też prawdziwe wyzwanie dla całej kultury operacyjnej,

która nie przywykała łatwo do subtelnego, intelektualnego wyrafinowania. Pojawiały się rozmaite spory i tworzyły różne obozy; ponadto wiele osób źle zrozumiało te nowe pomysły; ale Korpus Piechoty Morskiej w końcu podchwycił je i przyjął - choć zajęło to mu kilka długich lat.

Kiedy generał Gray został mianowany komendantem, stał się silnym zwolennikiem wojny manewrowej. Mieliśmy kogoś na szczycie, kto opowiadał się za zmianami sposobu myślenia operacyjnego; sposobu, w jaki walczyliśmy, jak również sposobu szkolenia i kształcenia naszych dowódców. Dzięki temu dokonały się ogromne zmiany w pełnym zamieszania okresie przejściowym w latach 90. XX wieku; a z czasem przyszła akceptacja (choć niepozbawiona zastrzeżeń).

Kilka lat wcześniej, wiosną 1975 roku, Tony Zinni przechodził ciężki okres w swoim życiu. Wstrząśnięty i schorowany, gdy południowy Wietnam upadał, znalazł się w gronie resztki ocalałych marines, walczących na wzgórzach na północ od Sajgonu aż do chwili, gdy ustały transmisje radiowe.

W dniu, w którym padł Sajgon, wycofał się z aktywnej pracy i na wiele godzin pograżył się w coś, co można by nazwać „medytacją wojownika”, myśląc o wszystkich żołnierzach - i przyjaciółach - którzy zginęli, jak również o losie wielu Wietnamczyków, których zdążył poznać.

Gdy nawiedzały go takie myśli, doznał nagłego olśnienia. Był żołnierzem piechoty morskiej od 10 lat, w połowie typowej kariery, a nigdy nie podjął świadomej decyzji o pozostaniu w służbie czy też o jej porzuceniu i przejściu do cywila. Zawsze była to kwestia nieporzucania służby ze względu na to, że nie mógł tego uczynić, kiedy toczyły się wojny. Zawsze była jakaś wojna - a więc z żołnierzami uczestniczącymi w

walkach nadawała sens jego życiu jako członka piechoty morskiej. A teraz ten sens się rozmył. Zinni stracił najważniejsze powody pozostawania w służbie.

Na szczęście nie była to trwała depresja i w miarę jak ustępowała, zaczął dochodzić do przekonania, że zakończyła się pewna epoka dla niego, dla Korpusu Piechoty Morskiej, dla całego narodu amerykańskiego. Nadszedł najwyższy czas, by zrobić coś nowego.

Takim refleksjom towarzyszyło głębsze postanowienie. Zamierzał pozostać w Korpusie Piechoty Morskiej tak długo, jak długo piechota będzie go potrzebowała. Nie był w stanie myśleć o żadnej innej pracy.

Z biegiem lat kariera Zinniego zaczęła przypominać mniej lub bardziej tradycyjny schemat, uwzględniając jego antypatię do pracy sztabowej: rok w Szkole dla Kadr Dowódczych i Sztabowych Piechoty Morskiej w Quantico; oficer operacyjny w 3. Batalionie 2. Dywizji Piechoty Morskiej w Camp Lejeune (począwszy od sierpnia 1978 roku); zastępca dowódcy batalionu w 1. Batalionie 8. Dywizji Piechoty Morskiej; zastępca dowódcy pułku (1979-1980); wreszcie w kwietniu 1980 roku objął dowództwo 2. Batalionu 8. Dywizji Piechoty Morskiej (początkowo jako major, co było bardzo rzadko spotykane; został mianowany podpułkownikiem w czasie dowodzenia tym batalionem). Dowództwo batalionu było w oczach Zinniego doskonałym zwieńczeniem jego trzeciej przygody z 2. Dywizją Piechoty Morskiej. Uczestniczył kilka razy w znaczących ćwiczeniach wojskowych NATO i manewrach na Morzu Śródziemnym z amerykańską 6. Flotą i był dumny z wybitnych dokonań swojego batalionu osiągniętych dzięki wykorzystaniu dosłownie wszystkich administracyjnych i - co ważniejsze - operacyjnych środków.

Awanse Zinniego i doświadczenie dowódcze stanowiły powody do dumy; jednak jego dobry nastrój pierzchł, kiedy w 1980 roku zmarł mu ojciec. Udało mu się spotkać z ojcem jeden ostatni raz, zanim odszedł.

W 1981 roku znalazł się znów w Quantico jako instruktor w Szkole dla Kadr Dowódczych i Sztabowych Piechoty Morskiej z zadaniem szkolenia operacyjnego i taktycznego (oraz uzyskania stopnia magistra w zakresie zarządzania). W roku szkolnym 1983/1984 uczęszczał do Narodowego Uniwersytetu Wojennego.

W październiku 1983 roku, gdy wciąż jeszcze zdobywał wiedzę w Narodowym Uniwersytecie Wojennym, koszary marines w Bejrucie zostały wysadzone w powietrze w wyniku samobójczego ataku terrorystycznego członków organizacji Hezbollah - to straszne wydarzenie odcisnęło się silnym piętnem na wszystkich żołnierzach piechoty morskiej. Rosnące zagrożenie terroryzmem nie tylko na Bliskim Wschodzie, lecz także w Europie i Ameryce Łacińskiej zaczęło coraz bardziej przykuwać uwagę i budzić zainteresowanie Zinniego.

Katastrofa w Bejrucie doprowadziła do drobiazgowej kontroli Korpusu Piechoty Morskiej. Wiele osób zadawało sobie pytanie, czy należy winić za nią niewystarczające zabezpieczenia i środki ostrożności, które umożliwiły tę tragedię. Ale pokazywało to również, jak słabo rozumiane było zagrożenie terroryzmem, z którym musiały mierzyć się amerykańskie siły zbrojne poza granicami kraju. Ugrupowania terrorystyczne stawały się coraz bardziej aktywne i niebezpieczne na całym świecie, a amerykański personel wojskowy stanowił kuszący cel.

Wiosną 1984 roku, kilka miesięcy przed ukończeniem przez Zinniego studiów, zadzwonił do niego stary znajomy, dowódca batalionu z



Wietnamu i mentor Mick Trainor, który miał teraz stopień generała broni i był zastępcą szefa do spraw planowania, polityki i operacji w Dowództwie Piechoty Morskiej. Powiadomił Zinniego, że po skończeniu Narodowego Uniwersytetu Wojennego miał on zostać oficerem do spraw planowania w Dowództwie Piechoty Morskiej, gdzie zajmowałby się sprawami Europy i NATO.

- Nie pozwolimy na to - wyjaśnił mu Trainor. - Mamy co do ciebie inne plany. Po zamachu w Bejrucie wywierano na nas wielką presję, żebyśmy skoncentrowali działania na kwestii zagrożenia terrorystycznego. Chciałbym, żebyś zapoznał się z pracami, które wszczęliśmy w celu opracowania programu pomagającego uporać się z tym zagrożeniem. Chcemy zintensyfikować nasze wysiłki antyterrorystyczne i zwiększyć środki bezpieczeństwa oraz szkolić marines, tak by mieli oni znacznie wyższą świadomość niebezpieczeństwa, przed którym stoimy. Chcemy też, żebyś pracował nad nowymi programami i wszelkimi sprawami dotyczącymi operacji specjalnych\*[\* W tym właśnie okresie w piechocie morskiej zaczęto używać tego terminu w znaczeniu, które upowszechniło się współcześnie - czyli jako terminu oznaczającego wszelkiego rodzaju niekonwencjonalne sposoby prowadzenia walki.].

- Możesz więc zapomnieć o przydziale na stanowisko oficera do spraw planowania - mówił dalej Trainor. - Zostaniesz oficerem do spraw operacji specjalnych i antyterroryzmu w dowództwie.

Zinni uznał to za ekscytujące i niezwykle ważne zajęcie. Wiedział, że piechota morska poniosła poważne straty w zamachu w Bejrucie i poważnie traktował nowe zagrożenie terroryzmem.

- Tak jest, sir - odparł Zinni, w głowie kłębiły mu się myśli. Zdawał sobie sprawę, jak trudno będzie zmobilizować się do niezwykle wyętej pracy w zakresie antyterrorystu i operacji specjalnych.

Ponieważ nie przeszedł żadnego fakultatywnego kursu na temat terrorystu oferowanego w Narodowym Uniwersytecie Wojennym, woląc raczej studiować sprawy europejskie i NATO (jako że sądził, iż ta dziedzina wiedzy będzie mu najbardziej potrzebna w najbliższej przyszłości), musiał pospiesznie dotrzeć do wszelkich dostępnych źródeł informacji na ten temat - od literatury przedmiotowej po specjalistów wydziałowych. Uzbrojony w taką wiedzę zameldował się na służbę w dowództwie Korpusu Piechoty Morskiej natychmiast po uzyskaniu promocji.

Niebawem jego pięcioosobowa sekcja stworzyła program wymierzony w rozbudzenie świadomości każdego żołnierza piechoty morskiej w kwestii nowego zagrożenia. Obejmował on realistyczne ćwiczenia i szkolenia merytoryczne ułatwiające uporanie się z tym problemem; rozwijał różne koncepcje, taktykę i proponował specjalistyczny sprzęt niezbędny do walki z terrorystami; poprawiał możliwości wywiadowcze marines w tej sferze; a wreszcie zwiększał zabezpieczenia obiektów amerykańskiej piechoty morskiej.

Jednocześnie jako oficer z dowództwa marines specjalizujący się w operacjach specjalnych Zinni reprezentował piechotę morską na wszystkich forach poruszających te niezwykle istotne kwestie.

Żołnierz marines żeglujący na te morza wiedział, iż roi się w nich od smoków, jako że piechota morską od dawna lekceważyła istnienie oddziałów do operacji specjalnych. Niechęć wobec takich

specjalistycznych jednostek wypływała z przeświadczenia, że cała formacja marines jest czymś wyjątkowym; nie potrzebowała tworzyć elity wewnątrz elity.

Od chwili tragedii w trakcie operacji „Pustynia Jeden” (zakończonych fiaskiem tragicznej operacji specjalnej mającej na celu uwolnienie amerykańskich zakładników przetrzymywanych w ogarniętym rewolucją Teheranie) przygotowywanie wiarygodnych wspólnych formacji do operacji specjalnych stanowiło najwyższy priorytet. W 1983 roku zastępca sekretarza obrony w nocy służbowej nakazywał wszystkim rodzajom sił zbrojnych wyznaczyć specjalne pododdziały do operacji specjalnych. Kiedy Zinni zajął się tą dziedziną w Korpusie Piechoty Morskiej, marynarka wojenna, siły lądowe i siły powietrzne wyznaczyły już własne „jednostki specjalne”, zaś kontrowersyjna sprawa zorganizowania ich w jedną formację była dyskutowana w Waszyngtonie. Działania te doprowadziły ostatecznie do utworzenia Dowództwa Operacji Specjalnych, osobnego, zjednoczonego dowództwa z własnym budżetem (co czyniło z niego niezupełnie odrębną władzę). W ten sposób różne rodzaje sił zbrojnych wносиłyby równy wkład do tego dowództwa.

Piechota morska postanowiła zignorować dyrektywę i zgodnie ze swoją wieloletnią polityką odmówiła wyznaczenia „jednostek specjalnych”.

Polityka ta sięgała jeszcze II wojny światowej, kiedy piechota morska wskutek nacisków ze strony prezydenta Roosevelta stworzyła Bataliony Szturmowe, ale bardzo szybko je rozwiązała, podobnie jak inne jednostki specjalne.

Później, kiedy prezydent Kennedy usiłował przekonać Korpus

Piechoty Morskiej do uformowania oddziałów specjalnych w celu sprawniejszego radzenia sobie z misjami tłumienia rewolt, generał David Shoup, komendant, twierdził, że marines są w stanie doskonale uporać się z takimi misjami w obecnym stanie; nie potrzebowali jednostek specjalnych. Kennedy, na którym odpowiedź Shoupa nie zrobiła wielkiego wrażenia, zwrócił się do dowództwa sił lądowych, które stworzyło specjalne siły operacyjne wojsk lądowych.

W 1984 roku było jasne, że piechota morska nie może dłużej unikać kwestii stworzenia oddziałów do operacji specjalnych w jakiejś postaci. Pytanie brzmiało - w jakiej? I jak miała tego dokonać?

Gdy w pewnym momencie wpływowy kongresman zaproponował umieszczenie wszystkich jednostek specjalnych pod dowództwem marines, piechota morska musiała bardzo się postarać, żeby dyplomatycznie się z tego wykręcić. Analiza przeprowadzona przez piechotę morską przyniosła (wcale niezaskakujący) wniosek, że istnieją oczywiste korzyści kierowania działaniami wszystkich specjalnych jednostek przez jedno dowództwo i że piechota morska jest do tego idealna; jednak obranie takiego kursu byłoby niewspółmiernie destrukcyjne, wytworzyłoby niepotrzebne animozje, a ujemne strony przeważałyby nad wszystkimi korzyściami.

Na tym zakończyły się wysiłki Korpusu Piechoty Morskiej, usiłującego uparcie odrzucić te propozycje. Rosnące naciski na utworzenie w piechocie morskiej takich nowoczesnych oddziałów spowodowały, iż ówczesny komendant generał P.X. Kelley i generał broni Trainor musieli jeszcze raz zająć się kwestią utworzenia jednostki specjalnej.

Jako oficer piechoty morskiej do spraw operacji specjalnych Zinni

uczestniczył we wszystkich spotkaniach, naradach, wspólnych sesjach dotyczących tego tematu; przypatrywał się wszystkim szkoleniom; odwiedzał wszystkie jednostki specjalne wszystkich formacji sił zbrojnych. Wkrótce poznał sferę operacji specjalnych tak dobrze, jak żaden inny żołnierz piechoty morskiej.

Powierzono mu opracowanie wstępnej analizy sytuacji, która przyniosła wniosek, że piechota morska potrzebowała pewnych „specjalnych” formacji, i proponował kilka opcji obejmujących stworzenie pododdziałów specjalnych. Niektóre misje specjalne, które zostały omówione w tej analizie, były związane z możliwościami ataków desantowych i wodno-łądowego rekonesansu (w misjach takich piechota morska była już wtedy bardzo dobra), jak również z operacjami antyterrorystycznymi oraz szybkimi akcjami ofensywnymi, takimi jak przejęcia szybów czy platform naftowych, ewakuacja oddziałów, ataki i rozmaite bardziej wyspecjalizowane działania.

Generałowie Kelley i Trainor postanowili przedstawić te rozwiązania Flocie Piechoty Morskiej Rejonu Atlantyku (Fleet Marine Forces Atlantic), znajdującej się pod dowództwem generała broni Ala Graya, w celu przeprowadzenia dalszej analizy (Zinni uczestniczył w tych pracach jako przedstawiciel dowództwa). Doprowadziło to do opracowania przez Graya programu utworzenia formacji o nazwie MEU (SOC) - Pododdział Ekspedycyjny Piechoty Morskiej do Zadań Specjalnych. Miał on obejmować istniejące pododdziały ekspedycyjne marines MEU, przy czym drastycznie zmieniał ich szkolenie, organizację, wyposażenie, zadania i kryteria ocen, tak by mogli lepiej podejmować wyzwania nowych kryzysów. Ponieważ „nowe” jednostki pozostawały wyznaczone jako siły

konwencjonalne, zmiana ta nie pogwałciła tradycyjnej polityki piechoty morskiej w kwestii operacji specjalnych. Pododdziały te uczyniono po prostu znacznie bardziej kompetentnymi i sprawnymi.

Choć program rodził kontrowersje zarówno wśród żołnierzy piechoty morskiej, jak i poza nią, pododdziały MEU (SOC) okazały się jedną z największych innowacji piechoty morskiej - często nazywaną „perłą w koronie” - i stanowiły żywą demonstrację, iż piechota morska zachowywała swoje ekspedycyjne dziedzictwo.

Pod koniec 1984 roku Zinni został wyznaczony do awansu na pułkownika, a następnie powierzono mu funkcję szefa Wydziału Analiz Koncepcji Operacyjnych i Potencjału, najnowszego wynalazku jego bezpośredniego przełożonego generała dywizji Jacka Godfrey'a, dyrektora wydziału operacyjnego w dowództwie. Wydział Analiz Koncepcji Operacyjnych i Potencjału miał za zadanie inteligentnie integrować wszystkie ekscytujące nowe programy piechoty morskiej z istniejącymi zdolnościami i koncepcjami operacyjnymi. Była to kolejna praca pozwalająca Zinnemu zajmować się tym, czym lubił - znajdował się w awangardzie zajmującej się sprawami i nowymi koncepcjami operacyjnymi. Jego wydział pracował nad kilkoma wielkimi nowymi projektami, takimi jak organizacja morskich grup zaopatrzeniowych, program rozlokowania sił i środków w Norwegii czy program konstrukcji samolotu pionowego startu i lądowania o ruchomych silnikach (w wyniku którego powstał V-22 Osprey). Wydział stał się głównym ośrodkiem dostarczającym podstawowe dane o tym” jak walczyć” przy użyciu wszystkich nowatorskich możliwości.

Latem 1986 roku Zinni został mianowany asystentem dowódcy SSG

- Grupy Studiów Strategicznych do spraw Operacji Morskich. Wybrano do niej sześciu kapitanów marynarki wojennej i trzech pułkowników piechoty morskiej, by spędzili rok, pracując nad strategicznie ważnym specjalnym projektem pod kierownictwem pewnego emerytowanego, wysoko postawionego dyplomaty. Grupa stacjonowała w Newport na Rhode Island, ale podróżowała też wiele zarówno po Stanach Zjednoczonych, jak i międzynarodowych bazach wojskowych. W 1986 roku projekt miał na celu ponowne przeanalizowanie amerykańskiej strategii morskiej w wojnie z Układem Warszawskim. Istniejąca strategia, która obowiązywała od kilku lat, była wówczas już wielokrotnie omawiana i ćwiczona w czasie wielu manewrów. Szef operacji morskich admirał Trost i sekretarz marynarki wojennej John Lehman chcieli, żeby grupa SSG przeanalizowała radziecką reakcję na tę strategię i zaproponowała jej ulepszenia.

W tym celu uzyskali oni dostęp do radzieckich uciekinierów i ściśle tajnych danych i programów wywiadu amerykańskiego. Opracowali również specjalne gry wojenne w celu przetestowania zaleceń. Dla Zinniego był to ekscytujący okres życia, coś jak spędzenie kolejnego roku w szkole wojskowej; głębia zrozumienia, jaką uzyskał w kwestiach strategii i wojny z imperium radzieckim, które w powszechnym oczekiwaniu powinno upaść, okazała się nieoceniona.

Ponieważ Zinni miał też trochę wolnego czasu (jego rodzina została w domu w Quantico), postanowił rozpocząć kolejne studia magisterskie w zakresie stosunków międzynarodowych na uniwersytecie w Newport.

Podczas gdy Zinni pracował w SSG, dowództwo nad marines objął nowy komendant Al Gray.

Podczas wizytacji grupy SSG Gray zaproponował Zinnemu powrót do Camp Lejeune w charakterze dowódcy nowej jednostki specjalnej MEU (SOC). Oczywiście sposobność powrotu do pracy w siłach operacyjnych ucieszyła i podekscytowała Zinniego. Jednak kilka tygodni później zadzwonił do niego generał dywizji Jack Godfrey, jego dawny szef z dowództwa, a obecnie generał dowodzący MEF - Siłami Ekspedycyjnymi Piechoty Morskiej na Zachodnim Pacyfiku (3. Korpus Sił Ekspedycyjnych), oferując mu dowództwo jednego z pułków piechoty 9. Dywizji Piechoty Morskiej, nazywanej „Striking Nine” - „Piorunującą Dziewiątką”.

Wybór był bardzo trudny, ale ostatecznie Zinni postanowił objąć dowództwo pułku.

Oficerowi piechoty trudno było przepuścić taką okazję, jaką było objęcie dowództwa pułku. Ale miał kilka innych powodów. Miał już za sobą trzy okresy służby w Camp Lejeune i w 2. Dywizji Piechoty Morskiej, a także dwie operacje rozwinięcia sił w rejonie Morza Śródziemnego, znał zarówno Europę, jak i Karaiby, podczas gdy jego przygody z Pacyfikiem ograniczały się do Wietnamu i Okinawy. Jediną jednostką, w której nie służył, był 3. Korpus Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej, a dzięki służbie w nim jednocześnie mógłby poznać nieco lepiej rejon Zachodniego Pacyfiku i... nie byłby postrzegany jako jeden z pupilków generała Graya. Ponieważ wielu oficerów nie chciało służyć w miejscach tak odległych od ojczyzny „wraz z osobami towarzyszącymi”, czyli z rodzinami, a zwłaszcza na Okinawie, trudno było znaleźć ludzi, którzy przyjęliby przydział na tę wyspę. Dla Zinniego była to okazja ku temu, żeby dowieść, iż nie cieszy się żadnymi specjalnymi względami.



Choć jego rodzina była szczęśliwa, mieszkając w Camp Lejeune, chętnie przystała na to, by spróbować czegoś nowego.

Decyzja o objęciu dowództwa pułku piechoty okazała się jedną z najlepszych, jakie kiedykolwiek podjął.

„Piorunująca Dziewiątka”

Lata 70. zaczęły się dla mnie na Okinawie i tam też skończyły się dla mnie lata 80.

„Piorunująca Dziewiątka”, legendarny pułk marines, który pamiętał zacięte walki na Iwo Jimie i w Wietnamie, stacjonował teraz w Camp Hansen w północnej części Okinawy. Trzy bataliony pułku były jednostkami rotacyjnymi, które wysyłano na Okinawę na sześciomiesięczne okresy z baz matek na Zachodnim Wybrzeżu i na Hawajach. Znaczyło to, że pułk zawsze dysponował zmobilizowanymi, doskonale wytrenowanymi pododdziałami.

Wraz z dowództwem pułku przyszło dowództwo nad Camp Hansen, największą bazą Korpusu Piechoty Morskiej na Zachodnim Pacyfiku mającą ponad 50 jednostek i placówek w tym rejonie. W sumie 7000 marines i marynarzy oraz ponad 1000 cywilów pracowało w całej bazie i wielu spośród żołnierzy tutaj mieszkało.

Obowiązki prowadzenia bazy takiej jak Camp Hansen były dla mnie nowym doświadczeniem i stanowiły spore wyzwanie - od codziennych zajęć związanych z utrzymaniem wszystkiego we właściwym stanie, po planowanie przyszłego rozwoju bazy i zabezpieczanie wszystkich obiektów w czasie groźnych tajfunów.

Baza składała się z 421 budynków rozproszonych na przestrzeni 245 hektarów; a w trakcie mojego pobytu czekał ją szereg prac budowlanych

wymagających rozwiniętego planowania i nadzoru.

Oba dowództwa wiązały się z trzecim obowiązkiem - utrzymaniem kontaktów z miejscową społecznością mieszkańców Okinawy. W naszej części wyspy znajdowało się wiele małych miasteczek i wsi, jak również duże miasto Kin sąsiadujące z obozem.

Dzięki operacyjnemu dowództwu bazy zyskiwałam fascynujące, nowe doświadczenie prowadzenia czegoś, co w istocie było małym miastem, podczas gdy moje kontakty z miejscową społecznością dawały rozmaite przeżycia kulturowe, które zawsze wysoko ceniłem, i uczyły mnie wiele o sztuce negocjacji i międzykulturowej komunikacji. Miało to się okazać niezwykle przydatne wiele razy w przyszłości.

W kulturach Orientu forma i grzeczność mogą być ważniejsze niż preferowane przez nas bezpośrednie relacje. Ludzie Wschodu postrzegają je jako obraźliwe.

Mój oficer do spraw kontaktów z cywilami, miejscowy wyspiarz, nauczył mnie bardzo wiele o zwyczajach i procedurach niezbędnych do skutecznego współdziałania z lokalną społecznością. Próbowałem też liznąć trochę języka - nie tylko japońskiego, ale też dialektu z Okinawy. Wygłaszałem więc mowy przed „mama-sanami”, którzy pracowali w bazie jako pracze czy sprzątacze.

Z biegiem czasu nawiązałem wiele przyjaźni z mieszkańcami Okinawy, często gościłem na rodzinnych obiadach, ślubach i pogrzebach. Uczestniczyłem również w świętach i imprezach socjalnych, zebraniach, regularnie spotykałem się z burmistrzami, izbą handlową, szefem policji, a także innymi cywilnymi przywódcami i organizacjami. Programy akcji cywilnych, które opracowaliśmy, umożliwiały żołnierzom ochotniczo

pomagać w rozmaitych sprawach ich tubylczym sąsiadom. Remontowaliśmy więc żłobki i szkoły dla dzieci specjalnej troski, organizowaliśmy miejscowe uroczystości. Dni zapoznawania się z lokalną społecznością w bazie wytwarzały nie prawdziwego porozumienia.

Niekiedy zdarzały się napięcia, ale silne więzi osobiste, które nawiązaliśmy, pozwalały nam łatwiej się z nimi uporać. Na szczęście nasi żołnierze nie stwarzali żadnych poważniejszych problemów w czasie, gdy dowodziłem bazą. Według moich znajomych wyspiarzy był to najdłuższy okres bez żadnych groźnych incydentów pomiędzy naszymi żołnierzami i mieszkańcami Okinawy. Cała ciężka praca, mająca na celu uzdrowienie niezliczonych problemów, które powstały w następstwie wojny wietnamskiej, zaczynała się teraz zwracać.

Niebawem moje podstawowe obowiązki na Okinawie wzbogacono o dwa kolejne dowództwa.

Dziwiąta Dywizja Piechoty Morskiej została stworzona po to, by stanowić zasadniczy pododdział pułkowej 9. Grupy Desantowej, część sił naziemnych 9. Brygady Ekspedycyjnej Piechoty Morskiej, czyli naszych sił wodno-lądowych w rejonie Zachodniego Pacyfiku. Podczas wizyty na Okinawie generał Gray polecił generałowi dowodzącemu 3. Korpusu Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej zaplanować i powołać MEU (SOC), pierwszy oddział tego typu w tym dowództwie. Otrzymałem rozkaz zorganizowania, wyszkolenia i objęcia dowództwa tej jednostki specjalnej.

W pododdziale ekspedycyjnym MEU znajdowała się batalionowa grupa desantowa jako komponent sił naziemnych, wzmocniony szwadron śmigłowców jako komponent sił powietrznych, a także grupa logistyczna. Przeszliśmy rozległy trening, wypróbowując wysoce wyspecjalizowany

sprzęt, taktykę, metody i procedury opracowane z myślą o unikatowych misjach tej jednostki specjalnej. Trening ten obejmował intensywne i wymagające testy przeprowadzane w trudnych warunkach terenowych, między innymi na Filipinach.

W czasie jednego z ćwiczeń z użyciem śmigłowca przydarzyła się katastrofa helikoptera, który runął do wody, zabierając ze sobą na dno kilku marines. Nie po raz pierwszy byłem świadkiem tragicznego wypadku w czasie ćwiczeń i nie po raz ostatni. Pomimo naszych usilnych starań nie zawsze udawało się uniknąć takich incydentów. Za każdym razem jednak byłem wstrząśnięty śmiercią wspaniałych żołnierzy. Pod wieloma względami znacznie trudniej pogodzić się ze śmiercią podopiecznych w jednostkach wojskowych w czasie pokoju niż w walce. Po mszy honorowej następnego dnia i zakrojonych na wielką skalę poszukiwaniach prowadzonych z powietrza i z wody, w końcu wróciliśmy do przerwane szkolenia. Choć zdawałem sobie sprawę, że było to trudne do zrozumienia dla moich młodych żołnierzy (tak samo jak dla mnie!), czułem, że powinienem dać im wyraźny sygnał, iż musimy wszyscy natychmiast skupić się z powrotem na naszych ćwiczeniach. Wiedziałem, że warunki bitewne nie pozwalały na luksus długiej żałoby.

Przez ponad dwa lata, od 1987 do 1989 roku, wypełniałem tych pięć wielkich obowiązków. Dla osłody pozostawało mi to, że moja rodzina doskonale znosiła nowe miejsce - naprawdę pokochała Okinawę. Nigdy nie była szczęśliwsza.

Jako dowódca marzyło mi się dowodzenie najlepiej wyszkolonym i najskuteczniejszym operacyjnie pułkiem w korpusie Piechoty Morskiej. Dlatego też pogrążyliśmy się w rygorystycznych programach

szkoleniowych i edukacyjnych.

Okinawa jest niewielka, co znaczy, że obowiązywały na niej poważne ograniczenia w strzelaniu ostrą amunicją. Te problemy nadały wyspie reputację niewygodnego miejsca do ćwiczeń wojskowych, a zwłaszcza dużych jednostek wojska. Ale ja nie zamierzałem się z tym pogodzić. Aby dowieść, że można tego dokonać, zabrałem na ćwiczenia na poligonie cały pułk. Wymagało to innowacyjnego podejścia i konieczności ignorowania rzekomych ograniczeń, ale udało nam się to znakomicie. Oczywiście na wyspie rzeczywiście były pewne ograniczenia treningowe, a ja ochoczo wykorzystywałem każdą nadarzającą się sposobność do wydostania moich jednostek z wyspy na szkolenia i treningi. Jeździli do Korei, na Filipiny, do Tajlandii, na Guam, na Iwo Jimę oraz w wiele innych miejsc tego regionu świata. W ciągu moich ponad dwóch lat dowodzenia pułkiem, pułkową grupą desantową i pododdziałem ekspedycyjnym zabrałem te jednostki na ponad 20 wielkich manewrów, mniejsze jednostki zaś posłałem na znacznie więcej ćwiczeń.

Zawsze lubiłem pogłębiać wiedzę operacyjną i taktyczną. Doświadczenia te doprowadziły mnie do przekonania, że większość dowódców zaniedbuje szkolenia operacyjne swoich podopiecznych dowódców. Dlatego też wprowadziłem szerokie programy kształcenia oficerów, podoficerów sztabowych i podoficerów w swoim dowództwie. Wszystkie odbywające się dwa razy w tygodniu sesje szkoły oficerskiej - lekcje i wykłady, ćwiczenia z mapami, szkolenia polowe - koncentrowały się wyłącznie na prowadzeniu walki, a ja albo nauczałem, albo nadzorowałem prowadzenie zajęć. Czyniliśmy wszystko, co tylko możliwe, by uczynić tę pracę zabawną i pełną wyzwań.

Mojemu starszemu sierżantowi sztabowemu poleciłem, żeby prowadził sesje dla podoficerów sztabowych oraz razem z pozostałymi starszymi sierżantami sztabowymi batalionu nadzorował program dla podoficerów. Ale wiele z tych zajęć prowadziłem również osobiście.

Ponieważ istniejący stan zagrożenia związany z kryzysem w Korei nakładał na nas w razie potrzeby obowiązek błyskawicznej reakcji i rozpoczęcia tam niezwykle trudnej misji, pułk i pułkowa grupa desantowa poświęcały mnóstwo czasu na angażowanie się w wielkie ćwiczenia w Korei, w których uczestniczyły tysiące żołnierzy USA i Republiki Korei (Korei Południowej). Przeprowadzanie operacji na koreańskiej prowincji wśród małych wiosek i miasteczek czyniło takie manewry bardzo realistycznymi i interesującymi dla naszych żołnierzy. Ćwiczenia były wyczerpujące, często odbywały się w porze zimowej lub wczesnych miesiącach wiosennych, kiedy surowa pogoda mocno dawała nam się we znaki.

Dwukrotnie mój specjalny pododdział ekspedycyjny MEU został wysłany, by zażegnać kryzys na Filipinach, kiedy zabójcy z NPA, filipińskiego ugrupowania terrorystycznego, zamordowali członków amerykańskiego personelu wojskowego.

W pierwszym incydencie pewien amerykański lotnik z bazy lotniczej Clark został zamordowany w miasteczku nieopodal bazy. W drugim incydencie amerykański attache wojskowy na Filipinach, pułkownik Nick Rowe, został zastrzelony podczas przejazdu ulicą Manili (Rowe był bohaterem wojennym, który uciekł z Wietnamu po kilku latach spędzonych w tamtejszym obozie).

Po tych dwóch zdarzeniach nasza misja polegała na

natychmiastowym zapewnieniu bezpieczeństwa bazie marynarki wojennej w zatoce Subic oraz pobliskiej bazie sił powietrznych na cyplu Cubi. Nasze jednostki patrolowały dżunglę wokół tych baz oraz ochraniały oddziały przeprowadzające niezbędne misje poza ich terenem.

Znałem tę dżunglę całkiem dobrze, ponieważ przeprowadzaliśmy tam szeroko zakrojone ćwiczenia. Myśliwi z plemienia Negrito - jednej z wielu grup etnicznych na Filipinach - wspierali nas w ćwiczeniach w dżungli i byli w tym znakomici. Zapoznawali nas z roślinami rosnącymi w dżungli, które powstrzymywały krwawienia i zakażenia, a co za tym idzie poprawiały gojenie się ran, uczyli nas o roślinach, które były trujące, ale mogły zostać unieszkodliwione (po usunięciu trujących substancji) i wówczas nadawały się do jedzenia. Dzięki Negrito zdobyliśmy rozległe praktyczne umiejętności. Choć przeszedłem wiele kursów przetrwania w dżungli i odczułem na własnej skórze trudy Wietnamu, ci myśliwi nauczyli mnie więcej o życiu w takim miejscu niż ktokolwiek wcześniej.

Do najważniejszych wydarzeń w trakcie tych działań doszło wtedy, gdy admirał dowodzący naszymi siłami na Filipinach zdecydował, iż powinniśmy przeprowadzić misję humanitarną po niszczycielskim tajfunie, który dotknął dzikie tereny na południowy wschód od Luzonu. Kiedy amerykańscy żołnierze tkwili uwięzieni w bazach, wynikły napięcia związane z utratą źródeł dochodów przez miejscową ludność, które zaczynały stwarzać poważne problemy. Admirał dostrzegł okazję ku temu, by pomóc spustoszoną przybrzeżnym wioską w ramach próby złagodzenia tych napięć i polepszenia wzajemnych stosunków z tubylcami.

Misja humanitarna, którą admirał złożył na nasze barki, wymagała

użycia mojej floty powietrznej C-130 i CH-53 do przewiezienia zapasów dla potrzebujących. Samoloty C-130 przetransportowały ładunek na piaszczyste lądowisko w tamtym rejonie, podczas gdy wielkie śmigłowce CH-53 przenosiły ładunek z owego lądowiska do bardziej odległych wiosek.

Choć doceniałem korzyści płynące z prowadzenia działań humanitarnych i dobrych public relations w tak newralgicznym czasie, nie czułem się dobrze, przeprowadzając tę misję. Obszar, na którym operowaliśmy, znajdował się prawie 500 kilometrów od naszej bazy, a nikt nie przywiązywał większej wagi do zapewnienia bezpieczeństwa i zabezpieczenia się przed potencjalnymi atakami ze strony NPA lub innych organizacji terrorystycznych czy lokalnych ugrupowań powstańczych.

Nasze samoloty i śmigłowce w pierwszych misjach sprawiły się bez zarzutu, ale drugiego dnia działań otrzymałem telefon, że jeden ze śmigłowców CH-53 musiał awaryjnie lądować w pewnej wiosce i został nieznacznie uszkodzony. Nic wielkiego, jak uznał mój szwadron. Przeprowadzili błyskawiczną inspekcję i drobne naprawy, więc helikopter powinien być zdolny do lotu w ciągu kilku godzin.

Taka ocena sytuacji okazała się jednak bezpodstawnie optymistyczna... Zepsuty śmigłowiec miał stać się dla mnie prawdziwą zmorą.

Nazajutrz dotarły do mnie wieści od załogi helikoptera, które nie były już tak pozytywne. Uznano, iż uszkodzenia są poważniejsze, niż początkowo zakładano, ale podkreślano, że CH-53 wkrótce zostanie naprawiony bez większych trudności.

W porządku, pomyślałem, ale kiedy zapytałem marines



stacjonujących na Filipinach o bezpieczeństwo w tym regionie i ewentualne zagrożenia ze strony wywrotowców, dowiedziałem się przerażony, że ten właśnie obszar kraju był poważnie zagrożony wpływami NPA. Sytuacja w tej części Filipin była tak niedobra, że siły zbrojne USA w tym rejonie wysyłały tam jedynie oddziały swoich najbardziej elitarnych formacji - marines i rangersów. Choć miałem świadomość, że jednostki takie prowadziły działania w tym regionie, nie powiązałem tego z informacjami o zagrożeniu. Moje zdenerwowanie znacznie się pogłębiło.

Natychmiast poleciłem mojemu batalionowi nawiązać łączność satelitarną - wyekspediowałem pluton do wioski dla zapewnienia bezpieczeństwa na jeszcze jeden dzień pracy niezbędny do przywrócenia śmigłowca do użytku.

Kiedy pluton dotarł na miejsce, jego dowódca doniósł, że szef wioski obawiał się, iż cała ta wyjątkowa aktywność żołnierzy amerykańskich przyciągnie partyzantów z NPA. W odpowiedzi na to dowódca plutonu objął ochroną zarówno śmigłowiec, jak i wioskę. To były dobre wieści. Złe wieści były takie, że zepsuta maszyna w rzeczywistości była w znacznie gorszym stanie, niż wynikałoby to z wcześniejszych zapewnień.

Postanowiłem udać się do wioski, żeby osobiście przyjrzeć się całej sprawie. Przekazałem dowództwo misji bezpieczeństwa w bazach marynarki wojennej zastępcy, wyznaczyłem samolot C-130, który miał zabrać mnie oraz dodatkowy personel wojskowy dla wzmocnienia naszego plutonu na piaszczyste lądowisko nieopodal wioski. Stamtąd mieliśmy polecieć na miejsce śmigłowcem. Planowaliśmy powrót następnego dnia.

Tej nocy zbudził mnie pilny raport od dowódcy plutonu

znajdującego się w wiosce. Partyzanci z NPA zabili mieszkańca wioski i porzucili jego ciało nieopodal naszych stanowisk; kartka przyczepiona do zwłok zawierała groźbę pod adresem żołnierzy. Bezzwłocznie rozkazałem jeszcze większej liczbie żołnierzy przyłączyć się do sił bezpieczeństwa mających udać się tam w celu wsparcia plutonu.

Zanim wylądowaliśmy C-130 na piaszczystym lądowisku, kazałem pilotowi przelecieć nad wioską, tak żebym mógł wczuć się w to miejsce.

Uziemiony śmigłowiec przedstawiał rozpaczliwy widok. „Drobne uszkodzenia? Nic wielkiego?” Nic podobnego. Maszyna utknęła w błocie w rejonie przybrzeżnych pływów morskich, a łopaty jej wirnika po prostu odpadły. Nie była to drobna usterka, którą można było łatwo usunąć.

Po przedostaniu się do wioski na pokładzie śmigłowca dokonałem szybkiej oceny naszego położenia wraz z dowódcą batalionu, po czym przekazałem w jego ręce sprawy bezpieczeństwa, sam zaś skupiłem się na uszkodzonym helikopterze. Spadłem na załogę śmigłowca niczym grom. Dowiedziałem się, jak mniej więcej doszło do katastrofy.

Porucznik pilotujący CH-53 przeładował maszynę ciężkimi workami z żywnością. Gdy wlatywał nad niewielką strefę lądowania w centrum wsi, w ostatniej chwili dotarło do niego, że lądowisko jest za małe dla jego stalowego ptaka. Ostro szarpnął maszynę do góry, jednak ciężary na pokładzie nie pozwoliły mu unieść jej wystarczająco szybko, więc osiadł nieopodal, na obszarze basenu pływowego, ledwie uniknąwszy zderzenia ze słomianymi chatami mieszczącymi się na odcinku pomiędzy lądowiskiem i wodą.

Czas stał się w tym wszystkim bardzo ważnym czynnikiem. Przyływ miał się rozpocząć w ciągu kilku godzin. Ponieważ helikoptera

nie udało się naprawić tak szybko, jak na to wszyscy liczyli, wzbierająca słona woda rzuciła nim o drzewa okalające basen pływowy, co spowodowało dodatkowe zniszczenia, uniemożliwiające wydobyć go z matni. Teraz dodatkowo zagrzebał się w mule.

Byłem wściekły. Rozumiałem, że załoga skupiła się na reperowaniu helikoptera, i doceniałem to, że bez chwili wytchnienia pracowali nad tym, by uruchomić maszynę w niezwykle trudnych warunkach, ale nieprawidłowa ocena sytuacji i nieprawdziwy meldunek o jego stanie były niewybaczalnymi błędami. Te błędy sprawiły, że pozostawiłem ich w niezwykle niebezpiecznej sytuacji na ponad dzień.

Nie był to jedyny powód do złości. Ci, którzy obarczyli nas wykonaniem tej misji, nie zdołali właściwie przeanalizować danych wywiadu dotyczących bezpieczeństwa, wyraziłem więc moje odczucia wobec wszystkich tych oficerów na wyższych szczeblach hierarchii dowodzenia, którzy powinni przykładać większą wagę do tego, co się dzieje. Na szczęście mieliśmy w tym rejonie Filipin marines, którzy mogli nam pomóc.

W końcu wykorzystaliśmy potężnego CH-53E do wyciągnięcia uszkodzonego śmigłowca z mułu. Następnie należało przetransportować go na pokład specjalnego holownika ratowniczego cumującego niedaleko brzegu. Operacja rozpoczęła się prawidłowo. CH-53EZ powodzeniem uniósł bezwładny śmigłowiec, ale w drodze do holownika zrzucił go wprost do morza.

- Nie ma się o co martwić. Mogę go bez trudu wyciągnąć z dna morskiego - oświadczył wówczas kapitan holownika.

Ostatecznie spełnił tę obietnicę i wydobył zdewastowany helikopter,

następnie sprowadził go do bazy marynarki wojennej, gdzie zrzucił go na brzeg niedaleko naszego obozowiska - teraz to był zwykły złom.

Historia wcale na tym się nie kończy.

W czasie późniejszego rozwinięcia sił otrzymaliśmy polecenie oczyszczenia śmigłowca i umieszczenia go na okręcie zmierzającym do Okinawy. Ponieważ tkwił on na skraju dżungli przez niemal rok, oczyszczenie go nie należało do łatwych zadań. Przy obecnym stanie maszyny marynarka wojenna nie paliła się do tego, by wziąć ją na pokład swojego okrętu, co spowodowało burzliwe dyskusje.

Śmigłowiec znów zamieniał moje życie w koszmar.

Kiedy zdołaliśmy sprowadzić helikopter z powrotem na Okinawę, został umieszczony w Camp Hansen z zamiarem wykorzystania go do ćwiczeń wsiadania i wysiadania z pokładu takich maszyn (stare kadłuby maszyn latających często są wykorzystywane w ten sposób). Tak więc znalazł się on w samym sercu bazy, na widoku, by przypominać mi się każdego dnia mojej służby - niczym pamiątka wszystkich nieszczęść, które na mnie ściągnął.

W czasie mojej służby w „Piorunującej Dziewiątce” generał Gray kilkakrotnie wzywał mnie z powrotem do Waszyngtonu, żebym wziął udział w pracach mających na celu zlikwidowanie wielu problemów, które wyłoniły się z nieuchronnego zmniejszania się liczebności wojsk USA. Chciał, żeby piechota morska zdołała zredukować personel i sprzęt z minimalnymi zakłóceniami i bez utraty zdolności bojowej. To był twardy orzech do zgryzienia. Choć członkowie mojej grupy analitycznej badającej tę sytuację zostali starannie wyselekcjonowani spośród całej piechoty morskiej, kilku dowódców odrzucało nasze rekomendacje.

Nikt nie chciał z niczego rezygnować. Nikt nie chciał mierzyć się z rzeczywistością nadchodzących zmian i redukcji sił.

Tymczasem coraz trudniej było mi pogodzić te czasochłonne prace z pozostałymi obowiązkami na Okinawie - generał Gray doskonale zdawał sobie sprawę z tego konfliktu.

- Wątpię, czy zdołasz ukończyć regularną, trzyletnią służbę na Okinawie - rzekł do mnie pewnego dnia.

Miał rację. Po dwóch latach i kilku miesiącach, otrzymałem rozkaz powrotu do Quantico, gdzie miałem objąć funkcję szefa sztabu Ośrodka Treningowego i Edukacyjnego, instytucji niedawno powołanej przez generała Graya w celu wprowadzenia w życie zmian, które zarządził. Moje doświadczenia w tej sferze sprawiły, że musiałem wrócić wcześniej, by w tym pomóc.

#### **4. Nowy nieporządek świata**

Ośrodek Treningowy i Edukacyjny w Quantico był wynalazkiem Ala Graya - częścią jego wysiłków prowadzących do zreformowania systemu szkoleniowego Korpusu Piechoty Morskiej. Celem stworzenia ośrodka było usprawnienie treningu marines poprzez opracowanie realistycznych, ambitnych standardów służby w piechocie morskiej, które miały określać, kim właściwie jest żołnierz Korpusu Piechoty Morskiej, wyznaczać zakres obowiązków jego specjalizacji zawodowej, zakres odpowiedzialności odpowiadający poszczególnym stopniom wojskowym, jak również zakres obowiązków związanych z pełnioną funkcją - na przykład dowódcy eskadry. Ośrodek miał również zapewnić metody testowania i oceny tego, czy powyższe cele zostały osiągnięte przez poszczególnych żołnierzy i

całe oddziały.

Zmiany takie były znaczące i dalekosiężne; a biorąc pod uwagę charakter odpornej na zmiany kultury wojskowej, ich wprowadzanie mogło nastrożać wiele trudności. Gray potrzebował współpracownika, który podzielał jego wizję, a także był na tyle wiarygodnym i sprawnym dowódcą, by pomóc ją urzeczywistnić. Zinni otrzymał więc propozycję objęcia stanowiska szefa sztabu ośrodka.

Niedługo przed świętami Bożego Narodzenia w 1989 roku, niespełna sześć miesięcy po przybyciu do ośrodka, Zinni otrzymał telefonicznie gratulacje od Graya; został nominowany na stopień generała brygady\*[\* Właściwego wyboru dokonuje specjalna komisja, ale zgodnie z procedurą komendant osobiście powiadamia o tym wszystkich wyselekcjonowanych pułkowników.].

Korpus Piechoty Morskiej ma bardzo proste struktury organizacyjne i stanowi przeciwieństwo jakiegokolwiek organizacji z rozbudowaną administracją. Oznacza to, że jest w niej bardzo niewielu generałów, a wybór do tego grona stanowi wielki honor. Corocznie może jeden spośród dziesięciu pułkowników piechoty morskiej zostaje awansowany do rangi generalskiej. Spośród nich wszystkich zaledwie trzech lub czterech wywodziło się z grona pułkowników piechoty, tak jak Zinni.

Choć Gray chciał, żeby Zinni został przydzielony do jakiejś pracy w marines po tej promocji, stary przyjaciel Zinniego, Jack Sheehan, miał inny pomysł. Sheehan, będący w randze generała dywizji (później miał awansować na głównodowodzącego Dowództwa Atlantyckiego), kierował wydziałem personalnym w Dowództwie Piechoty Morskiej. Jeśli Zinni

zamierzał pokusić się o dalsze awanse, Sheehan wiedział, że będzie potrzebował czegoś, co nazywa się „wspólną służbą” - jednego ze stanowisk w sztabie dowództwa obsadzanych przez wszystkie rodzaje sił zbrojnych\*[\* Zgodnie z przepisami nowi oficerowie w randze generalskiej musieli przejść wspólną służbę w pierwszej kolejności, jeśli wcześniej nie pracowali w żadnym dowództwie sił połączonych.].

Sheehan miał właśnie odpowiednią pracę dla Zinniego - w miejscu stanowiącym wcześniej niemalże zapomniany zaścianek, a z którego upadek imperium radzieckiego miał potem uczynić jedno z najbardziej pracowitych miejsc na całej planecie.

Po świętach Sheehan powiadomił Zinniego, że latem zostanie zastępcą dyrektora do spraw operacji w Dowództwie Sił Zbrojnych USA w Europie (EUCOM), w Stuttgarcie w Niemczech.

- To jeden z najlepszych przydziałów - oznajmił mu Sheehan. - Najlepsze stanowisko dla generałów brygady marines.

- Jasne - rzucił Zinni. - Ale, na rany, tak naprawdę chciałbym być zastępcą dowódcy dywizji lub kimś podobnym w marines i darować sobie te bzdury z siłami połączonymi. Ten przydział jest świetny ze względu na pracę sztabową, ale to tylko praca sztabowa, która jest cholernie nudna.

Z drugiej strony Zinni był szczęśliwy, że został generałem. Powtarzał sobie:

- Będziesz więc musiał przetrwać tam jakieś dwa lata, a potem mieć nadzieję, że dostaniesz coś naprawdę ciekawego, jak wrócisz.

Później, po tym jak w Europie na własne oczy oglądał wszechobecne przemiany po upadku Związku Radzieckiego, zaczął zupełnie inaczej patrzeć na swoją nową pracę. Mawiał sobie wówczas:

- To miejsce przechodzi wielkie zmiany. To naprawdę ekscytujące. Jesteśmy świadkami wielkich wydarzeń.

Przed przejściem do EUCOM-u Zinni uczęszczał na kurs Capstone'a dla nowych, jednogwiazdkowych generałów w Akademii Obrony Narodowej w Waszyngtonie.

Imperium Radzieckie upadło nie z hukiem, lecz ze skomleniem. Huki rozległy się później - niemal za każdym razem w nieoczekiwanych miejscach, tak nieoczekiwanych jak sam krach sowieckiego molocha. Nikt tego nie przewidział. Stało się to tak szybko, że nawet większość najbardziej przewidujących specjalistów od polityki zagranicznej i wywiadu nie zdołało rozgryźć poszczególnych incydentów, a tym bardziej nie potrafiło objąć całokształtu wydarzeń i ich implikacji. Dezintegracja Związku Radzieckiego rozpoczęła się w 1989 roku, kiedy pierestrojka Gorbaczowa uwolniła pierwsze demony. Później Borys Jelcyn usiłował pozbierać do kupy rozpadające się kawałki starej układanki, ale tylko z częściowym powodzeniem. To, co niegdyś tworzyło olbrzymi, dumny i potężny Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, w ciągu roku rozpadło się na odrębne republiki, takie jak Rosja, Ukraina, Białoruś, Gruzja, republiki bałtyckie i azjatyckie.

Błyskawiczny niekontrolowany upadek ZSRR sprowokował szereg nerwowych reakcji ze strony mocarstw zachodnich. Ponieważ krach imperium nie został przewidziany, reakcje te były niezaplanowane i nieadekwatne. To zdumiewające, że upadek wielkiego imperium był tak wielkim zaskoczeniem, a żaden z zachodnich przywódców nie przemyślał wcześniej tego, co należałoby zrobić w przypadku sukcesu polityki powstrzymywania ekspansji komunizmu i implozji Związku



Radzieckiego.

- Ale byliśmy jeszcze my - podkreśla Zinni - starający się pozostać u steru wielkich wydarzeń, które zadziwiały nas dosłownie każdego dnia.

Nie było to wymarzone zastąpienie zużytej i zdyskredytowanej komunistycznej struktury nową - lepszą, demokratyczną, wolnorynkową. Panował wtedy prawdziwy bałagan. Rzeczywiście stare struktury niemalże przestały istnieć, ale ich zastępowanie nawet obecnie, 15 lat później, wciąż trwa. Nikt w byłym Związku Radzieckim ani poza nim nie miał pojęcia, co należy zrobić. Więc niewiele zrobiono.

Kiedy radzieckie imperium odchodziło ze światowej sceny, spotkało się to z pewną euforią (na przykład wiele osób mylnie wyobrażało sobie, że wraz z jego końcem zniknie zagrożenie wojną nuklearną) i z jeszcze większą ulgą.

- Dzięki Bogu - wzdychali Amerykanie - skończyła się zimna wojna. Świat zadba o siebie. Nie potrzebujemy już olbrzymich, potężnych sił zbrojnych, które trzymały w szachu Imperium Zła. Pokój przyniesie niewyobrażalne korzyści materialne. Teraz możemy zająć się swoimi małymi, prywatnymi biznesami i skupić całkowicie na życiu osobistym. Wszyscy będą bezpieczni i szczęśliwi.

Prezydent Bush obwieścił nastanie Nowego Porządku Świata, ale go nie zdefiniował.

Trudno znaleźć kogokolwiek, kto wówczas zdawał sobie sprawę, że licząca dobre 50 lat dwubiegunowa struktura świata, ze wszystkimi zagrożeniami, które reprezentowała, przytrzymywała wieko puszeki Pandory, kryjącej niezliczone i straszne demony, przy których widma uwalniane wcześniej przez Gorbaczowa jawiły się łagodne niczym

spaniele.

Ponieważ konflikt w obrębie krajów tak zwanego pierwszego i drugiego świata był nie do przyjęcia, rywalizacja supermocarstw rozgrywała się głównie na peryferiach Trzeciego Świata, gdzie wśród rządzących reżimów normą było bezprawie, korupcja, niestabilność. Reżimy te mogły być bez większych problemów wzmocnione, podkupione czy zasilone sprzętem wojskowym w zamian za poparcie jednego z supermocarstw. W ten sposób zachowywano chwiejną równowagę, choć za cenę odmawiania lepszego życia ludziom z Trzeciego Świata. Ale to było bez znaczenia... Przecież i tak mieli beznadziejne życie.

Jednak długo tłumione demony etnicznych i narodowych rywalizacji oraz pradawna kipiąca nienawiść i żądza krwi pozostały żywe. Gdy tylko uchylono wieko i uwolniono demony, nikt nie miał pojęcia, co z nimi począć.

Zawrzało na Bałkanach. Potem wybuchło w tak zwanym Rogu Afryki. Następnie na Bliskim Wschodzie, w Iraku, Afryce Zachodniej, Ruandzie, Zairze (Kongo), Afganistanie, na Filipinach, w Kolumbii... A to zaledwie niepełna lista.

Kurs Capstone'a został zaprojektowany z myślą o tym, żeby nowych generałów brygady i admirałów\*[\* Później objął on także urzędników ministerialnych Departamentu Stanu i pracowników wywiadu.] bliżej zapoznać z najważniejszymi elementami strategii i polityki bezpieczeństwa państwa. Trwa on stosunkowo krótko, bo tylko sześć tygodni. Część tego czasu poświęca się na studia i seminaria, część zaś na podróżowanie, rozmawianie z głównodowodzącymi oraz dowódcami weteranami.

Grupa kursantów, w której znalazł się Zinni, w trakcie takiej właśnie podróży w marcu udała się do Europy - do Neapolu, gdzie znajdowało się dowództwo NATO i amerykańskiej marynarki wojennej; następnie do Brukseli i dowództwa NATO w Belgii; do Niemiec do kwatery głównej EUCOM-u w Stuttgarcie, dowództwa amerykańskich sił lądowych w Heidelbergu, dowództwa amerykańskich sił powietrznych w Ramstein oraz do Berlina. Odbyte przez nich spotkania w tych wszystkich dowództwach wskazywały na to, że postępujący upadek Związku Radzieckiego musi wywołać przełomowe zmiany - zmiany, które siłom zbrojnym USA w Europie trudno będzie zrozumieć czy zaakceptować. Nieuchronnie rozgrywające się wydarzenia w Europie Wschodniej i Związku Radzieckim postępowały tak błyskawicznie, że przywódcy USA i NATO nie byli w stanie przewidzieć ich implikacji ani też zaplanować, jak rozsądnie się do nich przystosować.

W czasie wizyty w Berlinie oficer towarzyszący słuchaczom kursu Capstone'a, zadziorny podporucznik z amerykańskiej Brygady Berlińskiej, zasugerował przeprawę do Berlina Wschodniego przez dopiero co opuszczone przejście graniczne Checkpoint Charlie. W tym momencie był to bardzo zuchwały pomysł. Słynny posterunek graniczny, który kontrolował ruch pomiędzy

Berlinem Zachodnim i Wschodnim przestał działać, jako że nie było już ku temu powodu. Jednak jego brak nie likwidował braku przepisów. Nikt nie wiedział, jakim regulacjom - jeśli w ogóle jakieś były - podlegał ruch pomiędzy obiema częściami miasta, które niedawno przestało być podzielone. Nowi oficerowie w randze generalskiej mieli tylko jedną

wskazówkę: musieli nosić swoje mundury.

- Można tam przechodzić? - pytali się członkowie grupy z kursu Capstone'a.

- Nie wiem - odparł podporucznik. - Ale panuje tak wielkie zamieszanie, że wątpię, by ktokolwiek nas zatrzymał. Co mamy do stracenia? Spróbujmy!

Choć większość z nowych jednogwiazdkowych oficerów martwiła się trochę ewentualnym zatrzymaniem czy nawet uwięzieniem przez wschodnioniemieckich lub radzieckich strażników oraz karami dyscyplinarnymi za narażanie się na niebezpieczeństwo bez wyraźnego powodu, nie byli oni w stanie oprzeć się takiej zuchwałej propozycji ze strony zawadiackiego młodszego oficera. Wsiedli zatem w minibus i skierowali się do Checkpoint Charlie, gdzie ku ich zdumieniu nie napotkali żadnych wartowników. Przypominało to opustoszałą scenografię z filmu o dawno zakończonej zimnej wojnie.

Z drugiej strony główne ulice Berlina Wschodniego - Unter den Linden i Karl-Marx-Allee - prezentowały się całkiem nowocześnie od strony fasad budynków, niczym wschodnioniemiecka, komunistyczna wieś potiomkinowska. Jednak zejście z głównych, pokazowych alej w mniejsze uliczki ujawniało rzeczywiste różnice pomiędzy Wschodem i Zachodem - brudne, podziurawione mury wciąż nosiły wyraźne blizny po ostatniej wojnie, podczas gdy późniejsze budynki niemal bez wyjątku były tanimi, brzydkimi blokami z betonowych płyt w stylu radzieckim, tandetnymi i zaniedbanymi. Zamiast nowych bmw, mercedesów, audi znanych z ulic Berlina Zachodniego tutaj wszędzie jeździły małe, tanie wschodnioniemieckie trabanty.

Najbardziej uderzającą cechą Berlina Wschodniego była cisza, jaka panowała w mieście. Na ulicach kręciło się bardzo niewiele przechodniów, brakowało tętniącego życiem miejskiego gwaru typowego dla zachodniej części miasta. W rzeczywistości nie widać było śladów ulicznego handlu ani jakiegokolwiek innej aktywności.

Berlinowi Wschodniemu było niezmiernie daleko do wielkich, nowoczesnych miast światowych, takich jak Nowy Jork, Londyn, Paryż czy choćby jego zachodni bliźniak. Było to miasto biedne, przygnębiające, ledwie załatany relikwiarz lat 50. XX wieku.

Gdy kursanci przyglądali się temu wszystkiemu, podporucznik wpadł na kolejny błyskotliwy pomysł.

- Znajdźmy jakąś radziecką bazę wojskową - zaproponował.

- Świetnie. Doskonały pomysł - przystali na to generałowie. W tym momencie nabrali już wielkiej ochoty, by dalej kusić los. Trafiła im się okazja, o której wcześniej nie mogli nawet marzyć.

Jeździli wkoło, aż znaleźli radziecki obiekt wojskowy (nigdy nie udało im się domyślić jego przeznaczenia), po czym wjechali do środka. Z minibusu wysiadła grupa amerykańskich oficerów wysokiej rangi w mundurach, którzy musieli wywrzeć takie samo wrażenie na zdumionym radzieckim personelu wojskowym i jego podopiecznych, jak ludzie-kalmarzy wychodzący z latającego spodka. Amerykanie wałęsali się po bazie przez większą część popołudnia. Przez cały ten czas nikt się do nich nie odezwał; nikt ich nie przywitał, nie zadawano im żadnych pytań, nie stawiano ich przed żadnymi wyzwaniem; nikt nie miał pojęcia, jak potraktować amerykańskich „najeźdźców” - strzelać do nich, przywitać się z nimi, uściskać? Nikt nie był w stanie niczego zdecydować; nie podjęto

żadnej akcji. Rosjanie i ich rodziny pochłonięci byli własnymi sprawami; kobiety pchały wózki dziecięce lub zajmowały się starszymi pociechami; w kantine ludzie z koszykami sklepowymi spokojnie zdejmowali puszki i pudełka z półek. Nawet nie zapytawszy o pozwolenie, amerykańscy oficerowie obejrzeli wszystko, co tylko przyciągnęło ich uwagę. Jediną reakcją ludzi były zdumione, wystraszone spojrzenia. Kiedy Amerykanie opuszczali bazę, spojrzenia wstrząśniętych ludzi odprowadzały ich aż do bramy.

W drodze powrotnej do Checkpoint Charlie zatrzymali się przy radzieckim muzeum na cześć upadku Berlina w 1945 roku (kapitulację podpisano w budynku, w którym mieściła się ta placówka muzealna), a następnie przy Murze Berlińskim.

- Chcesz kawałek? - zapytał pomysłowy podporucznik, wyjmując niewielki młotek. Wkrótce wszyscy odłupali sobie pamiątkowe fragmenty najpotężniejszego symbolu zimnej wojny.

Zinni nigdy wcześniej nie czuł się tak blisko żywej historii. To koniec, pomyślał, po raz pierwszy tak naprawdę to sobie uprzytamniając. Nie ma już Związku Radzieckiego. Już po wszystkim. Nie ma już radzieckiego wroga.

W czerwcu 1990 roku Zinni zjawił się w kwaterze głównej EUCOM-u, mieszczącej się w Stuttgarcie, w miejscu zwanym koszarami Patcha, w rzeczywistości będącym starymi koszarami armii niemieckiej z czasów II wojny światowej, które amerykańskie wojsko przejęło pod koniec wojny w 1945 roku. Powstały one w wyniku polityki Hitlera w okresie wielkich zbrojeń poprzedzających wybuch wojny. Ponieważ Fiihrer chciał równocześnie ukryć rozbudowę armii i zbliżyć armię do ludzi, kazał

zbudować niewielkie pułkowe koszary w wielu miastach w całych Niemczech, zamiast wielkich, scentralizowanych baz wojskowych. Amerykańskie koszary Patcha pierwotnie mieściły hitlerowski 7. Pułk Pancerny, jednostkę pancerną średniej wielkości. Kiedy wojska amerykańskie zajęły Stuttgart, dawne kwatery hitlerowskie przybrały nową nazwę od nazwiska amerykańskiego generała Patcha, dowódcy oddziałów, które wyzwoliły tę część Niemiec.

Koszary Patcha stały się kwaterą główną EUCOM-u, kiedy ustanowiono to dowództwo. Oryginalne, staromodne ozdobione sztukaterią koszary z lat 30. przekształcono w biura i gabinety. W latach 50. i 60. w pobliżu wzniesiono budynek z apartamentami mieszkalnymi i kilka wolno stojących domów, jednak większość ludzi stacjonujących w tym obiekcie mieszkało - używając żargonu wojskowego - na własnych garach, czyli w kwaterach prywatnych poza bazą.

EUCOM to amerykańskie zjednoczone dowództwo, które kieruje operacjami i kontaktami wojskowymi na obszarze obejmującym Europę, większość Afryki (resztę obejmuje CENTCOM), jak również część Bliskiego Wschodu (Turcję, Liban, Syrię i Izrael). W okresie zimnej wojny głównym zadaniem dowództwa było wspieranie NATO; a ponadto głównodowodzący w EUCOM-ie był również głównodowodzącym NATO w Europie (SACEUR). Z wyjątkiem okresowych kryzysów w Afryce czy na Bliskim Wschodzie priorytetem pozostawało planowanie i wsparcie logistyczne dla NATO.

Dowództwo Sił Zbrojnych USA w Europie tradycyjnie stanowiło teatr działań wojskowych zdominowany przez siły lądowe i powietrzne USA; a do niedawna dominację tę odzwierciedlały także przydziały

najwyższych rangą oficerów z różnych formacji sił zbrojnych.

Kiedy Zinni zjawił się w kwaterze głównej EUCOM-u po raz pierwszy, uderzyło go jako coś naprawdę dziwnego, że Dyrektoriat Operacyjny (J-3) był silnie zdominowany przez oficerów amerykańskiej marynarki wojennej i piechoty morskiej, ale szybko zrozumiał, dlaczego tak było. W tym dowództwie nacisk kładło się nie na działania operacyjne (nie jest to typowe w innych zjednoczonych dowództwach, gdzie działania operacyjne stanowią zazwyczaj najważniejszą część pracy sztabowej). Różnica wynikała z charakteru misji natowskiej EUCOM-u. NATO szło na wojnę, zaś EUCOM miało być pierwotnie amerykańską bazą zapewniającą sojuszowi amerykańskie środki finansowe i wsparcie logistyczne w tych działaniach wojennych. W konsekwencji kluczowymi elementami pracy EUCOM-u nie były zwyczajowo działania operacyjne, lecz planowanie (J-5) oraz logistyka (J-4). Taki stan rzeczy odzwierciedlał skład personelu tych dwóch dyrektoriatów - personelu pochodzącego głównie z sił lądowych i powietrznych - wobec czego Dyrektoriat Operacyjny musiał składać się głównie z ludzi wywodzących się z marynarki wojennej i piechoty morskiej.

Wydział operacyjny działał głównie na peryferiach - na przykład zajmując się jakimiś niewielkimi konfliktami w Afryce lub w rejonie śródziemnomorskim. Dysponował procedurami pozwalającymi na utworzenie zespołu antykryzysowego CAT i teoretycznie mógł przekształcić się w sztab bojowy, ale nigdy nie stawiano go przed taką koniecznością; nigdy nie musiał przeprowadzać całodobowych operacji przez dłuższy czas. Nagle wszystko się zmieniło. Konfrontacja NATO ze Związkiem Radzieckim i Układem Warszawskim przechodziła do



przeszłości, zaś mnogość kryzysów wyłaniających się w następstwie tego prowadziła do zmiany priorytetów zarówno EUCOM-u, jak i NATO. Dyrektoriat Operacyjny nie stanowił już sensnej placówki. W okresie służby Zinniego musiał prowadzić działania przez okrągłą dobę, dosłownie przez cały czas, dopóki Zinni tam pracował. Jego dyrektoriat stał się sercem Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie.

Tony Zinni opowiada dalszą część tej historii:

Ponieważ była to moja pierwsza „wspólna służba”, przywyknięcie do służby w środowisku wykraczającym poza wyłącznie piechotę morską wymagało pewnego przystosowania, ale szybko przekonałem się, że dowództwo miało szczęście do świetnych oficerów z różnych rodzajów sił zbrojnych. Nie mógłbym znaleźć lepszych mentorów - ludzie ci przez ponad dwa najbliższe lata pokładali we mnie zaufanie, powierzając mi przeprowadzenie kilku trudnych i ważnych misji.

Szczególnie pozytywne wrażenie wywarł na mnie nasz głównodowodzący, generał Jack Galvin z wojsk lądowych USA, prawdopodobnie najlepszy żołnierz-mąż stanu, jakiego znałem, bodaj najwybitniejszy od czasów George'a Marshalla. Choć jego zdolności i osiągnięcia nigdy nie zostały uznane, tak jak na to zasługiwały (najwyraźniej przepadły w chaosie wydarzeń, takich jak wojna w Zatoce Perskiej), gdyby wydarzenia ułożyły się inaczej, zyskałyby rozgłos i szacunek, takie jakimi cieszył się Marshall. Za sprawą swojego wizjonerstwa, szerokiej wiedzy strategicznej, wnikliwości, dzięki cechom męża stanu, kompetencji w dziedzinie wojskowości, a także wybitnej inteligencji po prostu nie miał sobie równych wśród znanych mi głównodowodzących. Tak jak w przypadku Marshalla, kiedy było się obok

niego, wyczuwało się, iż jest się w towarzystwie kogoś naprawdę wielkiego.

Galvin był żołnierzem z krwi i kości, nieco starszym od swoich kolegów w podobnej randze. Jako szeregowy lekarz w okresie II wojny światowej przeszedł wszystkie szczeble kariery wojskowej. Kiedy zjawiałem się w Europie, on był głównodowodzącym sił w Europie od dziewięciu lat. To szmat czasu.

Naszym zastępcą głównodowodzącego był generał Jim McCarthy z sił powietrznych USA. McCarthy był błyskotliwym, pełnym energii człowiekiem, obdarzonym wyjątkowymi zdolnościami organizacyjnymi - te cechy zawsze szczerze podziwiałem. Jednak szczególnie imponowała mi jego otwartość. Nigdy nie działał schematycznie. Nigdy nie traktował nowych pomysłów z niechęcią, wszystkie były godne uwagi, nawet najbardziej szalone plany często wywoływały u niego taką samą reakcję:

- Przemyślmy to, porozmawiajmy o tym - mawiał.

Podziwiałem go z jeszcze innego powodu. Był to pierwszy prawdziwy oficer sił połączonych, którego spotkałem. Zastępca głównodowodzącego jest czterogwiazdkowym generałem, w takiej samej randze jak głównodowodzący. Ponieważ głównodowodzący sił w Europie to stanowisko stanowiące pełnowymiarową, całkowicie pochłaniającą pracę, zastępca głównodowodzącego kieruje EUCOM-em. To stwarza spory dystans pomiędzy nim i niższym generałem brygady piechoty morskiej. Ale Jim McCarthy nigdy nie zauważał tego dystansu. Spoglądał na ciebie, a nie na mundur, który miałeś na sobie czy też naszywki na kołnierzu. Oficerowie sił powietrznych miewają klapki na oczach (tak samo zresztą jak oficerowie marines i wszystkich innych służb

mundurowych) lub co gorsza kurczowo trzymają się na przykład „Doktryny przewagi powietrznej” (głoszącej, dajmy na to, że bombardowanie to jedyna zwycięska strategia), lecz McCarthy nigdy nie pozwalał sobie na tego rodzaju postawę. Zawsze zachowywał całkowitą otwartość na wszelkie możliwości i zdolności, którymi mogły popisać się różne rodzaje sił zbrojnych. Brał to, co mu się dawało, niezależnie od tego, do której formacji się należało. Nauczyłem się od niego sporo o byciu generałem.

Naszym szefem sztabu był generał broni Bob Chelberg, wyjątkowo ujmujący oficer artylerii sił lądowych, który podobnie jak McCarthy miał najwyższe zdolności organizacyjne.

Sztab EUCOM-u pełen był silnych osobowości. Jego pracownicy przypominali kierowców samochodzików z wesołego miasteczka, zderzających się co chwilę... prowokujących się i rzucających sobie nawzajem wyzwania. Chelberg sprawiał, że współpraca wszystkich tych ludzi o szczególnie rozwiniętym ego układała się gładko; trzymał cały sztab w garści.

Szef sztabu miał również dar wyszukiwania talentów i zachęcania ludzi do ich rozwijania. Sprawiał, że nabierało się ochoty do pracy dla niego lub swojej grupy współpracowników, a jednocześnie przykładał wielką wagę do morale i samopoczucia żołnierzy. Wiedział, że pracujemy ponadczasowo i wraz z McCarthym spajał nas wszystkich towarzysko i wytwarzał silne poczucie koleżeństwa w zespole, co miało kolosalne znaczenie w przypadku sztabu sił połączonych.

Moim bezpośrednim zwierzchnikiem, kierownikiem operacyjnym, był kontradmirał Leighton Smith z marynarki wojennej USA, lepiej znany

jako Snuffy. Snuffy Smith stanowił ucieleśnienie pozytywnego ducha, który utrzymywał nas na chodzie. Tryskał energią i był niezwykle błyskotliwy, jednocześnie zaś nikt nie był bardziej skory do śmiechu niż on - dzięki jego dowcipowi i entuzjazmowi uśmiechy nie znikają nam z twarzy. Przy tym wszystkim wymagał najwyższego stopnia profesjonalizmu i poświęcenia i pod tym względem sam świecił najlepszym przykładem. Z czasem miał zdobyć cztery gwiazdki i stać się głównodowodzącym w NATO.

Ci czterej oficerowie dali mi szansę zdobycia niezwykle cennych doświadczeń.

W sztabie EUCOM-u działałem na całkowicie nowym poziomie. Nie zajmowałem się już piechotą morską. Niemalże od chwili, w której zjawilem się w Europie, pracowaliśmy nad wspólnymi planami sił połączonych, wykonywaniem wspólnych misji, formowaniem połączonych grup operacyjnych. Spajaliśmy razem siły powietrzne, marynarkę wojenną, siły lądowe, piechotę morską i oddziały specjalne w celu wykonywania tych misji.

Dowódcy w sztabie byli największymi profesjonalistami w tych dziedzinach. Wiedzieli wszystko, co można i trzeba było wiedzieć. Choć w niektórych przypadkach przedzieraliśmy się przez dziewicze tereny, na które nikt wcześniej się nie zapuszczał.

Samo przyglądanie się ich pracy, temu jak rozważają opcje i opracowują nowe, niewypróbowane dotąd metody działania, jak zachęcają do nowatorskiego myślenia i nie pozwalają sobie na ograniczenie się do starych paradygmatów... wszystko to odcisnęło się na mnie naprawdę silnym piętnem.

Szczególnie wyraźnie utkwił mi w pamięci jeden przykład. W czasie wojny w Zatoce Perskiej w latach 1990-1991 EUCOM doprowadził do otwarcia drugiego powietrznego frontu, który miał zaatakować Irak z Turcji. Nigdy nie rozwinęlibyśmy tego frontu, gdyby nie generał McCarthy.

Niektórzy młodzi majorzy sił powietrznych USA w Europie wpadli na ten pomysł i opracowali podstawy jego realizacji. Ale główne dowództwo zdawało się nim wcale nie interesować. I byłem niemal pewien, że realizacja takiego pomysłu jest mało realna. Jednak McCarthy rzekł:

- Nie, spróbujmy tego. Przekonajmy się, co ci faceci potrafią - po czym nie przestawał naciskać na Schwarzkopfa, aż ten mu uległ. Ten drugi front okazał się przełomowy.

Wydział operacyjny zazwyczaj stanowi część sztabu wojskowego odpowiedzialną za szkolenie, ćwiczenia, nadzór nad przebiegiem treningów, a także za planowanie rezerw. Kierował też ośrodkiem operacyjnym - centrum dowodzenia - i odpowiadał za jego łączność. Mieliśmy ponadto pewne unikatowe obowiązki. Na przykład zarządzaliśmy przydziałem lotniczym - kilkoma samolotami i śmigłowcami C-21 i C-12.

Kiedy dołączyłem do sztabu, centrum dowodzenia J-3 dopiero co zostało odnowione. Była to olbrzymia sala pełna komputerów i baz danych, monitorów do wideokonferencji, monitorów wyświetlających CNN, jak również specjalnych stanowisk przeznaczonych na wykresy i mapy obszarów i regionów, w których prowadzono operacje. Tam właśnie otrzymywaliśmy aktualne dane i najświeższe raporty, a następnie

przetwarzaliśmy informacje. Było to równocześnie centrum informacyjne, ośrodek wywiadowczy i centrum szybkiego reagowania. Tam łączyliśmy wszystkie informacje i planowaliśmy naszą reakcję, kiedy powoływano zespoły antykryzysowe (CAT) podczas kryzysów. (Zadanie zespołu antykryzysowego polegało na uporaniu się z jakimś krótkotrwałym incydem. Powoływano taki zespół, rozwiązywano problem, a następnie rozwiązywano zespół).

W spokojniejszym okresie, gdy nie działo się nic szczególnego, utrzymywaliśmy prostą wartę w centrum dowodzenia, składającą się z oficera dyżurnego i kilku ludzi. Ale w okresach kryzysów, kiedy powoływaliśmy zespół antykryzysowy, liczba ta mogła wzrastać do 15 i więcej osób. Sala była wówczas obsadzona całodobowo (na zasadzie ośmiogodzinnych wart) ludźmi z różnych sekcji, takich jak logistyka, planowanie, wywiad - trzymano rękę na pulsie wydarzeń, na bieżąco aktualizowano dane, utrzymywano łączność z ludźmi działającymi w terenie, przetwarzano informacje, opracowywano raporty i prezentowano różne opcje działania, wydawano rozkazy. Krótko mówiąc, robiono wszystko to, czym zajmują się specjaliści od planowania i przeprowadzania operacji. Stawiało to wysokie wymagania przed sztabem, jako że musiał on wykonywać normalną pracę, a także być w stanie pracować w zespole antykryzysowym. Liczba jego członków zależała także od tego, jakiej grupy ludzi potrzebowaliśmy do konkretnej misji. Na przykład niektóre akcje - takie jak niesienie pomocy humanitarnej - wymagały wykorzystania specjalistów zajmujących się sprawami cywilnymi.

Jeśli kryzys okazywał się poważny lub mieliśmy do czynienia z

wieloma kryzysami równocześnie, liczba ludzi wzrastała jeszcze bardziej. Natomiast jeśli kryzys przeradzał się w coś znacznie gorszego - takiego jak wojna w Zatoce Perskiej - zespół antykryzysowy przekształcał się w sztab bojowy, w którego skład wchodziło nawet 50 lub 60 osób. Przed 1990 rokiem dyrektoriat J-3 EUCOM-u nigdy nie musiał tego robić, jednak rok 1990 przyniósł stan permanentnego kryzysu i musieliśmy odkurzyć i wprowadzić w życie wszystkie te procedury. Odpowiedzialność za to spadła na mnie. Do moich obowiązków jako zastępcy dyrektora J-3 należało pełnienie funkcji dyrektora zespołu antykryzysowego i sztabu bojowego. Zespół antykryzysowy działał przez całe dwa lata mojej służby w EUCOM-ie. A przez większą część tego czasu działał niezwykle rozbudowany sztab bojowy.

Kiedy zameldowałem się na służbę, w Dyrektoriacie Operacyjnym panowała już podwyższona aktywność. Rozpoczęliśmy właśnie coś, co nazywa się NEO - Operacja Ewakuacyjna Niebojowa naszej ambasady w Liberii - operację „Ostra Krawędź”. Okręty były na morzu i utworzono zespół antykryzysowy. Tymczasem ambasada postanowiła odwołać ewakuację i przeczekać kryzys, my zaś musieliśmy wspierać ją i chronić w całym tym chaosie.

Liberia nie stanowiła odosobnionego przypadku. W innych miejscach zlokalizowanych na marginesie naszych zainteresowań (poza obszarem NATO) zaczęły pojawiać się coraz to nowe, rozmaite wyzwania.

Ale teren operacji NATO także przyprawiał nas o niemałe bóle głowy. Koniec zimnej wojny przyniósł tak zwaną dywidendę pokoju w postaci między innymi redukcji sił zbrojnych - a nie były to zmiany, które dawało się łatwo zaplanować i wcielić w życie. Niektóre rodzaje

zimnowojennego uzbrojenia, takie jak broń chemiczna, nie były już potrzebne. Oznaczało to konieczność wycofania ich z Europy i przetransportowania na miejsca zniszczenia na Johnson Island na Pacyfiku - była to niebezpieczna i delikatna operacja, którą nazwano operacją „Stalowa Skrzynka”. Porozumienia ze Związkiem Radzieckim dotyczące redukcji arsenałów wymagały przeprowadzania inspekcji i weryfikacji tego, czy rzeczywiście likwidowano broń masowego rażenia. Brał w tym udział. Zorganizowaliśmy też tak zwany Bejrucki Most Powietrzny (zabezpieczenia, zaopatrzenie i środki transportu dla naszej na nowo uruchomionej ambasady w Libanie musiały zostać przetransportowane helikopterami wojskowymi z Cypru). Natomiast generał Galvin zaczął snuć wizjonerskie plany dotyczące rozpoczęcia wojskowych kontaktów z Rosją i innymi krajami wschodnioeuropejskimi. Wydział operacyjny miał znaczący udział we wszystkich tych działaniach.

Niedługo po tym, jak zjawilem się w EUCOM-ie, słuchając codziennych raportów wywiadu, zacząłem odnosić wrażenie, że wszystko to nie jest jakimś chwilowym zaburzeniem porządku, lecz raczej znakiem tego, jak przez dłuższy czas będą układały się sprawy na świecie. Na przykład niektórzy z niezwykle czujnych analityków z sekcji wywiadowczej zaczęli sugerować, że Bałkany mogą się wkrótce rozpaść. Choć do tragedii miało dojść za wiele miesięcy, musielibyśmy być głupcami, by nie zacząć zastanawiać się nad możliwymi konsekwencjami czegoś takiego. Gdy ten i inne nadchodzące kryzysy zaczęły ujawniać się na monitorach naszych radarów, zaczęliśmy uprzytamniać sobie, że rozpoczyna się okres, w którym akcje takie jak operacja „Ostra Krawędź” mogą nie być już niczym niezwykłym. To, co niezwykle, mogło stać się



normalnością.

Wszystko to uwidoczniło się w coraz trudniejszych i liczniejszych codziennych zadaniach. Zespół anty kryzysowy, który został powołany w celu przeprowadzenia operacji „Ostra Krawędź”, pozostawiono więc, żeby uporał się z nowymi kryzysami i misjami operacyjnymi.

Zgodnie z jednym z pierwszych rozkazów, które otrzymałem od generała Snuffy’ego Smitha, miałem udać się w teren i odwiedzić nasze elementy składowe - podległe nam dowództwa czterech rodzajów sił zbrojnych i operacji specjalnych.

- Spędzaj jak najwięcej czasu z wojskami lądowymi, siłami powietrznymi i operacjami specjalnymi - radził. - Marynarkę wojenną i piechotę morską znasz już wystarczająco dobrze.

Nie wiedziałem tego wówczas, ale polecenie Snuffy’ego, żeby „wyjść na zewnątrz i zapoznawać się”, stanowiło początek czegoś ważnego. Rozpocząłem serię wędrówek, które nie pozwoliły mi zaznać spokoju: większość czasu w EUCOM-ie spędziłem poza moją macierzystą bazą. Okazało się, że ciągle odbywały się jakieś ćwiczenia czy konferencja lub też trzeba było wysłać w obszar objęty kryzysem kogoś ze sztabu, a tylko generał był odpowiednią osobą. Zawsze zgłaszałem się na ochotnika do takich misji. Ponieważ wciąż chciałem zdobyć jak najpełniejsze doświadczenie, chętnie podróżowałem wszędzie, gdzie tylko mogłem, i byłem stale w drodze. I cholernie mi się to podobało. Wręcz uwielbiałem to.

Zwykle stroiłem sobie żarty z mojej żony Debbie.

- Stajesz się prawdziwą samotniczką - mówiłem jej. Ale przyjmowała to całkiem dobrze. Jest zaradną, niezależną kobietą.

Ponieważ dysponowaliśmy własnymi samolotami i helikopterami i mogliśmy swobodnie podróżować, w ciągu pierwszych tygodni mojej służby wykorzystywałem jedno - lub dwudniowe przerwy w pracy, żeby udać się tu i ówdzie i odwiedzić jeden z elementów zespołu. Nie miałem wiele czasu, jako że kryzysy stawały się coraz częstsze i cięższe, ale miałem dość swobody, żeby się niekiedy wyrwać i poczuć, z kim właściwie pracujemy - jak ci żołnierze działają, jak są zorganizowani, jakie mają możliwości i jacy są na co dzień.

Gdy tak podróżowałem, często widywałem relikty zimnej wojny - olbrzymie zapasy i rezerwy sprzętu rozlokowane w specjalnych miejscach magazynowania w całej Europie (z jaskiniami w północnej Norwegii włącznie); rozległe kompleksy baz i koszar rozsiane wokół kontynentu; obiekty stworzone wyłącznie z myślą o stoczeniu wielkiej wojny lądowo-powietrznej w środkowej Europie. Idea zimnej wojny służyła nam z grubsza przez pół wieku i była paradygmatem trudnym do obalenia lub zmiany. Czas i życie opływały jej relikty szerokim łukiem.

Nie sądziłem, żebyśmy potrafili dostosować się wystarczająco szybko do tych zmian.

Przypuszczalnie kulminacyjnymi momentami tych moich wizyt były pierwsze spotkania z dwoma znakomitymi oficerami, generałem brygady Dickiem Potterem i generałem dywizji Jimem Jamersonem. Potter kierował Dowództwem Operacji Specjalnych w Europie. Jamerson był dyrektorem operacyjnym w Dowództwie Sił Powietrznych USA w Europie. W ciągu kolejnych miesięcy objął on dowództwo kilku połączonych grup operacyjnych w misjach EUCOM-u. (Z czasem został czterogwiazdkowym generałem i zastępcą głównodowodzącego EUCOM-

u).

Potter był barwną postacią, twardym żołnierzem sił specjalnych, wybitnym zawodowcem z większym doświadczeniem operacyjnym niż ktokolwiek, kogo znałem; uwzględniając wielkie doświadczenie bojowe z Wietnamu. Jego zakres wiedzy i doświadczenia czynił go jednym z najważniejszych ludzi w kręgach sił specjalnych.

Był doskonale zorientowany w tajnikach operacyjnych i świetnie sobie radził w warunkach bojowych w najbardziej prostoliniowy, naturalny sposób (nie tolerował głupców). Zwykł trudne zadania wykonywać szczególnie starannie, skutecznie i efektywnie; stworzył też wysoce kompetentny sztab, jego ludzie świetnie spisywali się we wszystkich swoich misjach. (Snuffy i ja darzyliśmy go ogromnym szacunkiem).

Dicka polubiłem od pierwszej chwili. Byliśmy pokrewnymi duszami, obaj generałowie brygady, mieliśmy też zbliżone poglądy w kwestiach operacyjnych. Ponieważ tak się złożyło, że byliśmy sąsiadami, nasze rodziny także zbliżyły się do siebie, szybko więc staliśmy się naprawdę bliskimi przyjaciółmi.

Jim Jamerson był facetem z sił powietrznych, z którym kontaktowałem się niemal codziennie, i należał do najlepszych oficerów sił połączonych. Przy pierwszym spotkaniu mogłem się zorientować, że naprawdę ma wszystko odpowiednio poukładane. Był bystry i spostrzegawczy, jednocześnie otwarty na współpracę, wrażliwy i wyjątkowo bezkonfliktowy.

Później udało mi się poznać go nieco lepiej. Pracowałem z nim, gdy dowodził operacją „Sprawdzona Siła” - atakami powietrznymi sił połączonych i misjami sił specjalnych, które wszczęliśmy przeciwko

Irakowi z terenów Turcji w czasie pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Byłem jego podwładnym jako bezpośredni zastępca, kiedy dowodził operacją „Przynieść Ulgę” - misją pomocy humanitarnej, która ocaliła życie dziesiątek tysięcy kurdyjskich uchodźców po wojnie w Zatoce Perskiej. Oba doświadczenia przekonały mnie o jego umiejętnościach i geniuszu operacyjnym. Tak jak Potter, Jamerson był znakomitym specjalistą operacyjnym z wielką siłą charakteru, był wybitnym dowódcą, zawsze otwartym na nowe pomysły.

My również staliśmy się bliskimi przyjaciółmi.

Z tymi dwoma wojownikami przeżyłem wiele dziwnych przygód w ciągu kolejnych dwóch lat.

Przełomowe zmiany postępowały szybciej, niż ktokolwiek mógłby to sobie wyobrazić i nad nimi zapanować - zjednoczenie Niemiec, redukcja wojsk, „dywidenda pokoju”, okazje i problemy wyłaniające się wskutek otwarcia się świata na Wschód, przemiany NATO, rekonstruowanie Europy... i oczywiście Nowy Porządek Świata (cokolwiek miałyby to znaczyć). Wszystko to było bardzo ekscytujące.

Tak ekscytujące, że bardzo niewiele osób dostrzegało fundamentalny konflikt pomiędzy tym, co nazywano dywidendą pokoju, a tym, jaką naprawdę trzeba będzie wykonać pracę, żeby stworzyć nowy porządek świata.

Pod koniec lata 1990 roku to, co słyszałem od naszych przywódców, dobitnie dowodziło, iż „dywidenda pokoju” była dla nich znacznie ważniejsza niż prawdziwa przemiana świata. Spoglądali na upadek sowieckiego imperium jakby była to wygrana na loterii, która pozwoli nam na dokonanie cięć wydatków na obronność, zredukuje liczebność

naszych wojsk i pozwoli naszym żołnierzom wrócić do domów, umożliwi zamknięcie zamorskich baz, oszczędzone pieniądze zaś będzie można wydać na wszelkiego rodzaju szlachetne projekty (lub przynajmniej zmniejszenie podatków). Wolny świat tryumfował, nikt już nigdy więcej nie będzie cierpiał pod jarzmem komunizmu i losy świata potoczą się dobrze.

Nie dostrzegałem jednak, by ktokolwiek próbował zrobić coś dla urzeczywistnienia wizji takiego nowego porządku świata. Porządek nie pojawia się przypadkowo. Ktoś musi go zaplanować, a plan wcielić w życie.

Przed krachem Związku Radzieckiego XX stulecie widziało już dwie wielkie demokratyczne próby przeorganizowania świata - podjęli się ich prezydent Wilson po I wojnie światowej oraz prezydent Truman i George Marshall po II wojnie światowej. Teraz rozpoczynaliśmy trzecią taką próbę. Ale nikt nie próbował świadomie kształtować nowego porządku. Wyglądało na to, że nikt nie uważał, iż potrzebujemy nowej, wielkiej wizji. Wszystko miało ułożyć się samo.

Mogłem to tylko przyjmować ze zdumieniem.

Wydawało mi się, że nasze zimnowojenne „zwycięstwo” nad Związkiem Radzieckim, światem komunistycznym, czy jak kto woli to nazwać, stwarzało wyzwania podobne do tych, z którymi spotkaliśmy się w Europie i Azji po II wojnie światowej. (Niepowodzenie w podjęciu wyzwań stworzonych przez I wojnę światową doprowadziło do kontynuacji tej wojny 20 lat później). Marshall i inni wizjonerzy dostrzegli potrzebę przekształcenia układu sił, który doprowadził do wybuchu wojny, wiedzieli też, że niepowodzenie w tej sferze mogło zmusić nas do

ponownego stoczenia tej wojny.

Obecnie, tak samo jak wtedy, znaleźliśmy się w sytuacji powojennej. Ale teraz wyzwanie nie polegało wcale na tym, aby przekształcić układ sił, który doprowadził do wybuchu wojny. Nowe zagrożenia nie miały wyłonić się z byłego Związku Radzieckiego. Raczej wyzwaniem miało być zmienienie kształtu obecnego świata wobec nagłego braku dwubiegunowej struktury, która trzymała w szachu wszystkie potencjalnie rywalizujące - lub destruktywne - siły. Musieliśmy zastąpić dwubiegunowy porządek świata nową strukturą, która przyniosłaby nową równowagę, kontrolę i sprawiedliwość. Zniszczenie się alternatywy - czyli nastanie nieporządku - rozpętałoby nieopanowaną grozę... chaos upadających państw uzbrojonych w broń masowego rażenia i siejących terror.

Stało się oczywiste, że dwubiegunowe środowisko, w którym żyliśmy przez prawie pół wieku, tłumilo siły, na które zwracała uwagę zaledwie garstka polityków, mężów stanu czy analityków specjalizujących się w stosunkach międzynarodowych. Teraz jednak dwubiegunowe środowisko przestało istnieć, a zamiast niego pojawiły się nowe zagrożenia.

W czasie zimnej wojny nikt nigdy nie pozwoliłby rozchwiać się jakiemś małym, zapomnianemu krajowi w środku niczego, ponieważ wszystkie małe państewka brały udział w wielkiej rywalizacji pomiędzy Sowietami i Wolnym Światem. Każda strona angażowała, co tylko mogła, żeby zatrzymać takie małe kraje w swoim obozie. Choć te inwestycje zyskiwały zwykle miano „pomocy zagranicznej” czy „pomocy humanitarnej”, w rzeczywistości były to swoiste łapówki. Skończyło się to

wraz ze zniknięciem dwubiegunowej struktury świata. Gdy Związek Radziecki rozpadł się, skończyło się wsparcie dla poszczególnych niewielkich narodów i niesienie pomocy humanitarnej.

Rywalizacja między Wschodem i Zachodem tłumiła głębszy, ukryty konflikt, który uwidoczniał się szczególnie dobitnie u schyłku stulecia: konflikt na linii północ-południe pomiędzy „pierwszym” i Trzecim Światem. Problem ten nigdy nie wydawał się poważny, ponieważ rywalizacja między Wschodem i Zachodem wybijała się na pierwszy plan. Jednak kiedy przestała ona istnieć, natychmiast stało się jasne, że Trzeci Świat (czyli biedne południe) ma wiele do zarzucenia pierwszemu światu (czyli bogatej północy).

Wszystkie światowe kryzysy, z którymi mierzymy się współcześnie, stanowią przejaw tego problemu. Czy jeśli chodzi o narkotyki, polityczne niepowodzenia i niestabilność w Ameryce Łacińskiej, czy o ekstremizm i brutalne ataki terrorystyczne związane z adaptacją świata islamskiego do warunków nowoczesności, czy też o chroniczne problemy zdrowia, nędzy i anarchii w Afryce - wszystko to wisiało w powietrzu, gdy ostatnie stulecie zbliżało się ku końcowi. Wszystkie te problemy już istniały, choć były trzymane w uśpieniu. Nie miały pierwszorzędного znaczenia wobec zmagania Wschodu i Zachodu, skutecznie przyćmiewającego lęki i żądania tych, którzy służyli pierwszemu światu, czyli mieszkańców Trzeciego Świata. Kiedy rywalizacja Wschodu z Zachodem została zakończona, Trzeci Świat zerwał się do walki i to w sposób bardzo nieoczekiwany.

Zabrało nam trochę czasu dostrzeżenie, że jesteśmy zaangażowani w konflikt, a jeszcze więcej zajęło nam rozpoznanie jego charakteru. Oznaki

nie były bowiem natychmiast czytelne. Czuliśmy się dobrze po naszym wielkim zwycięstwie w 50-letniej wojnie i zaczynaliśmy cieszyć się korzyściami płynącymi z wyłaniającej się globalizacji. Ogólnoświatowy biznes, technologie informatyczne, otwarte granice - wszystkie te nitki globalnej pajęczyny, która zaczęła coraz silniej łączyć wszystkich i wszystko w pierwszym świecie, nie wywoływały podobnego entuzjazmu, poczucia szansy i nowej nadziei w trzecim świecie. Jego mieszkańcy nie dostrzegali tego cudu. Widzieli drzwi pałacu i wiedzieli, że nie zostali zaproszeni.

Staraliśmy się coś z tym zrobić. Zaczęliśmy zapraszać ich na nasze przyjęcie... ale nie pozwalając im na zajęcie miejsca przy głównym stole. Odbierali to jako oznaki traktowania ich z wyższością i uprzedzeniem. Sądziliśmy, że wprowadzamy w nasz krąg ludzi spragnionych demokracji, kapitalizmu, wolnego handlu i lepszego życia. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jednocześnie w zamaskowany sposób poniżaliśmy trzeci świat, który już i tak czuł się wyalienowany, zgnębiony, opóźniony w rozwoju i chciał się za to odegrać na pierwszym świecie.

Konflikt, który z tego wyniknął, nie jest przede wszystkim walką pomiędzy jakimś jednym i drugim państwem - państwami trzeciego świata przeciwko państwom pierwszego świata. Owszem, zdarzały się wojny międzypaństwowe, takie jak ta z Irakiem, ale nie w nich rozgrywa się cała ta walka. Musimy zrozumieć, że jest to zupełnie inny rodzaj konfliktu. Nie jest to bowiem konflikt, który wyłonił się z popiołów jakiegoś upadłego systemu, to jest Związku Radzieckiego (tak jak II wojna światowa wyłoniła się z popiołów I wojny światowej). Jest to konflikt z tak zwanymi niepaństwowymi podmiotami.



Używając pojęcia „niepaństwowy podmiot”, nie mam na myśli tylko ugrupowań terrorystycznych, takich jak al-Kaida, i innych brutalnie i bezwzględnie działających przeciwników, lecz także wielkie międzynarodowe korporacje i organizacje pozarządowe, które mają olbrzymie znaczenie polityczne i realną władzę.

Światowa rewolucja informatyczna, której obecnie doświadczamy, stymuluje wzrost potęgi i wpływów niepaństwowych podmiotów. Pobudza je również zanikanie granic państwowych (stajemy się społecznością pozbawioną ograniczeń) i zwiększona migracja wielkich rzesz ludzi z trzeciego świata do krajów pierwszego świata (stajemy się społeczeństwem przejściowym). Jednocześnie globalne siatki ekstremistów robią wszystko, co w ich mocy, żeby obalić struktury spajające nasze społeczności.

Cały ten nowy świat istniał uspiiony pod lodową pokrywą zimnej wojny.

I musieliśmy zmierzyć się z tym wyzwaniem nieprzygotowani. Powinniśmy z pełną mocą wszczać jakiś wizjonerski program, taki jak Plan Marshalla po II wojnie światowej - program, który w trzecim świecie zwiększyłby motywację, poprawił edukację, zapewnił zastrzyk pieniędzy i zaszczerpił nadzieję. Niczego takiego jednak nie zrobiono.

Pierwsze zmiany, które wpłynęły na mnie jako zastępcę szefa J-3, dotyczyły zmagania się z „dywidendą pokoju” w postaci redukcji wojsk i przekształcenia NATO. Wkrótce po nich pojawiały się też próby stworzenia nowych, efektywnych relacji między NATO i strukturami wojskowymi byłego Związku Radzieckiego i Układu Warszawskiego.

Latem 1990 roku, kiedy mieliśmy przypuszczalnie około 300 000

żołnierzy w Europie, wpływowi ludzie w Waszyngtonie mówili już wówczas: „To koniec. NATO to anachronizm. To trup. Zamknijmy je. Musimy sprowadzić żołnierzy z powrotem. Musimy zamknąć bazy wojskowe. Musimy zacząć uwalniać się od nadmiaru żołnierzy - zredukować wypłaty żołdu”. W ciągu kilku tygodni te mgliste pomysły stały się rzeczywistością. Nikt nie zastanowił się nad konsekwencjami - nad tym, co traciliśmy, czego tak naprawdę potrzebowaliśmy pod względem militarnym, co ci żołnierze robili dla nas zarówno w Europie, jak i poza nią. Wszystko stało się kwestią liczb. Tylu i tylu ludzi to tyle i tyle dolarów. Im więcej ludzi mogliśmy „obciąć”, tym więcej dolarów „uwalnialiśmy”. A wszystko to w imię mglistego pojęcia „dywidendy pokoju”.

W ciągu kolejnych tygodni przypatrywałem się dezintegracji wojsk amerykańskich w Europie. Szczerze mnie to niepokoiło. Nagle niezliczeni zawodowi oficerowie i podoficerowie dowiedzieli się, że mają się spakować i po prostu poszukać sobie innego zajęcia.

Jednego dnia 24 podpułkowników otrzymało zwolnienie ze służby na mocy rozkazu redukcji sił. „jedźcie do domów. Nie jesteście już potrzebni”. Znakomici młodzi sierżanci, mający przed sobą świetlane kariery, którzy chcieli zostać, otrzymali ultimatum: „Zrezygnujcie teraz dobrowolnie, a damy wam 15 000 dolarów. Zostańcie i zaryzykujcie. Możecie zostać zwyczajnie wyrzuceni i nie dostaniecie niczego”.

Co robić w takiej sytuacji?

Oficerowie byli na tym samym wózku. „Nie wiem, co ci powiedzieć” - rzucali podoficerom proszeni o radę.

Na szczęście pomysły mówiące o rozwiązaniu NATO pozostały

tylko pomysłami. Choć NATO zrodziło się wskutek konfliktu z komunistami, z czasem zaczęło spełniać wiele innych istotnych funkcji. Organizacja Paktu Północnoatlantyckiego musiała zostać utrzymana nie tylko ze względu na obronność uczestniczących w niej państw, ale dlatego, że stała się organizacją, w której kompetentne, odpowiedzialne narody, działając w ścisłej współpracy, mogły naprawdę dokonać ważnych rzeczy, których nie zdołałyby osiągnąć samodzielnie. Odnosząc zaś sukcesy, jednocześnie pokazywały całemu światu, jak należy to robić. NATO stało się dla wszystkich niezastąpionym wzorcem międzynarodowej kooperacji.

Rozwiązanie NATO było czymś dokładnie przeciwnym w stosunku do tego, co należało uczynić. Potrzebowaliśmy jego powiększenia. Szczęśliwie udało się tego dokonać. Późniejsze wydarzenia na Bałkanach i ekspansja NATO na wschód dowiodły ogromnego znaczenia tej cennej instytucji dla stabilności całej Europy.

Dziękujemy Bogu za generała Galvina. Ten dawniej szeregowy żołnierz z okresu II wojny światowej, który zrobił potem spektakularną karierę, miał dość mądrości, doświadczenia i prestiżu, żebyśmy mogli sprawnie podjąć dynamiczne wyzwania. Spośród wszystkich naszych przywódców, którzy stanęli w obliczu nowego, pozimnowojennego świata, on najbardziej zbliżył się do wizji George'a Marshalla sprzed 50 lat.

Generał Galvin robił, co tylko mógł, żeby powstrzymać osłabianie sił naszych wojsk:

- Nadal będziemy potrzebować silnych wojsk w Europie - podkreślał. - Zastanówmy się, jak mają wyglądać nasze wojska, zanim sprowadzimy wszystkich do domu. Zastanówmy się, jakie nowe misje będą musieli wypełniać. Może powinniśmy pomyśleć o zachowaniu liczby

150 000 żołnierzy. Poczekajmy chwilę, przemyślmy wszystko starannie, może dostosujemy struktury NATO do nowych warunków.

Decydenci w Waszyngtonie odpowiadali mu:

- Bzdura. Sto pięćdziesiąt tysięcy to jeszcze za dużo. To tylko jeden etap redukcji sił. Docelowo wojska muszą być jeszcze poważniej zmniejszone.

- Poczekajmy trochę - upierał się przy swoim generał. - Nie możemy zredukować naszych sił do zera. Mamy w Europie i NATO pozycję, której nie możemy stracić. Jak wielu żołnierzy potrzebujemy, żeby zachować wiarygodność? Czy 100 000? Czy jako samodzielny korpus? Czy jako część większego korpusu? Czy te siły powinny zostać zintegrowane? (To znaczy na przykład należy utworzyć korpus składający się zarówno z niemieckich, jak i amerykańskich dywizji?) „Jaki jest cel NATO? Do czego potrzebujemy Paktu? Jak możemy to osiągnąć?

Dyskusje toczyły się bez końca, ich zakończenie w Waszyngtonie przerodziło się w kampanię tanich i brudnych chwytów (jak to często bywa w Waszyngtonie), ale nade wszystko zajadłe dysputy wywarły niszczycielski wpływ na nasze siły w Europie. Przy całym tym zamieszaniu i niepewności można było zapomnieć o morale żołnierzy.

Jednak generał Galvin nie odpuszczał. Zawsze był dżentelmenem, a jednocześnie człowiekiem nieustępliwym, zgodnie z najlepszymi tradycjami armii amerykańskiej.

Wiedział, że NATO nie przetrwa w takiej postaci, w jakiej istniało. Musiało zostać przekształcone. Ale miał wyraźną wizję tego, jaką postać powinno przyjąć (i ostatecznie przyjęło ją). Rozumiał, że NATO musi się rozrosnąć i objąć państwa wschodnioeuropejskie, że musi zmienić

kierunki działań i zacząć rozglądać się za operacjami spoza „obszaru zainteresowań” - operacjami wykraczającymi znacznie poza dotychczasowe główne zadania\*[\* NATO niedawno zaczęło odgrywać wielką rolę w Afganistanie.].

Dostrzegał znaczenie amerykańskiego przywództwa w Pakcie.

Jednocześnie martwił się Rosją. Sytuacja w tym kraju pozostawała niepokojąca. Wyzwanie nie polegało na tym, że Rosja próbowała zachować światową hegemonię, ale na tym, że nie wiadomo było, co się w niej dzieje i co się z tego narodzi. Odczuwał rosnącą rozpacz w byłym Związku Radzieckim. Głęboko obawiał się, że odcięcie jej od Zachodu i pozwolenie na to, by dryfowała samotnie, może doprowadzić do poważnych kłopotów.

Miał na to rozwiązanie. Po pierwsze, chciał wykorzystać NATO i powiązania NATO do nawiązania relacji z byłym Związkiem Radzieckim - a zwłaszcza z wojskiem (żeby upewnić się, iż proces zmian zmierza prawidłowo ku demokratyzacji struktur militarnych). NATO było ich wrogiem. Ale to była już przeszłość. Teraz NATO miało stać się przewodnikiem ku pozytywnym przemianom. Po drugie, zdawał sobie sprawę, że potrzebujemy czegoś w rodzaju Planu Marshalla dla państw byłego Związku Radzieckiego. Nie byłby to prezent, lecz inwestycja w przyszły pokój, stabilizację i dobrobyt.

Wizja generała została w dużej mierze tragicznie zignorowana. Waszyngton początkowo nie brał w ogóle pod uwagę jego pomysłów połączenia się z Rosją i Układem Warszawskim, stworzenia nowego Planu Marshalla, restrukturyzacji NATO... choć później, w innych okolicznościach, wiele z tych pomysłów zostało zrealizowanych. Ludzie w

Waszyngtonie powinni go posłuchać. Doskonale wiedział, co chce zrobić, i trzymał rękę na pulsie wydarzeń.

Wybitna osobowość.

## **Spotkanie Zachodu ze Wschodem**

Jesienią 1990 roku generał Galvin zrealizował swój cel połączenia NATO z ledwie istniejącymi strukturami wojskowymi niedawnego Związku Radzieckiego za sprawą zaaranżowania serii konferencji - głównie w Moskwie - z udziałem wysokich rangą oficerów NATO i ich rosyjskich odpowiedników, w czasie których omawiano rolę sił zbrojnych i służb wojskowych w demokratycznym świecie. Zastępca głównodowodzącego generał McCarthy został obarczony zadaniem przewodniczenia amerykańskiej delegacji i zabrania ze sobą jednego z generałów w charakterze asystenta. Zaproszenie otrzymał Zinni.

Generał Galvin miał w tym swój cel zarówno jawny, jak i ukryty.

Ponieważ chciał dać do zrozumienia Rosjanom, że prawdziwymi zwycięzcami zimnej wojny są mieszkańcy Rosji, nie chciał, żeby przedstawiciele NATO traktowali swoich rosyjskich odpowiedników jak chełpiący się zwycięstwem tryumfatorzy dyktujący warunki kapitulacji. Nie była to sytuacja, w której byli zwycięzcy i przegrani. Była to sytuacja, w której jedni żołnierze pomagają innym żołnierzom przystosować się do demokracji i lepszej, pokojowej egzystencji.

Niewypowiedzianym celem Galvina było zorientowanie się, jaką rolę rosyjskie wojsko zamierzało odegrać w niepewnej, fatalnej sytuacji panującej właśnie w Moskwie.

Podczas gdy zachodnia strona zerwanej żelaznej kurtyny cieszyła się „dywidendą pokoju”, wschodnia część cierpiała z powodu „katastrofy

pokoju”. Gwałtowne redukcje sił za granicami i zamykanie baz wojskowych, które z jednej strony wydawały się nieoczekiwaną korzyścią, z drugiej strony stanowiły potencjalne źródło politycznej destabilizacji. Rosja była w stanie upadku. Nie było żadnej dywidendy, ponieważ nie było żadnego kapitału... żadnych funduszy na wojsko, nawet żadnych pieniędzy na łapówki. Wysokiej rangi oficerowie stali się w Rosji nikim.

Dawni radzieccy żołnierze w Niemczech nie mogli po prostu wrócić do domów, ponieważ nie mieli dokąd. W Rosji rodziny starszych oficerów mieszkały w kartonowych pudłach i żebrały na ulicach.

Taka niezwykle niestabilna sytuacja łatwo mogła doprowadzić do wybuchu. Istniało realne niebezpieczeństwo, że niegdyś dumne radzieckie wojsko, obawiając się utraty kontroli w kraju ogarniętym chaosem, wyjdzie na ulice i odbierze z powrotem władzę z rąk najwyraźniej chwiejnej rosyjskiej demokracji, po czym albo znów utworzy państwo komunistyczne, albo ukonstytuuje twardą wojskową dyktaturę.

Pierwsza konferencja odbyła się w Moskwie pod koniec 1990 roku. Zorganizowano ją w gmachu rosyjskiego Ministerstwa Obrony (rosyjski Pentagon). Wizyta w tym miejscu - pierwsza wizyta amerykańskich przedstawicieli wojska - była pełną wrażeń chwilą dla Zinniego.

Delegacja wkroczyła do budynku uroczyście przez główne wejście, które otwierało się na ogromną wyłożoną marmurem salę. Płaskorzeźby wykonane w płytach białego marmuru rozmieszczonych wzdłuż ścian przedstawiały Order Lenina i inne wysokie odznaczenia Związku Radzieckiego. Po krótkim oczekiwaniu otworzyły się wysokie drzwi na drugim końcu sali i wylała się przez nie imponująca falanga mundurów, radzieckich generałów i marszałków, prowadzona przez ministra obrony

marszałka Szaposznikowa. Wszyscy wojskowi byli wysocy i maszerowali równo, a odgłos ich kroków odbijał się coraz głośniejszym echem, w miarę jak się zbliżali. Byli tak sztywni i oficjalni, że Zinni przez chwilę zachodził w głowę, czy nie zaszła jakaś pomyłka i czy niespodziewanie nie trafili na jakąś inną ceremonię. Ale wkrótce zdziwienie ustąpiło.

Nastąpiły oficjalne powitania i uściski dłoni w rosyjskim stylu (bardzo silne i bardzo serdeczne), a potem oficerowie NATO zostali zaprowadzeni do sali konferencyjnej i posadzeni przy długim stole.

Początkowe rozmowy prowadzone przez generała McCarthy'ego skupiały się wokół przesłania generała Galvina: Delegacja NATO przybyła, by celebrować wielkie zwycięstwo radzieckiego narodu i pracować nad przyszłością ramię w ramię z rosyjskim wojskiem.

Rosjanie zdawali się akceptować ten gest dobrej woli... choć bez widocznego entuzjazmu.

Później McCarthy i inni członkowie delegacji starali się subtelnie wysondować, jak Rosjanie zapatrują się na ich rolę we wprowadzaniu politycznych przemian i czy zamierzają zająć bardziej decydujące stanowisko w nowej, zmieniającej się Rosji. Szybko stało się jasne, że nie mieli też wielkiego entuzjazmu do polityki.

Po początkowych, oficjalnych prezentacjach oficerowie rosyjscy i natowscy rozdzielili się na bardziej wyspecjalizowane grupy, a następnie konferencja została przeniesiona do ośrodka konferencyjnego na peryferiach Moskwy. Zinni został dobrany w parę z rosyjskim dyrektorem do spraw operacyjnych (odpowiednikiem szefa J-3 w Pentagonie) i rozmawiał z nim otwarcie o sprawach operacyjnych\*[\* Rosjanin podarował Zinniemu doskonałą biografię marszałka Żukowa w języku



angielskim, którą Zinni przeczytał potem z prawdziwą przyjemnością.]

Z czasem Zinni zaczął odbierać dziwne fale od imponującej grupy rosyjskich oficerów. Ale nie takie fale, jakich można by się spodziewać. Nie wyczuwał, by Rosjanie byli niebezpieczni i stanowili jakiegokolwiek zagrożenie. Byli dalecy od tego. Nie byli wrodzy, nie byli nieprzyjaźni. Choć zdawali sobie sprawę, że ich system upadł, nie wyglądali na pokonanych, złamanych czy żywiących urazę. Wręcz przeciwnie - byli bardzo gościnni. Marszałek Szaposznikow i jego sztabowcy byli serdeczni i mili. Ale nigdy o nic nie wypytywali, nigdy nie przejmowali inicjatywy, nie przejawiali choćby najmniejszej oznaki ciekawości. Jeśli kiedykolwiek w tej grupie ludzi był jakiś entuzjazm, to przepadł on bez śladu.

Początkowo Zinni zastanawiał się, dlaczego nie przejawiali entuzjazmu z powodu wizyty NATO ani nie dawali się wciągnąć w żadną dyskusję, ale wkrótce okazało się jasne, że niczego nie przyjmowali z entuzjazmem. Zinni nie dostrzegał też żadnego wyraźnego oporu ani nie wyczuwał żadnej woli współpracy. Rosjanie byli na tyle kooperatywni, na ile wymagali tego od nich Amerykanie.

Pomimo całej tej obojętności i swoistego letargu Rosjanie byli zdumiewająco otwarci, choć wcześniej powszechnie uważano ich za najbardziej skrytych ludzi na świecie. Choć żaden z nich nie przejawiał samodzielnej inicjatywy, odpowiadali z zaskakującą szczerością. Pytani o przejście na system demokratyczny, wywnętrzali się. Pytani o problemy związane z ich wojskiem, wyciągali na wierzch własne brudy. Bez mrugnięcia okiem opowiadali o poważnym braku dyscypliny w szeregach czy też o istnej epidemii alkoholizmu (te problemy wciąż istnieją). Zinni ze zdumieniem słuchał także otwarcie dozwolonej krytyki starszego

dowództwa przez młodszych oficerów.

Jednak cała ta niespodziewana otwartość nie szła w parze z przyznaniem, że „musimy coś zrobić z naszymi problemami”. Nie wyczuwało się, by od starszych rangą oficerów oczekiwano czegokolwiek\*[\* Zachodnie lęki przed wojskowym zamachem stanu w Rosji były całkowicie błędne. Istniała grupa szalonych generałów spuszczonej ze smyczy, panoszących się na marginesie armii. Część z nich została wybrana do Dumy, rosyjskiego parlamentu. Niektórzy brali udział w próbie obalenia prezydenta Jelcyna w 1991 roku (dając mu niezapomniane zdjęcie w akcji na czołgu). Ale takich ludzi było niewiele i byli oni za mało skuteczni, by stanowić jakieś realne zagrożenie.].

Prawdę mówiąc, jak stwierdził potem Zinni, rosyjscy przywódcy wojskowi byli bezwładni. Wydarzenia miały nimi, a oni poddawali się temu bezczynnie. Nie mieli żadnego planu. Nie mieli żadnej wizji - dobrej czy złej - nie wiedzieli, gdzie jest ich miejsce, co powinni robić. Dawali się ponieść fali. Ich przesłanie dla delegacji NATO brzmiało: „To dzieje się naprawdę. Jesteście tutaj. W porządku. Taka jest dziś sytuacja. A wy jesteście miłymi gośćmi, lubimy was. Ale nie spodziewajcie się, że nas to choć trochę obchodzi”.

Dawniej prowadzili lokomotywę narodu, teraz zaś zgodzili się upaść do roli pasażerów pociągu. Pociąg zmierzał, dokąd zmierzał, a oni jechali tam wraz z nim. Nie zamierzali prowadzić, zmieniać kierunku czy nawet hamować. Po prostu jechali wraz z nim.

W oczach Zinniego był to zdumiewający stan umysłu. Coś takiego wykaczało poza jego doświadczenia. Nie potrafił tego zrozumieć.

Zorientował się jednak, że młodszy oficerowie są pewną nadzieją. Otwarta niechęć i krytyka stanowiły oznakę czegoś pozytywnego. Wielu pułkowników okazało się gorliwymi, zdeklarowanymi reformatorami, krytykującymi upadek wojska i korupcję wśród starszych rangą oficerów. Młodszy oficerowie przejawiali też znacznie większą ciekawość niż starsi. Zadawali pytania na temat Ameryki i Europy. Dawali do zrozumienia, że nie są zwolennikami drylu, w jakim zostali wychowani, że NATO stanowi wroga, którego należy nienawidzić.

- Wy wcale nie jesteście źli - powtarzali. - My musimy wiele zmienić i możemy się od was uczyć.

Najbardziej jawnym krytykiem wśród młodszych oficerów okazał się adiutant przydzielony Zinniemu, kadet z Korpusu Propagandy o imieniu Wład. Wład, który nauczył się angielskiego z filmów z Arnoldem Schwarzeneggerem, ozdabiał swoje wypowiedzi kalkami tekstów Schwarzeneggera. Jego lekceważenie i szczerota aż do bólu stale przysparzały mu problemów, zwłaszcza ze strony sztywnej i srogiej, nigdy nieuśmiechającej się, ale zjawiskowo pięknej pani kapitan, która była zwierzchniczką adiutantów. Obrzucała go wciąż zabójczymi spojrzeniami, choć on zdawał się ich nie zauważać. Zinni nazwał go Wład Palownik ze względu na jego zdolność nadziewania się na nią\*[\* Prawdziwy Wład Palownik, węgierski szlachcic, który żył kilkaset lat temu, stał się dla Brama Stokera inspiracją do stworzenia postaci hrabiego Draculi.].

W swoim komicznym języku angielskim z austriacko-rosyjskim akcentem Wład dał Zinniemu wykład o życiu żołnierzy w koszarach. O morale praktycznie nie mogło być mowy. Nie było żadnego poczucia wspólnoty czy dumy w poszczególnych jednostkach. Nie było żadnego

dowództwa (starsi oficerowie spędzali większość czasu na upijaniu się w sztok). Żołd Włada był tak niski (co miesiąc otrzymywał równowartość 4 dolarów amerykańskich), że pod koniec miesiąca nie miał ani grosza i gdyby matka nie przysyłała mu żywności, musiałby głodować. Śmiał się z tego. Zgodnie ze starą indoktrynacją starano się wcześniej promować wiarę w to, że Ameryka i dekadentcki Zachód znajdują się na krawędzi upadku, podczas gdy prawdą było coś zgoła odwrotnego. Wszystko, co wpajano mu o komunizmie, okazało się kłamstwem.

Trudno było uwierzyć, w jak głębokim upadku znalazła się sowiecka machina wojskowa.

Wciąż jednak żołnierze potrafili zdobyć się na gościnność w starym, dobrym rosyjskim stylu, czego przejawem były wystawne bankiety dla delegacji NATO. W oczach Włada był to dar od Boga. Nigdy nie widział tak wielkiej ilości jedzenia. Pochłaniał wszystkie przysmaki jak wygłodniały wilk, a przy tym pił z nie mniejszym zapalem - nigdy nie opuścił bankietu trzeźwy. Upraszał Zinniego:

- Na miłość boską, muszę jeść. Postarajcie się o krótkie przemowy i toasty. Jeśli będą zbyt długie, będę musiał je tłumaczyć i padnę z głodu.

Pewnego wieczoru w czasie wycieczki do sławnego Cyrku Moskiewskiego Wład chwycił mikrofon w autobusie i wygłosił politycznie niepoprawny monolog wymierzony przeciwko rosyjskim przywódcom. Nie rozbawiło to rosyjskich starszych oficerów w autobusie. Kiedy Zinni powiedział Władowi, żeby się uspokoił, chłopak zaśmiał się i rzucił:

- No wiesz, bez pracy nie ma kołaczy.

Wład zawsze pakował się w kłopoty, ale należał też do ludzi

sprytnych i zdolnych wygrzebać się z każdych tarapatów. Okazało się, że miał możliwość ucieczki z szeregów Armii Radzieckiej. Jego ojciec był Rosjaninem, matka natomiast rodowitą Litwinką. Oznaczało to, że mógł wybrać swoją ojczyznę po rozpadzie Związku Radzieckiego - Rosję albo Litwę. Ponieważ Litwa stawała się niezależnym państwem, które miało posiadać własne siły zbrojne, mógł zasilić szeregi tworzącego się wojska litewskiego... Nie była to łatwa decyzja. Armia rosyjska była bardzo źle wyposażona, ale czy naprawdę chciał przenosić się na Litwę? (Zinni nigdy nie dowiedział się, co się stało z jego mówiącym prawdę bez ogródek młodym adiutantem).

Wielki finał w Cyrku Moskiewskim stanowiło magiczne pojawienie się jak gdyby znikąd mężczyzny na białym koniu, który pędził wokół areny, dzierżąc w dłoni rosyjską flagę. Tłum krzyczał z radości. Cieszono się, gdyż była to flaga rosyjska, nie radziecka. Miesiąc później Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich oficjalnie przestał istnieć.

Niektóre rzeczy zmieniają się bardzo powoli.

W czasie zakupów niedaleko ambasady amerykańskiej Zinni chciał rozejrzeć się za jakimś prezentem świątecznym dla swojej żony Debbie. Ponieważ miał na sobie mundur, był traktowany ze szczególną atencją (nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo szczególną), ale to nie uchroniło go przed zdumiewająco żmudną procedurą, którą musiał przejść każdy, kto chciał coś kupić w komunistycznym sklepie. Cała idea polegała na tym, żeby stworzyć możliwie najwięcej miejsc pracy, co oznaczało, że klient musiał odstać swoje w wielu kolejkach, by dotrzeć wreszcie do pracownika sklepu, który w ogóle nie interesował się obsłużeniem interesanta. Po pierwsze stało się w kolejce, by obejrzeć przedmiot, który chciało się

kupić. Potem, jeśli towar się spodobał, otrzymywało się kwit do zapłacenia za niego, trzeba więc było ustawić się na końcu drugiej kolejki na drugim końcu sklepu. Następnie z podstemplowanym kwitkiem szło się do jeszcze jednej kolejki, by odebrać zapakowany przedmiot.

Zinni przeszedł przez całą tę procedurę, by kupić ocieplacz na dzbanek z herbatą w formie Dziadka Mroza (Debbie kolekcjonowała Święte Mikołaje, a Dziadek Mróz to rosyjska wersja Świętego Mikołaja).

Kilka tygodni później, gdy był już w domu, Debbie przygotowywała dom do świąt Bożego Narodzenia i wyjęła Dziadka Mroza z pudełka, zamierzając ustawić go na eksponowanym miejscu w jadalni, kiedy natrafiła na dziwaczne urządzenie ukryte w zabawce.

Następnego dnia zaciekawiony Zinni wziął przedmiot do sekcji bezpieczeństwa EUCOM-u. Specjaliści potwierdzili jego podejrzenia. Było to urządzenie podsłuchowe... pluskwa.

Zanim je oddał, krzyknął do niego:

- Zimna wojna się skończyła!

Choć wątpił, by ktokolwiek go słyszał.

Wkrótce po wojnie w Zatoce Perskiej Zinni wszedł w skład delegacji piechoty morskiej, która odwiedziła kilka państw dawnego Bloku Wschodniego\*[\* Polską, Węgry i Rumunię.] w ramach coraz bardziej rozwiniętych programów wymiany wojskowej opracowanych przez EUCOM. W odróżnieniu od wycieczki do Moskwy, podróż ta okazała się budującym doświadczeniem. Europa Wschodnia znacznie łatwiej przystosowywała się do demokratyzacji i ekonomii wolnorynkowej niż wschodni sąsiedzi z byłego Związku Radzieckiego. W przeciwieństwie do Rosjan mieszkańcy tych państw byli gotowi i chętni do zmian,

doświadczywszy już w przeszłości życia w wolnych systemach politycznych i ekonomicznych. Ponadto wcześniejsze bunty przeciwko sowieckim panom na Węgrzech, w Czechach i w Polsce dodawały smaczku entuzjazmowi tych narodów do zmian.

Ponieważ wizyta ta wypadła tuż po zakończeniu wojny w Zatoce Perskiej, wojskowi z dawnego Układu Warszawskiego byli nieco wstrząśnięci błyskawicznym i całkowitym pokonaniem irackiej armii wyszkolonej, zorganizowanej i wyposażonej przez Rosjan. Taki sukces w Iraku niósł ze sobą poważne implikacje dla innych systemów wojskowych w stylu sowieckim, Zinni został więc zasypany pytaniami o amerykańską taktykę i zdolności bojowe, jak również spotkał się z ciekawością dotyczącą tego, jak Amerykanie postrzegali ich jako potencjalnych przeciwników. Odpowiadał wówczas:

- Mielśmy was za bardzo groźnych przeciwników; szanowaliśmy was i mieliśmy nadzieję, że nie będziemy musieli z wami walczyć.

Taka odpowiedź - która była zresztą prawdziwa - budziła ich zadowolenie.

Ale głównym problemem było dla nich mierzenie się nie z przeszłością, ale z przyszłością. W tym czasie możliwość rozszerzenia NATO dopiero się wyłaniała, a wszyscy oni chcieli jak najszybciej przystosować własne siły zbrojne, by przyłączyć się do Paktu. Palili się do tego, by pokazać Zinnemu reformy wojskowości, które już wprowadzili, objaśniali mu kolejne reformy, które planowali, i oczywiście chętnie przypominali mu, że będą potrzebowali każdej pomocy ze strony USA.

W opinii Zinniego najbardziej uderzającą zmianą była reorientacja systemów obrony. Z oczywistych względów państwa Układu

Warszawskiego nie mogły posiadać sił zbrojnych wymierzonych ku wschodowi. Teraz to się zmieniło. Wszystkie one przeorganizowały zabezpieczenia, rozmieszczając siły wokół wszystkich granic. To musiało działać demoralizująco na Rosjan.

Jugosławia nawet już wtedy była szczególnym i niebezpiecznym przypadkiem. Po śmierci Tity i upadku Sowietów kraj rozpadł się na części i znów pojawiły się dawne spory etniczne. W 1990 roku wybuch konfliktów narodowościowych rozpoczął się w Bośni, gdzie Serbowie, Chorwaci i muzułmanie zaczęli walczyć ze sobą nawzajem. Oczywiście ucierpieli na tym również zwyczajni ludzie, którzy chcieli żyć w spokoju.

Tego roku EUCOM stworzył pierwszą z wielu misji pomocy dla Bośni, operację humanitarnej ewakuacji lotniczej uchodźców pod nazwą „Przynieść Obietnicę”. Choć operacja została w zasadzie przeprowadzona przez siły powietrzne, Dyrektoriat J-3 EUCOM-u oraz Dowództwo Sił Połączonych monitorowały i kontrolowały operację i zapewniały wsparcie wywiadowcze. Ta sprawa skłoniła Zinniego do przeglądania bałkańskich raportów i sprawozdań dostarczanych przez ekspertów i analityków do spraw wywiadu z dowództwa - był to wyjątkowo dobrze wykształcony i wnikliwy zespół młodych majorów i kapitanów.

Nie widzieli zbyt optymistycznej przyszłości tak zwanej Jugosławii.

- To miejsce to sztuczny twór - twierdzili. - Tito był dość silny, żeby to wszystko trzymać w kupie dzięki własnej osobowości, ale nigdy nie istniało coś takiego jak jugosłowiański naród. Jego części nigdy nie miały być spojone i teraz nadszedł czas, by się rozpadły. Jugosławia musi się rozpaść jak stara walizka.

Choć dziś takie analizy nie są żadną rewelacją, ponad 10 lat temu



były prorocze. Analitycy z Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie przewidzieli przyszłość Bałkanów znacznie wcześniej niż ktokolwiek inny. Poza Zinnim mieli jednak niewielu słuchaczy. A on był w rozterce, jak powinien zareagować.

Jak ważne są Bałkany? Czy mają kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa amerykańskiego i europejskiego? Czy możemy po prostu pozwolić na to, by region rozpadł się w eksplozji konfliktów? - pytał sam siebie.

Oto jaką znalazł odpowiedź: Jeśli chcemy to powstrzymać, musimy się w to zaangażować. Operacja „Przynieść Obietnicę” nie wystarczy. To mały opatrunek na rozległej ranie na piersi, która z każdą chwilą traci więcej krwi. Musimy zaangażować się w to jak najszybciej, kiedy sytuacja jest jeszcze do rozwiązania. Musimy wziąć pod uwagę międzynarodową misję pokojową, którą tylko Stany Zjednoczone mogą pokierować. Albo zapłacimy za to teraz, albo zapłacimy w przyszłości znacznie więcej.

Tymczasem wszyscy w Europie i na Zachodzie znajdowali się w stanie euforii z powodu „dywidendy pokoju”. Nikt nie interesował się zaangażowaniem w ten problem. Choć inni członkowie EUCOM-u, tacy jak generał McCarthy, rozumieli wartość wczesnego zaangażowania się w rozwiązanie konfliktu, nie byli w stanie wzbudzić wystarczająco wielkiego zainteresowania taką operacją ze strony kręgów władzy.

Oczywiście w końcu problemy wyszły poza region i zmusiły ONZ i NATO do zmierzenia się z sytuacją.

W 1992 roku, niedługo przed końcem służby Zinniego w Dowództwie Sił Zbrojnych USA w Europie, Zinni został poproszony, żeby reprezentować szefa w czasie pierwszej odprawy sztabowej

zorganizowanej dla nowego głównodowodzącego, generała Shalikašwillego. W czasie odprawy generał McCarthy poprosił każdą osobę ze sztabu, by pozwoliła sobie o przewidzenie jednej najtrudniejszej kwestii, która zdominuje jego czas i uwagę w czasie służby.

- To będą Bałkany i była Jugosławia - oznajmił Shalikašwillemu Zinni bez najmniejszego wahania, stwierdzając to nie na podstawie intuicji czy natchnienia, lecz rzetelnej analizy i codziennego zaangażowania, z którym wraz z kolegami podchodził do narastającego konfliktu bałkańskiego. Każdy, kto poświęcał temu choć trochę uwagi, mógł to dostrzec bez trudu.

Jego słowa jednak nie przypadły do gustu wszystkim na odprawie. Na przykład dyrektor wywiadu EUCOM-u, pewien generał dywizji sił powietrznych, gwałtownie naskoczył na niego.

- Chyba zwariowałeś, Zinni - rzucił. - Wszyscy wiedzą, że naszym najpoważniejszym problemem będzie uporanie się z byłym Związkiem Radzieckim.

Co generał powiedziałby teraz?

Inne regiony należące do sfery odpowiedzialności Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie również stwarzały problemy.

W Afryce w czasie służby Zinniego w EUCOM-ie przeprowadzono trzy operacje ewakuacyjne niebojowe (NEO). Każda z nich była zorganizowana przez Dyrektoriat Operacyjny Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie.

Pierwsza z nich była jednym z najwcześniejszych kryzysów, z którymi Zinni musiał zmierzyć się w EUCOM-ie.

Operację „Ostra Krawędź” w Liberii (wspominaną już wcześniej)

przeprowadziła Grupa Gotowości Desantowej 6. Floty po tym, jak walki pomiędzy różnymi agresywnymi miejscowymi ugrupowaniami zagroziły cudzoziemcom. Wszystko rozpoczęło się jako misja ewakuacyjna, ale kiedy ambasador zorientował się, że ma do dyspozycji piechotę morską, która będzie go chronić, uznał, że równie dobrze może zostać na miejscu. Szybka akcja ewakuacyjna zaś przekształciła się w kilkumiesięczną operację zapewniania bezpieczeństwa amerykańskiej ambasady. Operacja taka wymagała obecności sporych sił zbrojnych ze względu na ogromny chaos i masakry ludności na ulicach stolicy Liberii, Monrowii. To z kolei wywołało poważną debatę nad tym, czy misja była warta związania najcenniejszych formacji marynarki wojennej i piechoty morskiej wchodzących w skład floty EUCOM-u. W rzeczywistości ambasada w Liberii nie robiła dla nikogo niczego dobrego. Choć zażarta debata przeniosła się aż do Departamentu Stanu i Departamentu Obrony, upłynęły miesiące, zanim została ostatecznie zakończona, gdy w Liberii zapanował spokój po zabójstwie prezydenta państwa Samuela K. Doe.

Dwie inne afrykańskie operacje ewakuacyjne niebojowe zostały przeprowadzone przez Dowództwo Operacji Specjalnych Dicka Pottera, który kierował niezliczonymi akcjami w Sierra Leone, między innymi operacją „Srebrne Kowadło”, a także w Zairze.

## **Wojna w Zatoce**

Wojna w Zatoce Perskiej dołożyła kilka wielkich i niespodziewanych trudności do wszystkich przemian i kryzysów, z którymi mierzyło się Dowództwo Sił Zbrojnych USA w Europie.

W okresie zimnej wojny EUCOM zawsze był w centrum uwagi - dowództwo europejskie stanowiło priorytet Połączonego Dowództwa.

Zawsze było teatrem działań wojennych tradycyjnie przyjmującym dodatkowe siły z innych dowództw w celu użycia ich w misjach NATO. Nawet w czasie wielkiej wojny (takiej jak wietnamska) dowództwo nigdy nie pozbywało się swoich wojsk. Było w każdej chwili przygotowane do tego, by przyjąć nowe siły, a nie oddawać swoje. To miało się zmienić. EUCOM miał teraz wspierać Połączone Dowództwo i ekspediować swoje siły do innych teatrów działań wojennych.

Generał Galvin natychmiast dostrzegł wagę tej nowej roli EUCOM-u - Dowództwo Sił Zbrojnych USA w Europie było idealnie przygotowane do tego, by stać się wysuniętą bazą wspierającą operacje na całym świecie z dobrze ugruntowanych ośrodków w Europie. Ożywione relacje między państwami należącymi do NATO, nawiązane w ciągu ostatniego półwiecza, mogły zostać wykorzystane w celu stworzenia strategicznego pomostu, niezbędnego, aby dotrzeć zarówno do Zatoki Perskiej, jak i później do wielu innych punktów zapalnych na całym świecie.

Dowództwo czekała ogromna praca. Wytworzenie takiego strategicznego pomostu oznaczało wypracowanie powietrznych i morskich linii komunikacyjnych, uzyskanie prawa przelotów, dyplomatycznych uprawnień, zezwoleń na tranzyt morski. Ponieważ większość żołnierzy i dostaw zaopatrzenia dla CENTCOM-u ze Stanów Zjednoczonych musiała przechodzić przez strefę odpowiedzialności EUCOM-u, Dowództwo Sił Zbrojnych USA w Europie było odpowiedzialne za ich prawidłowy transport. EUCOM musiał martwić się o to, by sprowadzić ludzi i zaopatrzenie, ochraniać ich i sprzęt, a także koordynować działania państw uczestniczących w tej operacji.

Było to całkiem nowe doświadczenie dla dowództwa, które musiało

nie tylko zmienić filozofię wykonywania takich operacji, ale też ich mechanizm. Musiało uporać się ze wszystkimi złożonymi problemami - niemieckiego transportu kolejowego, systemu barek, transportu drogowego i konwojów do portów. Musiało opracować najbardziej efektywne sposoby wykorzystania wszystkich portów - przy uwzględnieniu nie tylko oczywistych punktów, takich jak porty śródziemnomorskie, ale również Amsterdamu i innych portów nad Morzem Północnym i Bałtykiem.

Wskazówka Galvina dla wszystkich członków sztabów i dowództw była prosta:

- Kiedy otrzymacie prośbę o wsparcie z CENTCOM-u, od razu odpowiadacie twierdząco. Dopiero potem pytacie, o co właściwie chodzi.

W czasie operacji „Pustynna Tarcza” - w fazie intensywnej przygotowań przed główną fazą wojny - dyrektoriat J-3 EUCOM-u powołał sztab bojowy w celu uporania się ze wzmożonym ruchem pojazdów powietrznych i morskich transportujących siły i zaopatrzenie do Zatoki Perskiej. Na początkowym etapie tej procedury zostali obarczeni zadaniem wysłania największej jednostki bojowej - US-AREUR - Dowództwa Europejskiego Armii USA pancernego 7. Korpusu\*[\* Więcej informacji można znaleźć w książce Toma Clancy’ego Into the Storm.] oraz innych jednostek i materiałów do Sztabu Głównego USA w Zatoce Perskiej. Tego trudnego przedsięwzięcia dokonało US-AREUR generała Butcha Santa.

Choć sztabowcy EUCOM-u pracowali 24 godziny na dobę nad ogromnym przedsięwzięciem logistycznym, wszyscy liczyli na bardziej bezpośrednie zaangażowanie w walkę. Wyglądało jednak, że na tym

będzie się kończyła ich rola w tym konflikcie... aż do czasu, gdy przypadnie im w udziale jakaś ciekawsza misja (i pozwoli Zinniemu „wyjść w teren” na szereg operacji stanowiących pochodną ataku przeprowadzonego w wielkiej operacji „Pustynna Burza”).

Opowiada Tony Zinni:

Gdy operacja „Pustynna Tarcza” zaczynała nabierać rozpędu, generał dywizji Jim Jamerson, oficer operacyjny USAFE\*[\* Siły Powietrzne USA w Europie, będące jednym z elementów sił zbrojnych USA w Europie.] zatelefonował i powiedział:

- Hej, nie wiem, czy to jest coś warte, ale grupa naszych młodych, pełnych zapału, bystrych majorów przyjrzała się zbliżającemu się atakowi na Irak i wpadła na kilka całkiem niezłych nowych pomysłów. Stwierdzili, że mamy szansę na otwarcie drugiego północnego frontu powietrznego. Obrona przeciwlotnicza w tej części Iraku jest niegroźna. Gdybyśmy założyli bazy w Turcji, moglibyśmy przeprowadzać stamtąd operacje powietrzne.

Moją pierwszą reakcją było:

- W żadnym razie. Turcja nigdy się na to nie zgodzi, ani tym bardziej CENTCOM. To wojna CENTCOM-u, nie spodoba im się, że EUCOM próbuje mieszać się do tego tak agresywnie.

Ale plan przykuł uwagę generałów Galvina i McCarthy’ego i wkrótce młodzi majorzy stawili się w kwaterze głównej EUCOM-u, przywożąc ze sobą mapy z zaznaczonymi pozycjami irackich radarów i stanowisk obrony przeciwlotniczej, danymi na temat baz w Turcji i wszystkimi innymi elementami, których wymaga dobry plan.

- A niech to diabli - rzucił McCarthy, gdy tylko przyjrzał się całemu

planowi. - Warto spróbować.

Po uzgodnieniu wszystkiego z Waszyngtonem i Sztabem Głównym Jim Jamerson, Snuffy Smith i ja udaliśmy się do Ankary, żeby zapoznać z planem naszego ambasadora Morta Abramowitza, a następnie (jeśli wszystko pójdzie dobrze) przedstawić plan tureckiemu sztabowi generalnemu.

Ponownie nie miałem zbyt wielkich oczekiwań. Sądziłem, że usłyszymy: „Idiotyczny pomysł. Wracajcie do domu. Chyba żartujecie?”

Jednak Mort Abramowitz był nastawiony do pomysłu pozytywnie.

- To możliwe - stwierdził. - Zróbmy to. Myślę, że Turcy zaakceptują ten pomysł.

Miał rację. Kiedy wprowadziliśmy we wszystko Turków, zaaprobowali plan przeprowadzenia operacji z baz lotniczych w południowo-wschodniej Turcji. Byłem zdumiony nie tylko tym, że sprawa ułożyła się po naszej myśli, ale że udało się uzyskać zgodę tak szybko.

Pod dowództwem Jima Jamersona utworzono połączoną grupę operacyjną, składającą się z komponentu powietrznego, przeznaczoną do przeprowadzenia ataków na północy Iraku, oraz komponentu operacji specjalnych pod dowództwem Dicka Pottera, którego zadaniem było zorganizowanie bojowych jednostek poszukiwania i ratownictwa, a także wykonanie pewnych operacji psychologicznych. Wszystko to ochrzczono wspólną nazwą „Sprawdzona Siła”.

W czasie „Pustynnej Burzy” połączona grupa operacyjna zaatakowała liczne cele, do których siły powietrzne rozmieszczone na południu miały utrudniony lub wręcz niemożliwy dostęp. Bazy lotnicze w odizolowanych schronieniach północnej części Iraku zdewastowano, zaś

Saddam Husajn został zmuszony do przesłania swoich samolotów do Iranu, żeby uniknąć całkowitego zniszczenia.

Analitycy z EUCOM-u zastanawiali się:

- Jako że Turcy byli tak wyjątkowo chętni do współpracy, może moglibyśmy otworzyć drugi front naziemny?

Kiedy zaczęliśmy omawiać taką możliwość, Turcy wydawali się wręcz palić do tego. Jednak wówczas przedstawiliśmy ów plan Schwarzkopfowi. Działania w wojnie powietrznej były już bardzo zaawansowane i były zbyt skuteczne, by wszcząć atak naziemny, więc nie wyraził on zgody na jego realizację.

- Nie sprzeciwiam się samej idei - orzekł. - Ale za późno już na to. Mój plan jest w trakcie realizacji. Dołączenie teraz waszego wprowadziłoby zbyt duże zamieszanie.

Wróciliśmy do planowania. Siły lądowe opracowały plan dezinformacji przeciwnika, który polegał na ujawnieniu rzekomych dużych przygotowań wojskowych. Wyglądało na to, że nadszedł doskonały czas na jej wykorzystanie. Pomysł polegał na stworzeniu pozorów przeniesienia dowództwa 5. Korpusu do Turcji w ramach preludium do wszczęcia wielkiego naziemnego ataku na Irak z północy.

Ale znów się spóźniliśmy. CENTCOM oznajmił nam:

- To wspaniały pomysł, ale nie możemy już go wdrożyć. Pozostałe plany są już zbyt zaawansowane.

Gdybyśmy przyszli do Schwarzkopfa wcześniej, sądzę, że przystałby na nasze rozwiązania.

Kolejne rozczarowanie nastąpiło, gdy dokonano wyboru zastępcy Jima Jamersona. Uwielbiałbym tę pracę, ale Snuffy nie chciał pozwolić mi



odejść. Mimo to zgodnie z moją sugestią stanowisko powierzono Charliemu Wilhelmowi z piechoty morskiej. Później właściwie wyszło na to, że mogłem spędzać wiele czasu w strefie odpowiedzialności zastępcy Jamersona; podobnie zresztą jak Snuffy. Miałem również sposobność spędzać sporo czasu w terenie z Dickiem Porterem i jego żołnierzami w czasie ćwiczeń bojowych jednostek poszukiwania i ratownictwa przeprowadzanych wśród ośnieżonych gór południowo-wschodniej Turcji.

Miałem też okazję na własne oczy przekonać się o działaniu lotniczego systemu wczesnego ostrzegania i kontroli powietrznej AWACS nad Mosulem i Kirkukiem w północnym Iraku, gdy bombowce B-52 i F-111 bombardowały tamtejsze lotniska. Nic nie może równać się widokowi z kokpitu, gdy bomby eksplodują, a powietrze jest przepełnione pociskami baterii obrony przeciwlotniczej.

Te misje były niezwykle interesujące i ekscytujące, ale naprawdę pouczającym doświadczeniem dla mnie było przygotowywanie się do nich - przebrnięcie przez wszystkie etapy planowania i odpraw. Ponieważ Jamerson i Potter pozwalali mi spędzać mnóstwo czasu zarówno z analitykami, jak i żołnierzami, którzy wykonywali te operacje, mogłem uzyskać drobiazgowy wgląd w to, jak przeprowadza się wojskowe kampanie lotnicze i misje specjalne.

Szczególnie fascynowała mnie złożoność prowadzenia kampanii lotniczych, które stanowiły dla mnie całkiem nowe doświadczenie. Choć organizowałem operacje sił powietrznych w znacznie mniejszym zakresie w piechocie morskiej jako dowódca pododdziałów ekspedycyjnych marines (MEU), było to moje pierwsze spotkanie z planowaniem i przeprowadzaniem misji lotniczych, wydawaniem rozkazów pilotom; w

rzeczywistości po raz pierwszy osobiście brałem udział w takiej operacji... Przyglądanie się zaś rozwojowi wydarzeń, które kontrolował mistrz taki jak Jim Jamerson, było warte roku studiów w Narodowym Uniwersytecie Wojennym. Przeszedłem przez wszystkie etapy odpraw, planowania, wykonywania zadań; zaś w czasie misji z użyciem systemu do wykrywania celów i naprowadzania pocisków byłem w sercu akcji, obserwując, jak specjaliści łączą w całość wszystkie tysiące kawałków - bojowe patrole lotnicze, parasole myśliwców, latające cysterny, bombowce.

Z czasem, kiedy byłem dowódcą CENTCOM-u przeprowadzającym ataki powietrzne przeciwko Irakowi, moje zaznajomienie się z planowaniem takich uderzeń z powietrza okazało się niezwykle przydatne. Była to spora porcja nowych przeżyć i wiedzy dla żołnierza piechoty morskiej.

W czasie wojny Irak uderzył na Izrael pociskami ziemia-ziemia systemu Scud. Ze względu na ich zasięg i potencjalną siłę rażenia (mogły przenosić głowice nuklearne, biologiczne lub chemiczne) pociski Scud mogą stanowić systemy nośne dla broni masowej zagłady. W zasadzie ich niezbyt wielka precyzja trafienia i uzasadniony strach Saddama, że użycie broni masowej zagłady mogłoby spowodować jeszcze straszliwszy odwet, ograniczało zastosowanie scudów, które używano tylko jako broń zastraszająca. Choć czyniły niezbyt wielkie zniszczenia, siały prawdziwy terror, a Izraelczycy byli wściekli. Nie trzeba wiele, żeby spowodować Izraelczyków do wszczęcia akcji odwetowych. Jak Saddam doskonale wiedział, izraelski atak odwetowy na Irak stwarzał realną szansę spowodowania rozłamu w koalicji, którą tak pieczołowicie konstruował

prezydent Bush. Chcieliśmy temu zapobiec.

Irackie scudy po raz pierwszy wystrzelono na Izrael po południu 17 stycznia. EUCOM natychmiast wysłał do Izraela amerykańską jednostkę rakiet ziemia-powietrze Patriot. Izraelska bateria zaś, która wówczas na ćwiczeniach na odległym poligonie została pospiesznie sprowadzona na miejsce i zaprzęgnięta do działania; siły te wzmocniła dodatkowa bateria holenderska. Operacja o nazwie „Obrońca Patriot” została przeprowadzona pod dowództwem znakomitego pułkownika amerykańskich sił lądowych Dave’a Heebnera (później został on generałem).

Stanowiska rakiet Patriot w Izraelu zostały następnie połączone z naszym systemem wczesnego ostrzegania, którego serce znajdowało się w Stanach Zjednoczonych. System ten był skomplikowany i najeżony trudnościami: informacje przepływały od satelitów wyławiających odpalane pociski do amerykańskiej bazy, w której specjalne analizy pomagały ustalić trajektorię lotu pocisku, potem do ośrodka dowodzenia EUCOM i wreszcie do jednostki obsługującej rakiety Patriot. W ciągu 7-8 minut baterie rakiet Patriot mogły zostać naprowadzone na nadlatujące scudy, żeby je przechwycić i zniszczyć. Kilka sekund później następowało odpalenie rakiety Patriot.

Po drugie, to były nowe systemy. W chwili gdy rakiety Patriot zostały wprowadzone, nigdy wcześniej nie używaliśmy ich w walce. Obsługa musiała nauczyć się, jak je najlepiej wykorzystywać. Popełniali błędy. Na przykład, najpierw wprowadzali je w stan, który można by nazwać „trybem automatycznym” (który jest najszybszym sposobem na posłanie rakiety w powietrze przeciwko atakującym pociskom). Ale w

trybie automatycznym niektóre z patriotów atakowały skupiska atmosferyczne, takie jak chmury. Doświadczenia wojny w Zatoce Perskiej stanowiły lekcję, która doprowadziła do wprowadzenia wielu unowocześnień i ulepszeń w całym tym systemie.

Żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, trzeba podkreślić, że Irakijczycy często strzelali swoimi scudami na znacznie większe odległości niż te, do których zostały przeznaczone. (Iraccy naukowcy dokonali prowizorycznych modyfikacji, które pozwalały im dosięgnąć Izrael z zachodniego Iraku; niektóre scudy spadły nawet nad Morzem Śródziemnym). Ale ponieważ scudy nie zostały zaprojektowane do znoszenia tak wielkich napięć, często rozpadały się na setki kawałków podczas opadania.

Kiedy pewien porucznik w wozie kontroli dostrzegł te rozpadające się pociski na ekranie swojego radaru, musiał szybko podjąć decyzję: „W co mam strzelać?” Wybierał więc jeden z kawałków w skupisku i celował w niego. Jeśli nie trafił na głowicę, to kontynuowała ona swój lot i wybuchwała gdzieś na terenie Izraela.

Wiem, z czym miała do czynienia obsługa rakiet w tych wozach. Widziałem nagrania wideo z wcześniejszych działań.

Ale to byli wyjątkowo zaradni faceci.

Z czasem, gdy analizowali te nagrania (odtwarzali je w kółko), doszli do przekonania, że jest możliwe rozpoznanie głowicy wśród skupiska szczątków pocisku. Zauważyli, że głowica kontynuowała lot z pierwotną prędkością, podczas gdy pozostałe fragmenty zwalniały. Dla niewytrenowanego oka nie było to wcale oczywiste. Różnica jest niemal nieuchwytna. Ja jej nie dostrzegałem. Ci bystrzy młodzi żołnierze potrafili

tego dokonać.

Gdy tylko zyskali tę drobną przewagę, szybko nauczyli się prawie bezbłędnie rozpoznawać głowicę i ją niszczyć. Z biegiem czasu stawali się jeszcze bardziej skuteczni.

Cały szum o niedociągnięcia rakiet Patriot nie wpłynął na izraelską opinię publiczną. Żołnierze z obsługi systemu obronnego byli dla nich bohaterami. Symbole rakiet tego systemu można było znaleźć wszędzie na znakach drogowych, zaś słowo „Patriot” stało się ulubioną nazwą dla wielu nowych produktów (widziałem nawet reklamy prezerwatyw Patriot). Teraz, kiedy izraelskie załogi stanowisk Patriot stały się ulubieńcami ludności (powiedział mi to mój izraelski oficer towarzyszący z sił powietrznych, pułkownik Romen Moshe), wszyscy w siłach powietrznych chcieli dostać się do tej jednostki, co szczególnie irytowało pilotów (którzy zawsze uważają się za elitę każdej armii).

Kolejne pouczające doświadczenie przydarzyło mi się w izraelskiej bazie wojskowej, gdzie najlepsi izraelscy specjaliści w dziedzinie broni rakietowej stworzyli coś, co nazwali „farmą scudów”. Eksperci natychmiast udawali się na miejsce uderzenie scuda, zbierali wszystkie fragmenty, które mogli znaleźć, wywozili je i następnie rekonstruowali z nich to, co mogli. (Zdumiewające, jak szybko udawało im się tego dokonać). Układali rakiety na rozległym terenie niczym ogromne trójwymiarowe puzzle i analizowali konfigurację pocisku. Istniało kilka możliwych wariantów. To, czego się w ten sposób dowiedzieli, dało im wgląd w możliwości irackich pocisków oraz pozwoliło opracować sposoby skuteczniejszego powstrzymywania ich.

W czasie wycieczki na „farmie scudów” (znajdowało się tam

również kilka zrekonstruowanych rakiet Patriot) zapoznano mnie z tym, czego dowiedzieli się specjaliści.

- Spójrz - oznajmili mi, wskazując na jakiś zestaw fragmentów scuda  
- tutaj Saddam próbował powiększyć głowicę.

Pokazując zaś inną konfigurację, powiedzieli:

- W tym przypadku próbował ulepszyć zbiornik paliwa i zwiększyć zasięg pocisku.

Irakijczycy prowadzili rozmaite programy naukowe przy wykorzystaniu dawno przestarzałych radzieckich pocisków jako podstawy do prowadzenia eksperymentów.

Ostatni pocisk, który posłali w stronę Izraela, przynosił betonową głowicę, która runęła gdzieś na pustynię na południu kraju. Wszyscy się z tego śmiali.

- Cóż, Saddam strzela ślepakami na chybił trafił. Musi być naprawdę zdesperowany. Kończą mu się głowice.

Pewien naukowiec na „farmie scudów” pokazał mi mapę na ścianie ze wszystkimi trajektoriami wystrzelonych pocisków. Wszystkie wymierzono w kierunku Tel Awiwu lub Hajfy, z wyjątkiem tego jednego. Miał on rzeczywiście dziwną trajektorię i to ich naprawdę martwiło. Późniejsze plotki głosiły, że prawdziwym celem była izraelska elektrownia atomowa. Gdyby betonowa głowica przebiła powłokę reaktora w tej elektrowni, doszłoby do straszliwej katastrofy.

W ciągu kilku dni mojego objazdu odwiedziłem wszystkie baterie rakiet Patriot, z wyjątkiem holenderskiej rozmieszczonej na wzgórzach Jerozolimy.

- Skoro tu jesteś, powinieneś odwiedzić też holenderską baterię -

zasugerował mój izraelski oficer towarzyszący.

- Jasne - odparłem. - To będzie dla mnie ważne doświadczenie.

Nigdy wcześniej nie byłem w Jerozolimie. Teraz nadarzała się sposobność nie tylko pokazać się Holendrom, ale też zwiedzić ojczyznę mojej religii.

Kiedy jednak skontaktowałem się z amerykańską ambasadą, żeby uzyskać jej przyzwolenie na tę wycieczkę, ambasador odrzucił moją prośbę. W tym czasie w Jerozolimie było sporo napięć. Palestyńczycy popierali Saddama, ambasador zaś uznał, że najlepiej będzie zminimalizować obecność Amerykanów aż do uspokojenia się sytuacji w mieście. Nie chciał tam żadnych Amerykanów, a zwłaszcza wysokich rangą wojskowych.

Kiedy powiedziałem o tym mojemu oficerowi towarzyszącemu, izraelskiemu pułkownikowi, rozsierdził się.

- Do diabła z tym - rzucił. - To tak jak stwierdzenie, że nie potrafimy zapewnić ci ochrony. To nasz kraj. Możemy zabrać cię do Jerozolimy. Jesteś z nami bezpieczny. To żaden problem.

- Nie jest to kwestia bezpieczeństwa - zaprotestowałem i najlepiej jak potrafiłem, oddałem mu stanowisko ambasadora. - To sprawa politycznej delikatności.

- Do diabła z delikatnością - wycedził podenerwowany. - To obraza dla nas.

Po czym udał się, żeby omówić sprawę ze swoimi przełożonymi, którzy zgodzili się z nim. Wszyscy chcieli, żeby Zinni odwiedził Jerozolimę. Dla nich stało się to sprawą honoru.

W tej sytuacji powiedziałem sobie: No cóż, Zinni, Izraelici są już

poirytowani i zdecydowani na atak, a ty jesteś tutaj po to, żeby poprawiać ich samopoczucie. Przez kilka ostatnich dni pracowaliśmy w pocie czoła, a ja przyjąłem na siebie niejedną cios, żeby tylko ich uspokoić, a teraz cała ta sprawa z Jerozolimą mogła wszystko zepsuć. Zrozumiałem, że muszę pojechać do Jerozolimy, ale zdawałem sobie także sprawę, że muszę zminimalizować ślady mojej obecności w mieście.

- Posłuchajcie - powiedziałem Izraelczykom. - Pojadę do Jerozolimy, ale musimy to zrobić tak, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Po prostu odwiedzimy baterię i wracamy.

- Oczywiście, to żaden problem - stwierdził mój oficer towarzyszący.  
- Wyjedziemy bez rozgłosu, odwiedzimy baterię i to wszystko.

Udaliśmy się do holenderskiej baterii 28 lutego i wszystko przebiegło bez najmniejszych komplikacji. Spotkaliśmy się z dowódcą i rozmawialiśmy z żołnierzami. Ponieważ żadne scudy nie zostały odpalone w stronę Jerozolimy, nie musieli wszczynać akcji, więc nie mieli zbyt wiele danych operacyjnych, ale było to przyjemne, przyjacielskie spotkanie. Widok ze wzgórza nad Jerozolimą zapierał dech w piersi. Pierwszy raz widziałem wówczas jerozolimskie Stare Miasto, a jego religijne i historyczne znaczenie wstrząsnęło mną do głębi.

- Zjedźmy do Starego Miasta - zaproponował pułkownik Moshe, gdy rozmawialiśmy o przeszłości Jerozolimy.

Nie, lepiej nie, pomyślałem. Już jestem tu, gdzie nie powinienem się znaleźć i lepiej nie przeciągać struny.

- Spójrz - upierał się pułkownik. - Nikogo tu nie ma. Zabiorę cię do Zachodniej Jerozolimy, do części żydowskiej. Przekonasz się, że w mieście jest pusto.



Miał rację. Panował spokój. Ludzie przebywali w domach, chowali się.

- Posłuchaj - mówił dalej Moshe. - Przejdziemy się do Starego Miasta, wejdziemy do jakiejś kawiarni, napijemy się czegoś, wszystko będzie dobrze.

I tak właśnie uczyniliśmy. Znaleźliśmy zaciszną kafejkę z zamkniętymi wszystkimi drzwiami, zatrzaśniętymi okiennicami i oknami zaklejonymi w obawie przed scudami, w której podano nam kawę.

Siedzieliśmy tam z filiżankami w dłoniach, kiedy dotarła do nas wieść o końcu wojny.

Zdawało mi się, jakby anioł przeleciał nad naszymi głowami. Niespodziewanie rozległ się jakiś hałas. Stawał się coraz głośniejszy i zanim zdążyliśmy cokolwiek uczynić, tysiące ludzi wypadło na ulice miasta z okrzykami na ustach. Wszyscy w Zachodniej Jerozolimie wylegli na ulice i zapanowała powszechna radość. Otoczył nas tłum (byłem w mundurze polowym marines). Kobiety podbiegały i całowały mnie.

- Koniec wojny! - krzyczeli wszyscy. - Irakijczycy się poddali!

Wkrótce pojawiła się jakaś ekipa telewizyjna. Usiłowałem się schować i wrócić do samochodu, ale zdało się to na nic. Kiedy dostrzegli moją generalską gwiazdkę, musieli zapytać mnie, kim jestem i co tu robię. Tłumaczyłem się najlepiej, jak umiałem, ale oczywiście w ambasadzie mieli włączone telewizory - i ujrzeli Zinniego w Jerozolimie, tam gdzie nie powinno go być.

W drodze powrotnej do Tel Awiwu dostałem telefon z ambasady. Dowiedziałem się, że mam natychmiast wracać na lotnisko i opuścić kraj. Powiadomiłem naszą załogę samolotu, pozbierałem swoje rzeczy,

pożegnałem się z żołnierzami i skierowałem na lotnisko.

Izrael to jedyny kraj, z którego zostałem kiedykolwiek wyrzucony, ale nie przychodziło mi do głowy żadne miejsce lepsze niż Jerozolima, w którym można by się znaleźć w chwili zakończenia wojny w Zatoce Perskiej.

### Operacja „Przynieść Ulgę”

Gdy dowództwo znalazło się z powrotem w Stuttgarcie, urządzono huczną uroczystość. Kiedy się zjawiłem, okazało się, że cały nasz sztab czuje się tak samo jak ja - wszyscy byli uszczęśliwieni, ale i wyczerpani. Prowadzenie zespołu anty kryzysowego i sztabu bojowego nieprzerwanie 24 godziny na dobę przez blisko rok poważnie nadwerżyło siły nas wszystkich. Wszyscy w wydziale J-3 Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie byli przemęczeni... czuli się jak żywe trupy. A jednak wciąż pozostawało wiele do zrobienia, nim mogliśmy rozwiązać sztab bojowy i zespół antykryzysowy i wrócić do normalności. Nie przestawaliśmy myśleć o takiej chwili odprężenia, ale ona stale się oddalała.

Wreszcie w piątek 5 kwietnia osiągnęliśmy punkt, w którym uznaliśmy, że możemy zakończyć pracę sztabu bojowego i zespołu antykryzysowego.

Była tylko jedna sprawa, która nie dawała nam całkowicie odetchnąć. Na granicy iracko-tureckiej rozwijała się sytuacja, która budziła zaniepokojenie (choć większość podanych tutaj informacji dotarła do nas znacznie później). Zachęceni obietnicami wsparcia wojskowego ze strony USA (wsparcia, które ostatecznie nie zostało udzielone), Kurdowie wznieśli powstanie przeciwko Saddamowi, które Saddam brutalnie stłumił. Irackie wojska zepchnęły przerażonych Kurdów w góry na granicy

z Turcją, w całej tej operacji dopuszczając się wielu mordów. Z grubsza rzecz biorąc, cała populacja Kurdów z terenów Iraku została zmuszona do exodusu; setki tysięcy uchodźców przekraczały granicę - niewielu miało ze sobą coś więcej niż odzież wierzchnią, wszyscy znajdowali się w tragicznym położeniu. Turcy (którzy mieli już wcześniej bardzo złe doświadczenia z kurdyjskimi uchodźcami i sami mieli problemy z własną populacją kurdyjską) nie pozwolili uciekinierom na zejście na dół, zaś surowe warunki panujące w górach skazywały na niemalże nieuchronną zagładę rzesze pozbawionych pomocy Kurdów.

Piątego kwietnia poinformowano nas telefonicznie, że sekretarz stanu James Baker niepokoi się losem uchodźców i chce osobiście przyjrzeć się sytuacji. (Znajdował się już wówczas w okolicy). Polecił więc do Turcji, zaś my dostarczyliśmy mu dwa helikoptery CH-53 amerykańskiej marynarki wojennej, które mogły przetransportować go do obozów, w których zgromadzono uchodźców.

Stale monitorowaliśmy rozwój tej sytuacji, ale nie zaprzętała ona jakoś specjalnie naszej uwagi.

Nieco później tego samego dnia otrzymaliśmy telefon z połączonego sztabu sił zbrojnych w Pentagonie. Otrzymaliśmy radę:

- Może powinniście utrzymać jeszcze zespół antykryzysowy na wypadek, gdyby Baker chciał podjąć jakąś akcję.

Przygotowaliśmy się więc do tego, by uruchomić ponownie zespół antykryzysowy. Ale wówczas otrzymaliśmy kolejny telefon:

- Wiecie co, zapomnijcie o tym. Sprawa nie jest aż tak ważna. Baker zawieruszył się gdzieś w tych helikopterach. A i tak raczej nic wielkiego się z tego nie urodzi.

Oznaczało to, że możemy w końcu rozwiązać zespół antykryzysowy. Snuffy Smith ogłosił:

- Pod koniec dnia pracy - normalnych godzin pracy - rozwiążemy zespół antykryzysowy.

Przemęczony sztab poczuł się, jakby trafił do nieba po dwóch latach wyczerpującej służby.

Wówczas Snuffy wziął mnie na bok.

- Zabierz Debbie - rzekł. - Ja wezmę Dotty (tak miała na imię jego żona) i jedziemy do Pietro's.

Pietro's to nazwa małej włoskiej restauracji tuż za bramą obozu, jednego z naszych ulubionych miejsc spotkań.

- Dziś wieczór urządzimy sobie wielką ucztę i schlamy się porządnie. Będziemy się dobrze bawić, świętując koniec wszelkich kryzysów.

To mi odpowiadało. Pod wieloma względami wizyta w Pietro's przypominała przepustkę z więzienia. Nie chodzi tylko o to, że ciężko pracowaliśmy. Zabezpieczenia na terenie bazy były bardzo rygorystyczne. Poza chwilami, w których spieszyliśmy do pracy, byliśmy pod kluczem - niemiecka policja wykryła terrorystów obserwujących dom generała McCarthy'ego (mieszczący się w bardzo miłej okolicy w miasteczku, gdzie Amerykanie mieszkali od dawna). Rozbudziło to poważne obawy o bezpieczeństwo amerykańskiego personelu. Organizowano także demonstracje pokojowe, zaś niektórzy z ich uczestników podejmowali próby przedostania się na teren bazy. Wynikające z tego środki ostrożności były niezbędne, ale stanowiły też dla nas obciążenie. Wszystkim oficerom wydano broń krótką kaliber 45, zaś wokół całej bazy byli rozmieszczeni wartownicy uzbrojeni w karabiny maszynowe.

Pierwszy raz od chwili wybuchu wojny mieliśmy opuścić bazę i spędzić trochę czasu na zabawie (choć i tak musieliśmy zdawać wartownikom sprawę z miejsca naszego pobytu poza bazą).

Pietro, właściciel lokalu, i wszyscy goście znajdujący się w restauracji byli zachwyceni naszą obecnością. Minęło wiele czasu. Wszyscy śmiali się i panowała doskonała atmosfera. Zjawili się gitarzyści, a my śpiewaliśmy razem z nimi. Urządzono wspaniałą włoską biesiadę. Wypiliśmy ze Snuffym sporo wina i bawiliśmy się naprawdę świetnie.

Niespodziewanie drzwi otworzyły się na oścież i do środka wpadł pułkownik kierujący naszym centrum dowodzenia.

- Muszą panowie natychmiast wracać do bazy - oznajmił. - Dyrektor operacyjny w sztabie połączonych sił zbrojnych chce z panami niezwłocznie porozmawiać. Wygląda na to, że trzeba rozpocząć operację tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Jasna cholera - rzuciłem pod nosem. Był środek nocy, a my zapomnieliśmy o wszystkich problemach; ale musieliśmy przerwać zabawę. Zabraliśmy nasze żony i pospieszyliśmy do centrum dowodzenia.

Kiedy zadzwoniliśmy do dyrektora do spraw operacji, dowiedzieliśmy się, że sekretarz Baker spędził cały dzień na obserwacji kurdyjskich uchodźców i jest poruszony tym, co widział. Sytuacja uchodźców przerodziła się w straszliwą katastrofę. Dziesiątki tysięcy ludzi tłoczyły się w prowizorycznych obozowiskach, zaś setki tysięcy kolejnych przemieszczały się w górach. Co gorsza, kurdyjskie władze wskazywały palcem na George'a Busha jako tego, który zachęcił ich naród do powstania. Administracja Busha i tak już musiała spodziewać się surowej krytyki. Trzeba było coś z tym szybko zrobić, żeby sprawy nie przybrały

jeszcze gorszego obrotu.

Otrzymaliśmy rozkazy sprowadzenia środków pomocy dla uchodźców na miejsce w ciągu 36 godzin.

Zadanie to zdawało się niemożliwe do wykonania, jeśli brało się pod uwagę odległe regiony, w których wycieńczeni ludzie zostali stłoczeni, a także brak odpowiednich sił na pozycjach, żeby zareagować tak błyskawicznie. Ale bezzwłocznie zaczęliśmy rozgryzać ten problem.

Pierwszym ruchem, jaki wykonaliśmy, było powiadomienie Jima Jamerso-na z Sił Powietrznych USA w Europie o naszych problemach. Jego ludzie musieli błyskawicznie opracować plan organizacji mostu powietrznego dla przetransportowania pomocy humanitarnej. Jamerson, który dopiero co zakończył dowodzenie operacją „Sprawdzona Siła” w południowo-wschodniej Turcji, natychmiast zaczął zbierać swoje oddziały, żeby przemieścić je z powrotem na pozycje i przeprowadzić zrzuty lotnicze dla uchodźców. Misja miała przebiegać bardzo podobnie jak operacja „Sprawdzona Siła”. Choć nowa misja była nieco odmienna i musiał w niej użyć innych samolotów, cała struktura działania i sztab kontroli przebiegu operacji zostały takie same. Zaś znajomość obszaru działań była ogromnym plusem. „Będziemy potrzebowali samolotów C-130 i helikopterów do przewiezienia sprzętu i musimy im dać eskortę. Skąd to wszystko wytrzaśniemy? Czy znajdziemy wystarczająco wielu układaczy spadochronów? Gdzie mamy zdobyć żywność?” Spędziliśmy całą noc, usiłując odpowiedzieć na tego rodzaju pytania, a jednocześnie stawialiśmy ponownie na nogi cały zespół antykryzysowy.

W środku tego całego zamieszania Snuffy stwierdził:

- Musimy zadzwonić do GaWina i powiedzieć mu, co robimy.

- Tak jest - odrzekłem.

Wówczas Snuffy spojrzał na mnie przenikliwie.

- Powiedz coś do mnie - rzucił.

- O co ci chodzi?

- No dalej, po prostu powiedz coś do mnie.

Powiedziałem mu więc kilka zdań.

- Chyba jesteś bardziej trzeźwy - zaśmiał się. - Sam zadzwoń do Galvina.

Zadzwoniłem więc do generała Galvina i opowiedziałem mu, co się dzieje.

Nazajutrz, w sobotę 6 kwietnia, po szybkiej akcji koordynacji wysiłków z rządem tureckim Jim Jamerson przeniósł oddziały swoich Sił Powietrznych USA w Europie do baz w Turcji. W niedzielę maszyny transportowe amerykańskich sił powietrznych pod obstawą naszych myśliwców dokonały zrzutu lotniczego 37 ton zapasów dla obozowisk namiotowych w ośnieżonych górach.

Tak naprawdę chyba nikt nie wierzył, że uda się tego dokonać w 36 godzin. Ale zmobilizowaliśmy się, daliśmy radę i nawet w nieco krótszym czasie przeprowadziliśmy pierwsze zrzuty na miejscu dzięki Jimowi Jamersonowi i całemu zespołowi jego Sił Powietrznych USA w Europie.

W poniedziałek byliśmy gotowi do tego, by przyjrzeć się bardziej długoterminowym potrzebom tej misji. Początkowo wyglądało na to, że cała misja będzie wymagała mniej więcej 10 dni zrzutów lotniczych ze środkami pomocy, jednak bardzo szybko zorientowaliśmy się, że problem jest znacznie poważniejszy.

W pierwszych dniach doszliśmy do wniosku, że uwzględniając siły,

jakimi dysponowaliśmy, moglibyśmy rozszerzyć oryginalny plan i zapewnić 30-dniową pomoc humanitarną, podczas gdy pracowaliśmy nad lepszymi sposobami uporania się z tą sytuacją i wreszcie znaleźliśmy bardziej długoterminowe rozwiązanie. Układacze spadochronów ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych zostali skierowani do bazy lotniczej w Incirlik w Turcji, aby włączyć się do wielkiej operacji pakowania zapasów żywności przeznaczonych do zrzutów. Dwa helikoptery CH-53 amerykańskiej marynarki wojennej, które wcześniej przewoziły Bakera, otrzymały rozkaz pozostania na miejscu w celu wsparcia transportu zaopatrzenia.

Tymczasem Dick Potter został wysłany do Turcji wraz ze swoim sztabem, żeby uformować komponent operacji specjalnych. Potter dowodził połączoną grupą bojową operacji specjalnych w ramach wcześniejszej operacji „Sprawdzona Siła”. Teraz jego misja polegała na dostaniu się w góry, dokonaniu rozpoznania, a następnie wprowadzeniu swoich oddziałów sił specjalnych do obozów dla uchodźców, gdzie żołnierze mogliby zająć się rozdzielaniem zaopatrzenia.

Gdy jego operacja była już w toku, my zaczęliśmy planować bardziej solidną reakcję na zaistniałą sytuację.

Co powinniśmy jeszcze zrobić? Czego potrzebujemy? Nie mieliśmy doświadczenia w sprawach związanych z uchodźcami i pomocą humanitarną. Były to dla nas całkiem nowe problemy. Jak przeprowadzić wielką operację pomocy humanitarnej? Już wówczas organizacje pozarządowe zaczynały kierować swoich przedstawicieli w ten obszar. Jak mamy ich traktować? Najwyraźniej ktoś z dowództwa powinien udać się do Turcji, żeby trzymać rękę na pulsie. Kto powinien pojechać?



Wiedzieliśmy, że musimy posłać więcej ludzi do Jima Jamersona. Zdawaliśmy sobie również sprawę, że nie jest to typowa operacja lotnicza. Z pewnością szybko się rozrośnie. Natomiast Jamerson i jego ludzie byli przeznaczeni wyłącznie do operacji lotniczych. Mogli oni nie poradzić sobie z tym wszystkim, co mieliśmy przesłać na miejsce. Potrzebowaliśmy całego, dobrze rozwiniętego połączonego centrum operacyjnego zdolnego uporać się także z siłami naziemnymi, pomocą humanitarną, logistyką, kontaktami z Organizacją Narodów Zjednoczonych, organizacjami pozarządowymi, Turkami i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Wiedzieliśmy, jak stworzyć takie połączone centrum operacyjne, ale nigdy nie robiliśmy czegoś podobnego do tego, co powstać miało teraz.

Sporządziliśmy cały plan w mgnieniu oka, starając się improwizować przy tej niezwyklej misji, kiedy nagle ktoś się zjawił i oświadczył:

- Sir, są tutaj dwaj kapitanowie sił lądowych USA. Mówią, że muszą się z panem spotkać.

Byliśmy zbyt zajęci całym tym zmaganiem się z zadaniem humanitarnej pomocy, byśmy mieli czas na wysłuchanie kapitanów wojsk lądowych.

- Teraz nie mogę się z nimi spotkać - rzuciłem. - Może później.

Wreszcie, po upływie kilku godzin, zrobiłem sobie przerwę i udałem się w miejsce, w którym mieli na mnie czekać. Wydawali się bystrzy, pełni zapału i entuzjazmu. To dobry znak.

- Sir, jesteście kapitanowie Hess i Elmo - przedstawili się. - Jesteśmy ze sztabu do spraw kontaktów z ludnością cywilną z Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie.

- Okej - rzuciłem. - Z czym przychodzicie?

- Sir, wiemy, co należy robić w sytuacjach wymagających pomocy humanitarnej.

- To świetnie - mruknąłem pod nosem. Nie wydawało mi się, by ktokolwiek na całym świecie wiedział, jak można pomóc w tej sytuacji. To była dla nas absolutna nowość. Ale na wszelki wypadek nie zamierzałem też odesłać ich od razu. Poza tym spodobał mi się ich entuzjazm. - Niestety nie mam czasu na długą rozmowę - podkreśliłem.

- Sir, naprawdę musi nas pan przyjąć - naciskali. - Powinien pan wysłuchać tego, co mamy do powiedzenia.

- W porządku - zgodziłem się wreszcie, czując, że moja przerwa w pracy przeciągnęła się za bardzo i że muszę wracać do centrum operacyjnego - ale dajcie mi minutę.

Później znalazłem trochę dłuższą chwilę i mogłem dać posłuch kapitanom. Gdy tylko zaczęli opowiadać, co byli w stanie zrobić, uprzytomniłem sobie, że naprawdę mają do zaoferowania coś godnego uwagi - większość odpowiedzi na pytania, które nie dawały nam spokoju od dłuższego czasu. Znali praktyczne rozwiązania wszystkich operacji, jakie próbowaliśmy sami zaplanować. Widzieli wszystko, co niezbędne, w kwestii żywności, organizacji obozu, zakwaterowania; wiedzieli, jak utworzyć punkty pomocy medycznej; wiedzieli, jak założyć połączone ośrodki operacyjne wojskowo-cywilne; wiedzieli, jak radzić sobie z organizacjami pozarządowymi i przedstawicielami ONZ; wiedzieli, jak traktować uchodźców; po prostu wiedzieli, jak to wszystko zorganizować i tym kierować.

- Musicie opowiedzieć wszystko admirałowi Smithowi -

stwierdziłem.

Ale kiedy poszedłem do Snuffy'ego, zrzucił wszystko na mnie.

- Nie mam czasu dla tych facetów. Może później. Pogadam z nimi później - rzekł.

- Nie, sir - zaprotestowałem. - Musisz ich wysłuchać teraz. Oni mają wszystkie odpowiedzi.

- Dobra, sprowadź ich - przystał na to z wyraźnym sceptycyzmem. Jednak to wahanie nie trwało zbyt długo.

- Gdzie wy u diabła byliście wcześniej? - powiedział po rozmowie z nimi.

Oprowadziliśmy ich wszędzie i do końca dnia (poniedziałek) mieliśmy gotowy plan. Z czasem zabraliśmy ich do Turcji, gdzie okazali się niezastąpieni przy prowadzeniu i rozwijaniu całej operacji.

Z pomocą kapitanów Hessa i Elmo stworzyliśmy połączoną grupę operacyjną w celu przeprowadzenia operacji Jima Jamersona. Jej pierwotnym priorytetem była stabilizacja położenia uchodźców w górskich obozach. Późnym popołudniem w poniedziałek podjęto decyzję o wysłaniu mnie do Turcji w funkcji zastępcy Jamersona. Ponieważ byłem mocno zaangażowany w planowanie działań, uznano, że lepiej niż ktokolwiek inny będę nadawał się do zorganizowania połączonej grupy operacyjnej, a następnie do ocenienia, jak to wszystko się sprawdza.

- Jedziesz tam tylko na tydzień, może 10 dni - oznajmił mi Snuffy. - Poczekasz, aż to wszystko stanie na nogi, dokonasz oceny sytuacji, przekonasz się, co jest jeszcze potrzebne, i wracasz tutaj.

Następnego dnia poleciałem do Turcji.

Wróciłem po siedmiu miesiącach.

Cała misja otrzymała nazwę operacji „Przynieść Ulgę”.

Moim pierwszym priorytetowym zajęciem jako zastępcy Jamersona było ustanowienie w Incirlik wspólnego centrum operacyjnego połączonych sił zbrojnych, które zastąpiło wcześniejsze dowództwo, zdominowane przez siły powietrzne.

Sprowadziłem ze sobą grupę niezastąpionych ludzi ze sztabu J-3, którzy weszli w skład personelu wspólnego centrum operacyjnego. Zajęli się wszystkimi niezbędnymi podstawowymi sprawami - łącznością, systemami wewnętrznymi, planowaniem; rozpoczęli też ocenę przyszłych potrzeb.

Moim kolejnym priorytetowym zajęciem było skontaktowanie się z Dickiem Porterem, który dopiero co zaczął działać w terenie, i sprawdzenie, jak sobie radzi.

Moja pierwsza wizyta w obozach dla uchodźców w jednym ze śmigłowców MH-53 Pottera była prawdziwym szokiem. W zasadzie nazwanie „obozami” 43 miejsc, w których zostali stłoczeni ci ludzie, stanowiło nadużycie. Mielśmy tam ponad 500 000 Kurdów rozlokowanych na mroźnych, nagich wzniesieniach - na twarzach ich wszystkich malowała się rozpacz. Większość miała ze sobą niewiele rzeczy, które mogłyby pomóc im przetrwać w ośnieżonych górach. Wielu było mieszkańcami miast i wiosek, którzy nie mieli żadnego doświadczenia dotyczącego przetrwania w tak trudnych warunkach. Nikt nie miał wystarczającej ilości odzieży, by się ogrzać, wszyscy trzęśli się nie tylko z zimna, ale i z głodu. Rozpaczliwie potrzebowali jedzenia. Dzieci umierały. Matki same wykopywały małe groby.

Gdy nasze dwa helikoptery CH-53 dokonały dwóch pierwszych

transportów żywności do obozów, natychmiast zostały otoczone chmurą spanikowanych matek, wrzucających w rozpacz własne małe dzieci na pokład obu maszyn. (Kurdowie byli wyjątkowo płodni. Dowiedzieliśmy się z czasem, że 70 procent kurdyjskich kobiet w wieku rozrodczym było w ciąży. Wysoka też była śmiertelność noworodków).

Bestialskie ataki i mordy dokonywane przez żołnierzy Saddama po drodze dodatkowo zwiększały tę traumę.

Tureckie wojsko robiło, co mogło, żeby zapewnić porządek i bezpieczeństwo (trzeba im to przyznać), a ponadto dostarczało żywność, środki medyczne czy namioty, ale w ilości zdecydowanie niewystarczającej na to, aby pokryć minimalne potrzeby uchodźców. Co ważniejsze, Turcy upierali się, żeby iraccy Kurdowie pozostawali w pobliżu granicy (mimo iż wskutek tego wielu umierało, nie mogąc znieść surowych warunków), a nawet siłą powstrzymywali ich przed zejściem z gór dalej w głąb Turcji. W oczach Turków uchodźcy stanowili problem iracki, nie turecki... Nie chcieli oni, żeby iraccy Kurdowie spowodowali pogłębienie już istniejących problemów, które władze tureckie miały z własną kurdyjską populacją\*[\* Południowo-wschodnia część Turcji w dużej mierze jest zajęta przez Kurdów, zaś znacząca część owej kurdyjskiej większości etnicznej w Turcji żąda zjednoczenia się z podobnymi populacjami z terenu Iranu, Iraku i Syrii poprzez utworzenie jednego państwa kurdyjskiego - Kurdystanu. W Turcji Kurdowie często dawali wyraz swoim separatystycznym tendencjom poprzez wzniesienie powstań i organizowanie zamachów terrorystycznych.].

Dick Potter dość szybko zorientował się, z jak wielką potencjalną katastrofą humanitarną mieliśmy do czynienia. Początkowo stawił się na

miejscu z jednym tylko batalionem z 10. Ugrupowania Sił Specjalnych dowodzonego przez pułkownika Billa Tangeya\*[\* Tangey, jako generał broni, został później dowódcą Dowództwa Operacji Specjalnych Sił Lądowych USA.], jednak już na początku pierwszego tygodnia pobytu poprosił, żeby całe 10. Ugrupowanie (dwa dodatkowe bataliony) zostało przysłane do obozów w celu ustabilizowania sytuacji. Jego prośbę spełniono natychmiast i reszta ugrupowania zaczęła docierać na miejsce pod koniec tego tygodnia. Ten ruch ocalił dziesiątki tysięcy ludzkich istnień. Choć ponad 10 000 osób zginęło w czasie ucieczki z Iraku i potem w górskich obozach, liczba ta byłaby znacznie wyższa, gdyby pomocy nie udzielono im tak szybko. Starania 10. Ugrupowania Sił Specjalnych stanowiły najbardziej znaczący wkład w to osiągnięcie\*[\* Historię tę szerzej opisuje Tom Clancy w książce Wojownicy cienia, w rozdziale 14: Oblicze przyszłości.].

Moim kolejnym niecierpiącym zwłoki, priorytetowym zadaniem było dowiedzenie się możliwie najwięcej o tych ludziach. Przed tą operacją nigdy nie słyszałem o Kurdach. Na szczęście oficer wywiadu z sił lądowych USA Nelgun Nesbit, która dorastała w Turcji, zanim emigrowała do Stanów Zjednoczonych, była w stanie zaradzić mojej ignorancji. Nesbit od początku tej misji towarzyszyła nam cały czas, udzielając fachowych porad. Jej znajomość języka i wiedza o Kurdach okazały się nieocenione. Nell dostarczała nam dużej części informacji, na których opieraliśmy nasze planowanie. (Z czasem awansowała do rangi pułkownika w amerykańskich siłach lądowych).

Nell była asertywną, pewną siebie kobietą. Nie była ślepo posłuszna odgórnym dyrektywom, co nierzadko irytowało tradycjonalistów, ale ją

polubiłem. Wiedziała, o co jej chodzi i jak to osiągnąć.

Często podkreślała, że nie rozumiemy, jak działa system społeczny Kurdów. W konsekwencji usiłowaliśmy skomunikować się z nimi w sposób, który nie odpowiadał ich kulturze - wybieraliśmy niewłaściwych ludzi do tych kontaktów (z faktu tego zaczynałem już sobie sam zdawać sprawę).

W obozach początkowo próbowaliśmy porozumieć się z ludźmi, z którymi zazwyczaj odbywają się tego rodzaju kontakty - z tymi, którzy znali język angielski, z lekarzami, prawnikami, nauczycielami, osobami wyedukowanymi na Zachodzie. Wiele takich osób przychodziło do nas i przypochebiało się nam, ale raczej nic z tego nie wychodziło. Wówczas zwróciliśmy się ku politycznym przywódcom - burmistrzom, lokalnym urzędnikom. Wciąż nie osiągnęliśmy żadnego pozytywnego skutku.

Nell Nesbit dała nam jasno do zrozumienia, że powinniśmy zapomnieć o wszystkich ludziach zaznajomionych z kulturą Zachodu i zwrócić się do wodzów plemiennych (Kurdowie należą do społeczności plemiennych), zrozumieć, jak są zorganizowane ich plemiona.

Przyprowadziła do nas pewnego kurdyjskiego nauczyciela, który potrafił odpowiedzieć na wszystkie moje pytania o społeczną strukturę i system podejmowania decyzji. Przedstawił mi on całą społeczną i polityczną strukturę kurdyjską: jak Kurdowie współdziałają, kto podejmuje decyzje w ich społeczności. Były to dla nas niezwykle istotne kwestie, jako że staraliśmy się ustalić, kim są rzeczywiści przywódcy w obozach.

Wśród Kurdów istniały dwie główne frakcje polityczne. Jedną była Kurdyjska Partia Demokratyczna (KDP) pod przywództwem Masuda Al-

Barzaniego (syna legendarnego bojownika z ruchu oporu), drugą natomiast była Patriotyczna Unia Kurdystanu (PUK) pod przewodnictwem Jalala Talabaniego, który wcześniej oderwał się od ugrupowania Al-Barzaniego, żeby utworzyć własną frakcję. Obie partie miały plemienną, polityczną i geograficzną bazę. DPK - silniejsza z nich - dominowała na zachodzie, podczas gdy PUK miała większe wpływy na wschodzie\*[\* Obaj przywódcy prowadzili poważne negocjacje z Saddamem w czasie naszej operacji humanitarnej. W pewnym momencie Al-Barzani poprosił o radę na temat tego, jakiego wsparcia ze strony USA może się spodziewać w takich układach. Nigdy nie uzyskał od nas odpowiedzi - w moim mniemaniu było to niewykorzystanie ważnej możliwości.].

Obie partie miały własne bojówki i rywalizowały ze sobą - niekiedy prowadząc brutalne starcia - przez długie lata. Jednak zdołały zdobyć się na współpracę w czasie operacji „Przynieść Ulgę”.

Kurdyjscy bojownicy (członkowie bojówek obu partii) byli nazywani Pesh-merga, czyli „ci, którzy mierzą się ze śmiercią”. Byli to twardzi, zaprawieni w bojach partyzanci, którzy okazali się godnym przeciwnikiem dla żołnierzy Saddama, gdy walczyli w starciach równych sił, ale nie mieli żadnych szans w walkach przeciwko artylerii, lotnictwu czy broni gazowej, które Saddam wykorzystywał przeciwko nim przez wiele lat, żeby złamać ich opór.

W obozach oprócz Kurdów znaleźliśmy również inne grupy ludnościowe - Turkomanów, asyryjskich chrześcijan, Chaldejczyków, a nawet Arabów z Iraku - wszyscy oni uciekali przed bestialskim reżimem Saddama. Niektórzy byli nawet zbiegami z szeregów jego rządu i sztabu



osobistego.

W pierwszym tygodniu działań tak naprawdę działaliśmy niemalże po omacku. Potter i jego zielone berety zajęli się oceną tego, co należy zrobić w pierwszej kolejności w obozach. Usiłowaliśmy nawiązać kontakt z Turkami. Organizacje pozarządowe próbowały dotrzeć z dostawami środków medycznych. Swoje grupy operacyjne zaczął przysyłać także ONZ. Musieliśmy stworzyć jakieś procedury współpracy z tymi wszystkimi stronami. Pospiesznie organizowaliśmy wojskowo-cywilne centrum operacyjne. I do końca tygodnia zdołaliśmy jakoś nad tym wszystkim zapanować, i działaliśmy całkiem sprawnie.

Gdy pracowaliśmy nad stabilizacją sytuacji uciekinierów w górach, generał Galvin i inni zabiegali o szersze wsparcie ze strony NATO i społeczności międzynarodowej. Wkrótce dotarły do nas propozycje przesłania nam jednostek medycznych, transportowych i bojowych.

W okresie od kwietnia do czerwca dostarczyliśmy 17 000 ton zaopatrzenia do obozów, podczas gdy ludzie Dicka Pottera zapanowali nad całym tym chaosem. Zorganizowali życie w obozach i położyli kres trwającej tam walce o przetrwanie, w której uprzywilejowani byli najsilniejsi.

Z biegiem czasu zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że zrzuty z samolotów nie były najskuteczniejszym sposobem dostarczania zaopatrzenia do obozów. Zrzuty takie mogły zapewnić szybką dostawę najbardziej pilnych zasobów do odciętych od świata miejsc, jednak były wysoce nieefektywne i bardzo kosztowne. Paczki były rozrzucane na terenie całych gór, my zaś nie byliśmy w stanie kontrolować ich dystrybucji na ziemi.

Wiedzieliśmy, że musimy w coraz większym stopniu przestawiać się na dostawy z helikopterów, a w końcu z wykorzystaniem transportu naziemnego. Ale łatwiej było o tym mówić, niż tego dokonać. Sieć dróg w górach praktycznie nie istniała. Zdarzyło się wiele wypadków, w których ginęli ludzie. Przed przestawieniem się z dostaw lotniczych na naziemne musieliśmy więc poprawić stan tych dróg i zgromadzić uchodźców w bardziej dostępnych miejscach.

Pod koniec kwietnia ambasador Abramowitz poradził nam zakontraktować dostawy tureckiej żywności, namiotów i środków transportu. To była mądra rada. Zmiana taka redukowała koszty o 4/5 - to była ogromna oszczędność. Turecka żywność bardziej odpowiadała normalnej diecie uchodźców (wcale nie lubili stosunkowo drogich, gotowych posiłków wojskowych, które im dawaliśmy). Zamiast wojskowych namiotów, których dotychczas byliśmy zmuszeni używać w obozach (one również były kosztowne i wciąż ich nam brakowało), mogliśmy zamówić usługi tureckich producentów namiotów, którzy przy użyciu brezentu i innych łatwych w zastosowaniu materiałów skonstruowali dość tanio bardzo przydatne schronienia. Kilka tysięcy tureckich kierowców ciężarówek, którzy stracili pracę z powodu sankcji przeciwko Irakowi (większość z nich wcześniej prowadziła cysterny z benzyną), zdjęło wielkie zbiorniki paliwa ze swoich cystern i przekształciło je w ciężarówki z otwartymi platformami. Następnie kierowcy ci zabrali się do tego, co potrafili najlepiej - nawigowanie ciężkimi wozami po zdradzieckich i niebezpiecznych górskich drogach. Wszystko to stało się wielkim zastrzykiem dla tureckiej ekonomii - srodze dotkniętej przerwaniem kontaktów handlowych z Irakiem - co zachęcało

Turków do wsparcia wszystkich naszych programów.

Ambasada wysłała do nas znakomitą grupę łącznikową kierowaną przez Marca Grossmana, zastępcę szefa misji. Trafne rady tych ludzi i ich koordynacja naszych działań okazały się bezcenne.

Zima coraz wyraźniej ustępowała przed wiosną i śniegi topniały, ale nasze problemy wcale nie znikwały. Choć zaopatrzyliśmy uchodźców w żywność i schronienia, letnie temperatury sięgające 50 stopni Celsjusza w tym obszarze mogły doprowadzić do gwałtownego rozwoju chorób zakaźnych i braków wody pitnej. Słaba i zestresowana populacja uchodźców-ścieśniona na niewielkiej powierzchni, pijąca już zanieczyszczoną wodę, w której się również kąpała i do której trafiały odchody - była niezwykle podatna na choroby. Z pewnością też zaczęliśmy rozpoznawać przypadki cholery, dyzenterii i innych chorób zakaźnych\*[\* Z pomocą przybyły do nas zespoły medyczne z CDC - Ośrodka Zwalczenia Chorób Zakaźnych w Atlancie.]

Niektórzy Kurdowie pochodzący z miast nie mieli pojęcia o podstawowych zasadach sanitarnych, takich jak ta, iż nie załatwiasz się w górze do strumienia, a następnie nie pijesz wody w dole strumienia. Oddziały sił specjalnych uratowały tysiące istnień tylko dzięki temu, że wpajały ludziom wiedzę o przestrzeganiu odpowiednich zasad higieny.

Zniknięcie pokrywy śnieżnej oznaczało również zniknięcie większości naszych zapasów wody. Stało się jasne, że wkrótce zabraknie nam wody w górach - a to była już naprawdę groźna sytuacja. Istniało tylko jedno rozwiązanie problemów z wodą i katastrofalnymi warunkami sanitarnymi. Musieliśmy sprowadzić uchodźców z gór. Nie mogliśmy ich tam dłużej zatrzymywać. Ponieważ było oczywiste, że nie uzyskają

pozwolenia na wkroczenie głębiej na terytorium Turcji, pozostawał tylko jeden kierunek bezpiecznego zejścia z gór - powrót na południe.

Pierwotny plan, który opracowaliśmy z generałem McCarthym, polegał na dokonaniu najazdu na jakąś dolinę w północnym Iraku i założeniu tam wielkiego obozu dla uchodźców kurdyjskich.

W tym czasie Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców powołał biura łącznikowe z naszą połączoną grupą operacyjną. Ponieważ ludzie ci mają doświadczenie w radzeniu sobie z uchodźcami, okazali się ogromnie pomocni. Od razu ostudzili nasze zapędy, podważając pomysł założenia wielkich obozów dla uchodźców.

- Nie budujcie ich - ostrzegli. - Staną się bezczynni i będziecie je prowadzić przez długie lata. Ci ludzie muszą wrócić do domów. Jeśli musicie stworzyć obozy, niech panują w nich surowe warunki. Muszą one służyć wyłącznie jako obiekty przejściowe.

Ponieważ Waszyngton nie zdradzał jeszcze gotowości do podjęcia politycznej decyzji o zajęciu północnego Iraku, zaczęliśmy formować kilka obozów jako półśrodki, pracując jednocześnie nad planami trwalszego rozwiązania.

Po stuleciach ucisku Kurdowie nauczyli się metod przetrwania i zachowania stoickiego spokoju w obliczu cierpienia i nędzy. Ale obawiając się Saddama, nie godzili się na opuszczenie pozornie bezpiecznej siedziby za turecką granicą i zejścia do nowych obozów na terenie Iraku. Nakręciliśmy specjalne filmy i pokazaliśmy kurdyjskim przywódcom, jak bardzo podnieśliśmy jakość życia i bezpieczeństwo w nowych obozach. Ale wciąż się opierali.

Dopiero po upartych perswazjach przekonaliśmy ich, by wysłali w

dolinę delegację, mającą sprawdzić stan postawionych przez nas obiektów.

Nie spodobało im się to, co ujrzeli. Zbudowaliśmy te obozy jak typowe bazy wojskowe - wszystko było wyrównane, rozlokowane precyzyjnie w układzie szachownicowym.

- Nie możemy tak żyć - stwierdzili. Ich społeczności miały inną strukturę, odbiegającą od „prostego” militarnego porządku. - Tworzymy nasze społeczności wokół ślepych zaułków. Lubimy mieć grupy kilku rodzin oddzielone nieco od pozostałych, skupione razem.

Uparli się więc, żeby przebudować obozy, tak żeby lepiej odzwierciedlały ich strukturę społeczną. Chcieli też wziąć udział w tej przebudowie. To był niezły pomysł. Nie tylko stwarzało to dla nich środowisko, w którym czuli się dobrze, ale pozwalało im również włączyć się w cały proces pomocy humanitarnej. Równocześnie dotarło do nas, że ONZ miało słuszość w kwestii obozów. Nie mogły one służyć za rozwiązanie długoterminowe.

Wpadliśmy więc na inny pomysł:

- W porządku, możemy przesunąć nieco nasze siły i zająć część północnego Iraku. Przynajmniej będziemy mogli zebrać część ludności w obozach, a część w ich wioskach.

W kilku etapach zajęliśmy więc północną część kurdyjskich obszarów Iraku, docierając do stolicy prowincji Pohuk (60 kilometrów na południe od tureckiej granicy) i rozciągając nasze pozycje w kierunku Iranu. (Za granicą Iranu znajdowały się tysiące kurdyjskich uchodźców, którymi opiekowali się Irańczycy. Ci uchodźcy także pragnęli wrócić do domów).

Jednak ONZ upierało się przy swoim:

- Jeśli stwierdziliście, że chcecie trochę zająć w ciężę, to zdecydujcie się już na całkowite zajęcie w ciężę. Zabierzcie ich wszystkich do domów.

Znow mieli rację; a my zaczęliśmy się zastanawiać, czego nam będzie potrzeba, żeby ich tam doprowadzić.

Gdy została już podjęta decyzja o wkroczeniu do Iraku, wiedzieliśmy, że będziemy potrzebować posiłków. Musieliśmy też zmodyfikować naszą organizację w taki sposób, by objąć te nowe, dodatkowe siły i móc nadal koordynować nasze działania z ONZ i organizacjami pozarządowymi, misjami humanitarnymi i służbami bezpieczeństwa z innych państw, a także agencjami rządu amerykańskiego, które przyłączyły się do całej operacji pomocy uchodźcom.

Połączona Grupa Operacyjna (QTF) stała się Zjednoczoną Grupą Operacyjną (CTF), która objęła jednostki z 12 innych państw (w tym Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii i Włoch). Generał broni John Shalikastwilli (zastępca generała Santa w Dowództwie Europejskim Armii USA, a później czterogwiazdkowy generał, przewodniczący Komitetu Szefów Połączonych Sztabów) został wysłany do dowodzenia zjednoczoną grupą operacyjną; Jim Jamerson został jego zastępcą; ja zaś przeszedłem na stanowisko szefa sztabu. Shali (jak go wszyscy nazywali) dowodził do czerwca. Potem Jim i ja wróciliśmy do początkowych funkcji.

Podległa łączona grupa operacyjna (QTF Alpha) pod dowództwem Dicka Pottera była odpowiedzialna za pilnowanie uchodźców w obozach górskich i sprowadzenie ich z powrotem do Iraku. Kolejna łączona grupa operacyjna (QTF Bravo) została utworzona pod dowództwem generała dywizji Jaya Garnera z sił lądowych USA. Miała ona za zadanie

wkroczyć do Iraku i opanować tak zwaną strefę bezpieczeństwa, którą wyznaczyliśmy. Komponent sił powietrznych znajdował się pod dowództwem generała brygady Jima Hobsona. Dowództwem do Spraw Cywilnych kierował generał brygady Don Campbell; zaś Dowództwem Połączonego Wsparcia w zakresie logistyki kierował generał brygady Hal Burch. Powołaliśmy również Centrum Koordynacji Wojskowej pod dowództwem pułkownika Dicka Nabba w celu utrzymywania bliskiej współpracy z Kurdami i Irakijczykami. Istniała też Grupa Pomocnicza Usuwania Skutków Katastrof (DART) prowadzona przez Daytona Maxwella\*[\* DART działająca w ramach amerykańskiego Biura Zagranicznej Pomocy dla Ofiar Katastrof - OFDA - to cywilna agencja, której misja polega na ocenie zakresu i kontroli akcji pomocy humanitarnej poza granicami USA. Agencja wysyła grupy specjalistów, żeby dokonały ocen sytuacji na miejscu. Koordynują one działania z innymi agencjami rządowymi i cywilnymi kontraktorami. Dayton Maxwell był starszym specjalistą w OFDA.] oraz pracowało z nami ponad 60 organizacji pozarządowych oraz prywatnych organizacji zrzeszających wolontariuszy.

Wkład wojsk sprzymierzonych w operację „Przynieść Ulgę” był ogromny. Francuzi pod dowództwem generała dywizji l’Aaurice’a LePage’a, znakomitego francuskiego komandosa, sprowadzili mobilne grupy bojowe, które oczyszczały szlaki wiodące z górskich obozów do irackich dolin. Brytyjska Królewska Piechota Morska pod dowództwem generała Robina Rossa, której oddziały właśnie wróciły z Irlandii Północnej, stanowiła wyśmienite siły wspomagające pierwsze wkraczanie do miast strefy bezpieczeństwa. Włosi pod dowództwem generała broni

Mario Buscemiego zapewnili wysokiej klasy służbę szpitalną. Duże brygady składające się z Francuzów, Brytyjczyków, Włochów i Hiszpanów umożliwiły nam przydzielenie im poszczególnych sektorów w strefie bezpieczeństwa. Generał Shali dowodził tą koalicją genialnie, choć zawarł nieliczne (jeśli w ogóle jakieś) pisemne porozumienia.

Złożyliśmy w jedną całość i puściliśmy w ruch całą tę wysoce nowoczesną i wciąż zmieniającą się strukturę organizacyjną. Choć niektóre z jej komponentów po raz pierwszy występowały w takiej konfiguracji, wszystkie stanęły na wysokości zadania. Niezależnie od tego wielu oficerów starszej daty przyjmowało to nowoczesne rozwiązanie z oporami. Doprowadziło mnie to do przekonania, że niekonwencjonalne operacje, takie jak nasza, są najlepiej prowadzone przez młodszych, otwartych na innowacje oficerów, potrafiących swoim myśleniem wykraczać poza unormowane, sztywne doktryny wojenne, w których wychowywali się oficerowie ze starszych roczników.

Generał Shalikashvili, bardzo inteligentny i utalentowany starszy oficer i prawdziwy kosmopolita, niezwykle skutecznie radził sobie z Irakijczykami i koalicją 13 państw. Wiele nauczyłem się dzięki obserwacji jego pracy - przekonywaniu ludzi, koordynowaniu wszystkiego na najwyższym poziomie. Ale gdy chodziło o stronę techniczną, taktyczną i operacyjną tego wszystkiego, co próbowaliśmy robić, okazywał się zdeklarowanym tradycjonalistą. Wolał obstawać przy sztywnych standardach doktryny wojskowej amerykańskiej armii.

Na przykład, kiedy zastanawialiśmy się, jak poradzić sobie ze strefą bezpieczeństwa w Iraku, powiedziałem:

- Utworzymy połączoną grupę operacyjną i puścimy ją przodem pod



dowództwem Jaya Wamera i Dicka Pottera.

- Nie, chwilczkę - zaprotestował generał Shalikashvili. - Zamierzacie utworzyć połączoną grupę operacyjną w obrębie połączonej grupy operacyjnej? Czy to jest zgodne z doktryną?

- Generale Shalikashvili - odpowiedziałem - kogo to obchodzi? Takie rozwiązanie się sprawdzi. Nie powinniśmy w tym wypadku martwić się o zgodność z doktryną.

Natomiast kiedy zaczęliśmy przebudowywać obozy przejściowe dla uchodźców stworzone w Iraku, tak żeby bardziej odpowiadały kulturowym potrzebom Kurdów, on podchodził do tego sceptycznie.

- Co złego jest w sposobie, w jaki je budujemy? - śmiał się.

Co prawda z czasem musiał zaakceptować potrzebę wrażliwości na takie kulturowe wymagania (które osobiście uważałem za sprawę zasadniczą i wciąż podkreślałem to w moich meldunkach), ale mam wrażenie, że nigdy nie podchodził do tego wystarczająco poważnie.

Nasz obszar działań zajmował powierzchnię mniej więcej stanu Kansas - prawie 230 000 kilometrów kwadratowych dzikich, górzystych terenów ze słabo rozwiniętą infrastrukturą. Największym wyzwaniem po opanowaniu początkowego kryzysu było ustanowienie logistycznego systemu dystrybucji dóbr w tym surowym, wymagającym środowisku. System transportu był słaby, niewydolny, sieć dróg była bardzo skromna.

Zazwyczaj poszczególne służby zapewniają wsparcie logistyczne dla własnych komponentów, podobnie jak każde państwo organizuje logistykę dla swoich komponentów. System ten sprawdza się w normalnych warunkach. Jednak nie odzwierciedlał on rzeczywistości, z którą my mieliśmy do czynienia - ogromnej masy państw, służb, agencji i

organizacji usiłujących równocześnie przetransportować własne zaopatrzenie przy wykorzystaniu istniejącej niewydolnej infrastruktury. Wymagania wojskowe i humanitarne dla całego systemu dystrybucji były ogromne (oprócz naszego wojskowego sprzętu i zapasów przewoziliśmy pomoc dla uchodźców pochodzącą z ponad 30 państw) i nikt nie był w stanie nad tym zapanować. Nie mieliśmy żadnego centralnego zarządzania, żadnego systemu priorytetów, bardzo słabe zabezpieczenia dostaw. Przypominało to usiłowanie przepuszczenia 5 litrów wody przez słomkę.

Natychmiast dostrześliśmy konieczność powołania centralnie zaplanowanego systemu dystrybucyjnego z wysuniętymi bazami etapowymi i bazami przejściowymi, gdzie gromadzono by zapasy zaopatrzenia, z których wszyscy mogliby korzystać.

Dowódcy komponentów - Garner i Potter - sprzeciwiali się temu rozwiązaniu. Każdy chciał kierować własnym wsparciem logistycznym. W tej sprawie prowadziłem ciągłe batalie z nimi - moimi najlepszymi przyjaciółmi. Wydzierali się na mnie, a ja krzyczałem na nich.

- Nie mieszaj się do naszej logistyki - powtarzali generałowi Shalikashvilemu. - Prowadzimy własne jednostki. Potrzebujemy tutaj własnego zaopatrzenia i sprzętu.

Z drugiej strony nasi specjaliści od logistyki błagali mnie, żebym przekonał generała Shalikasfwilego do utworzenia Dowództwa Połączonego Wsparcia (CSC) w zakresie logistyki. Jednak gdy powiedziałem mu, że dostawy się załamają i będziemy mieli prawdziwą katastrofę, wzbraniał się przed zmianą systemu podpowiadanego przez podręczniki.

Wreszcie, kiedy stało się oczywiste, że albo wprowadzi się jakieś zmiany, albo powstanie największy na świecie korek drogowy, generał podjął decyzję o utworzeniu CSC.

Uruchomiliśmy niewielkie Bazy Wsparcia Służb Humanitarnych (HSSB) w systemie typu „piasta i szprychy”, który pozwolił nam sprawniej zapuszczać się dalej w głąb Iraku. Sprowadziliśmy generała brygady Hala Burcha (dowódcę do spraw logistyki w Dowództwie Europejskim Armii USA), który przejął nad tym pieczę.

Nasze nieortodoksyjne struktury dowództwa w końcu zwróciły uwagę przewodniczącego Komitetu Szefów Połączonych Sztabów. W czasie mojej wizyty w maju Colin Powell, który jest niezwykle bystrym człowiekiem, był początkowo pod sporym wrażeniem tego, jak sprawnie przebiegała operacja, ale nie miał jasności co do tego, jak ją zorganizowaliśmy. Najprostszym sposobem na wyjaśnienie tego było pokazanie mu naszej mapy organizacyjnej... Mapa była oczywiście równie osobiwa, jak nasze struktury organizacyjne; ale zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby naszkicować schemat powiązań i nadać im „etykiety” jak najbliższe właściwym procedurom doktrynalnym. Mieliśmy więc takie działy jak „kontrola operacyjna” i „kontrola taktyczna” i tak dalej. Oczywiście, kiedy Powell przeanalizował mapę, przejrzał wszystko na wylot.

- Czy to prawdziwa mapa? - spytał. - Proszę powiedzieć mi prawdę. Jakiego rodzaju kontrolę naprawdę macie nad tym wszystkim? Jakie są wasze rzeczywiste zakresy odpowiedzialności? Czy to jest kontrola operacyjna?

- Sir - odparłem - to, co tam mamy, to ręczna kontrola.

Rozwiązujemy nasze problemy w biegu i ściskamy sobie ręce po dogadaniu się. Nie mamy czasu na nic więcej.

Zaśmiał się. Spodobało mu się to. Historyjka ta stała się jedną z ulubionych anegdot generała Powella.

Jak można było przewidzieć, nasze stosunki z Irakijczykami układały się źle. Choć wojna dobiegła końca, siły irackie na północy wciąż stanowiły problem. W odróżnieniu od oddziałów z południa żołnierze ci nie doświadczyli walki ze znacznie skuteczniejszą armią amerykańską i koalicyjną i nie byli aż tak przestraszeni. Później, po tym jak kilka jednostek z południowego Iraku przeniosło się na północ, przypatrywaliśmy się z fascynacją, jak południowi i północni Irakijczycy reagują, gdy nasze samoloty przelatywały nad ich pozycjami. Ci, którzy walczyli z nami na południu w czasie wojny, machali nerwowo i szukali jakiegoś schronienia, podczas gdy żołnierze z północy kraju częściej zachowywali się wyzywająco, a od czasu do czasu nawet strzelali w kierunku naszych samolotów.

W celu utrzymania kontaktu z irackim wojskiem powołano Wojskowy Ośrodek Koordynacji; zaś jako naszego oficera kontaktowego przydzielono Irakijczyka, generała brygady Nashwana Danoona\*[\* Pod koniec naszej początkowej operacji został on wezwany z powrotem do Bagdadu. Słyszeliśmy, że stracono go za spiskowanie przeciwko Saddamowi.].

Na ważniejsze spotkania z generałem Sha'likashvilim Irakijczycy przysyłali jednak generała broni Sabera z Bagdadu.

Gdy przeprowadzaliśmy kurdyjskich uchodźców z powrotem do ich domów na południu, zwiększyliśmy zasięg strefy bezpieczeństwa i

zażądaliśmy, żeby irackie wojska wycofały się poza nią. O dziwo sprzeciwili się temu; a w kilku przypadkach musieliśmy im nawet jawnie grozić. Pokaz siły zawsze skutkował podporządkowaniem się Irakijczyków (w sumie mieliśmy 16 incydentów wrogiej wymiany ognia z Irakijczykami\*\* Mieliśmy przy tym 12 ofiar min lądowych, które pokrywały cały teren i stale stanowiły źródło niepokoju zarówno dla naszych żołnierzy, jak i miejscowych Kurdów. Ostatecznie po zakończeniu operacji koalicja miała siedmiu zabitych i 130 rannych w różnych incydentach i wypadkach.]).

W końcu postanowiliśmy stworzyć strefę, która pozwalałaby 500 000 Kurdów na powrót do domów... ponadto postanowiliśmy pomóc im w naprawie domów i w powrocie do normalnego życia. Nie tylko usuwaliśmy znaczniejsze szkody na obszarach, które opuściła uciekająca wcześniej ludność, ale też zapewniliśmy podstawowe służby i obiekty użyteczności publicznej 41 społecznościom aż do chwili, w której mogły zostać ponownie ustanowione lokalne służby.

W tym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że to nie wystarczy. Po prostu nie mogliśmy zostawić ich sobie samym. Musieliśmy upewnić się, że Irakijczycy nie wrócą, żeby ich znów usunąć z ich domów.

Dla podkreślenia takiej możliwości Irakijczycy zgromadzili 17 swoich dywizji na granicy strefy bezpieczeństwa, którą utworzyliśmy. Dywizje te miały rzekomo blokować dalszą ekspansję Kurdów i zamykać strefę, ale także stanowiły jawną groźbę wobec Kurdów. W wyniku tego ustanowiliśmy coś, co nazywaliśmy Zieloną Linia jako granicę strefy bezpieczeństwa. Żadnemu z Irakijczyków nie wolno było jej przekroczyć. Nasza osłona lotnicza w strefie objętej zakazem lotów (która była większa

niż strefa bezpieczeństwa) dodatkowo gwarantowała odpowiednie zachowanie ze strony irackich wojsk.

Proces przemieszczania uchodźców i poskramiania Irakijczyków przebiegał w kilku etapach. Na początku zgodziliśmy się pozwolić Irakijczykom na obecność ich sił policyjnych w strefie bezpieczeństwa; jednak szybko stało się jasne, że pomysł był niewypałem. „Obecność sił policyjnych” w wydaniu irackim oznaczała bowiem obecność Mukhabarat - ich tajnej policji.

Kurdowie byli zdecydowanie przeciwni jakiegokolwiek obecności irackich władz, zaś Peshmerga zabrali się do eliminowania wrogów w starym stylu - zabijanie członków Mukhabarat i innych irackich urzędników. W końcu wszelkie ślady obecności irackich władz zostały usunięte ze strefy bezpieczeństwa.

Kolejne porozumienie, które się nie sprawdziło, dotyczyło ochrony ośmiu luksusowych pałaców Saddama w tym regionie. Zatwierdziliśmy plan umożliwiający Irakijczykom zachowanie wojskowej ochrony tych pałaców, jednak kiedy iracka jednostka broniąca jednego z tych obiektów otworzyła ogień do patrolu z brytyjskiej Królewskiej Piechoty Morskiej, marines musieli ostro rozprawić się z Irakijczykami i to położyło kres temu porozumieniu.

Prywatne lotnisko Saddama w Sirsenk zostało przekształcone w bazę logistyczną dla celów naszej operacji. Nasi żołnierze sporządzili przybory piśmienne z jej paneli ściennych z czarnego marmuru i rozdawali je „z pozdrowieniami od Saddama”.

W pewnym momencie poszedłem, żeby obejrzeć jeden z tych pałaców. Wciąż jeszcze był w budowie. Zajmował szczyt górującego nad

okolicą wzniesienia i był kolosalny - jak zamek z baśni. Luksusowe wille były rozrzucone nieco po zboczach wzniesienia, a woda pompowana na samą górę spływała ze szczytu szeregiem wodospadów. Pod powierzchnią zamku na wzgórzu znajdował się rozległy kompleks tuneli. Początkowo sądziliśmy, że może to być magazyn broni masowego rażenia, lecz okazało się, że jest to raczej pewnego rodzaju kasyno. Widok tych spektakularnych budowli wśród nędzy miejscowej ludności był wstrząsający.

W czasie tej samej wycieczki odwiedziłem wioski, które zostały zagazowane przez Irakijczyków w 1998 roku. Widok był porażający. Nie tylko były one opustoszałe. Po ataku Irakijczyków nie pozostał w nich kamień na kamieniu. Kurdowie, którzy wzniesli tam swoje domostwa, prosili o możliwość powrotu; jednak gdy wykonaliśmy testy gleby, wykryliśmy ślady niebezpiecznych toksycznych środków chemicznych, które uniemożliwiały osiedlenie się tam ludzi.

Humanitarne aspekty operacji były oczywiście najważniejsze. Z wyjątkiem naszych oficerów do spraw kontaktów z cywilami dla większości z nas było to całkiem nowe doświadczenie i doprowadziło do powstania wielu problemów z koordynacją działań.

Kiedy członkowie organizacji pozarządowych zaczęli przybywać na miejsce, większość z nich nie miała doświadczenia w kontaktach z nami, my nie mieliśmy doświadczenia w pracy z nimi i pojawiła się wzajemna podejrzliwość\*[\* Istniał jeden wielki powód, dla którego organizacje te nie ufały wojsku: usiłowały one naprawić szkody wynikające z katastrofy spowodowanej przez wojsko obu stron uczestniczących w tym konflikcie.].

Wszyscy oni byli wspaniałymi, pozytywnie myślącymi działaczami; ale wszystkim wydawało się też, że mogą robić swoje bez większego koordynowania swoich działań z innymi uczestnikami wielkiego przedsięwzięcia. Na przykład samoloty organizacji pozarządowych niespodziewanie pojawiały się w naszej przestrzeni powietrznej, żądając zgody na lądowanie, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego tak trudno nam było je przyjąć.

W celu zminimalizowania tych problemów powołaliśmy CMOC - Cywilno-Wojskowe Centrum Operacyjne pod kontrolą specjalistów do spraw kontaktów z cywilami, żeby koordynować prace organizacji pozarządowych, Grupy Pomocniczej Usuwania Skutków Katastrof (DART) oraz Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców. Choć tarcia między wojskiem i cywilnymi agencjami pomocy występowały nadal (na znacznie mniejszą skalę), CMOC stanowiło znakomite forum do pracowania nad wszelkimi problemami. EUCOM ustanowił w swojej kwaterze CARE - Dział Kontaktowy dla Agencji Cywilnych, który w wielkim stopniu pomógł uporać się z tego rodzaju trudnościami na szczeblu Połączonego Dowództwa i Waszyngtonu.

Pomimo wzajemnych konfliktów współpraca z organizacjami pozarządowymi i różnymi agencjami rządowymi, takimi jak Grupa Pomocnicza Usuwania Skutków Katastrof czy Ośrodek Zwalczania Chorób Zakaźnych, nie była wcale nieprzyjemnym doświadczeniem. Wiele się nauczyłem od wszystkich grup, które nam doradzały. Każda wniosła nieocenioną wiedzę dotyczącą specyficznych dziedzin (wody, żywności, opieki medycznej itd.), którą później byłem w stanie wykorzystać w najróżniejszych misjach.



Od pracowników Ośrodka Zwalczania Chorób Zakaźnych dowiedziałem się wiele o naturze tego rodzaju schorzeń - cyklu ich występowania, przyczynach i metodach leczenia, warunkach, które sprzyjały ich rozwojowi, oznakach rozprzestrzeniania się chorób, a także sposobach zapobiegania. Było to coś naprawdę wyjątkowego. Tego rodzaju narzędzi zazwyczaj nie można znaleźć w wojskowych zestawach.

Na przykład cholera jest bardzo trudna do wyleczenia - zwłaszcza w przypadku dzieci. Wydaje się początkowo, że stan dzieci się poprawia, ale w rzeczywistości tak nie jest. Wyglądają tak, jakby wychodziły z choroby, po czym nagle znów na nią zapadają; po pewnym czasie wydają się zdrowieć i potem po raz kolejny zapadają na nią trochę bardziej. W istocie ten proces to stopniowe pogarszanie się stanu zdrowia, choć występują w nim chwilowe poprawy, które dają nadzieję. Takie złudne poprawy stanu zdrowia mogą zmylić.

Dowiedziałem się również wiele od zespołów przysłanych przez Lekarzy bez Granic. Są to nie tylko znakomici lekarze; ale również wysokiej klasy specjaliści w zakresie kontaktów z uchodźcami i mieszkańcami Trzeciego Świata. Poważnie martwiła ich wielkość pomocy, której udzielaliśmy.

Kurdowie potrzebowali bezzwłocznej pomocy medycznej. W celu spełnienia tej potrzeby zorganizowaliśmy dla nich to, co mogliśmy - nowoczesne wojskowe jednostki medyczne i szpitale polowe. (Przyglądałem się poważnej operacji w belgijskim szpitalu polowym, w którym przeprowadzano planowe zabiegi chirurgiczne. Był to ośrodek na najwyższym światowym poziomie). Nasz pomysł polegał na ściągnięciu na miejsce jak największej ilości pomocy - to była istna powódź. Jednak

po wycofaniu się z tego regionu musieliśmy pozostawić za sobą ogromną próżnię. To znaczy, że wprowadzaliśmy pomoc medyczną na takim poziomie, którego nie można było utrzymać po opuszczeniu przez nas tego miejsca.

W odróżnieniu od nas Lekarze bez Granic pracowali w ścisłym kontakcie ze środowiskiem Trzeciego Świata; starali się pozostawić po sobie coś, co dałoby się utrzymać. To bardzo stara idea: nie daje się głodnemu ryby, lecz wędkę. Lekarze ci wiedzieli, jak wpoić ludności określone umiejętności i dać im coś znacznie więcej niż my. Wyniosłem z tego wiele lekcji, które wykorzystałem później w Somalii i wielu innych miejscach.

Sprowadzenie uchodźców z powrotem do ich miejsca pochodzenia nie należało do łatwych zadań. Ogromna liczba regulacji i przepisów prawa międzynarodowego stworzonych w celu ochrony praw uchodźców powodowała spore obciążenie administracyjne i techniczne. Była to pierwsza operacja o takim poziomie cywilno-wojskowej koordynacji działań i stanowiła ważną lekcję, niezwykle przydatną w przyszłych operacjach. Na przykład nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje rozróżnienie pomiędzy osobami przesiedlonymi w obrębie granic danego państwa oraz uchodźcami. Każda grupa miała swoje prawa, jednak prawa przesiedleńców nie były takie same jak uchodźców.

Przyswojenie tego wszystkiego zabrało mnóstwo czasu i energii, ale było konieczne. Zakłada się, że wszyscy ci ludzie chcą wrócić do domów, ale jest to założenie nie do końca słuszne. Niektórzy Kurdowie wcale nie chcieli wracać do domu. Część była po prostu za bardzo sparaliżowana strachem, by się przenieść z miejsca na miejsce. Wiedzieliśmy, że nie

mogą oni zostać w górach. Ale nie mogliśmy ich tak zwyczajnie zapędzić do ciężarówek i przewieźć tam, gdzie w naszym mniemaniu powinno im być najlepiej. Zanim uzyskaliśmy zgodę na tę akcję, musieliśmy przekonać ich, że zdołamy ich obronić i zaopiekujemy się nimi. Nie było to wcale łatwe.

Każdy Kurd musiał podpisać dokument potwierdzający, że nie wraca do domu pod przymusem oraz że ma świadomość tego, co czyni. Trzeba było wypełnić formularze dla wszystkich Kurdów, a zatem ktoś musiał te dokumenty wypełnić. Oznaczało to, że ludzie Pottera w obozach musieli przesłuchać każdego dorosłego Kurda w populacji liczącej 500 000 osób i zająć się całą niezbędną papierkową robotą.

Później trzeba było stale kontrolować posunięcia wszystkich Kurdów - skąd wyruszali, gdzie się znajdowali w danym momencie, gdzie mieli dotrzeć. Stworzyliśmy system tranzytowy z punktami kontrolnymi, przystankami i tak dalej, mający wszystkich kontrolować, ale oczywiście sprawy nie potoczyły się tak, jak planowaliśmy. Niektórzy Kurdowie wynieśli się, nie mówiąc o tym nikomu. Po prostu pozbierali swoje skromne rzeczy i zeszli z powrotem górskimi szlakami. Traciliśmy rachubę.

- Mój Boże - powiedział mi kiedyś Shali - straciłem 100 000 Kurdów. Gdzie oni się podziali?

Wysyłaliśmy samoloty rekonesansowe, żeby ich odszukiwać, ale na niewiele się to zdało. Kurdowie zwyczajnie rozproszyli się po górach. Pozostawało nam ufać, że znają drogę do domu.

W trakcie operacji „Przynieść Ulgę” przed Zjednoczoną Grupą Operacyjną (CTF) wyłoniło się osiem zadań (słowem kluczowym w tym

zdaniu jest słowo „wyłoniło się”):

1. Dostarczyć natychmiastowej pomocy i ustabilizować sytuację ludności w miejscu docelowym.
2. Stworzyć system dystrybucyjny i infrastrukturę dla stałego wsparcia logistycznego.
3. Ustanowić strefę bezpieczeństwa w północnym Iraku.
4. Zbudować tymczasowe obiekty, takie jak ośrodki przejściowe, przystanki w drodze, centra wsparcia logistycznego itp.
5. Przeprowadzić populację uchodźców do miejsc tymczasowego pobytu.
6. Przekazać misję pomocy humanitarnej międzynarodowym organizacjom specjalizującym się w takiej pomocy.
7. Zapewnić stałe bezpieczeństwo dla wszystkich stron tej operacji.
8. Umożliwić ostateczny powrót uchodźców do domu.

Misja stale się zmieniała. Nie przyjmowaliśmy z góry jakichś instrukcji, patrzyliśmy na spodziewany stan końcowy i zabieraliśmy się do realizacji tego planu. Próbowaliśmy wszelkich możliwości - często myśląc po osiągnięciu danego celu, że wybraliśmy najlepszą możliwość, jednak wówczas dostrzegaliśmy nowe ścieżki, którymi musieliśmy iść dalej. Gdy udało nam się ustabilizować sytuację uchodźców w górach, zdaliśmy sobie sprawę, że musimy umieścić ich w bardziej stabilnym, lepiej zdatnym do życia środowisku; wówczas zorientowaliśmy się, że musimy jednak sprowadzić ich z powrotem do domów, a potem przekonaliśmy się, że musimy chronić ich przed Irakijczykami. Jedne zadania prowadziły do nowych zdań. Rozwiązaliśmy je w biegu. I nie mieliśmy pojęcia, do jakiego celu dotrzemy u kresu tej przygody.

W połowie czerwca Kurdowie znaleźli się już w swoich domach, my zaś mogliśmy wycofać nasze siły lądowe z powrotem do Turcji. Tam, niedaleko granicy, w miasteczku zwanym Silopi, założyliśmy tymczasową bazę dla sił szybkiego reagowania. Choć misje pomocy humanitarnej przesyłanej drogą powietrzną nie były już konieczne, zachowaliśmy stałe patrole lotnicze nad obszarami zamieszkanymi przez Kurdów, Centrum Koordynacji Wojskowej zaś pozostało w strefie bezpieczeństwa. Wojska lądowe opuściły Silopi w lipcu.

Dwudziestego czwartego lipca zakończyła się operacja „Przynieść Ulgę I”, natomiast rozpoczęła się operacja „Przynieść Ulgę II”. Generał Shalikashvili wrócił do Dowództwa Europejskiego Armii USA, Jim Jamerson znów przejął dowodzenie, a ja wróciłem na stanowisko jego zastępcy. Po wycofaniu wojsk lądowych operacja „Przynieść Ulgę” znów stała się misją lotniczą. Zachowano tylko Centrum Koordynacji Wojskowej i bojowe jednostki poszukiwania i ratownictwa.

Teraz, kiedy operacje lotnicze przekształciły się w stałe patrole, zaś reguły użycia broni nadawały tylko Jimowi Jamersonowi i mnie prawo wydawania rozkazów dotyczących określonych reakcji na zagrożenia irackie, Jim i ja stwierdziliśmy, że nadszedł czas, bym nieco lepiej zapoznał się z charakterem takich akcji lotniczych. Nie tylko zostałem wprowadzony w ich tajniki, ale też zabrano na przelot dwumiejscowym myśliwcem F-16, żeby poczuć na własnej skórze to, z czym mają do czynienia piloci. A ponieważ mieliśmy wsparcie w postaci lotniskowca, przeleciałem się również samolotem Grumman A-6 Intruder marynarki wojennej - przeżyłem przy tej okazji serię wystrzałów z katapulty na pokładzie lotniskowca. Te cenne doświadczenie przydały mi się w

późniejszym okresie służby.

Z czasem, kiedy Jamerson odszedł, a dowództwo przejął generał brygady Glenn Profitt, zostałem poproszony przez generała Galvina, żebym został na miejscu i zapewnił ciągłość operacji.

Do Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie wróciłem w grudniu.

Operacja „Przynieść Ulgę” przerodziła się w operację „Północna Straż”, która trwała ponad dekadę aż do wszczęcia operacji „Iracka Wolność” w 2003 roku.

Operacja „Przynieść Nadzieję”

Pod koniec 1991 roku zaczęło stawać się coraz bardziej oczywiste dla sekretarza stanu Bakera, że Nowy Porządek Świata wcale nie nastąpił. Dwanaście republik, które oderwały się od byłego Związku Radzieckiego - wiele dysponujących bronią atomową - wcale nie miało rozkwitnąć jako kraje demokratyczne i wolnorynkowe. Ziszczenie się takiej wielce pożądanej opcji napotykało wiele przeszkód. Baker doszedł do przekonania, że osiągnięcie stabilizacji na świecie zmuszało do pomocy byłemu ZSRR za sprawą nowego międzynarodowego Planu Marshalla.

Było to gigantyczne przedsięwzięcie z wieloma niewiadomymi. Czy Stany Zjednoczone zdołają zmobilizować społeczność międzynarodową; wykorzystać NATO, zdobyć dla sprawy Japonię i inne wysoko rozwinięte państwa i zdobyć niezbędne środki? Potem zaś, jak to przedsięwzięcie zostanie odebrane w samym byłym Związku Radzieckim?

Wizja Bakera polegała na przyspieszeniu realizacji tego pozimnowojennego Planu Marshalla poprzez uruchomienie mostu powietrznego z pomocą humanitarną obejmującą dostawy żywności, lekarstw i innych środków pomocy do republik dawnego Związku

Radzieckiego. Akcja, którą nazwano operacją „Przynieść Nadzieję”, została przeprowadzona przez wojsko amerykańskie w okresie od stycznia do lutego 1992 roku. Baker liczył na to, że po jej uruchomieniu inne państwa przyłączą się do tej misji. W swojej wizji obejmował nie tylko doraźny humanitarny gest, ale też późniejszą międzynarodową pomoc prowadzącą do postawienia na nogi systemów gospodarczych i politycznych byłego Związku Radzieckiego, pobudzenia inwestycji, zapewnienia technicznej ekspertyzy potrzebnej do wytworzenia w tych państwach międzynarodowych standardów, a także uwidocznienia im, jak należy współpracować w obrębie społeczności międzynarodowej.

Projektem kierował ambasador Rich Armitage. Kongres USA na początek przydzielił 100 000 000 dolarów na tę akcję.

Choć wojsko w naturalny sposób stara się raczej unikać angażowania się w tak złożone projekty, generałowie Galvin i McCarthy żywiołowo zabrali się do pracy. Najwyraźniej odpowiadało to wieloletnim skłonnościom Galvina. Dostrzegał wielkie znaczenie operacji „Przynieść Nadzieję”. Jednak wcale nie było oczywiste, w jaki sposób EUCOM mógłby okazać się przydatny w tej misji.

Na początku stycznia podjęto decyzję utrzymania działającego zespołu antykryzysowego operacji „Przynieść Ulgę” i skoncentrowania jego pracy na nowej operacji „Przynieść Nadzieję”. Jednocześnie zaplanowano spotkanie w kwaterze głównej EUCOM-u, żeby rozstrzygnąć, co jeszcze należy uczynić. Ktoś najwyraźniej musiał skontaktować się z ambasadorem Armitage’em i dowiedzieć się tego.

W tej sprawie zadzwoniono do Tony’ego Zinniego.

Zwrócił się do niego bezpośrednio generał McCarthy:

- Nie mamy pewności, o co w tym wszystkim chodzi, ale wygląda na to, że przyniesie to coś dobrego, a EUCOM musi w tym wziąć udział. Rich Armitage jest w Bonn (z misją wyjednaną wsparcia państw europejskich). Dostań się tam i powiedz mu, że przyjechałeś go wesprzeć. Dowiedz się, czego mu potrzeba, i zapewnij mu to.

Tego rodzaju zadania Zinni po prostu uwielbia - misje, których nikt nie potrafi wyraźnie określić ani wykonać, na które wyrusza się z czymś, co nazywamy rozkazem ogólnym wykonania zadania: „Jedź i załatw to”.

Kiedy Zinni zjawił się w Bonn, Armitage odbywał spotkanie z urzędnikami niemieckimi i amerykańskimi w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. W czasie przerwy w tym spotkaniu zaprowadzono Zinniego do sali konferencyjnej na spotkanie z Armitage'em.

Armitage, absolwent Akademii Marynarki Wojennej i były komandos z morskiej grupy desantowej marynarki wojennej (US Navy SEAL), miał za sobą długą służbę w Wietnamie, zarówno na froncie, jak i w pracy urzędniczej dla Departamentu Stanu. W trakcie swojej długiej kariery w rządzie był zastępcą sekretarza w Departamencie Obrony, a następnie ambasadorem w misji specjalnej - mediatorem i specjalistą od trudnych zadań. Pracując w takim charakterze, zdołał osiągnąć możliwe do zaakceptowania ugody w wielu niezwykle zagmatwanych negocjacjach, takich jak rozmowy w sprawie kontraktu dotyczącego baz na Filipinach. Wszystkie ostatnie republikańskie administracje państwowe wykorzystywały go jako czołowego mediatora... człowieka, który potrafi uporać się z naprawdę trudnymi zadaniami, zrobić to, co należy zrobić, niezależnie od tego, jakich środków to wymaga. Miał rozległe doświadczenie zarówno w Pentagonie, jak i Departamencie Stanu. (Został



zastępcą sekretarza stanu Colina Powella).

Armitage jest wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną, szczerym, energicznym, konkretnym, łatwo onieśmielającym wszystkich tych, którzy podatni są na takie wpływy. Nie toleruje głupców ani ludzi, którzy tracą jego czas, i nie toleruje częściej gadaniny. Wie, co chce osiągnąć; chce też wiedzieć, co ludzie potrafią zrobić, a nie o czym potrafią mówić. Jednocześnie jest bardzo sprawnym i doświadczonym graczem w kręgach administracyjnych z Waszyngtonu jako człowiek obdarzony doskonale wykształconym instynktem politycznym. Popełnia niewiele błędów.

Zinni natychmiast go polubił. Wszystkie instynkty podpowiadały mu, że będzie mu się dobrze współpracowało z tym zatwardziałym dyplomata.

Ale Armitage nie był równie zachwycony, kiedy został przedstawiony generałowi brygady z Dowództwa Sił Zbrojnych USA w Europie. Zachowywał się dość uprzejmie, ale jego wyraz twarzy mówił: „Kim ty do diabła jesteś? I czego chcesz?”

- Dostałem rozkaz EUCOM-u, żeby zgłosić się do pana - oznajmił mu Zinni. - Mam zapewnić panu wszelkie potrzebne wsparcie wojskowe. Jestem tu, żeby panu pomóc.

- Nie jestem przekonany, bym potrzebował pańskiej pomocy - odrzekł Armitage podejrzliwie. Wyraz jego twarzy zdradzał, że był mniej niż przychylnie nastawiony. Jego długa znajomość z wojskiem - zawsze był ostrożny wobec niemilitarnych misji, takich jak ta - sprawiała, że sceptycznie traktował prezenty przynoszone mu przez generałów. Było więcej niż prawdopodobne, że Zinni został wysłany, by miał na niego oko

i upewnił się, że dyplomata nie miesza się do jakichś zadań wojskowych.

Armitage zdawał sobie sprawę, że nie potrzebuje EUCOM-u, i natychmiast dał to jasno do zrozumienia (choć nie mówiąc tego bezpośrednio). On miał do spełnienia misję powierzoną mu przez sekretarza stanu, to znaczy przez kogoś znajdującego się na poziomie o kilka oczek wyższym niż EUCOM. Zaś Colin Powell należał do jego najlepszych przyjaciół (i tak jest do dziś). Z jego punktu widzenia Zinni - i EUCOM - stanowili raczej przeszkodę niż ułatwienie.

- Komu jest potrzebny EUCOM? Wolę pozbyć się tego dodatkowego obciążenia i samemu zdobyć wszystko, czego mi trzeba.

Zinni spokojnie obstawał przy swoim.

- Generał Galvin jest w tym względzie całkowicie szczery. Nie przysłał mnie po to, żebym sabotował operację „Przynieść Nadzieję”, ale żebym zaoferował panu wszystko, co mamy, na srebrnej tacy. Chcemy pomóc panu uruchomić całą akcję.

- Proszę mi wierzyć - zapewnił Armitage - doskonale rozumiem generałów Galvina i McCarthy'ego: dostanie pan to, czego chce.

Po chwili Armitage nieco złagodniał i przyjął postawę w stylu: „No dobrze, przekonamy się”. To Zinniemu wystarczało.

Tymczasem w kwaterze EUCOM-u generał McCarthy powołał połączoną grupę operacyjną (stworzoną ze specjalnie w tym celu dostosowanego zespołu antykryzysowego) w celu uruchomienia operacji lotniczego przerzutu zaopatrzenia. Połączoną grupą operacyjną dowodził generał brygady Jim Hobson z sił lądowych Stanów Zjednoczonych, który współpracował z Zinnim również przy operacji „Przynieść Ulgę”. Grupa składała się z: jednostek transportu lotniczego z sił powietrznych USA -

logistycznego komponentu mającego za zadanie przewozić, składować, zabezpieczać i pakować zaopatrzenie; jednostki operacji psychologicznych mającej za zadanie opracowywanie instrukcji na temat tego, jak należy najlepiej wykorzystywać istniejące środki pomocy i ułatwiać nam kooperację; biura informacyjnego mającego za zadanie zajmowanie się aspektami public relations; a także OSIA - Agencji Inspekcji Bezpośredniej, która miała za zadanie zapewnić wczesny kontakt z lokalnymi władzami i koordynować pracę w miejscach dostarczenia zaopatrzenia.

Choć misja OSIA normalnie polegała na weryfikacji i kontroli zbrojeń, jej zalety (znajomość języka, gotowość do szybkiego przerzutu w odległe miejsca itp.) czyniły tę agencję idealnym narzędziem do takiego zadania. Wiele miejsc dostarczenia pomocy mostami powietrznymi znajdowało się na obszarach, do których nigdy nie dotarł amerykański samolot - dalekie lotniska, na których niekiedy nie było żadnej informacji o dostępności paliwa czy warunkach lądowania ani żadnej asysty przy nawigacji. Zespoły OSIA udawały się do takich lokacji z tygodniowym wyprzedzeniem, nawiązywały kontakt z miejscowymi władzami i przekazywały wszystkie niezbędne informacje za pośrednictwem łączności satelitarnej.

Dowództwo Transportowe USA (TRANSCOM) wspierało przebieg operacji; EUCOM powołało specjalny zespół zadaniowy w swoim centrum dowodzenia, żeby nią kierować, zaś Grupa Pomocnicza Usuwania Skutków Katastrof (DART) z Biura Zagranicznej Pomocy dla Ofiar Katastrof (OFDA) wkrótce przyłączyła się do akcji.

Zapasy pomocy humanitarnej pochodziły ze składów zimno

wojennych, które były magazynowane we Włoszech, Holandii i Niemczech - składały się z żywności, lekarstw, koców, środków medycznych. Większość z tych dóbr była składowana od lat 50. Jednostki EUCOM-u zebrały te zapasy i przetransportowały za pośrednictwem szeregu wielkich mostów powietrznych do miejsc, o których żołnierze nigdy nie słyszeli: Duszanbe, Ałma Ary, Taszkientu, Kijowa, Biszkeku, Baku i innych mniej znanych lokalizacji na terenie byłego Związku Radzieckiego.

Zespół Armitage'a przyglądał się działaniom połączonej grupy operacyjnej, odwiedzał państwa i organizacje w NATO i Unii Europejskiej (żeby uzyskać ich udział i wsparcie w misji), a także podróżował do różnych republik dawnego ZSRR (żeby nawiązać kontakt z miejscowymi urzędnikami, koordynować przyszłe działania i dokonać oceny potrzeb). Sekretarz stanu Baker przeprowadził wielonarodowej konferencji donatorów w Waszyngtonie, żeby wyjednać ich wsparcie i środki pomocy dla długoterminowej akcji.

Sekretarz Baker oficjalnie rozpoczął operację na uroczystości w Rhine-Main 23 stycznia 1992 roku.

EUCOM opracował system pozwalający na dostarczenie Armitage'owi wszystkiego, czego mógł sobie zażycić. Dzięki temu, kiedy przyszedł do Zinniego i zapytał: „Czy uda nam się zdobyć samolot, żeby dostarczyć lekarstwa do Kijowa?” albo „Czy możemy przesłać trochę zaopatrzenia do Ałma Aty?”, Zinni natychmiast zapewniał mu samoloty i zarządzał dostawę.

Zinni załatwiał wszystko - pomagał zespołowi Armitage'a, demonstrował swoją lojalność wobec niego, stawał się w coraz większym

stopniu częścią grupy jego najbliższych współpracowników; a to robiło wrażenie na Armitage'u. Lojalność i umiejętność pracy zespołowej Armitage cenił niezwykle wysoko - najprawdopodobniej była to część spuścizny jego wojskowego wychowania.

Jednocześnie obaj mężczyźni nawiązywali też coraz lepsze stosunki na bardziej osobistym poziomie. Lubili swoje towarzystwo i mieli podobne, przejmujące doświadczenia, takie jak walka w Wietnamie. Bardzo szybko Zinni stał się prawą ręką Armitage'a.

Po pewnym czasie ktoś zapytał Zinniego:

- W porządku, więc kim teraz jesteś? Jak cię nazywają?

Zinni zastanowił się nad tym, po czym sam wymyślił nazwę swojego stanowiska:

- Jestem koordynatorem wojskowym zespołu Armitage'a - stwierdził. Ta nazwa przyłgnęła do niego.

Zinni miał gabinet w Departamencie Stanu w Waszyngtonie, gdzie pracował z zespołem ludzi Armitage'a, a także miał drugie biuro w bazie sił powietrznych Rhine-Main w Niemczech\*[\* Była to baza wykorzystywana w 1948 roku do operacji Berlińskiego Mostu Powietrznego, miała więc pewne historyczne, nieco ironiczne znaczenie.], gdzie kierował połączoną grupą operacyjną.

Większość czasu spędzał jednak, podróżując po Europie z Armitage'em. Polecili do Moskwy i Sankt Petersburga, do Ankary i Brukseli. Kontaktowali się z ONZ i Unią Europejską. Koordynowali akcję zdobywania, rozdzielania i rozsyłania środków pomocy oraz bardziej długoterminowych reform w wybranych krajach. Współpracowali z

różnymi amerykańskimi zespołami rządowymi oceniającymi sytuację na terenie byłego Związku Radzieckiego oraz z miejscowymi przedstawicielami władz. Wszędzie było ich pełno.

Most powietrzny utrzymywano aż do końca lutego i pozwolił on dostarczyć 2100 ton żywności i środków medycznych do 22 miejsc w byłym ZSRR.

Zinni spędził jeszcze trzy miesiące przy operacji „Przynieść Nadzieję” po zakończeniu działania mostu powietrznego. W tym czasie Armitage pracował nieustrudzenie, żeby przemienić w rzeczywistość wizję, którą stworzyli wraz z sekretarzem stanu.

Z biegiem czasu, gdy zakończyły się wojskowe zadania, praca Zinniego dla Armitage’a coraz bardziej zmuszała go do wkraczania w sferę ekonomii i polityki\*[\* Pod koniec operacji „Przynieść Nadzieję” znaczne wysiłki włożono w rozwiązanie problemu stabilizacji kursu rubla.].

Choć Armitage chciał zatrzymać Zinniego przy sobie, stawało się coraz bardziej oczywiste, że wojskowe aspekty operacji „Przynieść Nadzieję” traciły znaczenie.

- Nie ma sensu, żebyś tu dłużej tracił czas - powiedział w końcu Zinniemu Armitage. - Dlaczego nie wrócisz do EUCOM-u? Jeśli wydarzenia się rozwiną, może ściągniemy cię z powrotem, ale teraz nie ma sensu, żebyś się tu marnował.

Nigdy nie pojawiła się potrzeba powrotu Zinniego. Pod koniec wiosny misja zaczęła upadać. Milczenie społeczności międzynarodowej było porażające. Inne państwa nie miały woli niesienia pomocy lub miały inną wizję - zwyczajnie nie były zainteresowane udziałem w nowym

Planie Marshalla.

Co je przed tym powstrzymywało?

Świat początku lat 90. nie był już światem z lat 40. Nie była to zdewastowana Europa, której groziło opanowanie przez komunizm. Była to Europa niepodległych państw, które nie tylko zaczynały odczuwać własną samodzielność, ale też miały do rozwiązania własne poważne problemy. Na przykład Niemcy musieli zapłacić wysoką cenę ponownego zjednoczenia kraju.

Nikogo nie obchodziła praca nad programem kierowanym przez Stany Zjednoczone ani też finansowanie pomocy.

Tak czy inaczej była to zaprzepaszczona wielka szansa, zaś niepokojów i destabilizacji, które pojawiły się wkrótce w Rosji, byłej Jugosławii i wielu innych miejscach, w znacznej mierze można było uniknąć, gdyby narody wolnego świata i ich organizacje (takie jak Organizacja Narodów Zjednoczonych i Unia Europejska) wykazały się wówczas większą dalekowzrocznością.

Zaangażowanie Zinniego w „operacje inne niż wojna” - takie jak „Przynieść Ulgę”, „Przynieść Nadzieję”, „Przynieść Obietnicę” oraz inne przeprowadzane w czasie jego pobytu w EUCOM-ie - dały mu ogromne doświadczenie, z którego później czerpał nieustannie. Były to fascynujące, ekscytujące misje... w równym stopniu co operacje wojskowe, a nawet wojenne. W tych misjach mógł robić to, co lubił najbardziej - pozostawać w sercu akcji, w terenie, a jednocześnie mógł cieszyć się świadomością, że ratuje życie ludzkie.

Później uczestniczył jeszcze w kilku „operacjach innych niż wojna” -

takich jak akcja w Somalii - które zostały uznane za najbardziej zaawansowane wzorce misji cywilno-wojskowych, pokojowych i humanitarnych. Nikt nie miał większego doświadczenia w tego rodzaju operacjach niż Zinni.

## **5. Somalia**

Po służbie w EUCCOM-ie Tony Zinni wrócił do Quantico jako zastępca generała dowodzącego w MCCDC - Dowództwie Bojowym Piechoty Morskiej\*[\* Jest to odpowiednik TRADOC - Dowództwa Szkoleń i Doktryn Sił Lądowych USA.].

MCCDC określa potrzeby i strukturę marines w zakresie doktryny, organizacji, sprzętu, treningu, szkolenia, edukacji kadry dowódczej, zarządza też szkołami zawodowymi piechoty morskiej dla jej oficerów i żołnierzy zawodowych (w sumie wszystko to składa się na Uniwersytet Piechoty Morskiej).

Przydział ten był czymś oczywistym w przypadku Zinniego, a jednak nie był on nim szczególnie uszczęśliwiony. (Komentował to, twierdząc, iż „każdy oficer warty swojego żołdu zawsze czuje, że jest najlepszym specjalistą operacyjnym w marines”).

Z drugiej strony powrót do Quantico sprawił, że znów znalazł się w bazie opracowywania doktryny, treningu i edukacji, które znał tak dobrze. Tutaj będzie znów w samym sercu wszystkich ekscytujących, rewolucyjnych zmian, które wprowadzał generał Gray, tutaj znajdzie też forum dla prezentowania własnych pomysłów zmian. Wiedział, że wyjątkowo wiele zawdzięcza Quantico. Służba w EUCCOM-ie przekonała go, że amerykańskie siły zbrojne wkrótce będą musiały znacząco poprawić



swoje działania we wspólnych operacjach i opracować programy pozwalające uporać się z nowymi misjami w Trzecim Świecie, które już wyłaniały się na horyzoncie.

Zwłaszcza Korpus Piechoty Morskiej musiał przeanalizować swoją organizację, doktrynę, sposób walki, przyjrzeć się uważnie taktyce, technice i procedurom niezbędnym do przeprowadzania nietradycyjnych operacji, takich jak misje pokojowe i humanitarne. Nowe zadania, z którymi musiał zmagać się w EUCOM-ie, nie stanowiły jakiegoś wyjątku - akcja pomocy Kurdom, operacje ewakuacyjne niebojowe, kontakty z siłami zbrojnymi byłego Układu Warszawskiego. Były raczej znakiem przyszłości. Zaś Zinni był przeświadczony, że piechota morska dzięki swojej tradycyjnej elastyczności i zaradności zdoła się łatwiej przystosować do tego rodzaju misji niż inne rodzaje sił zbrojnych i może stać się pionierską pozimnowojenną formacją zbrojną, do czego idealnie się nadawała.

Spełniło się życzenie Zinniego - mógł wypróbować tego rodzaju nowatorskie pomysły, ale wcale nie w salach wykładowych i na poligonach Quantico. Zamiast tego został jedną z głównych postaci w najbardziej wymagającej i zagmatwanej operacji pokojowej wojska amerykańskiego przed okupacją Iraku rozpoczętą w 2003 roku. W porównaniu z nią misja pomocy kurdyjskim uchodźcom z 1991 roku wydawała się spacerkiem po plaży.

W listopadzie 1992 roku Zinni przebywał w Quantico już od sześciu miesięcy. Niebawem mógł spodziewać się promocji na generała brygady. Następne lato miało wreszcie przynieść mu radykalną zmianę w karierze zawodowej - mógł dostać awans i zostać przeniesiony do nowego

dowództwa albo pójść do cywila.

W tym samym miesiącu, podczas gdy wraz ze specjalistami z marynarki wojennej pracował nad planem nowych ćwiczeń wojennych, dowiedział się, że prezydent Bush postanowił stworzyć połączoną grupę operacyjną w celu przeprowadzenia misji humanitarnej w Somalii. Zinni mgliście zdawał sobie sprawę z rozpaczliwej i wciąż pogarszającej się sytuacji w tym kraju - wojny domowej, głodu, gwałtownego rozprzestrzeniania się chorób, anarchii, śmierci tysięcy niewinnych osób. Jednak nowiny o rozpoczęciu tam operacji były sporym zaskoczeniem.

W ciągu kilku dni miała zapaść decyzja, kto poprowadzi całą operację - czy 1. Korpus Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej (1. MEF), czy też 18. Korpus Powietrzno-Desantowy Sił Lądowych USA. Choć w tym momencie Zinni nie miał bladego pojęcia o charakterze tej operacji, wiedział, że jeśli padnie na 1. MEF, jego doświadczenia służby w EUCOM-ie w operacjach połączonych sił zbrojnych i misjach humanitarnych byłyby niezwykle przydatne w planowaniu działań. Bezzwłocznie poszedł do swojego przełożonego, generała broni Chucka Krulaka\*[\* Syn legendarnego generała piechoty morskiej.], żeby zaproponować swoje usługi.

Ku pewnemu zaskoczeniu Zinniego Krulak przyjął jego propozycję z entuzjazmem.

- Posłuchaj - rzekł - nie chcę, żeby siły operacyjne patrzyły na Quantico jak na darmozjadów. Chcę, żeby postrzegały nas jako organizację, która jest gotowa ich wesprzeć. Która wychodzi im naprzeciw, pomaga im. Jeśli więc mamy w tym zakresie wysokie kompetencje, to chcę im je zaoferować.

Krulak zadzwonił do generała broni Carla Mundy'ego, który zastąpił generała Graya na stanowisku dowódcy, i przedstawił mu propozycję. Z kolei generał Mundy zadzwonił do dowódcy 1. Korpusu Sił Ekspedycyjnych generała broni

Boba Johnstona. (Zinni znał Johnstona od lat, służył pod jego dowództwem na Okinawie i miał dla niego ogromny szacunek).

W trakcie rozmów Zinni pojechał do Fort Leavenworth na konferencję. Gdy tam dotarł, zadzwonił do niego Krulak.

- Do przeprowadzenia operacji wybrano 1. Korpus Sił Ekspedycyjnych - oświadczył mu Krulak. - Generał Johnston chce, żeby pan wziął w niej udział. Proszę wracać do Quantico tak szybko, jak to możliwe, a na miejscu proszę zadzwonić do Boba Johnstona po dalsze instrukcje.

To najlepsze z możliwych wiadomości, pomyślał Zinni. Wkrótce jednak czekały go jeszcze lepsze wieści.

Gdy znalazł się z powrotem w Quantico, zadzwonił do generała broni Johnstona, wciąż będąc przekonanym, iż Johnston potrzebuje go głównie do opracowania wstępnych planów. Dlatego to, czego się dowiedział, oszołomiło go. Komendant zarekomendował go jako szefa sztabu połączonej grupy operacyjnej, która miała powstać wokół trzonu sztabu 1. Korpusu Sił Ekspedycyjnych\*[\* W wojsku szef sztabu jest kimś w rodzaju odpowiednika prezesa zarządu dyrektorów w cywilnej firmie. Przewodniczy pracy całego sztabu i spaja wszystkie jego sekcje - administracyjną, operacyjną, logistyczną, zajmującą się planowaniem itd. Jest też trzecią osobą w dowództwie po dowódcy i jego zastępcy.].

Zinni był w ekstazie, ponieważ oznaczało to, że pojedzie do Somalii, by pełnić tam kluczową funkcję operacyjną. Ale okazało się, że Johnston ma lepszy pomysł. Chciał, żeby Zinni został dyrektorem operacyjnym. Mimo iż szef sztabu to wyższa funkcja, Zinni zdawał sobie sprawę, że misja ta będzie tak wymagająca i skomplikowana, że Johnston chciał, żeby poprowadził ją ktoś, kto miał tak wielkie doświadczenie w akcjach bojowych i misjach humanitarnych jak Zinni. Praktyczna strona całego przedsięwzięcia spojenia w całość wszystkich elementów tej misji sprawiała, że szef sztabu będzie musiał mieć wsparcie w postaci szefa do spraw operacyjnych (do planowania, logistyki itd.). Właśnie w sekcji operacyjnej rozgrywała się cała akcja.

Dla Zinniego była do wspaniała nowina.

- Nie zależy mi na wyższym stanowisku - oznajmił Johnstonowi. - Chcę robotę operacyjną.

Nazajutrz spakował rzeczy, udał się do Waszyngtonu i przyłączył się do głównodowodzącego CENTCOM-u\*[\* Somalia znajdowała się w strefie działań CENTCOM-u.] generała Joego Hoara, który leciał do swojej kwatery głównej w Tampie. Na miejscu spotkali się oni z generałem Johnstonem i zostali wprowadzeni we wstępny plan operacji. Następnie Zinni miał towarzyszyć Johnstonowi w podróży powrotnej do jego kwatery głównej w Camp Pendleton w Kalifornii, by tam spędzić kolejny tydzień na planowaniu działań. Mieli polecieć do Somalii 10 grudnia.

Wycieczka lotnicza z Waszyngtonu do Tampy okazała się nieoceniona. Zinni znał Joego Hoara od pierwszych dni w Wietnamie (pierwszy raz spotkał go w Rung Sat) i pozostawał w przyjaźni z nim od

tego czasu. Hoar był lebskim specjalistą operacyjnym, który wyrobił sobie świetną reputację jako dowódca CENTCOM-u. W trakcie lotu trwającego trzy-cztery godziny dwaj mężczyźni rozwodzili się nad misją.

Zinni przedstawił zalecenia wypływające z jego wcześniejszych doświadczeń: technikę, taktykę, organizację (tak jak Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców - UNHCR), które będą musieli wykorzystać, jeśli będą pracować z uchodźcami lub przesiedleńcami; użycie specjalistów od spraw cywilnych do stworzenia Cywilno-wojskowego Centrum Operacyjnego (CMOC), takiego jak to utworzone w czasie operacji „Przynieść Ulgę” w celu kontaktowania się z organizacjami pozarządowymi i Organizacją Narodów Zjednoczonych; zastosowanie operacji psychologicznych (takich jak unikanie terminologii militarnej po to, żeby lepiej wyrazić przekaz humanitarny).

Hoar pilnie słuchał propozycji Zinniego - większość z nich była dla niego czymś całkiem nowym. Uchodźcy? Trzeci Świat? Organizacje pozarządowe? ONZ? Inny wszechświat! Zanim zdołał przyswoić sobie to wszystko, serdecznie objął Zinniego - a jest wielkim jak niedźwiedź mężczyzną - i rzekł:

- Cieszę się, że cię znalazłem. Jesteś człowiekiem, którego nam tutaj trzeba. Będzie świetnie.

W kwaterze głównej CENTCOM-u Hoar, Johnston, Zinni i pozostali członkowie sztabu zajęli się analizą sytuacji w Somalii i dotychczasowych planów.

Somalijczycy zamieszkują Róg Afryki i stanowią większość mieszkańców północnej Kenii, Dżibuti i Ogadenu, który jest obecnie jedną z prowincji Etiopii. Należą do społeczności klanowych. Wyróżnia się

wśród nich pięć głównych klanów i wiele podklanów, zjednoczonych wspólnym językiem i poczuciem tożsamości etnicznej, natomiast różniących się obyczajami, rodowodem i historią. Somalijscy stali się jednym narodem w 1960 roku, po zlikwidowaniu w tej części Afryki kolonii włoskiej i brytyjskiej na mocy mandatu ONZ po II wojnie światowej. Słaby, niejednolity rząd przetrwał dziewięć lat, ale upadł w 1969 roku, kiedy pierwszy prezydent został zamordowany w zamachu, władzę zaś przejął wojskowy dyktator Siad Barre. Rządy Barre'a rozpoczęły się względnie dobrze dla kraju, choć jego początkowe przymierze z Sowietami nie podobało się Zachodowi. Jednak pozwoliło ono spłacić część długów i sprowadzić do kraju nowoczesną broń.

Dobre czasy zakończyły się w 1977 roku, kiedy Barre zaatakował Etiopię, żeby odzyskać Ogaden. Był to strategiczny błąd - między innymi dlatego, że Etiopia również należała do sprzymierzeńców Związku Radzieckiego. Sowietci, zmuszeni wybierać, poparli Etiopię; zaś katastrofalna wojna i ostateczna porażka w 1978 roku wpędziła Somalię w głęboki i wciąż pogłębiający się kryzys.

Barre zmienił więc sojuszników, zrezygnował z pomocy Sowietów i zwrócił się ku Zachodowi, po czym zapanował okres pewnego postępu. Jednak kraj zaczęła szybko zżerać korupcja, a także zapanowały represje wobec klanów innych niż Marehan, rodzimy klan Siada Barre'a. W miarę nasilania się represji, które przekształciły się w bezwzględny terror, rząd dyktatora zaczął się psuć od środka. Klany odpowiedziały agresją i w kraju zapanowała wojna domowa. (Konflikt rozpoczął się w 1988 roku, ale opanował cały kraj w roku 1990).

Wojna domowa wyniszczyła państwo. Ludność miała mnóstwo broni

pochodzącej od Sowietów i mocarstw zachodnich. Większość z tej broni ostatecznie została użyta przeciwko Somalijczykom. Setki tysięcy uchodźców opuściły kraj; setki tysięcy kolejnych zostało zabitych w walkach lub zmarło wskutek głodu i chorób. W 1992 roku zmarła połowa dzieci urodzonych od 1987 roku i 25 procent wszystkich dzieci w tym kraju. Instytucje rządowe zniknęły. Walki między zwaśnionymi frakcjami i klanami przyczyniały się tylko do pogarszania tragicznej sytuacji.

Życie milionów ludzi wciąż było zagrożone.

Siad Barre został odsunięty od władzy w 1990 roku, ale nie przestał walczyć w południowej Somalii, niedaleko granicy z Kenią, w tak zwanym Trójkącie Śmierci - na obszarze pomiędzy miastami Baidoa i Bardera w interiorze oraz Kismayo na wybrzeżu. Przywódcy frakcji kontrolujących różne regiony kraju wszczęli walki między sobą. Najsilniejszy spośród nich był generał Mohammad Farrah Aidid\*[\* Aidid był bardzo inteligentnym człowiekiem, wychowanym na Zachodzie i tam też wykształconym pod względem wojskowym, ale jednocześnie chytrym, porywczym i okrutnym. Po tym jak awansował do rangi generała w armii Siada Barre'a, zwrócił się przeciwko niemu, po czym został wtrącony do więzienia na siedem lat. Po wypuszczeniu go i „rehabilitacji” Barre uczynił go ambasadorem Somalii w Indiach, żeby się go pozbyć. Aidid ponownie zwrócił się przeciwko Siadowi Barre'owi po powrocie.] z klanu Hawiye... ale było też wielu innych.

W styczniu 1991 roku stolica państwa, Mogadiszu, została rozdarta pomiędzy Aidida i biznesmena, polityka i miejscowego watażkę Alego Mahdiego Mo-hameda (którzy wcześniej byli sprzymierzeńcami w walce przeciwko Siadowi Barre'owi), gdy Ali Mahdi wystąpił przeciwko

Aididowi. Nie był to całkiem nieoczekiwany rozwój wydarzeń. Obaj należeli do klanu Hawiye (choć pochodzili z różnych podklanów: Aidid był z Habr Gidr, zaś Ali Mahdi z Abgal, co stanowiło znaczącą różnicę zgodnie z somalijskim systemem klanowym), obaj byli też przywódcami tego samego ugrupowania politycznego, Zjednoczonego Kongresu Somalijskiego - ale w Somalii zdrada jest motorem polityki.

W tym samym miesiącu Ambasada USA w Mogadiszu została ewakuowana w ostatniej chwili, dramatyczną akcją ratowania urzędników przeprowadzono z użyciem helikopterów piechoty morskiej wysłanych z okrętów desantowych uczestniczących w operacji „Pustynna Tarcza”.

Przez kilka miesięcy obie strony unikały się nawzajem - Aidid w południowej części miasta, a Ali Mahdi w swojej bazie w północnym regionie

Mogadiszu. Aidid, który był bardziej doświadczonym i skuteczniejszym dowódcą wojskowym, a ponadto dysponował lepszym i cięższym sprzętem bojowym (zabranym ze składów Siada Barre'a), miał znacznie silniejszą pozycję; ale mimo to walki pomiędzy oboma kacykami wybuchały tylko sporadycznie. Wkrótce jednak prawo i porządek w mieście kompletnie się załamały, wszędzie panoszyły się uzbrojone gangi. Nikt nie potrafił nad nimi zapanować. W końcu we wrześniu 1991 roku rozgorzały poważne walki trwające kilka miesięcy, po których stolica Mogadiszu została skrajnie zdewastowana.

W maju 1992 roku Aidid ostatecznie pokonał Siada Barre'a, który zbiegł do Kenii, potem zaś znalazł azyl w Nigerii. Aidid okazał się godnym szacunku dowódcą z szerokimi kwalifikacjami do rządzenia



krajem. W swoim mniemaniu zresztą wyzwolił Somalię spod władzy dyktatorskiej Siada Barre'a, a tryumf ten dawał mu prawo do zajęcia miejsca Barre'a na pozycji wodza narodu. Jednak przywódcy pozostałych frakcji postrzegali tę sprawę odmiennie i walki nie ustawały. Taki stan rzeczy przyczynił się do pogłębienia głodu i zniszczeń w całej południowej części kraju, a zwłaszcza w Trójkącie Śmierci. (Północne prowincje w samym Rogu Afryki były stosunkowo nietknięte tymi walkami i w zasadzie w mniejszym lub większym stopniu działały niczym samodzielne państwo).

W 1992 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych rozpoczęła w Somalii operację UNOSOM, która okazała się słaba i całkowicie nieskuteczna - zbyt słaba, żeby położyć kres przemocy lub choćby zapewnić bezpieczeństwo organizacjom niosącym pomoc humanitarną. Grabieże i napaści na konwoje uniemożliwiły przewiezienie do potrzebujących większości żywności i innych środków pomocy przysłanych za sprawą ONZ i organizacji pozarządowych.

Pod koniec sierpnia tego roku Stany Zjednoczone rozpoczęły również operację nazwaną „Przynieść Pomoc”, która miała na celu przesyłanie żywności i leków z Kenii do odległych regionów Somalii za pomocą mostu powietrznego. W ramach tej operacji przeprowadzono prawie 2500 misji lotniczych, w których samoloty przeniosły ponad 28 000 ton zaopatrzenia na lotniska w południowej Somalii. Operacja pozwoliła ocalić życie wielu ludzi, jednak ten most powietrzny nie był w stanie przetransportować wystarczającej ilości żywności i środków medycznych, żeby w jakimś bardziej znaczącym stopniu zmniejszyć głód i powstrzymać rozwój chorób\*[\* Operacja „Przynieść Pomoc” została

wchłonięta przez operację „Przywrócić Nadzieję” w lutym 1993 roku.]

Do jesieni 1992 roku Somalia stała się wyniszczonym w krajem, w którym panowało bezprawie, a swoją władzę narzucało 15 lokalnych kacyków dysponujących własnymi bojówkami i wędrownymi gangami uzbrojonych bandytów. Takie zbrojne grupy podróżowały po kraju w „wozach technicznych”, czyli półciązarówkach i pikapach z prowizorycznie zamontowaną na platformach bronią, obsługiwaną przez ich załogi. (Pojazdy takie zyskały swoją nazwę od tego, iż agencje pomocy humanitarnej wynajmowały miejscowe gangi do ochrony i podciągały to pod wydatki na „pomoc techniczną”). Członkowie agencji pomocy humanitarnej i organizacji pozarządowych padali ofiarą wymuszeń, grabieży, grózb, a nawet mordów, niekiedy dokonywanych przez tych samych „ochroniarzy”, których zatrudniali.

W listopadzie chaos i przemoc w Somalii czyniły nieuchronną jakąś międzynarodową akcję. Po długich dyskusjach toczących się głównie między administracją Busha i ONZ uznano za niezbędne wysłanie na miejsce dużej formacji wojskowej (wzorowanej na wspólnych siłach koalicji walczącej przeciwko Irakowi w operacjach „Pustynna Tarcza” i „Pustynna Burza”, składającej się z co najmniej dwóch amerykańskich dywizji uzupełnionych przez inne rodzaje amerykańskich i międzynarodowych sił zbrojnych. Siły te miały działać za zgodą ONZ (na podstawie rozdziału VII Karty Narodów Zjednoczonych zezwalającego na wprowadzenie sił pokojowych mających prawo użycia „wszelkich niezbędnych środków”, w tym śmiertelnej broni), ale nie miała to być operacja pod dowództwem ONZ. Nadano jej nazwę „Przywrócić Nadzieję”.

Amerykańska idea operacji „Przywrócić Nadzieję” uwzględniała szybkie zapewnienie bezpieczeństwa w całym południowym obszarze kraju, co pozwalałoby na swobodne działanie agencjom pomocy i organizacjom pozarządowym, a następnie szybkie przejście do kierowanej przez ONZ operacji utrzymania pokoju (choć Stany Zjednoczone przewidywały podtrzymanie działań służb logistycznych i pomocniczych, jak również jakiejś formacji szybkiego reagowania). Nie było przy tym wszystkim mowy o podejmowaniu prób rozbrojenia miejscowych watażków czy też dokonania zasadniczej zmiany krajobrazu politycznego.

Sekretarz generalny ONZ Butros Ghali miał jednak inne oczekiwania. W jego wizji ograniczony zakres i czas działania operacji „Przywrócić Nadzieję” nie zapewniały wystarczającego bezpieczeństwa, rozbrojenia miejscowej ludności i zmian politycznych, by ONZ mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za odbudowywanie narodu somalijskiego. Chciał, żeby Stany Zjednoczone zaangażowały się w prowadzony z rozmachem, obejmujący cały kraj program rozbrojeniowy przed wprowadzeniem do niego rozjemców z ONZ.

Te rozbieżności pomiędzy pojmowaniem przez USA i ONZ tego, co należało zrobić w Somalii, miało prześladować całą operację „Przywrócić Nadzieję”, a następnie jej kontynuację pod agendą ONZ - operację, która zyskała miano drugiej operacji ONZ w Somalii (UNOSOM II).

Siłą przeznaczoną do zaprowadzenia początkowych porządków w chaosie panującym w Somalii była połączona grupa operacyjna generała Johnstona.

Część obejmująca marines składała się z Grupy Bojowej Powietrzno-Lądowej Piechoty Morskiej, koncentrującej się wokół 1. Dywizji Piechoty

Morskiej z komponentami logistycznym i lotniczym. Siły lądowe USA wyznaczyły ze swojej strony 10. Dywizję Górską. Marynarka Wojenna USA zamierzała sprowadzić w rejon operacji okręty i lotniskowiec. Miał zostać udostępniony również samolot P-3 marynarki wojennej, wylatujący z bazy w Dżibuti. Siły powietrzne USA włączały do operacji samoloty C-130 i pewną liczbę innych maszyn w celu wsparcia jednostek powietrznych piechoty morskiej. Były również komponenty operacji specjalnych.

Generał Hoar dodatkowo przewidywał zaangażowanie się w operację koalicji międzynarodowej, które obejmowałyby udział państw zachodnich, afrykańskich oraz rejonu Zatoki Perskiej. (Nazwał to „strategią 3-3-1”). Ponieważ Somalia była jednocześnie krajem afrykańskim i muzułmańskim, ważne znaczenie polityczne dla CENTCOM-u miało to, by poczynania wojskowe były postrzegane w Afryce i świecie islamskim jako pobudzanie rozwoju tej części świata.

Chciał również, żeby dla urozmaicenia składu połączonych sił w operacji wzięło udział jakieś inne zachodnie mocarstwo i Kanadyjczycy zadeklarowali się już, że przyślą jakąś brygadę. (Później liczba państw uczestniczących w całej operacji gwałtownie wzrosła. Pod koniec misji było ich już 26).

Gdy różne jednostki wojskowe zaczęły napływać do Somalii, musiały zostać w jakiś sposób zorganizowane wokół jednego ośrodka. Sztaby Centralnego Dowództwa Sił Zbrojnych USA oraz 1. Korpusu Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej włożyły już w to wiele wysiłku, podobnie jak w kilka innych najpilniejszych spraw, takich jak wsparcie logistyczne i organizacja baz (generał Hoar chciał na przykład

wykorzystać jako bazy pomocnicze istniejące regionalne bazy w Kenii i Dżibuti). Wprowadzenie znacznej ilości sił zbrojnych przy wątej infrastrukturze Rogu Afryki nie było łatwym zadaniem.

Jednak największym problemem, na który natknęli się specjaliści od planowania, było to, że w rzeczywistości nie całkiem wiedzieli oni, co właściwie należy uczynić po rozmieszczeniu sił na miejscu. Misja była niezwykła i może zaledwie garstka ludzi zdawała sobie sprawę z jej charakteru. Tak jak generał Hoar, specjaliści od planowania nie mieli doświadczenia we współpracy z organizacjami pozarządowymi i ONZ, jak również w zaprowadzaniu porządku w podupadającym państwie Trzeciego Świata i w przeprowadzaniu misji ratowania ludzkiego życia. Choć wiadomo było, że nie da się uniknąć wymiany ognia, zabijania uzbrojonej ludności i zniszczeń, to pod żadnym względem nie była to zwyczajna misja bojowa. Bardzo musieli się wyteżać, starając się to pojąć.

W tym zakresie Zinni wniósł największy wkład.

Po upływie jednego dnia w kwaterze głównej CENTCOM-u Zinni i reszta sztabu 1. Korpusu Sił Ekspedycyjnych wyjechali do Camp Pendleton. W tym momencie Zinni miał już za sobą podstawowy przegląd sytuacji w Somalii i wizję misji, z którą będą musieli się tam zmierzyć. Ale jednocześnie sytuacja panująca w kraju zmieniała się tak błyskawicznie, że nikt nie miał pewności, co się tam dzieje ani co trzeba zrobić.

Kolejny tydzień upłynął na szaleńczym trwającym 24 godziny na dobę planowaniu i koordynacji działań.

Dziewiątego grudnia Zinni, Johnston i najważniejsi członkowie ich zespołu wylecieli do Somalii na pokładzie C-141. Korpus Sił

Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej (MEF) został tymczasem rozmieszczony pod Mogadiszu w okrętach desantowych i miał wylądować, żeby tego samego dnia zabezpieczyć port, lotnisko i ambasadę USA. C-141 z dowódcami i ich zespołem wylądował 10 grudnia.

## Mogadiszu

Tony Zinni opowiada:

Kilka godzin po wyjeździe z lotniska w Mogadiszu otrzymaliśmy telefonicznie informację, że francuski rząd chce się przyłączyć do operacji i wysłał do Mogadiszu jakiegoś generała z Dżibuti, gdzie znajdowała się francuska baza; ale francuski rząd upierał się, żeby ich generał zjawił się pierwszy na miejscu działań.

- Nie ma mowy - rzucił Johnston i jako dowódca koalicji nakazał, żeby Francuz wstrzymał się z przybyciem aż do naszego dotarcia na miejsce. Posłuchali.

Ta mała lekcja manier nie miała nic wspólnego z naszym stosunkiem do francuskiego wojska, które miało naprawdę wspaniałych żołnierzy (oni też często cierpieli z powodu arogancji własnych przywódców). Dzięki uczestnictwu w operacjach takich jak „Przynieść Ulgę” wiedziałem, że Francuzi byli warci zapłaty za nich w złocie tyle, ile sami ważyli, więc bardzo chętnie przyjęliśmy ich wsparcie pomimo tego początkowego zgrzytu. Nie zawiedli nas.

Gdy wylądowaliśmy, panował upał (Mogadiszu leży niedaleko równika), a lotnisko okazało się zdewastowane, po obu stronach pasa startowego tkwiły wraki starych radzieckich myśliwców Mig i mnóstwo innego złomu, ale marines z Korpusu Sił Ekspedycyjnych znajdowali się już na swoich pozycjach na lotnisku, gotowi go bronić. Przywitał nad

dowódca Korpusu Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej Greg Newbold\*[\* Newbold zrobił wspaniałą karierę w piechocie morskiej i zakończył służbę jako generał broni.], który pokrótce przedstawił nam sprawozdanie z obecnej sytuacji.

Doniósł, że w nocy przed desantem Korpusu Sił Ekspedycyjnych wysłał oddział komandosów z morskiej grupy desantowej marynarki wojennej na rozpoznanie; jakimś cudem sprawa przedostała się na zewnątrz i została przekazana zachodnim dziennikarzom, którzy przebywali w Mogadiszu. Dziennikarze zaś pospieszyli na plażę z reflektorami i aparatami fotograficznymi z fleszami, żeby zgotować komandosom z oddziału Fok olśniewające powitanie prasowe, gdy tylko pojawią się na brzegu. To był bardzo nerwowy - a potem bardzo nagłośniony - moment, (jeszcze bardziej utwierdziło mnie to w przekonaniu, że powinniśmy lepiej kontrolować to, co się działo).

Choć Aidid obiecał, że marines nie będą mieli żadnych problemów przy lądowaniu w Mogadiszu (lotnisko i port znajdowały się w południowej części miasta - na terytorium Aidida), Newbold nie chciał ryzykować\*[\* W ramach operacji UNOSOM 1 znajdował się już na miejscu również jeden pakistański batalion, ale był on wyjątkowo nieskuteczny - nie posiadając ani wystarczająco dużych sił, ani uprawnień, by wpłynąć znacząco na przebieg działań.].

Natychmiast zajął port i lotnisko, zabezpieczył tereny, usuwając szabrowników i włóczęgów, po czym poleciał do opuszczonego budynku ambasady amerykańskiej i również go zajął.

Wówczas zjawiliśmy się my i zaczęliśmy błyskawicznie ściągać nasze siły. Żołnierze wkrótce mieli dotrzeć na lotnisko i zapoznać się z

przygotowanym dla nich sprzętem, który właśnie był wyładowywany. Niebawem powinny zjawić się kolejne jednostki. Kanadyjskie okręty były już w drodze. Zamierzaliśmy spędzić kilka najbliższych dni, organizując stanowisko dowodzenia i odbierając kolejnych żołnierzy, żeby jak najszybciej rozpocząć operację, a także koordynując nasze wysiłki na całym obszarze działań.

Po sprawozdaniu Newbolda udaliśmy się do helikopterów, żeby przelecieć do niezbyt odległego obiektu ambasady amerykańskiej. Widok miasta z kabiny śmigłowca był przygnębiający. Całe miasto zostało zniszczone niczym Stalingrad w czasie bitwy. Ludzie, których dostrzegliśmy, w większości przeczesywali ruiny w poszukiwaniu żywności lub czegokolwiek przedstawiającego jakąś wartość.

Gdy wylądowaliśmy w kompleksie ambasady, zniszczenia okazały się nawet bardziej porażające. Wszędzie widać było skutki dewastacji i niczym nieskrępowanej grabieży budynków i pobliskich terenów. Marines tymczasowo utworzyli pośpiesznie strefę bezpieczeństwa wokół obiektu i zajmowali się oczyszczaniem okolicy z ciał i zwałów gruzu. Usunięto także grupkę uchodźców, którzy zajęli budynek ambasady. Cały obiekt był kompletnie wybebeszony. Wnętrza pomieszczeń były szerniałe, wypalone, pełne odpadków i ludzkich zwłok. Wypruto nawet przewody elektryczne ze ścian i zerwano granitowe płytki posadzki; wszystkie szyby w oknach zostały wybite. Choć nasi żołnierze ciężko pracowali nad porządkowaniem zastanego bałaganu, wiedzieliśmy, że przygotowanie tego miejsca do pracy to zadanie żmudne i długotrwałe.

Przyszykowaliśmy już alternatywne rozwiązania. Na przykład kwatera ONZ znajdowała się w eleganckim, nienaruszonym budynku



mieszkalnym; proponowano też Bobowi Johnstonowi jeszcze inną siedzibę, ale on odmówił. To była nasza ambasada - symbol amerykańskiego uporu, by odzyskać naszą własność.

Johnston nie uważał, żeby budynek dowództwa musiał mieć jakieś szczególne wygody i luksusy. Jedliśmy gotowe posiłki wojskowe tak samo jak żołnierze i na samym końcu korzystaliśmy z udogodnień takich jak kabiny prysznicowe.

Gdy pierwszej nocy kulilem się na betonowej podłodze pomieszczenia, w którym spałem, zastanawiałem się, jak to państwo mogło znaleźć się w stanie tak straszliwego chaosu. Stawaliśmy przed ogromnym zadaniem. Infrastruktura albo nie istniała, kompletnie zniszczona, albo nie nadawała się do użytku. Naprawienie dróg, lotnisk, portów czy magazynów wymagało wielkiego wysiłku inżynieryjnego - nie wspominając już o naprawie systemu elektryfikacyjnego czy wodociągowego. Prymitywne szpitale w Mogadiszu musiały codziennie uporać się z 45-50 ranami postrzałowymi; ale liczba ta niekiedy sięgała 150 przypadków dziennie.

Poza Mogadiszu żywność i podstawowe środki pomocy nie mogły dotrzeć do potrzebujących. Jeden konwój złożony z 25 ciężarówek, mający dostarczyć żywność głodującym Somalijszykom w Baidoa w Trójkącie Śmierci, wyjechał z Mogadiszu tydzień przed naszym przybyciem. Najpierw żeby wydostać się z miasta, konwój musiał zostawić trzy ciężarówki jako haracz dla miejscowych szalbierzy; 12 wozów padło łupem bandytów po drodze; zaś osiem samochodów ciężarowych skradziono, już gdy dotarły na miejsce. Tylko cztery ciężarówki wróciły do Mogadiszu. Ani jedna głodująca osoba nie

otrzymała żywności, którą wiozły.

### Operacja „Przywrócić Nadzieję”

Misja połączonej grupy operacyjnej „Przywrócić Nadzieję” polegała na zabezpieczeniu głównych obiektów transportu lotniczego i morskiego, najważniejszych obiektów miejskich i istotnych ośrodków dystrybucji środków pomocy, zapewnieniu swobodnego przepływu zaopatrzenia dla potrzebujących, zapewnieniu bezpieczeństwa konwojom i organizacjom humanitarnym, a także wsparcia w dostarczaniu pomocy humanitarnej organizowanego pod auspicjami ONZ. Nasza rola (tak jak ja ją pojmowałem) ograniczała się do zapewnienia ogólnego bezpieczeństwa, tak by potrzebne środki pomocy mogły być rozprowadzane szybko i bez przeszkód. Wyglądało to na krótkoterminową operację, która miała pomóc jak najszybciej uruchomić spóźnione już działania humanitarne oraz dać operacji UNOSOM możliwość dostosowania się do sytuacji i przejęcia misji od nas. (Potem dowiedziałem się, że ONZ miał inną wizję naszej misji).

Budowaliśmy nasz plan w czterech etapach.

Pierwsza faza obejmowała utworzenie przyczółka i zabezpieczenie obiektów niezbędnych do sprowadzenia i przechowania środków pomocy. Ponieważ port i lotnisko w Mogadiszu odgrywały w tym zasadniczą rolę, zaś większość organizacji humanitarnych miała swoje przedstawicielstwa w stolicy, w fazie pierwszej skupiliśmy się na zabezpieczeniu głównych obiektów w Mogadiszu. Rozciągnięcie tych działań na prowincję miało przyjść później. Sądziliśmy, że zajmie nam to około 30 dni, ale tak naprawdę zakończyliśmy tę fazę w tydzień.

Druga faza obejmowała rozszerzenie operacji na główne ośrodki

pomocy humanitarnej i ustanowienie bezpiecznych linii komunikacyjnych w interiorze kraju, pozwalających na transport zaopatrzenia do ośmiu obszarów operacyjnych przypisanych różnym amerykańskim i międzynarodowym jednostkom wojskowym. Cały obszar działań równał się połowie powierzchni Teksasu - ale obszar ten był trudno dostępny, dziki i miał słabo rozwiniętą infrastrukturę. Szacowaliśmy, że ta faza także zajmie nam 30 dni, ale wsparcie ze strony wielu różnych międzynarodowych formacji pozwoliło nam ukończyć fazę drugą 28 grudnia, 19 dni po wylądowaniu w Somalii.

Trzecią fazę - stabilizacyjną - rozumieliśmy jako bliżej nieokreślony okres, w którym stworzymy odpowiednie warunki do przejęcia całej operacji przez ONZ. Ku naszej ogromnej frustracji faza ta trwała aż do 26 marca, jako że ONZ okazał się wyjątkowo niechętny do przejęcia operacji. Choć rozumieliśmy, że pomiędzy naszym rządem i ONZ zostało zawarte porozumienie, że Organizacja Narodów Zjednoczonych przejmie sprawę w połowie stycznia lub najpóźniej w połowie lutego, to dowództwo ONZ formowało się niezwykle ślamazarnie i wyjątkowo powolnie przejmowało dowodzenie.

Czwarta i ostatnia faza - przejęcie operacji przez ONZ - trwała do 4 maja. Przekazanie wszystkich spraw nastąpiło dopiero po silnych naciskach ze strony rządu amerykańskiego.

Nasze pierwsze dni były wyjątkowo gorące. Ze wszystkich stron wywierano na nas presję, by wszystko zrobić natychmiast i równocześnie - naciskali na nas przedstawiciele Waszyngtonu, prasa, Somalijczycy, organizacje pomocy humanitarnej, ONZ. Wszyscy mieli własne pomysły na to, co należy zrobić, i wszyscy chcieli to osiągnąć bezzwłocznie.

Moim pierwszym pilnym zadaniem było utworzenie i uruchomienie naszych struktur dowódczych i łącznościowych. Na szczęście mój zespół wyśmienitych pułkowników pokonał koszmarne trudności i w mgnieniu oka doprowadził do użyteczności centrum operacyjne. Potrafiliśmy równocześnie oczyścić sterty śmieci i kierować całą operacją. Dla nikogo nie było taryfy ulgowej - generałowie pracowali ramię w ramię z szeregowymi żołnierzami.

Każdy sztab działający w warunkach terenowych musi szybko wejść w swój „rytm bojowy” - codzienną rutynę, harmonogram działań, procedury, wszystko to wsparte przez rozwinięty system łączności i dobrą organizację dowodzenia operacją. Tradycyjne misje bojowe przebiegają według z góry ustalonych procedur i schematów, które pozwalają zachować kontrolę nad wydarzeniami nawet wówczas, gdy sytuacja zmienia się w sposób nieoczekiwany. Nietradycyjne misje w szybko zmieniającej się rzeczywistości, które dodatkowo polegają na koordynowaniu i integrowaniu działań sił koalicyjnych, agencji cywilnych i innych organizacji, znacznie trudniej wchodzą w swój „rytm bojowy”.

W cyklu opartym na operacjach bojowych wiesz, kiedy masz zaatakować i otworzyć ogień, kiedy wprowadzić do walki samoloty itd. Zawsze pojawiają się niespodzianki i tarcia, ale istniejące procedury pozwalają ci przez to wszystko sprawnie przebrnąć. Tym razem musieliśmy uwzględnić wszelkie niebojowe czynniki w miarę ewolucji planów i ustalania ram czasowych skoordynowanych działań. Byliśmy tutaj po to, żeby karmić ludzi potrzebujących pożywienia każdego dnia. Zatem kiedy konwoje powinny wyruszać, tak żebyśmy mieli pewność, iż żywność będzie docierała codziennie na miejsca dystrybucji? Jak mamy

koordynować spełnianie wymogów bezpieczeństwa dla konwojów? Przecież ni stąd, ni zowąd mogła zjawić się jakaś organizacja pozarządowa z planem stworzenia własnych 23 stacji żywieniowych, która będzie żądała ochrony dla nich.

- Kiedy zamierzacie je obsadzić ludźmi? - pytaliśmy. - Kiedy uruchomicie te stacje? Gdzie się spotkamy na rozmowy w sprawie bezpieczeństwa?

Musieliśmy sobie też sami zadać fundamentalne pytanie i odpowiedzieć na nie: Jak dopasujemy się do takich wymagań w ramach naszych możliwości?

Takie zadania stały się częścią naszego cyklu działania. Ich związek z procedurami bojowymi jest nikły.

Rano po przyjeździe wydałem krótkie instrukcje, jak należy radzić sobie z takimi wymaganiami, i pozostawiłem realizację tych zadań w rękach moich zdolnych sztabowców.

Rano pierwszego dnia generał Johnston chciał, żebyśmy natychmiast ruszyli w drogę w celu nawiązania bezpośredniego kontaktu z tymi, którzy kierowali działaniami politycznymi i humanitarnymi. Wyruszyliśmy więc w teren w naszych wojskowych hummerach - nazywanych humnwee - wyładowanych uzbrojonymi żołnierzami.

Pierwsze spotkanie odbyliśmy z niedawno wyznaczonym przez prezydenta specjalnym wysłannikiem do Somalii, ambasadorem Bobem Oakleyem, w Biurze Łącznikowym Sił Zbrojnych USA (USLO) mieszczącym się w pobliskiej willi. Przejazdka tam dała mi możliwość bliższego przyjrzenia się katastrofalnym warunkom panującym w mieście. Tutejsze budynki były albo pokiereszowane kulami, albo zburzone;

ponurzy uzbrojeni w długą broń mężczyźni snuli się po ulicach, łypiąc wyzywająco w naszym kierunku; hordy oszołomionych i przerażonych ludzi wałęsały się wkoło, ospale rozgrzebując gruzowiska.

Pod siedzibą USLO załomotaliśmy w masywną, metalową bramę. Dwaj Somalijczycy otworzyli ją i wpuścili nas do środka. Na podjeździe znajdowało się dwóch wartowników ze służb ochrony dyplomatów - jedyni strażnicy, jakich dostrzegłem. Zapisałem sobie w pamięci, żeby dopilnować wzmocnienia straży.

Oakley wyszedł nas przywitać. Wysoki, szczupły, opanowany i bardzo sprawny dyplomata z ogromnym doświadczeniem w kontaktach z Trzecim Światem jako ambasador Stanów Zjednoczonych w Pakistanie, Zairze i Somalii. Wcześniej był oficerem wywiadu w amerykańskiej marynarce wojennej, a zatem znał i rozumiał wojsko. Okazał się bystrym, powściągliwym i opanowanym negocjatorem, który cieszył się wielkim szacunkiem Somalijczyków i międzynarodowych przedstawicieli w Somalii. Generał Johnston i ja od razu znaleźliśmy z nim wspólny język.

To, co polubiłem w Bobie Oakleyu, to entuzjastyczna postawa wiecznego namawiania do zakasania rękawów. W Somalii opanował po mistrzowsku sztukę robienia tego, co rzeczywiście dało się zrobić, a nie gonienia za jakimiś nierealistycznymi, wyidealizowanymi marzeniami. Kreślił przed nami wszystkie możliwe drogi, zaś my wybieraliśmy tę, która zdawała się nam najlepsza. Rozumiał też trudności związane z koniecznością kooperacji między cywilami, politykami, członkami organizacji humanitarnych oraz wojskiem i naprawdę dawał z siebie wszystko, żeby upewnić się, iż współpraca między wszystkimi stronami będzie przebiegała gładko. Oficerowie wojska uczestniczyli we wszystkich

ważniejszych negocjacjach dotyczących spraw politycznych i pomocy humanitarnej.

Najważniejszym zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa niewielkiemu sztabowi Oakleya. Zgodziliśmy się bez dyskusji, że rozmieścimy w jego siedzibie drużynę strzelców piechoty morskiej.

Następnie Oakley przedstawił nas Johnowi Hirschowi, który był jego prawą ręką w Afryce i starym przyjacielem i który początkowo został wysłany przez Departament Stanu, by był jego doradcą do spraw polityki. Później Oakley poprosił, żeby Hirsch był zarówno jego doradcą do spraw polityki, jak i zastępcą, zaś Johnston zgodził się natychmiast. Miało to wiele sensu. Zapewniało doskonały kontakt i koordynację działań, której tak bardzo potrzebowaliśmy, i okazało się doskonałym posunięciem\*[\* Oakley i Hirsch przedstawili potem jak dotychczas najlepszą relację o wydarzeniach w Somalii w swojej książce Somalia and Operation Restore Hope, wydaną przez United States Institute od Peace Press w 1995 roku.].

Następnie Oakley przedstawił nam swoje najbliższe plany.

Pierwszy miał złagodzić nasz wpływ w głębi kraju po rozciągnięciu działań poza stolicę. Ponieważ byliśmy 400-kilogramowym gorylem, zaś wszędzie wokoło panoszyło się wielu uzbrojonych miejscowych, starcia były nie do uniknięcia. Oakley sugerował więc, żebyśmy z góry zawiązali porozumienia z lokalnymi watażkami i cywilnymi przywódcami. On zaś wkraczałby wszędzie przed nami z niewielkim oddziałem sił specjalnych i symboliczną ilością żywności. Po wstępnym kontakcie i rozdaniu żywności wyjaśniałby naszą misję i zamiary, aż wreszcie wkraczałyby nasze siły. Jego odważna propozycja sprawdziła się znakomicie.

Ale zanim do tego doszło, jeszcze tego samego ranka Oakley

zaaranżował w siedzibie USLO spotkanie z Mohammedem Farahem Aididem i Alim Mahdim Mohamedem. Pozyskanie ich do współpracy zabezpieczyłoby nasze bazy logistyczne w Mogadiszu i pozwoliło ekspediować znaczną część naszych sił poza miasto, by zrealizować kolejny punkt programu Oakleya - plan utwierdzenia politycznej stabilizacji poprzez nawiązywanie porozumienia między 15 przywódcami frakcyjnymi walczącymi o władzę w południowej Somalii. Zamierzał wywierać naciski na dwóch przywódców frakcji, żeby przyjęli siedmiopunktowe porozumienie, które ułożył. Gdyby tylko uzyskał ich zgodę, mógłby przedstawić ją pozostałym 12 przywódcom.

Harmonogram dnia obejmował spotkanie z somalijskimi watażkami późnym rankiem, następnie lunch, potem spotkania indywidualne, jeśli będzie to konieczne, a w końcu konferencję prasową. Gdybyśmy mieli pozytywne wiadomości dla dziennikarzy na konferencji prasowej, nasza operacja zyskałaby świetny start psychologiczny.

Gdy czekaliśmy na naszych gości, przespacerowałem się po budynku, żeby zorientować się, jakie środki bezpieczeństwa należy wprowadzić, ale także żeby rozprostować nogi. W pomieszczeniu kuchennym na tyłach obiektu odbyłem pogawędkę z kucharzami - był to mój pierwszy bezpośredni kontakt z Somalijszczykami. Ponieważ wielu z nich musiało pracować w ambasadzie amerykańskiej przed jej ewakuacją, znali język angielski. Dowiedziałem się potem, że starsi mieszkańcy Somalii często posługiwali się również językiem włoskim, co stanowiło spuściznę okresu kolonialnego, więc moja znajomość włoskiego okazała się bardzo przydatna.

Gdy wracałem, zauważyłem młodą kózkę przywiązaną do drzewa.



Kiedy zatrzymałem się, żeby pogłaskać zwierzę, wszyscy Somalijscy szeroko się uśmiechnęli.

- To bardzo przyjacielskie stworzenie - rzekłem, a oni skinęli głowami.

Po czym dodali:

- Będzie bardzo smacznym kąskiem na lunchu.

Konwój Alego Mahdiego zjawił się pierwszy. Towarzyszyła mu nasza zbrojna eskorta, jak również jego osobista obstawa. Ponieważ znajdowaliśmy się w południowej części Mogadyszu, na terenie Aidida, Ali Mahdi zażądał dodatkowej ochrony.

Siedziba Aidida mieściła się po drugiej stronie brudnej ulicy, niemalże naprzeciwko budynku Biura Łącznikowego Sił Zbrojnych USA, ale to nie przyspieszyło jego przybycia. Aidid miał dobrze rozwinięty zmysł dramatyczny. Nie zamierzał spieszyć się z przyjściem do znajdującego się tuż obok gmachu USLO, lecz zmuszał wszystkich do czekania na jego wejście w wielkim stylu.

Ludzie Alego Mahdiego wyszli z samochodu podenerwowani. Gdy tylko uspokoili się przekonani, że nie czeka na nich żadna zasadzka Aidida, spocony Ali Mahdi pospiesznie opuścił swój pojazd i przywitał się z nami. W środku rozmawiał z nami, rzucając słowa szybko i jednocześnie wyrażając się rozwlekłe, cały czas nerwowo obracając paciorki trzymane w dłoni.

Aidid wciąż kazał na siebie czekać. Wszyscy zastanawiali się, czy w ogóle przyjdzie. A mnie przyszło do głowy coś innego: Czy mógłby pokusić się o zamach na Alego Mahdiego, teraz, kiedy ma go na własnym terenie?

Wyszedłem na zewnątrz, żeby zobaczyć, czy żołnierze zachowują czujność, po czym skontaktowałem się przez radio z naszym centrum operacyjnym, żeby przekonać się, czy po okolicy mamy rozsianych więcej oddziałów wojska świadczących o naszej sile.

Kiedy Aidid wreszcie dotarł na miejsce spotkania i wkroczył do sali z uśmiechem pewności siebie na twarzy, Ali Mahdi zdawał się sparaliżowany ze strachu, jednak szybko doszedł do siebie, gdy Aidid serdecznie uściskał go jak dawno niewidzianego przyjaciela.

Po przedstawieniu się i wstępnych wyjaśnieniach ze strony Boba Oakleya dwaj somalijscy przywódcy wygłosili pojednawcze przemowy. Aidid podkreślił znaczenie spotkania po upływie ponad roku separacji i konfliktu, przedstawił też kilka symbolicznych wstępnych propozycji, jak wspomóc proces pogodzenia stron.

- Musimy położyć kres podziałowi miasta - orzekł - poprzez usunięcie zielonej linii - biegnącej z północy na południe linii oddzielającej tereny Alego Mahdiego od terenów Aidida - i musimy zakończyć rozsiewanie propagandy wojennej przeciwko sobie.

Zamknął swoją przemowę wyrażeniem nadziei, że Somalia wkrótce znów stanie się krajem zdatnym do życia.

Szybko zorientowałem się, że ten człowiek miał nietuzinkową osobowość - nie był to zwykły zbir. Był wygadany i potrafił zachowywać się jak mąż stanu, z pewnością też nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że był naturalnym przywódcą tego kraju - postrzegał siebie jako równego Jerzemu Waszyngtonowi - i wierzył, że naszym celem było ziszczenie jego ambicji.

Ali Mahdi nie robił równie imponującego wrażenia. Jego przemowa

w zasadzie potwierdziła i powtórzyła to, o czym mówił Aidid.

Nastała pora lunchu. Moja znajoma kózka została wniesiona do sali dobrze upieczona i pokrojona na kawałki ułożone na tacy. Gdy podawano pieczeń, zauważyłem jeden duży kawałek - całą nogę, od udźca po kopyto - tkwiący w środku całej sterty mięsa. Siedziałem przy końcu stołu i ostatnim kawałkiem, który został, była ta gigantyczna noga. Wszyscy byli zachwyceni, gdy ją wziąłem i zacząłem niezgrabnie ogryzać.

Lunch był bardzo miły i wielce pożyteczny.

Aidid okazał się szczególnie pomocny. Stawało się oczywiste, że chciał być postrzegany jako uczestnik naszej operacji i wykorzystać tę współpracę do uzyskania możliwie największych własnych korzyści. Ale tak czy inaczej zgodził się współpracować przy zapewnianiu bezpieczeństwa w opanowanych przez niego obszarach Mogadiszu i dalszych regionach kraju. Miał też dla nas rozsądne rady. Potwierdził na przykład plan Oakleya mówiący o ostrożnym wkraczaniu na nowe obszary kraju:

- jeśli gangi i milicja będą wiedzieć, że wkraczacie - oznajmił nam - zejść wam z drogi i nie będą stwarzać problemów. Upewnijcie się też - ciągnął - żeby pierwsi żołnierze mieli żywność i lekarstwa, które będą rozdawać bezpośrednio ludności. W ten sposób ludzie nie będą postrzegać was jako jeszcze jedną uzbrojoną bandę, której trzeba się wystrzegać, lecz będą was kojarzyć z czymś dobrym.

Uwzględniliśmy tę poradę w naszych planach.

Oczywiście pojawiło się także kilka uwag w stylu „A, przy okazji...”. Jedna dotyczyła tworzenia politycznych komitetów, inna potrzeby sformowania narodowej policji. W tym czasie jednak nie przywiązywałem

zbyt dużej wagi do żadnej z nich, ale zainspirowały mnie nieco później.

Oakley przedłożył wówczas swoje siedmiopunktowe porozumienie do akceptacji.

Najważniejsze jego punkty mówiły o natychmiastowym i całkowitym przerwaniu wrogich działań i przywróceniu jedności Zjednoczonego Kongresu Somalijskiego, natychmiastowym i całkowitym przerwaniu rozsiewania wrogiej propagandy; a także zlikwidowaniu sztucznych linii podziału stolicy.

W Somalii negocjacje oznaczają niekończące się rozmowy przynoszące niewielki efekt, jako że każde porozumienie osiągnięte danego dnia poddaje się dyskusji ponownie dnia następnego. Aidid i Ali Mahdi nie chcieli więc szybko osiągnąć konkluzji, upierali się natomiast przy zorganizowaniu szeregu kolejnych spotkań.

Oakley nie zgadzał się na to.

- Na zewnątrz czekają dziennikarze i chcą dowiedzieć się, że osiągnęliśmy jakiś postęp - oznajmił im. - Musimy mieć coś pozytywnego i bardzo konkretnego, żeby nadać bieg naszym negocjacjom. Musimy dać ludziom jakiś wyraźny znak nadziei.

Po protestach i wahaniach przystali na trzy punkty. (Oakley odniósł sukces, ponieważ zdołał doprowadzić do podpisania całego porozumienia w ciągu kilku dni).

Bob Johnston i ja również nalegaliśmy, żeby „wozy techniczne” zniknęły z dróg Mogadyszu, aby zapobiec jakimkolwiek starciom z naszymi wojskami, i obaj przystali także na to.

Potem zostawiliśmy Aidida i Alego Mahdiego, żeby mogli porozmawiać prywatnie, podczas gdy my przygotowaliśmy się do

konferencji prasowej. Kiedy mieliśmy to już za sobą, Bob Johnston i ja odjechaliśmy, mając pewność, że pierwsze spotkanie z watażkami przebiegło nadspodziewanie dobrze, i mając świadomość, że zdobyliśmy dla sprawy Boba Oakleya, zręcznego polityka i wspaniałego partnera. Współpraca w zakresie bezpieczeństwa, która narodziła się na tym spotkaniu, pozwoliła nam osiągnąć cele pierwszej fazy operacji w zaledwie siedem dni, zamiast spodziewanych 30. Przyspieszyło to znacząco kolejną, najważniejszą fazę.

W następnej kolejności na naszej liście znalazło się spotkanie w budynku ambasady z Philem Johnstonem, bardzo kompetentnym, kreatywnym i pełnym zapału szefem HOC - Ośrodka Operacji Humanitarnej, Johnston, przewodniczący CARE, był wynajęty przez ONZ. Zadanie HOC polegało na koordynowaniu akcji pomocy humanitarnej w Somalii z ramienia ONZ.

Johnston, tak jak Oakley, był otwartym, praktycznie i pozytywnie myślącym człowiekiem, który koncentrował się na misji, a nie na prerogatywach. I tak jak Oakley, znał wojsko, wiedział, jak należy z nim pracować, i nie trzeba go było przekonywać o konieczności stworzenia silnego mechanizmu koordynacji działań. Natychmiast podchwycił nasz plan powołania CMOC w celu koordynowania naszych kontaktów z jego HOC, organizacjami pozarządowymi, agencjami pomocy humanitarnej, dodając przy tym sugestię, że może powinniśmy wybrać wspólną siedzibę dla CMOC i HOC.

To był świetny pomysł. Było to nie tylko logiczne, ale też ułatwiało życie organizacjom pozarządowym i agencjom pomocy humanitarnej, z których wiele nie chciało mieć bliskich powiązań z wojskiem; niektóre

zaś, takie jak Czerwony Krzyż, miały jawny zakaz współpracy z wojskiem.

Jeden z naszych pułkowników, Kevin Kennedy, który był już zaangażowany w operację „Przynieść Pomoc” i był dobrze zaznajomiony z humanitarnymi aspektami takich akcji, został wyznaczony na szefa Cywilno-Wojskowego Centrum Operacyjnego. Dwaj inni znakomici oficerowie, pułkownik Bob MacPherson i podpułkownik Buddy Tillet, dołączyli do zespołu wraz z garstką personelu do spraw cywilnych przydzielonego do naszej grupy operacyjnej.

Nasze spotkanie z Philem Johnstonem od razu przyniosło owoce. Następnego dnia byliśmy w stanie z powodzeniem wyekspediować pierwszy ochraniany konwój ze środkami pomocy. Pierwsze okręty wypełnione zaopatrzeniem dla ludności Somalii wpłynęły do portu w Mogadiszu i zostały tam rozładowane dzień później. Posunięcia te stanowiły właściwie pierwsze kroki fazy drugiej[\* Nasze kłopoty w Somalii spotęgowały się, kiedy problemy zdrowotne zmusiły Phila Johnstona do wyjazdu na dwa miesiące. Choć bardzo nam go brakowało, nasi oficerowie w HOC/ CMOC zrobili bardzo wiele, aby wypełnić lukę powstałą wskutek jego nieobecności, ja zaś robiłem, co mogłem, żeby pozostawać jak najbliżej operacji Cywilno-Wojskowego Centrum Operacyjnego - spotykać się z pracownikami organizacji humanitarnych, słuchając ich skarg, rozpracowując problemy, zanim zbyt się rozrosły. Wykonywaliśmy pracę zespołową, ale wymagającą wielkiego indywidualnego wysiłku od każdego z nas.]

Z wielu powodów nasze stosunki z organizacjami pozarządowymi i agencjami pomocy humanitarnej okazywały się nie zawsze udane - a

niekiedy były pełne napięć.

Koordinowanie prac tych niejednorodnych organizacji przypominało zapędzanie kotów do jednego stada. Ich kultura radykalnie różni się od kultury wojskowej i wiele z nich przejawia otwartą niechęć wobec wojska, która najczęściej wywodzi się stąd, że czują się one powołane do leczenia ran i usuwania zniszczeń, powstałych w wyniku jakiegoś konfliktu zbrojnego. Ponieważ łatwo może przyćmić je aktywność doskonale zorganizowanego wojska, zapalczywie bronią się przed tym: starają się zachować własną tożsamość i uwypuklić własny, odrębny wkład w ogólne wysiłki humanitarne. A ponieważ organizacje te różnią się znacznie pod względem wielkości, zakresu obowiązków, statutów czy źródeł finansowania działań (sponsorami mogą być instytucje rządowe, religijne, międzynarodowe czy osoby prywatne), często mają wyznaczony bardzo konkretny sposób funkcjonowania, który nie zawsze pasuje do wielkiego, skoordynowanego planu preferowanego i wprowadzanego przez wojsko. Ponadto w praktyce członkowie takich organizacji nie poddają się rygorystycznemu ukierunkowaniu i sztywnym strukturom organizacyjnym, podczas gdy jednocześnie poszczególne organizacje współzawodniczą ze sobą w zdobywaniu środków pomocy i wsparcia finansowego. W tym wszystkim nie ma zbyt wiele naturalnej skłonności do współpracy i zainteresowania nią.

W Somalii współdziałało ponad 60 organizacji humanitarnych. Spośród nich kilka wywodziło się z Organizacji Narodów Zjednoczonych; Biuro Zagranicznej Pomocy dla Ofiar Katastrof (OFDA), cywilna agencja rządu amerykańskiego, było stale obecne na miejscu za pośrednictwem swojej Grupy Pomocniczej Usuwania Skutków Katastrof (DART); stawiały

się tu także przedstawicielstwa podobnych agencji z kilku innych państw i wreszcie przybyło tu wiele organizacji pozarządowych - wszystkie działające dzięki sprawnemu mechanizmowi koordynacji wprowadzonemu przez Phila Johnstona. Ale mimo wszystko koordynacja wciąż przysparzała ogromnych trudności.

Przede wszystkim istniała pewna niechęć wobec wojskowej interwencji. Wiele agencji obawiało się, że wojsko sobie przypisze wszelkie zasługi za sukces operacji, mimo iż one pracowały w Somalii znacznie dłużej niż wojskowi. Niektóre agencje sprzeciwiały się natomiast jakimkolwiek uczestnictwu wojska w misjach humanitarnych, co argumentowały tym, że nie wiemy, na czym polega tego rodzaju praca, i możemy tylko wszystko zepsuć.

Pracownicy agencji pomocy humanitarnej mieli skłonność do łatwego tworzenia teorii na temat tego, kto jest zły, a kto jest dobry, przy czym tego rodzaju poglądy nierzadko były wysnuwane na podstawie niepełnych, osobistych doświadczeń czy sympatii, nie zaś na całościowym przeglądzie sytuacji. W kulturze krwawych porachunków rodzinnych bardzo łatwo zajmować strony na podstawie zażyłości. Ale również pracownicy humanitarni wykazujący rozmaite uprzedzenia często usilnie nalegali, żebyśmy pozbyli się ich „szczególnych” wrogów i sprzeciwiali się posadzeniu wszystkich przy wspólnym stole. W naszym mniemaniu to Somalijczycy powinni móc samodzielnie zdecydować, kto i jak będzie nimi rządził. Wiele organizacji pozarządowych uważało jednak, że to one wiedzą lepiej, i nie zdawały sobie sprawy nawet z tego, że tym samym traktowali Somalijczyków jak dzieci.

Największy spór toczyliśmy z tymi agencjami o naszą misję



bezpieczeństwa. Agencje zazwyczaj spodziewały się, że nie tylko zwiększymy bezpieczeństwo wszystkich ich pracowników, ale nawet zastąpimy ich własnych wynajętych ochroniarzy z bronią i zapewnimy całodobową ochronę wojskową ich siedzib oraz całodobową ochronę osobistą ich ludzi. Nie byliśmy w stanie tego uczynić. Z całą pewnością nie bez zasadniczych - i nieakceptowanych - zmian z ich strony.

Początkowo w samym Mogadiszu znajdowało się sporo ponad 500 obiektów i siedzib rozmaitych organizacji. Skonsolidowanie ich umożliwiłoby zapewnienie im pewnego bezpieczeństwa; jednak kultura pracy organizacji pozarządowych stawiała tego rodzaju konsolidację poza wszelką dyskusją. Agencje pomocy humanitarnej lubiły także trzymać młodzieżowy styl, pozwalając sobie na wiele swobody w poruszaniu się po mieście nocą, uczestniczeniu w imprezach czy spotkaniach towarzyskich. W Nowym Jorku, Los Angeles, Londynie czy Paryżu tego rodzaju wędrówki są absolutnie bezpieczne. W Mogadiszu trzeba było mieć nierówno pod sufitem, żeby pokusić się o to bez zbrojnej eskorty, a oni liczyli na to, że my im ją zapewnimy. Nie chcieli zmienić stylu życia, a my odmawialiśmy przydzielenia każdemu ochrony osobistej. Wszystkich ponosiły emocje.

W pewnym momencie ONZ zorganizowało szaleńczy bal kostiumowy. Byli zdumieni, kiedy odrzuciliśmy zaproszenie.

Gdyby farmerzy i kowboje mogli stać się przyjaciółmi, to może byłoby to możliwe również w przypadku wojska i pracowników misji humanitarnych. Przytłaczająca większość pracowników humanitarnych to mili ludzie, którzy odważnie czynią dzieło Boże; a jednak ich zachowanie znacznie różni się od naszego; patrzą na świat z innej, choć niewątpliwie

także uprawnionej perspektywy.

W wojsku na ogół mamy mało cierpliwości do osób w typie gości ratujących wieloryby, zwłaszcza gdy wydają się niepewni siebie i niezorganizowani. Jednak zazwyczaj nie wykazujemy wystarczającego zrozumienia dla ich wiedzy ani nie przejmujemy się tym, jak działania, które nam wydają się logiczne, mogą okazać się bezowocne z perspektywy ich pracy. Przeszłe doświadczenia nauczyły mnie, zaś przeżycia w Somalii ugruntowały to przekonanie, że obie strony powinny więcej pracować nad zrozumieniem się nawzajem i skoordynowaniem wspólnych wysiłków. Dobre wieści są takie, że w Somalii nasze codzienne kontakty nauczyły zarówno nas, jaki organizacje pozarządowe, jak to uczynić - takie działania, jak wysyłanie konwojów pod eskortą, obsadzanie i zabezpieczanie stacji żywnościowych, budowanie obiektów, weryfikowanie wynajętych miejscowych ochroniarzy, a także wiele innych, udało się przeprowadzić dzięki niesamolubnym staraniom obu stron.

Pod koniec pierwszego dnia pobytu generał Johnston i ja usiedliśmy, żeby dokonać oceny sytuacji przed złożeniem raportu głównodowodzącemu. Obaj byliśmy pełni optymizmu. Spotkania z Bobem Oakleyem i Philem Johnstonem przebiegły wyjątkowo pomyślnie. (Zespół składający się z Oakleya i Johnstona musi odnieść sukces, pomyślałem). Rada generała była taka, by trzymać się blisko ich obu i koordynować wysiłki w celu zwiększenia bezpieczeństwa oraz działania polityczne, humanitarne w ścisłej współpracy z nimi. To mi odpowiadało. Wydawało mi się to sensowne. Generał poprosił mnie również, żebym kontaktował się bezpośrednio nie tylko z jego sztabem, ale też ze sztabem CENTCOM-u, natomiast generał Hoar poinstruował mnie później, żebym taką

bezpośrednią łącznością objął też sztab połączonych sił zbrojnych. Wszystko to miało sporo sensu, choć było czymś raczej wyjątkowym przyznawanie tak szerokiego dostępu komuś o mojej randze i znaczyło, że darzą mnie sporym zaufaniem. Byłem zdecydowany korzystać z tego przywileju mądrze i starannie informować wszystkich o naszych posunięciach. Tak naprawdę pozwalało nam to uniknąć wielu potencjalnych nieporozumień.

Po tym podsumowującym spotkaniu otrzymałem aktualne informacje od ludzi z mojego centrum operacyjnego. Czynili błyskawiczne postępy przy tworzeniu siedziby naszego dowództwa. Jednak raporty od moich pododdziałów patrolujących ulice Mogadiszu budziły głębokie zaniepokojenie. W mieście wałęsało się zbyt wiele uzbrojonych band. Choć nasi ludzie dostrzegali też pozytywne oznaki. Wielu mieszkańców machało przyjaźnie i uśmiechało się na widok żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej.

Następny dzień okazał się mniej pomyślny.

Już na początku źli faceci postanowili nas szybko przetestować, żeby przekonać się, czy jesteśmy ulepieni z twardszej gliny niż żołnierze ONZ, których reguły użycia broni czyniły niemal niemożliwością ostrą reakcję na jakąkolwiek prowokację.

Musieliśmy sprowadzić zarówno samoloty myśliwskie, jak i helikoptery nad miasto i jego otoczenie, żeby dać pokaz siły, jak również wykonać rekonesans i zdobyć dane wywiadowcze oraz mieć osłonę z powietrza, gdy zaczęliśmy zapuszczać się poza granice miasta. Tego ranka dwa helikoptery zostały ostrzelane przez „wozy techniczne”. Choć śmigłowce błyskawicznie je zniszczyły, nie cieszyliśmy się z faktu, że ci

ludzie byli gotowi brać nas na cel. Oczywiście była to okropna pomyłka z ich strony. Ale szybka i zdecydowana odpowiedź załóg helikopterów pokazała, że trzeba nas traktować poważnie i my nie tolerujemy ataków.

Nie byliśmy oddziałami pokojowymi ONZ.

Wydarzenie to spowodowało mnie do wygłoszenia oświadczenia dla dziennikarzy, szeroko cytowanego w prasie:

- Sytuacja w Mogadiszu uległa zmianie. Wyatt Earp jest w mieście.

Najważniejsze spotkanie tego dnia odbyliśmy ze specjalnym wysłannikiem sekretarza generalnego ONZ, Ismatem Kittanim, weteranem dyplomacji z okresu walk w Iraku i starszym członkiem sekretariatu ONZ, a także z dowódcą wojskowym sił ONZ w operacji UNOSOM, pakistańskim generałem Mohamedem Shaheenem. W czasie wizyty w kwaterze ONZ towarzyszył nam Bob Oakley. Kwatera mieściła się w willi w centrum miasta i była zdecydowanie wygodniejsza niż nasza zdewastowana ambasada. Spotkanie przybrało zły obrót.

W siedzibie ONZ panowała wyczuwalna atmosfera wrogości. Kittani zajmował postawę konfrontacyjną od samego początku i z pewnością był rozwścieczony tym, iż wojsko amerykańskie zostało wezwane, żeby naprawiać skutki porażki sił pokojowych ONZ. Gdybyśmy my osiągnęli wówczas szybko pozytywne rezultaty, to porażka operacji UNOSOM-u wydawałaby się jeszcze dużo większa. Aż do tego momentu wyobrażałem sobie, że olbrzymie zadanie, jakie stanęło przed nami, sprawiało, że zasługi za sukces w oczywisty sposób należałoby przypisać wszystkim uczestnikom. W końcu pracy było wystarczająco dużo dla każdego, włącznie z ludźmi z UNOSOM-u. A jeśli zdołalibyśmy poprawić życie tym cierpiącym ludziom, to wszyscy moglibyśmy wracać szczęśliwi do

domów. Po raz pierwszy jednak zacząłem uprzytamniać sobie, jak daleko było naszym planom do wizji ONZ.

Wyłoniło się siedem punktów spornych.

Generalnie rzecz biorąc, jeśli Stany Zjednoczone chciały wziąć na siebie misję naprawienia sytuacji w Somalii, to świetnie. Ze swojej strony ONZ chętnie pozwoliłoby USA wykonać samodzielnie całą tę pracę.

Natomiast ujmując te kwestie sporne bardziej szczegółowo, Organizacja Narodów Zjednoczonych nie zamierzała szybko przejąć od nas tej misji ani też ludzie z UNOSOM-u nie zamierzali współpracować z nami w większym stopniu, niż wymagały tego minimalne wysiłki koordynacyjne przy usuwaniu naszych sił; byli też niechętni uznaniu jakichkolwiek porozumień, które zawarliśmy, czy programów, które chcieliśmy wprowadzić w życie. Na przykład zaproponowaliśmy utworzenie składającej się z Somalijszyków i dowodzonej przez nich policji. Ale UNOSOM sprzeciwił się temu - bez względu na wszelkie praktyczne argumenty - by Somalijszycy dowodzili czymkolwiek mającym istotne znaczenie. Dawano nam jasno do zrozumienia, że nasze porozumienia z frakcjami w żadnym razie nie będą wiążące dla UNOSOM-u.

Jako ostateczną zniewagę Kittani przyszykował zmianę nazwy operacji. Z jakiegoś powodu znanego tylko jemu i być może członkom biurokracji ONZ nasza ówczesna nazwa operacyjna - połączona grupa operacyjna, co było standardowym terminem wojskowym nadawanym takim koalicyjnym przedsięwzięciom - okazała się nie do przyjęcia dla ONZ i mieliśmy ją zmienić na UNITAF - Zjednoczone Siły Operacyjne.

Taka zmiana nazwy w zasadzie nie jest niczym istotnym i ma

niewielkie znaczenie praktyczne. Ale przy tym żądaniu arogancja Kittaniego stała nam ością w gardle, co nie pomogło uzdrowić relacji, które i tak już zaczynały się psuć. Nie chcieliśmy jednak robić niczego, by dać ONZ powód do oskarżenia nas o brak woli współpracy, ani też nie chcieliśmy utrudnić późniejszego przekazania im misji, więc zaakceptowaliśmy tę zmianę.

Kittani nigdy nie wyzbył się swojej wrogości wobec nas i nigdy nie przegapił żadnej sposobności, by utrudnić nam pracę - nawet jeśli stwarzane nam przeszkody obracały się przeciwko Somalijszykom.

Jakiś czas później Bob Oakley i ja wypracowaliśmy plan z wysokim komisarzem Narodów Zjednoczonych do spraw uchodźców, panią Sadako Ogatą, dotyczący ponownego przesiedlenia do Somalii 350 000 somalijskich uchodźców znajdujących się wówczas w Kenii. Ku ogromnemu rozczarowaniu madame Ogaty (której misja polegała na próbie przesiedlenia do ojczyzny prawie 1 000 000 uchodźców rozsianych po całym regionie oraz 500 000 przesiedleńców znajdujących się na terenie kraju) Organizacja Narodów Zjednoczonych odrzuciła nasz plan - bez zastąpienia go jakimkolwiek innym. Po prostu natrafiliśmy na mur. Tego rodzaju rzeczy zdarzały się nazbyt często.

Z czasem zacząłem częściowo rozumieć powody kryjące się za polityką obstrukcjonizmu prowadzoną przez ONZ, choć wciąż uważam, że popełniali błąd, nie starając się nawiązać z nami bliższej współpracy. Kooperacja i koordynacja pomogłaby nam wszystkim - nie wspominając już o Somalijszykach. Teraz jednak wiem, że ich wahanie wpływało z rzeczywistego strachu. Przede wszystkim ludzie z ONZ obawiali się, że zostaną na lodzie, gdy chaos i anarchia ponownie nastaną w mieście po

opuszczeniu go przez 400-kilogramowego goryla z USA. Mieli rację - po naszym wyjeździe powrócił chaos i zapanowała anarchia.

- Butros Ghali boi się, że wręczycie mu zatrute jabłko - tłumaczył mi jeden z urzędników ONZ. - Nie przejmie od was misji, dopóki nie wyciśnie z USA tyle, ile tylko będzie można.

Wyglądało więc na to, że spodziewali się po nas, iż oczyścimy cały kraj i zostawimy go w takim stanie, który znacznie osłabi możliwość prowadzenia przez watażków wojen pomiędzy frakcjami. Cel godny uwagi. Ale raczej niemożliwy bez wszczynania wojny totalnej.

Kittani i Butros Ghali usilnie wymagali od nas całkowitego rozbrojenia wszystkich Somalijczyków.

Wielkie dzięki!

Po prostu niemożliwością było - dla nas czy kogokolwiek innego - rozbrojenie Somalijczyków bez przelewu krwi ogromnej liczby ludzi. Broń mieli wszyscy i w przeważającej większości była to broń podręczna, łatwa do ukrycia.

Ta kwestia pozostawała istotną kością niezgody pomiędzy dowództwem sił zbrojnych USA i ONZ.

My myśleliśmy o stworzeniu bezpiecznego środowiska, podczas gdy Organizacja Narodów Zjednoczonych równocześnie robiła to, co potrafiła najlepiej - pracowała nad porozumieniami pokojowymi, wprowadzała programy dobrowolnego oddawania broni, reorganizowała narodowe siły policyjne, sprowadzała uchodźców i przesiedleńców z powrotem do ich domów czy wreszcie przejmowała misje bezpieczeństwa. Ale już od tego pierwszego spotkania wydawało się oczywiste, że nie zamierzają oni wykonać żadnych poważniejszych kroków bez nowego mandatu i

rezolucji Rady Bezpieczeństwa.

Do tego czasu wszyscy dawali do zrozumienia, że mamy pracować wspólnie.

- Hej, jesteśmy jedną drużyną - powtarzano wszędzie. - Mamy taki sam cel. Zastanówmy się, jak mamy współpracować.

Nagle trafiliśmy na mur. Zaczęliśmy tracić przeświadczenie, że będzie to krótka operacja. Wyglądało teraz na to, że nam przypadło rozwiązywanie całego problemu.

Musiałbym być ślepy, żeby nie zauważyć frustracji generała Johnstona i ambasadora Oakleya po tym spotkaniu. Ich nastrój odzwierciedlał mój.

Tego dnia wydarzyło się jednak więcej niepomyślnych rzeczy. Francuscy żołnierze w Mogadiszu ostrzelali autobus z nieuzbrojonymi ludźmi, zabili dwóch Somalijczyków i ciężko ranili siedmiu innych, po tym jak kierowca pojazdu pasażerskiego omyłkowo przejechał francuską blokadę drogi. Tłum rozgniewanych Somalijczyków zebrał się wokół francuskich posterunków, więc musieliśmy wkroczyć do akcji, negocjować zachowanie spokoju z przywódcami frakcji i wyciszyć całą sprawę.

Później inne skargi na francuskich żołnierzy w Mogadiszu w końcu zmusiły nas do przeniesienia ich oddziałów na obszar w pobliżu granicy etiopskiej, gdzie spisali się znakomicie. Misja w tamtym terenie nie była wcale dużo łatwiejsza niż w Mogadiszu, ale było tam zdecydowanie mniej napięć politycznych.

Następny dzień spędziliśmy na rozkręcaniu operacji.

Podzieliłem już naszą strefę odpowiedzialności na osiem Sektorów



Pomocy Humanitarnej (HRS) - termin ten wprowadziliśmy specjalnie po to, żeby uniknąć stosowania tradycyjnych terminów wojskowych, takich jak sektor operacji czy strefa działań. Chcieliśmy przekazać ludności, prasie i pracownikom organizacji humanitarnych intencje naszej misji jako „delikatniejszej” od normalnej misji wojskowej. Każdy sektor był wyjątkowy, a jego granice zostały wyznaczone na podstawie takich czynników, jak granice terytoriów klanowych i plemiennych, granice polityczne, warunki geograficzne, zasięg kontroli wojskowej, potencjał naszych oddziałów, utworzone ośrodki dystrybucyjne, zagrożenia bezpieczeństwa i linie łączności.

Dość szybko przejęliśmy operację „Przynieść pomoc” z Kenii i włączyliśmy ją w zakres naszych działań. Wkrótce w błyskawicznym tempie zaczęły napływać inne amerykańskie i międzynarodowe siły zbrojne.

Do marines z Korpusu Sił Ekspedycyjnych, którzy znaleźli się w Somalii, szybko dołączyli kolejni marines, ściągnięci przez nas na miejsce i wyposażeni w sprzęt z rozlokowanych w pobliżu okrętów, które przybyły do portu w Mogadiszu 12 grudnia, trzeciego dnia naszego pobytu w Somalii. Przybycie 10. Górskiej Dywizji wkrótce potem pozwoliło nam przejść szybko do końca drugiej fazy.

Choć generał Hoar początkowo przewidywał przyłączenie się siedmiu sprzymierzonych formacji wojskowych, zgodnie ze strategią „3-3-1” - trzech formacji afrykańskich, trzech arabskich i jednej ze świata zachodniego - trzeba było o tym zapomnieć już pierwszego dnia, gdy wojska z całego świata zaczęły domagać się udziału w operacji. Ostatecznie w UNITAF-ie wzięły udział wojska 26 państw i aż 44

następne państwa stały w kolejce, gdy musieliśmy zamknąć drzwi.

Wojska te były silnie zróżnicowane. Niektóre miały bardzo słabe możliwości, niektóre były obciążone restrykcyjną polityką danych państw, inne występowały z wielkimi wymaganiami i prośbami o wsparcie ze strony USA, ale na szczęście przynajmniej kilka formacji miało godne zaufania, sprawne jednostki gotowe do wyruszenia do akcji. Moje zadanie polegało na znalezieniu dla nich miejsca, zintegrowaniu ich z pozostałymi siłami uczestniczącymi w operacji, przydzieleniu im misji. Nie było to zadanie łatwe.

Mój sztab zaczął nazywać mnie „człowiekiem XXI wieku” po tym, jak jakimś sposobem poznajdowałem miejsca, gdzie szybko napływające siły międzynarodowe mogły utworzyć swoje obozy. Dowiadywałem się ni stąd, ni zowąd, że żołnierze z jakiegoś państwa, takiego jak Zimbabwe czy Botswana, niespodziewanie wylądowali na lotnisku i czekają na wskazówki. Wkładałem wówczas na siebie „żółtą kurtkę” - jak to ujeli moi sztabowcy - i usiłowałem „wcisnąć im jakąś nieruchomości”. Udawałem się na spotkanie z ich dowódcami lub z ich drużyną przednią, jeśli mieliśmy szczęście (dowódcy niektórych formacji narodowych nie mieli świadomości, że wysłanie drużyny przedniej zawsze okazuje się bardzo korzystne przed wysłaniem całości wojsk). „Najlepsze nieruchomości” znajdowały się oczywiście w bezpiecznych miejscach w sąsiedztwie najważniejszych obiektów w mieście. Najmniej pożądane „nieruchomości” mieściły się z dala od większych szlaków komunikacyjnych, w buszu, gdzie trudne warunki środowiskowe i zwiększona liczba zagrożeń czyniły z nich miejsca trudne do „sprzedaży”.

Ponieważ wkład poszczególnych państw - taki jak jednostki

transportowe czy szpitale polowe - często docierał do nas w kawałkach, poświęcaliśmy sporo energii na spajanie tych elementów z innymi, uwzględniając takie czynniki, jak język, kulturowe podobieństwa, zbieżność polityki i zgodność pod względem militarnym.

W miarę rozwoju operacji Departament Stanu wyszukiwał nowych uczestników UNITAF-u. Ogromna liczba międzynarodowych żołnierzy składających się na sztab koalicyjny bardzo szybko przemieniła naszą siedzibę w miejsce przywodzące na myśl bar z Gwiezdných Wojen. W szczytowym momencie w operacji „Przynieść Nadzieję” uczestniczyło 39 000 żołnierzy pod dowództwem UNITAF-u - choć nie zawsze byli to ci sami ludzie, którzy uczestniczyli w niej od początku. Żołnierze przychodzili i odchodzili, a tam gdzie to było możliwe, byli zastępowani przez różne specjalistyczne jednostki, bardziej przydatne w późniejszych fazach operacji. W ten sposób na przykład formacje piechoty mogły być zastępowane oddziałami inżynieryjnymi.

Ten dynamiczny przepływ ludzi wymagał precyzyjnego przydzielania zasobów ludzkich i zarządzania nimi, które obejmowało takie zagadnienia, jak reguły użycia broni, wsparcie logistyczne, obszary działań; zaś taka właśnie praca zarządzania zasobami ludzkimi spadała na mnie. Zaczęła działać tak zwana zasada zmniejszającego się zysku.

Otrzymywałem wiele osobliwych próśb o wsparcie. Jedna z najdziwniejszych dotyczyła świeżej żywności (to znaczy żywych kóz, owiec i kurczaków), inna wspominała o pełnych świadczeniach medycznych, z pokryciem kosztów błędów lekarskich włącznie, choć najczęściej pojawiały się oczywiście prośby o fundusze na żołd dla żołnierzy. Dyplomatycznie odrzucaliśmy wszelkie takie żądania.

Pomimo wszystkich trudności, z jakimi musieliśmy się zmagać - lub które musieliśmy znosić - wspaniale było mieć możliwość współpracy z tymi niezwykle barwnymi wojskami koalicyjnymi. Darzyliśmy tych żołnierzy ogromnym szacunkiem. Szczególną przyjemność sprawiało mi wizytowanie koalicyjnych jednostek w celu koordynacji ich działań lub... po prostu w celu sprawdzenia, jak się rzeczy mają. Nierzadko korzyścią z tego rodzaju wizyt był niespodziewany egzotyczny posiłek.

Najbardziej imponowali nam żołnierze afrykańscy. Prosimi o niewiele albo zgoła nie prosili o nic i chętnie podejmowali się najtrudniejszych zadań. Nasi marines zawsze udzielali im najwyższej możliwej pochwały za umiejętności i odwagę - chcieli mieć ich w swoich sektorach.

Ponieważ budynek ambasady był dość duży (wcześniej, w lepszych czasach, na terenie kompleksu ambasady znajdowało się na przykład pełne dziewięciodołkowe pole golfowe), mogliśmy rozlokować zespoły łącznikowe różnych sił koalicyjnych w pobliżu naszej kwatery.

Obecność zespołów łącznikowych nie napawała nas niezmaconym szczęściem.

Zgodnie z naszą polityką żołnierze koalicyjni, którzy wchodzili na teren obiektu, musieli rozładowywać broń zaraz przy wejściu. Procedura nakazywała, aby usuwać magazynki z ostrą amunicją z broni, a następnie potwierdzić, że broń jest rozładowana, wykonując strzał kontrolny do beczki z piaskiem. Wartownia i beczka z piaskiem znajdowały się tuż pod wybitym oknem mojego małego gabinetu na pierwszym piętrze, przez co wszelkie pomyłki przy rozładowywaniu broni ostro dawały mi się we znaki. Codziennie zdarzał się jeden, dwa przypadki wystrzału z broni, gdy wartownicy starali się wytłumaczyć, jak należy rozładowywać broń,

żołnierzom, którzy nierzadko nie mieli pojęcia, o co chodzi. Przy jednym z takich przypadkowych wystrzałów kula świsnęła mi obok nogi, gdy delectowałem się wieczornym papierosem nieopodal zrujnowanej fontanny przed naszą zdemolowaną kwaterą. To natychmiast przerwało mi rzadką chwilę relaksu.

Zdarzały się jednak również w pobliżu wystrzały pochodzące z wymiany ognia poza terenem ambasady. Pewnej nocy, gdy już spałem, pociski ciężkiego karabinu maszynowego kaliber 50 trafiły w betonowe obramowanie okna mojego gabinetu. To przykuło moją uwagę. Innym razem zostałem zaskoczony w toalecie stojącej obok budynku, gdy doszło do jakiejś wymiany ognia w okolicy ambasady, a miejsce, w którym przebywałem, stało się strefą ostrzału, na którą spadł grad pocisków. Wycofałem się do schronu naszego budynku, pospiesznie odnajdując tamtejszą toaletę. Po tym incydencie doceniłem wartość instalacji kanalizacyjnych wewnątrz budynków.

Tyle czasu, ile tylko mogłem, spędzałem na analizach naszych operacji poza Mogadiszu.

Razem z generałem Johnstonem stale podróżowałem za miasto do naszych jednostek w terenie, żeby osobiście zorientować się, co się dzieje i czego im potrzeba. Kiedy indziej jeździłem na patrole z Kanadyjczykami, odwiedzałem stacje dystrybucji żywności strzeżone przez Pakistańczyków, towarzyszyłem żołnierzom piechoty morskiej w poszukiwaniach składów broni, odwiedzałem sierocińce z naszymi specjalistami od spraw cywilnych.

Szczególnie zapadła mi w pamięć wyprawa do naszych marines na południu, pracujących w najbardziej odległym i rozpaczliwie

potrzebującym pomocy sektorze. Gdy podjeżdżaliśmy do tego pełnego kurzu, spalonego słońcem obozu, gdzie tylko wyschnięte szkielety drzew i krzewy łamały monotonię rudej, wyschniętej ziemi, nie mogłem nie zauważyć rzucającego się w oczy morza żółci w oddali. Gdy się zbliżyliśmy, zdałem sobie sprawę, iż wszyscy z tłumu cierpiących, którzy zdołali dotrzeć do obozowiska na własnych nogach, mieli na sobie żółte koszulki i żółte sarongi. Dowódca marines wpadł na pomysł, żeby podnieść na duchu tych biednych ludzi pogodnym kolorem. Na jego prośbę jego żona znajdująca się w Camp Pendleton zorganizowała akcję wśród rodzin żołnierzy i zebrała wszystko, co tylko mogła w kolorze żółtym - ubrania i tkaniny. Zadziałało. Gdy ludzie przychodzili po jedzenie, wodę, leki czy schronienie, otrzymywali żółte ubrania. O natychmiastowym działaniu tej akcji można było przekonać się po ich uśmiechach. Ale podniesienie ich morale przynosiło również długoterminowe skutki. Czyniło ich silniejszymi psychicznie.

Od czasów Wietnamu miałem w zwyczaju zgłębiać kulturę krajów, w których stacjonowałem. Podtrzymałem tę wieloletnią tradycję w Somalii i chłonałem wszystko, co tylko mogłem o somalijskiej ludności i jej kulturze. Czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce, często spotykałem się z Somalijczykami, zarówno z pojedynczymi osobami, jak i grupami ludzi, zaś Somalijczycy ze Stanów Zjednoczonych, których wynajęliśmy jako naszych tłumaczy i łączników, dostarczali dodatkowych informacji.

Jeden z ostatnich somalijskich współpracowników okazał się synem Aidida - student z Kalifornii i kapral w Korpusie Rezerwy Piechoty Morskiej. Choć jego nazwisko, tak samo jak ojcowskie, brzmiało Farrah, właściwie nie skojarzyliśmy go z ojcem aż do chwili, gdy znalazł się w

Mogadiszu. Gdy dowiedzieliśmy się, kim jest, stało się jasne, że wykorzystanie go jako tłumacza i łącznika byłoby trudne, więc zatrzymaliśmy go w naszej kwaterze głównej (gdzie od czasu do czasu ucinaliśmy sobie przyjacielskie pogawędki). Po śmierci ojca w 1996 roku (zastrzelonego w trakcie wymiany ognia w Mogadiszu), młody Husejn Aidid wrócił do Somalii i przejął organizację ojca. Po latach, kiedy dowodziłem CENTCOM-em, prowadziłem z nim sporadycznie korespondencję. (Somalia znów była obszarem, za który odpowiadałem).

Choć nie mogłem się spodziewać, bym kiedykolwiek zyskał tak wielką znajomość niezwykle złożonej kultury Somalijczyków, jaką zdobył Bob Oakley, udało mi się zrozumieć przynajmniej pewne sprawy podstawowe.

Istnieje kluczowa różnica pomiędzy Somalijczykami i ludźmi świata zachodniego. Ci pierwsi do niedawna byli nomadami, podczas gdy my od wielu pokoleń prowadzimy osiadły tryb życia w miastach, wsiach czy na farmach. Różnica ta ma poważne praktyczne konsekwencje. Na przykład poczucie czasu Somalijczyków jest diametralnie inne niż nasze - jest bardziej płynne, mniej logiczne i mniej precyzyjne. My w czasie negocjacji lubimy szybko przechodzić do konkluzji i pracować nad już ustalonymi porozumieniami. Lubimy posuwać się naprzód w sposób progresywny, linearny, żeby uporać się z jednym cholernym problemem i zająć kolejnym. Oni działają inaczej. Uwielbiają spotkania i komitety, gadanie dla samego gadania; lubią, gdy rozmowy trwają długo. Nie mają takiej silnej potrzeby osiągnięcia jakichś ostatecznych wniosków. Jako kiedyś ująłem przed moim studentami: „Dobra wiadomość w przypadku Somalijczyków jest taka, że u nich wszystko podlega negocjacom. Zła

wiadomość jest taka, że wszystko daje się negocjować bez końca. To, co ustaliliśmy wczoraj, wciąż jest podatne na dalsze negocjacje”.

Ich system jednostek plemiennych, klanowych, podklanowych i rodzinnych przenika całą kulturę. Wszystko podlega odpowiedzialności zbiorowej. Wszystko załatwiają klany i tylko klany. Nie ma wyraźnej koncepcji odpowiedzialności indywidualnej. Dlatego na przykład istnieje ścisły system „podatków od przelewu krwi”, czyli dhia. Krzywdy naprawia się, płacąc za nie. Jeśli nie dojdzie do takiej zapłaty, często pojawia się agresja.

System ten ma zasadnicze znaczenie dla lojalności Somalijczyków - nie narodu czy państwa. Jeśli tego się nie zrozumie, nigdy nie zrozumie się samych Somalijczyków.

Wraz z rosnącą wiedzą zwiększał się mój zakres odpowiedzialności. Ambasador Oakley znalazł dla mnie obowiązki wykraczające poza moje cele operacyjne, związane z bardziej bezpośrednią i osobistą pracą z Somalijczykami. Wkrótce za przyzwoleniem generała Johnstona zacząłem reprezentować Oakleya w szeregu somalijskich komitetów, które Oakley zawiązał, ponadto na jego prośbę zacząłem kontaktować się bezpośrednio z przywódcami różnych frakcji somalijskich.

Wziąłem na siebie oba obowiązki.

W ten sposób trafiłem do komitetu politycznego, bezpieczeństwa, sądowego, policyjnego i wielu innych, a także często spotykałem się z Aididem lub którymś z pozostałych watażków w takiej czy innej sprawie. Spotykałem się także z kólkami kobiecymi, związkami nauczycieli i innych grup zawodowych, żeby wysłuchać ich narzekań lub uzyskać obietnicę ich współpracy w rozmaitych przedsięwzięciach.



Te spotkania rzadko kiedy były łatwe, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę podejście Somalijczyków do negocjacji, a moja frustracja szybko się pogłębiała. W pewnym momencie nie wytrzymałem i zapytałem nawet Oakleya, czemu właściwie miały służyć te spotkania.

- Kiedy rozmawiają, nie walczą - odpowiedział. - Musimy angażować ich w jak najwięcej dyskusji.

Miał rację. Ale potrzebowałem trochę czasu, żeby to do mnie dotarło.

Z czasem uczestnictwo w Komitecie Bezpieczeństwa umożliwiło mi poznanie szefów ochrony zarówno Aidida, jak i Alego Mahdiego - generała Elmiego i generała Abdiego. Te znajomości pozwoliły zlikwidować wiele problemów i zażegnać wiele zagrożeń w trakcie rozwoju operacji.

Kolejnym ważnym Somalijczykiem, którego udało mi się poznać, był księgowy Aidida, Osman Atto. Atto był przedsiębiorczym, nieco staroświeckim kombinatorem. Maczał palce we wszystkim. Ponieważ niekończące się walki z pewnością szkodziły wielu interesom, nad którymi stale pracował, starał się jak mógł uspokajać Aidida i nie dopuścić do walk.

- Nie drażnij go - upominał mnie Atto. - To szkodzi interesom. (Utrzymywałem kontakt z Atto jeszcze po moim wyjeździe i okazał się on bardzo przydatny po moim powrocie do Somalii w 1995 roku).

Najważniejszym kontaktem zawodowym była jednak znajomość z samym generałem Aididem - co nie powinno dziwić, jeśli uwzględni się zmienną osobowość generała. Dziś zapewne nazywalibyśmy go schizofrenikiem - osobą maniakalno-depresyjną. Nigdy nie mogłem mieć

pewności, na jaki nastrój trafię, gdy odwiedzałem go w jego posiadłości. Kiedy miał nastrój męża stanu, był elokwentny i serdeczny, wygłaszał wzniosłe oświadczenia o Somalijszykach i sprawach międzynarodowych. Kiedy miał nastrój wiejskiego wójta, nudził wciąż o żalosnych problemach i narzekał na przebieg naszej operacji. Ale kiedy miał swój mroczny nastrój, był naprawdę przerażający. Nawet jego ludzie ostrzegali mnie, żebym go nie prowokował, kiedy znajdował się w takim nastroju.

Niezależnie od wszelkich trudności i niepewności we współpracy z nim był on zdecydowanie jedynym człowiekiem mogącym pokierować państwem. Jego organizacja w rzeczywistości stanowiła mały rząd ze wszelkimi biurokratycznymi naleciałościami (włącznie z teką ministerstwa turystyki). Niczym biurokraci z Waszyngtonu albo sprzedawcy samochodów z firmowych salonów Aidid lubił rozdawać długopisy z nadrukowanym logo własnej partii politycznej.

- Potrzebna jest administracja, biurokracja, wszystkie te drobiazgi do rządzenia państwem - odparł mi, gdy go o to spytałem - i tylko ja to mam.

Miał rację. Żaden z pozostałych przywódców plemiennych nie dysponował niczym podobnym.

Niewątpliwie był on niebezpiecznym człowiekiem, wymagającym baczego pilnowania, ale uważałem, że da się go kontrolować. Niekiedy współpraca z nim przebiegała bardzo łatwo, niekiedy trzeba było narzucać mu własną wolę, niekiedy zaś musiałem po prostu przeczekać jego zły nastrój. Mogłem to wszystko znosić, dopóki czyniliśmy prawdziwy postęp, a naprawdę czyniliśmy.

Ponieważ Aidid był niebezpiecznym człowiekiem, wymagającym stałego nadzoru, wiele osób uważało, że po prostu powinniśmy zastraszać

go - a jeśli to nie wystarczy, to użyć siły - żeby go podporządkować. Jak przekonał się później ONZ, takie postępowanie zrodziło mnóstwo problemów. Wydawało im się, że sobie z nim poradzą, nie mając bladego pojęcia, z czym się mierzą. Ja uważałem, że istnieją inne sposoby, by sobie z nim radzić.

Moje wizyty w siedzibie Aidida (lub siedzibie któregoś z pozostałych watażków) wymagały stworzenia niewielkiego konwoju złożonego z dwóch lub trzech wozów humnwee z uzbrojoną eskortą. Mój kierowca kapral Watts zazwyczaj wybierał ośmiu, dziesięciu marines ze sztabu, nakazywał im założenie wyposażenia bojowego i zabierał ich na taką wycieczkę.

Wewnątrz obiektu wszystkie budynki posiadały werandy, co jest typowe w krajach tropikalnych. Dziesiątki uzbrojonych po zęby mężczyzn zawsze kręciły się po okolicy i łypały zawadiacko na moich marines ze wszystkich zakamarków budynków. W czasie moich wizyt żołnierze piechoty morskiej stali obok samochodów, odpowiadając spojrzeniami na spojrzenia zuchwałych somalijskich bandziorów.

Nasze wejścia i wyjścia na ogół przebiegały bez żadnych incydentów - co było niezłym osiągnięciem, jeśli weźmie się pod uwagę okoliczności. Jednak jedna z naszych wizyt głęboko zapadła nam w pamięć. Kiedy wychodziliśmy z pojazdów, przywitały mnie zdumione wyrazy twarzy ludzi Aidida. Spojrzałem w kierunku drugiego humnwee w konwoju, który zdawał się budzić to poruszenie. Stała obok niego czarnoskóra Amerykanka w pełnym mundurze polowym i z wyposażeniem bojowym piechoty morskiej, z M-16 gotowym do strzału, wyglądała na twardego żołnierza.

Zająłem się swoimi sprawami. Kiedy 45 minut później opuściłem budynek, rozgorączkowanie wciąż się nie zmniejszało. Najwyraźniej Somalijscy nadal nie mogli uwierzyć własnym oczom - widzieli kobietę uzbrojoną w sprzęt bojowy piechoty morskiej.

W drodze powrotnej zwróciłem się do kaprała Watta.

- Wziąłeś z nami kobietę, co? - rzuciłem, wiedząc, że zrobił to specjalnie.

- Zabiłaby każdego równie skutecznie jak którykolwiek mężczyzna - uśmiechnął się.

Zaśmiałem się. Lubił stroić sobie żarty z Somalijsków.

Gdy znaleźliśmy się z powrotem w naszej kwaterze, poprosiłem kobietę uczestniczącą w akcji na krótką rozmowę. Kapral Watts miał słuszność. Zabiłaby każdego równie skutecznie jak którykolwiek mężczyzna.

Tymczasem ambasador Oakley czynił wyraźne postępy w swojej misji pokojowej. Na początku stycznia 1993 roku zaaranżował konferencję w Addis Abebie, na której stawili się wszyscy przywódcy klanowi, zaś w połowie stycznia wszyscy podpisali porozumienie pokojowe. Następnie przekonał opornych ludzi z ONZ, żeby pomogli zorganizować kolejną konferencję w Addis Abebie w połowie marca, na której wszystkie frakcje podpisały się pod planem utworzenia rządu tymczasowego, rozbrojenia bojówek i ustanowienia narodowej formacji policyjnej.

Stawało się coraz bardziej oczywiste, że Oakley odgrywał kluczową rolę w próbach pokojowego rozstrzygnięcia konfliktów pomiędzy Somalijskimi. Tylko on wzbudzał powszechne zaufanie i szacunek miejscowych. Ale nawet z jego udziałem była przed nami długa droga.

Gdy żywność zaczęła napływać, a my zaczynaliśmy redukować chaos i przemoc w Mogadiszu, tu i ówdzie w mieście zaszło niespodziewane zjawisko. Dawni policjanci zaczęli wychodzić na ulice, wszyscy ubrani w swoje zakurzone mundury i z policyjnymi pałkami - kierowali ruchem drogowym, rozwiązywali drobne konflikty, wprowadzali ład i porządek. Z pewnością było to jedno z tych pozornie nieistotnych wydarzeń, które w rzeczywistości miały wielką siłę oddziaływania. Tam, gdzie się pojawiali, wyrastały także budki handlarzy i prowizoryczne stragany. Policjanci symbolizowali bezpieczeństwo i ludzie lgnęli do nich, tak iż wokół nich tworzyły się „strefy bezpieczeństwa”.

W Somalii policja zawsze budziła wielki szacunek. Policjanci nigdy nie brali udziału w akcjach represyjnych kierowanych przez Siada Barre'a, nigdy nie zajmowali żadnej ze stron w zażartych walkach domowych, a nawet jakimś cudem cieszyli się przychylnością somalijskich watażków.

Ponowne pojawienie się policji na ulicach stwarzało nam wspaniałą okazję ku temu, by przekazać znaczną część obowiązków związanych z zapewnianiem bezpieczeństwa wyszkolonym, kompetentnym i cieszącym się szacunkiem Somalijczykom - niestety ONZ nie palił się do wykorzystania tej okazji. Baliśmy się, że stracimy tę sposobność, czekając na wykonanie odpowiedniego kroku przez ONZ. Ale kiedy Oakley usiłował przekonać Organizację Narodów Zjednoczonych, by zajęła się ponownym formowaniem policji, otrzymał odpowiedź odmowną. Zaś kiedy ONZ oznajmił, że nie zaakceptuje sił policyjnych pozostających pod kontrolą Somalijczyków, Oakley obarczył tą pracą mnie.

Choć w prawie amerykańskim występują silne ograniczenia angażowania się wojska USA w tej sferze działalności, Oakley nie zrażał

się i przekonał generała Johnstona, by pozwolił mi pomóc Somalijszym w wyprowadzeniu ich sił policyjnych na ulice. W efekcie stałem się szefem komitetu nadzorczego powołanego w celu odtworzenia formacji policyjnych.

Znakomity oficer żandarmerii wojskowej sił lądowych USA, podpułkownik Steve Spataro, samodzielnie ułożył plan i nawiązał współpracę z dawnym dowództwem policji, żeby zlustrować szeregi dawnych funkcjonariuszy, odbudować akademię policyjną, wprowadzić program szkoleniowy, zorganizować sprzęt i umundurowanie, a także uruchomić ponownie więzienia. Włosi i Japończycy dostarczyli pojazdów, mundurów i sprzętu policyjnego, my natomiast zajęliśmy się dostawami broni („przekazanej” w imieniu Alego Mahdiego, od którego ową broń przejęliśmy), a także tworzeniem systemu kontroli policji.

W końcu powstała narodowa policja składająca się z 4400 ludzi, działająca w 16 miastach, podczas gdy Oakley pracował wspólnie z naszymi prawnikami nad stworzeniem systemu więziennictwa, jak również utworzeniem komisji sądowniczej, która powoływała sędziów, przedstawicieli prawnych i wprowadzała nowy kodeks.

Choć w styczniu 1993 roku operacja UNITAF osiągnęła swój cel - stworzenie bezpiecznego środowiska dla prowadzenia misji pomocy humanitarnej - Somalia wciąż była niebezpiecznym miejscem, w którym przemoc mogła wybuchnąć w każdym momencie, bez uprzedzenia. Najwyraźniej w najlepszym z możliwych światów Somalijscy z ochotą i radością oddaliby swoją broń, przekuli ją na lemiesz i żyli w błogosławionym pokoju i harmonii. Ale ponieważ nie miało się to ziścić, musieliśmy wziąć pod uwagę gorsze sposoby pacyfikacji wojowniczej

społeczności uzbrojonej po zęby... jednocześnie borykając się z żądaniem sekretarza generalnego ONZ Butrosa Ghalego, żeby żołnierze UNITAF-u siłą rozbroili skłócone somalijskie frakcje. Z naszego punktu widzenia wciąż nie było to możliwe. Gdybyśmy podjęli taką próbę, przywódcy frakcji wszczęliby walkę; Mogadyszu stałoby się strefą wojny, zaś krwawe starcia położyłyby kres humanitarnym operacjom.

Alternatywną propozycją było zaproponowanie jakiejś premii za broń. Mogliśmy sypnąć pieniędzmi i zwyczajnie wykupić broń. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na niezły pomysł. Jednak w rzeczywistości była to w równym stopniu fantazja, co pomysł Butrosa Ghalego. Nie tylko kosztowałyby to nas fortunę, ale też nakręciłyby rynek handlu bronią, co z kolei spowodowałyby jeszcze większy jej napływ do kraju.

Rozwiązaniem stał się program stopniowej redukcji uzbrojenia na podstawie programu coraz ściślejszej kontroli broni, formalnej zgody na jej dobrowolne garnizonowanie\*[\* To znaczy składowanie jej w zabezpieczonych miejscach.] przez bojówki, przy ich jednoczesnej zgodzie na inspekcję tych składów, a także aktywnej pomocy w poszukiwaniu i konfiskowaniu niezgarnizonowanej broni.

To się sprawdziło. Usunęliśmy broń z ulic, zgarnizonowaliśmy broń należącą do bojówek somalijskich frakcji w Zatwierdzonych Składnicach Broni - AWSS, które nadzorowaliśmy i sprawdzaliśmy, a ponadto utrudniliśmy pracę dwóch rynków handlu bronią w Mogadyszu. Nasi przeszukiwacze przejęli tysiące sztuk broni i miliony sztuk amunicji. W ciągu kilka dni ceny broni poszybowały w górę; liczba ran postrzałowych, z którymi na co dzień musiały zmagać się szpitale, została zredukowana do pojedynczych przypadków, natomiast przywódcy frakcji zaczęli

uczestniczyć w procesie politycznym Oakleya bez strachu przed atakami.

Oczywiście nie planowaliśmy całkowitego zlikwidowania ryzyka przemocy. Nie było sposobu, żebyśmy mogli uniknąć agresywnej konfrontacji.

Jeden z incydentów o długoterminowych konsekwencjach wydarzył się w lutym w mieście Kismayo na południowym wybrzeżu.

Po zwycięstwie Aidida nad Siadem Barre'em generał Hersi Morgan, absolwent Szkoły dla Kadr Dowódczych i Sztabowych Sił Lądowych USA i zięć Barre'a, przejął dowództwo nad pozostałościami armii byłego dyktatora nieopodal granicy z Kenią. Na początku 1993 roku Morgan zaczął wysyłać zwiady w kierunku Kismayo, z których jeden sprowokował duży kontratak z użyciem amerykańskich śmigłowców szturmowych i belgijskich lekkich pojazdów opancerzonych (Kismayo znajdowało się w sektorze belgijskim). Po stracie kilku „wozów technicznych” i ciężkiej broni wojska Morgana zbiegły do lasów.

Pojawiły się znowu 22 lutego. Tej nocy Morgan przeprowadził atak na miasto (z pogwałceniem porozumienia zawartego pomiędzy przywódcami frakcji, mówiącego o przerwaniu działań zbrojnych do czasu zakończenia negocjacji pokojowych). Przeprowadził swoich żołnierzy, zebrał broń, którą wcześniej zdeponował (niezauważony przez wojska belgijskie), po czym zaatakował i odepchnął siły pułkownika Omara Jessa, sprzymierzeńca Aidida i kacyka rządzącego w Kismayo. Jess, który dopuścił się wielu okropieństw, nie cieszył się popularnością mieszkańców, więc jego usunięcie z miasta przyjęto z ulgą.

Naturalnie Aidid nalegał, żebyśmy usunęli Morgana z Kismayo i przywrócili w mieście władzę lessa. Choć Oakley i Iohnston dali



Morganowi i Jessowi ultimatum, które zmuszało ich do przywrócenia sytuacji sprzed napaści na Kismayo, a obaj przywódcy w zasadzie przystali na to, Aidid zorganizował brutalne akcje protestacyjne przed budynkiem naszej ambasady i w pobliżu kwatery ONZ w Mogadiszu. Musieliśmy je stłumić.

Demonstracje te wywarły poważny wpływ na UNOSOM, organizacje pozarządowe, dziennikarzy, którzy obawiali się ponownego wybuchu wojny domowej. Doniesienia prasowe pisane na podstawie niepełnego przeglądu sytuacji były przesadzone i nieprawdziwe. W rzeczywistości demonstracje te były bardziej przejawami rozdrażnienia niż bitwami.

Choć Aidid był mistrzem gry politycznej, jego brutalne demonstracje nie były zwykle skierowane przeciwko UNITAF-owi. Zazwyczaj oszczędzał siły i amunicję na starcia z wojskami egipskimi oraz wizyty Butrosa Ghalego. Egipcjanie nie cieszyli się sympatią Somalijczyków, natomiast sekretarz generalny ONZ był wręcz znienawidzony. W czasach pracy Butrosa Ghalego w egipskim ministerstwie spraw zagranicznych polityka, popierająca Siada Barre'a w oczach Somalijczyków podtrzymywała dyktatora u władzy. (Ponieważ Siad Barre przebywał na uchodźstwie w Nigerii, pojawiały się również demonstracje skierowane przeciwko żołnierzom nigeryjskim).

Tymczasem dowódca piechoty morskiej z sektora w Mogadiszu pułkownik Buck Bedard strzegł bezpieczeństwa w mieście żelazną ręką i zareagował błyskawicznie i zdecydowanie na wszystkie prowokacje Aidida.

Jednym z najbardziej skutecznych środków okazało się

rozmieszczenie snajperów w wyższych budynkach na terenie całego miasta. Gdy w ciągu kilku nocy z rzędu uzbrojeni bandyci usiłowali zająć doskonale na zasadzkę pozycje nieopodal naszej ambasady, wszyscy zostali zlikwidowani przez naszych snajperów. Ocalali organizatorzy zasadzki postanowili znaleźć sobie lepsze zajęcie na spędzenie wolnego czasu.

Później uzbrojeni bandyci z AWSS Aidida zaczęli strzelać na chybił trafił w stronę mijających ich żołnierzy. Kiedy moje ostrzeżenia nie położyły kresu strzelaniu, marines zaatakowali obiekt z użyciem śmigłowców szturmowych, czołgów i piechoty. Składnica broni została przejęta bez strat w naszych szeregach.

Zwołałem naradę w sprawie bezpieczeństwa na następny dzień. Było to pełne napięcia, konfrontacyjne spotkanie.

- Musicie podjąć decyzję tu i teraz - powiedziałem generałom Aidida. - Prowadzimy wojnę czy nie? Zdecydujcie. W zależności od tego podejmiemy dalsze działania.

Rzuciłem wówczas na stół kilka pocisków, które wylądowały na terenie naszej ambasady, pochodzące ze składnicy broni dopiero co przez nas zaatakowanej.

- Nie będziemy tego dłużej tolerować - oświadczyłem kategorycznie.

Generałowie udali się na rozmowy i wrócili mocno utemperowani.

- Miejmy to już za sobą - rzekł generał Elmi. - Nie będzie wojny. Następnie przeszedł do wyjaśnień, że trudna do kontrolowania, samodzielna i agresywna bojówka przejęła składnicę. - Żałujemy kłopotów, które z tego wynikły - stwierdził. - Skłonimy ich, żeby przestali to robić.

Nie mieliśmy z nimi więcej problemów.

Do aktów przemocy na ulicach Mogadyszu dochodziło w przeważającej większości przypadków w godzinach południowych, kiedy młode opryszki zaczynały odczuwać efekty żucia liści khat przez cały dzień. Liście khat (łagodnego narkotyku, powodującego u ludzi wyzbycie się zahamowań) przylatywały na zakurzone lotniska każdego poranka i były błyskawicznie rozprowadzane na stragany miejscowych targowisk, zanim straciły swoje właściwości odurzające. W godzinach przedpołudniowych wszędzie widywaliśmy ludzi żujących narkotyczne liście. Do godziny 15.00 wrogie gangi młodzieżowe czuły już, że są w stanie pokonać cały świat. Sporadyczne konfrontacje zbrojne z naszymi patrolami w każdym przypadku kończyły się tragicznie dla amatorów żucia liści khat.

Opryszki i ukryci strzelcy nie stanowili jedyne problemu w zakresie bezpieczeństwa. Mieliśmy do czynienia także z wieloma złodziejami - zdumiewająco zuchwałymi złodziejami, którzy nierzadko ryzykowali życie, by ukraść cokolwiek, niezależnie od tego, ile to było warte.

Pewnej nocy złodzieje przedostali się przez mur nieopodal drużyny marines. Zostali położeni trupem salwą z broni palnej, zanim ktokolwiek spostrzegł, że byli nieuzbrojeni.

Później przekazaliśmy ochronę otoczenia naszej siedziby mniej skutecznej jednostce koalicyjnej. Ale wówczas kolejna grupa złodziei przedostała się nocą przez mur i wtargnęła do wnętrza budynku. Obudziły mnie szepty ludzi mówiących w języku somalijskim. Chwyciłem pistolet, wybiegłem na korytarz i spostrzegłem, jak dwaj mężczyźni uciekają z

budynku. Kilka chwil później usłyszałem krzyki i odgłosy szamotaniny; sierżant sztabowy i adiutant generała Johnsona złapali jednego z intruzów.

Natychmiast dałem znać o swoim niezadowoleniu dowódcy koalicyjnej jednostki odpowiedzialnej za ochronę ambasady. Choć zapewnił mnie, że rozwiąże ten problem, nie sypiałem już dobrze i często sprawdzałem warty.

Znacznie bardziej irytujące były jednak młode uliczne łobuziaki. Niektóre urwisy rzucały kamieniami w konwoje i patrole - nie był to mądry pomysł, biorąc pod uwagę naszą przewagę ogniową. Jeszcze więcej problemów stwarzały próby grabieży towarów z naszych ciężarówek przejeżdżających ulicami. Raporty wywiadowcze mówiące o tym, że niektóre z tych dzieci mogły być wykorzystywane do podkładania bomb w naszych wozach, dodatkowo pogarszały sprawę. Po tym, jak nasi żołnierze eskortujący konwoje musieli zastrzelić i zabić kilku młodych złodziejasków, zaczęliśmy szukać sposobu powstrzymania tych dzieciaków bez wyrządzania im krzywdy. „Musi istnieć jakiś sposób użycia przeciwko nim nieśmiercionośnej broni” - powtarzaliśmy sobie. Nikt nie chciał zabijać dzieci.

Pewnego dnia przechodziłem obok naszego prowizorycznego parku maszynowego na terenie ambasady i zauważyłem żołnierzy gromadzących się wokół ciężarówki i testujących osobliwe urządzenie. Po chwili zorientowałem się, co to było - prowizoryczne elektryczne pastuchy połączone z akumulatorem samochodowym.

Pochwaliłem ich wysiłki innowacyjne, ale nie samo rozwiązanie. Nie było to urządzenie możliwe do zastosowania w przypadku tego problemu. Mogłem wyobrazić sobie zdjęcia CNN przedstawiające somalijskie

dziecko porażone prądem. Potrzebowaliśmy lepszego, bardziej trwałego rozwiązania. Ale gdy poprosiliśmy Pentagon o opracowanie jakiegoś zatwierdzonego, nieśmiercionośnego urządzenia, najlepsze, czym byli w stanie nam służyć, to małe pojemniki pieprzu w sprayu. Choć nie była to broń groźniejsza niż pieprzniczka stojąca w kuchni każdego domu, została ona dostarczona - co zdumiewające - z wyczerpującym programem szkoleniowym i regułami jej użycia. Nasi żołnierze musieli przejść odpowiedni program treningowy i zapoznać się z regułami zastosowania tej broni w akcji, przed jej wykorzystaniem. Biurokracja wykazała się pracowitością... ale przecież pieprz w aerozolu to tylko pieprz w aerozolu.

Zdawałem sobie sprawę, że ten problem z pewnością wróci, by prześladować nasze przyszłe operacje, i zapisałem sobie w pamięci, by się nim zająć.

Choć bezpieczeństwo było głównym celem naszej misji, inne sprawy wcale nie były mniej naglące. Zarządzaliśmy portami i lotniskami, przeprowadzaliśmy złożone operacje psychologiczne i programy cywilne, podejmowaliśmy się realizacji wielkich projektów inżynierskich w celu naprawy i odbudowy infrastruktury, a także zapewnialiśmy pomoc medyczną.

Nasze jednostki medyczne miały dodatkowo bardzo trudne zadanie utrzymywania żołnierzy w zdrowiu w tym okrutnym i niebezpiecznym środowisku. Do końca operacji straciliśmy ośmiu ludzi zabitych w akcji, 24 ludzi zmarłych z innych przyczyn (jedna osoba zmarła wskutek ataku rekina), 24 ludzi rannych w akcji, a także 2853 przypadki chorób i zranień (w tym ukąszenia przez węże).

Jednym z moich obowiązków było koordynowanie naszych operacji

psychologicznych i taktycznych.

Choć istniało mnóstwo źródeł informacji, Somalijczycy mieli ograniczony dostęp do dokładnych, aktualnych wiadomości. Większość nowych somalijskich źródeł - zwłaszcza z kręgów Aidida - przekazywała samą propagandę... w dużej mierze podżegając ludność. Publikowaliśmy ulotki, otworzyliśmy gazetę i założyliśmy radiostację, żeby przeciwstawić się kłamstwom. Gazeta i radio, które nazwano „Raji” - po somalijsku „nadzieja” - spotkały się z wielkim niezadowoleniem Aidida; który ostro nas kontratakował w audycjach własnej rozgłośni. Nastął okres „wojny radiowej”.

Kiedy wezwał mnie do swojej siedziby, żeby poskarżyć się na nasze audycje radiowe, oznajmiłem mu, że złagodzimy ton naszych audycji, kiedy on złagodzi wymowę własnych podburzających ludność programów. Przystał na to.

Było to kolejne zwycięstwo w bezkrwawej próbie sił.

Najbliższe miesiące miały pokazać, że Organizacja Narodów Zjednoczonych nie zdołała przyswoić sobie tej lekcji. Zamiast przeciwstawić się wrogim napaściom mediów Aidida tak jak my, ludzie z ONZ usiłowali zamknąć jego rozgłośnię. Wolność prasy musi działać w obie strony; nie zamyka się stacji radiowych tylko dlatego, że nie podobają nam się emitowane przez nie audycje. Konflikt, który narodził się w wyniku tego posunięcia, stał się potem początkiem otwartej wojny między ONZ i Aididem.

Przez cały czas trwania operacji w Somalii nie chcieliśmy wizyt VIP-ów - z prezydentem George'em Bushem włącznie.

Prezydent Bush odwiedził nas w Nowy Rok, kilka dni przed końcem

kadencji. To było wielkie pożegnanie.

Generał Aidid przysłał nawet ogromny tort jako prezent na powitanie, ozdobiony portretem amerykańskiego prezydenta i Aidida stojących obok siebie pod flagami Stanów Zjednoczonych i Somalii. Tort, nienaruszony, pozostawał w naszym biurze administracyjnym przez kilka dni, aż jeden z żołnierzy zauważył, że była to jedyna rzecz w całym pomieszczeniu, na której nigdy nie siedziały muchy. Miał rację. Kazałem go wyrzucić.

Najlepszym momentem wizyty Busha był przegląd naszych wojsk. Prezydent naprawdę nawiązał świetny kontakt z żołnierzami. Gdy maszerował wśród ich szeregów do mikrofonu, ich entuzjastyczne okrzyki szczerze go wzruszyły, doprowadzając niemal do łez.

Nigdy nie zapomnę tej sceny.

Niestety prezydent nie przywiózł ze sobą wieści, na które wszyscy czekaliśmy - planów rychłego przekazania naszej misji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Choć dawano nam do zrozumienia, że rozmowy w tej sprawie trwają, byliśmy rozczarowani, że tak naprawdę niczego jeszcze nie ustalono z ONZ. Obowiązek ten spadał więc na administrację Clintona. Takiej roboty jednak nie życzyłaby sobie żadna nowa administracja.

W miarę jak upływał luty i zaczynał się marzec, skoncentrowaliśmy wysiłki na stabilizacji pozytywnego środowiska, które stworzyła praca UNITAF-u, oraz promowaniu politycznych porozumień, które tak genialnie wypracował Oakley. W tym czasie często spotykałem się z Aididem, innymi kacykami, a także różnymi komitetami, usiłując łągodzić spory i podtrzymywać ugody.

Tymczasem ONZ nie przestawało zażarcie walczyć z nami w kwestii przekazania im całej operacji. Proces ten przeciągał się, ja zaś wciąż ślęczałem nad planem przekazania im misji.

Sekretarz generalny ONZ przedstawił nam szereg żądań niepodlegających negocjacji. Nie było mowy o przejęciu misji przez ONZ bez naszej akceptacji tych żądań. Na początek sekretarz generalny chciał, żeby operacja UNITAF-u trwała jeszcze po przejęciu jej spraw przez UNOSOM II. Wymagał pełnego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w każdej późniejszej operacji ONZ w Somalii. Upierał się też, żeby Siły Szybkiego Reagowania USA, amerykańskie jednostki wsparcia logistycznego oraz jakiś starszy rangą amerykański przywódca pozostali w kraju w charakterze specjalnego przedstawiciela do kierowania operacją. Dostał wszystko, czego sobie zażyczył.

Mimo to ONZ boleśnie powoli przejmowało wodze operacji. W lutym Butros Ghali wyznaczył szanowanego tureckiego generała broni Cevika Bira na dowódcę sił UNOSOM II. Generał dywizji sił lądowych USA Tom Montgomery został jego zastępcą. Kolejny Amerykanin, Jonathan Howe, czterogwiazdkowy admirał i były zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Busha, przejął od Kittaniego funkcję specjalnego przedstawiciela Butrosa Ghalego. Robert Oakley opuścił Somalię 3 marca, żeby zrobić miejsce Howe'owi. Bardzo brakowało nam Oakleya.

Do oficjalnego przekazania operacji doszło 26 marca, ale prowadziliśmy ją jeszcze aż do opuszczenia kraju 4 maja. W rzeczywistości sztab UNITAF-u dowodził nowymi siłami UNOSOM II. Sztab UNOSOM-u po prostu siedział beczynn timer na tyłkach, odmawiając



przejęcia od nas dowództwa, a jednocześnie wtrącając się we wszystkie nasze decyzje i poczynania. Dwa sztaby oficjalnie nadzorujące te same siły były naprawdę dziwnym zjawiskiem. Tak naprawdę jednak to my dowodziliśmy wszystkimi siłami, naszymi i ich, podczas gdy oni siedzieli beczynnie, usiłując co najwyżej ustalić politykę przyszłych operacji.

Plan ONZ, który zamierzali wprowadzić w życie, znacznie odbiegał od ustaleń Oakleya. Podczas gdy Oakley wskazywał kurs, zachęcając Somalijczyków do kształtowania własnego losu, ludzie z UNOSOM-u II myśleli raczej o konkretnym rozwiązaniu politycznym. Chcieli przebudować naród somalijski, wprowadzając w Somalii rządy demokratyczne własnego projektu - ONZ miał dyktować, kto będzie brał udział w tym politycznym postępie. (ONZ zamierzało na przykład wyłączyć z tego generała Aidida). Dostrzegaliśmy potencjalne problemy. W naszej opinii plan ONZ był zbyt ambitny i nie doceniano w nim siły i poparcia przywódców frakcji, jak również ich historycznej niechęci wobec ONZ. To był gotowy przepis na katastrofę.

W chwili gdy Oakley wyjechał z kraju w marcu, atmosfera na froncie politycznym drastycznie się zmieniła.

Przekazaliśmy dowodzenie UNOSOM-owi II 4 maja 1993 roku. UNOSOM II zorganizował ceremonię z wielką pompą, z udziałem muzyków i tancerzy.

Po uroczystościach pojechałem z Bobem Johnsonem na lotnisko. Gdy nasze dwa wojskowe hummery kluczyły po wąskich ulicach, generał zachowywał spokój, pogrążał się w myślach. Niespodziewanie rozkazał, żeby zatrzymać samochody przy pobliskim krawężniku, gdzie stało kilkoro dzieci. Na jego polecenie wyszliśmy z wozów. Generał zebrał

wszystkie długopisy i ołówki i rozdał je dzieciom (które były z tego powodu bardzo uszczęśliwione). Po tym skromnym akcie dobroci powoli rozejrzał się wkoło. Najwyraźniej coś chodziło mu po głowie.

- O czym myślisz? - zapytałem.

Podniósł wzrok i spojrzał na słoneczne niebo.

- Daję temu miejscu 30 dni - orzekł - a potem wszystko pójdzie w diabły.

Po upływie 31 dni jego przepowiednia się ziściła.

## **Powrót do Quantico**

Zinni szybko wrócił do pracy jako zastępca dowódcy w Dowództwie Bojowym Piechoty Morskiej w Quantico, ale nie opuszczały go myśli o sytuacji w Somalii. Nawet gdy wrócił do rutynowych zadań, utrzymał kontakt z Bobem Oakleyem, uczestnicząc z byłym ambasadorem w związanych ze sprawami Somalii odczytach i konferencjach na temat operacji humanitarnych i pokojowych.

Jego kariera w Korpusie Piechoty Morskiej rozwijała się dobrze. Jeszcze w Somalii został nominowany na generała dywizji. Oznaczało to, że miał prawo do noszenia wyższej rangi, ale nie otrzymał podwyżki finansowej ani rzeczywistego stopnia aż do chwili, gdy nadeszła jego kolej wśród osób wyznaczonych do awansu kilka miesięcy później. Promocja oznaczała, że w ciągu roku otrzyma jakiś nowy przydział - liczył na powrót do pracy z siłami operacyjnymi i może na dowództwo dywizji.

Piątego czerwca 1993 roku starcia pomiędzy tłumami lojalnymi wobec generała Aidida i pakistańskimi oddziałami UNOSOM-u, które wybuchły w Mogadiszu, przyniosły śmierć 24 Pakistańczyków i nieznaną liczbę Somalijczyków. Natychmiast całą winę za tę tragedię zrzucano na

Aidida, zaś obarczanie winą wkrótce przerodziło się w demonizację tego przywódcy. Dowództwo UNOSOM-u II obstawało przy swojej polityce marginalizacji wpływów Aidida i wywierania nacisków na jego następców. W ciągu kilku dni siły UNOSOM II i oddziały Aidida toczyły zacieklą wojnę, w której po obu stronach było wiele ofiar.

Narastający konflikt podał w wątpliwość wiarygodność misji Stanów Zjednoczonych w Somalii; Kongres USA i media przeszły do ataku. Przewidywania generała Johnstona stały się rzeczywistością: tragedia Somalii pogłębiała się z dnia na dzień; Zinni zaś mógł tylko przyglądać się temu wszystkiemu z boku.

Kilka tygodni później Zinni uczęszczał na kurs dla nowych dwugwiazdkowych generałów i admirałów w bazie lotniczej Maxwell. Podczas zajęć sporo dyskutowano o narastającym konflikcie w Somalii - jako wynikającym z uprzedniego poważnego zaangażowania sił USA w tym kraju. Na ostatnich zajęciach zjawił się dystyngowany gość, kongresman Newt Gingrich, który podjął tę dyskusję. Kongresman najwyraźniej był zaniepokojony udziałem Stanów Zjednoczonych w somalijskiej tragedii. Gdy Gingrich dowiedział się, że Zinni był dyrektorem operacyjnym UNITAF-u, wziął go na stronę i wypytał o wszystko. To przypadkowe spotkanie okazało się brzemienne w skutki i doprowadziło do powrotu Zinniego do Somalii.

Kilka tygodni później, 3 października, rozeszły się wieści o straszliwej bitwie na ulicach Mogadyszu pomiędzy amerykańskimi oddziałami sił specjalnych i bojówką Aidida. Komandosi z oddziałów US Army Rangers i Delta Force schwytali kilku głównych adiutantów Aidida w ataku przeprowadzonym z zaskoczenia. Bojówka Aidida odpowiedziała

ogniem z broni automatycznej i ręcznych granatników przeciwpancernych, przygważdżając rangersów i komandosów z Deltę i zestrzeliwując dwa śmigłowce transportowe UH60 Black Hawk sił lądowych USA. Próba odsieczy podjęta przez siły szybkiego reagowania została powstrzymana, zaś w rozgorzałej wymianie ognia, do której wówczas doszło, 18 żołnierzy amerykańskich zostało zabitych, a 78 rannych. Setki Somalijszyków straciło życie. Pilot amerykańskiego śmigłowca starszy chorąży Michael Durant został ranny, a następnie schwytyany przez bojówkarzy, a ciało zabitego żołnierza amerykańskiego bestialsko wleczono po ulicach. Wszystko to rozjuszyło amerykańską opinię publiczną.

W czasie trwania bitwy do Zinniego zadzwonił kongresman Gingrich. Miało odbyć się dwustronne spotkanie w Białym Domu.

- Co pańskim zdaniem powinniśmy zrobić z Somalią? - zapytał kongresman. - Czy powinniśmy wycofać się stamtąd, czy raczej posłać tam większe siły, by kontynuować walkę?

- Jeśli to są jedyne opcje - odpowiedział Zinni - to powinniśmy się wycofać. Wysłanie tam większej ilości wojska oznacza po prostu większą liczbę ofiar, także wśród ludności cywilnej, jak również poważne zniszczenia kraju. To nie jest tego warte.

- Jakie inne opcje nam pozostają?

- Najlepszym rozwiązaniem jest przerwanie walk i przywrócenie takiej sytuacji, jaka panowała przed zamknięciem misji UNITAF-u.

- Kto potrafiłby tego dokonać?

- Bob Oakley.

Dwa dni później Zinni późnym wieczorem oglądał rozgrywki baseballowe, kiedy zadzwonił do niego generał Mundy, komendant.

- Niech pan się stawi w bazie sił powietrznych Andrews jutro rano o godzinie 6.00 - rozkazał Mundy. - Z polecenia Białego Domu i na prośbę ambasadora Oakleya ma pan towarzyszyć ambasadorowi w misji specjalnej do Somalii.

- Tak jest, sir - odpowiedział Zinni. - Będę w samolocie.

- A przy okazji - rzucił generał Mundy - czy wie pan jak do tego wszystkiego doszło?

- Newt Gingrich wbił sobie do głowy, że znam trochę Somalię, zadzwonił do mnie pewnego dnia i zapytał, kto mógłby naprawić sytuację w tym kraju. Odpowiedziałem mu, że Bob Oakley.

- Powodzenia.

Zinni zamówił samochód, spakował rzeczy, po czym szybko zadzwonił do Oakleya.

- Wygląda na to, że lecę z tobą do Somalii - powiedział Zinni.

- No cóż, to ty mnie wrobiłeś - odparł Oakley - więc też weźmiesz w tym udział.

- Jak długo to potrwa?

- Nie jestem pewien. Ale stawiam na kilka miesięcy.

Zinni przepakował torby.

Nazajutrz rano, 7 października, spotkał się z Oakleyem w bazie sił lotniczych Andrews.

- Jaki jest plan? - spytał Zinni.

- Popracujemy nad tym w samolocie.

## **Z powrotem w Somalii**

Tony Zinni opowiada:

Gdy samolot C-20 sił powietrznych USA wzbił się w powietrze,

Oakley powiedział mi, że naszym pierwszym przystankiem jest Addis Abeba w Etiopii, gdzie spróbujemy wyjednać pomoc prezydenta Melesa Zenawiego. Meles i Erytrejczycy mieli w Mogadyszu kontakty, które mogły pomóc w nawiązaniu kontaktu z frakcją Aidida.

Później Oakley opowiedział o swoim spotkaniu w Białym Domu. Było jasne, że nie otrzymał żadnych konkretnych wskazówek. Prezydent spodziewał się po nim, że wykorzysta swój własny osąd.

W czasie długiego lotu do Addis Abeby pracowaliśmy nad zadaniami, które chcieliśmy wykonać. Nie mieliśmy wątpliwości co do tego, że na miejscu natrafimy na nowe wyzwania, które zmuszą nas do modyfikacji planów lub nawet uczynią je bezużytecznymi, ale to był zawsze dobry punkt wyjścia.

Pierwsze dwa kroki miały znaczenie zasadnicze. Osiągnięcie tych celów stanowiło warunek niezbędny do uzyskania dalszych postępów.

Po pierwsze, trzeba było doprowadzić do zawieszenia broni, by położyć kres rozlewowi krwi i umożliwić otwarty dialog.

Po drugie, więźniowie musieli zostać uwolnieni.

Oprócz starszego chorążego Duranta Aidid przetrzymywał również Umara Shantalego, nigeryjskiego żołnierza pojmanego w trakcie wcześniejszych walk.

- Ci więźniowie muszą zostać uwolnieni bezwarunkowo - rzekł Oakley. - Ameryka nie negocjuje w sprawie uwalniania zakładników.

Wiedzieliśmy, że nie będzie to łatwe; jeńcy dawali Aididowi pewną możliwość wywierania nacisku. Musieliśmy przekonać jego ludzi, że ich uwolnienie leży w interesie wszystkich stron.

Gdy już przebrnęlibyśmy przez tę przeszkodę, trzecie zadanie miało

polegać na ponownym powołaniu Komisji Bezpieczeństwa, takiej jak ta, która bardzo skutecznie rozwiązywała problemy w czasie operacji UNITAF-u.

Po czwarte, musieliśmy zorganizować konferencję humanitarną w Addis Abebie, przypuszczalnie już w najbliższym miesiącu, czyli w listopadzie 1993 roku.

Na wcześniejszych konferencjach udało się osiągnąć porozumienie - choć nie zostało ono w pełni zaakceptowane przez UNOSOM II.

Po piąte, musieliśmy rozważyć możliwość zredukowania obecności sił UNOSOM-u II w południowej części Mogadiszu, na terenie Aidida. W czasie operacji UNITAF-u próbowaliśmy utworzyć nasze linie logistyczne w innych miejscach, ale z mizernym skutkiem. Droga, port i lotnisko w Mogadiszu były niestety jedynymi elementami infrastruktury spełniającymi wymogi naszej operacji. Tak czy inaczej, postanowiliśmy jeszcze raz przyjrzeć się tej kwestii.

Po szóste, wciąż istniał problem Aidida. W jak wielkim stopniu przyczynił się on do wybuchu obecnych walk? Za co był osobiście odpowiedzialny? Czy powinniśmy z nim współpracować? Czy mogliśmy z nim współpracować?

Admirał Howe, specjalny przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ, po bitwie z 5 czerwca wyznaczył nagrodę 25 000 dolarów za głowę Aidida, a następnie przeprowadził ataki na przywódcę i jego najważniejszych ludzi. Aidid odpowiedział ogniem. Dopóki trwały takie walki, nie było mowy o rozsądnej dyskusji.

Na obronę Aidida przemawiało to, że kwestia jego winy pozostawała otwarta. W rzeczywistości ONZ rozważał wszczęcie dochodzenia

mającego ustalić fakty, podczas gdy sam Aidid apelował o wszczęcie niezależnego śledztwa - prowadzonego poza ONZ - które miałyby przeanalizować przyczyny i okoliczności konfliktu.

W świetle tych wszystkich wątpliwości postanowiliśmy przełożyć podjęcie decyzji w sprawie Aidida na przyszłość.

Po siódme, pozostawał problem prasy. Gdy rozeszła się wieść o naszej misji, pracownicy mediów zaczęli przybywać do Mogadiszu stadami. Trzeba było postępować z nimi bardzo ostrożnie. Aidid nadal był mistrzem w wykorzystywaniu prasy na własną korzyść, a ponadto rozwścieczona i skonfundowana amerykańska opinia publiczna i Kongres USA bacznie śledzili każdy nasz ruch.

W Addis Abebie przemyślenia, rady i sprecyzowane poglądy Melesa okazały się nadzwyczaj pomocne. W sprawie naszych dwóch zasadniczych celów miał dla nas wieści dobre i złe.

Aidid niedawno ogłosił bezwarunkowe, jednostronne zawieszenie broni. Choć ONZ nie zaakceptował go (woląc jak zwykle go ignorować), był to mimo wszystko pozytywny pierwszy krok.

Meles nie był jednak równie optymistycznie nastawiony do kwestii uwolnienia jeńców. W tym momencie ONZ przetrzymywał ponad 80 pojmanych ludzi Aidida na wyspie niedaleko południowego wybrzeża. Bezwarunkowe uwolnienie Duranta i Shantalego byłoby trudne bez jednoczesnej wymiany ich za część więźniów sił ONZ.

Co do innych nurtujących nas kwestii: 1. Meles uważał, że kolejna konferencja to dobry pomysł, i był gotów poprzeć ją w Addis Abebie. 2. W jego mniemaniu niezależny trybunał był najlepszym sposobem na poradzenie sobie z problemem Aidida. 3. Wymownie dał jasno do



zrozumienia, że UNOSOM nie sprawował się dobrze; zaś walki wzmocniły pozycję Aidida wśród jego zwolenników.

Dziesiątego października wylecieliśmy z Addis Abeby do Mogadyszu.

Ponieważ bezpośredni kurs z lotniska do naszej byłej ambasady - a teraz siedziby UNOSOM-u - był niebezpieczny, nasz helikopter poleciał drogą okrężną. Gdy zbliżaliśmy się do terenów ambasady, zauważyliśmy udoskonalenia, które UNOSOM wprowadził po naszym wyjeździe. Nasze namioty zostały zastąpione wygodnymi przyczepami; dowiedziałem się później, że również „prawdziwa żywność” zastąpiła nasze gotowe posiłki wojskowe. Na pozór wydawało się, że personel UNOSOM-u żył sobie znacznie wygodniej niż my. Jednak w czasie lądowania przeżyliśmy szok. Okazało się, że siły UNOSOM-u znajdują się w stanie ciężkiego oblężenia. Wszyscy żołnierze byli okopani lub kryli się za ochronnymi stertami worków z piachem. Nowe przyczepy także były chronione wysokimi ścianami z takich worków. Dosłownie nic nie ruszało się za bramami.

Oakley i ja spojrzeliśmy po sobie znacząco.

Po wysłuchaniu kilku wstępnych sprawozdań w naszym Biurze Łącznikowym, spotkaliśmy się z generałem Birem i Montgomerym, którzy wprowadzili nas bardziej szczegółowo w zaistniałą sytuację militarną. Było jasne, że panowały tutaj niezwykle napięte stosunki; kruche i niepewne zawieszenie broni jeszcze trwało, ale niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu.

Było też oczywiste, że ludzie z UNOSOM-u nie cieszyli się na nasz widok. W ich opinii „niepowodzenia” misji UNITAF-u uniemożliwiły ich

sukces, wykorzystywali więc każdą nadarzającą się sposobność, by zrzucać na UNITAF odpowiedzialność za wszystko, co poszło źle. Nic dziwnego, że nie podobało im się to, że przybyliśmy z powrotem, żeby podjąć próbę naprawienia sytuacji.

Nasza obecność nie pasowała też admirałowi Howe'owi, jak się przekonaliśmy w czasie spotkania z nim. W jego mniemaniu nasza misja nie mogła być ani pomocna, ani skuteczna; nie przystał też na żadne ustępstwa, które naszym zdaniem ułatwiłyby negocjacje.

- Strategia UNOSOM-u II musi pozostać taka, jak dotychczas - wyjaśniał - i powinna zmierzać ku izolacji, marginalizacji i minimalizowaniu wpływów Aidida, do zastraszania i podporządkowywania innych przywódców frakcyjnych, a także stymulowania demokratycznego postępu wśród zwykłych ludzi. - Wciąż nie zgadzał się na ogłoszenie zawieszenia broni, które zadeklarował Aidid. W jego opinii przerwanie działań przez Aidida było tylko wybiegiem propagandowym - operacją psychologiczną. (Howe zgodził się jednak, by „zawiesić operacje ofensywne”... czyli de facto przystał na zawieszenie broni pod inną nazwą. Mogliśmy to przełknąć).

Strategia Howe'a może była ambitna; ale jednocześnie stanowiła przepis na wojnę. Z frakcjami somalijskimi można było radzić sobie wyłącznie poprzez polityczne działania, które je bezpośrednio angażowały. Ich władzę należało stopniowo redukować poprzez wspólne porozumienia dotyczące rozbrojenia, a następnie wspólne organizowanie rządu tymczasowego, akceptowanego przez wszystkich. Z tego mógł wyłonić się proces skutecznie zastępujący rządy silniejszego, a w każdym razie mieliśmy taką nadzieję i modliliśmy się o to.

Organizacja Narodów Zjednoczonych za bardzo się śpieszyła. Nie doceniała potęgi lokalnych watażków i rzuciła im otwarte wyzwanie za wcześnie.

W tym czasie nie mogliśmy zaaranżować spotkania z samym Aididem; było to absolutnie nie do przyjęcia przez UNOSOM. Tak więc przedstawiciele Aidida spotkali się z nami w dawnym Biurze Łącznikowym Sił Zbrojnych USA (USLO). Ponieważ żołnierze piechoty morskiej ochraniający misję USA w Mogadiszu nie należeli do UNOSOM-u, stronnicy Aidida zgodzili się, by pełnili oni funkcję naszej ochrony. Jego ludzie traktowali wszystkich z UNOSOM-u jak trędowatych.

Przejażdżka przez miasto znów przypominała przeprawę przez powojenny Stalingrad. Na ulicach nadal brakowało policji, stragany i kramy zniknęły, budynki były bardziej zdewastowane niż kiedykolwiek. Wszystko, co udało nam się osiągnąć od naszego przybycia do Somalii ponad rok wcześniej, zostało zaprzepaszczone.

Ludzie Aidida zjawili się w budynku USLO w stanie przygnębienia. Wojna wpłynęła na utemperowanie ich zwyczajowej arogancji.

Oakley pozwolił im się trochę uspokoić, po czym wyłożył nasze stanowisko, skupiając się na dwóch najistotniejszych żądaniach.

- Wasze zawieszenie broni i zawieszenie operacji ofensywnych ze strony UNOSOM-u to dobry początek - powiedział im. - W ten sposób powstają podstawowe warunki dalszego postępu. Kolejnym krokiem musi być ponowne nawiązanie wzajemnych stosunków i dialogu.

- Ale - podkreślił - nic się nie ruszy z miejsca bez bezwarunkowego uwolnienia zakładników.

Kiedy goście, tak jak się spodziewaliśmy, oburzyli się na tę propozycję, Oakley pozostał niewzruszony. Wiedział, że chcieli oni wymiany jeńców, ale nie mogło być mowy o negocjacjach w sprawie uwięzionych Amerykanów.

- Przynajmniej zgódźcie się na wypuszczenie więźniów przetrzymywanych przez ONZ po tym, jak przekazemy wam pojmanych żołnierzy - nalegali.

- To niemożliwe - rzekł Oakley. - Nie możemy posunąć się dalej, zanim nie będzie bezwarunkowego zwolnienia zakładników.

Po dwóch godzinach pełnych emocji rozmów Somalijczycy zgodzili się pójść ze sprawą do Aidida, a następnie wrócić do nas.

W tym czasie jakiś helikopter przeleciał nad naszymi głowami, rozrzucając ulotki propagandowe wzywające do aresztowania Aidida. Ludzie Aidida wściekli się. Ulotki niemalże doprowadziły do przerwania rozmów. Wielkie dzięki!

Wcześniej dopilnowałem, żeby żadne operacje nie były prowadzone w tym szczególnie delikatnym czasie, ale doszło do zrzucenia ulotek. Co zdumiewające, działania militarne w Mogadiszu przebiegały niemal bez żadnej koordynacji. Różne dowództwa UNOSOM-u miały, jak mawiano w Waszyngtonie, strukturę drabiniastą. Wszystko było ze sobą powiązane hierarchicznie - od góry do dołu - natomiast nie było żadnych powiązań bocznych.

Na szczęście udało nam się załagodzić sprawę i Somalijczycy wyszli z budynku USLO uspokojeni.

Później, kiedy zgañem oficera odpowiedzialnego za operacje psychologiczne, okazało się, że nie miał on bladego pojęcia, co powinien

robić - i, co gorsza, kto był za to odpowiedzialny. Pod dowództwem UNITAF-u miał jasną drogę służbową; lecz teraz nikt nie koordynował pracy z nim i nikt nie był w stanie zatwierdzić jego działań.

Kolejnego dnia nawet próbował skłonić mnie, żebym zatwierdził jego ulotki, ale musiałem mu odpowiedzieć, że nie jestem do tego upoważniony. Musiał skontaktować się z UNOSOM-em.

W ciągu następnych dni kilka przeprowadzonych przeze mnie rozmów potwierdziło to, co już wiedziałem - w Somalii panował całkowity zamęt, ale nie musiało tak być.

Tego wieczoru odbyłem rozmowę z pułkownikiem Kelvinem Kennedym i kilkoma innymi osobami, które znałem z organizacji pozarządowych. (W trakcie operacji UNITAF-u Kennedy kierował Cywilno-Wojskowym Centrum Operacyjnym. Teraz, już po zakończeniu służby, wrócił do Somalii, żeby pracować z agencjami pomocy humanitarnej ONZ). Ich otwarcie wyrażana ocena obecnej sytuacji nie była zachęcająca.

- UNOSOM stwarza problemy, nie rozwiązuje ich - oznajmili mi. - Ich szefowie są albo karygodnie ślepi na to, co dzieje się na ulicach Mogadyszu, albo kłamią w żywe oczy. Prawie codziennie rano pracownicy misji humanitarnych otrzymują od UNOSOM-u sprawozdania - takie jak te, które zwykły powstawać w Moskwie w czasach sowieckich. Byłoby to godne śmiechu, gdyby nie fakt, że wszystko, co się tu dzieje, jest zbyt straszne, żeby się śmiać. Za każdym razem niezmiennie donoszą o spokoju w mieście i braku operacji wojskowych ubiegłej nocy, podczas gdy wszyscy wiemy, że prowadzono akcje wojskowe - słyszymy strzały, w szpitalach widzimy rannych Somalijszyków. Jednocześnie - tłumaczyli -

każde dowództwo tej drabiniastej struktury ma własny wywiad, jeśli można to tak określić). Pomyłki się mnożą. Nic dziwnego, że siły UNOSOM-u szukające Aidida i jego pachołków atakują domy Bogu ducha winnych ludzi. Przez pomyłkę zaatakowali nawet raz obiekty ONZ.

Tej nocy nie mogłem spać. Zaczęły do nas docierać dane o ogromnych kosztach tej wojny. Od starcia 5 czerwca, które poprzedzało wszczęcie czteromiesięcznych działań wojennych, 83 żołnierzy UNOSOM-u zostało zabitych w akcji (26 spośród nich miało amerykańskie obywatelstwo), zaś 302 żołnierzy UNOSOM-u zostało rannych (w tym 170 Amerykanów). Ale życie straciły tysiące Somalijczyków. Uważałem, że jest to znaczna przesada, gdy współpracownicy Aidida poinformowali nas, że stracili 10 000 ludzi - z czego 2/3 stanowiły kobiety i dzieci - lecz doniesienia pracowników misji humanitarnych z somalijskich szpitali oraz nasze własne źródła wywiadowcze z czasem potwierdziły, iż liczby te nie odbiegały daleko od prawdy. Nie mogłem uwierzyć w zakres masakry trwającej od rozpoczęcia walk.

Każda ze stron przedstawiała inną wersję wydarzeń z 5 czerwca.

W miesiąc po przekazaniu przez UNITAF operacji UNOSOM-owi następowało stałe pogarszanie się nigdy nie nazbyt przyjaznych stosunków między ONZ i Aididem. Rozbieżności w wielu kwestiach - roli frakcji somalijskich w procesie politycznych przemian (ONZ chciał zmarginalizować ich wpływ), radiostacji Aidida (ONZ chciał zlikwidować jej podżegające do buntu programy), policji i sądownictwa (ONZ nie był przekonany, że Somalijczycy są w stanie nimi kierować), a także uczestnictwa w konferencjach politycznych (ponownie ONZ chciał

zmarginalizować wpływy niektórych frakcji, zapraszając na konferencje tylko delegatów zatwierdzonych przez ONZ) - prowadziły do narastania napięć i wykształcenia się wrogich postaw, przy których najdrobniejsza iskra mogła wywołać eksplozję. Wybuch ten nastąpił właśnie 5 czerwca.

Na początku czerwca zaczęły się rozchodzić pogłoski (całkowicie słuszne), że UNOSOM zamierza zamknąć rozgłośnie radiową Aidida, Radio Mogadyszu, mieszczącą się obok jednej z Zatwierdzonych Składnic Broni (AWSSs). Tymczasem UNOSOM trzymał się polityki przeprowadzania inspekcji składnic bez uprzedzenia lub z minimalnym uprzedzeniem. Po południu 4 czerwca, w piątek, czyli święto dla muzułmanów, nie najlepszy moment na stawianie żądań, dwaj oficerowie UNOSOM-u zjawili się w kwaterze głównej Aidida, by wręczyć mu powiadomienie, iż inspekcja odbędzie się nazajutrz o świcie. Jak to bywa, oficer odpowiedzialny był nieobecny, zaś jego podwładny, który odebrał to powiadomienie, nie był skłonny do współpracy.

- Inspekcja w tak krótkim czasie jest niemożliwa - oznajmił im zastępca. - Potrzebujemy więcej czasu na przygotowanie się do niej.

Oficerowie UNOSOM-u obstawali przy swoim.

- Inspektorzy zjawią się w składnicy o poranku - stwierdzili.

Oficer Aidida stał się wówczas bardziej wojowniczy.

- Jeśli się zjawią, to będzie wojna - odparł.

We wczesnych godzinach porannych w składnicy stawili się inspektorzy pod eskortą żołnierzy pakistańskich. Kilka chwili później przywitał ich wściekły tłum. Gdy żołnierze usiłowali wejść do budynku rozgłośni radiowej, doszło do szamotaniny i pewien Somalijczyk został zastrzelony. Wieść o walce rozprzestrzeniała się błyskawicznie, a

rozjuszone zgraje doprowadzały do awantur w wielu częściach miasta. Jedna z nich napadła na stację żywniową strzeżoną przez pakistańskich żołnierzy i wielu Pakistańczyków zostało zastrzelonych lub trafiło do niewoli. Kolejny spory tłum zaatakował pakistańskie oddziały wracające z inspekcji i następni żołnierze zostali zabici, ranni lub pojmmani. Pod koniec dnia 24 Pakistańczyków straciło życie, 57 było rannych, a sześciu zaginionych.

W tym momencie prawda stała się drugorzędna, górę wzięły emocje. Rozsądek zszedł na drugi plan. Istotne pytanie: czy zbrojne tłumy tworzyły się spontanicznie? Czy też, jak twierdzili ludzie z UNOSOM-u, bojownicy Aidida zaplanowali zasadzki? Frakcja Aidida - i większość pozostałych Somalijczyków - twierdziła, że ataki te stanowiły spontaniczną reakcję na zagrożenie działalności stacji radiowej i zabicie Somalijczyków w czasie inspekcji składnicy broni. Jest całkiem możliwe, że tłumy zostały podburzone przez przywódców z kręgów bliskich Aididowi, choć bez wcześniejszego planowania tak wielkiego buntu).

Aidid nie załagodził sytuacji następnego dnia, kiedy przez swoje radio wygłosił przemówienie, wychwalając w nim ludność, która podniosła bunt w celu wyrzucenia cudzoziemców (z perspektywy UNOSOM-u była to kolejna prowokacja i przyznanie się do winy). Jednocześnie przedstawił zadziwiająco rozsądną propozycję bezstronnego dochodzenia w sprawie przyczyn tej zbrojnej konfrontacji, po którym liczył na pokojowe rozwiązanie problemów.

UNOSOM II nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Postanowiono, że Aidid i jego porucznicy muszą zostać doprowadzeni przed oblicze sprawiedliwości, a za głowę Aidida wyznaczono nagrodę w wysokości 25



000 dolarów.

Po tym rozgorzały kolejne bitwy. Dowództwo UNOSOM-u zarządziło ataki lotnicze; siły Aidida przeprowadzały zasadzki. Eskalacja przemocy w tych walkach trwała, w końcu Stany Zjednoczone wysłały siły specjalne w celu pojmania Aidida i jego poruczników. Siły specjalne przeprowadziły kilka operacji z mieszanymi efektami, aż tragedia z 3 października sprowadziła Boba Oakleya z powrotem do Somalii.

Tymczasem razem z Oakleyem utrzymywaliśmy bliski kontakt z ambasadorami Nissanem i Menhariosem, łącznikami etiopskim i erytrejskim, którzy pośredniczyli w naszych rozmowach z Aididem. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy wieści o jeńcach.

W końcu dotarła do nas informacja, że Aidid przystał na ich uwolnienie. Jednak zgodził się przekazać ich tylko bezpośrednio nam, a nie UNOSOM-owi.

Nie był to dobry pomysł.

Ponieważ Oakley wiedział, że przekazanie nam tych więźniów doprowadzi do nowych problemów z UNOSOM-em, wywalczył ugodę, mówiącą o przekazaniu ich Czerwonemu Krzyżowi. Żeby podkreślić nasze niezaangażowanie i zminimalizować naszą obecność w mediach, zarządził, żebyśmy wycofali się na lotnisko. Gdy tylko rozeszła się wieść o zwolnieniu jeńców, mieliśmy opuścić Somalię na kilka dni i wrócić po tym, jak gorączka medialna osłabnie. W chwili uwolnienia Duranta i Shantalego weszliśmy na pokład naszego C-20 i skierowaliśmy się do Asmary, Erytrei, Addis Abeby i Kairu na spotkania z erytrejskim prezydentem Isaiasem, prezydentem Melesem i egipskim ministrem spraw zagranicznych. (Egipcjanie mieli swoich żołnierzy w Somalii; zaś

konieczność napełnienia zbiorników paliwa w Kairze stwarzała dobrą sposobność ku temu, by skontaktować się z władzami egipskimi).

Szesnastego października wróciliśmy do Waszyngtonu. Następnego dnia w Waszyngtonie złożyliśmy sprawozdanie przed doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, sekretarzami stanu i obrony, a także ambasadorem przy ONZ i innymi urzędnikami. Potem w Pentagonie rozmawialiśmy z nowym przewodniczącym Komitetu Szefów Połączonych Sztabów, generałem Shalikashvilim. Choć Oakley przedstawił znakomity opis sytuacji i zarazem przejrzysty plan najlepszego z możliwych sposobów ogarnięcia zamętu w Somalii, miałem przecucie, że urzędnicy w Waszyngtonie myśleli raczej o wyplątaniu się z udziału w operacjach w Somalii i spisali ten kraj na straty. Ale pomimo moich złych przeczuć otrzymaliśmy zielone światło dla realizacji planów Oakleya.

Kilka dni później znów wylatywaliśmy do Somalii.

Po kolejnym przystanku w Addis Abebie i spotkaniu z prezydentem Melesem poleciliśmy do Mogadyszu, zjawiając się na miejscu 1 listopada, planując czterodniowy pobyt. Głównym celem naszej wizyty Somalii było wprowadzenie w życie poprawionego planu, nad którym pracowaliśmy od naszej poprzedniej wizyty. Plan uwzględniał powołanie Komisji Bezpieczeństwa, ponowne zorganizowanie sprawnych sił policyjnych, osiągnięcie porozumień w sprawie zawieszenia broni i rozbrojenia, wciągnięcie frakcji z powrotem w proces formowania tymczasowego rządu, zaangażowanie w ten proces innych narodów i organizacji politycznych w tym regionie, zaplanowanie kolejnej konferencji w Addis Abebie, utworzenie uzgodnionych sektorów i stref bezpieczeństwa w Mogadyszu w celu zapobiegnięcia konfrontacjom, a ponadto kilka innych

propozycji opracowanych z myślą naprawy sytuacji politycznej, zwiększenia bezpieczeństwa i usprawnienia misji humanitarnej.

W trakcie czterech dni intensywnej negocjacji spotykaliśmy się z szefami UNOSOM-u, przywódcami frakcji somalijskich, różnymi ugrupowaniami somalijskimi zainteresowanymi naszymi propozycjami i z powodzeniem przekonaliśmy wszystkich do tego, by zgodzili się zaakceptować pomysł odtworzenia naszej wcześniejszej misji.

Pozostały jednak pewne punkty zapalne - głównie kwestia ludzi przetrzymywanych przez ONZ oraz problem winy Aidida za zbrodnie wojenne.

Aidid oskarżał UNOSOM o znęcanie się nad więźniami przetrzymywanymi na wyspie i żądał ich uwolnienia. W rzeczywistości istniały pewne problemy zdrowotne wśród więźniów (wśród których znalazł się także Osman Atto, mój łącznik z czasów UNITAF-u, który został pojmany w czasie nalotu żołnierzy sił specjalnych). W końcu życzenie Aidida zostało spełnione i Somalijczyków uwolniono.

Ponieważ kwestia osobistej winy Aidida wciąż pozostawała nierozstrzygnięta, postanowiliśmy trzymać się naszej polityki stronienia od niego. Na razie kontaktowaliśmy się wyłącznie z jego adiutantami.

Kiedy wyjechaliśmy, jak zwykle zrobiliśmy mały objazd Afryki (tym razem zatrzymując się dodatkowo w Kampali w Ugandzie), następnie spędziliśmy trochę czasu w Waszyngtonie, po czym wróciliśmy do Somalii w połowie listopada - tym razem na bezpośrednie rozmowy z Aididem. Nowa rezolucja Rady Bezpieczeństwa (rezolucja 885) uznająca partię Aidida za legalną doprowadziła do złagodzenia napięć w stosunkach z nim i w dużym stopniu zmniejszyła zagrożenie eskalacją przemocy.

Nadszedł czas, by wciągnąć go w ten proces i przekonać go do podpisania się pod programem Oakleya.

Aidid (wciąż pierwszy na liście poszukiwanych UNOSOM-u) ukrywał się w labiryntach zabudowań Mogadiszu. Dotarcie do niego nie było łatwe.

W dzień spotkania nasz opancerzony van był eskortowany przez marines do starej kwatery głównej ONZ, gdzie mieliśmy zostać przekazani ochronie Aidida. Gdy czekaliśmy na pojawienie się uzbrojonej obstawy Aidida, zebrał się wokół nas spory rozemocjonowany i zaciekawiony tłum gapiów. Choć ludzie ci powodowali pewne podenerwowanie w szeregach naszych marines, nie stanowili dla nas żadnego zagrożenia.

Wkrótce zresztą mieliśmy inne rzeczy na głowie, kiedy złowrodzy, uzbrojeni po zęby wojownicy Aidida wpadli na skrzyżowanie w rozpędzonych „wozach technicznych”. Ich przywódca był największym Somalijszym, jakiego kiedykolwiek widziałem. Musiał mieć około 2 metrów wzrostu i był umięśniony jak kulturysta. Człowiek raczej niestrzępiący języka, polecił nam, żebyśmy wjechali naszym pojazdem pomiędzy „wozy techniczne”, po czym pomknęliśmy z zawrotną prędkością przez labirynt bocznych uliczek i nieznanych zaułków. Przypominało to akcję filmową - gonienie rozpędzonych „wozów technicznych” wymagało przecinania skrzyżowań bez hamowania, wiele razy niemal doszło do zderzenia, a zakręty pokonywaliśmy z piskiem opon na dwóch kołach.

Nagle wpadliśmy na duży plac, kierując się prosto ku wrzeszczącej zgrai Somalijszyków.

- Co o tym myślisz? - rzucił Oakley.

- Ambasadorze - powiedziałem - przywitają nas z otwartymi ramionami albo nas zjedzą.

Gdy zbliżyliśmy się, zorientowaliśmy się, że tłum wiwatuje. Zgromadzenie na placu niewątpliwie zostało zaaranżowane przez Aidida.

W końcu skręciliśmy do jednego z budynków i zatrzymaliśmy się przed tymczasową kwaterą Aidida, gdzie szczerze uśmiechnięty Aidid wraz ze swoimi asystentami czekał już, by nas powitać. Kilka kamer po bokach rejestrowało każdy nasz ruch. Gdy wyszliśmy z naszego vana, olbrzymi, małomówny matoł z obstawy Aidida podszedł do nas i wygłosił coś, co dla niego musiało być wielką przemową:

- Koniec strzelania - orzekł wyraźnie podekscytowany i chwycił mnie za rękę. - Już koniec. Zbyt wiele osób umiera.

Najwyraźniej nasycił się już walką.

- Wszyscy zrobimy, co w naszej mocy - odpowiedziałem, gdy wciąż uśmiechający się Aidid otoczył mnie ramieniem niczym długo niewidzianego krewnego, po czym poprowadził nas pośród szeregów jego ludzi. Miałem nadzieję, że kamery nie wyłapały tego wszystkiego. Takie zdjęcia z akcji z Aididem nie przysporzyłyby nam popularności w domu (gdzie media wzorem UNOSOM-u skłaniały się raczej ku demonizowaniu jego osoby).

W siedzibie Aidida udaliśmy się za nim do dużej sali konferencyjnej. Transparenty jego partii wisiały na wszystkich ścianach; przy każdym miejscu leżały schludnie ułożone długopisy i papier z jego logo. Po krótkiej wymianie uprzejmości przeszliśmy do interesów, wszcząwszy dyskusję z grupą zadziwiająco trzeźwo myślących ludzi. Spodziewałem się, że będą przynajmniej tryskali optymizmem i nie zdziwiłbym się

zbyt, gdyby byli triumfujący. Zostali ciężko doświadczeni, ale sami jeszcze bardziej dali popalić wojskom USA i ONZ, teraz zaś ponownie traktowaliśmy ich jak przywódców z prawem udziału w procesie politycznych przemian. Mimo wszystko nie napawali się radością, byli opanowani i poważni. Mieli świadomość ogromnej tragedii, która spotkała nas wszystkich. Było oczywiste, że śmierć 10 000 Somalijszyków w ciągu czterech ostatnich miesięcy bardzo im ciążyła.

Aidid utrzymywał poważny ton i nie zmienił swojego dawnego stanowiska. Uwolnienie ludzi przetrzymywanych przez ONZ było palącą koniecznością, pilne były również pytania o jego własny status oraz niekończące się oskarżenia rzucone pod jego adresem przez UNOSOM. Dał jasno do zrozumienia, że UNOSOM i sekretarz generalny byli w jego oczach równie źli, jak on w ich mniemaniu (choć podkreślił, że nie sprzeciwia się samej Organizacji Narodów Zjednoczonych). Z radością przywitał ponowne włączenie się USA w proces pokojowy i z jeszcze większą radością przyjąłby utworzenie niezależnej komisji w celu zbadania przyczyn wojny - pod kierownictwem byłego prezydenta Jimmy'ego Cartera oraz z członkami niewyznaczonymi przez sekretarza generalnego ONZ.

Po głębokiej debacie nad programem, który Oakley ułożył wcześniej w tym miesiącu, Aidid z pewnymi oporami wyraził zgodę na jego realizację, dodając, że liczy na pracę nad wcześniejszymi uzgodnieniami z Addis Abeby. Polityka Oakleya była prawidłowa, stwierdził w konkluzji: rządy w Somalii powinny się zostawić Somalijszykom.

Jaką postać przyjmą te rządy, pozostawało wciąż kwestią otwartą, podobnie jak to, jakie stanowisko zajmą ONZ i USA w stosunku do nich.

Zanim wyjechaliśmy, chciałem zaspokoić swoją ciekawość na temat bitwy z 3 października, która przeszła do historii pod nazwą bitwy o Mogadiszu (dramatycznie przedstawionej w książce i filmie Helikopter w ogniu).

- Możesz mi o tym opowiedzieć z własnej perspektywy? - spytałem Aidida.

Zrobił to bardzo chętnie.

Gdy zaczął swoją relację, wyraźnie dał do zrozumienia, jak wielki respekt odczuwał wobec żołnierzy sił specjalnych, których określał jako „tych niebezpiecznych ludzi z lotniska ”\*[ Lotnisko w Mogadiszu stanowiło ich bazę.].

Oddziały sił do operacji specjalnych skoncentrowały swoje ataki na spotkaniach Aidida z jego najbliższymi współpracownikami. Dla zabezpieczenia się podczas tych spotkań Aidid polecił rozmieszczenie karabinów maszynowych i ręcznych granatników przeciwpancernych na sąsiednich dachach, przy czym rozkazał w razie ataku Amerykanów skoncentrować ogień na helikopterach. Wiedział, że żołnierze amerykańscy będą zbierać się wokół zestrzelonego śmigłowca i staną się łatwiejsi do związania w walce. Wydał również rozkaz stałego atakowania wszelkich sił reagowania opuszczających lotnisko. Marines z UNITAF-u mieli wiele formacji sił reagowania, które mogły nadciągnąć z kilku kierunków, ale wówczas najważniejsze tego rodzaju wojska zawsze nadchodziły z lotniska. Z tego powodu ważną sprawą było odcięcie ich drogi dojazdu w przypadku, gdyby Aidid został zaatakowany przez oddziały sił specjalnych.

Taktyka Aidida była skrajnie defensywna, ale nie wydawała się na

taką na ekranach telewizorów. Co więcej, sprawdziła się nieźle, co w oczach światowej opinii wyglądało jeszcze gorzej.

Nie usprawiedliwia to okropieństw popełnianych przez Somalijszczyków, a Aidid przyznał, że nie ma żadnego wytłumaczenia dla somalijskich tłumów wlokących ciała zabitych żołnierzy po ulicach stolicy. Ale starannie podkreślił również fakt, że natychmiast zajął się jeńcem, starszym chorążym Durantem i traktował go zgodnie z wymogami konwencji genewskiej.

Było oczywiste, że istniały dwie całkiem odmienne wersje wydarzeń i przekonania co do tego, kto był winny wybuchowi przemocy. Nawet poszczególne dochodzenia i śledztwa przedstawiły rozbieżne wersje wydarzeń.

W drodze powrotnej na spotkanie z siłami bezpieczeństwa piechoty morskiej przejeżdżaliśmy wśród krzyczących tłumów. Wkrótce potem wróciliśmy do Stanów Zjednoczonych.

Tym samym zakończyło się moje praktyczne uczestnictwo w operacji „Podtrzymywać Nadzieję”, jak w USA nazwano tę fazę UNOSOM-u II.

W kolejnych dniach Oakley był zajęty planowaniem konferencji w Addis Abebie i opracowywaniem zasad wprowadzenia w życie całego swojego programu. Choć prosił mnie, żebym był gotowy do powrotu, centralną rolę przestało odgrywać bezpieczeństwo (za które ja odpowiadałem), na pierwszy plan zaś wysuwała się polityka i pomoc humanitarna. Według mnie, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, sytuacja była pod kontrolą.

Wróciłem do Quantico, żeby stamtąd przyglądać się dalszemu



rozwojowi wydarzeń.

Szybko stało się jasne, że administracja Clintona chciała wycofać się z Somalii. Gwoździem do trumny stało się obwieszczenie, że wszystkie siły amerykańskie zostaną stamtąd ewakuowane do marca 1994 roku. Moim zdaniem Oakley został wykorzystany, by osiągnąć zawieszenie broni i zapewnić odpowiednią przerwę w wymianie ognia pozwalającą administracji zmniejszyć straty własne i sprawniej się wycofać z terenu operacji. Stany Zjednoczone nie zamierzały realizować całego programu Oakleya i kontynuować procesu pokojowego.

Pozytywną stroną było to, że przynajmniej ustały walki i zahamowano zniszczenia w tym kraju, co dało Somalijszykom kilka chwil oddechu.

Co do kwestii zbrodni wojennych Aidida: kilka miesięcy później, w lutym 1994 roku, komisja ONZ badająca sprawę odpowiedzialności za masakrę z 5 czerwca opublikowała swoje ustalenia. Uznała, że wina leżała po obu stronach.

## **1. Korpus Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej**

W Quantico na Zinniego czekały dobre wieści: został wyznaczony do objęcia dowództwa 1. Dywizji Piechoty Morskiej w Camp Pendleton latem następnego roku. To było naprawdę ekscytujące; nie mógł się doczekać tej chwili.

Nie wiedział, że przyszykowano dla niego jeszcze inny plan.

Wczesną wiosną 1994 roku został wybrany na przewodniczącego rady promocji generalskich w dowództwie piechoty morskiej. Pod koniec pracy członkowie rady przekazali swoje rekomendacje generałowi

Mundy'emu. Gdy pozostali członkowie rady skończyli pracę, generał Mundy poprosił Zinniego na krótką rozmowę.

- Jakiego przyszłego przydziału pan się spodziewa? - zapytał, gdy pozostali już wyszli.

Pytanie to wydawało się Zinniemu dziwne, ponieważ powiedziano mu już, że obejmie dowództwo dywizji. Czy to pytanie to tylko formalność? - pytał sam siebie.

- Chciałbym objąć dowództwo dywizji - oznajmił po krótkim zastanowieniu.

- Której dywizji?

- To bez znaczenia - odrzekł Zinni. - Każda dywizja marines mi pasuje.

W tym momencie komendant wręczył Zinniemu teczkę.

- Dobrze - powiedział - sędzę, że jest tu jakaś dywizja.

Zinni, poważnie skonfundowany, otworzył teczkę. Była to nominacja na stopień generała broni i przydział na dowódcę 1. Korpusu Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej (1. MEF).

Przeżył szok. Dopiero co został promowany na generała dywizji, a teraz nagle otrzymał trzecią gwiazdkę... i to przeskakując dowództwo dywizji. To była wielka, choć nie do końca miła niespodzianka; marzył bowiem o dowództwie dywizji. Z drugiej strony dowodzenie 1. Korpusem Sił Ekspedycyjnych stanowiło wielki honor i było bardzo ekscytujące.

Wspomnienia Zinniego z tego wieczoru są nieco niejasne. Wymamrotał podziękowania generałowi Mundy'emu, po czym opuścił jego gabinet, nie otrząsnąwszy się ze zdumienia.

Kilka miesięcy później, w czerwcu, objął dowództwo największej

formacji operacyjnej marines - 1. Korpusu Sił Ekspedycyjnych w Camp Pendleton w Kalifornii. Korpus ten miał w swoich szeregach ponad 45 000 żołnierzy piechoty morskiej i marynarzy, zaś do jego głównych komponentów należały: dywizja marines, brygada lotnictwa i grupa logistyczna. Jednostki korpusu znajdowały się w różnych bazach rozszaniach po Kalifornii i Newadzie, ale wiele z jego pododdziałów było stale wysyłanych na cały świat. 1. MEF był odpowiedzialny za sześć różnych zjednoczonych dowództw, od Korei (gdzie niedawno zaangażował znaczne siły), po Zachodni Pacyfik, Amerykę Łacińską, Europę, Bliski Wschód i same Stany Zjednoczone. W czasie dwuletniego dowództwa Zinniego 1. Korpus Sił Ekspedycyjnych angażował swoje siły w misjach bezpieczeństwa i akcjach antynarkotykowych w Ameryce Środkowej i Południowej, w misjach humanitarnych w Afryce, operacjach pokojowych w Bośni, operacjach przewozu zwłok z Wietnamu, operacjach wymuszania sankcji w Zatoce Perskiej, a także misjach pomocowych w czasie katastrof i w akcjach antynarkotykowych w Stanach Zjednoczonych. Żołnierze 1. MEF uczestniczyli w ponad 100 wielkich manewrach wojskowych na całym świecie i setkach mniejszych ćwiczeń wojskowych i szkoleniach.

Najbardziej istotnym nowym zadaniem 1. Korpusu była reakcja na kryzys w Korei. Choć stacjonujący na Okinawie 3. Korpus Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej był już tam zaangażowany w działania, został on teraz wzmocniony przez 1. Korpus. Ta nowa rola stanowiła szczególne wyzwanie, jako że połączone siły przydzielone do przewidzianych dla nich misji w Korei były naprawdę ogromne. Zgodnie z planem wojennym MEF w Korei miał stać się Połączonym Korpusem Sił

Ekspedycyjnych. Oznaczało to, że Zinni miał dowodzić dwiema dywizjami piechoty morskiej - 3. Dywizja miała dołączyć do jego 1. Dywizji - dwiema brygadami lotniczymi piechoty morskiej, koreańską dywizją piechoty morskiej, koreańską dywizją sił lądowych oraz 101. Dywizją Desantowo-Szturmową sił lądowych USA.

Głównodowodzący w Korei, generał Gary Luck z sił lądowych USA, był genialnym specjalistą operacyjnym, który nauczył Zinniego bardzo wiele o prowadzeniu wojny na takim najwyższym szczeblu operacyjnym. Toczenie wojny w Korei miało przypominać operację „Pustynna Burza”, ale na większą skalę. Sprawy logistyki w obrębie teatru działań wojennych, przemieszczania i integracji sił, kontaktów pomiędzy komponentami powietrznymi i naziemnymi, współpracy z dowództwami koalicyjnymi, prowadzenia strategicznych bitew z głębokimi natarciami i walką wręcz, jak również integrowania tego wszystkiego w rozległej i trudnej przestrzeni bitewnej nabrały w oczach Zinniego nowego i zdecydowanie większego znaczenia.

Jednocześnie Zinni zaczął ćwiczyć rosnące umiejętności prowadzenia interwencji pokojowych i humanitarnych. Stał się jednym z niewielu tak wysokich rangą ekspertów wojskowych w zakresie „operacji innych niż wojna”.

Z oczywistych przyczyn generał Binnie Peay, nowy dowódca CENTCOM-u, przydzielił 1. Korpusowi misję reakcji na kryzys pokojowy i humanitarny na obszarze jego teatru działań wojennych. W celu lepszego wykonania misji Zinni zmodyfikował wielkie manewry, nazwane „Emerald Express”, żeby rozwinąć możliwości działania oddziałów w misji humanitarnej i pokojowej. Ponieważ nie musiał martwić się o

taktyczny potencjał polowy (żołnierze MEF mieli to opanowane do perfekcji), przekształcił ćwiczenia „Emerald Express” w wyczerpującą konferencję, żeby poruszyć kwestie takie jak planowanie, koordynacja i integracja działań, szczególnie na poziomie operacyjnym i politycznym, a także położyć specjalny nacisk na koordynację działań z agencjami pomocy humanitarnej, organizacjami międzynarodowymi, koalicjantami i organizacjami politycznymi.

W krótkim czasie ćwiczenia Emerald Express stały się najważniejszą i najbardziej efektywną próbą promowania integracji wojska, policji, organizacji humanitarnych, stymulowania ekonomii i odbudowy w tak zwanych operacjach innych niż wojna.

Rosnące doświadczenie Zinniego w tego rodzaju operacjach zmusiło go do częstych zeznań przed senackimi komisjami do spraw stosunków zagranicznych i służb zbrojnych. Jego zeznania w sprawie konkretnych interwencji (takich jak misja w Bośni), obowiązującej polityki pokojowej i humanitarnej USA, a także na temat ogólnego charakteru operacji innych niż wojna, nie zawsze były mile widziane przez administrację czy dowództwo Pentagonu: generał Shalimashvili, przewodniczący Komitetu Szefów Połączonych Sztabów, nie przepadał za operacjami innymi niż wojna. Zinni starał się jak potrafił najlepiej unikać problemów z przewodniczącym i innymi zwierzchnikami, jednak miał swoje zdanie na temat tych misji, którego nie wahał się wyrazić. Zaczął zyskiwać reputację człowieka szczerego aż do bólu - choć opinia ta jego zdaniem jest niezasłużona. Zawsze utrzymywał, że robił tylko to, co marines mają w zwyczaju: mówił wprost, jak sprawy stoją.

W czasie, gdy objął dowództwo Korpusu Sił Ekspedycyjnych w

czerwcu 1994 roku, siły USA zostały wycofane z Somalii, zaś misja ONZ pogrążyła się w chaosie. Choć Zinni nie zapomniał lekcji z Somalii, nie spodziewał się wrócić do tego kraju.

W ciągu kilku miesięcy jednak po raz trzeci został wysłany, by być świadkiem katastrofy w Somalii.

### Operacja „Zjednoczona Tarcza”

Tony Zinni opowiada:

Latem 1994 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych zdecydowała zakończyć misję UNOSOM-u i ewakuować siły ONZ z Somalii. Ustalono datę wycofania wojsk na marzec 1995 roku.

Było to skomplikowane przedsięwzięcie. Ponieważ w operację zaangażowane były siły wielu państw, musiały pojawić się problemy koordynacyjne; jako że wycofywanie sił miało przebiegać w kilku fazach, ostatnie oddziały opuszczające kraj musiały być narażone na ataki; zaś wiarygodne - choć niepotwierdzone - raporty o znajdujących się w rękach Somalijczyków przenośnych wyrzutniach rakiet ziemia-powietrze czyniły tę ewakuację jeszcze bardziej niebezpieczną. Choć administracja Clintona nie była zachwycona przedłużaniem naszej obecności w Somalii, to przecież międzynarodowe siły znajdujące się na miejscu przyjęły całą misję na naszą prośbę. Administracja czuła się więc odpowiedzialna za ich bezpieczeństwo.

W sierpniu, niespełna dwa miesiące po tym, jak objąłem dowództwo, 1. Korpus Sił Ekspedycyjnych otrzymał rozkaz przygotowawczy stwierdzający, że mamy poprowadzić połączoną grupę operacyjną w celu ochrony odwrotu ONZ z Somalii. Wybór 1. Korpusu do tej misji nie był niespodzianką. Nasz obszar odpowiedzialności obejmował obowiązek

reakcji kryzysowej w tej części Afryki; groźba użycia w tym rejonie pocisków raketowych ziemia-powietrze wymagała zorganizowania ewakuacji wodno-lądowej; zaś 1. Korpus przeprowadzał operację „Przywrócić Nadzieję” w 1993 roku, więc jego sztab doskonale znał podobną sytuację.

Wiedzieliśmy, że zadanie nie będzie należało do łatwych. Międzynarodowe siły będą musiały wypełnić wyjątkowo złożone zadania taktyczne (trudne nawet dla jednostek USA), zaś kompatybilność operacyjna w zakresie doktryny wojskowej, obowiązujących procedur, sprzętu i języków mogła przysporzyć dalszych trudności.

Dobrą stroną całego przedsięwzięcia stanowił długi okres planowania. Mieliśmy aż pięć miesięcy na opracowanie planów, koordynację działań i ćwiczenia wykonania misji. „Gotowe plany to nic, ale planowanie to wszystko” - rzekomo powiedział Eisenhower. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście to powiedział, czy nie, stwierdzenie jest absolutnie prawdziwe. Mieliśmy dużo czasu. Chciałem go wykorzystać do starannego zaplanowania, przemyślenia każdej możliwości, uwzględnienia wszystkich ewentualności (czy też elementów planu rezerwowego, używając terminologii wojskowej). Jedną z innowacji w naszym planowaniu rezerwowym polegała na opracowaniu „podręcznika taktycznego”, podpowiadającego nam przebieg działań w przypadku pojawienia się jednego z możliwych scenariuszy. Pod koniec operacji przejrzałem ów „podręcznik taktyczny” i przekonałem się, że każde wydarzenie, które zaistniało, rzeczywiście zostało uwzględnione w planie rezerwowym.

Całe pięć miesięcy, od sierpnia do połowy stycznia, poświęciliśmy

na planowanie i koordynowanie działań. Złożyło się to na pierwszą fazę operacji. Drugą fazę, przygotowania, ćwiczeń i rozmieszczania sił, zaplanowaliśmy na okres od połowy stycznia do początków lutego. Fazę trzecią, zapewniania warunków ewakuacji wojsk i przejęcia kontroli nad siłami ONZ, zaplanowaliśmy na okres pomiędzy 8 i 28 lutego. Fazę czwartą, wykonanie samej ewakuacji, zaplanowaliśmy na okres pomiędzy 28 lutego i 3 marca. Piątą, ostatnią fazę, przegrupowania naszych sił, wyznaczyliśmy na okres od 4 marca do końca tego miesiąca.

Zadania operacyjne w fazie wykonawczej były niezwykle złożone. Mieliśmy dokonać dwóch nocnych desantów wodno-lądowych w porcie i lotnisku w Mogadiszu, wymiany sił w miejsce oddziałów ONZ; zorganizować manewr brygady pakistańskiej, która miała wykonać odwrót i przejść przez nasze ugrupowanie koalicyjne (amerykańskich marines i włoskiej piechoty morskiej); zapewnić dzienną i nocną obronę portu morskiego i lotniczego, przeprowadzić operację ewakuacyjną niebojową personelu ONZ, dziennikarzy, pracowników agencji cywilnych, a także wykonać dwie nocne ewakuacje wodno-lądowe. Już same taktyczne zadania były wystarczająco trudne, zaś mieszanina sił koalicyjnych, konieczność prowadzenia działań nocnych oraz perspektywa dokonywania tego wszystkiego pod ostrzałem wroga znacznie zwiększały trudność operacji.

Mieliśmy jeszcze jeden poważny kłopot - zgromadzenia ludności cywilnej, uzbrojone bandy, szabrownicy... te czynniki zawsze występowały w Somalii. Szczególnym problemem były tłumy miejscowych, stanowiące jedną z najgroźniejszych broni watażków. Mogły one skutecznie zablokować wiele naszych posunięć, choć na ogół



nie stanowiły realnego zagrożenia dla naszych żołnierzy. Reakcja na ich obecność z wykorzystaniem śmiertelnej broni była oczywiście nieuzasadniona, ale środki nieśmiertelne były trudne do zdobycia. Ta sytuacja miała się zmienić.

Już na początku planowania usilnie starałem się o zwiększenie potencjału broni nieśmiertelnych. Starania te przyniosły nieoczekiwane dobre rezultaty. Byliśmy w stanie zgromadzić sporą liczbę zróżnicowanego arsenału takich „gadżetów” - od gumowych pocisków i karabinów strzelających kleistą pianką, po zaawansowane technologicznie urządzenia akustyczne, mikrofalowe i laserowe. W kolejnych miesiącach szkoliliśmy nasze jednostki w ich używaniu, podczas gdy prawnicy opracowywali reguły ich zastosowania. (Zabronili użycia niektórych eksperymentalnych środków, ponieważ brakowało szczegółowych danych na temat skutków ich działania).

Nasze wysiłki zmierzające do zapobieżenia niepotrzebnym stratom wśród ludzi budziły pewne kontrowersje. „Rozbrajacie naszych marines!” - głosiły sensacyjne artykuły prasowe. W innym specjalistycznym tekście wojskowym stwierdzano: „Nasi żołnierze będą się w tym gubić. Nie będą dostrzegać różnicy między bronią śmiertelną i nieśmiertelną”. Kiedy poruszyłem tę kwestię wraz z moimi marines, oświadczyli mi: „Proszę się nie martwić. Wiemy, na czym polega różnica”. Co więcej, wszyscy chcieli i potrzebowali tego rodzaju broni\*[\* Sprawa nieśmiertelnej broni przyłgnęła do mnie. Po powrocie z Somalii podjęto starania w celu opracowania bardziej zaawansowanych środków tego typu. W ciągu lat wielokrotnie byłem wzywany do zeznawania przed różnymi komisjami Kongresu USA w tej sprawie i uczestniczyłem w

niezliczonych konferencjach i naradach dotyczących tego zagadnienia.]

Ósmego listopada przedstawiliśmy nasz plan generałowi Peayowi oraz nieco ponad tydzień później ICS - Komitetowi Szefów Połączonych Sztabów. Zatwierdzenie dotarło do nas bardzo szybko. Choć przewodniczący ICS, generał Shalikashvili pozostał niechętny operacjom innym niż wojna i nie śpieszył się do ponownego zaangażowania sił w Somalii, wiedział, że był to obowiązek, który administracja Clintona musiała wziąć na siebie. Miesiąc później, 16 grudnia, prezydent Clinton zatwierdził ten plan i dał zielone światło całej operacji.

Na początku stycznia urządziliśmy w CENTCOM-ie ostateczną konferencję w sprawie planów operacji, a 14 stycznia oficjalnie utworzyliśmy połączoną grupę operacyjną „Zjednoczonej Tarczy”. Tego dnia złożyłem przed głównodowodzącym końcowy raport, zaś generał Peay zarządził niezwykłą zmianę w strukturze dowództwa. Normalnie dowódca połączonej grupy operacyjnej składa raporty bezpośrednio przed głównodowodzącym. Jednak w tej szczególnej operacji generał Peay zdecydował, że powinienem meldować się dowódcy jego komponentu marynarki wojennej, wiceadmirałowi Scottowi Reddowi, nie bezpośrednio jemu.

Decyzja Peaya prowadziła do istotnego pytania: czy połączoną grupą operacyjną miałem dowodzić ja, czy raczej admirał Redd? Mimo to doceniałem logikę głównodowodzącego. Operacja ta wymagała wykorzystania wielkiej liczby okrętów wspomagających siły lądowe amerykańskie oraz koalicyjne (w trakcie operacji mieliśmy 23 okręty); zaś zarządzanie tym morskim komponentem stanowiło potencjalnie wielkie - i niepotrzebne - rozproszenie uwagi.

W ciągu operacji takie rozwiązanie nie przysporzyło żadnych problemów żadnemu z nas. W przeświadczeniu Scotta Redda „Zjednoczona Tarcza” była moją operacją, a jego rola polegała na zapewnieniu mi wszystkiego, czego bym potrzebował. Współpracowaliśmy ściśle i produktywnie. We właściwym czasie Scott zjawiał się na końcowych sesjach planowania operacji w CENTCOM-ie, ja zaś polecałem z nim do jego kwatery głównej w Bahrajnie, gdzie lepiej pojąłem kolejną przesłankę dla nietypowej zmiany w strukturze dowództwa wprowadzonej przez generała Peaya. Dowództwo Scotta było jedynym dowództwem CENTCOM-u mieszczącym się w pobliżu naszego obszaru odpowiedzialności, co sprawiało, że jego ludzie mogli najszybciej odpowiedzieć na nasze zapotrzebowania. W czasie operacji Redd był w stanie natychmiast zareagować na kilka próśb o wsparcie, z których jedną z ważniejszych było błyskawiczne wysłanie amerykańskiego krążownika w celu zapewnienia ostrzału z morza pod koniec operacji.

Miałem też szczęście pracować z kontradmirałem Lee Gunnem (z 3. Floty Stanów Zjednoczonych) jako moim zastępcą i dowódcą komponentu marynarki wojennej w mojej połączonej grupie operacyjnej. Ponieważ Lee i Scott byli w stanie zająć się wszelkimi kwestiami związanymi z działaniami morskimi, my mogliśmy się skupić wyłącznie na ewakuacji.

Po wizycie w Bahrajnie udałem się do Nairobi w Kenii na spotkanie z tamtejszym szefem sztabu generałem Mohammedem i innymi urzędnikami rządowymi. Zamierzaliśmy wykorzystać Mombasę jako bazę dla naszych śmigłowców szturmowych AC-130 oraz jako bazę logistyczną i przygotowawczą (do przygotowania sił, które miały połączyć się z okrętami płynącymi z Pacyfiku).

W Nairobi zabraliśmy ambasadora Dana Simpsona, specjalnego wysłannika prezydenckiego na misję w Somalii, a także ambasadora Davida Shinna, szefa afrykańskiego biura Departamentu Stanu, po czym polecieliśmy do Mogadiszu, żeby skoordynować nasze działania z siłami UNOSOM-u i skontaktować się z miejscowymi przywódcami.

W Somalii generał Aboo Samah, malezyjski dowódca sił UNOSOM-u, i ambasador Victor Ghebo, specjalny przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ, okazali się ludźmi w pełni profesjonalnymi i gotowymi do współpracy, zaś wstępne spotkanie z somalijskimi watażkami wydawało się zachęcające. Generalnie nasze przesłanie do miejscowych przywódców brzmiało: „Posłuchajcie, staniemy z wami do walki, jeśli będziemy do tego zmuszeni, ale nie o to chodzi. Nie szukamy kłopotów. Chcemy po prostu zabrać stąd tych ludzi. Więc zachowajcie spokój. Już po wszystkim. Wyprowadźmy stąd tych ludzi bez zamieszania”. Wszyscy na to przystali.

Ale nasze spotkanie z Aididem było niemalże katastrofą.

Aidid nigdy nie zaliczał się do ludzi punktualnych i zgodnie ze swoim zwyczajem zjawił się nieco po czasie tego dnia. Ale kiedy w końcu przyszedł, był w bardzo dobrym nastroju - nastroju „męża stanu”, co mi jak najbardziej odpowiadało. Dopiero co wrócił z zebrania politycznego, które przebiegło po jego myśli, a wycofanie sił ONZ z jego kraju sprzyjało jego interesom i celom, wyglądał więc na zadowolonego ze spotkania z nami.

Jednak z jakiegoś powodu od początku rozmów ambasador Simpson przyjął wyjątkowo prowokacyjną postawę wobec Aidida. Najwyraźniej postanowił wykorzystać tę nadarżającą mu się okazję, by uprzytomnić

somalijskiemu przywódcy (a Bóg jeden wie, że było wiele złych emocji pomiędzy naszymi ludźmi i Aididem), że jest bardzo twardym facetem, który nie pozwoli pomiatać sobą jakiemuś nędznemu watażce. Dyskusja stawała się coraz bardziej zajadła, obie strony przerzucały się groźbami, a cała sytuacja zdawała się zmierzać ku katastrofie.

W tym czasie nastrój Aidida zdążył się już zmienić na znacznie gorszy, mój mózg pracował na najwyższych obrotach i też byłem naprawdę wkurzony. Co my do cholery robimy? - myślałem. Nie powinniśmy rozjuszać Aidida i robić sobie większej liczby wrogów. Chcemy tylko ewakuować stąd naszych żołnierzy i uniknąć konfrontacji.

Jakimś cudem przebrnęliśmy przez resztę tego spotkania, nie wszczynając otwartej wojny.

Pod koniec wyszliśmy z sali z Aididem, żeby zrobić sobie zdjęcie u stóp schodów budynku. Po chwili, gdy pozostali szykowali się do opuszczenia miejsca, Aidid ujął mnie za ramię i odciągnął na bok.

- Zinni - rzekł - wyglądasz na zmartwionego.

- Masz rację - odpowiedziałem. - Nie potrzeba nam teraz konfrontacji. Jestem tutaj, żeby ochronić ONZ, i zrobię to, ale nie potrzebujemy więcej ofiar po żadnej stronie.

- Nie obawiaj się, nie zaatakuję wojsk ONZ ani nie utrudnię ich wycofywania - obiecał. - Ale - dodał - nie kontroluję wszystkich bojówek i gangów, a bojówki i gangi na końcu lotniska będą z wami walczyć. Postaram się kontrolować sprawy tam, gdzie zdołam.

Dobrze było wiedzieć, że Aidid miał dość rozsądku, żeby nie dać się ponieść w obliczu prowokacji. Zdawał sobie sprawę, że ma to, czego chciał - wycofanie się ONZ - i musiałby być niespełna rozumu, żeby

zniweczyć ten sukces. Później okazało się, że jego ostrzeżenie nie było bezpodstawne, ale dotrzymał obietnicy zachowania kontroli nad wszystkimi, nad którymi mógł.

Natychmiast opuściłem Somalię i udałem się na końcowe spotkania w Bahrajnie, następnie poleciałem do Pakistanu na naradę z generałem Abdulem Waheedem, szefem sztabu wojsk pakistańskich. Ponieważ jego oddziały poniosły większe straty niż jakiegokolwiek inne formacje narodowe, chciał mieć pewność, że plan ewakuacji wojsk jest rozsądny. Jego poparcie oznaczało, że mogliśmy ostatecznie zabierać się do działania.

Poleciałem jeszcze do Kenii i dostałem się na pokład USS „Belleau Wood”, który miał być moim okrętem dowodzenia.

Oprócz naszych 23 okrętów siły wyznaczone do operacji „Zjednoczona Tarcza” składały się z 16 485 żołnierzy, marynarzy i lotników oraz wojsk piechoty morskiej z siedmiu państw. W ich skład wchodziła ponadto brygada pakistańska i batalion bangladeski, które miały być ostatnimi formacjami UNOSOM-u utrzymującymi się na lotnisku i w porcie i które miały trafić pod moje dowództwo w trakcie ostatecznego wycofywania wojsk z Somalii.

Wyłynęliśmy z Mombasy i lutego, zacumowaliśmy u wybrzeży Malindi w Kenii w celu przeprowadzenia ćwiczeń desantu i wycofania wojsk, po czym popłynęliśmy dalej na północ, by rozpocząć trzecią fazę - stwarzanie warunków do przeprowadzenia operacji ewakuacji sił i przejęcia kontroli nad oddziałami ONZ.

Zjawiliśmy się w pobliżu wybrzeży Mogadiszu 17 lutego i zaczęliśmy przygotowania do końcowej fazy operacji. Przez następne trzy tygodnie ONZ stopniowo zmniejszał swoją obecność w mieście, aż

kontrolował tylko port i lotnisko. Tymczasem siły amerykańskie szykowały się do ostatecznej ewakuacji. Miało to zająć 10 dni. W tym okresie zacząłem brać coraz większą odpowiedzialność za takie działania, jak opieka medyczna i wsparcie ogniowe, gdy zbliżaliśmy się do momentu, w którym generał Aboo przekazał mi dowództwo sił ONZ.

Oprócz tych przygotowań (stanowiska obronne, zapory i tym podobne) przeprowadziliśmy szereg ćwiczeń taktycznych z modelami z piasku, starannie wypróbowując nasz plan z siłami ONZ, żeby upewnić się, iż wszyscy doskonale znają swoje role. Mieliśmy na to czas - co jest rzadkim dobrodziejstwem - i zamierzałem wykorzystać każdą sekundę na naszą korzyść.

Lotnisko w Mogadyszu mieści się niedaleko brzegu morza i na południe od portu. Bezpośrednio na południe od lotniska rozciąga się spory odcinek plaży. Nasz plan przewidywał desant naszych sił, przejęcie kontroli nad portem od batalionu bangladeskiego, następnie utrzymanie go i wywiezienie żołnierzy bangladeskich okrętami. Brygada pakistańska, która strzegła lotniska, miała wówczas wycofać się przez nasze linie do portu, gdzie również zostałyby ewakuowane okrętami.

W trakcie tych operacji siły „Zjednoczonej Tarczy” zachowywałyby kontrolę nad obszarami plaży na wschód i na południe od lotniska. Po ewakuacji sił ONZ wycofalibyśmy się z portu, następnie z wysokich wydmy w pobliżu lotniska i wreszcie z plaży na południe od lotniska. W efekcie przeprowadzilibyśmy odwrót z północy (port) na południe (plaża niedaleko lotniska). Była to najbardziej niebezpieczna faza operacji, ponieważ spodziewaliśmy się, że bojówki, gangi i tłumy uzbrojonej ludności będą nam siedziały na karku. Nasze przygotowania obejmowały

intensywne prace inżynierskie, wznieśliśmy zasieki z drutu kolczastego i masywne przeszkody piaskowe dla ubezpieczenia naszego odwrotu.

Choć dowództwo naszej połączonej grupy operacyjnej pozostawało na pokładzie „Belleau Wood”, mój komponent operacji specjalnych ustanowił wysunięte stanowisko dowodzenia na brzegu (nazywało się to wysuniętą bazą operacyjną). Siły specjalne zapewniły również koalicyjne grupy wsparcia dla każdej formacji wojsk sprzymierzonych, żeby zachować sprawną łączność i ścisłą koordynację. Gdy tylko dotarliśmy w rejon Mogadyszu, zaktywizowaliśmy jako rezerwę przewożone na okrętach zaopatrzone w helikoptery siły szybkiego reagowania. Kolejnym istotnym komponentem była jednostka rozminowywania niewybuchów, której zadanie polegało na zniszczeniu wielkiej ilości amunicji i przejętej broni, jaką siły ONZ zgromadziły w ciągu kilku lat. Choć codzienne eksplozje powodowane przez oddziały jednostki rozminowywania niewybuchów były koniecznością, często wytrącały nas z równowagi.

Moje siły desantowe składały się z amerykańskich i włoskich żołnierzy piechoty morskiej. Oddziały amerykańskich sił specjalnych i komandosów z US Navy SEAL również wniosły ogromny wkład w działania wojskowe na lądzie. Każda z naszych czterech formacji dysponowała drużynami snajperów, które okazały się kluczowymi atutami, gdy rozpoczęło się wycofywanie wojsk.

Dziewiątego lutego Kofi Annan, ówczesny zastępca sekretarza generalnego do spraw operacji pokojowych w ONZ, przybył na miejsce, żeby przejrzeć plany ewakuacji, a także wizytować nasze wojska i okręty. Było jasne, że Annan rozumiał złożoność operacji i doceniał to, co robiliśmy. Żeby symbolicznie podkreślić powierzenie sił UNOSOM-u pod



naszą opiekę, sprezentował mi wówczas niebieski beret żołnierzy ONZ\*[\* Annan to imponujący człowiek, wybitnie inteligentny i mający dość rozumu, by uporać się z najtrudniejszymi sytuacjami. Jego nominacja na stanowisko sekretarza generalnego ONZ była wyborem doskonałym i długo wyczekiwaną zmianą.].

Kilka dni później w czasie oficjalnej uroczystości na lotnisku Annan przekazał nam kontrolę nad siłami ONZ od generała Aboo.

W tym czasie byłem pod wielkim wrażeniem kompetencji i profesjonalizmu jednostek pakistańskiej i bangladeskiej. Wypożyczyliśmy broń pancerną i wyposażenie Pakistańczykom na misję w Somalii. Teraz musieliśmy odzyskać i wywieźć ten sprzęt. Kiedy amerykański personel techniczny przejął czołgi, transportery opancerzone i inne rzeczy, okazało się, że są one w idealnym stanie.

- Ten sprzęt jest jak nowy - powiedział mi pewien chłopak z personelu technicznego. - Każde najdrobniejsze narzędzie w każdym zestawie jest na swoim miejscu.

Duma tych jednostek koalicyjnych dała mi pewność, że ich udział w całej operacji będzie przebiegał bez najmniejszego zgrzytu.

Nie tak łatwo było poradzić sobie z dziennikarzami. Obruszali się na wszelką formę kontroli; przekonanie ich do utworzenia jednego zespołu prasowego okazało się szczególnie trudne, zaś bezpańscy reporterzy wciąż panoszyli się po Mogadiszu niewzruszeni ograniczeniami w poruszaniu się dziennikarzy po mieście. Ustaliłem, że dziennikarze, którzy przyłączą się do zespołu prasowego, zostaną nagrodzeni: byli w każdym ważnym miejscu działań w czasie operacji i mieli jedynie zakaz wstępu do dowództwa wówczas, gdy mogliby utrudniać przebieg misji. Spędziłem

mnóstwo czasu, przedstawiając sprawozdania zespołowi prasowemu i nakreślając mu aktualną sytuację. Pod koniec naszej operacji wypracowaliśmy sobie z dziennikarzami doskonałe stosunki, co przyniosło korzyść obu stronom - była to najlepsza współpraca między mediami i wojskiem, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem. Wymagało to wielkiego wysiłku i zaufania od obu stron, ale udało nam się tego dokonać.

Gdy trzy tygodnie fazy przygotowawczej dobiegały końca, dostrzegliśmy wyłaniające się problemy, z którymi musieliśmy zmierzyć się w fazie ewakuacji. Port i lotnisko były pełne materiałów, które ONZ miała zostawić na miejscu, a ten „skarb” zaczynał kusić zrozpaczonych Somalijczyków. Wkrótce poczęli oni gromadzić się w wielkiej liczbie wokół obsadzonych wartownikami bram i murów portu i lotniska. Bojówki wszczynały bezpardonową walkę o kontrolę w rejonie posterunków wejściowych, licząc na to, że pierwsze zajmą obiekty i wszystkie dobra dla swoich przywódców.

W nadziei uprzedzenia kolejnych takich problemów zwołałem naradę z przywódcami tych bojówek i moimi dawnymi szefami policji, zorganizowaną na otwartej przestrzeni na niewielkim wzniesieniu niedaleko lotniska z widokiem na całe miasto. Stawili się wszyscy z wyjątkiem przywódców ugrupowań wyjątkowo wrogo do nas nastawionych. Wszyscy byli gotowi podjąć współpracę i szybko przystali na nasz plan ustanowienia kilometrowego pasa bezpieczeństwa oznaczonego znakami ostrzegawczymi i drutem kolczastym, żeby odseparować Somalijczyków od naszych wojsk. Jednak, podobnie jak Aidid, przestrzegli nas, że nie są w stanie kontrolować bardziej wrogich ugrupowań (takich jak gangi z okolic południowego skraju lotniska).

Ponieważ ludzie ci zagrażali naszym pozycjom na plaży w czasie ewakuacji (nie nadawała się do tego żadna inna plaża), musieliśmy coś z tym zrobić.

Spotkanie było owocne, a ja szczególnie cieszyłem się z rozmowy ze starymi policjantami, którzy zaoferowali się, że przejmą port i będą bronić go w czasie naszego odwrotu, o ile dostarczymy im amunicję - gwarantowali, że nie będzie tam najmniejszych problemów. Pomimo sprzeciwu polityków, którzy podzielali nieufność ONZ do somalijskiej policji, dałem im amunicję. Wiedziałem, że palą się do tego, by po raz kolejny dowieść, iż nasza wiara w nich nie była bezpodstawna.

Dotrzymali słowa - obszar portu ani przez chwilę nie stanowił dla nas problemu, gdy się wycofywaliśmy.

Kolejna zachęcająca propozycja na tym zebraniu padła od niegdysiejszego finansisty Aidida, Osmana Atto. Po zwolnieniu z więzienia ONZ na wyspie Atto oderwał się od Aidida i stworzył własną frakcję i bojówkę. Teraz zaoferował nam pomoc w kwestii bezpieczeństwa. Wykorzystałem tę ofertę kilka dni później, kiedy jakiś wyjątkowy upierdliwy zbrojny gang pod naszą główną bramą na lotnisko zaczął stwarzać problemy Pakistańczykom. Później członkowie gangu ostrzelali włoską ekipę dziennikarską i zabili fotoreportera. Wezwałem Osmana, który wytoczył swoje „supertechniczne wozy” (wielkie ciężarówki w stylu wojskowym uzbrojone w ciężką broń, taką jak działka przeciwlotnicze M51 Quad kaliber 50) i wdał się w walkę z bojówką. Po zaciętym starciu jego ludzie pokonali bojówkarzy i przepędzili ich z tego obszaru, po czym przejęli kontrolę nad bramą.

Później musiałem poprosić Atto, żeby zabrał stamtąd swoje

„supertechniczne wozy”, ponieważ ich obecność niepokoiła załogi naszych helikopterów. Osman chętnie spełnił tę prośbę.

Na późniejszym spotkaniu stary przywódca bojówki siedział nieruchomo, wpatrzony posępny wzrokiem w zdewastowane miasto i sterty porzuconego sprzętu ONZ na terenie portu i lotniska.

- Zmarnowano tyle środków i ludzkich istnień - powiedział mi, niemal bliski płaczu. - I po co to wszystko? Świat o nas zapomni i pozostawi samym sobie, byśmy cierpieli długie lata mordów i zniszczeń.

Nie miałem dla niego słów pocieszenia, gdy odszedł.

Dwudziestego ósmego lutego rozpoczęliśmy czwartą fazę - ostateczną ewakuację sił.

Tego dnia rano przejęliśmy kontrolę nad portem i przyplłynęły okręty zakontraktowane przez ONZ w celu ewakuowania batalionu bangladeskiego. Okręty były w opłakanym stanie, jednak kiedy poruszyłem tę sprawę na samej górze, powiedziano mi, że to najlepsze jednostki, jakie były dostępne. Mimo to niepokoiło mnie, że ci znakomici żołnierze musieli znosić tak straszliwe warunki, jak się miało okazać, Pakistańczykom przygotowano coś jeszcze gorszego.

Niezależnie od warunków panujących na okrętach, żołnierze z Bangladeszu zaczęli opuszczać ląd.

Gdy wkraczali na pokład, od czasu do czasu otwierano ogień w kierunku naszych pozycji strzegących portu, a tłumy przy bramie zaczęły zachowywać się bardziej niespokojnie, wrogo i niebezpiecznie.

Tymczasem my ewakuowaliśmy ostatnią grupę 112 cywilów na nasze okręty - pracowników kontraktowych ONZ, grupkę dziennikarzy spoza zespołu prasowego proszących o pomoc w ewakuacji, a także

garstkę cywilnych pracowników organizacji humanitarnych; miano ich przetransportować do Kenii. Normalna procedura wymaga przeszukiwania takich ludzi przed zaokrętowaniem, ale w tym wypadku ominąłem to wymaganie, jednak gdy ich wysadziliśmy w miejscu docelowym, dowiedziałem się, że część z nich przewoziła narkotyki, dzikie zwierzęta pod ochroną i innego rodzaju kontrabandę, która musiała zostać skonfiskowana przez kenijskie służby celne. Była to dla mnie ważna lekcja o zaufaniu.

Gdy zakończyliśmy te działania, nadszedł czas na przejście pakistańskiej jednostki przez nasze zgrupowanie i przedostanie się jej z lotniska do portu. Ponieważ ta operacja z całą pewnością musiała doprowadzić do wtargnięcia hord ludności na lotnisko, chciałem, żeby okręt transportujący Pakistańczyków został załadowany i odpłynął najszybciej, jak to tylko możliwe. W ten sposób mogliśmy szybko opuścić port i cofnąć nasze linie na plażę na południe od lotniska. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, bylibyśmy na plaży do zmierzchu.

Pakistańczycy wykonali bezbłędnie manewr przejścia przez nasze ugrupowanie i dotarli do portu w doskonałym porządku. Odzyskaliśmy ich sprzęt i błyskawicznie załadowaliśmy go na nasz okręt. Następnie czekaliśmy na statek, który ONZ wynajął w celu przewiezienia tych ludzi do Der es Salaam w Tanzanii, skąd mieli odlecieć do swojego kraju. Statek przybył spóźniony, niemalże wpływając z rozpędu na ląd. Kiedy wreszcie wyhamował i przycumował do boku przystani, stało się jasne, że jest za mały na liczbę żołnierzy, których miał zabrać na pokład. Co gorsza, pierwszy oficer zgłosił, że kapitan jednostki jest pijany, a na pokładzie nie ma wody pitnej i prowiantu. Podróż zaś miała trwać kilka dni.

Przeniesienie palety gotowych posiłków wojskowych i wody z naszych okrętów na jednostkę ONZ nie nastęczało większych trudności, ale niefrasobliwe traktowanie tych odważnych i wysoce profesjonalnych żołnierzy przez ONZ było niewybaczalne.

Teraz byliśmy już sporo opóźnieni, a ludność, „wozy techniczne” i szabrownicy napływali na teren lotniska niebezpiecznie blisko naszych linii. Wszędzie wybuchały strzelaniny, gdy przyjazne nam bojówki usiłowały utrzymać kontrolę i odpędzać szabrowników. Choć policja utrzymywała swoje pozycje w porcie, strzały docierały również do naszych pozycji. Somalijscy tłumacze wykrzykiwali ostrzeżenia, zaś nasi snajperzy wystrzelili serię ostrzegawczą. Przykuło to uwagę bojówek i zaczęły one odzyskiwać kontrolę.

Po południu niespodziewanie zjawił się Aidid, by ogłosić zajęcie lotniska, łamiąc porozumienie z innymi przywódcami dotyczące wspólnej kontroli. Po prostu wtargnął tam ze swoimi ludźmi i przejął je siłą, zaś pozostali kacykowie nie mogli uczynić nic, by mu w tym przeszkodzić.

Tymczasem moje nadzieje na opuszczenie plaży do zmierzchu zaczęły pierzchać. Wyglądało na to, że nie uda nam się z niej wydostać aż do późnej nocy.

Gdy zapadły ciemności, Aidid nie opanował jeszcze całego lotniska, a uzbrojeni bandyci z karabinami i ręcznymi granatnikami przeciwpancernymi zajmowali kryjówki pomiędzy porzuconymi kontenerami i wojskowym sprzętem rozrzuconym po okolicy, po czym co chwila wychylali się z upatrzonych pozycji, by strzelać na chybił trafił w naszym kierunku. Choć kierowaliśmy do nich ostrzeżenia przez megafony, a mierzone blisko obok nich strzały ostrzegawcze naszych snajperów

trzymały ich na dystans, mój dowódca marines pułkownik John Garrett przypomniał mi, że nie możemy pozwolić im na pozostawanie w pobliżu w warunkach nocnych - wówczas byłoby bardzo trudno ich namierzyć.

Miał słuszość, a ja musiałem rozkazać snajperom zlikwidować ich wszystkich. Zrobili to. Później, kiedy prasa wywęszyła całą tę historię, chciała dowiedzieć się, ile osób zginęło. Moja odpowiedź była często cytowana:

- Nie liczę ciał - oświadczyłem im. - To nie Wietnam.

Tymczasem jednostki piechoty morskiej utrzymujące plażę na południe od nas mającą być ostatnim punktem ewakuacji donosiły o coraz cięższym ostrzale ze strony bojówek. Choć śmigłowce szturmowe pomagały kontrolować obszar plaży, bojówkarze byli dobrze ukryci. Ponieważ stawało się coraz bardziej oczywiste, że ostatni żołnierze na tej plaży przejdą przez piekło, postanowiłem, że będę musiał spędzić tę noc z nimi.

W czasie manewru w kierunku plaży rozmieściliśmy zapory przygotowane dla nas wcześniej przez inżynierów. Przygotowali oni również masywne piaszczyste przeszkody, które osłaniały nasze duże poduszki spiesznie przewożące nasze siły i sprzęt. Na plaży ewakuowaliśmy wszystkich ludzi z wyjątkiem dwóch ostatnich kompanii, które miały zostać zabrane przez pływające transportery opancerzone.

Około północy dołączyłem do podpułkownika Phila Traceya, dowódcy batalionu tych żołnierzy i mojego dobrego znajomego. Ostrzał wciąż przybierał na sile. Bojówki wysyłały teraz na nasze linie oddziały wielkości drużyny, lecz marines natychmiast je likwidowały. Przysłuchiwałem się rozmowom taktycznym członków kompanii, gdy

młodzi porucznicy i kapitanowie kierowali swoich żołnierzy do walki, co przypomniało mi Wietnam. Jeden z głosów radiowych wydał się mi znajomy, a Phil potwierdził, że był to syn mojego starego przyjaciela, generała piechoty morskiej. Kolejne pokolenie zajmowało nasze miejsce i powtarzało naszą drogę ku męskości.

Plan ostatecznej ewakuacji zakładał, że żołnierze na dany sygnał błyskawicznie będą wsiadać do amfibijnych transporterów opancerzonych, nasze samoloty AC-130 i śmigłowce szturmowe będą utrzymywać osłonę ogniową, zaś opancerzone amfibie, załadowane już żołnierzami, pospiesznie pomkną do wody, zanim atakujący zdołają zareagować. Choć ćwiczyliśmy ten manewr wielokrotnie, obawiałem się, że jakiś celny strzał z ręcznego granatnika przeciwpancernego mógłby trafić któryś z wozów amfibijnych zmierzający do wody. Bezpośrednia walka, która by wówczas rozgorzała, spowodowałaby wiele ofiar.

Gdy wystrzelono flarę sygnałową, mój adiutant, szef sztabu i ja wskoczyliśmy do tylnego przedziału pobliskiej amfibii. Pokrywy wjazdu szybko się zatrzasnęły i pływający transporter opancerzony popędził w kierunku linii wody. Wkrótce dźwięki dudnienia kół po plaży ustąpiły łagodnym pluskom fal. Choć opancerzona amfibia wydawała się szarpać i trząść, gdy pędziliśmy po piachu - jakby pojawił się jakiś problem ze skrzynią biegów - przestałem się martwić, gdy w końcu znaleźliśmy się w wodzie.

Nie słyszałem żadnych eksplozji, ale poleciłem mojemu szefowi sztabu, pułkownikowi Johnowi Moffettowi, żeby sprawdził stan pozostałych amfibii.

- Wszystkie są w wodzie - doniósł - i żadna nie została trafiona.



Usiadłem wygodniej, czując wyraźną ulgę.

Nagle dostaliśmy się w duże fale, a kołysanie pływającego transportera opancerzonego i przelewanie się wody przez górne pokrywy wjazdu zaczęło wywoływać mdłości u żołnierzy. Hełm, który sobie podawali z rąk do rąk, wkrótce się napełnił. Chyba byłem jedynym, który nie dołożył niczego od siebie w czasie tej „zrzutki”. Być może wszechogarniające uczucie ulgi sprawiło, że trzymałem się lepiej niż inni.

Wcześniej nie przejmowałem się, kiedy nasz amfibijny transporter trzął się i szarpał, mknąc po plaży. Ale teraz zaczęliśmy całkiem tracić moc, a wewnątrz pojazdu zaczął wypełniać dym. John wystawił głowę do wieżyczki dowódcy, po czym oznajmił, że mamy problem ze skrzynią biegów i zostaniemy wzięci na hol przez inny transporter amfibijny. Pomyślałem: jeśli wody nie będzie dużo więcej niż na 30 centymetrów, to pompa zęzowa poradzi sobie. I tak też się stało.

Niebawem poczuliśmy, że jesteśmy ciągnięci na holu i wszyscy się trochę rozluźniliśmy. Niespodziewanie jednak znów stanęliśmy. John wystawił głowę do wieżyczki dowódcy, po czym oświadczył, że pojazd, który nas holował, również utknął zepsuty w wodzie i teraz obie amfibie dryfują z powrotem ku plaży.

Uniosłem głowę i ujrzałem światła „wozów technicznych” czekających już na plaży.

Wówczas kapral Deskins, dowódca naszego pływającego transportera opancerzonego, wetknął głowę do przedziału pasażerskiego.

- Sir - odezwał się do mnie - oto, jak wygląda sytuacja. Stoimy w ogniu i znosi nas w stronę plaży. Amfibia holownicza również stoi w ogniu i dryfuje razem z nami. Pozostałe transportery pływające skierowały

się do okrętu i nie możemy wywołać nikogo przez radio. Odpaliliśmy flary, ale jak dotąd nie widziałem żadnych łodzi ratunkowych. Natomiast na plaży widzimy wroga. - Przerwał i uśmiechnął się. - Ale proszę się nie obawiać, sir. Nasze karabiny maszynowe sprawują się lepiej na plaży.

Otworzyliśmy wówczas górne pokrywy wjazdu i wszyscy marines wdrapali się na górę pływającego transportera opancerzonego. Było to niebezpieczne, gdyż fale z hukiem uderzały o burty, ale w końcu niewielka szalupa ratunkowa marynarki wojennej zareagowała na flary, odnalazła nas i podpłynęła. Przejście żołnierzy z amfibii do ciasnej łódki przy wysokich falach wymagało nie lada sprawności. Zresztą szalupa szybko się przepełniła i inna, większa jednostka musiała nam przybyć z pomocą. Gdy żołnierze bezpiecznie trafili na inne łodzie, spojrzałem znów w kierunku plaży majaczącej na ciemnym horyzoncie. Na tle świateł Mogadiszu rysowały się „wozy techniczne”, które sygnalizowały sobie coś swoimi światłami.

Czterooosobowa załoga pod dowództwem kaprała Deskinsa to ostatni ludzie, którzy zostali wtedy na pokładzie opancerzonego transportera pływającego.

- Musimy zabrać ich na pokład, żebyśmy mogli się stąd wynieść - powiedział do mnie oficer łodzi ratunkowej - lub możemy zostać zalani.

Ale kiedy poprosiłem kaprała Deskinsa o opuszczenie transportera pływającego i wejście na pokład łodzi, on się obruszył.

- Sir, nie porzucimy naszej amfibii - orzekł.

Spojrzałem na Johna. Uśmiechnął się i pokręcił głową. Zwróciłem się z powrotem do oficera łodzi ratunkowej.

- Musimy jeszcze trochę wytrzymać - powiedziałem - i mieć

nadzieję, że większy pływający pojazd desantowy dotrze tu, zanim wylądujemy na plaży.

Rzeczywiście niebawem dotarła do nas spora liczba innych amfibijnych transporterów spieszących nam na ratunek. Zdołaliśmy uniknąć nieplanowanego powrotu do Somalii.

Nieco wcześniej pozostałe amfibie dotarły do okrętu, sądząc, że jesteśmy na holu, ale kiedy załogi dowiedziały się o naszej sytuacji, cały pluton pływających transporterów opancerzonych z powrotem otworzył luk i spuścił swoje amfibie na morze, by przybyły po nas.

Gdy wychodziłem z łodzi na większy pojazd desantowy, wręczono mi kubek gorącej kawy od dowódcy pojazdu desantowego marynarki wojennej. Po raz pierwszy tej nocy uprzytomniłem sobie, że jestem przemoczony do suchej nitki, zmarznięty i przemęczony. Spojrzałem na zegarek. Opuściliśmy plażę pięć godzin wcześniej. Intensywność przeżyć sprawiła, że te godziny zdawały się minutami.

Duży pływający pojazd desantowy dotarł do okrętu „Belleau Wood” o świcie. Tylny luk okrętu otworzył się, by wpuścić pojazd desantowy na jego pokład. Gdy byliśmy w środku, zorientowałem się, że będę musiał brodzić w wodzie po pas, idąc w górę pochyłego pokładu, którego część znajdowała się poniżej lustra wody. Na drugim końcu pokładu gromadził się nasz zespół prasowy z gotowymi aparatami fotograficznymi. Uśmiechnąłem się do dowódcy.

- Chciałeś, żebym brodził w tej wodzie przed ich kamerami?

W odpowiedzi uśmiechnął się do mnie.

- Tak jak MacArthur, sir.

Później w centrum dowodzenia odprawa potwierdziła, że nasz stan

osobowy się zgadzał. Zameldowałem wówczas admirałowi Scottowi i generałowi Peayowi:

- Misja wykonana.

Poszedłem do mojej prywatnej kabiny, wziąłem prysznic i padłem na koję. Kiedy zbudziłem się następnego dnia rano, okręt łagodnie kołysał. Byliśmy już w drodze do Kenii. Trwała piąta i ostatnia faza - przegrupowania wojsk. Co znaczące, nie ponieśliśmy żadnych strat w tej operacji. Długotrwałe i staranne planowanie opłaciło się. Byłem dumny ze wszystkich moich żołnierzy.

Przybyliśmy do portu w Mombasie 6 marca, a ja poleciałem z moim sztabem z powrotem do Camp Pendleton.

Dwa tygodnie później sekretarz obrony William Perry przemawiał podczas uroczystości rozdania nagród w Pentagonie:

- Żyjemy w niedoskonałym świecie i nigdy nie uda się go uczynić doskonałym - stwierdził - ale możemy osiągnąć wyjątkowe chwile perfekcji. Operacja „Zjednoczona Tarcza” była taką właśnie chwilą.

Wyjazd z Somalii był bardzo emocjonującym momentem. Zostawialiśmy za sobą wiele ofiar i rozwiane nadzieje na tamtej plaży... ale też wynieśliśmy ważną wiedzę z somalijskiej lekcji. Jestem przekonany, że wszystko mogłoby potoczyć się lepiej, gdybyśmy przeprowadzili to złożone przedsięwzięcie umiejętniej i z większym zastanowieniem.

## **6. Centralne Dowództwo - CENTCOM**

W sierpniu 1996 roku nowy dowódca Korpusu Piechoty Morskiej, generał Chuck Krulak, mianował Tony'ego Zinniego zastępcą naczelnego

dowódcy (DCINC) Centralnego Dowództwa\*[\* Zinni zastępował generała Butcha Neala, jednego ze swoich najstarszych i najbliższych przyjaciół w Korpusie. Po zdobyciu rozległego doświadczenia w CENTCOM-ie (trzy tury służby na stanowisku dowódcy) generał Neal został przedstawiony do awansu i mianowany zastępcą dowódcy Korpusu Piechoty Morskiej.] Stanów Zjednoczonych (CENTCOM), mieszczącego się w bazie sił powietrznych MacDill w Tampie na Florydzie.

Opuszczenie dowództwa 1. Korpusu Ekspedycyjnego Piechoty Morskiej nie było łatwe, ale mimo to Zinni z radością przyjął możliwość dalszej służby. Na wyższych szczeblach hierarchii wojskowej można tylko przenosić się na kolejne stanowiska albo przejść na emeryturę. CENTCOM był w rzeczy samej bardzo korzystnym przydziałem... Tu najwięcej się dzieje, pomyślał Zinni. Sztab jest zorientowany na działanie, a ja znam się już trochę na dowodzeniu po moich doświadczeniach w Somalii i z 1. Korpusu, który w razie potrzeby był przydzielany do CENTCOM-u jako jednostka reagowania. Szybko uzupełnił wstępną wiedzę, pochłaniając ponad 50 książek na temat historii i kultury tego regionu.

Kiedy Zinni przybył do kwatery głównej CENTCOM-u na początku września, nie zastał tam wesołej atmosfery. Dowództwo przeszło właśnie najgorszy atak terrorystyczny na amerykańską placówkę od czasu wysadzenia koszar marines w Bejrucie w 1983 roku. W Khobar Towers, koszarach sił powietrznych we wschodniej Arabii Saudyjskiej, prowadzona przez samobójcę ciężarówka wyładowana materiałami wybuchowymi zabiła blisko 20 Amerykanów (CENTCOM ucierpiał również wskutek wysadzenia jednej ze swoich placówek bezpieczeństwa

w Rijadzie). Tragedia ta zaważyła poważnie na dowództwie i położyła się cieniem na reszcie tury generała Binnie Peaya jako głównodowodzącego

CENTCOM-u... a także wpłynęła bezpośrednio na Zinniego jako jego zastępcę, kiedy generał Peay wyznaczył go do nadzoru wprowadzania w życie ponad 100 zaleceń wysuniętych przez komisję dochodzeniową, której przewodniczył emerytowany generał armii Wayne Downing. Było jasne, że zagrożenie terrorystyczne jest coraz poważniejsze i że obrona przed nim staje się głównym zadaniem wojskowych przywódców Ameryki.

Zalecenia Komisji Downinga obejmowały wiele kwestii, od przenosin jednostek do zaostrzenia rygorów bezpieczeństwa; istniała duża presja, by jak najszybciej wprowadzić je w życie. Część instrukcji była prosta, na przykład zwiększenie sił bezpieczeństwa, wzniesienie zapór i innego rodzaju zabezpieczenia fizyczne. Inne wymagały więcej czasu. Komisja zaleciła na przykład zmniejszenie w regionie liczby „tur towarzyszących”, to jest tur służby, na które wojskowi mogą zabierać swoje rodziny. Zalecenie to nie zostało dobrze przyjęte, zwłaszcza przez ludzi na stanowiskach w rodzaju rezydentnych specjalistów do spraw bezpieczeństwa, które wymagają stałego pobytu w jednym miejscu przez dwa lub trzy lata, żeby sprawnie wypełniać swoje obowiązki. Mimo to zapadła decyzja, by liczbę tur towarzyszących drastycznie ograniczyć. Większość ludzi miała zmieniać miejsce pobytu na zasadzie rotacji po roku... czyli mniej więcej w momencie, kiedy akurat zaczynali się wdrażać. (Politykę tę ostatecznie częściowo odwrócono).

Downing zalecił także przeniesienie kwatery głównej CENTCOM-u

poza region. Kiedy jednak dowództwo przyjrzało się dokładnie pomysłowi założenia takiej kwatery w tej części świata - i temu, co trzeba by zrobić, żeby to wykonać, żeby zorganizować środki bezpieczeństwa, zadbać o infrastrukturę, kwestie polityczne, rodziny i szkoły - koszty okazały się tak wielkie, że przedsięwzięcie wstrzymano.

CENTCOM zdecydował się zamiast tego na założenie wysuniętej kwatery, z filiami podległych sobie dowództw - naziemnego, powietrznego, morskiego i operacji specjalnych - na miejscu. (Przed inwazją na Irak w 2003 roku generał Tommy Franks założył swoją wysuniętą kwaterę w Katarze, który był jedną z lokalizacji uprzednio wyznaczonych na wysuniętą kwaterę CENTCOM-u).

Słuszne czy nie, zalecenia komisji Downinga mogły być wykonane sprawnie i profesjonalnie. Raport komisji sięgnął jednak dalej; zajął się szukaniem winnych, co zaprowadziło dochodzenie na bardziej grząski teren. Granica między przypisywaniem odpowiedzialności a szukaniem kozłów ofiarnych jest bardzo wąska. Kiedy raport został opublikowany, winę za „zaniedbania”, które umożliwiły powodzenie ataku, zwalono głównie na CENTCOM i dowodzącego w Khobar Towers.

Nie była to ocena całkowicie irracjonalna: dowódca musi ponosić całkowitą odpowiedzialność za to, co się dzieje na jego terenie. Ktoś musi być winny.

Z drugiej strony wojsko istnieje po to, by zajmować się sytuacjami z definicji niebezpiecznymi. Ryzyko należy zmniejszać, jak tylko się da, ale w pewnym momencie dążenie do zmniejszania ryzyka zaczyna też wydatnie zmniejszać skuteczność działania wojska. Całkowite bezpieczeństwo i stuprocentowa ochrona nie są warunkami wojskowego

życia.

Ryzyko można zmniejszyć do absurdu: „Nie przechodź przez ulice. Przecież jest mnóstwo kiepskich kierowców”. Można też zbudować niezniszczalne bunkry, a potem się w nich ukryć.

Tony Zinni opowiada:

Podczas dochodzenia Komisji Downinga podejście jej członków do kwestii dowodzenia było otwarte i pozbawione uprzedzeń. Ale raport Downinga był już zupełnie inny. Jego ton był o wiele bardziej oskarżający, niż były ku temu podstawy. Co gorsza, wiele zabezpieczeń, do których wprowadzenia nas zmuszono, odbiło się negatywnie na naszej skuteczności.

To, co w raporcie nie podobało mi się najbardziej (ale problem sięga o wiele dalej, jak dałem jasno do zrozumienia w późniejszym zeznaniu przed Kongresem), to brak zrozumienia, że żyjemy w niebezpiecznym świecie. Zaatakowali nas terroryści, którzy wciąż na nas dybią, ale mimo to, żeby wykonać nasze zadanie, musimy podejmować ryzyko. Jedynym stuprocentowo bezpiecznym sposobem uniknięcia go jest po prostu nigdzie nie jechać. Ale jeśli mamy pozostać w tym regionie i robić swoje, musimy podejmować ryzyko. Żołnierze będą na nie narażeni.

Nastroje panujące w Stanach Zjednoczonych były głęboko frustrujące: musimy sprawić, by nasza obecność na całym świecie była stuprocentowo bezpieczna dla naszych żołnierzy, marynarzy, lotników i marines. A jeśli choć jeden żołnierz, marynarz, lotnik albo marine zostanie ranny albo zginie wskutek działalności terrorystów, musimy znaleźć po swojej stronie kogoś, kogo będzie można za to obwinić.

Nie jestem w stanie wyobrazić sobie bardziej chorego sposobu



prowadzenia operacji wojskowych.

Wprowadzanie w życie zaleceń Komisji Downinga zajmowało Zinniemu większość czasu w ciągu następnego roku - i później.

W tym czasie w CENTCOM-ie wrzało jak w ulu.

Powstrzymywanie Iraku zawsze zaprzętało wiele uwagi; kilka spięć z Saddamem po wojnie w Zatoce wymagało interwencji wojskowej. Zazwyczaj dochodziło do tego przy wymuszaniu przestrzegania granic zamkniętych stref powietrznych i drogowych. Amerykańskie morskie operacje przechwytywania zatrzymały sporą liczbę przemytników, większość z nich jednak okazała się bardzo trudna do złapania - unikali amerykańskich patroli, korzystając z irańskich wód terytorialnych (i płacąc za to Irańczykom).

Dowództwo kontynuowało trwającą już od dawna politykę powstrzymywania Iranu (drugiego hegemonu tego regionu) i napięcia wciąż się utrzymywały. Siły morskie Stanów Zjednoczonych w Zatoce co dzień napotykały wrogo nastawione i agresywne siły morskiej Irańskiej Islamskiej Gwardii Rewolucyjnej; ich ataki i prowokacje z łatwością mogły doprowadzić do poważniejszych konfrontacji.

Zatoka nie była jedynym punktem zapalnym. Inne znajdowały się we wschodniej Afryce i południowo-zachodniej Azji. A odwieczny kryzys pomiędzy Izraelczykami i Palestyńczykami wpływał na wszystkie państwa regionu, chociaż sam nie leżał w granicach AOR - obszaru odpowiedzialności CENTCOM-u. Dowództwo musiało bezustannie na nowo oceniać sytuację i przystosowywać się do coraz to nowych faktów i wyzwań.

Po wojnie w Zatoce generał marines Joe Hoar, głównodowodzący

CENTCOM-u, który zastąpił generała Normana Schwarzkopfa, rozpoczął starania w celu stworzenia silnych powiązań między Stanami Zjednoczonymi a zaprzyjaźnionymi państwami rejonu i zbudowania solidnych podstaw wojskowej współpracy.

Generał Peay dołożył do owych podstaw swoją cegiełkę, zwiększając liczebność stacjonujących tu amerykańskich sił. Trzeba było to robić ostrożnie; rozmieszczanie amerykańskich baz spotykało się często z niechęcią miejscowych. Peay obszedł ten problem, tworząc siły opierające się na stałym wyposażeniu i rotacyjnych jednostkach\*[\* Jednostki, które nie stacjonowały na stałe w regionie, lecz na zasadzie rotacji przenosiły się między kolejnymi amerykańskimi bazami.], rozpraszając je w całym rejonie Zatoki, wykorzystując placówki łączone\*[\* Placówki prowadzone wspólnie z miejscowymi władzami.] do przeprowadzania operacji i rozmieszczając w regionie kilka wybranych kwater głównych podległych dowództw do nadzorowania codziennych działań. W ten sposób zademonstrował chęć Ameryki do dzielenia się brzemieniem działań wojskowych oraz pozyskiwania lokalnej współpracy i wsparcia dla zadań... nie budując przy tym baz ani nie lokując w nich przypisanych na stałe jednostek. Dodatkową korzyścią był fakt, że układ taki dopuszczał elastyczność wielkości i składu sił amerykańskich.

Nowe wytyczne stworzyły o wiele większe możliwości sprostania pojawiającym się wyzwaniom w tej istotnej części świata. Tony Zinni skorzystał z innowacyjnego podejścia i nieustrudzonej pracy generałów Hoara i Peaya.

Od pierwszego dnia w pracy Zinni starał się wdrożyć w wojskowe życie, zagłębiając się w odprawy, raporty wywiadu i rozmowy z

dowódcami, mającymi doświadczenie w działaniach w tym regionie. Wiedział jednak, że to za mało. Nic nie mogło zastąpić jego własnej obecności. Generał wiedział już, jak ważne jest, aby najpierw zobaczyć miejsce, w którym przyszło mu dowodzić, i spędzić tam dość czasu, by nawiązać najistotniejsze stosunki.

Generał Peay często jeździł do regionu działań. Kiedy go nie było, Zinni zostawał na miejscu, dbając o sprawy, jak nakazywała istota jego stanowiska (CINC wyjeżdża, DCINC zostaje). Mimo to za każdym razem, kiedy Peay wracał, jego wiedza i umiejętność wnioskowania zadziwiały Zinniego. Takich rzeczy nie można się dowiedzieć z odpraw i odczytów w kwaterze głównej.

Kilka miesięcy po przybyciu do CENTCOM-u Zinni w końcu pojechał do swojego regionu. Jego głównym zadaniem była kontrola sił - sprawdzenie, kto konkretnie tam jest i co robi, obejrzenie ich, odebranie raportów. Oprócz tego jednak odwiedzał też dowódców wojskowych i państwowych przywódców.

Podczas swojej wizyty wziął udział w szeregu towarzyskich spotkań z Arabami... W ciągu następnych lat miało ich być jeszcze więcej. Ludzie w tej części świata nie odgraniczają wyraźnie spraw towarzyskich od zawodowych.

Tony Zinni opowiada:

W świecie arabskim interesy załatwia się o wiele swobodniej niż u nas - czy w Europie, na Pacyfiku i w innych miejscach, gdzie służyłem. W Ameryce i Europie spotkania mają sztywny charakter. Jest rozkład i jest plan obrad. Ogranicza się pogawędki i człowiek czuje się winny, kiedy

poświęca im więcej czasu. Zaznacza się tematy, które trzeba omówić. A kiedy już się je omówi, od razu przechodzi się dalej.

Arabowie nie lubią załatwiać interesów w ten sposób. Nie przeskakują od razu do ważnych spraw; preferują o wiele swobodniejsze podejście... i to nie dlatego, że nie rozumieją, jaka jest stawka. Poznają w ten sposób i oceniają człowieka. Osobiste relacje i zaufanie wyrosłe z przyjaźni są ważniejsze niż zwykłe podpisanie umów. Siadają kołem w pokoju, piją kawę, zjedzą coś dobrego, pośmieją się trochę i porozmawiają niezobowiązująco o swoich rodzinach, polowaniach, pogodzie i wszystkim innym, co nie wydaje się strasznie ważne. Z czasem dojdą powoli do interesów, które mają załatwić, i załatwią je. Ale nie wolno próbować ich poganiać.

Kiedy ludzie Zachodu tego próbowali - nawet naczelni dowódcy - powstawały problemy.

Nasz sposób załatwiania spraw tutaj po prostu nie działa. Kiedy próbujemy go stosować, jesteśmy źle odbierani. A mimo to uprzejmość, hojność i gościnność są w Arabach zakorzenione do tego stopnia, że możemy nie zauważyć, iż się na nas obrazili. Dla gości zawsze będą uprzejmi. Gościnność jest w tej części świata czymś więcej niż po prostu kulturalnym zachowaniem; to obowiązek. Niegościnność czy nieuprzejmość to grzech. Z drugiej strony Arabowie bardzo cenią sobie ludzi, którzy lubią ich rodzaj międzyludzkiej interakcji. Ale praktykowanie tego w poprawny sposób to duża sztuka.

Sztuka, którą zawsze lubięm uprawiać.

Interesujące jest obserwowanie waszyngtońskich specjalistów załatwiających sprawy z Arabami. W Waszyngtonie oficjalne i formalne

podejście jest dla wszystkich naturalne. Tak się tam działa, to właśnie oznacza prążkowany garnitur.

Podczas jednego z kryzysów z Saddamem Husajnem sekretarz Cohen i ja pojechaliśmy do kilku państw w tym regionie, żeby uzyskać pozwolenie na zbombardowanie Iraku. Dobra, po naszymu to się robi tak: dajesz im papiery, oni czytają to, co jest napisane drobnym drukiem, a potem podpisują się w odpowiednich miejscach. Żaden problem... Tyle tylko że Arabowie w ten sposób tego nie zrobią. Nie powiedzą wprost „tak” albo „nie”. Sygnalizują swoje zamiary, ale sygnały te nie są oczywiste, jeżeli się ich nie rozumie.

W jednym z tych krajów sekretarz Cohen naciskał i naciskał, i nic nie wskórał; nie chcieli mu udzielić odpowiedzi. Ale kiedy wyjeżdżaliśmy, powiedzieli: „Musicie zawsze pamiętać, że jesteśmy waszymi przyjaciółmi”.

- Dostaliśmy odpowiedź? - spytał Cohen, kiedy wychodziliśmy.

- Tak - odparłem. - Możemy to zrobić.

- Ja tego nie słyszałem.

- Tak, na samym końcu, kiedy powiedzieli, że zawsze będą naszymi przyjaciółmi, to była ich odpowiedź. Powiedzieli panu, żeby pan to zrobił i nie robił z tego wielkiego halo.

W innym państwie powiedziano nam: „Prosimy, nie każcie nam tego robić”.

Co naprawdę oznaczało: „Róbcie, co musicie. Nikt nie będzie się wtrącał. Ale nie zadawajcie nam pytań, na które nie chcemy odpowiadać”.

Amerykanie oczywiście zawsze oczekują zdecydowanego „tak” albo „nie”.

W wielu innych kulturach, na przykład u Izraelczyków, ludzie są szczerzy, obcesowi i rzeczowi i wszystkich, którzy tacy nie są, podejrzewają o nieczyste zamiary. Wśród dobrych przyjaciół człowiek powinien mówić uczciwie i otwarcie. Uprzejmość obowiązuje tylko wobec ludzi, z którymi nie jest się blisko albo których się nie lubi.

Każda kultura jest inna. Nie w tym rzecz, że różne są podstawowe wartości, lecz w tym, że istnieją kulturowe subtelności i delikatne kwestie, które naprawdę trzeba rozumieć.

Na początku 1997 roku generał Peay zbliżał się do końca swojej tury jako CINC. Chociaż w armii i piechocie morskiej istniał zwyczaj naprzemienności stanowisk, Zinni nie spodziewał się, że stanowisko to przypadnie właśnie jemu. Nikt przedtem nie został awansowany z DCINC na dowódcę CENTCOM-u. Dlatego Zinni był całkowicie zaskoczony i wytrącony z równowagi, kiedy generał Krulak oznajmił, że wyznacza go na następcę Peaya... Była to niespodzianka, fakt, ale zarazem nie było posady, której Zinni pragnąłby bardziej. To była ta część świata, w której jego doświadczenie bojowe, znajomość kultury, osobiste kontakty i wiedza mogły zostać najlepiej wykorzystane przez jego kraj.

Ale najpierw trzeba było pokonać dużą przeszkodę.

Zinni został poinformowany, że generał Shalikashvili, przewodniczący Komitetu Szefów Połączonych Sztabów, sprzeciwił się jego nominacji, zamiast tego popierając kandydaturę jego dobrego przyjaciela Butcha Neala (który miał doskonałe predyspozycje do tej posady), twierdząc, że Zinni jest zbyt „otwarty” i nie będzie można go „kontrolować”. Zinni nie potrafił zrozumieć obiekcji przewodniczącego (współpracowali bez tarć podczas operacji „Przynieść Ulgę”), ale podszedł

do całej sprawy ze stoickim spokojem: skoro przewodniczący nie poparł jego nominacji, ta nie przejdzie. Trzeba będzie z tym żyć.

Oznaczało to, że jego kariera właśnie dobiegła końca. Powiedział żonie, żeby szybko zrobiła plany na emeryturę i poszedł na kurs odchodzących ze służby żołnierzy; kupili nieruchomość w Wirginii i zaczęli rozmowy z architektami i firmami budowlanymi na temat budowy domu na starość.

Generał Krulak i sekretarz marynarki wojennej John Dalton przedłożyli obie kandydatury, Zinniego i Neala. Zinni był wdzięczny, ale miał przeświadczenie, że to niczego nie zmieni. Odbył rozmowę - wydawało mu się, że pro forma - z sekretarzem obrony Billem Cohenem, a potem czekał na nieuniknioną chwilę, kiedy przyjdzie mu zadzwonić do Butcha Neala z gratulacjami.

Kilka tygodni później znów spotkała go wielka niespodzianka: sekretarz Cohen zadzwonił do niego z wiadomością, że administracja wybrała Zinniego na stanowisko głównego dowódcy CENTCOM-u; jego nominacja została przesłana do zaopiniowania Senatowi.

Tony Zinni opowiada:

Kiedy już otrząsnąłem się z szoku, zacząłem zbierać dobre rady na temat nowych wyzwań związanych z dowodzeniem i jego przyszłym kierunkiem w dynamicznie rozwijających się okolicznościach, z jakimi mieliśmy do czynienia na naszym AOR. Oczekiwałem, że pomysły te złożą się na nową strategię CENTCOM-u w regionie; miałem na ten temat pewne pomysły, które pragnąłem rozwinąć.

Ze wszystkich rad, jakie dostałem, najmądrzejszych udzieliły mi trzy osoby - Joe Hoar, Binnie Peay i Ed Fugit.

Generał Hoar podkreślił znaczenie kontaktów.

- W tej części świata osobiste stosunki są często ważniejsze od oficjalnych umów - powiedział mi. - Niech pan sobie przypomni czasy, kiedy byliśmy doradcami w Wietnamie. Tam znaleźliśmy wartość budowania zaufania i przyjaźni.

Ustępujący doradca polityczny (POLAD) głównodowodzącego poparł generała Hoara. Ed Fugit, dyplomata doświadczony i dobrze znający nasz region, poradził mi nawiązanie osobistych kontaktów zarówno z przywódcami, jak i z ludnością.

- Ale może pan zrobić jeszcze więcej - ciągnął - okazując zainteresowanie ich kulturą i społeczeństwem. Niech pan to zrobi, a zbuduje pan pomost zaufania.

Spodobało mi się takie podejście. Zbyt często angażują nas kryzysowe sytuacje, kiedy miotamy się z żądaniami, programami i polityką, nie poświęcając czasu na wysłuchanie zdania ludzi, którzy będą musieli żyć z naszymi decyzjami.

- Niech pan dobrze wybierze swojego POLAD-a - zakończył Fugit. - To najważniejsza decyzja kadrowa, jaką przyjdzie panu podjąć.

Miał rację, a ja miałem szczęście, wybierając na swojego POLAD-a Larry'ego Pope'a, byłego ambasadora, mówiącego po arabsku świetnego dyplomata... i moją prawą rękę przez najbliższe trzy lata.

Generał Peay udzielił mi rady ostatniego dnia swojego dowodzenia.

- Niech pan działa po swojemu - powiedział - i nie czuje się zobligowany do kontynuowania mojej strategii. AOR się zmienia. Będzie pan musiał rewaluować i aktualizować strategię i politykę dowodzenia. Musi pan wykazać się świeżym spojrzeniem, jak wszyscy nowi



głównodowodzący, i nadać naszym zadaniom swój osobisty szlif.

Byłem wdzięczny za te słowa otuchy... i błogosławieństwo. Binnie Peay został moim przyjacielem i mentorem. W każdej sprawie pytał mnie o zdanie, powierzał mi ważne decyzje, a dowództwo przekazał mi w doskonałym stanie, przygotowane na wiele kryzysów i zagrożeń, którym musieliśmy później stawić czoło. Jego poświęcenie dla rozwijania naszych umiejętności bitewnych wciąż procentuje.

13 sierpnia 1997 roku zostałem szóstym głównodowodzącym Centralnego Dowództwa Stanów Zjednoczonych.

### **Strategia, polityka i nowe amerykańskie imperium**

Tom Clancy: reszta rozdziału należy do Tony'ego Zinniego.

Moim pierwszym zadaniem jako CINC było przekształcenie naszej strategii pod kątem wciąż zmieniającego się AOR-u i kształtującej się globalnej strategii administracji Clintona. Potrzebna nam była struktura, horyzont i cele, by sprostać licznym wyzwaniom stawianym w tej najniebezpieczniejszej części świata. Bez tego nasz codzienny trud byłby bezcelowy.

CENTCOM miał w swoim AOR-ze 20 państw (niedługo potem 25) - różnorodny region rozciągający się od wschodniej Afryki, przez Bliski Wschód, po południowo-zachodnią i środkową Azję oraz Ocean Indyjski. Mimo to niemal cała uwaga dowództwa skupiała się na Zatoce Perskiej i naszych starych problemach z Iranem i Irakiem - największymi zagrożeniami w tym regionie. Działaliśmy w ramach krajowej strategii bezpieczeństwa, nazywanej „Podwójnym Powstrzymaniem”, której celem była ochrona surowców energetycznych Zatoki, kontrolowanie Iranu i Iraku i utrzymywanie stabilności w regionie. Byliśmy jedynym

zunifikowanym dowództwem z dwoma poważnymi wymogami „teatru działań”, jak to mówimy w wojsku): walczyć z Irakiem albo walczyć z Iranem.

Nie można było liczyć, że zagrożenia te znikną. A mimo to inne części naszego AOR-u również się zaogniały, zmuszając nas do rozszerzenia uwagi poza państwa Zatoki.

W całym regionie mnożyła się broń masowego rażenia. Irakijczycy użyli jej w latach 80. Irańczycy ją kupowali. Pakistan i Indie toczyły poważny konflikt o Kaszmir i przerzucały się coraz głośniejszymi groźbami (Pakistan leżał w AOR-ze CENTCOM-u; Indie należały do PACOM-u); nasze stosunki z Pakistanem psuły się z najrozmaitszych politycznych powodów; a oba kraje były potęgami atomowymi.

Afganistan to była jedna wielka katastrofa.

Wschodnia Afryka - Somalia, Sudan, Erytrea, Etiopia - były punktami zapalnymi.

Wzmagająca się aktywność terrorystów.

W ostatnich latach nasze kontakty z Irakiem, Iranem, Afganistanem, Sudanem i Somalią były ograniczone. Rozwinięcie stosunków z Jemenem, Etiopią, Erytreą, Dżibuti i Seszelami wymagało opracowania nowych programów. Trwające z dawna stosunki z Egiptem, Jordanem, Kenią, Arabią Saudyjską, Kuwejtem, Bahrajnem, Katar, Zjednoczonymi Emiratami i Omanem należało pielęgnować i wzmocnić. Musieliśmy odbudować nadwerężone stosunki z Pakistanem. A nieco później do AOR-u CENTCOM-u włączono większość muzułmańskich państw Azji Środkowej, które oddzieliły się od Związku Radzieckiego - Turkmenistan, Uzbekistan, Kazachstan, Tadżykistan i Kirgistan. Każde z nich miało

swoje własne, specyficzne problemy (w tym Tadżykistan wojnę domową).

CENTCOM znalazł się we wrzącym kotle kryzysów. Musieliśmy opracować strategię, by sobie z nimi poradzić... niekoniecznie wykorzystując siłę wojskową - a przynajmniej jedynie jako ostatnią deskę ratunku. Moim zdaniem musieliśmy pomóc ustabilizować ten niespokojny region, inaczej na dłuższą metę zapłacilibyśmy wysoką cenę.

Naradę regionalną w kwaterze głównej CENTCOM-u wyznaczono na początek roku 1998 i chciałem, żeby do tego momentu nasza strategia była już opracowana.

Nie zabieraliśmy się do tego z pustymi rękami. Ponieważ przypała nam chyba najbardziej zapalny region świata, zaczynaliśmy z 13 gotowymi planami wojny, wyjątkowo dużą liczbą jak na zjednoczone dowództwo. Były one wynikiem poleceń sekretarza obrony, by przygotować się na jakieś specyficzne zagrożenie lub na sytuację bardziej ogólną, na przykład to, co nazywamy „zarządzaniem konsekwencjami”. Powiedzmy, że ktoś detonuje ładunek jądrowy albo używa innej broni masowego rażenia. Mieliśmy przygotowane plany na wypadek takiej ewentualności. Inne plany dotyczyły Iraku czy Iranu. Jeszcze inne powstały z myślą o ogólnych wytycznych, takich jak „utrzymanie wolnego przepływu ropy w Zatoce”. I tak dalej. Każdy plan miał rzeczywiste szanse realizacji, zważywszy na naturę regionu.

Plany te umożliwiały nam ewentualne prowadzenie działań wojennych, do których byliśmy dobrze przygotowani dzięki staraniom generała Peaya. Musieliśmy teraz poszerzyć i rozwinąć naszą strategię poza to jedno rozwiązanie.

Żeby lepiej zorientować się we wszystkich sprawach, najpierw

rozmówiłem się z moimi dowódcami, a potem poprosiłem o opinie przywódców państw leżących w naszym AOR-ze oraz amerykańskich dyplomatów znających specyfikę tego rejonu, żeby mieć pewność, że nasze wysiłki są zsynchronizowane.

W szerszym zakresie oparliśmy się na powstającej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego prezydenta Clintona, kładącej nacisk na współdziałanie i multilateralizm. Militarne wdrażanie tej strategii to zadanie sekretarza obrony, którego Narodowa Strategia Wojskowa jest interpretacją Strategii Bezpieczeństwa Narodowego ze specyficznego, wojskowego punktu widzenia. Co cztery lata sekretarz obrony przedstawia Kongresowi i prezydentowi coś, co nazywa się „Okresowym przeglądem stanu bezpieczeństwa”, w którym przedstawia szczegóły tego, jak wojsko zamierza wprowadzać w życie Strategię Bezpieczeństwa Narodowego. Zjednoczone Dowództwa mają tworzyć nowe strategie dla swoich przydzielonych regionów w oparciu o te koncepcje. Okresowy przegląd stanu bezpieczeństwa nakazywał głównodowodzącym „kształtować, reagować i przygotowywać się”. Uwidoczniły się tu nie tylko dyrektywy wojenne (reagować, przygotowywać się), lecz także nowy nakaz „kształtowania” naszych AOR-ów.

Sekretarz obrony polecił też głównodowodzącym przygotować plany rozwoju teatru działań dla naszych AOR-ów. To nasza strategia współdziałania z krajami, z którymi utrzymujemy regularne stosunki. Dokładnie rzecz ujmując, jest to plan pomocy zaprzyjaźnionym krajom w budowaniu własnych sił zbrojnych, plan rozwoju i tworzenia koalicji na rzecz współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa oraz organizowania multilateralnych zespołów mających kolektywnie rozwiązywać chroniczne

problemy, które napotykamy, oraz stabilizować sytuację w regionie. Innymi słowy, to „przyjazna” strona naszej ogólnej strategii.

Pierwszym problemem, z którym musiał się zmierzyć CENTCOM, było niemal całkowite skupienie uwagi na Zatoce Perskiej. Aby temu zaradzić, postanowiłem wprowadzić „podregionalizację” naszej strategii, dzieląc AOR na cztery podregiony - Afrykę Wschodnią, Zatokę Perską, Azję Środkową i Południowo-Zachodnią oraz Egipt i Jordanię - a także opracować osobne strategie i programy działania dla każdego z nich. Podejście takie gwarantowało, że tendencja do skupiania się na Zatoce nie będzie ograniczać programów i stosunków, które rozwinęliśmy w innych częściach świata. Chociaż wiedziałem, że nie będzie to czysty podział - wiele spraw się zazębiało - uważałem, że damy sobie z tym radę.

Ponieważ kraje każdego podregionu miały własne problemy, opracowaliśmy także strategię działania w każdym z nich. Poza tym każdemu z naszych komponentów wojskowych przydzieliłem kraj „priorytetowy”, odpowiadający jego możliwościom oraz jego kompatybilności z siłami zbrojnymi danego kraju. W ten sposób rozłożyliśmy ciężar bardziej równomiernie i zbalansowaliśmy naszą kontrolę nad kierowaniem różnymi programami i wymogami reagowania na sytuacje kryzysowe.

Potem podzieliłem nasze strategiczne cele na trzy obszary: działania wojenne, współpracę i rozwój.

Cele wojenne opracowano po to, by mieć odpowiednie plany, siły i możliwości działania w odpowiednim miejscu na wypadek dowolnego kryzysu. Położyliśmy też podwaliny pod wspólne reagowanie na kryzysy wraz z naszymi regionalnymi sojusznikami dzięki szkoleniom,

ćwiczeniom, pomocy wojskowej, dzieleniu się informacjami wywiadu, kształceniu kadr i tak dalej.

Należało również zająć się bardziej praktycznymi aspektami prowadzenia działań wojennych.

Pierwszym z nich było osiągnięcie porozumienia co do koordynacji ognia na polu bitwy przez procedurę operacyjną Joint Fires. Do tej pory sztaby nie potrafiły ustalić jednolitej doktryny współpracy na polu bitwy, kierowania i procedur powietrznych oraz naziemnych systemów prowadzenia ognia. W Stanach mogło to się wydawać czysto akademicką dysputą, ale dla nas była to kwestia życia i śmierci. W naszym AOR-ze wojna zawsze była ewentualnością, z którą trzeba było się liczyć. Gdyby wybuchła, bez koordynacji ognia moglibyśmy się spodziewać poważnych strat od własnego ostrzału czy nawet klęski. Nie mogliśmy czekać, aż sztaby zakończą swoje przepychanki. Dlatego też rozkazałem moim dowódcom poszczególnych formacji wspólne opracowanie procedury operacyjnej Joint Fires (powiedziałem im, że gdyby w jakiejś sprawie nie mogli dojść do porozumienia, ja podejmę decyzję). Ci najwyższej klasy profesjonaliści wywiązali się z tego zadania i stworzyli procedurę, którą ich sztaby i szefowie sztabów zaakceptowali (choć jedynie w AOR-ze CENTCOM-u).

Moim drugim zadaniem było zakończenie prac rozpoczętych przez generała Peaya mających na celu stworzenie w AOR-ze komórek dowodzenia czy niewielkich, wysuniętych kwater głównych każdej z podległych mi formacji. Zapewniało im to placówki dowódcze, na których mogłyby się szybko oprzeć, gdyby bomba poszła w górę. Kiedy zostałem głównodowodzącym, marynarka miała już swoje pełne centrum

dowodzenia w regionie, a siły powietrzne centrum operacji powietrznych. Chciałem jednak, by również armia i Korpus Piechoty Morskiej założyły wysunięte placówki, które wchodziłyby w skład Dowództwa Połączonych Sił Formacji Lądowych (JFLCC), zajmującego się koordynacją walk lądowych w Kuwejcie. W rezultacie stworzyliśmy Połączony Zespół Sił na Kuwejt, a ja kazałem Dowództwu Operacji Specjalnych CENTCOM-u założyć placówkę dowodzenia w Katarze. W ten sposób miałem już kwatery główne wszystkich formacji (powietrznych, lądowych, morskich i operacji specjalnych) na wypadek konieczności szybkiej reakcji na kryzys. Choć było to posunięcie kontrowersyjne i wywołało szemranie wśród doktrynalnych tradycjonalistów z tyłów, którzy nie rozumieli celu istnienia owych placówek, zignorowaliśmy ich krytykę.

Moim trzecim zadaniem - którego nie udało się dokończyć za mojej kadencji - było stworzenie dla całego teatru działań jednego centrum logistycznego, które kontrolowałoby i koordynowało cały wysiłek logistyczny, jaki musielibyśmy podjąć na wypadek poważnego kryzysu. System oddzielnych i rywalizujących sztabów i koalicji, nadmiernie obciążających linie komunikacyjne i infrastrukturę regionu, przysporzyłby nam kłopotów, gdybyśmy nie mieli organizacji parasolowej, ogarniającej wszystkie potrzeby zaopatrzeniowe i zapewniającej bezpieczeństwo naszych tyłów.

Chociaż poszczególne formacje opracowały podstawowy projekt, zanim zdałem dowodzenie, a jako rdzeń połączonego Dowództwa Wsparcia Teatru Działań CENTCOM-u wybrano Armię Stanów Zjednoczonych, plan wywoływał krytykę i opór doktrynalnych tradycjonalistów, którzy nie rozumieli rzeczywistości pola walki, a mnie

nie udało się dokończyć tego przedsięwzięcia, zanim odszedłem.

Nasze dążenia w dziedzinie współpracy w założeniu miały budować mocne związki w kwestiach dotyczących bezpieczeństwa i rozwijać możliwości zawierania sojuszy, a także wspierać kształcenie przywódców wojskowych i zapoznawanie ich z zasadami i wartościami, jakimi kierował się nasz system wojskowy. Chociaż spora część tych dyrektyw odnosiła się do prowadzenia działań wojennych, dotyczyły również obszarów współpracy niekoniecznie wojskowej, takiej jak ochrona środowiska naturalnego i reagowanie na klęski żywiołowe. W ten sposób tworzyliśmy powiązania i możliwości konieczne do właściwego radzenia sobie z kryzysami i działania jako zgrany zespół.

Nasze cele rozwojowe dotyczyły tworzenia nowych powiązań, wzmocnienia stabilności regionu i reagowania na powstające zagrożenia. Wiązały się także z rozwojem samego CENTCOM-u, który ewoluował pod kątem przyszłych wyzwań i zmieniających się warunków obronnych. Były to najważniejsze dążenia w celu „kształtowania”, nakazywanego przez „Okresowy przegląd stanu bezpieczeństwa”.

Przy opracowywaniu tej ambitnej strategii współpracowaliśmy ściśle z Połączonymi Sztabami, gabinetem sekretarza obrony oraz naszymi partnerami z Departamentu Stanu w ambasadach AOR-u i regionalnych biurach centrali waszyngtońskiej. Nasza strategia odzwierciedlała także idee zawarte w nowej globalnej strategii administracji Clintona... i w moim zdobywanym przez całe życie doświadczeniu w siłowym rozwiązywaniu problemów oraz zaprowadzaniu pokoju.

Strategia Clintona była dowodem znaczącej zmiany stosunku Stanów Zjednoczonych do reszty świata. Chociaż administracja nie zawsze radziła



sobie z nią tak efektywnie, jak powinna, jej ogólne podejście było moim zdaniem właściwe. Niestety brakowało zaplecza, by strategię tę wprowadzić w życie skutecznie i w pełni.

W Ameryce postrzegamy świat z dwóch całkowicie przeciwstawnych punktów widzenia. Jesteśmy albo „zwolennikami zaangażowania”, albo „izolacjonistami”.

Zwolennicy zaangażowania - ludzie tacy jak Wilson, Marshall i Truman - wierzą, że możemy zapobiegać konfliktom, aktywnie kształtując środowisko, które je stwarza, bezpośrednio angażując nasze możliwości militarne, dyplomatyczne i ekonomiczne, by poprawić panujące na świecie warunki, by stabilizować sytuację w różnych regionach, by tworzyć sojusze i robić to wspólnym wysiłkiem - wykorzystując koalicje i instytucje regionalne (i ponadregionalne) oraz ONZ. Na dłuższą metę zaangażowani postrzegają taką współpracę jako mniej kosztowną niż jakiegokolwiek jej alternatywy.

Izolacjoniści zwalczają ten punkt widzenia. Postrzegają świat jako tak wielki, tak nieporządkny, tak niekontrolowany, że nikt i nic nie może tego naprawić. A nawet gdybyśmy mogli coś zdziałać tu czy tam, dziesiątki innych przypadków zgnilizny leżą nietknięte. Poza tym kto powiedział, że w ogóle mamy być odpowiedzialni za resztę świata? Kto mianował nas światowym żandarmem? Powinniśmy sprowadzić naszych żołnierzy do domu, a nie wysyłać ich z zagranicznymi „zadaniami”, z których nie ma żadnego pożytku. Kto powiedział, że musimy narażać się na ryzyko i brać na swoje barki brzemień naprawy świata? Pomoc zagranicy to po prostu jeszcze jedna studnia bez dna, do której wrzuca się nasze pieniądze. Pieniądze, które moglibyśmy spożytkować u siebie, na

uprawę - i ochronę - własnego ogródka. Tak, mamy przyjaciół, których będziemy wspierać. Mamy interesy, których będziemy bronić. Ale to całe nasze zaangażowanie w świecie, którego pragniemy i potrzebujemy. W latach prezydentury Clintona Kongres generalnie skłaniał się ku popieraniu izolacjonistów i niechętnie wyrażał zgodę na działania za granicą.

„Interwencja” nie była koncepcją mglistą (choć wiele osób tak ją odmalowywało). Miała swoje konkretne zasady (choć te bywały różne, zależnie od tego, czy rzeczony kraj był przeciwnikiem, sprzymierzeńcem, czy potencjalnym sprzymierzeńcem). Mieliśmy bardzo formalne metody „angażowania się” zarówno wojskowo, jak i dyplomatycznie (oba musiały być ze sobą powiązane). I spodziewaliśmy się, że działania te dadzą bardzo wyraźne i konkretne rezultaty.

Na przykład w pewnej formie działania wojskowego, które nazywamy „wspieraniem bezpieczeństwa” [\* Jak sama nazwa wskazuje, pomagamy innym krajom poprawić ich obronność przez wzmacnianie sił wojskowych i sił bezpieczeństwa.], konkretne jego części składowe - sprzedaż sprzętu wojskowego za granicę, pomoc finansowa, dostarczanie niezbędnych artykułów obronnych, szkolenie, kształcenie w naszym systemie szkolnictwa, dzielenie się informacjami wywiadu i tak dalej - mają stworzyć oficjalny i rozwojowy związek sił zbrojnych.

Dlatego też, kiedy angażowaliśmy się w nowym miejscu (jak to robiliśmy w moim okresie w państwach Azji Środkowej czy w Jemenie), zazwyczaj rozpoczynaliśmy programy nieoficjalnie, po cichu, z czasem je formalizując... przypisując je do jednej lub więcej kategorii, organizując program rozwoju zasobów danego kraju, wspólne programy szkoleniowe i

tak dalej. Innymi słowy, nasze zaangażowanie mogło się zaczynać nieoficjalnie, ale z czasem miało przekształcić się w związek bardziej formalny. Uważałem, że jeżeli będziemy działać bardziej agresywnie, jeżeli będziemy lepiej planować i koordynować programy działania - wojskowe, dyplomatyczne, gospodarcze, kulturowe itd. - będziemy w stanie naprawdę „kształtować” stabilniejsze, bezpieczniejsze i sprzyjające produktywności warunki w niespokojnych częściach świata.

Zasady interwencji opracowane przez administrację Clintona miały dodatkowy efekt w postaci kontynuowania procesu zapoczątkowanego pod koniec zimnej wojny przez ustawę Goldwatera-Nicholsa - zwiększania roli głównodowodzących w ich regionach. Ustawa Goldwatera-Nicholsa, przyjęta w połowie lat 80., dawała im większe uprawnienia, ale głównie w prowadzeniu działań wojennych. Pod koniec lat 90. proces Goldwatera-Nicholsa się rozwijał; głównodowodzący stali się kimś o wiele więcej niż tylko dowódcami sił zbrojnych, a administracja Clintona wyznaczyła im zadanie kształtowania ich regionów na całym świecie i wykorzystywania multilateralnego podejścia na sposoby, które wykaczały daleko poza tradycyjną, militarną rolę ich stanowisk.

Nie było to po prostu puste życzenie. Administracja promowała i wymuszała tę zmianę, bardzo wyraźnie dając do zrozumienia, że głównodowodzący mają jej zalecenia wprowadzić w życie.

Ale nie wszyscy przyjęli owe dyrektywy z przychylnością, w tym sami dowodzący. Zmianę wymusił brak innego wyjścia. Nikt inny nie mógł tego zrobić.

Kiedy zostałem dowódcą CENTCOM-u, zastałem olbrzymie braki w dyplomatycznych powiązaniach w naszym AOR-ze. Braki w rozwoju

kontaktów osobistych, nad których stworzeniem tak ciężko pracowali generałowie Hoar i Peay. Braki w polityce realizacji dyrektyw.

Braki te wynikały z kilku przyczyn.

Po pierwsze, Departament Stanu nie otrzymał zaplecza koniecznego do wywiązywania się ze swoich obowiązków. Neoizolacjoniści okroili pomoc zagraniczną, pozostawiając Departament bez środków - ludzi, pieniędzy, programów - do robienia tego, co robić powinien.

Po drugie, podczas gdy pod koniec zimnej wojny prawdopodobieństwo wybuchu światowego konfliktu znacząco spadło, wszędzie zaczęły wykwić sytuacje kryzysowe, a opanowywanie ich wszystkich przypadło wojsku, nawet tam, gdzie problemy nie były natury ściśle wojskowej.

Po trzecie, głównodowodzący posiadali środki, których nie miał Departament Stanu; potęga dowódców rosła (z czego zdawano sobie sprawę w całym regionie) i wkrótce stali się oni głównym kanałem dostępu do osobistych kontaktów i zasobów, których nie posiadał Departament. Wiele z tego, co zrobiono, zostało zrobione właśnie poprzez dowodzących.

Podczas mojej służby jako CINC zlecano mi wykonywanie prezydenckich albo dyplomatycznych misji, które normalnie przypadłyby w udziale dyplomatom. Jestem pewien, że takie rzeczy były przyczyną frustracji Departamentu Stanu, ale nie sądzę, by miał on coś przeciw temu. Wręcz przeciwnie, był bardzo pomocny, na zasadzie: „Cóż, skoro my nie możemy tego zrobić, dobrze, że może chociaż ktoś inny. A jeśli to jakiś CINC, to Bóg z nim”.

Jak większość CINC, starałem się współpracować z Departamentem

Stanu jak najściślej. W każdym kraju ambasador jest przedstawicielem prezydenta. Nigdy nie zrobiłem niczego, o czym ambasador by nie wiedział albo czego by nie pochwalał.

Co więcej, głównodowodzący często mieli większy autorytet i więcej kontaktów niż ambasadorowie. Na przykład, w wielu krajach regionu CENTCOM-u najwyższy stopień hierarchii rządowej jest zarazem najwyższym stopniem hierarchii wojskowej. Nie jest to zasada (i minusy takiego rozwiązania są oczywiste), ale fakt ten ma swoje praktyczne konsekwencje. Przedstawiciele tych krajów czuli się zazwyczaj lepiej w kontaktach z wojskowymi niż z dyplomatami.

W rzeczy samej bardzo często ambasadorowie byli zadowoleni z naszej obecności. Nie tylko udostępnialiśmy im nawiązane przez siebie kontakty, ale dawaliśmy też możliwość załatwiania spraw, z którymi normalnie nie daliby sobie rady... jednych drobniejszych, innych większych.

Wszystko, co robiliśmy dla ambasadorów, musiało mieć jakieś podłoże wojskowe. Nie mogliśmy po prostu zorganizować programu pomocy. Ale nawet tutaj mieliśmy pewne możliwości manewru. Na przykład w Afryce, kiedy uczyliśmy miejscowe siły zbrojne zasad utrzymywania pokoju albo przeprowadzania operacji pomocy humanitarnej, urządzaliśmy w wioskach ćwiczenia szkoleniowe. Wysyłałem swoich wojskowych weterynarzy, dentystów i lekarzy (którzy musieli przeciwiczyć tego rodzaju operacje) do owych wiosek razem z afrykańskimi wojskami, tam zaś ćwiczenia przeprowadzano wspólnie. W ramach ćwiczeń wojskowych budowaliśmy sierociniec, malowaliśmy szkołę albo zakładaliśmy klinikę, jako akcję obywatelską. Zapewnialiśmy

naszym ludziom gruntowne przeszkolenie, zarazem pokazując Afrykanom, jak to robić, a jednocześnie pomagaliśmy potrzebującym. Kiedy ćwiczenia dobiegały końca, to amerykański ambasador przecinał wstęgę na otwarciu nowej kliniki. Według mnie było ważne, by zawsze demonstrować cywilną zwierzchność naszego wojska i bliską współpracę między naszymi żołnierzami i dyplomatami.

Kraje Azji Środkowej są narażone na częste i zwykle niszczące klęski żywiołowe, takie jak trzęsienia ziemi i lawiny błota (niszczące tym bardziej, że tamtejsze budynki są zazwyczaj zbudowane z cegieł mułowych). Kiedy dochodziło do klęski w którymś z nich, normalną procedurą było wezwanie wojska, by zapewnić porządek i pomóc posprzątać. My w takich sytuacjach działamy zupełnie inaczej. Nasze krajowe siły zbrojne nie biorą w tym udziału. Skutkami trzęsień ziemi, powodzi, huraganów i tym podobnych zajmuje się Gwardia Narodowa.

Postanowiliśmy w niektórych z tych państw zwołać konferencje dotyczące pomocy w przypadku klęsk żywiołowych. Tamtejsze władze przysłały swoje jednostki straży pożarnej, policji, służb ratowniczych i wojska; my przywieźliśmy ekspertów ze Stanów, którzy pokazali im, jak służby cywilne i wojskowe mogą ze sobą współpracować; zrobiliśmy to wszystko w imieniu ambasadorów USA.

Urządzaliśmy też w regionie inne konferencje, dotyczące spraw ochrony środowiska - tłumacząc to punktem widzenia, według którego wojsko musi chronić również przyrodę. (Obowiązuje nas spora liczba ograniczeń, mających na celu dobro środowiska, a wojskowe szkolenia mogą je przecieżyć narazić na szwank). Czasami wojsko jest wzywane do tego typu przypadków - wycieków ropy, naruszenia chronionych łowisk,

toksycznych odpadów i tym podobnych.

W organizacji konferencji dotyczących ochrony przyrody kluczem było słowo „ochrona”. „Przyrodnicza” konferencja dotycząca usuwania toksycznych odpadów nie byłaby na przykład dobrze widziana w Pentagonie. Przy naszym podejściu mogliśmy sprowadzić kogoś z Agencji Ochrony Środowiska, kto omówiłby kwestię usuwania tych odpadów. Potem ja mogłem wprowadzić tam ambasadora i poszerzyć tematykę konferencji o inne kwestie - nawet prawa człowieka. (Kwestie praw człowieka są bardzo ważne z wojskowego punktu widzenia, kiedy próbuje się wpoić wagę „zdobywania serc i umysłów” siłom zbrojnym, które w swoich działaniach do tej pory nie brały tego pod uwagę).

Wszystkie te formy interwencji stworzyły silne związki z różnymi krajami. Wiążą ze sobą istotne programy wojskowe i cywilne, a kiedy to zostaje osiągnięte, możemy przejść do bardziej złożonych projektów wspólnego szkolenia i pomocy wojskowej, promujących silne związki między siłami zbrojnymi i powiększających ogólne możliwości działania. Wszyscy na tym korzystają.

Nie wszyscy w kraju tak to widzieli. Wciąż trwał spór między tymi, którzy chcieli wyjść w świat i zrobić, co w naszej mocy, by go kształtować, a izolacjonistycznym pragnieniem zablokowania wszystkich tych inicjatyw\*[\* Obecna administracja Busha poważnie ograniczyła kompetencje CINC, a sekretarz obrony Rumsfeld, który słynie z zamiłowania do scentralizowanej kontroli, zmienił ich nazwę. Nie są już głównodowodzącymi, CINC; to „dowódcy bojowi”].

Przez blisko 15 lat od zakończenia zimnej wojny gadające głowy i felietoniści wyprodukowali bardzo dużo słów na temat „powstawania

imperium amerykańskiego”.

Jesteśmy światowym supermocarstwem. Żaden inny kraj czy związek krajów nie może poważnie zagrozić istnieniu Stanów Zjednoczonych (choć ludzie, którzy mogą nas dotkliwie zranić, pracują dzień i noc, by tego dokonać). Historia uczy, że 400-kilogramowy goryl wśród narodów w końcu ulegnie pokusie obrony samego siebie i swoich interesów, zachowywania stabilności i utrzymywania się na samym szczycie przez stopniowe przejmowanie coraz większej kontroli (bezpośredniej lub pośredniej) poza własnymi granicami. Swoją wolę zaczyna narzucać siłą, jednostronnie. Ponieważ ma władzę samodzielnego odwracania niemiłych dla niego sytuacji i zmieniania rządów, nie ukrywa jej. Goryl zamienia się w ośmiornicę o coraz dłuższych mackach. Staje się imperium\*[\* Niektórzy dziennikarze oskarżali CINC, że stają się prokonsulami tego nowego imperium. Taka opinia nam pochlebia, ale jest daleka od prawdy. Dana Triest bardzo dobrze rozwinęła ten punkt widzenia w swojej interesującej i prowokującej książce *The Mission*.].

- Czy to właśnie przeznaczenie Stanów Zjednoczonych? - pytało wielu.

Moim zdaniem to mało prawdopodobne... i o to się modlę.

Prawda jest bardziej złożona i subtelna.

Fakt, Stany Zjednoczone są obecnie w sytuacji bez historycznego precedensu. Żaden kraj nie miał nigdy takiej potęgi i możliwości użycia jej tak szybko na całym świecie.

Tak, faktem również jest, że żadna potęga nie istniała nigdy w takiej sieci zależności od innych krajów. Żaden dzisiejszy kraj nie może dać sobie rady sam - gospodarczo, politycznie, dyplomatycznie, kulturowo czy



religijnie.

Słowo „imperium” nie oddaje istoty sprawy. Nie znam słowa, które by oddawało. Nie jesteśmy imperium podbojów, okupacji i kolonii. Istniejemy w nowym związku z zupełnie nowym rodzajem świata. Gdybym miał zaryzykować i spróbować nazwać jakoś pozycję Ameryki we współczesnym świecie, nazwałbym nas „imperium wpływów”.

Dla głównodowodzących nasze strategie to modele operacyjne - metody działania w chwili, kiedy akcja się rozpoczyna. Kiedy głównodowodzący nakreśli już swoją regionalną strategię działania, opartą na warunkach w swoim

AOR-ze i zasadach globalnej strategii prezydenta, musi ją wprowadzić w życie. Ponieważ pomyślność takiego przedsięwzięcia zależy od kaprysów waszyngtońskiej polityki i często kalekiej waszyngtońskiej biurokracji, a nie od rzeczywistych zamiarów prezydenta, wprowadzanie naszych strategii bywało zadaniem mocno frustrującym. Prezydencka dyrektywa rozkazywała nam jechać tu i tam i zrobić to czy tamto, ale zanim zdążyliśmy cokolwiek zdziałać, coś podcinało nam nogi. Ponieważ Kongres przychylił się raczej do zdania obozu izolacjonistycznego, zazwyczaj przeciwstawiał się interwencjonizmowi polityki prezydenta... co w praktyce oznaczało, że nie dostawaliśmy zaplecza, którego potrzebowaliśmy do wykonania prezydenckich poleceń, ewentualnie obkładano nas nieprzemyślanymi sankcjami i restrykcjami, które ograniczały nasze możliwości działania.

Chociaż często nie zgadzałem się z administracją Clintona, podstawy jej globalnej strategii były słuszne. Bywałem w różnych częściach świata i

widziałem, co trzeba zrobić, widziałem pojawiające się nowe okoliczności i rozumiałem, co możemy zrobić, by im sprostać. Rozumiałem także, że jeśli nie uda nam się tego osiągnąć, będziemy skazani na tragiczne konsekwencje naszej porażki.

Jestem przekonany, że siła militarna nie jest rozwiązaniem każdego problemu ani też nie jest naszą jedyną formą potęgi. Są inne rodzaje nacisku i inne rodzaje wsparcia. Żeby osiągnąć nasze państwowe cele, musimy połączyć wszystkie nasze możliwości i zdolności w najskuteczniejszy zestaw. Ale trudno to zrobić, kiedy wewnętrzne spory polityków przenoszą się na praktyczne działanie.

Waszyngtońska biurokracja była zbyt niezborna, by przekształcić wizję wszystkich strategii, od prezydenckiej po te stworzone przez głównodowodzących, w rzeczywistość. W jej szeregach nie było ani jednej komórki władnej skoordynować opracowane przez nas, głównodowodzących, programy. nieskoordynowane finansowanie, decyzje na temat wytycznych, władza, wydzielone rejony geograficzne i wiele innych spraw dzieliło Departament Stanu, Departament Obrony, Kongres, Narodową Radę Bezpieczeństwa i inne rządowe agencje, utrudniając zapanowanie nad złożonymi planami interwencji.

Żeby skomplikować sprawy jeszcze bardziej, głównodowodzący nie kontrolują własnego zaplecza. Ich budżety są wydzielane z budżetów sił zbrojnych, a te kontrolują szefowie służb (będący zarazem członkami Komitetu Szefów Połączonych Sztabów), którzy - co zrozumiałe - nie chcą oddawać swoich zasobów głównodowodzącym. Zainteresowanie programami interwencji i ich zrozumienie jest wśród szefów służb znikome. Starają się jak najlepiej kierować swoimi służbami, a jest to

zadanie wystarczająco trudne i bez dodatkowych obciążeń. Ich celem jest szkolenie, organizacja i wyposażanie sił podlegających głównodowodzącym, ale w rzeczywistości zależy im na tym, by dbać o te siły w sposób, jaki sami uznają za najlepszy. Innymi słowy, CINC żądają sił i zasobów do celów, których szefowie służb mogą nie popierać. Dlatego CINC są dla nich przeszkodą w działaniu - czy nawet zagrożeniem - a ich rosnąca władza ogranicza władzę szefów służb. To gra o sumie zerowej.

Patrząc na ten problem z drugiej strony, CINC postrzegają szefów służb jako przeszkody w uzyskaniu tego, czego sami rozpaczliwie potrzebują, i są sfrustrowani ich niezdolnością do pełnej współpracy czy wspierania ich strategii. CINC pragną, by ich pieniądze zostały ujęte w konkretne sumy i odłożone w osobnej linii budżetowej, tak by wiedzieli, na czym stoją. Z najróżniejszych powodów Departament Obrony nie chce tego zrobić.

Rezultatem są ciągłe tarcia między głównodowodzącymi a Waszyngtonem.

Nie chodzi tu bynajmniej o to, że jedni są dobrzy, a drudzy źli. CINC i szefowie służb to wszyscy wspaniali ludzie, wykonujący swoje obowiązki najlepiej, jak potrafią. Szefowie służb mają swoje priorytety. CINC mają swoje priorytety. Są odpowiedzialni za wykorzystywanie powierzonych im sił i znajdowanie - dzień w dzień - środków do wprowadzania w życie prezydenckich dyrektyw, jedno i drugie nie idzie ze sobą w parze. Biurokracja waszyngtońska nie była w stanie opracować spójnego planu działania całego tego systemu.

CINC często głośno wyrażali swoje frustracje na naradach w

Waszyngtonie, lecz bez rezultatu. Interesy Waszyngtonu i szefów służb wydawały się przeważać nad problemami głównodowodzących.

Chciałbym zaproponować kilka zmian, które mogłyby naprawić ten system.

Po pierwsze, zmieniałbym skład Komitetu Szefów Połączonych Sztabów. Tak żeby rzeczywiście były „połączone”.

Obecnie szefowie sztabów to po prostu szefowie służb, co jakiś czas pełniący swoje obowiązki pod inną nazwą. To nie są szefowie naprawdę „połączeni”, to szefowie służb. Ich priorytetem jest dbanie o własne służby. Większość z nich nie ma żadnego doświadczenia w faktycznych „łączonych” operacjach.

Lepszą metodą wybierania szefów byłoby stworzenie odrębnego ciała, w którego skład wchodziłoby byli szefowie służb i byli CINC, którzy odsłużyli już swoje tury. Pozwoliłoby to najbardziej doświadczonym ludziom z obu tych środowisk skoordynować działanie systemu.

Po bliższym przyjrzeniu się temu pomysłowi staje się jasne, że szefami połączonych sztabów nie mogą być pozostający na służbie CINC. Oni i tak mają już pełne ręce roboty. Podobnie szefowie służb, pracujący na pełnym etacie w Waszyngtonie (choć na pewno nie oddaliby bez walki stanowisk szefów sztabów, bo wiąże się z nimi spora władza). Wybierając jednak szefów połączonych sztabów spośród byłych CINC i byłych szefów służb, stworzyłoby się organizację poświęcającą cały swój czas swojej pracy i pozbawioną większości pokus, których ofiarą padają zarówno CINC, jak i szefowie służb. Zarazem korzystałoby się z ich olbrzymiej skarbnicy wiedzy i doświadczenia. Poza tym byłiby naprawdę „połączeni”. Ciało to pełniłoby funkcję doradczą przy sekretarzu obrony,

zeznawalioby przed Kongresem i wspólnie rozpatrywało wszystkie istotne kwestie.

Po drugie, tam gdzie chodzi o zasoby CINC i ich programy interwencji, moim zdaniem powinniśmy zacisnąć zęby, znaleźć fundusze i ustanowić odrębny budżet tego, co zechcemy nazwać zaangażowaniem. Powinien być jasno określony, przejrzysty i osobny od budżetów służb. W ten sposób CINC wiedzieliby dokładnie, na czym stoją, służby tak samo.

Po trzecie, potrzebujemy mechanizmów, żeby połączyć ze sobą wszystkie oddzielne elementy. Potrzebne nam ciało, które nadzorowałoby koordynację, ustalało priorytety i zarządzało wynikami. W ten sposób, gdyby ktoś opracował jakiś program (CINC, ambasador itd.), ciało to oceniłoby go i zaaprobowało, stając się odpowiedzialnym za dopilnowanie, by inne agencje rządowe mieściły się w swoich terminach, oraz za powodzenie całego przedsięwzięcia. Nasze programy nie byłyby już całkowicie ze sobą niepowiązane; postrzegalibyśmy je całościowo.

Innymi słowy robilibyśmy dla rządu to, co ustawa Goldwatera-Nicholsa zrobiła dla wojska. Sprawilibyśmy, że administracja rządowa działałaby „w połączeniu”.

Pod koniec stycznia 1998 roku na naradzie CENTCOM-u w Tampa opracowano ostatecznie szczegóły nowej strategii. Udział w niej wzięli nasi dowódcy, sztabowcy, osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo\*[\* W AOR-ze CENTCOM-u były setki takich osób, wojskowych i cywilów - a dla CINC wszyscy byli w pełni swojej wagi w złocie. Zarządzali szeroko zakrojonymi programami pomocy wojskowej dla sojusznicznych krajów regionu. Koordynowali i zarządzali sprzedażą sprzętu wojskowego, ćwiczenia wojsk, szkolenia oficerskie i inne przedsięwzięcia prowadzon

wspólnie z miejscowymi siłami zbrojnymi. Wraz z wojskowymi attache przy amerykańskich ambasadach zapewniali CINC i dyplomatom bardzo istotny kontakt z lokalnymi przywódcami. Byli łącznikami między Amerykanami a miejscowym wojskiem, a także nieocenionym środkiem łączności z wojskowymi i politycznymi przywódcami w różnych krajach. Ich praca nigdy nie została należycie doceniona przez przełożonych, a awanse dla tych spośród nich, którzy służyli w wojsku, nigdy nie przychodziły łatwo.] i dyplomaci przydzieleni do regionu oraz z Departamentu Stanu. Obecnych było również wielu amerykańskich ambasadorów, tak samo jak zastępców sekretarza stanu, którzy w Departamencie Stanu kierowali sektorami regionalnymi obejmującymi nasz AOR\*[\* Jednym z problemów, z którymi nie mogliśmy sobie nigdy do końca poradzić, były różnice między poszczególnymi agencjami rządowymi w przydzielonych obszarach geograficznych. Na przykład przydzielony AOR CENTCOM-u nakładał się na cztery regionalne biura Departamentu Stanu, podczas gdy w przydzielonych regionach Departamentu Stanu znajdowały się kraje, których nie obejmował AOR CENTCOM-u.].

Kiedy konferencja dobiegła końca, wszyscy zgadzaliśmy się już co do tego, jak ma wyglądać nowa strategia.

Moim zadaniem było ową strategię urzeczywistnić. Nie mogła pozostać ładnie napisanym dokumentem, leżącym na półce i pozbawionym związku z naszymi codziennymi działaniami. Musieliśmy według niej żyć. Wszystko, co robiliśmy, musiało mieć przełożenie na nasze jasno określone strategiczne cele.

## Gaszenie ognia

Moje lata w CENTCOM-ie były pełne wrażeń, czasem gorączkowe, a czasem wręcz burzliwe - naszymi „normalnymi” warunkami działania była ciągła sytuacja kryzysowa. Mieliśmy kryzys z inspektorami do spraw broni masowego rażenia w Iraku; Indie i Pakistan przeprowadzały próby jądrowe, w Kaszmirze trwały walki, a przewrót w Pakistanie wyniósł do władzy generała Perweza Muszarrafa; Etiopia i Erytrea rozpoczęły wojnę; na scenę światowych działań wkroczyła al-Kaida, atakując ambasady w Nairobi i Dar es-Salaam (potem zaś wysadzając USS „Cole” w Adenie, w Jemenie, niedługo po tym, jak odszedłem z CENTCOM-u); wiecznie jątrzący się konflikt izraelsko-palestyński wpływał bezpośrednio na wszystkie kraje w regionie, a sam region wrzał od pomniejszych, destabilizujących kryzysów, takich jak spory o granice i utarczki na tle etnicznym.

Żeby poznać różne punkty widzenia na różne sprawy, spotykałem się z przedstawicielami wszystkich warstw społecznych. Nie zależało mi na poglądach jedynie przywódców. Nasi ambasadorzy bardzo mi pomogli w zdobyciu odpowiednich kontaktów i zorganizowaniu spotkań, które dały mi pełny pogląd na kluczowe sprawy mojego regionu.

Rozwiązywanie licznych kryzysów, przed którymi stawaliśmy, nierzadko wymagało mojej obecności na miejscu. Podróżowałem też jednak często w głąb regionu na wycieczki „nasłuchowe”, nawiązując stosunki osobiste i poznając różnorodność kulturową z pierwszej ręki (jak radził Joe Hoar). Ponad 70 procent mojej służby jako CINC spędziłem w drodze; wyprawy do różnych krajów regionu sprawiały mi autentyczną przyjemność. Wizyty w Waszyngtonie nie były aż tak miłe, chociaż

spotkania z pracownikami Pentagonu, szefami połączonych sztabów, sekretarzem obrony, Kongresem i prezydentem były konieczne... i czasem coś z nich wynikało. Zawsze jednak z radością wracałem z nich do CENTCOM-u. Nie mogłem wymarzyć sobie lepszych szefów i zwolenników w Waszyngtonie (zwłaszcza sekretarz obrony Bili Cohen i przewodniczący Komitetu Szefów Połączonych Sztabów Hugh Shelton); ale jak zawsze, cały ten system, biurokracja i polityka były nie dla mnie.

Moje pierwsze wyprawy do AOR-u jako głównodowodzącego poświęcone były nawiązywaniu stosunków. Uparłem się, żeby podczas tych wstępnych odwiedzin nie poruszać żadnych istotnych spraw z przywódcami regionu (i odsyłałem z kwitkiem tych, którzy przychodzili do mnie z listami żądań, próśb i uwag). Nie jechałem tam rozmawiać o interesach. Chciałem poznać troski tych ludzi i usłyszeć, jak widzą naszą rolę. Było to pouczające doświadczenie: spotkania z przywódcami, takimi jak prezydent Egiptu Mubarak, król Arabii Saudyjskiej Fahd i król Jordanii Husajn, były dla mnie czymś nowym, ale odkryłem, że kontakty z tymi dostojnikami przychodzą mi bez trudu.

Podczas podróży dowiedziałem się, że nasze zaangażowanie w stabilizowanie regionu spotyka się z szerokim poparciem, ale nasze cele i priorytety były czasem kwestionowane. Napotkałem duże rozbieżności w ocenie zagrożeń oraz najróżniejsze opinie co do tego, jak sobie z nimi radzić. Najczęstszą skargą było to, że nie konsultujemy z nimi naszych poczynań nie tylko podczas kryzysów, ale i pomiędzy nimi. Pierwsza z tych rzeczy była nieprzyjemnym uchybieniem, chociaż zrozumiałym; druga była o wiele poważniejsza, choć mniej oczywista. Dowiedzieliśmy się w ten sposób, że relacje oparte na zaufaniu, jako normalny stan rzeczy,



ułatwiłyby znacznie współpracę w sytuacjach kryzysowych i wzmogły jej skuteczność. Obiecałem, że na swoim szczeblu kompetencji postaram się temu zaradzić.

Inna - związana z tym - skarga (niczym echo słów Eda Fugita i Joego Hoara) brzmiała: amerykańscy przywódcy wpadali do krajów regionu tylko wtedy, kiedy mieli coś do załatwienia, nie dając sobie możliwości nawiązania osobistych stosunków, które w tej części świata są bardzo ważne i bez których nie można się obyć. W tym wypadku także obiecałem, że zrobię, co będzie w mojej mocy, by temu zaradzić. Byłem potem wdzięczny Billowi Cohenowi i Hughowi Sheltonowi, którzy przystali na moją prośbę, by częściej przyjeżdżali do regionu i nawiązali bliskie, osobiste stosunki, tak bardzo nam potrzebne. Regionalni przywódcy docenili ich wizyty i osobiste powiązania. Zaprocentowało to podczas wielu kryzysów, kiedy potrzebowaliśmy współpracy państw regionu.

Gdy nadchodzące miesiące robiły się coraz bardziej gorączkowe, cieszyłem się, że odbyłem swoje „nasłuchowe” wycieczki. Dzięki nim współpraca, której tak bardzo potrzebowaliśmy ze strony przywódców regionu, stała się o wiele łatwiejsza do pozyskania.

Dwudziestego szóstego listopada 1997 roku wezwano mnie do Pentagonu na konferencję prasową dotyczącą kryzysu w Iraku. Był to mój pierwszy z wielu kontakt z prasą jako głównodowodzącego.

Chociaż nie zwykłem grzać się w blasku reflektorów mediów (są mi one obojętne), wiem, jak ważne jest traktowanie ich przedstawicieli uczciwie i szczerze; przeważająca większość z nich to odpowiedzialni profesjonaliści, tworzący okno jawności, bez której demokracja nie może istnieć. Z kilkoma nielicznymi wyjątkami potraktowali mnie dobrze. Ich

zainteresowanie wynikało z pragnienia informowania i zrozumienia, a nie promowania jakiegoś konkretnego punktu widzenia...

Ale niektórzy z nich potrafią być męczący - albo, co gorsza, nieodpowiedzialni, płytki, nieuczciwi albo dwulicowi. Przypuszczam, że proporcja tych porządnych do nikczemnych jest wśród nich taka sama, jak w każdej innej społeczności.

Biurokracja waszyngtońska zawsze bardziej obawiała się mediów niż nas z dowództwami polowymi. Waszyngton bije pokłony przed codzienną porcją wycinków prasowych, zbieranych co rano przez biura spraw publicznych najróżniejszych rządowych departamentów. W Departamencie Obrony poranne wycinki nazywano Rannym Ptaszkiem. Mogłem być pewien, że wszystkie pytania, nagabywania czy polecenie, jakie otrzymywałem danego dnia, były efektem Rannego Ptaszka.

Szybko się nauczyłem, że mogłem wywierać pewien nacisk na media przez dostęp do informacji, którego mogłem udzielić albo odmówić. Jeśli jakiś reporter napisał swoje sprawozdanie rzetelnie, nawet jeśli samo w sobie było dla mnie niepochebne, starałem się udzielić mu tyle informacji, na ile tylko miałem czasu. Jeśli doniesienie było zafałszowane, mój kontakt z takim reporterem na tym się kończył. Do dzisiaj jest garstka dziennikarzy, gazet czy nawet całych sieci informacyjnych, z którymi się nie zadaję.

Podczas konferencji prasowych zawsze starałem się odpowiadać na wszystkie pytania krótkimi zdaniami oznajmującymi. Nie znoszę lania wody, niejasnych, biurokratycznych odpowiedzi, które unikają tematu pytania. Takie „oplatanie” po prostu mnie brzydzi. Nigdy bym się nie zgodził, by „oplatacz” z Białego Domu został przydzielony do mojego

dowództwa jako szef spraw publicznych, jak to się stało podczas wojny w Iraku.

W roku 1997 wrzało nieustannie.

Zaczęło się w Afryce.

Chociaż wielu ludzi w Waszyngtonie nie dostrzega tam naszych żywotnych narodowych interesów, od dawna przeczuwałem, że mamy na tym kontynencie do załatwienia sprawy, które usprawiedliwiają użycie naszych sił - nie wspominając już o powinności wyjścia naprzeciw olbrzymim potrzebom pomocy humanitarnej. Nasze wysiłki w Afryce były żałośnie niewystarczające w porównaniu z tym, co powinniśmy tam zrobić.

Podczas mojego wyjazdu do Afryki na początku stycznia nasza ambasador w Kenii, Prudence Bushnell, wprowadziła mnie w problematykę rozwijającego się w tym kraju kryzysu. Groźne powodzie podmywały drogi i mosty, kilkuset tysiącom ludzi groziło odcięcie od źródeł żywności, wody pitnej i lekarstw. Ponieważ Kenijczycy byli za słabo wyposażeni, by sprostać wymogom natychmiastowego przewozu tych rzeczy drogą powietrzną, zgodziłem się wysłać tam zespół z naszego Dowództwa Operacji Specjalnych (SOCENT), wsparty przez C-130 sił powietrznych, by ocenili sytuację, a potem wystawili Zespół Oceny Potrzeb Humanitarnych (HAST), żeby zajął się kryzysem. Zleciłem SOCENT-owi, by zmontował wyszkolony HAST, gotowy wyruszyć natychmiast, gdyby tylko kryzys się rozwinął.

Sytuacja w Kenii szybko się pogorszyła: powódź wciąż szalała i ponad 300 000 ludzi znalazło się w bezpośrednim niebezpieczeństwie śmierci głodowej lub epidemii. Ale Pentagon nie był skory im pomóc;

misja kosztowałyby za dużo, a poza tym nie chciano wykorzystywać naszych wojsk. Po moich naleganiach „Pięciodobny Labirynt” w końcu uległ i rozkazałem kontyngentowi piechoty morskiej CENTCOM-u wysłać do Kenii siły do zadań specjalnych. Powierzyłem mu także odpowiedzialność za misje pomocy humanitarnej i utrzymywanie pokoju we Wschodniej Afryce. Operacja ta, znana jako operacja „Szlachetny Gest” ocaliła życie setkom tysięcy Kenijczyków i kosztowała 800 000 dolarów. Rzadko udaje się uratować tyle istnień ludzkich za tak niską cenę.

Pod koniec marca pojechałem do regionu, głównie po to, by wziąć udział w posiedzeniu Rady Współpracy Arabskich Państw Zatoki w Bahrajnie. Moim celem było nakłonienie sześciu jej państw członkowskich\*[\* Naszych sześciu najbliższych sojuszników w Zatoce.], by wspólnie zajęły się opracowywaniem kwestii bezpieczeństwa. Do tej pory niemal zawsze załatwialiśmy wszystkie sprawy z każdym z nich oddzielnie. Ja chciałem to zmienić. Chciałem, żeby nasi regionalni sprzymierzeńcy zaczęli wspólnie myśleć o swoim bezpieczeństwie.

Ponieważ największą przeszkodą była niechęć Arabów do nawiązania stosunków ze Stanami Zjednoczonymi w tej sprawie, wiedziałem, że osiągnięcie tego, co zamierzałem, może potrwać. Mimo to uważałem, że gdyby udało mi się rozpocząć rozmowy od kwestii dotyczących się ich wszystkich i uzyskać co do nich ogólną akceptację, przynajmniej ruszylibyśmy we właściwym kierunku. Znalazłem dwie takie kwestie - obrona przeciwrakietowa teatru działań i ochrona środowiska.

Członkowie Rady nie mogli nie widzieć, że coraz szybsze rozprzestrzenianie się broni rakietowej w regionie było poważnym

problemem, i wszyscy wiedzieli, że aby sobie z nim poradzić, potrzebna jest skoordynowana regionalna obrona. Zaproponowaliśmy więc, że USA dostarczy technologii i umiejętności organizacyjnych, by ją stworzyć, a oni zgodzili się omówić to podczas konferencji.

Najpierw jednak musieliśmy rozwiązać ich instynktowne podejrzania co do naszych motywów. Niektórzy postrzegali naszą propozycję jako próbę naciągnięcia ich na zakup drogich amerykańskich urządzeń, inni zaś jako usiłowanie wciągnięcia w układ skierowany przeciw jakiemuś konkretnemu wrogowi. Kiedy jednak te obawy zostały rozwiane, konferencja nabrała tempa... zwłaszcza gdy zaproponowaliśmy, że będziemy się dzielić informacjami wczesnego ostrzegania. Ponieważ to my posiadaliśmy najlepsze rozpoznanie zagrożeń rakietowych i powietrznych, było logiczne, że udostępnimy je w układzie obronnym. Chociaż niektórzy członkowie rady nie wierzyli, że naprawdę podzielimy się tymi informacjami, wyjaśniłem im, że nie jest to tylko kwestia zaufania, lecz obrony własnych interesów, gdyż układ taki zwiększyłby bezpieczeństwo naszych sił w regionie.

Mimo kilku trudnych momentów konferencja zakończyła się sukcesem. Po niej odbył się szereg następnych, na których zajęto się dalszym opracowywaniem wstępnych pomysłów i możliwości.

Żeby nie tracić rozpędu, postanowiłem zwołać kolejną konferencję, dotyczącą innej kwestii - ochrony środowiska. Gospodarzami zgodzili się być Omańczycy. Ona również zakończyła się powodzeniem.

Po zakończeniu konferencji odwiedziłem Katar, gdzie minister spraw zagranicznych, szejk Hamad bin Jassim, przekonał mnie, bym udzielił wywiadu kontrowersyjnej sieci telewizyjnej Al Dżazira, z siedzibą właśnie

w tym kraju. Ponieważ nie chciałem dać się skusić ani zrobić w nieprzyjazny w wymowie wywiad, który transmitowano by w całym regionie, nie byłem skłonny się na to zgodzić.

Hamad nie zaprzeczał, że wywiad może być trudny, ale wyjaśnił mi, że cały region bardzo potrzebuje zobaczyć „ludzką twarz” amerykańskich sił zbrojnych. Dlatego przystałem na jego propozycję... i nie żałowałem tego. Wywiad był trudny, ale uczciwie przeprowadzony, a sondujące pytania prowadzącego na temat etycznego aspektu naszych operacji wojskowych pozwoliły mi pokazać ową „ludzką twarz”. Potem zgodziłem się na jeszcze kilka wywiadów. Jeden z nich kręciła iracka ekipa, która pokazywała mi zza kamery uniesione kciuki za każdym razem, kiedy przywalałem Saddamowi.

W drugim tygodniu kwietnia wziąłem udział w dorocznej konferencji „Emerald Express” (którą zacząłem zwoływać, kiedy dowodziłem 1. Korpusem Ekspedycyjnym). Miałem nadzieję, że jej wynik stanie się początkiem regionalnej współpracy w dziedzinie utrzymywania pokoju i pomocy humanitarnej.

Ponieważ Waszyngton nigdy nie poświęcał zbyt wiele uwagi Afryce, a kontynent ten był podzielony między CENTCOM i EUCOM, uzyskanie postępów nie zapowiadało się łatwo. Kiedy moje pierwsze próby rozpoczęcia skoordynowanego, bardziej ekspansywnego programu interwencji w Afryce się nie powiodły, postanowiłem sporządzić dla CENTCOM-u program skupiający się na utrzymywaniu pokoju i działalności humanitarnej wspólnie z afrykańskimi krajami z naszego AOR-u.

Program ten składał się z trzech głównych elementów.

Pierwszym były Afrykańskie Inicjatywy Reagowania Kryzysowego stworzone już wcześniej przez nasz rząd w celu szkolenia i wyposażania małych jednostek i pojedynczych członków afrykańskich sił zbrojnych do utrzymywania pokoju i pomocy humanitarnej. Program ten był bardzo ograniczony, a nasz rząd bardzo przeceniał jego znaczenie. Inicjatywy były dobre na początek, ale same w sobie nie wystarczały. Potrzebny był nam większy element operacyjny, składający się z szeroko zakrojonych ćwiczeń i szkoleń polowych na szczeblu batalionu oraz sztabu; musieliśmy pracować w rzeczywistych warunkach, wykorzystując na przykład prawdziwych weterynarzy, dentystów i lekarzy w prawdziwych sytuacjach.

Mając to wszystko na myśli, postanowiłem rozbudować program, dodając do niego coroczne wspólne ćwiczenia sił afrykańskich i amerykańskich na szczeblu brygady. Manewry te, nazwane „Naturalny Ogień”, miały przygotować siły regionu do utrzymywania pokoju i operacji pomocy humanitarnej we współpracy z organizacjami pozarządowymi i międzynarodowymi organizacjami charytatywnymi. Idąc dalej, połączyłem je z naszymi szkoleniami medycznymi, dentystycznymi i weterynaryjnymi, żeby zdobyć przychylność, którą dziedziny te zapewniały w afrykańskich wioskach w rejonie manewrów.

Na koniec potrzebowaliśmy trzeciego elementu, na szczeblu strategicznym. Musieliśmy zebrać wyższych rangą polityków, przedstawicieli organizacji pozarządowych i wojskowych, żeby przedyskutowali podejmowanie poważnych decyzji strategicznych i wnosili różne elementy do wspólnego wysiłku. W ten właśnie sposób miał działać „Emerald Express”.

Miałem nadzieję, że kiedy wszystkie te elementy znajdą się na swoim miejscu, będę mógł wykorzystać ten program jako model dla całej Afryki i powiązać go z nowo utworzonym (i finansowanym przez amerykański Departament Obrony) Afrykańskim Centrum Studiów Strategicznych\*[\* Departament Obrony ustanowił kilka ośrodków zajmujących się sprawami bezpieczeństwa regionalnego. Na przykład Centrum Marshalla obejmowało Europę, Europę Wschodnią i Rosję. Centrum Azji i Pacyfiku zajmowało się tym regionem. Były też centra Bliskiego Wschodu i Azji Południowej. Afrykańskie Centrum Studiów Strategicznych skupiało się na Afryce. Niektóre z tych ośrodków, jak Centrum Bliskiego Wschodu czy Afrykańskie, utworzono całkiem niedawno.], by dalej rozwijać kwestie naszej polityki i wspomagać „Emerald Express”. Wyjątkowa doprawdy dyrektor Centrum, Nancy Walker, z entuzjazmem i umiejętnie wsparła nasze wysiłki.

Wśród uczestników „Emerald Express”, z którymi wiązałem szczególne nadzieje, byli etiopski generał Tsadkan i erytrejski generał Szebat, wodzowie naczelni sił zbrojnych swoich krajów. Ci dwaj starzy przyjaciele (także moi) prowadzili i wygrali 20-letnie „Długie Zmagania” z reżimem Mengistu w Etiopii; obaj znali mnóstwo niesamowitych opowieści z ciężkich czasów, jakie spędzili w buszu jako partyzanci.

Bardzo mi zależało, żeby pomóc ich siłom; dostrzegałem możliwość ustabilizowania ich odcinka targanego konfliktami Rogu Afryki, o ile tylko udałoby mi się przekonać ich do przyłączenia się do naszej inicjatywy współpracy regionalnej. Ale żaden z nich nie przejawiał większego zainteresowania. Uznałem, że wciąż pochłaniają ich sprawy wewnętrzne po zakończeniu trwającej ponad 20 lat epoki wojen i



zniszczenia.

Kilka miesięcy później oba kraje osunęły się w otchłań tragicznej wojny, a dwaj starzy przyjaciele zostali wrogami.

Jedynym państwem, które przystało na mój plan, była Kenia. Generał Tonje, silny i robiący wrażenie przywódca kenijskich wojsk, wprowadził głęboko sięgające reformy, które przekształciły je w wolne od korupcji i profesjonalne siły zbrojne. Podczas konferencji on i prezydent Moi zaproponowali, żebyśmy skonfrontowali nasz program z Wspólnotą Afryki Wschodniej, regionalną organizacją polityczną, w skład której wchodziła Kenia, Uganda i Tanzania. Był to pomysł dobry, ale niestety niewykonalny, ponieważ Uganda i Tanzania leżały poza AOR-em CENTCOM-u. Kiedy zapytałem, czy mogłyby zostać nam przydzielone, EUCOM się sprzeciwił. A kiedy próbowaliśmy poprowadzić program razem z EUCOM-em, z trudem w ogóle ruszył... Ta jego część, która wystartowała w Kenii przy współpracy ze Wspólnotą Afryki Wschodniej, zakończyła się powodzeniem.

W międzyczasie w rozumienie celów i dążeń „Emerald Express” wkradła się pewna dezorientacja.

Dowództwo Pacyfiku i Korpus Piechoty Morskiej (z różnych ważnych powodów) przypisywały sobie częściowy patronat nad konferencją, zarazem oferując bardzo niewielkie fundusze na jej wsparcie - otrzymywane głównie z CENTCOM-u. Ich pomysł opierał się na tym, żeby przenieść punkt ciężkości konferencji na ich własne obszary interesów. Chociaż nie sprzeciwiałem się ich współuczestnictwu, nie byłem zadowolony, widząc takie zaniedbywanie rejonów objętych działaniem CENTCOM-u.

Dlatego postanowiłem wprowadzić do „Emerald Express” zmiany, po których konferencja skupiłaby się wyłącznie na sprawach CENTCOM-u w Afryce; odbywałaby się również gdzieś w naszym rejonie Afryki, 1. Korpus Ekspedycyjny zgodził się dalej ją sponsorować i prowadzić; nazwę konferencji zmieniliśmy na „Złotą Włóczęgę”. Stała się międzyrządowym forum wysokiego szczebla, na którym omawiano planowanie i rozwój kilku rodzajów misji interwencyjnych. Kenia zgodziła się być współgospodarzem pierwszej „Złotej Włóczęgi”

Kiedy wróciłem z „Emerald Express”, dowiedziałem się, że CENTCOM się rozrósł. Przydzielono nam rejon Azji Środkowej, obejmujący Kazachstan, Uzbekistan, Kirgistan, Tadżykistan i Turkmenistan. Wkrótce musieliśmy sprostać wyzwaniom, które stawiał przed nami ten przydział.

W drugiej połowie kwietnia senator Ted Stevens przywiózł do Zatoki siedmioosobową delegację Kongresu, by zbadać możliwości większego udziału państw Zatoki Perskiej, zwłaszcza Arabii Saudyjskiej, we wspieraniu naszej wojskowego egzekwowania sankcji nałożonych na Irak.

Zabrałem delegację na pokład mojego samolotu (stareńkiego boeinga 707) i zawiozłem ją do Dżeddy w Arabii Saudyjskiej, gdzie spotkaliśmy się z saudyjskim ministrem obrony księciem Sułtanem i z saudyjskim ambasadorem w Stanach Zjednoczonych księciem Bandarem. Ponieważ byłem pewien, że delegaci nie zdają sobie sprawy z pomocy, jaką faktycznie otrzymujemy od Saudyjczyków, przed spotkaniem urządziłem krótki wykład na temat setek milionów dolarów bezpośredniego wsparcia, które otrzymywaliśmy co roku w paliwie, żywności, wodzie itd., oraz o kolejnych setkach milionów, które Saudyjczycy wydali na

najnowocześniejsze kwatery dla naszych sił. Otrzymywaliśmy od nich również wsparcie pośrednie, pod postacią zakupów amerykańskiego wyposażenia obronnego. W końcu zaś Arabia Saudyjska i inne państwa Zatoki dostarczały żołnierzy i pieniędzy, wykorzystywanych podczas naszych misji w miejscach takich jak Somalia. Informacje te (najwyraźniej niespodziewane) usatysfakcjonowały delegację; minister obrony uzupełnił je pokazem osobistego poparcia i przyjaźni dla CENTCOM-u.

Początek maja. W odpowiedzi na indyjskie próby jądrowe Pakistan wyznaczył termin własnych testów broni atomowej, co doprowadziłoby do drastycznej eskalacji napięcia w regionie - i na świecie.

Żeby przekonać Pakistańczyków do rezygnacji z prób, Departament Stanu postanowił wysłać zastępcę sekretarza stanu Strobe'a Talbota i asystenta sekretarza na ten region Ricka Inderfera, żeby spotkali się z premierem Szarifem i naczelnymi władzami Pakistanu. Ja miałem im towarzyszyć.

Misja zapowiadała się na niełatwą. Stosunki między Pakistanem i Stanami Zjednoczonymi już były napięte. Pakistańczycy poparli nasze wysiłki w Afganistanie podczas tamtejszej rebelii przeciw Sowieciom; w rezultacie na ich zachodniej granicy zebrała się duża liczba uchodźców, przez co zapanował tam chaos, a my - w ich oczach - zostawiliśmy ich samych z tym problemem.

Ich rozgoryczenie spotęgowały jeszcze sankcje, jakie nałożyliśmy na ich program broni masowego rażenia. Konkretnie odmówiliśmy dostarczenia im F-16, które kupili i za które zapłacili, czy choćby zwrotu pieniędzy, a potem odjęliśmy od wpłaconych przez nich sum opłatę magazynową. Nic dziwnego, że byli wściekli. (Ich gniew pogłębił się

jeszcze, kiedy stracili wielu pilotów latających na starszych maszynach, do czego by nie doszło, gdyby mieli F-16).

Nasze traktowanie Pakistanu działało wbrew naszym interesom. Kraj znajdował się na krawędzi; rząd był chwiejny i skorumpowany, a ludność podburzali wpływowi politycznie islamiści. Gdyby Pakistan upadł albo zamienił się w teokrację w stylu irańskim czy afgańskim, mielibyśmy poważne kłopoty w regionie... i poza nim. Niepotrzebni nam byli islamscy radykałowie z bronią jądrową. Ani wtedy, ani teraz.

Delegacja przyleciała do Tamy, skąd oczekiwał nas 22-godzinny lot do Islamabadu. Kiedy przygotowywaliśmy się do wejścia na pokład CENTCOM-owego 707, dotarła do nas wiadomość, że pakistański rząd postanowił nie zgodzić się na naszą wizytę. Natychmiast rozpoczął się gorączkowy maraton dyplomatycznych telefonów z poczekalni naszej bazy... ponaglanych jeszcze przez zbliżanie się ostatecznego terminu startu. Gdybyśmy nie wzbili się w powietrze w przeciągu dwóch godzin, skończyłby się czas załogi.

Telefony wciąż nie przynosiły pozytywnych rezultatów, postanowiłem więc zaproponować sekretarzowi Talbotowi mniej oficjalne podejście. Pomyślałem, że gdybym zadzwonił do generała Dżehangira Karamata, pakistańskiego szefa sztabu generalnego, zgodziłby się na naszą wizytę. Karamat był człowiekiem wielkiego honoru i godności, do tego moim przyjacielem. Nasze stosunki z Pakistanem zawisły na włosku osobistych relacji, które generał Karamat i ja zgodziliśmy się utrzymywać.

- Niech pan dzwoni - powiedział mi sekretarz, choć wyraz twarzy miał sceptyczny.

Kiedy jednak zadzwoniłem do generała Karamata, ten obiecał zająć

się tym problemem, i kilka minut później byliśmy już w powietrzu... Był to kolejny dowód, o ile sekretarz go potrzebował, że związki między naszymi siłami zbrojnymi pozostawały silne, pomimo napiętych stosunków gdzie indziej. Chociaż Waszyngton poważnie ograniczył kontakty wojskowe, które mogłem nawiązać, upierałem się przy podtrzymywaniu stosunków osobistych z generałem Karamatem.

W Pakistanie spotkaliśmy się kilka razy z premierem Szarifem i jego ministrami, ale nie udało się nam odwieść ich od prób jądrowych. Presja krajowej opinii publicznej, by odpowiedzieć na indyjskie testy, była zbyt wielka.

Zanim wyjechaliśmy, spędziłem kilka chwil z generałem Karamatem, który podzielił się ze mną swoją frustracją z powodu korupcji w rządzie. Przywódcy wojskowi Pakistanu nieraz odbierali władzę wybranym rządowi. Chociaż różni wysocy stopniem oficerowie nakłaniali generała, by zastosował się do tej tradycji, ten zapewnił mnie, że nigdy nie mógłby tego zrobić. Dotrzymał słowa, nie powstrzymało to jednak wojskowego przewrotu, który miał miejsce w tym samym roku.

W połowie maja strzelaniny w Badime, spornym obszarze granicznym między Etiopią i Erytreą, sprowokowały Erytrejczyków do zbrojnego ataku i zajęcia tych terenów. Etiopczycy szykowali się do kontrataku.

Osiemnastego maja zadzwoniłem do generała Tsadkana, żeby poznać jego ocenę sytuacji. Według mojego etiopskiego przyjaciela jego stary znajomy generał Szebat odwiedził go na przyjęciu z okazji spóźnionej obrony pracy dyplomowej przez żonę Tsadkana (rzuciła studia wiele lat wcześniej, by poświęcić się walce politycznej, teraz zaś wróciła

na uczelnię, by je ukończyć).

Według Tsadkana Szebat niespodziewanie opuścił przyjęcie, następnego dnia zaś miał miejsce atak. To był cios w plecy. Generał słusznie był oburzony.

Nie trzeba chyba nadmieniać, że kiedy 20 maja zadzwoniłem do generała Szebata, ten przedstawił mi zupełnie inną wersję wydarzeń. Twierdził, że atak był odpowiedzią na serię brutalnych incydentów sprowokowanych przez Etiopczyków.

Jakkolwiek wyglądała prawda, było tragedią, że ci dwaj starzy przyjaciele, którzy tak wiele razem przeszli, nie potrafili rozwiązać sporu w sposób pokojowy.

Napięcie rosło; Susan Rice, asystentka sekretarza Departamentu Stanu do spraw Afryki, poprosiła mnie o interwencję. Razem próbowaliśmy wszystkich uspokoić... lecz bez skutku. W ciągu następnych miesięcy kryzys osiągnął swoją masę krytyczną i eksplodował z pełną siłą. Mogliśmy jedynie opracować plan operacji ewakuacji ludności cywilnej.

Na szczęście wiele z naszych stosunków w regionie miało się ku lepszemu - niektóre z nich po latach konfliktów. Jeden z bardziej godnych uwagi zwrotów sytuacji nastąpił w Jemenie. Po latach wyniszczającej wojny domowej kraj znów się zjednoczył. Ale głupia decyzja o poparciu dla Iraku podczas wojny w Zatoce popsuła jego stosunki z USA. Wcześniej tego samego roku prezydent Jemenu Ali Abdullah Saleh dał jednak do zrozumienia, że chciałby naprawić ten błąd i rozpocząć wojskową współpracę ze Stanami. Była to dobra wiadomość. Jemen był strategicznie istotnym krajem, któremu poważnie groził upadek. Udzielenie mu pomocy było bardzo ważne z punktu widzenia naszych

interesów w tym regionie.

Odwiedziłem Jemen 22 maja i spędziłem kilka dni z prezydentem Salehem i jego ministrami. Ponieważ prezydent nie miał możliwości kontrolowania własnych granic i wybrzeża ani skutecznego przeciwdziałania grupom terrorystycznym, które bez przeszkód przemierzały cały kraj i wykorzystywały go jako swoją bazę, Saleh rozpaczliwie potrzebował pomocy w szkoleniu sił antyterrorystycznych. Oraz oczywiście straży przybrzeżnej.

Do jego listy życzeń dodałem kilka innych programów wspierania bezpieczeństwa, jak również program współpracy wywiadów.

I znów działania te spotkały się z niewielkim wsparciem ze strony Waszyngtonu. Mimo to byłem zdeterminowany zbudować ten związek. Leżało to w interesie bezpieczeństwa regionu i nas samych.

Podczas pobytu w Jemenie zwiedziłem adeński port, gdzie nasza marynarka badała nowe instalacje i stacje tankowania pod kątem ich przydatności jako ewentualnego zastępstwa stacji tankowania w Dżibuti, gdzie były poważne problemy z bezpieczeństwem. Spodobało mi się to, co zobaczyłem. Stacja tankowania była położona z dala od nabrzeży; samo tankowanie mogło zostać przeprowadzone w bezpiecznej odległości od tras ruchu morskiego, a wstępne raporty ekspertów Departamentu Obrony dotyczące jakości i ilości paliwa były zachęcające.

W lipcu w kwaterze głównej CENTCOM-u przyjęliśmy dwóch znaczących gości - księcia Abdullaha z Jordanii i generała Altinbajewa, ministra obrony Kazachstanu.

Abdullah - bystry, energiczny młody przywódca pełen nowych pomysłów - był wtedy szefem jordańskich sił specjalnych. Rozmowa

oczywiście zeszła na podupadające zdrowie jego ojca, króla Husajna, który od dawna walczył z rakiem. Jego stan się pogarszał; było jasne, że król musi wkrótce umrzeć.

Przez wiele lat wyznaczonym następcą tronu był brat Husajna, lecz to się miało zmienić. Chociaż król zamierzał zmienić swój wybór na Abdullaha, książę nic o tym nie wiedział. A była to doskonała decyzja. Książę okazał się być jednym z najbardziej oświeconych przywódców w tej części świata.

Generał Altinbajew był pierwszym wysokim urzędnikiem z Azji Środkowej, którego poznałem, odkąd pięć byłych republik radzieckich zostało przydzielonych do AOR-u CENTCOM-u. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, szybko się zorientowałem, że państwa te będą areną problemów zupełnie innych niż pozostałe podregiony naszego AOR-u - problemów związanych bardziej z niedawnymi rządami Moskwy niż z ich religią czy kwestiami etnicznymi (choć te sprawy były również bardzo widoczne). Z niecierpliwością oczekiwałem na wizytę w tych krajach, która miała się odbyć później tego roku.

Pod koniec lipca, podczas kolejnej podróży do Pakistanu, odwiedziłem dalsze i bardziej niedostępne części kraju - strefę Linii Kontroli w Kaszmirze i pobliski lodowiec Siachen, a także słynną przełęcz Chajber na zachodniej granicy z Afganistanem. W tych dzikich górach pakistańscy i indyjscy żołnierze od dziesięcioleci stawali naprzeciw siebie na wysokościach przekraczających 7000 metrów. Jeśli nie ginęli w walce, zabijała ich wysokość i klimat. Ku mojemu zaskoczeniu obu krajom udało się ograniczyć walki do tego niebezpiecznego i niespokojnego, a mimo to ściśle określonego rejonu. Ale ta „szczęśliwa” sytuacja miała się zmienić



w ciągu najbliższych miesięcy.

Na przełęczu Chajber zrozumiałem lepiej istotę pakistańskiego zachodniego pogranicza z afgańskimi, wrogimi plemionami - rejonów niepodlegających w pełni pakistańskiemu prawu ani kontroli, a do tego trudnych i górzystych. Wiedziałem już wtedy dobrze, jak rządy talibów niszczą ten kraj, a schronienie, jakie oferowali oni ekstremistom pokroju al-Kaidy stanowiło coraz poważniejsze zagrożenie.

Jak bardzo poważne, dowiedzieliśmy się 7 sierpnia, kiedy nasze ambasady w Kenii i Tanzanii zostały staranowane przez ciężarówki wyładowane materiałami wybuchowymi. Zginęło 71 amerykańskich obywateli (w tym troje członków zespołu wspierania bezpieczeństwa CENTCOM-u) i 234 miejscowych, ponad 5000 zostało rannych. Ataki zostały przeprowadzone przez grupę terrorystyczną al-Kaida Osamy bin Ladena.

Natychmiast wysłaliśmy tam Antyterrorystyczny Zespół Wsparcia Floty (FAST), składający się z marines, jednostek inżynieryjnych marynarki i jednostek medycznych, by sprostać wymogom sytuacji; jednocześnie z naszej kwatery głównej wysłałem do Nairobi zespół mający stworzyć Dowództwo Połączonych Sił Specjalnych, by ustalił, czego jeszcze potrzeba. Wszystko to zostało nazwane operacją „Stanowcza Odpowiedź”.

Atak nie był całkowitym zaskoczeniem. Kilka miesięcy wcześniej dowiedzieliśmy się od prezydenta Moi, że islamscy ekstremiści działają w tym rejonie i w sąsiadującej Somalii i że działalność terrorystów staje się coraz poważniejszym zagrożeniem dla Afryki Wschodniej, Środkowej i Zachodniej.

W lutym, działając na prośbę naszej ambasador w Kenii Prudence Bushnell, wysłałem do sekretarza stanu ostrzeżenie o ataku samochodu pułapki na ambasadę w Nairobi (ambasada stała przy jednej z najruchliwszych arterii miasta) i propozycję pomocy z oceną bezpieczeństwa i zaleceniami. W odpowiedzi Departament Stanu lakonicznie stwierdził, że moja pomoc nie jest potrzebna - to samo usłyszała ambasador, kiedy próbowała zwrócić na siebie uwagę Waszyngtonu przed przyjściem do mnie.

Kiedy pewien dziennikarz w jakiś sposób dotarł do zasadniczej treści tej odpowiedzi, w Waszyngtonie wybuchł mały kryzys, ale ku mojemu zdumieniu Departament Stanu po prostu to zignorował i sprawa ucichła.

Trudno. Musieliśmy znaleźć odpowiedź na poważniejsze pytanie: co zrobić z Osamą bin Ladenem i al-Kaidą? Wiedzieliśmy wtedy, że są oni rosnącym zagrożeniem, ale nie wiedzieliśmy, jak niebezpieczni staną się w przyszłości. Po demonstracjach w Nairobi i Dar es-Salaam „niebezpieczni” mogło być słowem zbyt łagodnym. Było jasne, że musimy kontratakować. Ale to miało być niełatwe. Al-Kaida nie była nigdy „miejscem”, które moglibyśmy namierzyć; to siatka. A Osama zawsze był nieuchwytny. Wiedzieliśmy, że al-Kaida ma placówki w Afganistanie, a nasze agencje wywiadowcze wiedziały, że Osama znajdował się wtedy akurat w ich pobliżu, ale nie było żadnej możliwości jego dokładnego zlokalizowania.

W połowie sierpnia pojawiły się nowe informacje zdobyte przez wywiad, z których wynikało, że bin Laden być może odwiedzi jeden ze swoich obozów szkoleniowych w Afganistanie. Rozkazano mi przygotować atak raketami Tomahawk na ów obóz oraz na cel w

Chartumie, w Sudanie. (Według naszego wywiadu była to fabryka farmaceutyków, produkująca prekursor, z którego wyrabiano toksyczne środki chemiczne dla organizacji terrorystycznych). Ataki zaplanowano na 20 sierpnia.

Cel w Sudanie był dla mnie nowością; nie widziałem dotąd wzmianki o nim w raportach wywiadu, ale dowody, że jest wykorzystywany przez terrorystów, wydawały się wysoce wiarygodne.

Obozy szkoleniowe były prymitywnymi, ale skutecznie działającymi placówkami, pozbawionymi istotnych celów, jeśli chodzi o infrastrukturę, a szansę trafienia bin Ladena były niezbyt duże, ale uznałem, że warto spróbować. Gdyby był na miejscu, a my byśmy go trafili - świetnie. Gdyby go nie było, przynajmniej dowiedziałyby się, że jesteśmy w stanie go osiągnąć. Wiedziałem, że sporo ryzykujemy i że jeśli go tam nie ma, zostaniemy skrytykowani, ale uważałem, że warto.

Tego dnia, kiedy wystrzeliliśmy rakiety, sprzątnąłem ze swojego biurka wszystko oprócz kartki z podziękowaniami od rodziców sierżant Sherry Olds, wyjątkowej podoficer, która zginęła w zamachu w Nairobi, za list, który im wysłałem i za honorową salwę na jej pogrzebie.

Atak nazwaliśmy operacją „Nieskończony Zasięg”.

Nie wyrządził tak naprawdę wielu szkód, a my zostaliśmy za niego mocno skrytykowani przez prasę i polityków, ale moim zdaniem ryzyko się opłaciło. Po tym ataku wywiad znalazł jeszcze kilka innych celów, ale żaden z nich nie był na tyle pewny, żebym zgodził się na ostrzał raketowy czy wysłanie oddziałów do zadań specjalnych. Ryzyko, które ponosiły nasze siły, i towarzyszące takim akcjom zniszczenia nie znajdowały usprawiedliwienia w ogólnikowych danych wywiadu.

Podczas wizyty w Nairobi 29 sierpnia obiecałem ambasador Bushnell, że nasze siły bezpieczeństwa FAST nie opuszczą miasta, dopóki nie zostanie założona nowa ambasada - co miało potrwać co najmniej kilka miesięcy. Dlatego też niedługo potem spotkał mnie wstrząs, kiedy Pentagon zaczął na mnie naciskać, żebym wycofał marines jeszcze przed znalezieniem nowego, bezpieczniejszego miejsca na ambasadę.

Według Pentagonu utrzymywanie tam marines było zbyt kosztowne, a poza tym bezpieczeństwo ambasady było sprawą Departamentu Stanu.

- My zrobiliśmy swoje. Teraz to ich problem.

- Nie możemy się wycofać - powiedziałem im. - Nie ma takiej możliwości ani ludzkiej siły, żebyśmy zostawili Amerykanów narażonych na niebezpieczeństwo.

- Cóż, to problem Departamentu Stanu - powtarzał Pentagon. - Oni sami powinni się martwić o swoich ludzi. Nie my.

Nie zamierzałem pozwalać, żeby utarczki między dwiema agencjami przeszkadzały mi bronić amerykańskich obywateli. Dlatego rozegrałem to twardo.

- Pieprzenie - powiedziałem. - Nie zostawię Amerykanów w niebezpieczeństwie. Ci marines zostaną tam, dopóki nie znajdzie się odpowiednie miejsce do przeniesienia ambasady. Będę ochraniał Amerykanów tam, gdzie mieszkają i pracują. Wciąż są narażeni na niebezpieczeństwo.

Pentagon długo kręcił nosem, ale nikt nie zamierzał mi się przeciwstawić.

Na początku września kryzys między Etiopią i Erytreą stał się jeszcze bardziej niepokojący. Wszystko wskazywało na to, że w Rogu

Afryki wkrótce zagości wojna. Żeby złagodzić napięcia i znaleźć pokojowe rozwiązanie kryzysu, prezydent mianował byłego doradcę bezpieczeństwa narodowego Tony'ego Lake'a specjalnym wysłannikiem, a mnie rozkazano z nim współpracować. Nasze współdziałanie stało się znane jako „Strategia Tony-Tony”.

W pierwszym tygodniu września pojechałem do Etiopii i Erytrei. Na trwających kilka dni spotkaniach z premierem Melesem i generałem Tsadkanem ze strony etiopskiej oraz prezydentem Isaiasem i generałem Szebatem ze strony erytrejskiej próbowałem przekonać ich wszystkich, że wojna o Badime - jałowe pustkowie na wspólnej granicy - była pozbawiona sensu i doprowadziłaby do niepotrzebnego rozlewu krwi. Wszyscy uprzejmie mnie wysłuchali, ale żadna ze stron nie zamierzała ustąpić. Było jasne, że już zdecydowali się na działania wojskowe. Wróciłem do Stanów wyjątkowo zniechęcony, przekonany, że zbliża się krwawa wojna.

Mimo to musiałem spróbować jej zapobiec.

W następnych dniach września, kiedy pojechałem po raz pierwszy do państw Azji Środkowej, zastałem je wszystkie w stanie posowieckiego szoku. Po 70 latach komunizmu Kazachowie, Uzbekcy, Kirgizi, Tadżykowie, Turkmeni i inne grupy etniczne tego, co kiedyś było południową częścią ZSRR, miały poważne problemy gospodarcze, polityczne, społeczne i wojskowe. Teraz, kiedy z ich barków zdjęto komunistyczne brzemie, próbowały odnaleźć swoją tożsamość i najlepszą drogę rozwoju. Naturalnie każda z nich postrzegała nasze zaangażowanie jako szansę pozyskania wsparcia niezbędnego, by przeprowadzić konieczne zmiany. A Stany Zjednoczone naturalnie nie były skłonne

inwestować w ten region.

Nie była to jednak jedyna przeszkoda do pokonania. Każde państwo miało własne, odrębne problemy i wizję rozwoju; zainteresowanie wspólnym, regionalnym podejściem, które preferowaliśmy, było znikome. Dlatego stało się dla mnie jasne, że musimy zacząć od działań bilateralnych.

Na początek: siły zbrojne tych państw musiały jak najszybciej zreformować stary sowiecki system, przy czyhających na nie poważnych zagrożeniach (fundamentalizm, narkotyki i przestępczość, rozprzestrzeniające się głównie z Afganistanu). Po raz kolejny czekało nas budowanie programu interwencji bez odpowiedniego zaplecza, ale ja miałem mocne postanowienie pracować z tym, co mamy. To były państwa pogranicza, wyjątkowo narażone na ekstremizmy i chaos Azji Południowej. Stawało się coraz jaśniejsze, że zagrożenia te nie były skierowane tylko na nie; były też wymierzone przeciwko nam. Musieliśmy im pomóc.

Zacząłem słyszeć te same ostrzeżenia od wszystkich przywódców regionu - od prezydenta Kenii Moi po prezydenta Uzbekistanu Karamowa. Wszystkich niepokoił rozprzestrzeniający się fundamentalizm religijny i działalność terrorystów.

Rok 1998 był wyraźną cezurą w instytucjonalizacji terroryzmu. Do tej pory organizacje terrorystyczne były małe, rozproszone i kierowane byle jak... albo miały charyzmatycznych przywódców. Bardziej przypominały gangi z problemami niż organizacje z planami, programami i strategiami.

Al-Kaida\*[\* Po arabsku „podstawa” lub „fundament”.] wszystko to

zmieniła.

Geniusz al-Kaidy przejawiał się w tym, że zebrała wszystkie rozproszone ugrupowania terrorystyczne, stworzyła łączącą je siatkę i zapewniła zaplecze, wyszkolenie, dowodzenie, kontrolę i globalny zasięg działania, przez co zagrożenie stało się zagrożeniem międzynarodowym; al-Kaida stworzyła wirtualne państwo, którego bazą była jej globalna siatka. Każda część tej siatki była stosunkowo słaba, mało znacząca i narażona na atak, ale dzięki niewidzialności i bezpieczeństwu łączących je ogniw zagrożenie ze strony całej struktury szybko sięgnęło bezprecedensowego poziomu.

Nie była to groźba zniszczenia świata, z którą żyliśmy przez blisko 50 lat zimnej wojny, ale niebezpieczeństwa grożącego nam ze strony al-Kaidy - której pozwolono rozwijać się bez przeszkód - na pewno nie można było nazwać małym.

W związku z moją wyprawą 21 października do Waszyngtonu, gdzie miałem zeznawać przed Senatem, biuro spraw publicznych Departamentu Obrony poprosiło mnie, żebym urządził konferencję prasową podczas śniadania Defense Writers Group\*[\* Defense Writers Group - organizacja zrzeszająca dziennikarzy zajmujących się sprawami obronności. Jej członkowie spotykają się na śniadaniach z urzędnikami Departamentu Stanu USA i dyplomatami z innych krajów (przyp. red.)].

Podczas tej konferencji dostałem kilka pytań o wypędzone z Iraku i przebywające w Londynie grupy opozycyjne, które stały się oczkiem w głowie Kongresu. Najważniejsza z nich, Iracki Kongres Narodowy, była kierowana przez Ahmeda Chalabiego. Chalabi wmówił kilku ważnym osobom, że jest w stanie wzniecić ruch partyzancki, który odsunie od

władzy Saddama Husajna i partię Baas - jeśli tylko będzie miał pieniądze oraz niewielkie wsparcie lotnicze i operacji specjalnych. Uznałem ten pomysł za całkowicie szalony (nasz wywiad donosił, że nie należało wierzyć niczemu, co mówił Iracki Korpus Narodowy, i że żaden z ich planów nie był wykonalny).

Październikowa konferencja prasowa nie była moim pierwszym spotkaniem z tym kretynizmem. Dwudziestego szóstego marca byłem w Waszyngtonie na corocznym zeznaniu przed Kongresem.

Głównodowodzący muszą składać co roku zeznania przed Komisją Sił Zbrojnych Senatu, Komisją Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów i Komisją

Zatwierdzając Izby Reprezentantów\*[\* Zanim zostałem głównodowodzącym, kilka razy zeznawałem przed tymi komisjami, a także przed Senacką Komisją Stosunków Zagranicznych.], często jednak są również wzywani na bieżąco, by zeznawać na temat konkretnych spraw, kiedy te się pojawiają. W naszym corocznym zeznaniu przedstawiamy ogólnie stan dowództwa i regionu oraz odpowiadamy na pytania. Większość z nich jest związana z hołubionymi programami i zagadnieniami, które indywidualni legislatorzy chcą promować lub obalić, inne jednak tyczą się polityki administracji.

Tematem marcowych sesji była polityka administracji w Iraku. Kongres opracowywał własną strategię, upichconą przez dwóch senackich sztabowców, wspierającą Iracki Kongres Narodowy i partyzanckie plany Chalabiego. Zeznałem wtedy, że nie ma żadnych szans na powodzenie takiej operacji. Saddam trzymał się zbyt mocno, by obaliła go garstka



partyzantów, a cała organizacja Chalabiego była zwykłym mydleniem oczu.

Oczywiście moja niechęć do wsiadania na pokład łodzi, która według mnie nie miała szans popłynąć, nie zaskarbiła mi uczuć popleczników Chalabiego, z których wielu - na przykład senator John McCain - miało w Waszyngtonie spore wpływy. Kiedy powiedziałem głośno, co myślę, widać było, że sekretarz obrony Cohen poczuł się niezręcznie. Chociaż administracja Clintona bardzo podejrzliwie podchodziła do Chalabiego, każdy plan, który obiecywał pozbycie się Saddama, w mediach sprzedawał się jak macierzyństwo i wolność słowa, administracja nie była więc skora ostentacyjnie się mu sprzeciwiać. Tamtego wieczoru, na stopniach Kapitolu, sekretarz Cohen powiedział mi, żebym trzymał się wojskowej egzekucji wytycznych i nie mieszał w ich opracowywanie. Ujął to uprzejmie, ale zrozumiałem, o co mu chodziło.

Kongres przyjął Akt wyzwolenia Iraku, przydzielający 97 000 000 dolarów irackim ugrupowaniom opozycyjnym, w tym Chalabiemu.

Administracja wciąż nie chciała ruszać tego tematu. Ale nie zamierzała też wydawać pieniędzy na iracką opozycję (nie licząc drobnego wsparcia administracyjnego). Nie mieli zamiaru kupować im broni.

W październiku jednak dwaj senacy sztabowcy, z którymi spotkałem się w marcu, teraz pracujący z generałem armii, wymyślili szalony plan uzbrojenia „zbrojnych ramion” dysydentów i wysłania ich do Iraku z obietnicą wsparcia sił powietrznych i specjalnych. Był to gotowy przepis na katastrofę; na konferencji prasowej określiłem go jako „Zatoka Kóz”, a wygnańców nazwałem partyzantką od Gucciego.

Moje uwagi wywołały burzę i podczas zeznania przed komisją

później tego samego dnia stawiłem czoło kilku wściekłym senatorom, którzy popierali tę nedorzeczną.

Chociaż moi zwierzchnicy porządnie mnie za to potem objechali, otrzymałem setki listów i telefonów z poparciem dla mojego stanowiska; napisano również w tym tonie kilka artykułów.

To nie koniec tej historii. Waszyngton jest mściwym miastem i dwaj sztabowcy zaprzysięgli mi odwet. Nie zemścili się na mnie, lecz na moim doradcy politycznym Larrym Pope'em. Kiedy zaproponowano jego kandydaturę na ambasadora w Kuwejcie, udało im się zablokować decyzję Senatu. Taki krok przeciwko człowiekowi niemającemu nic wspólnego z moimi opiniami był typowy dla waszyngtońskiej polityki, którą tak się brzydziłem.

Rok 1998 zakończył się z hukiem. Operacją „Pustynny Lis”. Wiedziałem, że w roku 1999 szybkie tempo działania nie da nam chwili wytchnienia.

Na początku stycznia administracja poleciła Tony'emu Lake'owi jeszcze raz podjąć wysiłki (które wspieraliśmy) w celu zapobieżenia wiszącej w powietrzu wojnie między Etiopią a Erytreą. Mimo to wiedziałem, że jej nie zapobiegamy. Kiedy rozpoczęła się wiosną 1999 roku, ewakuowaliśmy obywateli amerykańskich (operacja „Bezpieczny Odjazd”).

Konflikt był krwawy. Wojna pozycyjna w stylu I wojny światowej i zmasowane ataki frontalne dały w efekcie tysiące zabitych.

Po etiopskim zwycięstwie w Badime (kiedy już obie walczące strony wykrwawiły się na polach bitew) wraz z Tonym Lakiem i Departamentem

Stanu zaczęliśmy pracować nad umieszczeniem tam sił utrzymujących pokój. Pod koniec roku siły ONZ przysłały zespół, który wyznaczył strefę demarkacyjną i siły pokojowe, by spróbować zakończyć spór.

Dwudziestego pierwszego kwietnia pojechałem do Pakistanu na kilkudniowe spotkanie z nowym szefem sztabu, generałem Perwezem Muszarrafem. Porozumieliśmy się szybko i bez problemu. Generał był bystry, szczery i ujmujący, lako zagorzały nacjonalista, który mimo to skłaniał się ku Zachodowi, był tak samo jak generał Karamat przerażony coraz większą korupcją w rządzie. Widział też rozmaite potężne prądy islamskie przebiegające przez jego kraj i postrzegał je - słusznie - jako przeszkody na drodze do wprowadzenia Pakistanu w XXI wiek. Wiedział też przy tym, że jego kraj nigdy się nie zmodernizuje i nie zaradzi miriadowi swoich bolączek bez jakiegoś rodzaju religijnego konsensusu.

Spotkanie przebiegło wspaniale mimo chłodu spowodowanego przez nasze sankcje. Kiedy wyjeżdżałem, obaj postanowiliśmy pozostawać w bliskich kontaktach (wymieniliśmy domowe numery telefonów). Nasza przyjaźń okazała się później ogromnie wartościowa dla obu naszych krajów.

W maju pakistańskie siły wdarły się głęboko w rejon zwany Kargil, po indyjskiej stronie Linii Kontroli.

Chociaż w pobliżu Linii Kontroli normalnie trwały walki, rejon ten od długiego czasu był dość stabilny. W ciepłe miesiące nastąpiły ataki sondujące i wymiany ognia, ale stan rzeczy znacząco się nie zmieniał, a na zimę wszyscy wycofywali się w doliny, pozostawiając „ziemię niczyją”. Kiedy przychodziła wiosna, obie armie wracały na swoje pozycje.

Co jakiś czas jakiś oddział spóźniał się na swoje wiosenne miejsce i

druga strona mogła to wykorzystać, zajmując jakiś kilometr terenu. Przypominało to reakcję „Aha, mam cię!” na szczeblu taktycznym. Ale niczego tak naprawdę nie zmieniało.

Tym razem jednak Pakistańczycy zasadzili się na Indusów i wbili się aż do Kargil. Tak głęboka, znacząca penetracja wykraczała już poza szczebel taktyczny; zagrożone zostały indyjskie linie komunikacyjne i zaopatrzeniowe prowadzące do lodowca Siachen.

Hindusi przypuścili kontratak. Doszło do wymiany ognia, zarządzono mobilizację sił, zaczęto bombardowania, zestrzelono kilka samolotów. Potem obie strony poczęły mobilizować wszystkie siły wzdłuż całego frontu i zaczynało to wyglądać na otwierające ruchy większej wojny. Zrobiło się niepokojąco.

Administracja poleciła mi stanąć na czele prezydenckiej misji, która miała udać się do Pakistanu i przekonać premiera Szarifa oraz generała Muszarrafa, by wycofali swoje siły z Kargilu.

Spotkałem się z pakistańskimi przywódcami w Islamabadzie 24 i 25 czerwca, przedstawiając bardzo prosty powód, dla którego powinni się wycofać:

- Jeśli się nie wycofacie, ściągniecie na swój kraj wojnę i nuklearną zagładę. A to się nikomu nie spodoba.

Nikt nie kłócił się z takim postawieniem sprawy. Pakistańscy przywódcy stali przed innym problemem - utratą twarzy przed całym narodem. Wycofanie się z powrotem na Linie Kontroli byłoby politycznym samobójstwem. Musieliśmy znaleźć takie wyjście z tego bałaganu, żeby mogli uratować twarz. Byliśmy w stanie zaoferować spotkanie z prezydentem Clintonem, które zakończyłoby izolację, od

dawna dzielącą nasze kraje, ale ogłosilibyśmy je dopiero po wycofaniu sił.

To przemówiło do Muszarrafa, który namówił premiera Szarifa, żeby mnie wysłuchał.

Szarif nie był skłonny wycofać sił przed ogłoszeniem spotkania z Clintonem (znów chodziło o zachowanie twarzy), ale po moich naleganiach w końcu ustąpił i zarządził odwrót. Spotkanie z prezydentem zorganizowaliśmy w lipcu.

W październiku 1999 napięcie między cywilnymi a wojskowymi władzami Pakistanu w końcu osiągnęło punkt krytyczny. Rząd pochodził z wolnych wyborów, ale był beczelnie wręcz skorumpowany. Wojsko znalazło się między młotem a kowadłem. Gdyby pozwoliło, by taka sytuacja trwała dalej, zgnilizna posunęłaby się do tego stopnia, że państwo mogłoby upaść - była to bardzo realna możliwość. Nie można było jednak jej zmienić, przestrzegając liberalnych zasad demokratycznych.

Szarif zapoczątkował własny upadek, próbując zdymisjonować generała Muszarrafa, kiedy ten przebywał za granicą, chcąc na jego miejscu obsadzić szefa wywiadu. Stanowisko szefa sztabu powierzył pierwotnie Muszarrafowi, wychodząc z błędnego założenia, że łatwo będzie go kontrolować. Nie docenił siły generała.

W odpowiedzi na ruch Szarifa pakistańska armia dokonała zamachu stanu.

Kiedy przewrót osiągał punkt krytyczny, Muszarraf wracał właśnie do ojczyzny; sukces miał w zasięgu ręki. Jego samolot miał bardzo mało paliwa, ale wszystkie lotniska, wciąż pod kontrolą sił Szarifa, były dla niego zamknięte. W ostatniej chwili sprzyjające mu oddziały przejęły lotnisko i generał wylądował.

Premier Szarif został niedługo potem aresztowany, a Muszarraf ogłosił publicznie zamiar usunięcia rządowej korupcji i wprowadzenia prawdziwej demokracji.

Przewrót nie został dobrze przyjęty w Waszyngtonie i rozkazano mi zerwać stosunki z generałem Muszarrafem. Chociaż uznałem ten rozkaz za głupi, wykonałem go.

Co dwa lata przeprowadzamy z Egiptem wspólne ćwiczenia pod nazwą „Jasna Gwiazda”. To największe ćwiczenia wojskowe na świecie[\*]. Ćwiczenia „Jasna Gwiazda” były kluczem do przeprowadzenia dużej operacji koalicyjnej i naszym przygotowaniem do każdej powtórki „Pustynnej Burzy”. Nigdzie indziej w całym regionie nie przeprowadzaliśmy na taką skalę ćwiczeń na lądzie, w powietrzu i na morzu.].

W listopadzie oglądaliśmy z sekretarzem Cohenem defiladę w ramach „Jasnej Gwiazdy”, kiedy mój pager oznajmił, że na mój telefon satelitarny (który zawsze miałem przy sobie) przekierowano połączenie od generała Musharrafa.

Odwróciłem się do Cohena.

- Co mam zrobić? - spytałem.

- Proszę odebrać, ale nie mówić nic zobowiązującego - odparł.

Była to osobista rozmowa między przyjaciółmi, powiedział Muszarraf (choć oczywiście obaj wiedzieliśmy, że jakakolwiek rozmowa nas dwóch będzie miała szersze konsekwencje). Generał chciał mi powiedzieć, dlaczego poprowadził przewrót i dlaczego on oraz inni dowódcy wojskowi nie mieli innego wyjścia.

Argument, jaki przedstawił, był mocny:

- Demokracja i wybory to oszustwo, jeśli wybrany w nich rząd może wystawić wszystko, co kontroluje, na sprzedaż. Mieliliśmy demokrację w formie, ale nie w treści. Ja chcę mieć demokrację w treści i będę się o to starał, nieważne, ile będzie mnie to kosztowało.

- Muszę wyjaśnić jeszcze jedno - powiedział mi. - Nie obchodzi mnie, co inni myślą o moich motywach czy zamiarach, ale jest dla mnie ważne, żeby pan je znał.

Podziękowałem mu za szczerość i życzyłem powodzenia.

Streszczając rozmowę Cohenowi, jasno dałem do zrozumienia, że teraz bardziej niż kiedykolwiek należy utrzymywać kontakty z Pakistanem. Zrozumiał, o co mi chodziło, ale nie sądził, by dało się przekonać Waszyngton.

W grudniu jordański wywiad odkrył szeroko zakrojony spisek mający na celu zabicie amerykańskich turystów podczas obchodów końca milenium w Jordanii i na całym Bliskim Wschodzie. Schwytani terroryści, powiązani z Osamą bin Ladenem, wyjawili, że ich bezpośredni przełożeni znajdowali się w Pakistanie.

Niedługo zaczęły się telefony z Departamentu Stanu i Rady Bezpieczeństwa Narodowego:

- Niech pan zadzwoni do Muszarrafa i poprosi go o pomoc.

W odpowiedzi na moje prośby Muszarraf aresztował terrorystów (i dał nam dostęp do nich samych oraz do ich skonfiskowanych twardych dysków)... i dorzucił kilka innych przysług.

- Teraz zróbcie coś dla Muszarrafa - powiedziałem Waszyngtonowi.

- A przynajmniej pozwólcie nam nawiązać z powrotem stosunki.

Odpowiedź brzmiała: „nie”.

Zadzwoiłem do Muszarrafa i powiedziałem mu, jak bardzo byłem rozczarowany.

- Wiem, że współpraca nie cieszy się popularnością tak samo w pewnych kręgach waszego rządu i wśród ludzi - wyjaśniłem. - Wiem, ile odwagi wymagało to, co dla nas zrobiłeś. A więc jest mi podwójnie wstyd, że nie mogę ci dać nic w zamian.

- Nie chcę ani nie oczekuję niczego za to, co zrobiłem - odparł Muszarraf. - Tony, zrobiłem to, bo tak było trzeba.

Podczas ostatnich podróży do regionu wiosną i latem roku 2000 głęboko poruszyło mnie przyjęcie ze strony moich licznych przyjaciół. Ich wyrazy poparcia dla tego, co zrobiłem, i stosunków, które nawiązaliśmy, dały mi poczucie, że zrobiliśmy duże postępy na drodze do ustabilizowania tej targanej konfliktami części świata. Wiedziałem jednak, że przed nami jeszcze długa droga. To była niebezpieczna okolica. Region musiał przejść wiele politycznych, społecznych, gospodarczych i wojskowych reform, ale wymagało to czasu, miejsca i wsparcia (oraz, w niektórych przypadkach, ponagleń). Uważałem, że możemy wspomóc wprowadzanie tych zmian, zapewniając swoją pomoc.

Podczas mojej służby w CENTCOM-ie wszystkim państwom oprócz Seszeli nieustannie zagrażali terroryści. Przeprowadziliśmy serię operacji wojskowych przeciwko Irakowi, nie przerywając egzekwowania nałożonych na ten kraj sankcji. Zapanowaliśmy nad Iranem oraz nawiązaliśmy stosunki z Jemenem i państwami Azji Środkowej. Mieliśmy do czynienia z wojnami w Sudanie, Somalii, Etiopii, Erytrei i Tadżykistanie. Nasze reakcje na kryzysy w Pakistanie, Afryce i innych



miejskach sięgały od pomocy charytatywnej, przez ewakuację amerykańskich obywateli, po mediację.

Było to niesamowite doświadczenie.

Latem roku 2000 zdałem dowodzenie CENTCOM-em generałowi armii Tommy'emu Franksowi i moja 39-letnia kariera w marines dobiegła końca.

Ale to nie był ostatni rozdział mojej historii w CENTCOM-ie.

W czwartek 12 października 2000 roku terroryści samobójcy z al-Kaidy wysadzili w powietrze amerykański niszczyciel USS „Cole”, tankujący w porcie w Adenie, w Jemenie. Zginęło 17 młodych Amerykanów, a „Cole” został wyeliminowany ze służby na całe lata. Ktoś musiał wziąć na siebie winę za to, że dopuścił do tej tragedii.

Niektórzy spoglądali w stronę oczywistego celu, kapitana okrętu. Ale ci, którzy lubią pokazywać palcem, kiedy tylko coś złego przytrafi się naszym żołnierzom, marines, lotnikom czy żeglarzom, chcieli powiesić kogoś, kto stał wyżej. Palce wskazały na mnie.

Trudno. Ktoś musiał wziąć to na siebie.

Dlatego nie byłem zaskoczony, kiedy dowódca operacji morskich spróbował obarczyć mnie winą za zamach. Oskarżył mnie, że umieściłem stację tankowania w Adenie, bo chciałem poprawić stosunki z Jemenem.

Po tym oskarżeniu zadzwonił do mnie senator Warner z Wirginii, przewodniczący Komisji Sił Zbrojnych.

- Niech pan posłucha - powiedział. - Moi wyborcy nie dają mi spokoju. Pytają o „Cole'a”. Amerykańscy obywatele muszą poznać prawdę. Musimy kogoś przesłuchać. Prosiliśmy sekretarza obrony i wierzuszkę wojska, ale oni się nie pojawiają. Nie możemy ich zmusić.

Zostaje pan, Tony. - Przeprosił mnie za to. - Musi pan przyjechać zeznawać. Będzie ciężko - ciągnął. - Będzie pan musiał przez nas sporo przejść... przeze mnie.

- Zgoda - powiedziałem. To było jedyne słuszne wyjście.

Przesłuchiwało mnie 14 senatorów, przez trzy godziny w świetle fleszy (było tam dużo prasy), bez żadnych przerw (nawet po to, żeby się wysikać). Wymaglowali mnie pytaniami.

Zanim stanąłem przed Komisją, postanowiłem, że wezmę na siebie pełną odpowiedzialność za to, co się zdarzyło. Byłem głównodowodzącym i byłem odpowiedzialny za wszystko, co miało miejsce na moim AOR-ze. Gdybym tego nie zrobił, zrzuciliby winę na jakiegoś biednego sukinsyna w rodzaju tego kapitana. Musiał przed nimi stanąć ktoś ważniejszy. Przypomniałem sobie, jak bardzo stłamsili generała Peaya za atak na Khobar Towers. Kiedy próbował tłumaczyć, że zdarzyło się to, kiedy zeznawał, uznali to za miganie się od odpowiedzialności (co nie mogło być dalsze od prawdy). Miałem już dość admirałów i generałów, próbujących przerzucić winę na kogoś innego. Byłem zły na dowódcę operacji morskich za to, że chciał obwinić jeszcze kogoś... nieważne kogo. Byłem wściekły na waszyngtońskie gierki. Dlatego podjąłem decyzję:

- Do diabła z tym. Biorę to na siebie.

A oto, co zeznałem:

- To ja byłem głównodowodzącym, który zdecydował, że właśnie tam będziemy uzupełniać paliwo - powiedziałem senatorom. - Jeśli uważacie państwo, że to była błędna decyzja, możecie mnie za nią pociągnąć do odpowiedzialności.

- Teraz przedstawię okoliczności, powiem państwu, co się stało i

dlaczego zdecydowałem właśnie tak.

- Tak, to prawda, że chciałem poprawić nasze stosunki z Jemenem, ale to nie dlatego postanowiliśmy tam tankować. Powody były operacyjne, a nie dyplomatyczne czy polityczne. To był jedyny port, który z praktycznego punktu widzenia nadawał się dla naszych okrętów.

- Marynarka ma swoje przepisy dotyczące poziomu paliwa na okrętach - wyjaśniłem. - Podczas normalnych operacji nie może on spaść poniżej 51 procent.

- Okręty opuszczające Morze Śródziemne mogłyby oczywiście uzupełniać paliwo w Zatoce Perskiej, ale w wielu przypadkach nie miały wystarczającej pojemności zbiorników, by dopłynąć tam, nie przekraczając limitu 51 procent. Oznaczało to, że musiały znaleźć port między Suezem i Zatoką. Możliwości były takie: Dżibuti, Erytrea, Dżedda i Aden. To wszystko. Dżibuti było kiedyś portem marynarki, ale teraz się już nie nadawało. Erytrea odpadała z powodu wojny z Etiopią. Dżedda odpadała, bo niedawno mieliśmy zamachy bombowe w Arabii Saudyjskiej. A więc nie było innego wyjścia.

- Dobrze przyjrzeliliśmy się Adenowi. Marynarka go sprawdziła, zweryfikowała i uznała za bezpieczny; odpowiedzialny za bezpieczeństwo był morski kontyngent CENTCOM-u. Podczas mojej kadencji jako głównodowodzącego tankowaliśmy tam 28 okrętów, wszystkie bez żadnych incydentów.

- Tak, skoro o tym mowa, nie można nie wspomnieć o ryzyku. W tej części świata nie ma miejsca, w którym można by tankować okręty bez żadnego ryzyka.

- Jeśli mamy tam wysyłać naszych ludzi, jeśli mają tam podróżować

ludzie zajmujący się wspieraniem bezpieczeństwa, jeśli mają tam przebywać siły naziemne, ćwiczące i szkolące się, jeśli mamy tam być non stop, reagując na operacje, w bardzo wrogim środowisku, walcząc z nieprzyjawnymi nam ludźmi, którzy wypatrują każdej sposobności, by nam zaszkodzić - będą się zdarzać sytuacje, w których nasi ludzie będą cierpieć.

Senatorzy opuścili salę zadowoleni z tego, co usłyszeli, i cała sprawa na tym się zakończyła.

Później przed komisją stanął Tommy Franks, który - co mu się liczy na plus - powiedział:

- Zgadzam się z decyzją generała Zinniego. Ja podjąłbym taką samą. Z wojskowego punktu widzenia była słuszna.

Doświadczenia z CENTCOM-u nauczyły mnie bardzo dużo o świecie i roli, jaką ma w nim do spełnienia nasz wspaniały kraj. Moglibyśmy wiele zmienić, gdybyśmy wypełniali nasze powinności, nie tylko jako ostatnie supermocarstwo, ale też jako ostatnia latarnia nadziei dla wielu ludzi na tej planecie.

Czterdzieści lat w piechocie morskiej nauczyło mnie, że jedynym miejscem, w którym warto być, jest sam środek areny. Człowiek przegrywa i popełnia błędy. Ale uświadamia też sobie, że to o wiele lepsze, niż siedzieć w łoży i krytykować tych, którzy mają odwagę samemu coś zrobić. A co jakiś czas można coś zmienić na lepsze.

Po 40 latach służby miałem niejakie trudności z przystosowaniem się do życia w cywilu i emerytury. Tęskniłem za Korpusem i areną, która dawała mi olbrzymie poczucie spełnienia. Nie zdawałem sobie sprawy, że czeka mnie zupełnie inny rodzaj służby.

## 7. Wojownik niosący pokój

Niełatwo było Tony'emu Zinniemu przystosować się do nowego życia po niemal 40 latach służby w Korpusie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Wiedział, że musi przejść do następnego etapu, jednak minęło kilka miesięcy, zanim ów etap rozpoczął się na dobre. Z początku - nie trwało to długo - Zinni próbował zwykłych zajęć dostępnych dla emerytowanych generałów, jak zasiadanie w radach nadzorczych, udzielanie konsultacji w zakresie wojskowości i polityki zagranicznej, pomaganie młodszym, wykładanie na wyższej uczelni czy w szkołach wojskowych, przemawianie.

Zajęcia te okazały się całkiem dochodowe, a także interesujące, niektóre przynosiły mu nawet satysfakcję. Mimo to Zinniemu czegoś brakowało. Nie brał już udziału w wielkich wydarzeniach, których przebieg śledził co dnia w telewizji. Przeniósł się z miejsca akcji na boczny tor.

Stacje telewizyjne proponowały mu stanowiska analityka i komentatora; były to całkiem kuszące oferty - miałby okazję trzymać rękę na pulsie akcji. Jednak odrzucił te propozycje, nie chcąc stać się wojskowym wypełniaczem porannego poniedziałkowego programu. Nie miał ochoty zostać gadającą głową - kolejnym emerytowanym generałem, który rozwodzi się z ekranu na temat stanu świata albo i wszechświata.

- Uważam, że kiedy przechodzi się na emeryturę, to się na nią przechodzi - mówi Zinni. - Trzeba iść naprzód, nie cofać się. Uznałem, że najgorsze, co mógłbym zrobić, to próbować na wpół pozostać generałem. Postanowiłem zostawić za sobą dawne życie i rozpocząć coś nowego.

Dzień, w którym schował na strychu swoje mundury - odkładał to kilka miesięcy - był jednym z najsmutniejszych w życiu Tony'ego Zinniego. Paradna szabla już podczas ceremonii odejścia generała na emeryturę przeszła na jego syna - oficera piechoty morskiej. Ból rozstania z symbolami długoletniej służby miał jednak wymiar narodzin - pomógł Zinniemu ostatecznie pogodzić się z tym, że musi rozpocząć nowe życie.

Mniej więcej w tym samym czasie jego długoletni, szanowany przyjaciel z piechoty morskiej - emerytowany generał broni Paul VanRiper, który osiedlił się wcześniej niedaleko nowego domu Zinniego w Wirginii - udzielił mu mądrej rady.

- Najlepiej poradzić sobie z czasem, dzieląc go na trzy mniej więcej równe części. Jedną trzecią trzeba poświęcić na spłacanie hipoteki, zarabianie na chleb, dom, rodzinę. Nie jesteś jeszcze taki stary - Zinni przeszedł na emeryturę przed sześćdziesiątką - więc poszukaj sobie pracy, która nie będzie ci przeszkadzała i będzie przyzwoicie opłacana.

- Drugą część przeznacz na pracę, którą kochasz, gdzie kwestia płacy nie będzie najważniejsza. W tej pracy także możesz zarabiać, jednak nie będzie to jej głównym celem. Czy zajęcia z tej drugiej grupy będą ci przynosić poważne pieniądze, czy nie, nie odrzucaj ich, ponieważ ta część twojego życia i pracy ma przynosić ci radość, inspirować cię, ekscytować. Przecież nie możesz się doczekać, aż zaczniesz robić coś takiego.

- Wreszcie trzecią część poświęć sprawom, które chciałbyś już odłożyć na półkę, ale wciąż do nich wracasz. Chodzi mi o pracę dla dobra innych, bez żadnego wynagrodzenia, którą wykonujesz z moralnego obowiązku. Czujesz się zobowiązany służyć ojczyźnie czy jej instytucjom, z którymi jesteś emocjonalnie związany - takim jak Korpus Piechoty

Morskiej.

Zinni starał się pójść dokładnie za radą przyjaciela.

Wypróbował najrozmaitszych „zwykłych” zajęć dostępnych emerytowanym generałom, zdołał znaleźć bardziej satysfakcjonujące go sposoby zarabiania na chleb. „Pierwszą jedną trzecią” prac już po niedługim czasie wykonywał na starannie dobieranych przez siebie stanowiskach w świecie biznesu, gdzie można było zachować absolutną uczciwość oraz trzeba było naprawdę wykorzystywać swój umysł i przewodzić ludziom.

Jeśli chodzi o „drugą jedną trzecią”, Zinni zaczął wykładać w renomowanym William and Mary College. Nie zarabiał tam zbyt dużo, jednak uwielbiał atmosferę owej słynnej uczelni, przebywanie wśród studentów, przekazywanie wiedzy i doświadczeń kolejnemu zdolnemu, wspaniałemu pokoleniu.

Na początku 2001 roku skontaktował się z Zinnim profesor Steven Spiegel - dyrektor Instytutu do spraw Konfliktów Globalnych i Współpracy (IGCC) stanowego uniwersytetu w San Diego w Kalifornii. IGCC prowadził serię sponsorowanych przez Departament Obrony seminariów, których celem było doprowadzanie do wspólnych spotkań ważnych osobistości z Bliskiego Wschodu i dyskusji na temat kontroli zbrojeń i bezpieczeństwa. Spiegel zaprosił Zinniego do udziału w tych seminariach jako konsultanta, a ten oczywiście przyjął propozycję. Była dla niego okazją powrotu do realnej pracy nad utrzymywaniem pokoju oraz rozwiązywaniem konfliktów - wszak w dużym stopniu właśnie tym się zajmował podczas drugiej połowy okresu swojej służby w piechocie morskiej. Wkrótce wiedział już, co byłoby dla niego wymarzoną

zajęciem.

Pod koniec czerwca Zinni wziął udział w pierwszym seminarium IGCC - w sumie zorganizowano ich kilka. To odbyło się w GarmischPartenkirchen w Niemczech. Zgromadziło naprawdę dużą grupę prominentnych postaci świata polityki, jak też polityków emerytowanych oraz naukowców z państw Bliskiego Wschodu. Tematyka była znana Zinniemu z minionych lat służby na stanowisku głównodowodzącego CENTCOM-u; nieraz miał już okazję dyskutować z przywódcami państw regionu, jednak stwierdził, że obecnie zyskuje jeszcze głębszy wgląd w niektóre sprawy.

Nie zaniedbywał i „trzeciej jednej trzeciej” - łączności z ludźmi i instytucjami, które wiele dla niego znaczyły, i dobrowolnej pracy na ich rzecz. Kiedy tylko nadarzała się sposobność, przemawiał albo prowadził zajęcia na Uniwersytecie Korpusu Piechoty Morskiej w Quantico, a także w okolicznych szkołach średnich.

Podział nowych zajęć na trzy części pozwolił Zinniemu sensownie zorganizować czas, jednak wciąż brakowało mu możliwości stałego wywierania pozytywnego wpływu na przebieg ważnych wydarzeń światowych. A nie chciał próbować tego robić za wszelką cenę, wtrącać się w nie swoje sprawy. Gdyby go potrzebowano i wezwano - był gotowy.

I wezwano go - raz, potem drugi.

Najpierw - latem 2001 roku. Zatelefonował dawny przyjaciel i szef Zinniego, Richard Armitage - teraz pełniący funkcję zastępcy sekretarza stanu.

- Czy byłbyś zainteresowany misją pokojową w Indonezji? - zapytał.

Kilka tygodni później inny wysoko postawiony urzędnik



Departamentu Stanu spytał Zinniego:

- Czy interesowałby cię udział w misji pokojowej na Bliskim Wschodzie?

## Mędracy

W Indonezji od 25 lat toczyła się krwawa batalia pomiędzy władzami a ruchem niepodległościowym w bogatej w ropę naftową prowincji Aceh na północnym krańcu Sumatry. Misję pokojową organizował Ośrodek Dialogu Humanitarnego im. Henriego Dunanta (HDC).

Instytucja ta, z siedzibą w Genewie, miała za cel realizację marzenia Henriego Dunanta - założyciela Czerwonego Krzyża - aby powstał ośrodek pomagania ludziom na całym świecie poprzez rozwiązywanie konfliktów i mediację. HDC zajmowało się szczególnie konfliktami wewnętrznymi w różnych państwach - nie międzynarodowymi. Tymi ostatnimi najskuteczniej zajmują się zwykle międzynarodowe organizacje, takie jak ONZ, bądź regionalne stowarzyszenia państw. Natomiast suwerenne państwa z reguły niespokojnie reagują na mieszanie się organizacji międzynarodowych w - zdaniem tych państw - ich wewnętrzne sprawy, takie jak powstania czy ruchy separatystyczne. Ten typ konfliktów zapewne najlepiej rozwiązują organizacje pozarządowe, które nie realizują własnych interesów ani ukrytych celów.

Akurat Indonezją i jej złożonymi problemami Zinni dotąd się nie zajmował, nie słyszał nawet wcześniej ani o Aceh, ani też o HDC, jednak chętnie podjął się zaproponowanej mu misji. Oznaczała dla niego coś interesującego. Mógł zyskać nowe spojrzenie na kwestie utrzymywania pokoju i rozwiązywania konfliktów, wzbogacić swoją wiedzę.

Oddajmy głos Zinniemu:

Już dawno temu nauczyłem się, że poszerzanie horyzontów ma wielkie znaczenie dla utrzymania pokoju, ponieważ - co wydaje się paradoksalne - każdy konflikt jest niepowtarzalny. Niezależnie od posiadanego doświadczenia za każdym razem trzeba brać pod uwagę wyjątkowe wymagania sytuacji. Trzeba uruchomić jedyny w swoim rodzaju proces. Owszem, można przywołać wcześniejsze doświadczenia, zastosować odpowiednio zmodyfikowane wcześniejsze rozwiązania, jednak nie ma uniwersalnych modeli, zasad czy środków, które z pewnością pomogą osiągnąć zamierzone rezultaty.

Wielu ludzi myśli, że specjalista będzie od razu wiedział, jak postępować, z góry przewidując skutki określonych działań. Doświadczenie nauczyło mnie, że tak nie jest. Nie można po prostu zastosować choćby jednego z modeli, nawet stosownie zmodyfikowanego. Cały proces przebiega w zupełnie inny sposób. Mianowicie zyskiwanie kolejnych doświadczeń powiększa wiedzę człowieka i jego zrozumienie możliwości rozwoju danej sytuacji, ale umożliwia to raczej łączenie, mieszanie, dopasowywanie, modyfikowanie znanych sobie rozwiązań, aby odpowiednio działać w obliczu nowego, unikalnego konfliktu. Doświadczenie nie dostarcza uniwersalnych odpowiedzi. Raczej uczy kreatywności.

Zinni omówił założenia misji na spotkaniu z Armitage'em oraz Karen Brooks - członkinią Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Dowiedział się, że Departament Stanu oraz Rada obmyśliły nowy pomysł prowadzenia negocjacji - zorganizowanie grupy „Mędrców” - ważnych i poważanych specjalistów od spraw międzynarodowych, doświadczonych

dyplomatów i wojskowych, którzy nadzorowaliby proces negocjacji, doradzając wszystkim stronom.

Podczas twardych negocjacji zawsze dzieje się tak, że mediatorzy zostają w nie wciągnięci - zaczynają być postrzegani jako sprzymierzeńcy jednej ze stron konfliktu lub nawet obydwu. Czasem zbyt mocno angażują się w sporne kwestie, aby pozostawać ponad gorącymi wymianami zdań. Niezależnie od tego, jak bardzo mediatorzy starają się zachować i neutralność, i obiektywne spojrzenie, obie strony konfliktu przelewają na nich swoje obawy i nadzieje, atakują ich i krytykują. Tak jest zawsze.

Zadaniem Mędrców nie miała być zmiana tej sytuacji, ale doradztwo. Mediatorzy, jeśli nawet są atakowani ze wszystkich stron, muszą żyć z tym dalej, zakasać rękawy i podwinąć nogawki, wejść w błoto i wykonać swoją pracę. Mędracy mieli natomiast stać ponad tym wszystkim i odpowiadać na prośby zarówno każdej ze stron konfliktu, jak i mediatorów, o poradę, zalecenia, specjalistyczne rozeznanie czy interwencję.

HDC ogromnie spodobał się ten pomysł.

Wtedy wybrano trzech Mędrców do udziału w misji pokojowej w Indonezji: Surina Pitsuwana - emerytowanego ministra spraw zagranicznych Tajlandi, Budamira Loncura - emerytowanego ministra spraw zagranicznych Jugosławii, oraz lorda Erica Avebury'ego - członka brytyjskiej Izby Lordów. Potrzebny był czwarty i chciano, aby został nim amerykański wojskowy z doświadczeniem w operacjach pokojowych, który miałby wiedzę na takie tematy, jak śledzenie mechanizmów oraz działań obserwatorów w miejscu konfliktu, a także potrafiłby skutecznie rozmawiać z indonezyjską generalicją - powszechnie uważano, że to

właśnie siły zbrojne Indonezji najtrudniej będzie skłonić do uczestnictwa w procesie pokojowym. Wybór Zinniego nasuwał się automatycznie.

- Doskonale! - powiedział Zinni Armitage'owi i Brooks. - Właśnie czymś takim chcę się zajmować. - Zgodził się wziąć udział w misji pod techniczną egidą Departamentu Stanu, jednak pod warunkiem że będzie to robił za darmo, jako osoba prywatna, współpracująca z HDC. W ten sposób zapewnił sobie niezależność.

Machina ruszyła.

Najpierw Zinni musiał zapoznać się z raportami Departamentu Obrony, szczegółowo opisującymi historię konfliktu, z danymi wywiadu na temat bieżącej sytuacji, z opisami stanu negocjacji, stanowiska Stanów Zjednoczonych, wiadomościami o Ośrodku im. Henriego Dunanta.

Generał czytał to wszystko, jak również wszelkie publikacje na temat prowincji Aceh, jakie mógł znaleźć w Internecie, księgarniach i bibliotekach. Był zaskoczony wielką ilością dostępnych informacji.

Indonezja to niezwykle kraj. Po pierwsze, jest naprawdę duża. Leży na tysiącach wysp i wysepek; niektóre z nich należą do największych wysp świata. Indonezyjskie wyspy ciągną się na przestrzeni tysięcy kilometrów, szczególnie w kierunku równoleżnikowym, należąc do różnych stref czasowych. Kraj jest zróżnicowany pod względem religijnym - przeważają muzułmanie, raczej umiarkowani, jest też jednak znaczna liczba buddystów. Wszystkie te czynniki sprawiają, że bardzo trudno zarządzać Indonezją jako państwem. Do tego dochodzi korupcja, powtarzające się dyktatury, najrozmaitsze kwestie polityczne, które dzielą elity oraz społeczeństwo, ogólnie niespokojna atmosfera. Ponadto w odległych prowincjach kraju wybuchają konflikty separatystyczne - na

przykład w Timorze Wschodnim (który ostatnio stał się niepodległym państwem), w Papui-Nowej Gwinei i w Aceh. Wszystko razem tworzy obraz kraju na krawędzi katastrofy.

Pomimo panującego w Indonezji zamieszania i całej złożoności zagadnień miejscowa scena polityczna jest zaskakująco nieskomplikowana - mniej więcej równo podzielona pomiędzy zwolenników twardego kursu a umiarkowanych. Podejście umiarkowanych do ruchów separatystycznych było takie, aby zakończyć konflikty na drodze negocjacji pokojowych, których ostatecznym skutkiem byłoby zagwarantowanie prowincjom takim jak Aceh autonomii, pewnego stopnia niezależności od rządu centralnego. Twardogłowi - w tym znaczna część wojskowych\*[\* Choć nawet pośród indonezyjskich wojskowych jest pewien procent umiarkowanych.] - na nic takiego nie chcieli pozwolić i woleli wzmóc działania militarne, aby raz na zawsze zakończyć konflikty. Kiedy Zinni zapoznawał się z tematem, operacje wojskowe i policyjne będące odpowiedzią na powstanie w Aceh zdążyły już zamienić tę piękną i bogatą prowincję w strefę działań wojennych.

Walkom o niepodległość przewodził Ruch Wyzwolenia Aceh, zwany GAM - w skrócie od miejscowej nazwy. Podlegał on rządowi emigracyjnemu, mającemu siedzibę w Sztokholmie. Ostatnim etapem rozwoju sytuacji było osiągnięcie przez rząd emigracyjny Aceh oraz rząd Indonezji zgody na negocjacje, z HDC w roli mediatora.

Stany Zjednoczone zajęły w tych negocjacjach ostrożne umiarkowane stanowisko - to znaczy popierały rozwiązanie konfliktu w ramach państwa indonezyjskiego. Z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych należało zdjąć ze stołu rokowań kwestię niepodległości

Aceh. USA nie chciały wspierać podziału Indonezji. Jednocześnie skierowały do rządu w Dżakarcie zdecydowane przesłanie: „Musicie lepiej traktować mieszkańców Aceh. Ich sytuacja jest szczególna i wymagają specjalnego traktowania. Musicie znaleźć rozsądny sposób na zapewnienie im go”.

Amerykańskie stanowisko miało kilka niebłahych powodów, z których najważniejszy był jeden: Indonezja to kruchy organizm. Stanów Zjednoczonych nie cieszyła perspektywa jego rozpadu na konstelację potencjalnie niebędących w stanie samodzielnie funkcjonować państw. Obawiano się skutków ich upadku albo rozwoju w ich słabych organizmach silnych ruchów ekstremistycznych.

Drugi pod względem ważności powód był równie praktyczny jak pierwszy - ruchy niepodległościowe prowokują rządy do zaostrzenia kursu, co w niemal nieunikniony sposób kończy się rozlewem krwi. Jeśli można znaleźć sposoby na zmniejszenie aspiracji niepodległościowych, przy jednoczesnym zapewnieniu separatystom autonomii i związanych z nią korzyści materialnych podobnych do tych, jakie przyniosłaby niepodległość, a przy tym złagodzić stanowisko rządu centralnego, wszyscy na tym skorzystają. Jednak droga do osiągnięcia takiego stanu rzeczy nie jest łatwa i wiąże się z wątpliwościami różnorodnej natury.

Zadaniem Zinniego nie było wcielanie w życie amerykańskiego stanowiska w sprawie konfliktu wokół prowincji Aceh, nie miał też wspierać żadnej ze stron. Jego celem było natomiast znalezienie sposobu na zawarcie pokoju.

Kiedy podjąłem współpracę z HDC, od razu jasno zapowiedziałem

wszystkim biorącym udział w negocjacjach frakcjom: Nie będę was osądzał, nie taka jest moja rola. Moim zadaniem jest pomóc wam pokojowo rozwiązać ten konflikt. Stanowisko amerykańskiego rządu jest jasne, jednak nie reprezentuję go tutaj - nie zlecono mi doprowadzenia do rozwoju sytuacji zgodnie z zapatrywaniami rządu USA. Nie reprezentuję żadnego stanowiska.

Dawno temu nauczyłem się, że negocjatorowi nie wolno osądzać.

W dalszych miesiącach tego samego roku, kiedy zostałem mediatorem w sporze izraelsko-palestyńskim, każda ze stron kazała mi natychmiast zająć stanowisko. Absolutnie nie mogłem tego zrobić.

Czyja racja jest ważniejsza? Izraelczyków czy Palestyńczyków? Czyje stanowisko jest bardziej usprawiedliwione? Który naród bardziej cierpiał? W jaki sposób można by to zmierzyć? A nawet gdyby można było, jak można by przekuć ocenę sytuacji w trwałe, pokojowe rozwiązanie, oparte na idealnej równowadze racji, zysków i strat?

Mediator może doprowadzić do zawarcia pokoju, kiedy obie strony są w stanie osiągnąć wspólne stanowisko i wprowadzić je w życie. Nigdy nie uda się osiągnąć pokoju poprzez próby określenia, po czyjej stronie jest „większa” racja, czyje spojrzenie jest bardziej „uprawnione”. Ważne, aby głośno mówić o tym, jakie działania są nie do zaakceptowania, jednak zadaniem negocjatora jest pomóc stronom osiągnąć trwałe rozwiązanie, z którym wszyscy będą w stanie żyć przez dłuższy czas.

Kiedy więc premier Izraela Ariel Szaron spytał mnie:

- Jak ocenia pan tę kwestię? Co jest dla pana ważne w aspekcie, o którym mówimy?

Odparłem:

- Nie oceniam.

Szaron umilkł. Nie spodobała mu się moja odpowiedź.

- Nie osądzam - kontynuowałem. - Są rzeczy, których nie akceptuję, takie jak zamachy terrorystyczne, w których giną niewinni ludzie. To odrzucam. I potępiam. Jednak w procesie negocjacji mediator nie może pozwolić sobie na formułowanie osądów, ponieważ postawi go to w niewłaściwym położeniu. Jestem tu po to, aby ułatwić obu stronom znalezienie dającego się zastosować w praktyce rozwiązania sytuacji. Takiego, z którym mogłyby żyć obie strony, a potem ich dzieci.

Oczywiście trudno, aby w myśli człowieka nie wkradły się osądy - to nieuniknione. Jednak trzeba im się opierać. Należy być wymagającym wobec siebie samego i powstrzymać się od zajmowania stanowiska wynikającego z własnych osądów.

Nawet kiedy nie formułuje się sądów, jest się atakowanym przez obie strony.

W połowie czerwca Zinni poleciał do Genewy, aby zapoznać się z pracownikami HDC i po raz pierwszy spotkać się z przedstawicielami rządu Indonezji oraz GAM.

Ośrodek mieścił się w eleganckim domu nad samym jeziorem. Był to dawny dom Henriego Dunanta. Organizacja była prawdziwie międzynarodowa, utrzymywała się z prywatnych datków napływających z kilku krajów. HDC zatrudniało na stałe niewiele osób - około 20, przeważnie młodych, z całego świata. Dyrektorem oraz głównym negocjatorem HDC był Martin Griffiths, dawny pracownik brytyjskiej służby zagranicznej. Współpracował wcześniej z ONZ w Afryce i innych rejonach świata. Miał duże doświadczenie w negocjacjach pokojowych i



misjach dyplomatycznych. Jego zastępcą był Kanadyjczyk Andrew Marshall. Od wielu lat pracował w organizacjach pozarządowych oraz agendach ONZ w państwach Trzeciego Świata. Zinni był pod wrażeniem obu tych postaci.

HDC sprowadziło także innych ekspertów od rozwiązywania konfliktów i negocjacji. Miało także nowatorską ideę: zbierało „społeczeństwo obywatelskie”, aby „przemawiało w imieniu obywateli”.

Usłyszawszy to, przedstawiciele rządu oznajmili: „Chwileczkę, to my przemawiamy w imieniu obywateli”.

Negocjatorzy z GAM zawtórowali: „Absolutnie nie. To my przemawiamy w imieniu ludzi”.

Wówczas mediatorzy z HDC odpowiedzieli: „Dlaczego nie pozwolić ludziom mówić samym za siebie?”

W oparciu o ten pomysł HDC skontaktowało się ze starszyzną wiosek, lokalnymi przywódcami, najrozmaitszymi prominentnymi postaciami miejscowej społeczności, aby uzyskać ich opinie. Nieraz to, co mieli do powiedzenia ludzie, szokowało wszystkich. Bardzo często z gniewem wypowiadali się zarówno o władzach, jak i o GAM, uważając, że żadna ze stron nie postępuje z nimi sprawiedliwie. To właśnie silnie negatywne nastawienie mieszkańców Aceh do obu stron zasiadających przy stole rokowań pomogło im w końcu osiągnąć zgodę.

Gdy Zinni przybył do Genewy, dowiedział się, że negocjacje na razie okazały się trudne. Każda ze stron konfliktu uważała, że bilans ewentualnego porozumienia będzie dla niej niekorzystny.

Dla przedstawicieli rządu - przyjechali umiarkowani - sytuacja była nadzwyczaj ryzykowna. Jeśli przyznają prowincji Aceh autonomię i spór

ucichnie, nie będzie źle. Jednak jeżeli konflikt i tak będzie trwał, jeśli negocjacje zakończą się fiaskiem lub jeśli autonomia stanie się precedensem dla innych prowincji, które w następstwie wysuną żądania podobnego statusu, jaki uzyska Aceh, wówczas rząd popadnie w jeszcze większe kłopoty, z których nie będzie mógł się wydobyć.

Dla GAM, który od dziesięcioleci walczył o pełną niepodległość Aceh, autonomia oznaczała poważny kryzys. Zaakceptowanie jej równałoby się wyrzeczeniu się walki o niepodległość.

Negocjacje dodatkowo komplikowało zróżnicowanie opinii w gronie przedstawicieli każdej ze stron.

Mimo wszelkich zaobserwowanych problemów Zinni wyszedł z owego pierwszego spotkania bardzo podekscytowany. To może się udać, myślał. Obydwu stronom naprawdę zależy na znalezieniu pokojowego rozwiązania, a wspaniali ludzie z HDC są specjalistami najwyższej próby oraz są zdeterminowani do takiego rozwiązania doprowadzić.

Generał był gotów brać udział w następnych spotkaniach - ale tymczasem kolejna rozmowa telefoniczna znowu odmieniła bieg jego życia. Chwilowo musiał odłożyć kwestię Aceh... chociaż miał wrócić do niej później.

### **Bliskowschodni proces pokojowy**

Tym razem zadzwonił asystent sekretarza stanu Bili Burns, znajomy Zinniego z czasów jego służby w CENTCOM-ie. Było to kilka tygodni po powrocie generała z Genewy.

- Czy moglibyśmy zjeść razem lunch i omówić pewne rodzące się przedsięwzięcie? - spytał Burns.

Zinni rzecz jasna zgodził się bez wahania.

Tom Clancy: W dalszym ciągu tej opowieści głos oddajemy Tony'emu Zinniemu.

Burns znał arabski i był ekspertem do spraw Bliskiego Wschodu. Kierował w Departamencie Stanu Biurem do spraw Bliskowschodnich. W latach mojej służby w CENTCOM-ie pełnił funkcję ambasadora Stanów Zjednoczonych w Jordanii. Był jednym z naszych najlepszych ambasadorów w tym regionie świata; zarówno król Husajn, jak i jego następca, król Abdullah, darzyli Burnsa wielkim zaufaniem.

Lunch z Billym Burnsem zjedliśmy 27 sierpnia 2001 roku w jednej z waszyngtońskich restauracji. Tam mój znajomy rzucił sensacyjną wiadomość: administracja Busha zamierzała ponownie zaangażować się w bliskowschodni proces pokojowy - wbrew powszechnie uznawanym opiniom, że nie przyniosłoby to nic dobrego.

Było wiadomo, że administracja Busha chce raczej zdystansować się od nierozwiązywalnego konfliktu bliskowschodniego. W 2000 roku fiaskiem zakończyły się prowadzone pod egidą Clintona negocjacje w Camp David pomiędzy przywódcą palestyńskim Jaserem Arafatem a premierem Izraela Ehudem Barakiem. Nikt nie chciał powtórzyć tej porażki... ani ponosić fatalnych politycznych konsekwencji, jakie pociągnęłyby za sobą.

Po załamaniu się rokowań w Camp David sytuacja na Bliskim Wschodzie radykalnie się pogorszyła. Barak utracił fotel premiera i zastąpił go Ariel Szaron. Clintonowi nie udało się w ostatnich dniach prezydentury doprowadzić do ponownego rozpoczęcia rozmów pokojowych. We wrześniu 2000 roku rozpoczęła się druga intifada - tym samym na nowo rozpętana została spirala przemocy, jaka wstrząsała

Bliskim Wschodem przed rozpoczęciem się pod koniec lat 90. serii rozmów. Przyniosły one tylko niespełnione nadzieje.

Podczas rozmowy z Burnsem zacząłem rozumieć, że stanowisko prezydenta w istocie wiele się nie zmieniło - wciąż pozostawał, ze zrozumiałych względów, bardzo ostrożny. Inspiratorem nowej inicjatywy okazał się sekretarz stanu Colin Powell. Wyraźnie dostrzegął konieczność ponownego zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w kwestię bliskowschodnią. Inicjatywę Powella poparło wielu doświadczonych urzędników Departamentu Stanu - między innymi Bili Burns.

Sekretarz Powell spotkał się w tej sprawie z prezydentem, a ten wyraził zgodę na ostrożne ruchy na bardzo niskim szczeblu. (Działo się to zaledwie dwa tygodnie przed atakami z 11 września, które zmieniły wszystko).

Poprzednio Stany Zjednoczone wysyłały jako mediatorów pomiędzy Izraelczykami a Palestyńczykami specjalnych emisariuszy wysokiego szczebla, nagłaśniając całą sprawę. Towarzyszyła temu wzmożona uwaga środków masowego przekazu i duże oczekiwania. Po załamaniu się rozmów zaaranżowanych przez Clintona do Izraela pojechał z planem politycznym były senator George Mitchell, po nim wybrał się tam dyrektor CIA George Tenet z planem dotyczącym kwestii bezpieczeństwa.

Celem Teneta było sprowadzenie sytuacji do stanu sprzed września 2000 roku, to znaczy początku drugiej intifady. Izraelczycy mieli wycofać się ze wszystkich okupowanych od tego czasu ziem i przenieść punkty kontrolne, a palestyńscy robotnicy mieli być z powrotem wpuszczani do Izraela. Ze swojej strony Palestyńczycy mieli poskromić ekstremistów, zaarrestować ich niebezpiecznych przedstawicieli i skonfiskować broń.

Kiedy już sytuacja wróciłaby do stanu z września 2000 roku, strony sporu mogłyby podjąć się realizacji bardziej politycznego planu Mitchella, który miał w założeniu doprowadzić do budowy wzajemnego zaufania między nimi oraz postępu w zakresie rozwiązań politycznych, takich jak zamrożenie rozrostu osiedli żydowskich budowanych na Zachodnim Brzegu Jordanu oraz w Gazie. Wreszcie strony konfliktu mogłyby powrócić do kwestii zasadniczych, takich jak status Jerozolimy, prawo powrotu, ostateczny status osiedli - wszystkiego tego, o czym rozmawiali w Camp David Clinton, Barak i Arafat, nie osiągając porozumienia.

Zarówno Izraelczycy, jak Palestyńczycy „w zasadzie zgodzili się” na nowe propozycje, jednak wprowadzenie ich w życie spełzło na niczym. Wkrótce dowiedziałem się, że choćby wytapetowało się ściany porozumieniami, wprowadzenie ich w życie to zupełnie nowa kwestia - obie strony ignorowały zawarte umowy.

Tym razem sprawa miała być załatwiana delikatniej i mniej oficjalnie. Nie miał być wyznaczony żaden specjalny wysłannik. Ambasador Burns zamierzał prowadzić misję mediacyjną bez rozgłosu, nie ruszając się z Departamentu Stanu. Ponieważ miał na głowie cały region, nie tylko spór izraelsko-palestyński, szukał kogoś znanego sobie i zaufanego, kto miałby odpowiednią wiedzę, doświadczenie, rangę i kontakty osobiste na Bliskim Wschodzie; kto stałby się jego półoficjalnym asystentem, blisko z nim współpracował i samodzielnie działał, kiedy on będzie musiał zajmować się innymi sprawami. Ta osoba byłaby jego niepełnoetatową prawą ręką, jej zadaniem miało być przejmowanie inicjatywy i nadzorowanie procesu negocjacji w czasie, gdy Burns będzie niedostępny.

Burns podkreślił, że celem misji jest ponowne zainicjowanie procesu pokojowego, ale bez rozgłosu. Wszyscy już wiedzieli, co trzeba robić, plany Mitchella i Teneta wyrażały to na piśmie (podobnie jak różne porozumienia, niedoszłe porozumienia oraz wnioski wyrażane już na spotkaniach w Madrycie, Oslo i innych miejscach). Nie trzeba więc było tworzyć kolejnego wielkiego planu ani przygotowywać jeszcze jednej wielkiej operacji. Dysponowano już wszystkim, co potrzebne. Należało teraz nakłonić strony do wprowadzenia wszystkich tych planów w życie.

Burns i Powell chcieli wysłać na Bliski Wschód kilka osób, które ustaliłyby z obiema stronami konfliktu, jakoprzeć się na już istniejących porozumieniach, co zrobić, żeby je zrealizować. Amerykańscy wysłannicy mieli doprowadzić do wznowienia procesu pokojowego, wprowadzić go na właściwe tory oraz nadzorować.

Ode mnie Burns oczekiwał chyba uruchomienia całej inicjatywy. Potem, jeśli okazałoby się, że do podpisania nowych porozumień lub z jakiegokolwiek innego powodu potrzeba kogoś wyżej postawionego, zamierzał wkroczyć do akcji i przejąć pałeczkę. A kiedy nie będzie mógł być obecny, a potrzebny będzie ktoś na tyle poważny, aby pokierować rozmowami, miałem zastępować go ja.

- Czy chcesz podjąć się tego zadania? - spytał Burns.

Byłem podekscytowany. To dopiero była praca warta zaangażowania! Nawet jeśli nic trwałego nie miało z niego wyniknąć, co było zresztą nader prawdopodobne.

- Jasne! - odparłem. - Nie znam wprawdzie dobrze wszystkich aspektów konfliktu bliskowschodniego ani też wszystkich związanych z nim postaci, jednak bardzo chciałbym się tym zająć.

- A ja bardzo chciałbym, żebyś się tym zajął - zawtórował Burns. - Zobaczymy, co da się zrobić, żeby sprawa ruszyła. Mam na myśli zorganizowanie tej niecodziennej misji w Departamencie Stanu. Będziemy musieli obmyślić jakieś reguły prawne, w które ujmemy nasze porozumienie.

- Słuchaj, mam na ten temat coś do powiedzenia - wtrąciłem. - Po pierwsze, chcę to robić za darmo. Dzięki temu będę mógł zachować pewien stopień niezależności. Chcę być w stanie robić to, co będę musiał robić, mówić, co będę musiał mówić, i nie czuć przy tym, że ktoś oskarży mnie o robienie tego dla zysku. Po drugie - kontynuowałem - nie chcę żadnego tytułu. Nie chcę być nazywany wysłannikiem ani kimkolwiek specjalnym. Po trzecie, powinniśmy wystrzegać się jakiegokolwiek rozgłosu. Nie powinno się za dużo mówić o mojej misji. Jestem tylko specjalnym nieetatowym asystentem, który akurat z tobą współpracuje. Zróbmy to, ale bez zapłaty, bez tytułów, prasy, przyciągania uwagi mediów, bez rozgłaszania, że robimy wielką rzecz.

Burns zgodził się, że tak będzie najlepiej.

- Przekażę twoje spojrzenie na sprawę sekretarzowi Powellowi - odparł. - Zobaczymy, co powie.

- Doskonale - zakończyłem.

Mijały dni. Niecierpliwie czekałem na telefon od Billa Burnsa, po którym miała nastąpić cała reszta. Nie mogłem się doczekać informacji o tym, jaka będzie moja faktyczna funkcja i co konkretnie będę miał robić - wciąż nie było to dla mnie jasne.

Czekając, robiłem to, co zawsze robię, kiedy biorę się do czegoś nowego - czytałem wszystko, co tylko mogłem, na temat konfliktu

izraelsko-palestyńskiego.

W tym samym okresie współpracowałem z ludźmi Burnsa nad oficjalnym nawiązaniem współpracy pomiędzy Departamentem Stanu a mną. Prawnicy spisali umowę. Okazało się, że nawet nieopłacany pracownik jest związany zasadami postępowania w razie wystąpienia konfliktu interesów oraz regułami etyki, które słusznie ograniczały moje możliwości ewentualnego pójścia zupełnie inną niż oczekiwana drogą.

Muszę przyznać, że moja odmowa zapłaty nie wynikała wyłącznie z altruistycznych pobudek, takich jak pragnienie niezależności czy nadzieja zostania wspaniałym sługą narodu - choć oba te motywy były dla mnie ważne. Miała być to niepełnoetatowa praca, a wykonywałem w tym czasie inną, zarobkową. Gdybym przyjął zapłatę od Departamentu Stanu, musiałbym porzucić inne zajmowane podówczas stanowiska. Zasady etyki i zapobiegania konfliktowi interesów i tak nie pozwalały mi wykonywać określonych prac; wszystko, co robiłem, musiało zostać sprawdzone i zaakceptowane przez rząd oraz Departament Stanu. Czy było warto przez to przechodzić? Zdecydowanie tak.

Dwa tygodnie po moim wstępnym spotkaniu z Billem Burnsem, 11 września, świat gwałtownie się zmienił.

Po zamachach terrorystycznych na Nowy Jork i Waszyngton administracja Busha spojrzała na nowo między innymi na kwestię ponownego zaangażowania się w proces pokojowy na Bliskim Wschodzie. Według Burnsa zmiany następowały coraz szybciej. Nie mógł zdradzać mi szczegółów, jednak natura planowanej misji pokojowej wkrótce nie przypominała już tej, o jakiej dyskutowaliśmy. Wyczuwałem, że i przeznaczone dla mnie zadania stawały się inne.



Dwudziestego trzeciego października byłem na kilku spotkaniach w Departamencie Stanu, gdzie zdano mi sprawę z tła bliskowschodniego procesu pokojowego oraz sytuacji bieżącej; poinstruowano mnie też, abym był gotowy do błyskawicznej podróży, kiedy tylko plan mojej misji zostanie ugruntowany. Nie było dla mnie jasne, na czym miało owo ugruntowanie polegać.

Dziesiątego listopada 2001 roku prezydent George W. Bush wygłosił historyczne przemówienie na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, w którym opowiedział się za utworzeniem państwa palestyńskiego. Po raz pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych zdecydował się na taki krok. Powiedział zebranim delegatom, że celem procesu pokojowego jest, aby współistniały i sąsiadowały ze sobą dwa niepodległe państwa, Izrael i Palestyna. Było to bardzo kontrowersyjne, śmiałe stanowisko.

Byłem pod wielkim wrażeniem. Nasza nowa misja, w której miałem wkrótce wziąć udział, zapowiadała się nieporównanie poważniej, niż początkowo sądziłem.

Dziewiętnastego listopada sekretarz Powell wygłosił na uniwersytecie w Louisville ważne przemówienie, które dodało szczegółów do zarysowanej przez prezydenta wizji.

Na krótko przedtem Billy Burns zadzwonił do mnie i zapowiedział, że wystąpienie Powella będzie przygotowaniem do naszego rychłego wyjazdu do Izraela; choć wciąż nie mógł mi powiedzieć, co ów wyjazd będzie oznaczał dla mnie ani co konkretnie będziemy robić... Nie, nie trzymał tego przede mną w tajemnicy; naprawdę sam jeszcze nie wiedział. Wszystko, co wiedział Burns - czy ktokolwiek inny - to to, że przemówienie Powella będzie sygnałem rozpoczęcia działań - choć za pięć

dwunasta nikt wciąż nie wiedział jakich.

Dzień przed przemówieniem sekretarza Burns przesłał mi faksem jego tekst, z dopiskiem: „To nie jest ostateczna wersja - ale bliska ostatecznej”.

Przeczytałem otrzymany tekst i omal nie spadłem z krzesła.

- A niech to! - zawołałem sam do siebie. - Przecież tu jest spory kawałek o mnie; i mam nowy, ważny tytuł! Jestem specjalnym doradcą sekretarza stanu do spraw Bliskiego Wschodu! Tyle z naszych nadziei przeprowadzenia całej misji po cichu. Tak jak się zgodziliśmy - bez tytułu i bez rozgłosu! (W jednej sprawie dotrzykali słowa - nie płacili mi).

Nagle, z przyczyn praktycznych, miałem stać się kolejnym specjalnym wysłannikiem. Powell wyniósł moje stanowisko na poziom, na którym nie chciałem się znaleźć - nie dlatego, żebym był taki skromny, tylko dlatego, że nie byłem przekonany, że mi się uda (późniejsze wydarzenia dowiodły, że nie była to opinia bezpodstawna). Z drugiej strony, byłem podekscytowany, widząc że poziom zaangażowania amerykańskiej administracji w sprawę pokoju na Bliskim Wschodzie znacznie wzrósł. Naprawdę podobało mi się, że sekretarz Powell ukazał coś, co nazwano ścieżką: mieliśmy spróbować wcielić w życie plany Teneta i Mitchella, co miało - mieliśmy nadzieję - doprowadzić do osiągnięcia ostatecznej zgody, a wreszcie do powstania państwa palestyńskiego. Mieliśmy przed sobą zarysowany horyzont. Perspektywa procesu pokojowego zaczynała wyglądać obiecująco.

Przemówienie wywołało wielkie podniecenie w świecie dziennikarskim. Mój telefon zaczął dzwonić raz po raz, a ja nie miałem nikomu nic do powiedzenia. Nie znałem odpowiedzi na pytania prasy.

Jakie będą moje zadania? - myślałem.

Dwudziestego pierwszego listopada przybyłem do Departamentu Stanu po dalsze dane oraz w związku z formalnymi przygotowaniem do mojej wstępnej podróży, zaplanowanej na 25 listopada, jednak najważniejszym punktem mojej wizyty w Departamencie Stanu był odbiór poleceń sekretarza Powella i jego zastępcy - Armitage'a. Dawali mi wielką swobodę:

Moim zadaniem było doprowadzenie na miejscu do natychmiastowego zawieszenia broni, a potem wcielenia w życie planów Teneta oraz Mitchella. Miały zostać przede wszystkim wykonane w rzeczywistości; nie chodziło o uzyskanie formalnej zgody ani podpisów stron. Jak miałem to wszystko osiągnąć, zależało tylko ode mnie. Miałem ruszać głową i wykazywać inicjatywę.

- Nie chcemy ponieść porażki - powiedział mi sekretarz Powell. - Chcemy odnieść sukces. Poleci pan tam i doprowadzi do niego, podejmując decyzje na podstawie własnych osądów. Ma pan ogromną swobodę działania. Niech pan jednak nie waha się dzwonić bezpośrednio do mnie, jeśli będzie pan czegokolwiek potrzebował.

Cieszyłem się, że sekretarz stanu wyraża tak daleko idące zaufanie do mojej osoby. Jednak przyjęcie na siebie tego rodzaju odpowiedzialności zawsze powoduje napięcie. Zdawałem sobie sprawę, jakie brzemie spoczęło na moich barkach.

Billy Burns miał lecieć ze mną i towarzyszyć mi na początku podróży. Na mojego stałego asystenta został natomiast wybrany Aaron Miller. Był to świetny wybór.

Miller był specjalistą Departamentu Stanu do spraw

bliskowschodniego procesu pokojowego. Przed wieloma laty podjął pracę w Departamencie jako historyk, jednak z czasem proces pokojowy pochłonął go całkowicie. Stał się jego życiem. Osobistym celem Millera stało się zaprowadzenie pokoju w regionie Bliskiego Wschodu. Zdążył już pomagać jako specjalista wszystkim następującym po sobie sekretarzom stanu i prezydentom, stając się z czasem wewnętrzną pamięcią rządu Stanów Zjednoczonych na temat kwestii izraelsko-palestyńskiej\*[\* Ostatnio wystąpił z Departamentu Stanu; kieruje teraz organizacją Seeds of Peace (Nasiona Pokoju), która zajmuje się zbliżaniem do siebie palestyńskich i izraelskich dzieci i młodzieży.]

Zna wszystkich i wszyscy znają jego. Orientuje się we wszelkich aspektach problemu, wszystkich wydarzeniach, wie o każdej zdradzie. Nic, co dzieje się na Bliskim Wschodzie, nie jest nieznane Aaronowi Millerowi.

Kiedy znaleźliśmy się w Izraelu, Miller brał udział we wszystkim, co robiłem, i był mi całkowicie oddany, w żaden sposób nie próbując narzucić mi swojego sposobu myślenia ani działania. Dostarczał mi wiedzy, porad, pomocy, pomysłów, a następnie zachęcał, abym dodał do tego własną wiedzę i myślenie.

- Potrzebujemy świeżego powiewu myśli - wyjaśniał. - Mnóstwo ludzi zajmujących się tym, co my, uważa, że wie, jak to robić, i nigdy nie przepuszczą okazji podzielenia się swoją wiedzą. Ale prawda jest taka, że żadne pomysły jeszcze się tu nie sprawdziły. Więc niech pan wypowiada własne pomysły wedle woli i wymyśli coś nowego.

Staliśmy się z Aaronem bardzo sobie bliscy, tworząc wspaniały zespół dwóch różnych osobowości. Miller jest człowiekiem

impulsywnym, kipiącym nerwową energią. Ja raczej nie jestem swobodny czy beztroski, ale w pracy staram się być bardziej zrelaksowany i zachowywać dobry humor. Aaron rozpoczął karierę jako liberalny naukowiec, zanim się poznaliśmy, nigdy nie miał do czynienia z wojskowym. Byłem dla niego jak istota z innego świata. Jednak uznał to za fascynujące i ja uznałem jego za fascynującego człowieka, stąd zdołaliśmy się nawzajem uzupełniać. Kiedy miał dosyć, pomagałem mu się pozbierać; kiedy ja miałem dość - on pomagał mnie. W rezultacie nasza przyjaźń bardzo pomogła nam w pracy.

Wczesnym rankiem 21 listopada sekretarz Powell, Bili Burns i ja pojechaliśmy do Białego Domu spotkać się z prezydentem Bushem, wiceprezydentem Cheneyem i doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego Condoleezzą Rice.

Kiedy prezydent zapytał mnie o moją misję - w zasadzie po to, aby sprawdzić, czy rozumiem, czego się ode mnie oczekuje - powiedziałem mu, że chcę sprawić, aby wcielono w życie plany Teneta i Mitchella. To chyba usatysfakcjonowało prezydenta. Życzył mi szczęścia i powiedział, że docenia, iż robię to dla ojczyzny. Czulem, że prezydent Bush udziela naszej misji swojego błogosławieństwa, chociaż była ona dzieckiem Colina Powella. W każdym razie ostateczna decyzja zapadła i to mnie cieszyło.

Kiedy przygotowywałem się do wyjazdu do Izraela, starałem się nie wywoływać rozgłosu i unikać niepotrzebnych kłopotów - na przykład kontaktów z prasą. Lepiej było pozostawić je Departamentowi Stanu. Spowodowało to resentment ze strony środków masowego przekazu i niewielkie problemy, kiedy dziennikarze próbowali się na mnie mścić;

wiedziałem jednak, że publiczne uprawianie przeze mnie dyplomacji przyniesie skutek odwrotny do zamierzonego.

Po zmaganiach o uchwalenie Konstytucji Stanów Zjednoczonych James Madison zauważył, że 20 kongresmanów, którzy opracowali jej tekst, zgodziło się najpierw utrzymać proces jego powstawania w tajemnicy i nie kontaktować się z prasą. Gdyby tego nie zrobiono - kontynuował - gdyby ojcom Konstytucji nie udało się stworzyć jej z dala od krytycznych oczu dziennikarzy oraz opinii publicznej, nigdy byśmy jej nie mieli.

Gdyby każdy krok, każdy punkt, nad którym trzeba było się dłużej zastanowić, każda możliwość, propozycja, niejasna idea czy myśl, jakie miały zostać wygłoszone przy stole rokowań nagle stały się dostępne dla wszystkich i mogłyby być w nieskończoność analizowane, atakowane i dzielone na czworo przez dziennikarzy (nieważne, których - z Al Dżaziry, „New York Timesa”, „Jerusalem Post”, „Guardiana” czy „Wall Street Journal”), nigdy nie posunęlibyśmy się ani odrobinę naprzód. Nie można robić postępów w tak pełnym emocji, dotyczącym głębokich problemów, złożonym procesie jak bliskowschodni proces pokojowy, w świetle reflektorów.

Prowadzona publicznie dyplomacja oraz przejrzystość to dobre rzeczy, jednak w niektórych miejscach, warunkach oraz w przypadku omawiania niektórych spraw nie przynoszą dobrych rezultatów. Nieraz proces negocjacyjny osiąga punkt krytyczny i wtedy potrzebne są ciche rozmowy, aby usunąć przeszkody związane z jakimiś drażliwymi kwestiami czy propozycjami. Gdyby treść takich rozmów była w całości upubliczniana, mogłoby to uniemożliwić stronom konfliktu zbadanie

wszystkich możliwości i rozwinięcie ich w możliwe do przyjęcia propozycje. Nie miałem wątpliwości, że konflikt izraelsko-palestyński należy do właśnie takich, w przypadku których nie można upubliczniać procesu negocjacyjnego.

Przygotowując się do bliskowschodniej misji, kontaktowałem się także ze znajomymi, którym kwestia sporu izraelsko-palestyńskiego była znana bliżej - z doświadczenia. Pytałem ich o rady, prosiłem o naświetlenie różnych kwestii. Prognozy moich znajomych były mało zachęcające. Mówili: „Powiem ci szczerze, lepiej dobrze przemyśl, czy warto, żebyś się w to angażował. Jest niemal pewne, że nic dobrego z tego nie wyniknie; a kiedy wszystko się posypie, ciężar porażki spadnie na ciebie”. Nawet pracownicy Departamentu Stanu, którzy przygotowywali mnie do misji, pytali: „Czy pan aby nie oszalał? Czy naprawdę chce pan, żeby to spoczęło na pańskich barkach?... ” Sam Richard Armitage powtarzał do mnie półżartem: „Zwariował pan?” - choć wiedziałem, że docenia to, iż jestem gotów podjąć się tak niewdzięcznego zadania. Jednym z powodów mojego zapału było to, że znów będę mógł pracować pod egidą Richa i sekretarza Powella. Ci dwaj wielcy ludzie zawsze mnie inspirowali.

Oczywiście zastanawiałem się nad marnymi szansami powodzenia mojej misji. Jednak sumienie mówiło mi: Nieważne, czy poniesiesz porażkę. Nie jest najważniejsze to, czy coś się udaje, czy nie. Jeśli swoim działaniem ocalisz choć jedno życie, musisz się na nie zdecydować. Co jeszcze ważniejsze, jeśli jest chociaż jedna dziesiąta procenta szansy na sukces, musisz spróbować - w sprawach takich jak ta nie można przestać się starać.

Owszem, odsetek udanych mediacji pokojowych nie jest wysoki. Jest tak jak w sporcie - jeśli zawodnikowi prawie wszystko się udaje, przechodzi do historii. Tu trzeba jednak odpowiedzieć na wezwanie ojczyzny, niezależnie od własnych interesów i prawdopodobieństwa sukcesu.

Motywowала mnie silnie jeszcze jedna rzecz - osobista determinacja Colina Powella. Jeśli on był gotowy ryzykować karierę dla tej sprawy, to ja mogłem się tylko cieszyć, że biorę w tym udział.

Darzę pana sekretarza Powella ogromnym, naprawdę wyjątkowym szacunkiem. To jeden z najbardziej honorowych, zawsze trzymających się zasad, najlepszych ludzi, jakich znam. Różnica między dobrem a złem nie jest dla niego czymś błahym. Osobiście byłem świadkiem, jak Colin Powell podejmował się różnych działań, które w żaden sposób nie mogły mu przynieść korzyści, natomiast osobiste i polityczne ryzyko było wysokie; działań, jakich nie podejmują ludzie kierujący się kalkulacją i szukający przede wszystkim własnych zysków. Powell robi to, nie oglądając się na innych i nie zwracając uwagi na ryzyko. Po prostu robi to, co należy.

Powell nie zamierzał spokojnie przyglądać się dalszemu rozwojowi kryzysu palestyńsko-izraelskiego. Postanowił na nowo zainicjować proces pokojowy. Przyspieszyć bieg spraw. Nie była to powszechnie pochwalana decyzja. Miał nieprzyjaciół w kręgach rządowych. Dowiedziałem się, że Departament Obrony sprzeciwił się wybraniu mnie do tej misji. Kiedy służyłem w CENTCOM-ie, nie zgadzałem się ze stanowiskami wielu tamtejszych polityków, i teraz miałem niewielu przyjaciół w Pentagonie. Powelllll wiedział o tym, a mimo to nalegał na to, co według



niego było słuszne.

25 listopada 2001 roku Bili, Aaron i ja poleciliśmy do Izraela.

### **Pierwsza runda**

Nasz samolot wylądował na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie wieczorem 26 listopada.

Dalszą część tego wieczoru spędziłem w ambasadzie amerykańskiej w Tel Awiwie oraz konsulacie w Jerozolimie (który był naszym oficjalnym przedstawicielstwem do kontaktów z Palestyńczykami) na konsultacjach - zdawano nam sprawę z sytuacji na miejscu.

W przeszłości pomiędzy tymi dwiema placówkami dyplomatycznymi narosły tarcia. Pracujący w ambasadach dyplomaci mają skłonność do identyfikowania się z obywatelami danego kraju, których widują i wśród których żyją na co dzień. Personel ambasad, jeśli nie zachowuje czujności, zaczyna przechodzić na stronę miejscowych.

Na szczęście kiedy przybyłem do Izraela, mieliśmy tam dwóch z naszych najlepszych dyplomatów - Dana Kurtzera i Rona Schlichera. Pierwszy kierował ambasadą, a drugi - konsulem. Ambasador USA w Izraelu Dan Kurtzer to jeden z najprzedniejszych dyplomatów, jakich kiedykolwiek ukształtowały Stany Zjednoczone. Gdy służyłem w CENTCOM-ie, Kurtzer był ambasadorem w Egipcie, stąd znałem go już dobrze. Jerozolimskiego konsula Rona Schlichera nie znałem, ale był zawodowym dyplomatą o znakomitej reputacji, wiedziałem, że ma wielkie doświadczenie na Bliskim Wschodzie i w świecie arabskim.

Ci dwaj profesjonaliści potrafili kierować pracą na miejscu i motywować swoich ludzi do działania. Wprawdzie zarówno Kurtzer, jak i Schlicher byli silnie związani emocjonalnie z problemem izraelsko-

palestyńskim, jednak każdy z nich jasno dawał do zrozumienia, że ich zadaniem jest reprezentowanie interesów Stanów Zjednoczonych, a także że ich absolutnym priorytetem w tej chwili jest współpraca ze mną oraz znalezienie pokojowego rozwiązania nieszczęsnego konfliktu pomiędzy Izraelczykami a Palestyńczykami. Podejście szefów promieniowało na wszystkich podległych im pracowników.

Relacje dyplomatów z sytuacji na miejscu oraz lektura prasy przekazały mi niewesoły obraz. Od czasu ogłoszenia we wrześniu 2000 roku drugiej intifady spirala przemocy rozkręcała się coraz bardziej. Znikło wszelkie zaufanie pomiędzy stronami konfliktu. Rozmów pokojowych praktycznie nie prowadzono. Priorytetem Izraelczyków było zapewnienie bezpieczeństwa, w szczególności powstrzymanie samobójczych zamachów przeprowadzanych przez ekstremistyczne ugrupowania. Po osiągnięciu tego celu Izraelczycy byliby gotowi rozpocząć negocjacje i rozważać ustępstwa. Dla Palestyńczyków natomiast priorytetem było nakłonienie Izraela do zgody na utworzenie państwa palestyńskiego, a także wycofania wszystkich wojsk izraelskich z terytoriów palestyńskich. Stanowiska wyjściowe obu stron konfliktu były więc całkowicie różne.

Jedynymi rozmowami, jakie wciąż się toczyły, były spotkania Komisji Trójstronnej. Komisja składała się z izraelskich, palestyńskich i amerykańskich ekspertów od spraw bezpieczeństwa, została sformowana przez George'a Teneta. Jej celem było koordynowanie działań w zakresie bezpieczeństwa oraz przerywania walk (czyli znajdowania sposobów kończenia sytuacji, w których przeciwstawne siły zbrojne ścierają się ze sobą). Ponieważ Komisja była jedyną możliwością pokojowego

spotykania się obu stron konfliktu, wydawało się, że będzie najlepszym miejscem wprowadzenia w życie planu Teneta oraz osiągnięcia zawieszenia broni.

Pod koniec dnia udałem się do jerozolimskiego hotelu Króla Dawida, gdzie mieliśmy mieszkać. Tam miała znajdować się również nasza baza. Hotel był prawie pusty - wydarzenia z 11 września oraz druga intifada skutecznie odstraszały turystów. Wszyscy umiejscowiliśmy się w tym samym skrzydle hotelu. Okna mojego narożnego apartamentu, który stał się dla mnie zarówno mieszkaniem, jak i biurem, wychodziły na Stare Miasto. Widok z wysokości paru pięter nad ziemią był przepiękny.

Kiedy położyłem się po męczącym dniu podróży i pierwszych spotkań, w mojej głowie kłębiły się chmurne myśli.

Czekające mnie zadanie onieśmiało. Wiedziałem, że muszę wiele się nauczyć o panującej sytuacji, o ważnych miejscowych postaciach, najrozmaitszych aspektach konfliktu; z drugiej strony nie mogłem przeznaczyć zbyt wiele czasu na zapoznawanie się z tematem, jeśli jednocześnie miałem uruchomić rozmowy i cały proces pokojowy. Musiałem więc robić wszystko w biegu. Aaron Miller, Bili Burns i pozostali oczywiście służyli mi swoją wiedzą i doświadczeniem, jednak wielka część odpowiedzialności spoczywała na mnie. Już pojawiły się oczekiwania, nadzieje. Nie chciałem, aby nadzieje zaczęły stopniowo się rozwiewać. Od samego początku trzeba było robić widoczne postępy.

Czułem w głębi duszy, że zadanie poważnie utrudnią nam terroryści i ekstremiści, jak Hamas i Islamski Dżihad. Według naszego oraz izraelskiego wywiadu ugrupowania te z zasady wzmagają ataki za każdym razem, kiedy wyglądało na to, że negocjacje pokojowe postępują naprzód.

Walki bezspornie torpedowałyby wysiłki negocjatorów. Izraelczycy przeprowadzaliby uderzenia odwetowe przeciw sprawcom zająć. Palestyńczycy odpowiadaliby na to kolejnymi atakami. W tej sytuacji każda ze stron zerwałaby negocjacje - a właśnie to jest zawsze celem ekstremistycznych ugrupowań. Spodziewałem się, że ich odpowiedzią na naszą misję będą liczne mściwe i krwawe zamachy. Jeśli miałem rację, dysponowaliśmy bardzo ograniczonym czasem na zrobienie odpowiednich postępów w negocjacjach. Jak bardzo ograniczonym - to będzie zależało od naszych umiejętności działania pomimo szalejącej przemocy... a lepiej - od zapobiegania jej, zyskiwania odrobinę większej ilości czasu i realnego załatwiania choćby niektórych spraw, zanim walki przesłonią nasze wysiłki. Byłem niemal pewien, że nastroje pośród negocjatorów będą wahać się gwałtownie od krawędzi załamania do nowej nadziei i z powrotem.

Niestety nie myliłem się ani trochę. Kiedy rozpętano przemoc, sytuacja stała się okropna. W końcu doprowadziło to do zerwania negocjacji.

Hamas oraz Islamski Dżihad postawiły sobie za cel zniszczenie państwa Izrael. Według mnie żadne z tych dwóch ugrupowań nie uznaje możliwości równoległego istnienia dwóch państw - palestyńskiego i izraelskiego - stąd nie ma sensu liczyć na to, że zgodzą się na jakikolwiek kompromis. Chcą zyskać wszystko albo nic. Oznacza to, że wciąż będą wywoływać brutalne, niszczące dla wszystkich walki, aby jak najmocniej dać się we znaki Izraelczykom - tym samym blokując możliwość jakiegokolwiek rozwiązania pokojowego oraz kompromisu.

Historia tych ruchów jest interesująca. Kiedy powstał Hamas,

początkowo Izrael wspierał jego organizowanie się, widząc w nim przeciwwagę dla Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Później Hamas się zradykalizował i teraz wspierają go takie państwa jak Iran, Syria czy jeszcze inne (przed upadkiem Saddama Husajna także Irak). Gdy zaś pojawił się Islamski Dżihad, ugrupowanie od początku jeszcze bardziej fanatyczne pod względem religijnym, jego agresywność dodała się do agresywności Hamasu. Islamski Dżihad nigdy jednak nie osiągnął takiego znaczenia jak Hamas. Wpływy Hamasu są duże. Jest znacznie lepiej zorganizowany, ma oddanych sobie ludzi w szerokich kręgach społeczeństwa palestyńskiego (inteligentnie zjednywanego za pośrednictwem organizacji charytatywnych), a także silne skrzydło polityczne. Hamas dysponuje również o wiele lepszym rozpoznaniem niż Islamski Dżihad, a jego zamachy są nieporównanie lepiej zorganizowane i bardziej skuteczne i pociągają za sobą znacznie więcej ofiar. (To Hamas był odpowiedzialny za eksplozję bomby w święto Paschy, jak również za wszystkie większe zamachy bombowe w autobusach - na przykład wysadzał autobusy szkolne pełne dzieci). Ataki Hamasu uderzają Izrael prosto w serce - ci terroryści wiedzą, jak sprawić, żeby Izraelczyków naprawdę zranić.

Pozostałych ekstremistów palestyńskich da się prawdopodobnie okiełznać. Ale Hamasu - nie. Złamanie ich niemal na pewno wymagałoby wojny domowej w Palestynie - przy założeniu, że nie wygraliby tej wojny.

W rozmowach z udziałem mediatorów Palestyńczycy zawsze będą nalegali na zawieszenie broni i kompromis z Hamasem. Nie widzę tego. Byłoby świetnie, gdyby Hamas się na to zgodził - nie pozornie, ale naprawdę. Jednak nie bardzo wierzę, żeby ograniczyli swoje cele, idąc na

kompromis.

Nawet gdyby zaakceptowali zawieszenie broni, podejrzewałbym, że w rzeczywistości zrobiliby to tylko po to, aby się przegrupować i dozbroić. Oczywiście w tym czasie Izraelczycy (których wywiad jest znakomity) wykryliby to i uderzyli na nich. Wówczas Palestyńczycy twierdziliby, że Izrael zaatakował bez powodu... i tak dalej. Spirala przemocy rozkręciłaby się na nowo.

Pierwszy pełny dzień, jaki spędziliśmy w Izraelu, był przeznaczony na spotkania z przedstawicielami władz. Zaczęliśmy od zorganizowanej przez premiera Szarona wycieczki śmigłowcem. Pokazywał on nam różne miejsca, objaśniając osobiście szczegóły geograficzne oraz sytuację na ziemi. Potem nastąpiła trwająca aż do wieczora seria spotkań, na których Izraelczycy zdawali nam sprawę ze szczegółów, naświetlając je ze swojego punktu widzenia.

Niektórzy z moich doradców z Departamentu Stanu byli niechętni takiemu rozwojowi wypadków, obawiając się, że Palestyńczycy mogą oskarżyć nas o to, że pozwalamy Szaronowi nastawić nas negatywnie do nich; zapewniłem jednak, że potrafię zachować jasność spojrzenia, choćby ktoś próbował je zaćmić. Poza tym, gdyby Palestyńczycy chcieli urządzić mi podobny objazd oraz wykłady - proszę bardzo. Pomyślałem, że lepiej być otwartym na obie strony i działać przejrzysto, niż zachowywać nadmierną ostrożność oraz skrytość.

Przelet zorganizowany przez Szarona dał mi odczuć, jak wygląda ziemia Izraela. Zobaczyliśmy wszystkie najważniejsze miejsca - Betlejem, Nazaret, rzekę Jordan, Morze Martwe, Jezioro Galilejskie. Poleciliśmy na południe, gdzie popatrzyliśmy z góry na gospodarstwo rolne Szarona.

Byliśmy i na północy, na Wzgórzach Golan, gdzie wylądowaliśmy na posterunku wojskowym i rozmawialiśmy z izraelskimi żołnierzami.

Najbardziej interesujące dla mnie tego dnia było zapoznanie się ze spojrzeniem premiera Szarona. Jest doświadczonym na wojnach (w 1967 i 1973 roku) żołnierzem, a także silnie związanym ze swoją ziemią rolnikiem; jest Izraelczykiem przekonanym o prawie swojego ludu do krainy, w której zamieszkał, i przebiegłym politykiem. Dużo mówi; prowadzony przez niego w czasie przelotu nieustanny dialog zdradzał wszystkie te oblicza. Szaron podkreślał kwestie związane z bezpieczeństwem na tym czy innym terenie, jak żołnierz mówiący do żołnierza. Z drugiej strony w jego głosie słychać było nieskrywaną radość i dumę, kiedy opisywał rolnicze walory rozciągającej się pod nami ziemi. Czuć było, że ją kocha. Z podobną radością i dumą pokazywał mi ważne dla Izraelczyków miejsca historyczne - ruiny z czasów rzymskich i jeszcze wcześniejsze.

- Niech pan spojrzysz na te tarasy na skałach - wykrzykiwał z chwytną za serce pasją. - Moi przodkowie ukształtowali je tysiące lat temu!

Albo mówił:

- Niech pan popatrz na ten teren. Jest pan przecież wojskowym. Jeśli nie będziemy kontrolować tego obszaru, łatwo będzie na nas uderzyć.

Lub:

- Proszę spojrzeć na tę ziemię. Tutaj była pustynia. Widzi pan, czego dokonał tu Izrael. Zazieleniliśmy pustynię. Niech pan tylko popatrz na sady. Jakie owoce tu rosną! A to bydło - jakie dorodne!

Osobowość Ariela Szarona składa się z trzech części - z osobowości

żołnierza, rolnika i Żyda. Jest ich sumą. Wszystkie cechy, jakie przejawia premier Szaron, wypływają z którejs z nich. Całkowicie identyfikuje się z każdą z nich, każda jest jego pasją. Całym sercem i duszą związany jest z ziemią, na której dorastał.

- Żydowska diaspora powróciła tu - mówił. - To nasza prawowita ziemia, nasza historia.

Zanim go poznałem, opowiadano mi o nim tak, że spodziewałem się napotkać w nim krzepkiego, agresywnego żołnierza. To nie jest tak. Owszem, Szaron jest niewątpliwie twardym człowiekiem, który dorósł w trudnych warunkach. Mówi więc bezpośrednio, uczciwie, bez ogródek, prosto w oczy, dokładnie to, co chce powiedzieć; nie stara się dobierać słów (nie jest zręcznym dyplomata). Ani przez chwilę jednak nie próbował narzucić mi swojego punktu widzenia. Po prostu widzi świat takim, jakim go bezpośrednio postrzega. Jeśli nie jest w stanie na coś się zgodzić - poczynić jakiegoś niechcianego ustępstwa - nie wypowiada się oględnie na dany temat. Po prostu mówi „nie”. Niestety miałem wrażenie, że kiedy negocjacje się rozpoczną i będą konieczne poważne ustępstwa, premier Szaron zwyczajnie nie zgodzi się ustąpić w wielu sprawach, w jakich gotowi byli ustępować jego poprzednicy.

Przez cały czas mojego pobytu w Izraelu Szaron próbował mnie przejrzeć; starał się wydobyć ode mnie osady, opinie - myślę, że był bardzo sfrustrowany, kiedy w żaden sposób nie dawałem po sobie poznać, jak oceniam to, co mówi. Po prostu nie potrafił zrozumieć, jak ktokolwiek może nie widzieć tego, co dla niego jest oczywiste. Myślę, że zdaniem Szarona każdy musi oceniać, mieć jakąś opinię. Wynika to z jego poświęcenia dla sprawy Izraela i silnie zakorzenionych przekonań.



Z mojego punktu widzenia jakakolwiek opinia, którą bym wyraził, spowodowałaby zamknięcie się przede mną drugiej strony. Nie mogłem na to pozwolić. Nie wątpiłem, że wszystko, co bym powiedział - lub o czym pisano by, że podobno powiedziałem - znalazłoby się następnego dnia w środkach masowego przekazu. Przecieki działałyby na obie strony raczej jak zimny prysznic. Dlatego, choć nie najgorzej czuliśmy się z premierem Szaronem w swoim towarzystwie, stale panowało między nami napięcie.

Pod koniec lotu nadeszła wiadomość przez radio: w Afuli - niewielkim mieście na północy Izraela - doszło do strzelaniny. Natychmiast zmieniliśmy kurs i poleciliśmy tam. Potwierdził się początkowy meldunek - dwóch Palestyńczyków otworzyło ogień na miejskim bazarze, zabijając ciężarną Żydówkę. Raniono kilkoro innych Izraelczyków. Sprawców zabito.

Kiedy zalecieliśmy nad miasteczko, zobaczyliśmy opanowującą sytuację siły bezpieczeństwa i kłębiący się personel medyczny. Zawisiliśmy na pewien czas nad tą poruszającą sceną, po czym wróciliśmy do Jerozolimy.

Później poznałem pełniejszy obraz tego zdarzenia - jego historia wciąż nie jest do końca jasna. Otóż wcześniej tego samego dnia Izraelczycy, w ramach gestu dobrej woli z okazji rozpoczęcia się kierowanej przeze mnie misji, zlikwidowali punkt kontrolny pod Afulą, żeby Palestyńczykom łatwiej się było poruszać. Dwaj terroryści oczywiście wykorzystali to, żeby przeprowadzić zamach. Pozostaje jednak pytanie, czy był on świadomie zaplanowaną prowokacją, mającą na celu storpedowanie procesu pokojowego? Czy też - jak twierdzili później Palestyńczycy - zwykłym zabójstwem dokonany przez tych dwóch ludzi

z żądzy zemsty? Niedługo wcześniej izraelscy żołnierze zabili krewnego zamachowców, ci więc wybrali się na plac targowy, aby się zemścić. Jakakolwiek jest prawda, był to jeden z krwawych incydentów, przez które moje nadzieje na proces pokojowy słabły. Wiedziałem już, że mogę zapomnieć o spokojnym rozpoczęciu misji. Miałem rację, że jej droga będzie przebiegać od kryzysu poprzez postępy aż do nowego kryzysu. Wprawdzie obie strony wygłosiły zachęcające oświadczenia na temat udziału w negocjacjach, jednak zastanawiałem się, czy są one jeszcze aktualne po tym, jak już pierwszego dnia na całą sprawę rzuciła cień brutalna strzelanina.

Reszta dnia upłynęła pod znakiem spotkań z premierem Szaronem, ministrem spraw zagranicznych Szimonem Peresem, ministrem obrony Benjaminem Ben Eliezerem oraz szefem izraelskim ministrem obrony Szaulem Mofazem\*[\* Znałem Mofaza od 1982 roku, kiedy to byłem instruktorem w Kolegium Dowództwa i Sztabu Korpusu Piechoty Morskiej, a Mofaz podówczas tam studiował.].

Zorientowałem się, że sytuacja jest skomplikowana - izraelski rząd był podówczas rządem jedności narodowej, koalicyjnym; co w praktyce oznaczało, że podzielonym. Szaron należał do najsilniej reprezentowanej w Knesecie partii Likud, a Peres i Eliezer do Partii Pracy. Kto właściwie może mówić w imieniu izraelskiego rządu? - pytałem sam siebie.

Szaron rozwiał moje wątpliwości:

- Tylko ja mówię w imieniu naszego rządu - powiedział.

Była to dziwna sytuacja dla mnie - Amerykanina przyzwyczajonego do ministrów, którzy są w stanie mówić za swojego szefa. Ale musiałem ją zaakceptować. My mamy swój system polityczny, Izrael ma swój.

Słowa ministrów także były pouczające, choć Szaron starał się marginalizować to, co mówili. Wszyscy oni mieli wielkie doświadczenie w rozmowach z Palestyńczykami, rozległą wiedzę i wyrobione zdanie, każdy udzielał zdecydowanych rad.

Mofaz, wbrew swojej reputacji nieustępliwego zwolennika twardego kursu, był spokojnym człowiekiem o pełnym namysłu spojrzeniu. Nie był też nieprzejednany czy całkiem pozbawiony zrozumienia dla sytuacji Palestyńczyków. Gdy spotkałem się z nim tamtego popołudnia, powiedział mi wyraźnie, że nie odmawia mi pomocy, chce, aby moja misja się powiodła, a także iż nie wierzy, że konflikt można rozwiązać na drodze militarnej.

Później spędziłem z nim mnóstwo czasu na rozmowach i nauczyliśmy się wzajemnie rozumieć swoje stanowiska. Mofaz nie mógł zgodzić się na zmniejszenie poziomu bezpieczeństwa w kraju; poza tym zdawał sobie sprawę, że Izrael będzie musiał poczynić pewne ustępstwa... ale bez wystawiania bezpieczeństwa obywateli na ryzyko. Rozumiał też, że nigdy nie da się pokonać Palestyńczyków całkowicie i na zawsze, a zatem że trzeba coś zrobić, aby zawarto trwałe porozumienie pokojowe. Podkreślał jednak także, że na polu walki robi to, co musi, nawet jeśli jest to brutalne i giną przy tym ludzie.

Peres udzielił mi cennej porady na temat możliwego przebiegu prowadzonej przeze mnie misji. W pierwszych dniach pobytu w Izraelu, kiedy starałem się lepiej zrozumieć izraelsko-palestyński proces pokojowy, tylko Peres zyskał mój pełny szacunek.

Nigdy nie zapomnę jego rady.

- Panie generale - powiedział - napotka tu pan na swojej drodze trzy rodzaje ludzi. Po pierwsze, prawowiernych. Niech pan nie traci czasu na dyskusje z nimi. Znajdzie ich pan po obu stronach konfliktu. Ci ludzie zawsze odwołują się do słuszności swoich racji. Z takimi ludźmi niczego pan nie osiągnie. Nie da się negocjować ze słuszną sprawą. Oni mają prawo wierzyć w to, w co wierzą, a pan ich nie zmieni. Interpretują fakty z punktu widzenia swojej religii, a fakty, które dowodzą rację przeciwnej strony, ignorują. Druga grupa, jaką pan napotka - ciągnął - to zbieracze argumentów, miłośnicy debaty. Widuje pan takich ludzi w telewizji, to wszystkie gadające głowy. Ich celem jest wygranie dyskusji z przeciwnikiem, zyskanie w ten sposób punktów. Ale to bezużyteczne w przypadku procesu pokojowego, jeśli zamierza pan zorganizować akademicką debatę, tego typu ludzie się przydadzą. Jednak dla osiągnięcia celu, jakim są postępy w negocjacjach pokojowych, są nieprzydatni. Powinien pan skupić się na trzeciej grupie. Na ludziach, którzy starają się wymyślić praktyczne rozwiązanie. Oni wciąż na nowo zadają sobie pytanie: „jakim sposobem mamy zakończyć ten koszmar i sprawić, żeby mimo wszystko udało się dojść do porozumienia?” Niech pan skoncentruje uwagę na tych ostatnich i na tym, co trzeba zrobić, i niech pan to robi.

Była to najlepsza porada, jakiej udzielono mi w Izraelu.

Pozostałe spotkania były poświęcone zagadnieniom bezpieczeństwa - najważniejszej sprawie z punktu widzenia Izraelczyków. Ich pierwszym głównym celem było powstrzymanie samobójczych zamachów terrorystycznych. Byli przekonani, że Arafat i władze Autonomii Palestyńskiej są w stanie zapobiec większości zamachów lub przynajmniej w jakimś stopniu zmniejszyć ich liczbę, ale nie chcą. Ujmując to bardziej

bezpośrednio: Izraelczycy uważali, że Arafat popiera, a przynajmniej toleruje przemoc. Jasno dawali do zrozumienia, że jeśli proces pokojowy ma postępować naprzód, Arafat musi podjąć strategiczną decyzję zerwania z przemocą i powrotu do wynegocjowanych już rozwiązań. Wątpili jednak, żeby zamierzał to zrobić.

Władze Autonomii Palestyńskiej nie były w stanie się na to zdobyć. Gdyby tego dokonali - czyli tym samym przeciwstawili się Hamasowi i Islamskiemu Dżihadowi, uderzyli w ekstremistów, dokonali aresztowań, pokonfiskowali broń - doprowadziłoby to do rozlewu krwi. Jednak bez konfrontacji Palestyńczyków z Hamasem i Islamskim Dżihadem Izrael nie chciał się zgodzić na żadne ustępstwa wyszczególnione w planie Teneta i innych planach - jak zlikwidowanie punktów kontrolnych, wycofanie sił bezpieczeństwa na dawne pozycje oraz ponowne zezwolenie palestyńskim robotnikom na wstęp na terytorium izraelskie. Tym bardziej nie mogło być mowy o powstaniu państwa palestyńskiego.

Początkowo Izraelczycy stawiali twarde warunki, na jakich władze Autonomii Palestyńskiej miały zademonstrować swoją dobrą wolę. Szaron domagał się od nich absolutnego podporządkowania się jego żądaniom, do których zaliczało się co najmniej siedem dni spokoju. Dopiero po tym był gotów zgodzić się na jakiegokolwiek rozmowy.

Wiedziałem, że jeśli przez co najmniej tydzień nie będziemy mogli rozpocząć negocjacji (przy założeniu, że szczęśliwie nie nastąpią w tym czasie żadne zamachy), moja misja spali na panewce. Na szczęście władze Izraela ustąpiły w końcu nieco ze swoich żądań. Szaron zgodził się zaangażować w rozmowy Komisji Trójstronnej - postanowiłem wykorzystać ją jako ciało, w ramach którego odbywały się pierwsze

negocjacje. Jednak meritum izraelskiego stanowiska pozostało niezmiennie: Palestyńczycy muszą okazać dobrą wolę, powstrzymując zamachy terrorystyczne.

Rezultaty pierwszego dnia mojego pobytu w Izraelu trudno było jednoznacznie zakwalifikować. Z jednej strony tragiczna strzelanina w Afuli rzuciła cień na nasze nadzieje, z drugiej - przynajmniej uzyskaliśmy zgodę izraelskich władz na spotkanie w ramach Komisji Trójstronnej. Spotkałem się z przywódcami Izraela, udało nam się nawiązać osobisty kontakt, dali mi do zrozumienia, że, choćby nawet ostrożnie, wesprą moją misję.

Drugi dzień spędziłem z Palestyńczykami. Ponieważ trwał akurat ramadan, spotkania miały miejsce wieczorem. Zaczęły się od iftar\*[\* Wieczorny posiłek spożywany przez muzułmanów w czasie ramadanu po całodziennym poście.] z przewodniczącym Autonomii Palestyńskiej Jaserem Arafatem oraz pozostałymi palestyńskimi przywódcami. Spotkaliśmy się na Zachodnim Brzegu Jordanu, w mieście Ramallah, gdzie znajdowała się jedna z siedzib Autonomii (zwana Mukatą - natomiast oficjalną siedzibą władz Autonomii była Gaza).

Po drodze ludzie z naszego konsulatu pokazali mi żydowskie osiedla na Zachodnim Brzegu, do których, wbrew zawartym porozumieniom, wciąż przybywali nowi osadnicy. Minęliśmy kilka izraelskich punktów kontrolnych, gdzie byliśmy świadkami frustrującego, a nawet upokarzającego dla Palestyńczyków procesu kontroli, jakiemu muszą się raz po raz poddawać, kiedy przemieszczają się z jednej miejscowości do drugiej.

Poprzedniego dnia izraelscy przywódcy przyznawali się przede mną do tego, że punkty kontrolne są jednym ze źródeł problemów, choć z drugiej strony kontrole są konieczne, aby zapobiegać zamachom (takim jak na przykład ten w Afuli). Problem punktów kontrolnych jest rzeczywiście złożony. Młodzi żołnierze, którzy nie mogą sobie pozwolić na przepuszczenie niebezpiecznego terrorysty, poddają Palestyńczyków długotrwałym i przykrym procedurom kontrolnym. Opowiadano mi historie o tym, jak na punktach kontrolnych rodziły się dzieci albo umierali chorzy, nie będąc w stanie na czas dojechać do szpitali, jak przetrzymywano i poddawano upokarzającym kontrolom ważnych urzędników Autonomii, i o innych incydentach, które rozpałały gniew Palestyńczyków.

Moje rozmowy z Arafatem przebiegały w serdecznej atmosferze. Zawsze był gościnnie, zawsze wysławiał się z wielką ekspresją, kwieciście zapewniając o swojej gotowości do współpracy. Jego słowa natychmiast potwierdzali zebrani wokół niego ludzie.

Doszedłem do wniosku, że dobrze się czuję podczas spotkań z Arabami; ich wynikający z tradycji sposób zachowania odpowiadał mi. Wprawdzie nie znałem jeszcze dobrze obecnych wokół mnie Palestyńczyków, jednak oni bez wątpienia znali mnie. Arafat rozmawiał już z prezydentem Egiptu Mubarakiem, królem Jordanii Abdullahem i innymi ważnymi przywódcami świata arabskiego. Wszyscy doradzili Arafatowi współpracę ze mną.

- Wszyscy powiedzieli mi, że jest pan człowiekiem, któremu można zaufać - oznajmił Arafat - i który może mi pomóc osiągnąć to, czego chcę.

Podkreślił te słowa mocno, zapewniając, że jest niezmiernie

uradowany.

- Jestem całkowicie oddany pańskiej misji, po to, aby zakończyła się sukcesem - kontynuował.

Kiedy zaproponowałem rozmowy w ramach spotkań Komisji Trójstronnej, zgodził się natychmiast, chociaż dodał, że chce rozpocząć dyskusję także na tematy inne niż bezpieczeństwo, które jest o wiele bardziej złożoną kwestią, niż mogłoby się wydawać.

Arafat był ogólnie miły, zawsze natychmiast obiecując współpracę w każdej kwestii, przy czym wcale nie szły za tym obietnice podjęcia konkretnych działań.

Kiedy spotykałem się z nim wielokrotnie w następnych tygodniach i miesiącach, coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, że ten przebiegły stary rewolucjonista w rzeczywistości nigdy nie zdecyduje się na kompromisy, jakie mogłyby doprowadzić do trwałego rozwiązania konfliktu. Nigdy nie zawarłby ugody mogącej zachwiać jego pozycją w historii i osobistym dziedzictwem. Postrzegał siebie samego jako przywódcę, który ani razu nie poszedł na choćby najmniejszy kompromis; i to było dla niego ważniejsze niż doprowadzenie do zawarcia i wcielenia w życie ugody, jaka musiałaby się wiązać z poważnymi kompromisami. Doszedł do punktu, w którym doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jest śmiertelny, i chciał odejść z tego świata jako niepokorny.

- Jestem jedynym niepokonanym Arabem - oznajmił mi pewnego razu. - Nie będzie pan szedł w moim kondukcje pogrzebowym - będzie inaczej niż z Sadatem i moim partnerem Rabinem.

Pod koniec mojego udziału w procesie pokojowym zacząłem rozumieć, że to nie Arafat doprowadzi do jego ewentualnego sukcesu. Nie



zaryzykowałby za pokój to, co zaryzykowali Sadat, Rabin, Husajn, Begin i Barak. Widział, czym to się skończyło, i zdawał sobie sprawę, że jego własne dziedzictwo i historia także są stawką w tej grze.

Oczywiście wiedział, że dla powodzenia rozmów będzie musiał pójść na kompromis. W Camp David Barak zaproponował mu mnóstwo ustępstw ze swojej strony. Mogli zawrzeć doskonałą ugodę; Arafat był prawdopodobnie w stanie wynegocjować jeszcze lepsze warunki. A jednak nie chciał. Zerwał rokowania.

Pewnego razu go o to spytałem:

- Czy w Camp David byliście blisko porozumienia?
- Och, tak, bardzo blisko - odpowiedział.

Krąży mnóstwo wersji opowieści o tym, co stało się w Camp David czy w Tabie. Czy przygotowana ugoda była możliwa do przyjęcia, czy też niedobra? Czy można ją było negocjować dalej? Nie wiem. Jednak nie jestem w stanie pojąć, jak doszło do tak nagłego zerwania rozmów. Kiedy jest się blisko porozumienia lub przynajmniej proces negocjacji postępuje w dobrym kierunku, po co je zrywać?

Po rozmowie z Arafatem spotkałem się w cztery oczy z innymi przywódcami palestyńskimi, w tym Mahmudem Abbasem (znanym też pod pseudonimem Abu Mazen) - podówczas człowiekiem numer dwa, a późniejszym premierem Autonomii; z Ahmedem Korei (zwanym Abu Alą) - marszałkiem Palestyńskiej Rady Legislacyjnej i następcą Abbasa na stanowisku premiera; wreszcie z Saebem Erekatem - głównym negocjatorem Autonomii Palestyńskiej.

Abbas był od dawna zaangażowany w proces pokojowy, w wielu sprawach nie zgadzał się z Arafatem, sprzeciwiał się intifadzie i dobrze

widział, co trzeba zrobić; postrzegał to całkiem podobnie jak my. Chciał przejść do negocjacji. Jasne jednak było, że nie ma realnej władzy; jego pozycja nieformalnego zastępcy Arafata nie dawała mu wielkich wpływów. W rzeczywistości nie był człowiekiem numer dwa w Autonomii Palestyńskiej.

Stopnie w hierarchii władzy poniżej Arafata zawsze były niejasno określone. Jak każdy przywódca rewolucyjny, to on rozdzielał bowiem władzę i nie obdarzał nią nikogo, kto mógłby zagrozić jego rządowi. Abbas potrafił zdobyć się na własne zdanie, otwarcie nie zgadzał się z wieloma poczynionymi przez Arafata krokami, jednak nie miał za sobą niczego - ani broni, ani pieniędzy, ani poparcia społecznego, ani władzy politycznej. Mimo to mówił mądre rzeczy. Myślę, że rzeczywiście wyznawał głoszone poglądy; miał znakomitą reputację. Myślałem: Jezu, jaka szkoda, że ten człowiek nie ma o wiele większej władzy. Sensownie mówi. Zależy mu na zgodzie. Jest realistą.

Takie samo wrażenie robił na mnie Korei - marszałek Rady Legislacyjnej. Jednak ani Abbas, ani Korei nie pozostali zbyt długo premierami...

Saeb Erekat jest natomiast burmistrzem Jerycha. To krzepki, łysiejący, bardzo inteligentny i łatwy do polubienia mężczyzna. Bez przerwy mówi. Miłośnik argumentów i debaty - cały czas nadają jego wypowiedzi w CNN. Jest też pod każdym względem uczciwym człowiekiem, również od dawna zaangażowanym w proces pokojowy. Zastanawiam się, czy nie od zbyt dawna - być może sam proces za bardzo go pochłania. Łatwo potrafiliśmy znaleźć wspólny język; spędziłem mnóstwo czasu z nim i jego przesympatyczną rodziną w Jerychu. (Byłem

u Erekata w domu na obiedzie).

Poznałem także szefów sił bezpieczeństwa Zachodniego Brzegu Jordanu oraz Strefy Gazy - Dżibrila Rajouba i Mohammeda Dahlana. Byli to ludzie czynu, gotowi w razie potrzeby podjąć odpowiednie kroki, gdyby otrzymali prerogatywy i poparcie od najwyższych władz. Niestety, nie doszło do tego.

Żaden z wymienionych przeze mnie przywódców nie miał realnej władzy. Wszystkim rządził Arafat.

Ze spotkań zrozumiałem tyle, że priorytetem Palestyńczyków są kwestie polityczne, a ich główne zmartwienie to to, czy Izraelczycy rzeczywiście poczynią polityczne ustępstwa, kiedy już kwestie bezpieczeństwa zostaną rozwiązane.

Rozumiałem także, że przywódcy palestyńscy nie mają dość odwagi, aby czynnie przeciwstawić się ekstremistom, którzy przeprowadzali krwawe zamachy samobójcze. Chcieli, aby Izraelczycy „zakończyli okupację” i wycofali się z terytoriów palestyńskich, a potem oni mieliby zająć się ekstremistami... jednak raczej na drodze negocjacji niż konfrontacji.

Według planów Teneta i Mitchella podjęcie działań przeciwko ekstremistom było warunkiem koniecznym postępu procesu pokojowego i kroków zmierzających do powstania państwa palestyńskiego. Brak działań przeciw ekstremistom naruszałby zatem podstawy planów Teneta i Mitchella, które Arafat, według własnych stwierdzeń, zaakceptował.

Oczywiście dla Izraela oznaczałoby to niemożliwe do podjęcia ryzyko, nie tylko w sensie wojskowym, ale i politycznym. Żaden izraelski przywódca nie chce być postrzegany jako ten, który ustąpił w kwestii

bezpieczeństwa, nie zyskując przy tym absolutnych gwarancji pokoju.

Pomimo wszystkich piętrzących się przed nami trudności pod koniec drugiego dnia byłem w nastroju ostrożnego optymizmu. Nawiązałem przyjazne osobiste relacje z przywódcami obu przeciwstawnych stron, z każdym łatwo mi się rozmawiało; nie miałem jednak złudzeń w kwestii prawdopodobieństwa odniesienia sukcesu. Każda ze stron postrzegала przede wszystkim inne problemy. Co gorsza, każda widziała inną drogę ich rozwiązania.

Trzeciego dnia odleciał Bili Burns. Zostałem sam.

Wkrótce po wyjeździe Burnsa przeprowadziliśmy pierwsze spotkanie Komisji Trójstronnej. Aby uniknąć dziennikarzy oraz potencjalnych zamachowców, do ostatniej chwili powstrzymywaliśmy się z podaniem czasu i miejsca tego oraz innych spotkań.

Uczestnikami rozmów byli szefowie bezpieczeństwa najróżniejszych zbrojnych formacji palestyńskich oraz ich służb wywiadowczych, a także wysocy oficerowie izraelskich sił obrony i przedstawiciele Mosadu. Wszyscy ci zadawnieni rywale byli profesjonalistami, dobrze znali się nawzajem i chyba czuli do siebie respekt. Zanim zebrali się razem, nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze się znają. Zaczęli się ścisnąć i całować, wesoło żartować, pytać o rodziny; zachowywali się jak najlepsi kompani.

A potem usiedli do rozmów i zaczęli na siebie krzyczeć.

W przerwach powracali do przyjacielskich relacji.

Krzyk przeszkadzał mi. Nie da się za jego pomocą prowadzić negocjacji. Ale uczestnicy rozmów chyba potrzebowali sposobu na rozładowanie napięcia, więc przez pierwszych parę spotkań nie

przeciwstawiałem się krzykom. W końcu jednak zażądałem poważnej dyskusji i konstruktywnych spotkań.

Nawet kiedy uczestnicy rozmów się uspokoiли, wyniki początkowych sesji były różne. Żadna ze stron nie miała ochoty zachowywać się poważnie. Każdy niewielki krok naprzód był okupiony godzinami wrzasków i wzajemnych oskarżeń. Wychodziłem z tych spotkań wyczerpany i sfrustrowany. Mimo to z kilkoma wyjątkami polubiłem negocjatorów. Zdałem sobie sprawę, że są w stanie doprowadzić do pomyślnego wyniku rozmów - gdyby tylko mieli wsparcie politycznych przełożonych i uprawnienia do podejmowania decyzji. Musiałem więc uzyskać dla nich jedno i drugie. Jednocześnie musiałem pozwolić negocjatorom mozolnie kroczyć niezwykle trudną drogą ustalania szczegółowych działań, które należało podjąć, aby wcielić w życie zawarte postanowienia ogólne.

Poczyniliśmy pewien postęp, przynajmniej po jednej stronie. Izraelczycy złagodzili swoje stanowisko w sprawie siedmiodniowej przerwy w zamachach i stuprocentowego podporządkowania się ich żądaniom. Prosimy teraz o 48 godzin spokoju oraz zdwojone wysiłki.

Palestyńczycy i tak jednak wydawali się niechętni przeciwstawieniu się terrorystom poprzez realne działania (aresztowania, konfiskatę broni itp.). Pomimo składanych przez Arafata obietnic współpracy, nie wydano jego siłom bezpieczeństwa żadnych szczególnych rozkazów (prywatnie palestyńscy oficerowie przyznawali się do tego przede mną). Nie było to zachęcające. Bez palestyńskiej akcji przeciwko terrorystom nie mogło dojść do zawieszenia broni. A bez zawieszenia broni nie mogliśmy posunąć się naprzód.

Co gorsza, nasz wywiad oraz działania Izraelczyków wskazywały na to, że Hamas oraz Islamski Dżihad przygotowują samobójcze zamachy bombowe z myślą o storpedowaniu naszej misji pokojowej.

Izraelczycy odnosili tak naprawdę wielkie sukcesy w powstrzymywaniu zamachów terrorystycznych, jednak zapobieżenie wszystkim było niemożliwe. Na każde dziesięć udaremnionych prób zamachu jedna się udawała. W praktyce oznaczało to, że podczas mojego pierwszego wstępnego pobytu w Izraelu mniej więcej co trzeci dzień zdarzał się samobójczy zamach bombowy, który cofał nas w stosunku do osiągniętego już stadium i pociągał za sobą ataki odwetowe ze strony Izraelczyków, czasem skutkujące tragiczną śmiercią niewinnych ludzi. Było oczywiste, że te zamachy w końcu spowodują załamanie się procesu pokojowego. Czuję, jakbym walczył z powodzią za pomocą wiadra.

W miarę jak po obu stronach rosła liczba ofiar, a nieuniknione ataki odwetowe niszczyły placówki Autonomii Palestyńskiej, w Izraelu oraz na ulicach terytoriów palestyńskich narastał gniew. Odwiedziłem niektóre z miejsc zamachów. Byłem zbrzydzony bezsensownym mordowaniem niewinnych.

Podczas gdy działo się to wszystko, starałem się nakłonić palestyńskie siły bezpieczeństwa do przerwania zakłętego kręgu przemocy. Aresztowanie przywódców terrorystów byłoby demonstracją dobrej woli oraz dowodem realizowania postanowień planów Teneta i Mitchella.

Palestyńscy oficerowie odpowiadali mi, że sami chcieli zrobić jeszcze więcej, niż się domagałem, jednak Izraelczycy podobno uniemożliwiali im to, rzucając na stół różniące się od siebie listy ludzi,

których aresztowania chcieli. Palestyńczycy twierdzili, że chętnie aresztują wszystkich terrorystów, jeśli tylko będą mieli jedną, ustaloną listę, na której podstawie mają działać.

- Doskonale - powiedziałem im zatem - dostarczę wam jedną listę, sporządzoną przez nasz (nie przez izraelski) wywiad, na podstawie której dokonacie aresztowań.

I dałem im listę 31 osób, które znajdowały się na wszystkich listach terrorystów i ich przywódców; osób, w których winę nikt nie wątpił.

Niewiele się wydarzyło. „Aresztowano” wymienionych na liście, jednak tylko co najwyżej kilku - naprawdę. Wielu z „aresztowanych” w rzeczywistości wciąż było wolnych lub przebywało w niezbyt ścisłym areszcie domowym.

Stało się więc jasne, że szefowie palestyńskich sił bezpieczeństwa nie chcą bądź nie mogą podjąć żadnych realnych działań bez wysiłku całej swojej administracji oraz bezpośredniego rozkazu Arafata. A Arafat nie zamierzał wydać żadnego rozkazu.

Przez następne trzy tygodnie brałem udział w kolejnych spotkaniach Komisji Trójstronnej, często spotykałem się z Szaronem, Arafatem i ich ludźmi, wreszcie z przywódcami światowymi oraz przedstawicielami różnych organizacji i państw. Wszyscy oferowali wsparcie.

Szczególnie ważną i pomocną grupą był Kwartet Bliskowschodni (Stany Zjednoczone, ONZ, Unia Europejska i Rosja). Zaprzyjaźniłem się z przedstawicielami ONZ, Unii Europejskiej i Rosji - Terje Larsonem, Miguelem Moratinosem oraz Andriejem Wdowinem. Włożyli wiele wysiłku w pomoc dla kierowanej przeze mnie misji. Przedstawiciel Unii Europejskiej Javier Solana kilkakrotnie odwiedzał mnie w Izraelu,

oferując swoją pomoc i słowa zachęty.

Często rozmawiałem także z przywódcami państw regionu, szczególnie ze starymi znajomymi z krajów arabskich. Widoczna była ich frustracja i silne pragnienie, aby nasza misja się powiodła.

Próbowałem także wyczuć nastroje zwykłych ludzi po obu stronach konfliktu. Chciałem naprawdę ich poznać i zrozumieć ich sytuację i punkty widzenia. Brałem więc udział w różnych uroczystościach świeckich i religijnych w Izraelu i na terytoriach palestyńskich, jadałem posiłki z rodzinami z obu narodów. Jadłem kolację zarówno we Wschodniej, jak i Zachodniej Jerozolimie. Wszędzie byłem głęboko poruszony desperacko wyrażanym pragnieniem pokoju. „Niech pan się nie poddaje!” - błagali wszyscy jednym głosem. Ludzie na ulicach podchodzili do mnie i prosili, abym pozostał. Odwiedziłem Strefę Gazy i widziałem okropne warunki panujące w przepelnionych obozach uchodźców. Przy okazji jednej z uroczystości spotkałem się z dziećmi z organizacji Nasiona Pokoju.

- Dlaczego dorośli nie mogą się porozumieć?! - pytały z rozdzierającą serce otwartością dzieci. - My umiemy.

Dla zachowania kondycji psychicznej i fizycznej ćwiczyłem w Marine House - domu, w którym był zakwaterowany oddział marines strzegących naszego konsulatu w Jerozolimie. Czasem jadałem kolacje z twardymi żołnierzami piechoty morskiej, aby podnieść się na duchu. Za ich pośrednictwem poznałem ojca Petera Vasko - amerykańskiego franciszkanina (zakon franciszkanów jest odpowiedzialny ze strony Kościoła katolickiego za opiekę nad obiektami chrześcijańskiego dziedzictwa w Jerozolimie). Ojciec Peter pełnił funkcję nieoficjalnego



kapelana marines i postanowił zadbać także o moją duszę. Czasem jadałem z franciszkanami w ich klasztorze, uczestniczyłem we mszy, rozmawiałem z nimi wieczorami. Byli naprawdę pobożnymi zakonnikami, wierzącymi w to, co robią. Ojciec Peter oprowadził mnie po Starym Mieście. Była to fascynująca wycieczka.

Pewnego wieczoru kustosz (czyli wyznaczony przez Watykan naczelnym opiekunem świętych miejsc, a zarazem zwierzchnik franciszkanów w Jerozolimie) odznaczył mnie Złotym Krzyżem Papieskim za zasługi dla pokoju w rejonie Bliskiego Wschodu.

- Dziękuję z całego serca - powiedziałem, przyjmując odznaczenie - choć jestem głęboko zasmucony tym, że dotąd nie osiągnęliśmy sukcesu.

- Ważne, że próbujemy - odparł zakonnik. - To wystarczające usprawiedliwienie.

Poznałem także przedstawicieli 16 innych wyznań chrześcijańskich, którzy dzielili między sobą opiekę nad miejscami związanymi z życiem Chrystusa. Ci świątobliwi ludzie wciąż na nowo przypominali mi, że żyjący na Bliskim Wschodzie chrześcijanie mają swoje stałe poważne troski, często ignorowane przez strony konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

Podczas częstych spotkań z Szaronem i Arafatem (zawsze spotykałem się z każdym z nich z osobna; ci dwaj zadawnieni rywale nie znosili się nawzajem) starałem się zorganizować komisję polityczną na wysokim szczeblu, która podlegałaby każdemu z nich i nadzorowała nasze prace, jednocześnie byłaby zespołem dostatecznie wysoko postawionych ludzi, w ramach którego moglibyśmy dyskutować inne niż tylko kwestia bezpieczeństwa zagadnienia. Wyobrażałem sobie tę komisję jako złożoną z polityków na szczeblu ministerialnym, jak Abbas i Korei ze strony

palestyńskiej oraz Peres i Ben Eliezer ze strony izraelskiej, i być może ze mną w składzie jako z przedstawicielem Stanów Zjednoczonych. Nadzorowałyby ona podejmowane działania w zakresie bezpieczeństwa, a także (na co miałem nadzieję) niwelowałyby różnice zdań oraz radziła sobie z doniesieniami o krwawych zjściach. Ponadto mogłaby również otworzyć dialog polityczny, w ten sposób dopełniając obrazu całości - Palestyńczycy mieliby zapewnione medium osiągnięcia postępów politycznych, a Izraelczycy nie musieliby ustępować z żądań dotyczących bezpieczeństwa przed rozpoczęciem negocjacji na tematy polityczne. To znaczy zapewne nie moglibyśmy do niczego się zobowiązywać, jednak podjęcie przez nas tematów politycznych dałoby już Palestyńczykom poczucie, że spełniamy ich oczekiwania. Wzbudziłoby to wzajemne zaufanie. W ten sposób, zajmowalibyśmy się równolegle kwestiami bezpieczeństwa oraz sprawami politycznymi. Sądziłem, że takie podejście pozwoliłoby nam obejść przeszkodę, jaką było żądanie przez obie strony odmiennej kolejności działań.

Szaron nie był pewien, co sądzić o moim pomysłe.

- Dlaczego mielibyśmy zacząć od politycznych zobowiązań? - spytał mnie. - Wyjdzie na to, że załamujemy się i idziemy na ustępstwa pod presją zamachów terrorystycznych.

Nieufnie odnosił się do pomysłu poczynienia poważnych kroków politycznych. Odkryłby w ten sposób karty, a on nigdy tego nie robił. Arafat także nie. Nigdy nie dowiedziałem się, do czego każdy z nich naprawdę dążył, co uznawał za długoterminowe rozwiązanie.

Szaron oczywiście wolał, żeby najpierw zostały podjęte działania w zakresie bezpieczeństwa. Jestem przekonany, że gdyby palestyńskie siły

bezpieczeństwa współpracowały z Izraelem, Szaron zgodziłby się wycofać z pewnych obszarów, usunąć pewne punkty kontrolne. Sądzę, że był gotów wprowadzić w życie cały plan Teneta. Czy zgodziłby się potem na ustępstwa w sprawie żydowskich osiedli i innych delikatnych kwestiach (podobne jakie oferował Barak)? Czas miał to pokazać.

Palestyńczycy wątpili, żeby Szaron zechciał to zrobić. Byli przekonani, iż z zadowoleniem wcieliłby w życie plan Teneta, nie ustępując w kwestiach bezpieczeństwa, jednak zahamowałby postęp polityczny, kiedy tylko uznałby, że problem bezpieczeństwa został rozwiązany.

Zdawałem sobie sprawę, że nie można tego wykluczyć. Nie byłem pewien postępowania Szarona. Czy kontynuowałby proces polityczny, czy też nie? Nie umiem powiedzieć. Uważam, że na pewno był gotów go rozpocząć, ale czy doprowadziłby go do końca?

Jeśli chodzi o stronę przeciwną - myślę, że Arafat nie chciał nawet rozpoczynać jakiegokolwiek procesu.

Szaron i Arafat w końcu zgodzili się na powołanie komisji, ale z tego czy innego powodu nigdy nie udało się doprowadzić do jej ukonstytuowania się.

Przez trzy tygodnie próbowaliśmy coś rozpocząć, uzyskać ugodę w ramach Komisji Trójstronnej, powstrzymać przemoc. Nic z tego.

Wiedziałem, że czas ucieka i wkrótce wszystko się rozsypie.

Zamachy i uderzenia odwetowe nasilały się. Izraelczycy zabijali wyznaczonych przez siebie ekstremistów, ale czasem także i znajdujących się w pobliżu niewinnych ludzi. Sami ponosili liczne ofiary - niewinni Żydzi byli rozrywani na strzępy w autobusach czy kawiarniach przez

bomby zamachowców samobójców. Ci ostatni byli młodymi Palestyńczykami o wypranych mózgach, którzy nie mogli dłużej znieść losu swojego narodu. W pewnym momencie wiedziałem, że wystarczy jeszcze jedno krwawe zajście, a rozmowy zakończą się fiaskiem.

Stało się to 12 grudnia, kiedy zamachowiec samobójca wysadził w powietrze autobus w pobliżu żydowskiego osiedla Emmanuel. Zginęło 10 Żydów, a 30 odniosło rany. Podniosło to ogólną liczbę zabitych od czasu mojego przyjazdu do 44 osób i spowodowało u Izraelczyków utratę woli kontynuowania rozmów. Szykowali się do odwetu na dużą skalę. Zbombardowano główną kwaterę Arafata w Gazie, jego śmigłowce i wiele palestyńskich placówek rządowych.

Byłem głęboko zasmucony niepowodzeniem misji.

Niejednego wieczoru stałem na małym balkonie hotelowego apartamentu i patrzyłem na delikatnie podświetlone jerozolimskie Stare Miasto. Wiedziałem, że żadne miejsce na Ziemi nie było świadkiem takiej chwały i triumfu ani takiego smutku i krwawych ofiar, jak Jerozolima; a wszystko to w imię religii.

Zdecydowano, że mam wrócić do Stanów Zjednoczonych na konsultacje. Było to lepsze, niż gdybym tkwił bezradnie w Jerozolimie, podczas gdy rozkręcała się spirala przemocy i nie było nadziei na rychłe wznowienie rozmów.

Zanim odlecieliśmy, znowu dołączył do nas Bili Burns. Po drodze do domu wylądowaliśmy w Jordanii oraz w Egipcie, aby porozmawiać z królem Abdullahem i z prezydentem Mubarakiem. Dobrze znałem obydwu i dlatego niełatwo mi było ich odwiedzać po świeżo poniesionej porażce. Obaj mieli daleko idące oczekiwania wobec mojej misji i nadzieje na

pokój. Czułem ich rozczarowanie i frustrację.

Wróciłem do Stanów Zjednoczonych 17 grudnia, a 20 grudnia zdałem raport prezydentowi i sekretarzowi Powellowi. Wciąż byli zdeterminowani, by kontynuować misję i doprowadzić do zawarcia porozumienia. Ogromnie podniosło mnie to na duchu. Prezydent podziękował mi za wysiłek, a sekretarz Powell powiedział, żebym był gotowy na ponowny wyjazd do Izraela, kiedy sytuacja w tym kraju się uspokoi.

- Będę gotów tam powrócić w dowolnej chwili - zapewniłem.

W następnych dniach zarówno Szaron, jak Arafat przysłali prezydentowi Bushowi listy, w których prosili o mój powrót. W odpowiedzi prezydent podkreślił, że muszą zostać podjęte konkretne działania w celu powstrzymania przemocy. Sekretarz Powell miał jednak dla mnie nieco pomyślniejsze wieści. Poprosił mnie, żebym przygotował się do powrotu do Izraela po Nowym Roku... jeśli sytuacja w tym kraju się uspokoi.

Przez święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok rozmyślałem o minionym pobycie na Bliskim Wschodzie. Doszedłem do wniosku, że to ekstremiści dyktowali nam warunki - ilekroć wyglądało na to, że robimy postępy czy budzimy nadzieje na pokojowe rozwiązanie konfliktu, przypuszczali mściwe ataki, wiedząc, że przyniosą one uderzenia odwetowe i w konsekwencji rozmowy zostaną zerwane. Dopóki palestyńskie siły bezpieczeństwa nie włożą szczerego wysiłku w powstrzymanie zamachów terrorystycznych, nie może być nadziei na pokój.

Jeśli chodzi o moją pracę, to zdawałem sobie sprawę, że obie strony

konfliktu sprawdzały mnie przy każdej sposobności, próbując ocenić moje zaangażowanie i bezstronność. Były i pozytywy - czułem, że nawiązałem kontakty z przedstawicielami obu stron i zdobyłem zaufanie czołowych postaci. Z wyjątkiem kilku osób, którym sprawiało przyjemność uprawianie politycznego teatru (skandalizujące wypowiedzi, płomienne diatryby, krzyki), podobał mi się także skład Komisji Trójstronnej. Jednak po ewentualnym powrocie do Izraela zamierzałem położyć kres wrzaskom i bezowocnym potyczkom słownym. Czas na rozładowanie stresów i prężenie mięśni minął.

Moją najważniejszą opinią było: możemy osiągnąć postęp, jeśli zdołamy doprowadzić do choćby krótkotrwałego spokoju.

Śledziłem codziennie wiadomości i wyczułem, że sytuacja się uspokaja.

Palestyńczycy byli w desperacji - Izraelczycy zniszczyli główną siedzibę władz Autonomii w Gazie. Arafat został uziemiony w Ramallah - Izraelczycy nie wypuszczali go z kwatery. Palestyńczycy tracili kontrolę nad sytuacją i nie byli pewni następnego posunięcia Izraelczyków. Obawiali się, że być może Szaron postanowił zabić Arafata.

Izraelskie władze także znalazły się w kłopotliwym położeniu. Szaron próbował negocjacji - nie wyszło, teraz więc spróbował rozwiązania siłowego na dużą skalę. Wyglądało na to, że wyczerpał większość możliwości. Musiał zadawać sobie pytanie: „Co mam zrobić, żeby zakończyć tę sytuację bez wyjścia?” Znalazł się pod silną presją polityczną i nie wiedział, co robić dalej. Światowa prasa krytykowała go za potężne uderzenia odwetowe.

Myślę więc, że obie strony z różnych powodów czuły się

zdesperowane i przez to zdeterminowane, by wznowić rozmowy pokojowe.

Zdecydowano, żebym powrócił do Izraela natychmiast po Nowym Roku. Tym razem mieliśmy jednak spróbować innego podejścia - przyjechać na zaledwie cztery dni. Zebrać Komisję Trójstronną, przydzielić jej bardzo konkretne zadania i cele do osiągnięcia w ciągu dwóch-trzech tygodni. W tym czasie miał pojawić się tam na nowo Aaron, aby ocenić, czy są czynione jakieś znaczące postępy, jeśli tak się okaże, powrócę do Izraela, aby rozpocząć następną fazę procesu pokojowego.

Takie podejście miało kilka uzasadnień. Po pierwsze, musieliśmy wyeliminować ze spotkań teatralność. Pomyśleliśmy, że uczestnicy rozmów nie będą widzieli sensu w płomiennych tyradach bez mnie jako słuchacza. Po drugie, trzeba było zmusić obie strony do włożenia większego wysiłku we wzajemną komunikację i koordynację działań, co było łatwiej osiągnąć, jeśli my nie będziemy oceniać każdego ich zachowania i rozstrzygać, co dalej. Po trzecie, chcieliśmy nadać negocjacom mniejszą niż poprzednio rangę, żeby dziennikarze mniej się nimi interesowali - zainteresowanie środków masowego przekazu często działało destruktywnie. Po czwarte, rozmowy na niższym szczeblu, bez stałego udziału i presji z mojej strony, mogły osłabić wolę terrorystów posłużenia się zamachami do zerwania negocjacji.

## **Druga runda**

Aaron i ja poleciliśmy do Izraela 2 stycznia 2002 roku i wylądowaliśmy 3 stycznia.

Natychmiast po naszym wyjściu z samolotu Izraelczycy powiadomili nas o przygotowywanej operacji na morzu - z Iranu wypłynął na Morze

Czerwone statek o nazwie „Karine A”, z 50 tonami nielegalnej broni i amunicji zamówionymi przez Autonomię Palestyńską. Było to poważne pogwałcenie umowy z Oslo. Na jej mocy władze Autonomii mogły posiadać na potrzeby swoich sił bezpieczeństwa broń i amunicję pewnych typów i w określonej ilości. Mimo że w rzeczywistości mieli jej więcej, Izraelczycy przymykali na to oko, dopóki nadmiar broni stanowiła broń ręczna. Jednak na „Karine A” płynęły katusze, moździerze kalibru 120 milimetrów i inne uzbrojenie dużego kalibru, a także materiały wybuchowe, miny oraz ładunki burzące. Na nic z tych rzeczy umowa z Oslo nie pozwalała.

Izraelczycy zamierzali przejąć statek, kiedy wpłynie na wody międzynarodowe, co miało nastąpić około południa następnego dnia. (Operacja musiała się odbyć na wodach międzynarodowych, a nie na przykład saudyjskich).

Wiadomość wprawiła mnie w istną furię, byłem nią całkowicie zaskoczony. Nikt nie powiadomił nas o tej sytuacji przed naszym wylotem ze Stanów, a przecież groziła zaprzepaszczeniem naszych szans powodzenia, jeszcze zanim usiedliśmy do rozmów... Później, ku mojej ogromnej uldze, okazało się, że zarówno Izraelczycy, jak Palestyńczycy zachowali spokój i nie wykorzystali przejęcia statku jako wymówki uzasadniającej odstąpienie od spotkań Komisji Trójstronnej czy też proponowanego przez nas planu. Mimo to moja misja znów miała nie najlepszy początek.

Następnego poranka w rodzinnym gospodarstwie premiera Szarona na południu Izraela otrzymałem dalsze informacje o zbliżającej się operacji. Akcja miała nastąpić w południe, podczas mojego pierwszego



zaplanowanego spotkania z Arafatem w Ramallah. Przed opuszczeniem ziemi Szarona spytałem go, czy mógłbym powiadomić przewodniczącego Arafata o sprawie „Karine A”. Miałem ochotę zobaczyć wyraz twarzy Arafata, kiedy powiem mu o statku.

- Dobrze - zgodził się Szaron. - Ale proszę tego nie robić przed południem. Wtedy mamy zamiar dokonać desantu.

Przed południem spotkałem się jeszcze z przedstawicielami Kwartetu Bliskowschodniego, którzy ponownie wyrazili chęć współpracy z nami. Ponieważ mieli znaczący wpływ na Palestyńczyków, ich pomoc okazała się nieoceniona. Ułatwili podczas mojego pobytu w Stanach Zjednoczonych postęp w budowie zaufania pomiędzy negocjatorami. Stali przedstawiciele Kwartetu ogromnie wspomogli działania amerykańskiej ambasady i konsulatu.

Poleciałem do Ramallah, gdzie odbyłem jak zwykle przyjemne spotkanie z Arafatem, jeszcze raz obiecał podjąć działania niezbędne dla wcielenia w życie planu Teneta.

Nadeszło południe, przygotowaliśmy się do posiłku.

Hm, zastanawiałem się, czy powinienem przekazać mu wiadomość w czasie lunchu? - Pomyślałem chwilę. Nie, lepiej poczekam, aż zjemy.

Mniej więcej w połowie posiłku nagle zaczęli wokół biegać przerażeni ludzie; rozmawiali przez telefony komórkowe; sekretarze szeptali coś do ucha przywódcy. Rozumiem arabski na tyle, że nie miałem wątpliwości, co ich zaalarmowało. Dowiedzieli się o izraelskim ataku na „Karine A”.

Przyglądałem się Arafatowi, próbując ocenić jego reakcję. Wydawał się zmieszany, a jednocześnie wyglądał tak, jakby starał się zlekceważyć

znaczenie tego, co się stało. (Jednym z jego mechanizmów obronnych jest zaprzeczanie złym wiadomościom i udawanie, że zupełnie się nimi nie przejmuje; Arafat robi obie te rzeczy jednocześnie).

W końcu zapytałem go:

- Co się dzieje?

- Nic. Nie ma o czym mówić - odparł.

- Cóż - odpowiedziałem - wiem o „Karine A”. Wiem, jaki przewozi ładunek, a także to, że Izraelczycy zamierzali przeprowadzić operację przejęcia statku. Zdaje się, że właśnie to zrobili.

- Nieprawda! - zaprzeczył Arafat. - To nie był nasz statek. To izraelski spisek. Wszystko specjalnie upozorowali.

Uśmiechnąłem się sceptycznie, kręcąc głową.

Jednak później, po tym jak szypcer statku przyznał, że w sprawę zamieszana jest Autonomia Palestyńska, a w telewizyjnych wiadomościach zaroilo się od zdjęć statku i olbrzymich ilości znajdującej się na nim broni, Arafat przyrzekł przeprowadzić w tej sprawie śledztwo. Nigdy do niego nie doszło.

Tymczasem ostrzegłem podwładnych Arafata:

- Słuchajcie - powiedziałem - zastanówcie się lepiej dobrze, jak zamierzacie odpowiedzieć na to wydarzenie. Nie jestem pewien, czy próba zrzućenia winy na kogoś innego... albo głoszenie, że to był izraelski spisek, będzie dobrym pomysłem. Są dowody, które jednoznacznie wskazują na was. My oraz Izraelczycy wiemy, że pan przewodniczący Arafat zapłacił Irańczykom, kupił broń i wyczarterował statek; wiemy, że kapitan statku jest człowiekiem Autonomii Palestyńskiej, a on sam w tej chwili zeznaje i opowiada o tym wszystkim.

Sprawa niewątpliwie przybrała zły dla Palestyńczyków obrót.

W tym momencie Arafat zrzucił winę na jednego ze swoich ludzi. Było oczywiste, że to kozioł ofiarny. Ten człowiek nigdy nie byłby w stanie wysupłać tak wielkich pieniędzy bez wiedzy Arafata.

Nikt nie wątpił, że za wszystkim stoi Arafat. Przyłapano go na gorącym uczynku, i to nie było jakim. Byłem wprost zszokowany, że Izraelczycy nie powiedzieli w tej sytuacji, że gwizdzą na rozmowy pokojowe.

Naprawdę mnie zadziwili - zignorowali obłudne postępowanie Arafata. Po prostu darowali mu to. Odnieśli ogromny sukces militarny i byli z tego dumni - nie tylko dlatego, że przeprowadzili dobrze zorganizowaną operację wojskową, ale także dlatego, że w jej wyniku zyskali nad Arafatem przewagę.

- Nie, proszę rozpocząć rozmowy - uspokoił mnie. - Nie będziemy podejmować żadnych działań.

Jednak co dzień pokazywali opinii publicznej więcej zdjęć „Karine A” oraz znalezionej w jego ładowniach broni.

Tym razem dla odmiany inteligentnie rozegrali potencjalnie brzemienne w skutki sytuację. Zazwyczaj odpowiadali brutalnym atakiem wojskowym. Teraz w sprytny sposób zepchnęli Palestyńczyków na pozycje obronne.

Następny dzień spędziłem w Jerozolimie i Jerychu z urzędnikami Autonomii. Namawiałem ich do podjęcia poważnych działań przeciwko ekstremistom, którzy odpowiadali za eskalację przemocy, i - za pośrednictwem Komisji Trójstronnej - do realnych starań zrealizowania planu Teneta. Jak zwykle miałem wrażenie, że Palestyńczycy naprawdę

chcą postępów, jednak nie mogą podjąć żadnych realnych kroków, ponieważ nie mają na nie zezwolenia Arafata.

Szóstego stycznia odbyło się pierwsze w tej rundzie rokowań posiedzenie Komisji Trójstronnej. Wyłożyłem na nim plan. Byłem przy tym mile zaskoczony brakiem teatralnych wybuchów, jakie obserwowałem poprzednio. Wszyscy natychmiast zaakceptowali nasze propozycje wzajemnej współpracy i wyrazili zamiar realizacji zaproponowanych celów w sugerowanym czasie. Zacząłem myśleć, że być może nasze nowe podejście do organizacji negocjacji okazało się skuteczne. A sprawa „Karine A” mogła podziałać na wszystkich otężejąco. Nabrałem nowych nadziei.

Następnego dnia odlecieliśmy z Aaronem do Stanów w lepszym nastroju, niż byliśmy wcześniej. Nie mogłem się doczekać kolejnej wizyty w Izraelu.

W ciągu następnych dwóch miesięcy moje nadzieje opadły. Spirala przemocy rozkręcała się bowiem coraz okrutniej. Mnożyły się zamachy, Arafat nie robił nic specjalnego, żeby je powstrzymać, wiara prezydenta Busha w powodzenie procesu pokojowego słabła. W jego opinii sprawa „Karine A” na nowo radykalnie podważyła wiarygodność Arafata. Trudno było sobie wyobrazić, w jaki sposób palestyński przywódca miałby ją odzyskać. Teraz nawet członkowie tego samego ruchu politycznego, do którego należał Arafat, mało tego: nawet siły bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej brały udział w atakach wymierzonych przeciwko Izraelowi.

Wskutek tego wstrzymano mój powrót do tego kraju.

W lutym pojawił się promyk nadziei - następca tronu Arabii Saudyjskiej, książę Abdullah, wystąpił z godną uwagi ofertą: jeśli na

Bliskim Wschodzie zostanie zawarte porozumienie pokojowe, Arabia Saudyjska uzna państwo Izrael. Inicjatywę poparły 22 inne państwa arabskie.

Uruchomiło to dalszy bieg wypadków. Prezydent Bush uznał nową sytuację za szansę. Siódmego marca wiceprezydent Cheney, mając u boku sekretarza Powella, obwieścił w Ogrodzie Różanym przy Białym Domu, że wróć do Izraela, aby podjąć kolejną próbę dojścia do zawieszenia broni oraz wprowadzenia w życie planu Teneta. W tym czasie wiceprezydent i sekretarz Powell mieli osobiście polecieć na Bliski Wschód. Cheney zamierzał odwiedzić 10 państw, pod koniec podróży dołączając do mnie. Podjęto tym samym próbę wznowienia procesu pokojowego z udziałem urzędników na niemal najwyższym szczeblu. Ja miałem polecieć do Izraela w połowie marca.

### **Trzecia runda**

Wyruszyliśmy w stronę Izraela 13 marca na pokładzie samolotu linii Continental. Kiedy samolot zbliżył się do Tel Awiwu, pasażerowie zaczęli śpiewać pieśni o pokoju. Wiedzieli, że z nimi lecę, i śpiewali, aby zachęcić mnie do działania.

Od czasu naszej poprzedniej podróży wydarzyła się wielka liczba następujących po sobie zamachów i ataków odwetowych. Izraelczycy okupowali większość terytoriów palestyńskich, Arafata wciąż nie wypuszczano z jego kwatery w Ramallah. Stany Zjednoczone wywarły nacisk na Szarona, aby wycofał wojska z Autonomii równoległe z moim przyjazdem, by stworzyć pozytywny klimat dla rozpoczęcia mojej misji. Jednym z moich pierwszych zadań było zapoznanie się z odpowiedzią Szarona na nasze wezwanie.

Po wyjściu z samolotu jak zwykle najpierw pojechałem wysłuchać meldunków z sytuacji na miejscu. Natychmiast potem ruszyłem do premiera Szarona. Miał pomyślne wieści - zamierzał wycofać izraelskie wojska z Rejonu A - tych części terytorium Autonomii Palestyńskiej, które zgodnie z dawniejszymi ustaleniami miały pozostawać pod kontrolą palestyńskich sił bezpieczeństwa\*[\* Na mocy Umowy z Oslo terytoria okupowane przez Izrael zostały podzielone na trzy rejony - A, B i C. W rejonie A porządek miały utrzymywać siły palestyńskie, a Izraelczycy mieli do niego nie wkraczać. Kontrola nad rejonem B miała mieć pewnego rodzaju status przejściowy. Rejon C składał się z osiedli żydowskich i ich bezpośrednich okolic. Kiedy zaczęła się seria zamachów, Izraelczycy w wielu miejscach wkroczyli do rejonu A. Było to pogwałcenie umowy, jednak tłumaczyli swoje postępowanie potrzebą zapewnienia bezpieczeństwa swojemu państwu.].

Cieszyłem się, że mój pobyt w Izraelu zaczyna się od pozytywnego wydarzenia, jednak zdawałem sobie sprawę, że gesty dobrej woli nie trwają w miejscowym środowisku długo.

Drugiego dnia sytuacja powróciła do punktu wyjścia. Dziewięcioro palestyńskich dzieci zginęło na minie w Gazie, w pobliżu pozycji izraelskich sił bezpieczeństwa chroniących żydowskie osiedla. Jest niemal pewne, że minę podłożyli Izraelczycy, aby zabiła ludzi, którzy ewentualnie spróbowaliby podejść blisko posterunku i otworzyć do nich ogień. Tymczasem poszły tam dzieci, zapewne w celu niewinnej zabawy, i mina wybuchła. Posypały się oskarżenia: czy nie była to aby mina zdalnie odpalana przez izraelskich żołnierzy? A jeśli tak, to czy świadomie i celowo zamordowali palestyńskie dzieci?

Jakakolwiek jest prawda, po tym incydencie Palestyńczycy mieli okazję oskarżać Izraelczyków. A moja misja stała się trudniejsza.

Jednak podczas spotkań, jakie przez następnych kilka dni odbywałem z wysokimi urzędnikami obu stron, a także najważniejszymi członkami Komisji Trójstronnej, wyczuwałem o wiele większą chęć i gotowość do uruchomienia procesu pokojowego niż kiedykolwiek dotąd. Zadałem wszystkim pracę domową na czas mojej nieobecności i wykonano ją: poprosiłem mianowicie strony o spisanie listy spraw, co do których mogą się zgodzić, oraz tego, jak ową zgodę rozumieją. Poprosiłem także o sporządzenie protokołu rozbieżności, abyśmy mogli skupić się na nim.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu obie strony nie różniło tak wiele. Spodziewałem się debat na każdy temat, jakikolwiek by on był. Nic takiego się nie zapowiadało. Stanowiska były bardzo zbliżone. Od razu można było zacząć od pracy nad konkretnymi szczegółami.

Pierwsze posiedzenia Komisji Trójstronnej przebiegły bardzo zachęcająco. Nie wygłaszano oświadczeń politycznych ani płomiennych oskarżeń, nie wykonywano teatralnych gestów. Wszyscy byli gotowi do pracy. Każda ze stron przygotowała wstępny projekt realizacji planu Teneta, wyszczególniając kroki, które należało jej zdaniem podjąć, oraz czas niezbędny do ich realizacji.

Na kolejnych spotkaniach zdołaliśmy ogromnie zmniejszyć pozostające dotąd różnice zdań. Mogłem zameldować Waszyngtonowi, że rokowania postępują znakomicie. Czułem, że jeśli nowe zamachy terrorystyczne wszystkiego nie zniweczą, możemy zacząć wcielać postanowienia w czyn. Realizować cel, w którym została obmyślona moja

misja.

Trzeciego dnia zdarzył się pierwszy zamach terrorystyczny.

Cholera, pomyślałem. Teraz Izraelczycy przeprowadzą atak odwetowy i z naszych postępów nic nie będzie.

Tymczasem Izraelczycy ku mojemu zaskoczeniu nie mścili się. Dawało nam to możliwość kontynuowania procesu... dopóki nie zdarzą się następne zamachy.

Wiceprezydent Cheney odwiedził nas w dniach 18-19 marca. Spotkaliśmy się z najwyższymi władzami Izraela, jednak stwierdziliśmy, że Cheney nie powinien widzieć się z Arafatem, zanim ten nie zrobi więcej dla ukrócenia zamachów terrorystycznych. Przekazałem Arafatowi wiadomość, że Cheney jest gotów spotkać się z nim w Kairze, tydzień po zaproponowaniu mu terminu, jeśli tylko zobaczymy widoczny postęp w powstrzymywaniu ataków terrorystów.

Arafat był rozczarowany tym, że Cheney nie chce się z nim spotkać. Arafat kocha bowiem wielkie wydarzenia, czerwone dywany i kamery. Uwielbia występować na światowej scenie i spotykać się z głowami państw. Tymczasem Szaron od czterech miesięcy nie wypuszczał go z Ramallah. Kiedy więc zaoferowałem Arafatowi możliwość wyjazdu do Kairu na spotkanie z Mubarakiem i Cheneyem, jego twarz pojaśniała. Wyrwałby się z przytłaczającego go aresztu domowego.

Sądziliśmy, że będziemy w ten sposób w stanie nakłonić Arafata do wydania rozkazów zdecydowanego działania, to znaczy aresztowania przywódców terrorystów i konfiskaty ich broni. Myliliśmy się. W ciągu następnych dwóch dni w dwóch samobójczych zamachach bombowych zginęli kolejni Izraelczycy - jeden zamach miał miejsce na ulicy, drugi w



autobusie. Arafat nie zrobił nic.

Tymczasem w Waszyngtonie prezydent oraz wiceprezydent ogłosili, że to ja mam określić, czy Arafat powinien zostać dopuszczony do spotkania z Cheneyem. Dzięki! - pomyślałem. Wszak wiedzieli, że Szaron jest przeciwny spotkaniu z udziałem Arafata; w Stanach Zjednoczonych także sprzeciwiano się spotkaniom z Arafatem - zrzucili więc ciężar odpowiedzialności na mnie.

Cóż, jestem dorosły i poradzę sobie, pomyślałem. Musiałem jednak zachowywać się ostrożnie.

Popatrzyłem na Arafata i powiedziałem mu, co musi zrobić, i kiedy został podstawiony pod ścianą - nie zrobił tego. Dwudziestego trzeciego marca oznajmiłem Arafatowi, że spotkania nie będzie. Przyjął to ze smutkiem, był wyraźnie rozczarowany.

Jakimś sposobem zdołaliśmy prowadzić rokowania dalej pomimo zamachów i innych stojących na naszej drodze przeszkód. Robione przez nas postępy sprawiały, że powstrzymywano się od akcji odwetowych. Wszyscy widzieli, że jesteśmy już bardzo blisko porozumienia.

Dwudziestego czwartego marca podjąłem decyzję, której później pożałowałem. Ponieważ stanowiska obu stron różniły się teraz zaledwie w kilku punktach, chciałem doprowadzić do zawarcia porozumienia. Było jednak jasne, że nie zdążymy, zanim cierpliwość wszystkich się wyczerpie - krwawe incydenty nie ustawały. Zdecydowałem się więc przedłożyć moje własne propozycje, żeby szybko zakończyć rokowania, usuwając pozostałe rozbieżności. Kiedy zaczynaliśmy rokowania, wyjaśniłem wszystkim jasno i dobitnie, że nie będzie żadnego „planu Zinniego”. Dość już napisano planów dla Bliskiego Wschodu. Obejmowały wszystkie

możliwe sprawy. Każdy wiedział, co należy zrobić. Problemem było tylko osiągnięcie zgody na zrobienie tego wszystkiego. Zawsze byłem przekonany, że Izraelczycy i Palestyńczycy sami muszą ową zgodę wypracować.

A jednak nie potrafiłem oprzeć się pokusie zakończenia sporów.

To właśnie - likwidację pozostałych jeszcze luk w ugodzie i różnic - miał na celu plan znany jako „Propozycje pomostowe Zinniego”. Miały być tylko pomostem ponad rozbieżnościami.

Starałem się dać wszystkim jasno do zrozumienia, że moje propozycje nie są żadnym ultimatum.

- To są propozycje, nie wymagania - oznajmiłem wszystkim zainteresowanym. - Nie musicie ich akceptować, jeśli nie jesteście w stanie, nie ma problemu. Mówię to każdej ze stron. Jeżeli ich nie przyjmiecie, po prostu przestaniemy się nimi zajmować i będziemy dalej pracować nad osiągnięciem porozumienia.

Kiedy przedstawialiśmy omawiane propozycje, trwały akurat przygotowania do dorocznego szczytu Ligi Arabskiej. Miał się zacząć dwudziestego piątego, w Bejrucie. W powietrzu wisiały podówczas dwie kwestie. Pierwsza - czy Szaron pozwoli Arafatowi na udział w szczycie? - skupiała na sobie uwagę środków masowego przekazu oraz wypowiedzi polityków. Odbywało się to kosztem drugiej, o wiele ważniejszej - sprawy propozycji następcy tronu Abdullaha, aby uznać państwo Izrael. Propozycja miała zostać oficjalnie przedłożona podczas szczytu. Gdyby ją przyjęto, byłby to olbrzymi krok naprzód.

Działaliśmy pod ogromną presją czasu. Gdybyśmy zdołali osiągnąć porozumienie przed arabskim szczytem, wówczas Arafat mógłby na niego

pojechać, wygłosić przemówienie i pławić się w chwale, a uczestnicy szczytu skupiliby się na historycznej propozycji księcia Abdullaha, a nie na problemach Jasera Arafata.

Tymczasem Izraelczycy mieli wiele wątpliwości względem moich propozycji, jednak obiecali je przeanalizować i dać mi szybką odpowiedź. Analiza nie zajęła im dużo czasu, jednak w jej efekcie przedstawili mi 13 poważnych obiekcji. Uznali, że chyba nie będą w stanie zaakceptować tych propozycji.

- Zastanowimy się jeszcze trochę nad tym wszystkim - powiedzieli - ale wygląda na to, że nie możemy się zgodzić.

Czekałem więc. Izraelscy przywódcy się zastanawiali, niektórzy z doradców Szarona (w tym radykalni, jak Mofaz) spotykali się z premierem. Debata przeciągnęła się aż do nocy, ale zakończyła się następującą konkluzją:

- Wprawdzie mamy poważne obiekcje, ale przystańmy na propozycje Zinniego. Zaakceptujmy jego plan taki, jaki jest. Nie bądźmy oskarżani o to, że to my hamujemy proces pokojowy. Niech postępuje naprzód.

Dwudziestego szóstego Izraelczycy oznajmili mi, że przyjęli moje propozycje bez zastrzeżeń. Byłem wniebowzięty. Spodziewałem się, że bardzo trudno będzie uzyskać zgodę strony izraelskiej i że negocjacje z nią w sprawie moich propozycji zajmą nam bardzo dużo czasu. Jakimś sposobem zdobyli się jednak na akceptację całego planu.

Palestyńczycy mieli tylko trzy zastrzeżenia. Dwa dotyczyły drobnych spraw administracyjnych, z którymi łatwo sobie poradziliśmy, ale trzecie zatrzymało cały proces. Chcieliśmy, aby sytuacja w zakresie bezpieczeństwa powróciła do stanu sprzed rozpoczęcia drugiej intifady we

wrześniu 2000 roku, i moje propozycje pomostowe zawierały scenariusz działań, które miały, jedno po drugim, doprowadzić do takiego stanu rzeczy. Określenie tego, czy należy już wejść w kolejną fazę scenariusza, czy też jeszcze nie, miało zależeć od konkretnych zdarzeń monitorowanych przez zaproponowane przez nas zespoły. Komisja Trójstronna miała zatwierdzać wyniki obserwacji. Propozycja dodatkowo obejmowała powołanie komisji arbitrażowej na wysokim szczeblu złożonej z przywódców Stanów Zjednoczonych, Izraela i Autonomii Palestyńskiej, która rozstrzygałaby wszelkie powstałe w trakcie całego procesu spory. Wreszcie obie komisje miałyby prawo decydować o wkraczaniu w dalsze fazy procesu, nawet jeśli w wyznaczonym czasie nie byłyby zakończone niektóre z przewidzianych kroków, jeżeli tylko widać by było wyraźnie dobrą wolę ich realizacji.

Palestyńczycy nie chcieli, aby cały proces zależał od działań, których realizacja byłaby monitorowana - takich jak aresztowania czy konfiskaty broni - i podkreślali to bardzo stanowczo. Prywatnie niektórzy z nich przyznawali, że Arafat nigdy nie wyda rozkazu przeciwstawienia się organizacjom terrorystycznym, niezależnie od tego, co nam powiedział. A bez jego rozkazu żadnemu dowódcy sił bezpieczeństwa nie wolno było działać.

Miałem nadzieję, że wypracujemy zgodę w tej kwestii, jednak zaczynałem czuć, że Arafat wcale nie ma zamiaru podejmować działań opisanych w planie Teneta, na który w zasadzie się zgodził. Uważam, iż Palestyńczycy liczyli na to, że Izraelczycy poczują się zmuszeni do zaakceptowania dających się ocenić kroków, jakie musieli wykonać - takich jak wycofanie wojsk - podczas gdy oni, Palestyńczycy, zaledwie

spróbują przekonać drogą słownej perswazji ugrupowania terrorystyczne do zawieszenia broni.

Teraz to strona palestyńska była pod presją, jednak nie byłem w stanie zmusić jej do udzielenia mi odpowiedzi.

- Dobrze - powiedziałem w końcu - rozumiem, że nie akceptujecie moich propozycji. Wycofuję je zatem. Nic się nie stało. Wracajmy do rokowań w ramach Komisji. Musimy kontynuować proces pokojowy.

- Nie, pańskie propozycje są nadal aktualne - odpowiedzieli Palestyńczycy. Nie chcieli odrzucać propozycji, obawiając się negatywnych reakcji na taką decyzję. - Nie sprzeciwiamy się im - mówili.

- Chcemy tylko podyskutować o nich trochę dłużej.

- Musimy się spieszyć! - odparłem. - Nie ma czasu! Potrzebuję waszej odpowiedzi!

Tymczasem inne państwa arabskie usłyszały o moich propozycjach i ich przywódcy zaczęli wywierać na Arafata silną presję, żeby je zaakceptował.

Jednocześnie cały czas wisiało w powietrzu pytanie, czy Arafatowi zostanie udzielone pozwolenie na podróż do Bejrutu. Ponieważ Szaron nie skłaniał się do tego, żeby je wydać, Palestyńczycy poszukiwali środków zastępczych, które umożliwiłyby ich przywódcy wygłoszenie przemówienia na szczycie Ligi Arabskiej. Mieli pomysł zorganizowania telemostu. Zagadnienie absorbowало Palestyńczyków do tego stopnia, że nie byli w stanie zajmować się niczym innym. Odłożyli na bok moje propozycje.

Postępowanie Szarona sprawiało, że Arafat był postrzegany jako bohater, męczennik i ofiara. Rząd Stanów Zjednoczonych naciskał więc na

Szarona, aby pozwolił Arafatowi lecieć. Jednak nienawiść między nimi dwoma była tak wielka, że izraelski premier nie był w stanie się na to zdobyć. Oczywiście wzmagало to popularność Arafata wśród palestyńskiego społeczeństwa i umacniało go w przekonaniu, że to, co robi, ma sens. Był to błąd Szarona. Szczyt państw arabskich rozpoczął się dwudziestego piątego bez Arafata. Nawet do telemostu nie udało się doprowadzić.

Czas uciekał.

Dwudziestego siódmego marca przypadało święto Paschy. Przyjąłem zaproszenie na seder - uroczysty posiłek spożywany w to święto - do żydowskiej rodziny. Podczas sederu podano wiadomość o straszliwym w skutkach samobójczym zamachu bombowym na świątecznym przyjęciu w restauracji jednego z hoteli. Zamach ów odbił się szerokim echem w izraelskim społeczeństwie. To był ich 11 września.

Natychmiast wiedziałem, że negocjacje pokojowe dobiegły końca.

Wkrótce potem rozmawiałem z izraelskim ministrem obrony Ben Eliezerem.

- Nie wiem, co zrobimy - powiedział. - Ale jesteśmy gotowi do odwetu. I jeśli go przeprowadzimy, musi być to odwet na dużą skalę. Prawdopodobnie zakończy to na razie rozmowy pokojowe. Jedynym sposobem na ocalenie procesu pokojowego jest przyjęcie przez Arafata pańskich propozycji pomostowych.

Zadzwońm więc do Arafata.

- Musi pan potępić w jak najmocniejszych słowach zamach, do którego doszło - powiedziałem. - A także podjąć decyzję w sprawie propozycji pomostowych. Musi pan to zrobić, abyśmy mieli materiał do

kontynuowania rozmów. W przeciwnym razie Izraelczycy dokonają odwetu na dużą skalę.

Arafat jękał się i stękał, ale nie udzielił mi odpowiedzi, wtedy ani nigdy. Pozostali wysocy urzędnicy Autonomii Palestyńskiej naciskali na niego, aby zaakceptował propozycje pomostowe. Zdawali sobie sprawę z tego, co się stanie, jeżeli tego nie zrobi.

Niezadowolenie przywódców pozostałych państw arabskich stanowiło dla Arafata problem. Nie chciał zepsuć stosunków z nimi, więc musiał zrzucić winę na kogoś innego (nie jest skłonny do akceptowania własnych win). Zrzucił ją więc na mnie (czym byłem zaszokowany). Oskarżył mnie o spiskowanie z Izraelczykami.

- Propozycje pomostowe są częścią spisku mającego na celu wymuszenie na nas niemożliwych do przyjęcia warunków - powiedział przywódcom świata arabskiego. Podlegli Arafatowi palestyńscy oficjele powtarzali jego oskarżenia w telewizji.

Rozsierdziłem się. Zacząłem telefonować do niektórych spośród tych Palestyńczyków, których uważałem za swoich dobrych znajomych i po których nie spodziewałem się wygłaszania fałszywych oskarżeń pod moim adresem. Byłem na nich naprawdę bardzo rozgniewany.

- Spokojnie, to tylko polityka - odpowiadali. - Wiemy, że to wszystko nieprawda, ale niech pan nie bierze tego, co mówimy, do siebie. Po prostu musimy to mówić.

Tego rodzaju odpowiedzi rozzłościły mnie jeszcze bardziej.

Uspokoilem się nieco, kiedy zaczęli dzwonić do mnie ze słowami otuchy arabscy przyjaciele, tacy jak książę Bandar - saudyjski ambasador w Stanach Zjednoczonych. Nie wierzyli w palestyńskie oskarżenia, wciąż

ufali w moją uczciwość i wyrażali podziw dla moich wysiłków. Te telefony ogromnie podniosły moje morale.

Musieliśmy w tej sytuacji czekać na izraelski odwet. Wiedziałem, że nastąpi niedługo. Podczas gdy nań czekałem, zdałem sobie sprawę z kilku rzeczy; wszystkie razem były dla mnie ciosem. Po pierwsze, uświadomiłem sobie, że w żadnym momencie nie byliśmy bliscy osiągnięcia porozumienia. Arafat nigdy bowiem nie zamierzał powstrzymać Hamasu. Po drugie, propozycje pomostowe Zinniego były fatalnym pomysłem. Przedkładając własne propozycje, dałem Arafatowi sposobność do zrzucenia winy za fiasko procesu na mnie. (Izraelczycy mogli zrobić to samo). I zrobił to. Powiedział, że propozycje były proizraelskie (choć w rzeczywistości to Izraelczycy mieli w stosunku do nich więcej obiektywności niż Palestyńczycy; poważnie obawiali się, że być może nie powinni się na nie godzić). Doprowadziły one do tego, że Palestyńczycy mieli wymówkę, którą mogli uzasadniać fiasko rokowań pokojowych i rozgłaszać to w całym świecie arabskim. Nie powinienem był nigdy stwarzać im takiej możliwości. Bez niej musieliby sami wziąć na siebie odpowiedzialność za własne postępowanie.

W zaistniałej sytuacji Waszyngton zdecydował się nie ściągać mnie do domu, ale pozostawić na miejscu, mimo że normalną reakcją na taki, a nie inny bieg wydarzeń byłby mój powrót. Decyzja naszego rządu była roztropna.

Następnego tygodnia Izraelczycy przeprowadzili potężne uderzenie na Palestyńczyków. Śledziliśmy bezradnie, jak praktycznie wszystkie budynki rządowe Autonomii Palestyńskiej zamieniają się w gruzy. Wzrastała liczba ofiar; Mukata - kwatery Arafata - była oblężona i na wpół



zniszczona. Otoczono także Bazylikę Narodzenia w Betlejem oraz dowództwo palestyńskich sił bezpieczeństwa na Zachodnim Brzegu Jordanu. Trwał niszczycielski atak na miasto Dżenin.

Pełniliśmy w tym czasie rolę agencji zarządzania kryzysowego - telefonowali do nas zdesperowani Palestyńczycy, prosząc o pomoc humanitarną w związku z najróżniejszymi dramatycznymi sytuacjami. Staraliśmy się robić, co w naszej mocy, aby zareagować na każdą prośbę. Nieustannie prosiliśmy przy tym Izraelczyków, żeby wycofali się z niektórych miejsc, aby przepuścić pomoc dla znajdujących się w skrajnym położeniu ludzi. Rzecz jasna Izraelczycy nie byli w nastroju do podporządkowywania się tym żądaniom. Mimo to zawsze byliśmy w stanie dotrzeć do odpowiednich osób na miejscu akcji i wywierać presję na nich.

Pojawiło się mnóstwo pytań o to, czy powinniśmy robić to, co robiliśmy. Czy takie było nasze zadanie? Można było odpowiedzieć, że nie było nikogo innego, kto zajmowałby się tym, czym my.

- Tak, powinniśmy to robić - odpowiadałem. - Skoro ratujemy ludzkie życie, musimy to robić dalej.

Staliśmy się czymś w rodzaju telefonicznego centrum ratownictwa, koordynującego działania różnych czynników. Myślę, że ocaliliśmy życie pewnej liczbie osób.

Jednocześnie pracowaliśmy nad tym, żeby izraelskie ataki jak najszybciej się zakończyły. Prezydent Bush i przywódcy wielu innych państw świata wzywali Izrael do powściągliwości - do powstrzymania ataków i wycofania się.

Podczas gdy oblężenie trwało, stawało się coraz bardziej

prawdopodobne, że Arafat poniesie śmierć lub, jeśli to nie nastąpi, że zostanie wygnany z terytoriów palestyńskich i Izraela.

Mukata - kwatera Arafata - zaczęła przypominać Berlin wiosną 1945 roku. Była otoczona przez izraelskie czołgi i żołnierzy, wszędzie widać było destrukcję, ściany budynków były częściowo zburzone, samochody na parkingu - zniszczone. Wszystko przykrywały kłęby dymu i pyłu.

Nikt z nikim nie rozmawiał. Szaron chciał całkowicie odizolować Arafata od świata zewnętrznego. Nikt nie mógł wejść do jego kwatery. W odpowiedzi Arafat zabronił swoim ludziom spotykania się z kimkolwiek do czasu zakończenia oblężenia. Chyba żeby ktoś przyszedł do Mukaty na rozmowy.

Szaron nie odpowiadał na żądania prezydenta Busha, aby zaprzestał ataków oraz wtargnąć na terytoria palestyńskie. W tej sytuacji było ważne, abym nie przyglądał się wszystkiemu biernie, ale nieustannie nalegał na rozmowy i spotkania, by zasygnalizować, że nasza misja się nie zakończyła. Postanowiłem przełamać impas i odwiedzić Arafata, w nadziei na wznowienie rokowań pokojowych. Szaron nie sprzeciwił się mojej wizycie. Ochroniający mnie ludzie założyli więc czarne hełmy i pancerze z kewlaru, zabrali ze sobą całe wyposażenie, jakie mają jednostki antyterrorystyczne, i wyruszyliśmy.

Odczuwaliśmy napięcie, przejeżdżając 500 metrów ziemi niczyjej pomiędzy pozycjami izraelskich wojsk a zbombardowaną kwaterą Arafata, gdzie palestyński przywódca zabarykadował się wraz ze swoimi siłami bezpieczeństwa. Kiedy dziennikarze dowiedzieli się, że jadę do Arafata, powyskakiwali z kryjówek; jednak Izraelczycy zaczęli do nich strzelać, odpędzając ich (z kilku kamer zdołano zrobić zdjęcia).

Przeszedłem ostatnie metry piechotą i znalazłem się przy pokieroszowanym budynku. Okna były pozabijane, ściany - poniszczone pociskami czołgowymi, w drzwiach czaili się palestyńscy strzelcy z karabinami. Musiałem ich minąć i przejść przez rumowisko, aby zobaczyć się z Arafatem.

Amerykańscy i europejscy aktywiści z organizacji pokojowych zdołali jakimś sposobem przedostać się przez izraelskie oblężenie. Korytarze były nimi przepełnione, mieszkali tam. Ledwie mieścili się w budynku. W Mukacie nie było prądu, nie działały telefony (zauważyłem także na zewnątrz izraelską furgonetkę z zagłuszarką fal radiowych). Wody było niewiele, jedzenia prawie nie było. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Sytuacja przedstawiała się ponuro.

Spotkałem się z Arafatem w niedużym, słabo oświetlonym pomieszczeniu; w zasięgu ręki palestyńskiego przywódcy leżał karabin półautomatyczny. Wszyscy jego podwładni wyglądali jak cienie, wyczerpani fizycznie i psychicznie. Jednak twarz Arafata jaśniała, był pogodny i ożywiony. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak skoncentrowanego. Oblężenie obudziło w nim wojownika.

- Jestem oblężony - zakomunikował dramatycznym tonem, ciesząc się chwilą, w której mógł mi to oznajmić. Dla takich właśnie momentów żył. Oto stary rewolucjonista w swoim żywiole.

Nie przeszkadzało mi, że Arafat dobrze się bawił. Przyjechałem jednak do niego, aby przerwać impas pomiędzy nim a Szaronem. Na szczęście udało się. Arafat zgodził się, żebym porozmawiał z jego ludźmi. Dzięki temu byłem w stanie podtrzymać nasz kontakt z nimi.

Spotkałem się z niektórymi palestyńskimi przywódcami w

nieczynnym z powodu konfliktu kasynie w Jerychu. Było to ponure spotkanie. Dyskutowaliśmy podczas niego, co robić dalej, w którą stronę zmierzać. Osiągnęliśmy pewien postęp. Zapobiegliśmy niektórym zagrożeniom. Dzięki naszemu spotkaniu Izraelczycy odstąpili od oblężenia kilku miejsc. Prawdopodobnie ocaliliśmy życie iluś osób. Wiele więcej nie osiągnęliśmy.

Wiedziałem, że procesu pokojowego już nie ma.

W Niedzielę Wielkanocną uczestniczyłem we mszy z ojcem Peterem w Bazylice Grobu Świętego, spacerowałem też po ogrodzie Getsemani, gdzie Chrystus modlił się, zanim został zdradzony i ukrzyżowany. Rosnące tam drzewa oliwne - duże, sękate, stare - pamiętały Jego czasy.

Wszystko to dało mi tak wówczas potrzebną podbudowę duchową... choć muszę powiedzieć, że potrafię sobie całkiem nieźle wyobrazić, jak zapewne czuł się Chrystus w tym ogrodzie.

Jedenastego kwietnia przyleciał sekretarz Powell z zamiarem powstrzymania izraelskich ataków. Zamach bombowy dokonany w święto Paschy był ciosem w samo serce Izraelczyków. To po nim Szaron ostatecznie spisał Arafata na straty. Nie mógł z tym człowiekiem dojść do niczego. Kategoriecznie odmawiał mu prawa do dalszego działania.

Sekretarz Powell i ja spotkaliśmy się z przywódcami Izraela, a potem pojechaliśmy zobaczyć się z Arafatem w jego zniszczonej kwaterze. Dołożyliśmy wszelkich starań, aby złagodzone oblężenie. Przeszkodą na drodze do tego był fakt, że wewnątrz Mukaty znajdowało się dwóch ludzi poszukiwanych przez Izraelczyków. Kilka miesięcy wcześniej zamordowali oni izraelskiego ministra turystyki Zewiego; Arafat odmawiał ich wydania. Izraelczycy byli bliscy podjęcia decyzji o szturmie

na budynki. Gdyby coś złego stało się Arafatowi - nieważne co, czy zostałyby zabity, ranny, pojmany bądź wygnany - mogłoby to spowodować katastrofalne skutki. Wypracowaliśmy więc ugode. Dwaj mężczyźni mieli zostać osadzeni w więzieniu w lerychu przez Palestyńczyków, ale ich uwięzienie mieli nadzorować Amerykanie i Brytyjczycy. Spotykaliśmy się także z innymi osobami, aby złagodzone oblężenia innych miejsc na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Przez następne kilka dni sekretarz Powell, Bili Burns i ja staraliśmy się znaleźć sposób na uratowanie naszej misji, jednak najbliższa przyszłość przedstawiała się nadzwyczaj ponuro. Pod koniec tych spotkań sekretarz Powell chyba także stracił wiarę w wolę Arafata poczynienia postępów na drodze procesu pokojowego. Wkrótce po powrocie Powella do Stanów prezydent podjął decyzję, że nie możemy dłużej rozmawiać z Arafatem. Uznał jego przypadek za beznadziejny. Zdecydował w związku z tym, że Autonomia Palestyńska musi zostać zreformowana. W czerwcu Stany Zjednoczone miały już wypracowane bardziej konkretne stanowisko w tej sprawie. Nie mieliśmy zamiaru zajmować się Bliskim Wschodem do czasu, aż Autonomia zostanie zreformowana, a Arafat zastąpiony kimś innym.

W tym czasie jedna z moich córek szykowałą się do zamążpójścia. Chciałem wrócić do domu na jej ślub. Ponieważ nikt się temu nie sprzeciwił, przygotowałem się do wyjazdu, obiecując powrócić, gdybym był potrzebny. Opuściłem Izrael 15 kwietnia.

Przez następny rok proces pokojowy był martwy. Moja umowa z Departamentem Stanu wciąż pozostawała w mocy, jednak było jasne, że więcej nie zostanę na jej podstawie wezwany.

W następnych miesiącach po moim wyjeździe z Izraela spotykałem się z Izraelczykami i Palestyńczykami przy różnych okazjach, w szczególności podczas seminariów IGCC w Brukseli i Atenach. Za każdym razem pytano mnie, kiedy wrócę. Musiałem ze smutkiem odpowiadać, że wątpię, żebym został posłany jeszcze raz.

Pierwszego marca 2003 roku zrezygnowałem ze swojego stanowiska w Departamencie Stanu. Nie miało sensu, żebym pozostawał związany umową i nosił tytuł specjalnego doradcy sekretarza stanu, podczas gdy wiedziałem, że więcej mnie nie wezwą. Poza tym wtedy wyrażane przeze mnie obawy w związku ze zbliżającym się uderzeniem na Irak sprawiły, że stałem się w kręgach amerykańskiej administracji niemile widzianą osobą.

Co mogliśmy zrobić inaczej?

Po pierwsze, nie powinno być kolejnego specjalnego wysłannika. Duże oczekiwania i skupiona na nas uwaga dziennikarzy utrudniały sukces naszej misji. Byłem osobą na świeczniku, a tymczasem nastąpiła już pora na pracę u podstaw, a nie zapowiadane wszem i wobec postaci.

Po drugie, całą naszą misję można by przyrównać do zapalenia małej zapalki, przeniesienia za jej pomocą ognia na cieniutki lont i trwania w nadziei, że będzie palił się równo aż do samego końca. To znaczy, próbowaliśmy skonstruować pokój, posuwając się po wąskiej ścieżce kolejnymi krokami. Wszystko zależało nie tylko od całej ich sekwencji, ale od każdego pojedynczego, niepewnego kroku. Kroczyliśmy tą ścieżką pod intensywną obserwacją środków masowego przekazu, narodów i ich przywódców. Zbyt łatwo odwrócić w takich warunkach uwagę idącego. Zbyt łatwo źle postawić stopę. Zbyt łatwo zaatakować. A wtedy szansę na pokój przepadają.

Zamiast tego powinniśmy wysłać liczną delegację, w skład której wchodziłyby cztery grupy specjalistów - od polityki, bezpieczeństwa, gospodarki oraz nadzoru. Delegacja powinna składać się z Amerykanów, z ludzi Kwartetu Bliskowschodniego i ze wszelkich wysłanników wspólnoty międzynarodowej, jakich zdołalibyśmy nią zainteresować. W ten sposób moglibyśmy zapalić tysiąc ognisk, a nie tylko jeden lont i pojedynczą zapałkę. Powinniśmy podjąć wiele pozytywnych działań na niewielką skalę, zrobić tysiące małych kroków na drodze współpracy. Musimy wyruszyć do takich miast jak Jerycho, gdzie nie ma wielu problemów, i rozpocząć jakieś przedsięwzięcia. Powinniśmy także uruchomić jakieś wspólne, modelowe projekty - projekt gospodarczy tu, ugoda dotycząca bezpieczeństwa ówdzie. Podczas gdy staralibyśmy się kontynuować budować na kanwie planów Teneta i Mitchella czy też zaproponowanej przez prezydenta Busha „mapy drogowej” (ten przedłożony w czerwcu 2002 roku plan pokrywa się z nimi w znacznym stopniu), jednocześnie ożywiałyby proces pokojowy inne działania, generujące aktywność po obu stronach konfliktu i stwarzające poczucie realnego głębokiego postępu, wzmagającego nadzieje na pokój. Postęp będzie powolny, ale za to na szerokim froncie. W swoim czasie dojdziemy do końca drogi.

Po trzecie, Autonomia Palestyńska musi zostać ukształtowana na nowo. Ale tym, którzy są w stanie temu wyzwaniu sprostać, jak Mahmud Abbas czy Ahmed Korei, musi zostać udzielone wsparcie, muszą mieć realną polityczną siłę. Może ona nadejść jedynie w postaci konkretnego poparcia dla nich ze Stanów Zjednoczonych oraz podjęcia poważnych negocjacji z nimi przez izraelskie kierownictwo.

## Aceh

Moja współpraca z HDC w charakterze jednego z Mędrców nie skończyła się w czasie, gdy byłem zaangażowany w proces bliskowschodni.

W pierwszym tygodniu lutego 2002 roku brałem udział w genewskiej sesji z udziałem przedstawicieli rządu Indonezji oraz GAM-u. Reprezentantom strony rządowej przewodził emerytowany ambasador Wiryono, zaś stronie separatystów - doktor Zaini Abdullah oraz Malik Haythar Mahmud. Byli to uprzejmi i chętni do konkretnych rozmów ludzie. Nie mieli skłonności do teatralnych zachowań, jakich byłem świadkiem na Bliskim Wschodzie. Tu miałem poczucie, że wszyscy chcą pomyślnego, pokojowego rozwiązania problemu.

Negocjacje były jednak niełatwe, twarde, intensywne. Obie strony konfliktu, jak też mediatorzy z HDC korzystali obficie z pomocy Mędrców - Surina Pitsuwana, Budamira Loncura, lorda Erica Avebury'ego i mojej. Moi trzej towarzysze byli błyskotliwymi oraz doświadczonymi mężami stanu i wnieśli wielki wkład w negocjacje. Każda ze stron prosiła nas o rady w zakresie pojawiających się w toku dyskusji kwestii oraz tego, jak najlepiej sformułować punkty ugody. Największą skuteczność nasze działania miały wtedy, kiedy w negocjacjach następował impas i trzeba je było „popchnąć” do przodu.

Do zespołu Mędrców dołączyła jeszcze w pewnym momencie para ekspertów z zewnątrz - specjalistów od sztuki negocjacji. Dostarczyli stronom wartościowych porad w zakresie procedury rozmów oraz samego ich przeprowadzania.

Obmyślane przez Ośrodek im. Dunanta nowe podejście do rokowań,



polegające na dodaniu do przedstawicieli stron konfliktu oraz mediatorów jeszcze osobnych grup doradców czy ekspertów z zewnątrz, sprawiło, że zacząłem zastanawiać się poważnie nad innymi nietradycyjnymi metodami rozwiązywania konfliktów. Mogą one mieć decydujący wpływ na powodzenie danego przedsięwzięcia. Uważam, że należy zdecydowanie rozwinąć tę dziedzinę i studia nad nią.

Rokowania w sprawie Aceh miały kilka faz.

Pierwsza sesja miała na celu zawarcie umowy o zgodzie na cały proces polityczny oraz o zawieszeniu broni. Nie było to łatwe (ze wszystkich powodów, jakie opisaliśmy w tej książce wcześniej), jednak udało się.

Podczas drugiej sesji staraliśmy się przekonać indonezyjski rząd do zaoferowania Aceh autonomii, a następnie naszkicować z jego przedstawicielami propozycję opisującą jej zasady. Kiedy już się to udało, pracowaliśmy z ludźmi GAM, aby dobrze zrozumieli propozycję.

Owocem trzeciej sesji była tak zwana przez nas umowa o zawieszeniu broni. Określała ona mechanizm postępowania, dzięki któremu cały proces miał stać się rzeczywiście procesem pokojowym oraz politycznym.

Lutowa runda rokowań skończyła się podpisaniem przez strony dokumentu zatytułowanego Punkty do dalszego rozważenia. Była to ugoda w sprawie dalszych spotkań oraz wyrażenie woli pokojowego rozwiązania konfliktu wokół Aceh. Oznaczało to postęp. Nauczyłem się już, że podpisanie dokumentu sygnalizuje rzeczywistą wolę zmian.

Następnym razem spotkaliśmy się na początku maja, pod Genewą. Tym razem przyleciały znacznie liczniejsze delegacje obu stron.

Dyskutowaliśmy w pięknie położonej posiadłości w Alpach Szwajcarskich, co pomogło nam zachować anonimowość - narastało bowiem zainteresowanie ze strony środków masowego przekazu. Poza tym przyjemne, a zarazem spokojne środowisko sprzyjało konstruktywnym negocjacjom.

Ta runda rokowań przyniosła bardziej szczegółową umowę na temat zawieszenia broni oraz podążenia drogą procesu politycznego mającego na celu zniwelowanie różnic stanowisk. Mędrcy nie byli bezczynni - pracowaliśmy nad starannym doбором odpowiednio precyzyjnych słów umowy, które jednocześnie zadowalałyby każdą ze stron.

Nie można jednak powiedzieć, żeby negocjacje przebiegały lekko i z doskonałym skutkiem. Wyczuwałem poważną przeszkodę na drodze do sukcesu. W dalszym biegu wypadków okazało się, że unicestwiła cały proces.

Otóż rząd zaproponował określone kroki polityczne, do których należały wybory. Jednak w tych wyborach nie można było wybrać niepodległości - takiej opcji nie było. W oczach rządu Indonezji GAM stałby się zaledwie jedną z wielu organizacji politycznych, które z czasem reprezentowałyby mieszkańców Aceh w ramach autonomii tej prowincji.

Przywódcy GAM-u nie mogli się z tym pogodzić. Ci ludzie nie byli w stanie oficjalnie wyrzec się swoich aspiracji do niepodległości dla Aceh. Mogli co najwyżej zgodzić się na pokojowy proces polityczny, zakończony wyborami. Wybory te miały jednak według nich zdecydować o tym, czy społeczeństwo zgadza się na rządową propozycję autonomii, czy też wybiera niepodległość.

W rozmowach nastąpił poważny impas. Dżakarta naciskała na GAM,

aby formalnie wyrzekł się niepodległości jako swojego celu - a GAM odmawiał. Separatyści nie chcieli nawet zaakceptować w celach taktycznych autonomii bez wyrażania formalnej zgody na nią; wiedzieli bowiem z całą pewnością, że rząd nie przewiduje niepodległości dla prowincji.

Mimo to zgoda na sam proces polityczny i zawieszenie broni wystarczyła, aby negocjacje mogły postępować naprzód. Myślałem, że jeśli odłożymy rozmowy o niepodległości na później, być może rozwiążemy ten problem w trakcie następnych sesji.

Autonomia nie była niewielkim ustępstwem, przynajmniej w oczach indonezyjskiego rządu. Oznaczała bowiem precedens, który mógł spowodować kłopoty z innymi prowincjami. To właśnie dlatego twardogłowi wciąż chcieli rozwiązać problem na drodze wojskowej. Umiarkowani, którym przewodził minister koordynujący do spraw politycznych i bezpieczeństwa Susilo Bambang Yudhoyono, starali się przekonać prezydent Megawati do rozwiązania pokojowego.

W chwili zakończenia tej rundy rokowań panował optymistyczny nastrój. Miałem nadzieję, że uda nam się opóźnić dyskusję na temat niepodległości do czasu, aż w Aceh już będą zachodzić konstruktywne zmiany.

W sierpniu poleciałem do Singapuru oraz Indonezji, gdzie spotkałem się z ministrem Yudhoyono, generałem Sutarto - szefem sztabu indonezyjskiej armii - i innymi wysokimi urzędnikami rządowymi. Wszyscy wyrazili silne pragnienie stworzenia kompleksowej propozycji regulującej prawnie powstanie i status autonomii oraz reguł procesu pokojowego zakończenia konfliktu. Zgodziliśmy się pomóc im w jednym i

w drugim.

Poleciałem także do Aceh, aby ocenić sytuację na miejscu. Spotkałem się tam z lokalnymi przedstawicielami władz, z członkami GAM, a także z różnymi zwykłymi ludźmi, żyjącymi w obliczu ich zmagania. Do tamtej pory zginęło już 10 000 osób, a znacznie większa liczba ucierpiała z powodu okrucieństw popełnianych przez obie strony. Mieszkańcy Aceh byli zmęczeni dotkliwym dla nich konfliktem.

Jazda przez wsie i dżunglę ze współpracownikami HDC wywołała u mnie żywe poczucie *deja vu*. Czułem się, jakbym wrócił do Wietnamu.

Byłem pełen szacunku dla nielicznych przedstawicieli HDC w Aceh oraz miejscowych, których zatrudniali. Trzeba było odwagi i poświęcenia, aby pracować w takich warunkach. Widziałem w nich wszystkich determinację, aby zmienić sytuację na lepszą.

Wyjechałem z Indonezji z nadzieją, że w tym przypadku jest możliwe pokojowe rozwiązanie konfliktu. Wiedziałem, że czekają jeszcze nas wszystkich trudne negocjacje, jednak czułem, że będą szybko postępować naprzód, jeśli tylko zdołamy uruchomić bieg pozytywnych zdarzeń w samym Aceh.

We wrześniu spotkaliśmy się w Wersalu, aby doradzić indonezyjskiemu rządowi kształt propozycji na piśmie. Władze Francji udostępniły nam pałac, po tym jak rząd Indonezji wyraził pragnienie dodania swojej ofercie splendoru poprzez przygotowanie jej w „historycznym miejscu”. Propozycję przekazano następnie GAM. Przez następne dwa miesiące dyskutowano nad szczegółami, za pośrednictwem HDC.

W grudniu ponownie zebraliśmy się w Genewie. Strony konfliktu

podpisały tam dokument nazwany Porozumienie o zawieszeniu broni pomiędzy Rządem Republiki Indonezji a Ruchem Wolny Aceh. Umowa opisywała szczegółowo rozmaite konkretne działania, takie jak rozbrojenie, posunięcia polityczne, wybory, mechanizmy nadzoru całego procesu i wiele innych aspektów pokojowej drogi rozwiązania konfliktu o Aceh. HDC miało być instytucją nadzoru, przy czym sąsiadujące z Indonezją państwa miały dostarczyć mu ludzi do pomocy. Wyglądało na to, że zostały osiągnięte wspaniałe konkrety, które będą teraz realizowane. Wszyscy biorący udział w negocjacjach robili wrażenie szczęśliwych.

Wkrótce po podpisaniu porozumienia prezydent Megawati pojechała do Aceh, aby zainicjować wcielanie dokumentu w życie. Towarzyszyły temu wielkie oczekiwania i nadzieje.

Przez kilka miesięcy wszystko szło dobrze. Kiedy jednak kwestia niepodległości znów wypłynęła w postaci serii płomiennych artykułów prasowych, których znajdujący się po obu stronach konfliktu autorzy odpowiadali sobie nawzajem w zdecydowanych słowach, sytuacja szybko się pogorszyła. Gniewne słowa wywołały krwawe zajścia w Aceh. Obserwatorom z HDC zaczęto grozić i zmuszono ich do opuszczenia regionu.

HDC próbowało nakłonić strony konfliktu do powrotu do postanowień porozumienia, jednak wysiłki te spełzły na niczym, rozbijając się o kłótnie o daty i miejsca spotkań.

W obliczu niemożliwości realizowania umowy prezydent Megawati ugięła się pod naciskiem twardogłowych i posłała do Aceh liczne wojska, aby zakończyły konflikt na drodze siłowej.

W maju 2003 roku zadzwoniono do mnie z Departamentu Stanu, a

także z HDC. Obie instytucje gorąco prosiły mnie, abym natychmiast poleciał do Sztokholmu i zachęcił tam przywódców GAM-u do ponownej zgody na realizowanie postanowień zawartego porozumienia. Liczono na to, że być może dzięki temu rząd Indonezji odwoła lub przynajmniej opóźni zbliżającą się operację wojskową. Poleciałem więc concordem do Londynu, a stamtąd do Sztokholmu, dzięki czemu znalazłem się w tym mieście zaledwie kilka godzin po wylocie z Waszyngtonu.

Kiedy przybyłem na miejsce, dowiedziałem się, że ambasadorowie Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej oraz Japonii wystosowali do GAM-u oraz do rządu w Dżakarcie dwa osobne dokumenty, w których jednoznacznie napisali, że władze ich krajów nie mogą popierać niepodległości Aceh i że sporne kwestie pomiędzy GAM-em a rządem Indonezji muszą zostać rozwiązane w ramach państwa indonezyjskiego.

Udało mi się przekonać kierownictwo GAM-u, natomiast gorzej szło z władzami w Dżakarcie. GAM zgodził się mianowicie wydać oświadczenie, w którym wyrażał wolę powrotu do postanowień zawartego porozumienia oraz prosił rząd Indonezji o podjęcie wspólnych wysiłków w kierunku ich realizacji w Aceh. Jednak indonezyjskie władze nie były pozytywnie nastawione do oferty GAM-u. Prezydent Megawati zgodziła się tylko opóźnić operację wojskową o tydzień, aby stworzyć jeszcze jedną szansę na pokój.

Władze USA, Unii Europejskiej i Japonii, przy współudziale HDC pospiesznie zorganizowały spotkanie obu stron w Tokio (niestety nie mogłem brać w nim udziału). Rozmowy zakończyły się niemal natychmiastowym fiaskiem, po tym jak rząd Indonezji zaczął domagać się od GAM-u oficjalnego wyrzeczenia się dążenia do niepodległości,

stwierdzając, że to konieczny, niepodlegający negocjacom warunek dalszych rokowań. GAM odmówił.

Już kilka godzin po fiasku rozmów siły rządowe rozpoczęły zmasowaną operację wojskową. Wzięły w niej udział tysiące żołnierzy.

Byłem straszliwie zawiedziony.

Pomimo rozwoju wydarzeń, który rozczarował nas wszystkich, HDC i Mędrzy wciąż śledzą konflikt; nie ustajemy w pragnieniu doprowadzenia do jego pokojowego rozwiązania i w naszej gotowości pomocy. Zająłem się także współpracą z HDC w zakresie rozpoczynających się prób pokojowego rozwiązania konfliktu w Afryce.

## Filipiny

Na początku czerwca 2003 roku pracownicy HDC, Mędrzy oraz członkowie zespołów nadzorujących uprzednio sytuację w Aceh zebrali się razem w Genewie, aby przedyskutować wnioski z indonezyjskiej lekcji oraz możliwości ponownego zaangażowania się w rozwiązywanie konfliktu o Aceh. Zgodziliśmy się wszyscy zachować gotowość ponownego promowania zawartego porozumienia pokojowego bądź zorganizowania kolejnej rundy negocjacji, gdyby nadarzyła się taka okazja. Podczas sesji Martin Griffiths spytał mnie, czy chciałbym uczestniczyć jako Mędrzec w innych rokowaniach pokojowych, których podjęcie rozważało HDC.

- Oczywiście - odpowiedziałem - musiałbym jednak przyjrzeć się każdemu konfliktowi z osobna i uzyskać zgodę Departamentu Stanu, mimo że ewentualnie brałbym udział w tych misjach jako prywatna osoba.

Griffiths rozumiał oczywiście, że będę potrzebował błogosławieństwa Departamentu Stanu.

Dwa tygodnie później 18 najwyższej cenionych negocjatorów pokojowych, obserwatorów oraz autorów (największych ekspertów oraz praktyków rozwiązywania konfliktów) zebrało się razem w Oslo na zorganizowanej przez rząd norweski konferencji nazwanej Rozważania mediatora. Byłem zaszczycony zaliczeniem mnie do tego grona.

Podczas konferencji dyskutowałem z Martinem Griffithsem o wysiłkach zmierzających do zakończenia ciągnących się od dziesięcioleci wojen partyzanckich pomiędzy władzami Filipin a kilkoma ruchami separatystycznymi. Strony konfliktu same skontaktowały się z HDC, widząc w nim ewentualnego mediatora. Griffiths zastanawiał się, czy chciałbym wziąć udział w rokowaniach jako jeden z Mędrców. Zgodziłem się pod warunkiem uzyskania zgody amerykańskich władz.

Szesnastego czerwca, po powrocie do USA, zatelefonowałem do zastępcy sekretarza stanu Armitage'a, który - jak się okazało - również interesował się ostatnio konfliktem na Filipinach. Podczas majowej wizyty w Waszyngtonie prezydent Arroyo prosiła prezydenta Busha o wsparcie negocjacji pokojowych z Islamskim Frontem Wyzwolenia Moro (MILF). To ugrupowanie, długo niebiorące pod uwagę możliwości rozmów pokojowych, ostatnio wydawało się ku nim skłaniać. Rich uważał, że mógłbym pomóc w rokowaniach, nie wiedziano tylko, jaka organizacja miałaby kierować negocjacjami. Armitage nie zdawał sobie sprawy z ciągłości moich kontaktów z HDC. Powiedział, że wkrótce odezwie się do mnie znowu.

Tydzień później zatelefonował do mnie z Departamentu Stanu Tom Cymkin - człowiek, z którym współpracowałem podczas negocjacji dotyczących Aceh. Powiedział, że tym razem rokowania będą się



odbywały przy współpracy Amerykańskiego Instytutu Pokoju (USIP). Porozumiano się w tej sprawie z HDC. Departament Stanu chciał, abym dołączył do Mędrców. Rolę mediatora miał natomiast przejąć rząd Malezji. Mędrcy delegowani przez USIP mieli służyć dodatkową pomocą jako wkład rządu amerykańskiego w proces pokojowy, po tym jak prezydent Bush publicznie obiecał go wesprzeć.

USIP został powołany przez Kongres, aby „wspierać rozwój, przemiany i stosowanie wiedzy dla promowania pokoju oraz powstrzymywania krwawych konfliktów międzynarodowych”. Zasadniczą domeną pracy Instytutu było kształcenie, szkolenie i prowadzenie badań w celu promocji pokoju oraz w zakresie rozwiązywania konfliktów. Zlecenie zorganizowania zespołu Mędrców, którzy mieli pomóc w rokowaniach, było dla USIP czymś zupełnie nowym. Poza mną weszło w skład grupy Mędrców jeszcze siedem osób. Muszę powiedzieć, że był to wspaniały zespół. Wszyscy byli bardzo doświadczonymi i uznanymi dyplomatami. Czterech członków naszego zespołu było dawniej ambasadorami Stanów Zjednoczonych na Filipinach.

Dyrektor USIP, ambasador Dick Solomon, zadzwonił do mnie jeszcze tego samego dnia, powitał mnie w zespole oraz uzgodnił ze mną terminy spotkań, jakie miały się odbyć w nadchodzących tygodniach. Pierwszego lipca pojechałem do waszyngtońskiej siedziby USIP, gdzie spotkałem się z pozostałymi Mędrkami. Zdano nam szczegółowe relacje z sytuacji na Filipinach oraz przedstawiono zalecenia dotyczące naszej pracy.

Konflikt, którym mieliśmy się zająć, zaczął się przed ponad 30 laty. Jego korzenie tkwiły w panującym od dawien dawna napięciu pomiędzy

muzułmanami zamieszkującymi wyspę Mindanao a chrześcijańską większością z pozostałej części Filipin. W 1968 roku w filipińskich siłach zbrojnych miała miejsce masakra-chrześcijańscy żołnierze wymordowali muzułmańskich. Jej efektem było powstanie Narodowego Frontu Wyzwolenia Moro (MNLF). Celem Frontu było wywalczenie niepodległości. Następnie, w połowie lat 80., od MNLF oddzielił się MILF - Islamski Front Wyzwolenia Moro, organizacja bardziej skupiona wokół spraw religii i ideologii.

W 1996 roku MNLF zawarł z rządem pokój, którego MILF nie uznał. Wprowadzenie umowy pokojowej w życie nie było łatwe, ale udało się. A ostatnio także MILF sygnalizował, że jest gotów do rozmów pokojowych. Władze Filipin, pod przewodnictwem prezydent Glorii Macapagal Arroyo, wyraziły wolę podjęcia rozmów.

W odpowiedzi na prośbę prezydent Arroyo prezydent Bush wygłosił oświadczenie, w którym obiecał wsparcie filipińskiego procesu pokojowego. Przewodniczący MILF Hashim Salamat powitał to z radością.

Po zdaniu nam sprawy z historii konfliktu przez amerykańskich specjalistów spotkaliśmy się z kolei z przedstawicielami ambasady Malezji w Waszyngtonie. Zapewniliśmy ich, że naprawdę zamierzamy wesprzeć ich wysiłki, a nie zastąpić ich w roli mediatorów.

Naszym następnym krokiem była podróż na Filipiny w celu zorientowania się w sytuacji na miejscu oraz poznania kluczowych postaci po obu stronach konfliktu. Dziesiątego sierpnia poleciałem wraz z trzema innymi Mędrkami na Filipiny. Akurat przed naszym wylotem MILF ogłosił śmierć Salamata, swojego wieloletniego przywódcy. Musiało to

spowodować przetasowania wewnątrz Frontu, jednak następca Salamata ogłosił, że on także jest zdecydowany rozpocząć proces pokojowy.

Pierwsze dni na Filipinach spędziliśmy w Manili na spotkaniach z prezydentem Arroyo i innymi członkami rządu. Byłem pod wrażeniem filipińskiej prezydent. Pewna siebie, błyskotliwa, o dużej wiedzy i ewidentnych zdolnościach przywódczych, zdecydowana dążyć do pokoju, potrafiła uczciwie mówić o dawnych porażkach władz. Parlamentarzyści, ministrowie, dowódcy wojskowi oraz główny negocjator strony rządowej wydawali się równie przekonani do pokojowego rozwiązania konfliktu. Wprawdzie w filipińskim rządzie byli i przeciwnicy negocjacji pokojowych, jednak stanowili mniejszość. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, przyznawali, że tego konfliktu nie da się rozwiązać na drodze militarnej.

Spotkaliśmy się także w Manili z przedstawicielami wspólnoty muzułmańskiej, z dziennikarzami, przedstawicielami Kościoła katolickiego, z ludźmi z organizacji pozarządowych oraz z amerykańskimi dyplomatami z ambasady. Nasz ambasador Frank Ricciardone był moim starym znajomym z czasów mojej służby w CENTCOM-ie. Spotkaliśmy się także z Amerykanami z USAID, którzy pracowali na Mindanao. Uruchomili na wyspie wiele imponujących przedsięwzięć, które pomogły utrzymać w mocy porozumienie pokojowe z 1996 roku. To w znacznym stopniu ich efekty skłoniły MILF do podjęcia rokowań pokojowych. Przywódcy Frontu mieli nadzieję na jeszcze więcej pozytywnych zmian.

Trzeciego dnia pobytu na Filipinach poleciliśmy na Mindanao, do Carabao - portowego miasta, które pełniło funkcję stolicy - ustanowionego na mocy umowy z 1996 roku regionu autonomicznego. Spotkaliśmy się

tam z reprezentantami MNLF, MILF oraz miejscowymi osobami publicznymi.

Mindanao wygląda jak rajska wyspa... z tym że panuje tam okropna bieda, a mieszkańcy nie mają perspektyw na pomyślniejszą przyszłość. Przedstawiciele ludu Moro - jak nazywają siebie mieszkańcy wyspy - opisywali nam całe wieki ucisku, niesprawiedliwości i cierpienia. Ich opisy przebiegu realizacji porozumienia pokojowego z 1996 roku oraz będących jego konsekwencją programów różniły się między sobą.

Przewodniczyliśmy otwarciu projektu USAID polegającego na doksztalcaniu dawnych partyzantów MNLFw rolnictwie. Pomagamy im przekuć miecze na lemieszce. Uroczystość odbyła się w głębi lądu, na wsi - w miejscu, które znów żywo przypominało mi Wietnam: chaty kryte strzechą, bawoły, poletka ryżowe, kępy bambusów. Dobrze znałem te widoki. Obok nas znajdował się mały spichlerz oraz miejsce przeznaczone do nauki wycięte w dżungli. Przyglądałem się zaciętym twarzom żylastych mężczyzn - dawnych partyzantów. Siedzieli w upalnym południowym słońcu, podczas gdy wygłaszano przemówienia i przecinano wstęgę. Widziałem już tysiące takich twarzy. Zastanawiałem się, co myślą ci ludzie. Pilnowały nas liczne oddziały filipińskiego wojska oraz policji, a także sił bezpieczeństwa MNLF.

Po powrocie do Carabao kontynuowaliśmy spotkania z przedstawicielami USAID.

Ostatniego dnia mojego pobytu na Filipinach odbyliśmy rozmowy z generałem broni Garcia - zastępcą szefa sztabu filipińskich sił zbrojnych oraz przewodniczącym komisji koordynacyjnej do spraw zawieszenia broni. Ta ostatnia została powołana w celu wcielania w życie postanowień

umowy pokojowej z 1996 roku. Generał Garcia wywarł na mnie silne wrażenie. Był uczciwym, doświadczonym człowiekiem, cechowała go wyjątkowa znajomość praktycznych szczegółów realizacji postanowień pokojowych (co zawsze stanowi najtrudniejszą część pokojowego rozwiązywania konfliktu). Przekazał mi bezcenną wiedzę.

Opuściłem Filipiny 14 czerwca, z poczuciem, że ta misja może się powieść. Będzie trudna, ale dostatecznie wiele kawałków układanki znajdowało się już we właściwych miejscach, abyśmy mogli mieć uzasadnioną nadzieję na sukces.

Proces pokojowy trwa...

Praca nad pokojowym rozwiązaniem długotrwałego, bolesnego dla obywateli konfliktu potrafi być ciężka i niewdzięczna. Odnosi się niewiele sukcesów. Jednak przy okazji ratuje się życie wielu osób, ocala mnóstwo biednych, uwikłanych w konflikt ludzi. A te rzadkie chwile, kiedy misja kończy się pełnym powodzeniem są warte wszelkich włożonych wysiłków. Sam przeżyłem okropności wojny i wiem, jakie cierpienia i zniszczenie ze sobą niesie. Wiem też, że muszę pracować, gdzie tylko będę mógł, nad znalezieniem innych rozwiązań niż wojna.

## **8. Powołanie**

Refleksje Tony'ego Zinniego:

Na samym początku XX wieku, w czasie gdy śmiałkowie z wielu narodów wyruszyli ku swojej ziemi obiecanej, wypłynęło ku niej także dwóch mężczyzn z górzystej prowincji Abruzzo w środkowych Włoszech, w której niełatwo się żyło. Jednym z nich był chłop nazwiskiem Francesco Zinni, drugim - krawiec Zupito DiSabatino. To byli moi dziadkowie.

Poznali się dopiero w Stanach Zjednoczonych, wiele lat po opuszczeniu Włoch.

Podążyli śladem tysięcy innych. Przyплыли sami, znaleźli pracę, urządzili się w dziwnym, surowym, tętniącym życiem kraju. Po kilku latach każdy z nich sprowadził swoich najbliższych. Z taką samą odwagą i obawami moje babcie Christina Zinni i Cecilia DiSabatino spakowały dzieci, wyruszyły do portów i popłynęły przez ocean, aby dołączyć do mężów. Z Christina płynął w 1910 roku między innymi jej 14-letni syn Antonio - mój ojciec. Z Cecilią, w 1906 - jej 3-letnia córeczka Lilia - moja matka. Często spoglądam na wyblakłe fotografie z tamtych czasów i zastanawiam się, co moi rodzice i dziadkowie myśleli, kiedy w ich życiu zachodziły tak wielkie zmiany.

Żadne z moich rodziców nie miało łatwego dzieciństwa. Jak wszyscy młodzi imigranci z tamtych lat, zdołali pochodzić zaledwie kilka lat do szkół, a potem musieli iść do pracy. Mój ojciec pracował w młynach, później przy kształtowaniu terenów zielonych, wreszcie jako prywatny szofer. Mama pracowała w fabrykach odzieży.

Wojskowa tradycja w naszej rodzinie w Ameryce zaczęła się z chwilą, kiedy mój ojciec został powołany do wojska i wysłany na fronty I wojny światowej, która miała być ostatnią z wojen. Stało się to krótko po tym, kiedy przyплыł z Włoch. Dotarł do Ameryki, po czym został wysłany na wojnę. Sprawdziłem to kiedyś - okazuje się, że 12 procent amerykańskich piechurów, którzy wzięli udział w I wojnie światowej, stanowili włoscy imigranci. Ich nowa ojczyzna nie zapomniała o ich wojennej służbie. Mój ojciec służył w 101. Dywizjonie Lotniczym, we Francji. Razem ze zwolnieniem ze służby otrzymał obywatelstwo

amerykańskie. Wrócił z wojny, stając się pełnoprawnym obywatelem Stanów Zjednoczonych. Wyobraźcie sobie, ile to dla niego znaczyło.

Tymczasem jego najbliżsi osiedlili się w miasteczku Conshohocken pod Filadelfią; w Conshohocken znajdowały się liczne młyny. Rodzina mojej matki zamieszkała natomiast we włoskiej dzielnicy na południu Filadelfii. Te dwa miejsca były centrum mojego świata przez pierwsze 20 lat mojego życia.

Rodzice poznali się w latach 20. Pobrali się i wychowali czwórkę dzieci - Franka, Christine, Ritę i mnie. Przyszedłem na świat 17 września 1943 roku. Był to cudowny świat licznych, kochających włoskich rodzin. Kiedy się urodziłem, oboje moi rodzice byli już po czterdziestce.

Dorastałem w środowisku robotniczym. Kochające, troskliwe matki wychowywały dzieci. Mężczyźni ciężko pracowali, większość z nich oddała zasługi ojczyźnie podczas II wojny światowej. Walczył na niej mój ojciec, moi dwaj kuzyni. Mój brat walczył na wojnie koreańskiej. Obie moje siostry wyszły za żołnierzy. Z zazdrością słuchałem opowieści tych wszystkich mężczyzn, zafascynowany. Dla nich służba wojskowa była obywatelskim obowiązkiem, a także, co było jeszcze ważniejsze, oznaką przejścia w wiek męski. Poczucie obowiązku wobec ojczyzny wryło się w mojej młodej psychice. Uważałem, że służba wojskowa to coś, co ma się powinnośc odbyć, kiedy człowiek staje się dorosłym mężczyzną. Przy odrobinie szczęścia można nawet wziąć udział w prawdziwej wojnie, myślałem.

W mojej dzielnicy mieszkały rodziny wywodzące się z różnych narodowości - Włosi, Irlandczycy, Polacy, Afroamerykanie, a także Amerykanie, których przodkowie przyплыnęli już wiele pokoleń temu. Nie

pamiętam szczególnych napięć pomiędzy różnymi grupami narodowościowymi. Były one przemieszane na ulicach, w szkołach, w miejscach pracy. Miało to raczej działanie jednoczące. Przez pierwsze pięć lat chodziłem do szkoły publicznej, później - w ostatnich latach szkoły podstawowej oraz w szkole średniej - do katolickiej. Prowadzące ją zakonnice były dobre i wymagające zarazem. Nauczyliśmy się samodyscypliny, zakorzeniono w nas silnie etykę pracy, a także rozróżnianie dobra od zła.

Wszystko to wpłynęło na moje ukształtowanie się jako człowieka. Podlegałem także innym wpływom - tym, które kształtowały całe moje pokolenie. Ci z nas, którzy przeżyli zachodzące podówczas przemiany i zdołali pójść naprzód, a nie cofnąć się, być może cieszyli się przywilejami, których nie ma wielu młodych ludzi wchodzących w wiek dorosły dzisiaj. Oczywiście zawsze pomagają człowiekowi korzystne geny oraz przyjście na świat w normalnie funkcjonującej rodzinie. Jednak my dodatkowo dorastaliśmy w szkołach, które rzeczywiście czegoś uczyły i które wpoily nam pewien kod postępowania. Dzięki niemu łatwiej nam było stać się z czasem pożytecznymi obywatelami. Większość z nas otrzymała religijne wychowanie i akceptuje w tej czy innej formie Istotę Wyższą, przy czym stanowi to rdzeń naszych przekonań.

Niektóre z wydarzeń, jakie nas ukształtowały, zaszły przed naszym urodzeniem, inne przeżywaliśmy sami. Jednym z najdonioślejszych była II wojna światowa - jednocześnie błogosławieństwo i przekleństwo mojego pokolenia Amerykanów. Błogosławieństwem było to, że najwspanialsze pokolenie ocaliło wolność nas wszystkich i nasz sposób życia, wydobyło nas z głębokiego kryzysu, wprowadzając w okres ogromnych



gospodarczych sukcesów, i zmieniło Stany Zjednoczone w najpotężniejsze państwo świata. Przekleństwem okazało się to, że II wojna światowa była ostatnią wojną sprawiedliwą - charakteryzowała ją moralna jasność, łatwo identyfikowalny, demonizowany wróg, bezprecedensowa jedność społeczeństwa w obliczu mobilizacji i racjonowania dóbr, duma z ludzi w mundurach (okazywana wywieszaniem flag z niebieską gwiazdą przez rodziny walczących żołnierzy, a ze złotą - przez rodziny zabitych) i powitalne parady zwycięstwa dla tych, którzy mieli szczęście powrócić zza oceanów. Każdą wojnę powinno się toczyć w taki sposób.

Po II wojnie światowej uczyłem się o niej na kolanach kuzynów, którzy walczyli w Europie w bitwie o Ardeny i na całym Pacyfiku - na lądzie i w powietrzu. Niewiele lat później mój starszy brat został powołany do wojska i walczył w Korei. Ich wojenne opowieści zapadały w pamięć. Czasem były okropne i krwawe, jednak zawsze dobrze się kończyły. Czułem, jakby zwyciężali w jakiejś wielkiej grze odwiecznego wroga - zawsze moralnie dobrzy, czysti. Zatem moje pokolenie ukształtowało spojrzenie na II wojnę światową jako na modelową wojnę. Przez cztery dziesięciolecia mojej służby umacniało się ono we mnie. Słynna doktryna byłego sekretarza obrony Caspara Weinbergera, który w 1984 roku wymienił sześć kryteriów użycia sił zbrojnych\*[\* Doktryna Weinbergera jest bardzo podobna do doktryny Powella: nie powinniśmy rozważać użycia sił zbrojnych, jeśli nie jesteśmy przygotowani do wystawienia przeważających sił ani jeśli nie mamy jasno sprecyzowanych celów, ani jeśli nie jesteśmy w stanie uzyskać pełnego poparcia amerykańskiego społeczeństwa.], jest receptą na powtórzenie II wojny światowej - a nie udział w OOTW - Operacjach Innych Niż Wojna, w jakich obliczu

stajemy dzisiaj. W istocie, jeśli przeczyta się doktrynę Weinbergera i będzie się trzymał każdej z jej zasad, nie da się wziąć udziału w innej wojnie niż II wojna światowa.

Wstąpiłem do piechoty morskiej w 1961 roku, a oficjalnie przeszedłem na emeryturę 1 sierpnia 2000 roku.

Chciałbym naświetlić to, kim byliśmy - my, pokolenia wojskowych, którzy służyli przez minione cztery dekady, od lat 60. do nowego milenium. Jeśli popatrzeć na zdjęcia z czasów kiedy wstępowałem do służby, widać, że wszyscy generałowie wyglądali tak samo. Byli dystyngowanymi starszymi białymi mężczyznami o anglosaskich nazwiskach, zwykle mówili z akcentem rodem z Południa. Tymczasem dowodzeni przez nich żołnierze pochodzili z najróżniejszych miejsc. Zobrazujmy to tym, że generałowie wymawiali słowo „Philadelphia” inaczej niż ja.

Jednak w latach 60. sytuacja zaczęła się zmieniać. Oficerowie Korpusu Piechoty Morskiej wciąż przychodzili z jej akademii oraz instytutów wojskowych, jednak coraz więcej zaczęło przybywać z katolickich college'ów Północnego Wschodu (tak jak ja), ze stanowych college'ów i uniwersytetów w całym kraju i z innych uczelni, gdzie były dobrze zorganizowane Korpusy Szkolenia Oficerów Rezerwy Marynarki czy silne tradycje wojskowe innego rodzaju. W tym samym czasie byliśmy świadkami, jak oficerami zostawali dotychczasowi żołnierze i podoficerowie; nie tylko najtwardsi i doświadczeni, i nie tylko oficerami, którym przydzielano ograniczone obowiązki, i którzy mogli dosłużyć się co najwyżej stopnia średniego szczebla - ale młodzi ludzie, których posyłał się na studia w ramach inwestowania w przyszłość. Jeszcze

wtedy, niezależnie od tego, z jakich miejsc i rodzin pochodziliśmy, wstępowaliśmy do służby z zasadami wpojonymi nam przez rodzinę, szkołę czy kościół. Tym, którzy przychodzili z uczelni wojskowych, zasady wpoili oficerowie. W ten czy inny sposób każdy z nas był zaprogramowany wiarą, że nie tylko wykonujemy pracę czy nawet jesteśmy ludźmi określonego rzemiosła, ale że odpowiadamy na powołanie.

Nigdy nie ciągnęło mnie do pracy jako takiej. Za to energię budzili we mnie żołnierze, dowódcy i mentorzy, codzienne żołnierskie doświadczenia. I nie mam bynajmniej na myśli, że zawsze były przyjemne. Nieraz bywało i źle. Czasem okropnie. Ale zawsze były dla mnie wyzwaniem, z którym lubiłem się mierzyć. Nigdy mnie nie zmęczyły. Całe moje życie kręciło się wokół nich - moje ciało, umysł i duch były im podporządkowane. Nigdy w życiu nie żałowałem, że obrałem taką a nie inną drogę.

Na przełomie tysiącleci miałem okazję rozmawiać z weteranami II wojny światowej. Wytrącało mnie z równowagi, kiedy patrzyłem na tych starych ludzi, a oni odpowiadali mi wzrokiem, który zdawał się mówić: „Jakim cudem wszystko zepsuliście? My walczyliśmy sprawiedliwie, wiedzieliśmy, o co walczymy i pozostawiliśmy Stanom Zjednoczonym wielkie dziedzictwo. Niech pan tylko popatrzy, do czego doszliśmy teraz...”

Trudno mi było oddalić od siebie poczucie, że zawiodłem weteranów II wojny. To dlatego, że kolejnym wielkim wyzwaniem, które wpłynęło na nas wszystkich, była wojna wietnamska - najdłuższa i najmniej udana wojna, jaką kiedykolwiek toczyły Stany Zjednoczone. Byłem wówczas

niedoświadczonym podporucznikiem (wkrótce już doświadczonym). Nie dostrzegałem wszystkich problemów, które widzimy dzisiaj - że wojna była toczona źle, niedobrze nią kierowano. Przeszedłem wielki ból i cierpienia. Byłem ciężko chory i ciężko ranny. Jednak mimo tego wszystkiego zdecydowałem się wziąć w niej udział po raz drugi. Musieliśmy na niej walczyć.

Nie dlatego, że była wojną „sprawiedliwą”, ale dlatego, że nawet ponosząc klęskę, zdołaliśmy przekazać sygnał, który trzeba było nadać. Musimy myśleć o wojnie wietnamskiej w kontekście, w jakim była toczona. Miała miejsce w okresie zimnej wojny. Walczyliśmy z komunizmem. Musieliśmy powstrzymać go przed rozprzestrzenianiem się. Przeciwwstawiliśmy się mu, choć później wycofaliśmy się. Jednak komunizm nie rozprzestrzenił się dalej. Nikt mi nie powie, że Sowieci nie zrozumieli, iż jeśli będziemy musieli, stawimy im czoło.

Weterani tamtej przegranej wojny są bohaterami na równi z weteranami II wojny światowej, a w pewnym sensie ich heroizm jest jeszcze większy, ponieważ nigdy nie został w pełni uznany ani doceniony przez amerykańskie społeczeństwo.

Kiedy walczyłem w Wietnamie coraz dłużej i dłużej, zacząłem zadawać sobie pytania... zastanawiałem się, co też u licha nasi generałowie - moi bohaterowie, którzy walczyli w II wojnie światowej - sobie myślą. My - dowódcy plutonów czy kompanii - biliśmy się zaciekle, jednak nie mogliśmy zrozumieć spojrzenia najwyższego dowództwa i naszych przywódców politycznych na wojnę, którą toczyliśmy. Taktyka ewidentnie nie miała sensu, a postępowanie z personelem wojskowym - takie jak zastępowanie żołnierzy, którzy bili się przez rok, nowymi, zamiast

wysyłania całych jednostek do kraju i z kraju - było dla nas niezrozumiałe.

Dziś jesteśmy świadkami, jak politycy i dowódcy wysokiego szczebla z tamtych czasów wydają kolejne książki pełne przeprosin, jak gdyby dostatecznie silne bicie się w piersi miało wyzwolić ich z nadal ciężącego im brzemienia odpowiedzialności.

Trzecią wielką próbą, jaką przeszliśmy, były lata 70. Dla mnie była to najtrudniejsza ze wszystkich czterech dekad mojej służby w Korpusie Piechoty Morskiej. Musieliśmy się zmierzyć z problemami rasowymi, narkotykowymi, pokoleniowymi, z kryzysem autorytetów... dziećmi kwiatami, marszami pokojowymi, demonstracjami (w tym także z użyciem przemocy), utratą zaufania do wojska przez znaczną część społeczeństwa. Jednak przejście naszych sił zbrojnych przez ów tygiel niespokojnych wydarzeń było moim zdaniem ich największym osiągnięciem minionego 40-letniego okresu. Aby podać choć jedno uzasadnienie, wspomnę tu kwestię rasy - wojsko jest jedynym segmentem amerykańskiego społeczeństwa, w którym w pełni nastąpiła integracja rasowa. Oczywiście wciąż zdarzają się problemy, jednak nigdzie indziej człowiek o innym niż biały kolorze skóry nie ma w Stanach Zjednoczonych takich możliwości jak w wojsku. A nasze siły zbrojne są dzięki kolorowym żołnierzom o wiele lepsze. Jestem z nich dumny. Potrzebujemy najlepszych i najinteligentniejszych - i przychodzą do nas.

Czwartym wyzwaniem dla mojej generacji była zimna wojna - która była w istocie 40-letnią gotowością do ponownego stoczenia II wojny światowej, gdyby zaszła taka potrzeba. Podobnie jak podczas II wojny, szykowano nas do udziału w globalnym konflikcie, tym razem przeciw zagrażającym nam złym „czerwonym”. Problem w tym, że nigdy nie

możliśmy dojść do tego, w jaki sposób miała się ta wojna zacząć. Uczestniczyłem w niezliczonych grach wojennych w College'u Marynarki Wojennej i w innych miejscach i wciąż nie przychodzi mi na myśl logiczna czy przekonująca odpowiedź na pytanie o początek tej niedosłej wojny. Trudno nam było wykazać, dlaczego Sowieci chcieliby zdobyć płonąca, zniszczoną Europę i jaką korzyść mogłoby to ewentualnie przynieść komunistom. Przechodziliśmy więc do porządku dziennego nad tym, jak ta opłakana w skutkach wojna miałaby się rozpocząć, i zajmowaliśmy się tym, co robilibyśmy dalej, gdyby się rozpoczęła. Zimna wojna była w tamtych latach zawsze obecna, znakomicie uzasadniała wszystkie programy, wprowadzanie nowych systemów uzbrojenia i zmian w strukturze sił; jednak w głębi serca nikt do końca nie wierzył, że wojna rzeczywiście wybuchnie.

Mimo to zimna wojna w oczywisty sposób napędzała wszystko. Nasz sposób myślenia, organizowania się i wyposażania, rozwój naszych koncepcji walki. Kształtowała nas pod każdym względem. Definiowała nas. A kiedy się zakończyła, osiągnęliśmy nasz cel - nie doszło do prawdziwej wojny. Nie była jednak papierowym tygrysem. Gotowość, nad której stałym osiągnięciem pracowaliśmy tyle lat, była dobrze widoczna dla Sowieców i ich mniejszych substytutów. Widzieli, na jak wielką skalę są zakrojone nasze przygotowania. Nie chcieli się z nami spróbować. Nasza gotowość i morale działały na nich odstraszająco - dokładnie tak, jak chcieliśmy.

Nauczyło to nas jeszcze jednej ważnej rzeczy - jak powstrzymywać, jak odstraszać nieprzyjaciela, czyli jak zapobiegać wojnie za pomocą wojska. Jeśli się nie mylę, pierwszy raz w historii wielkie mocarstwo

obrało taki kurs. W XXI wieku będziemy musieli podejmować go wciąż na nowo.

Pod koniec lat 80. mur berliński nagle runął, Imperium Zła rozpadło się i stanęliśmy wszyscy w obliczu Nowego Światowego Porządku. Ta sytuacja wymagała od nas dostosowania się do niej, wprowadzenia poważnych zmian. Nie dokonaliśmy ich we właściwy sposób.

Następnym doniosłym wydarzeniem była operacja „Pustynna Burza” - moim zdaniem dowód naszego umysłowego zaćmienia. Wprawdzie wygląda na to, że się nam przysłużyła - udowodniła ponad wszelką wątpliwość, jak niezwykle potężne były nasze zimnowojenne siły zbrojne - była jednak ostatnią salwą przez nie oddaną. Pozostawiła po sobie wrażenie, że okropny zamęt, jaki czeka na nasze wojsko za granicami, może zostać ostatecznie przewyciężony dobrą, moralnie czystą żołnierką, taką jak w czasie II wojny światowej. Jednak w rzeczywistości jedynym powodem powodzenia operacji „Pustynna Burza” było to, że udało nam się uderzyć na jedyne na całej Ziemi szaleńca, który był tak głupi, że postanowił rzucić nam wyzwanie w postaci kolejnej II wojny światowej, i to dysponując relatywnie znacznie mniejszymi siłami niż Hitler. Nie stało też za nim żadne prawo moralne, które usprawiedliwiłoby atak na Kuwejt. W najlepszych wojskowych college'ach ciągle zmagamy się z tego typu nieprzyjacielem - i dlatego zawsze jesteśmy w stanie zwyciężyć. Sprzeciwiałem się już wcześniej takiemu podejściu, sądząc, że już nikt nie będzie tak głupi, żeby walczyć z nami w podobny sposób. Jednak Saddam Husajn okazał się aż tak głupi, wskutek czego „dobra żołnierka” zyskała kolejny raz uzasadnienie.

Co gorsza, zakończenie każdego konfliktu często budzi w

wojskowych kołach poczucie, że „teraz wojna się skończyła i nareszcie możemy wrócić do normalnej żołnierki”. Czyli beztrąsko wracamy do II wojny światowej czy też operacji „Pustynna Burza” albo „Iracka Wolność” - w każdym razie do „naszego” typu wojny. Czyż to nie przerażające? Ignorujemy tym samym realne zagrożenia wojenne dnia dzisiejszego, jakim musimy umieć sprostać. Chcielibyśmy walczyć zgodnie z konwencjonalnymi doktrynami naszych sił zbrojnych. Szukamy prawdziwego, złego nieprzyjaciela - skrzyżowania Hitlera z japońskim generałem Tojo i Mussolinim - którego moglibyśmy zapędzić aż do jego stolicy i tam zgnieść go jak robaka. Zmusić do bezwarunkowej kapitulacji. Następnie wprowadzić plan Marshalla, otoczyć opieką udręczonych długimi cierpieniami pokonanych i pomóc im odzyskać przynależność do wspólnoty narodów. Wszyscy tego chcą. Ale to się nie zdarzy.

Dziś nie możemy sobie poradzić z takimi typami, jak mądrzejszy o lekcje z cudzej przeszłości Kim Dzong Il czy wciąż nieuchwytny Osama bin Laden. To tylko dwóch spośród tych czarusiów, którzy już nigdy nie zdecydują się na rzucenie nam wyzwania w postaci wystawienia regularnych wojsk przeciwko naszym wojskom. Będziemy zajmować się takimi kwestiami, jak operacje niesienia pomocy humanitarnej, zarządzanie skutkami użycia środków walki, utrzymywanie pokoju i zaprowadzanie pokoju. Gdzieś po drodze będziemy musieli odpowiedzieć na tego czy innego typu katastrofę ekologiczną. Gdzie indziej możemy utkwąć z amerykańskim batalionem na jakiejś linii demarkacyjnej pomiędzy dwiema wrogimi sobie siłami, podczas gdy ów batalion będzie dowodzony za pośrednictwem dziwnego, poskręcane łańcucha dowodzenia. I wiecie co? Będziemy przeklinać i jęczeć ze złości.



Odkurzymy doktrynę Weinbergera i doktrynę Powella i rzucimy je w twarz naszym cywilnym przywódcom.

Prawda jest taka, że reguły konfliktu zbrojnego zmieniły się, a my niechętnie to akceptujemy. Zwycięstwo w konwencjonalnej wojnie z całą armią jakiegoś państwa nie jest zadaniem na XXI wiek. Na porządku dziennym są niecodzienne misje w celu przeciwdziałania zagrożeniom przekraczającym granice państw oraz odbudowywania państw - my jednak jeszcze się do nich nie przystosowaliśmy. Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę, jednak nie chcemy się do tego przyznać.

### **Obowiązek mówienia prawdy**

W kwietniu 2003 roku zostałem zaproszony przez Akademię Marynarki Stanów Zjednoczonych do wygłoszenia wykładu dla kadetów. Zorganizował go Ośrodek Badań nad Etyką Wojskową Akademii. Jako temat wykładu wybrałem obowiązek mówienia prawdy i tak swój wykład zatytułowałem. Powiedziałem przyszłym dowódcom naszej marynarki, że mówienie prawdy może być bolesne i brzemiennie w skutkach, jednak jest obowiązkiem. Często prawda nie podoba się tym, którzy powinni ją usłyszeć; można nawet zostać za jej wygłoszenie ukaranym, jednak jest się ją winnym ojczyźnie, swoim dowódcom oraz żołnierzom.

Zawsze zdumiewa mnie to, jak ludzie, którzy odważnie patrzyli w oczy śmierci na polu walki, nieraz, jako starsi oficerowie, stają się zalęknieni i nie są w stanie bronić tego, co słuszne albo nazwać tego, co niesłuszne. Ma to wiele powodów, począwszy od karierowiczostwa i nadziei na osobiste korzyści, poprzez doraźne względy polityczne czy fałszywe poczucie obowiązku, aż do mentalności rodem z filmu Szarża lekkiej brygady. „skoro nasi chłopcy tam umierają, to jest moralnie

naganne krytykowanie błędnej polityki i taktyki, która postawiła ich w tym położeniu”. Idiocyzm.

Wiele lat temu, w Wietnamie, złożyłem młodemu rannemu starszemu szeregowemu przysięgę, że nigdy nie ulęknię się wypowiedzenia głośno prawdy. Nawet jeśli będzie oznaczało to koniec mojej kariery. Później Bóg pozwolił mi służyć pod wspaniałymi dowódcami, którzy pozwalali mi mówić głośno i chętnie słuchali, a nawet zachęcali do wniesienia mojego wkładu w rozwój sytuacji - choćby moje zdanie było przeciwne ich zdaniu. Ci ludzie nauczyli mnie na temat odwagi więcej, niż nauczyłem się na polach bitew - ludzie tacy jak Hugh Shelton, który jako przewodniczący Komitetu Szefów Połączonych Sztabów wymagał od wszystkich nas, generałów armii (głównodowodzących dowództw regionalnych oraz szefów służb), przeczytania książki H.R. McMastera; ten ostatni był w czasie jej pisania młodym zdolnym majorem wojsk lądowych i wychwalanym oficerem wojsk pancernych podczas operacji „Pustynna Burza” (jako kapitan dowodził oddziałem Orzeł 2. Pułku Kawalerii Pancernej podczas bitwy na linii 73 Easting - największego starcia wojsk pancernych od czasu bitwy na półwyspie Synaj w 1973 roku). Owa książka, zatytułowana Dereliction of Duty (Zaniedbanie obowiązków), opisuje szczegółowo, jak szefowie sztabów nie mówili głośno prawdy podczas wojny wietnamskiej. Wiedzieli, że budują kampanię wojskową na kłamstwach, ale mimo to parli naprzód aż do Doliny Śmierci. Dwudziestego dziewiątego stycznia 1998 roku odbyło się spotkanie przy śniadaniu, które poprowadził major McMaster. Przewodniczący Komitetu Szefów Połączonych Sztabów powiedział wtedy jasno, że oczekuje od nas mówienia prawdy prosto w oczy. Tej

samej zachęty udzielali mi tacy wyjątkowi dowódcy, jak generałowie Al Gray, Bob Barrow, Jack Galvin, Mick Trainor, Fred Haynes, Jim McCarthy, Joe Hoar, Binnie Peay, Bob Johnston oraz admirał Snuffy Smith. Potrzebujemy więcej takich jak oni dowódców.

Odwaga cywilna nieraz przychodzi trudniej niż odwaga na polu walki. Zdarza się, że człowiek nie zgadza się z dowódcą, ale musi to przełknąć i powiedzieć: „Tak jest!”, po czym zrobić to, co mu rozkazano. Zdarza się jednak także, że człowiek nie zgadza się z przełożonym i powinien mu to powiedzieć jasno i wyraźnie - nawet kosztem własnej kariery. Jeśli jesteś generałem, być może przyjdzie ci zrezygnować dla jakiejś zasady czy prawdy, której nie możesz się wyprzeć.

Karierowiczostwo jest zgubne dla zasady mówienia prawdy. Podobnie względy polityczne. W obu przypadkach nadzieja na osobistą korzyść przesłania morale i honor człowieka. Stosowanie zasady „nie wychylaj się” prowadzi do ślepoty moralnej i ignorowania zagrożenia powodzenia misji lub życia czy dobra żołnierzy i ich rodzin. Żołnierze oczekują od swoich dowódców w kraju więcej niż tylko stwierdzeń w rodzaju: „jesteśmy w stu procentach z nimi”. Takie słowa charakteryzują mentalność generałów z czasów I wojny światowej, którzy siedzieli w zamkach, wysyłając tysiące wspaniałych młodych ludzi na bezsensowną śmierć. Ceną za twój błąd polityczny może być krew naszych żołnierzy. Dlatego nasi przywódcy polityczni i dowódcy wojskowi muszą być rozliczani za swoje błędy. Ktoś musi im powiedzieć, że kategorie sukcesu, w których myślą, przekładają się na polu walki na zupełnie co innego.

Żołnierzom potrzebni są dowódcy oraz przywódcy, którzy ich rozumieją, walczą za nich i doceniają to, przez co żołnierze przechodzą.

Dowódcy tracą wiarygodność w oczach żołnierzy, jeśli milczą, podczas gdy dzieje się coś złego. Dla żołnierzy milczenie dowódców w takich sytuacjach jest oznaką ich niekompetencji albo karierowiczostwa. Na pewno nie wsparcia.

Nieraz mówiono o mnie, że jestem szczery aż do bólu. Jestem. Zbyt wielu naszych dowódców najwyższego szczebla jest „generałami - lub admirałami - ze Stepford”. Nie wypełniają obowiązku mówienia prawdy. A kiedy go wypełniają, są szkalowani. Ostatnio szef sztabu armii wyznał, że dla uspokojenia sytuacji w Iraku potrzebowaliby 300 000 żołnierzy. Wszyscy w kręgach wojskowych wiedzieli, że ma rację. Jednak w Pentagonie zdecydowano, że potrzeba połowy tej liczby, i generał został postawiony pod pręgierzem.

Tego rodzaju incydenty nie uchodzą uwadze naszych podkomendnych. Wielu czuje się zdegustowanych i pozbawionych złudzeń i porzuca służbę ojczyźnie. Inni uczą się, że postępowanie zgodnie z „obowiązującym trendem” jest metodą na osiągnięcie wysokiego stopnia wojskowego.

Podczas przygotowań do ataku na Irak oraz samej wojny zaobserwowałem co najmniej zaniedbania, niedopatrzenia i nieodpowiedzialność - a w najgorszym przypadku: kłamstwa, niekompetencję i korupcję. Jako usprawiedliwienie przedstawiano fałszywe przesłanki, strategia zawierała poważne błędy, brakowało planowania, niesłusznie pozostawialiśmy samym sobie naszych sojuszników, nie doceniliśmy stojącego przed nami zadania, niepotrzebnie odwracaliśmy uwagę od realnych zagrożeń, obciążyliśmy nasze rozciągnięte na zbyt dużej przestrzeni wojska nieznośnym napięciem.

Wszystko to spowodowało, że bez ogródek wypowiedziałem głośno prawdę. Zrobiłem to jeszcze przed wojną, aby przestrzec i wyrazić swój niepokój o sprawy, co do których wiedziałem, że będą stanowić niebezpieczeństwo, że z dużym prawdopodobieństwem mogą zaszkodzić interesom naszego kraju. Oficjele z Pentagonu nazwali mnie zdrajcą. Jak powiedziałem młodym kadetom, ataki personalne są bolesne, ale fotografie ofiar wojny, które codziennie widzę w gazetach i w telewizji, przekonują mnie, że nie wolno bać się wypełniać obowiązku mówienia prawdy.

Obowiązek mówienia prawdy rozciąga się także na środki masowego przekazu.

Przez ostatnie 40 lat na naszych oczach ze środkami masowego przekazu działy się dziwne rzeczy. Niewielu jest takich jak Ernie Pyle - wielkich dziennikarzy, którzy pokazują wojnę taką, jaką widzi ją żołnierz. Choć w środkach masowego przekazu nie ma z natury nic złego. Procent dobrych i złych ludzi wśród dziennikarzy jest taki sam, jak w innych grupach.

Jednak rozwój techniki spowodował zmiany. Teraz dziennikarze są na polu walki, w dowództwie - wszędzie. I pokazują wszystko - dobre i złe wiadomości, wszystko z pełnym realizmem. Wiadomo, że pokazywanie barwnych szczegółów uatrakcyjnia dziennikarski przekaz. Jako głównodowodzący CENTCOM-u znalazłem się na dywaniku może z pięć razy, z czego cztery razy z powodu moich wypowiedzi dla środków masowego przekazu. Na tamtym etapie mojego życia niespecjalnie się tym przejmowałem - bo kimże więcej miałem zostać? Jednak jeśli jest się porucznikiem czy kapitanem i widzi się, jak inny oficer ponosi

konsekwencje nieopatrznej wypowiedzi dla telewizji, reaguje się inaczej. Myśli się: Unikaj dziennikarzy. To twoi wrogowie. Nie mów im prawdy.

Źle, że tak się dzieje. Źle, ponieważ żyjemy w erze informacji. Reportaże z pola walki będą przychodzić w czasie rzeczywistym i będą interpretowane - z wykorzystaniem wszystkich subtelnych odcieni i niuansów dziennikarskiego formułowania wypowiedzi - przez reporterów i edytorów programów informacyjnych. Jednak relacje pomiędzy wojskiem a mediami, które teraz powinny być szczególnie bliskie, osiągnęły dno. Zaczęło się trochę poprawiać, ale trzeba zrobić o wiele więcej. Musimy odbudować poczucie wzajemnego zaufania. Moi wujkowie walczący w II wojnie światowej spotykali się na ogół z przyjaznymi dziennikarzami - były to czasy rysunkowych Williego i Joego Billa Mauldina i relacji Erniego Pyle'a. Wtedy praca dziennikarzy stanowiła część naszego wysiłku wojennego. Amerykański żołnierz był przedstawiany jako waleczny bohater, a złe wiadomości tłumiono - jeśli nie robiło tego samo wojsko, to właśnie środki masowego przekazu. Stosunki wojska i prasy pozostawały ogólnie dobre przez całą wojnę koreańską, pomimo jej niejednoznaczności. Jednak podczas wojny wietnamskiej i po niej te relacje się zepsuły, z różnych powodów - z których bardzo ważnym był rosnący brak zaufania środowiska dziennikarskiego oraz całego społeczeństwa do rządu.

Wojsko i środki masowego przekazu muszą odzyskać wzajemne zaufanie, które dawniej było na porządku dziennym. Nie będzie to łatwe, wzięwszy pod uwagę naszą najświeższą przeszłość oraz postęp techniki dziennikarskiej. Będzie to jednak miało decydujące znaczenie dla zachowania jednej z najbardziej wielbionych przez nas swobód, przy

jednoczesnym zachowaniu bezpieczeństwa kluczowych informacji operacyjnych.

## Przywództwo i życie

Nie można przewodzić ludziom, jeśli nie kocha się tych, którym się przewodzi. To pierwsza zasada. Wszystkie inne zasady przywództwa z niej wypływają. Zbyt wielka część szkolenia dowódców skupia się na samym dowódcy, a zbyt mała - na dowodzonych. Podkomendni są rodziną dowódcy. W zawodach, które wiążą się z powołaniem, trzeba mieć w swoich towarzyszach i towarzyszkach rodzinę. W moim zawodzie ludzie kładą na szali wszystko i są gotowi umrzeć. Musimy o nich dbać. Muszą coś dla nas znaczyć. Trzeba nam wiedzieć, co sprawia, że funkcjonują, kim są, czego chcą i potrzebują, co nimi kieruje.

Pamiętam moją rozmowę sprzed kilku lat z premierem Etiopii Melesem. Zanim stał się szefem rządu, był frontowym generałem i walczył podczas trwającej 20 lat rewolucji. Znał swoich żołnierzy. Żyli i walczyli razem przez dwa dziesięciolecia. Pewnego dnia podczas bitwy oddziały Melesa musiały przejść przez pole minowe, nie dysponując żadnymi urządzeniami, które by im to ułatwiły. Generał nie miał wyboru. Musiał posłać przodem żołnierzy, których zadaniem było odnalezienie przejść wolnych od min. Wielu z wysłanych zginęło, jednak w końcu wojskom udało się przejść przez pole minowe.

Kiedy Meles mi to opowiadał, w jego oczach pojawiły się łzy smutku z powodu śmierci żołnierzy. Jeśli nie czujesz ani nie potrafisz czuć czegoś podobnego, nie powinieneś być dowódcą.

Druga zasada brzmi: poznaj siebie. Niewielu przywódców jest tak dobrych, jakim się wydaje. Dowódcy rozwijają w sobie umiejętność

odnajdywania mierników sukcesu, dzięki którym wyglądają na dobrych dowódców - na przykład liczą zabitych. Jaka jest rzeczywista miara sukcesu? Można ją odnaleźć, jeśli naprawdę rozumie się dany konflikt i szuka się odpowiedzi u żołnierzy. To oni walczą w polu, więc to oni wiedzą. Ich relacje mogą brzmieć dla dumnego dowódcy druzgocąco, ale są absolutnie niezbędne do tego, aby wiedział, jakim jest dowódcą. Prawdziwi przywódcy pytają swoich ludzi o stan rzeczy niezależnie od tego, czy wiadomości są dobre, czy złe. Słuchają, wyciągają wnioski i uczą się.

Wszyscy ludzie składają się z trzech elementów: ciała, umysłu i ducha. Nikt nie jest kompletnym człowiekiem, jeśli nie rozwija wszystkich tych trzech aspektów swojej osoby i nie dba o nie. Jako dowódca musisz troszczyć się o każdy z tych trzech elementów zarówno u siebie samego, jak i u ludzi, którymi dowodzisz.

Każdy przywódca potrzebuje zasad, według których żyje. Owe zasady może ukształtować wiele czynników. Nasza rodzina, szkoły i uczelnie, wiara, znajomi, powołanie i inne. Moja córka zapytała mnie raz, za co bym zginął. Zastanowiłem się nad tym dobrze, zanim jej odpowiedziałem. Wiedziałem, że odpowiedź w istocie zdefiniuje mnie. Powiedziałem córce, że zginąłbym za swoją wiarę, rodzinę, przyjaciół, wolność i sztandar. W ten sposób wymieniłem wartości, które cenię. Jednak uznawanie wartości jest bezcelowe, jeśli nie żyje się w zgodzie z nimi. Słów takich jak prawość, etyka, honor nie wystarczy wymawiać. Trzeba według nich żyć.

Człowiek nigdy nie przestaje się uczyć, chyba że tak postanowi. Ja mam niezaspokojone pragnienie wiedzy. To moja obsesja. Źródła, z



których mogę czerpać wiedzę, zewsząd mnie otaczają. Kiedy popełniam błąd lub ponoszę porażkę, muszę wiedzieć dlaczego. Chcę wiedzieć, co sprawia, że ludzie i rzeczy funkcjonują. Zadziwia mnie, ile ludzie tracą, nie obserwując z ciekawością i otwartością umysłu świata wokół siebie.

Więcej nauczyłem się od sierżantów niż od generałów. Żołnierze znajdują wspólny język z dowódcami poprzez sprawdzanie ich, a konkretnie tego, czy dowódca potrafi znaleźć wspólny język z żołnierzem, czy jest na nich otwarty i czy słucha. Żołnierze chcą wiedzieć, czy jest się z nimi uczciwym w tym, co najważniejsze. Nie chodzi tu o „kumplowanie się”. Dowódca nie może być kumplem swoich podkomendnych. Jednak żołnierze cieszą się, kiedy mogą powiedzieć: „Mogę porozmawiać z tym kapitanem. On słucha”. Jeśli nie będziesz słuchać swoich żołnierzy, będą grzeczni, ale możesz zapomnieć o ich szacunku... albo o dowiadywaniu się prawdy o tym, co rzeczywiście się dzieje. Dowódca powinien chcieć, aby podkomendni mówili mu: „Panie kapitanie, to do niczego” albo: „Panie kapitanie, poskutkowało”, lub też: „Panie kapitanie, to działa, ale nie zawsze”. Kiedy dowódca wie, co się naprawdę dzieje, i może zaradzić problemom, wtedy naprawdę odnosi sukcesy.

Uwielbiam uczyć. To podstawowe zadanie dowódcy.

Moja filozofia nauczania opiera się na dwóch zasadach. Pierwsza ma związek z misją nauczyciela. Jego rolą jest podanie studentom czy uczniom faktów oraz jasne wyrażenie różnych spojrzeń, opinii i możliwości związanych z danym tematem. Następnie, kiedy już przekaże to wszystko, rolą nauczyciela jest nauczenie studentów, jak myśleć, a nie co myśleć na dany temat. Powinno się uczyć, jak zadawać naprawdę ważne pytania, a nie jak udzielać odpowiedzi zgodnych z wiedzą potoczną

czy ogólnie przyjętymi, od dawna niezmiennymi się opiniami. Jeśli wiesz, jak zadawać właściwe pytania, zazwyczaj jesteś w stanie znaleźć najlepsze odpowiedzi... choć niekoniecznie od razu.

Druga zasada nauczania ma związek z podstawami myślenia. Musi ono mieć bazę w postaci pewnego zbioru wartości. Wymaga to od nauczycieli podkreślania wagi procesu myślowego opartego na wartościach, bez narzucania swoich osobistych interpretacji tychże wartości. Wartości, wtedy będą miały donioślejsze znaczenie w życiu i sposobie myślenia ucznia oraz w podejmowaniu przez niego decyzji, a także w procesie kształtowania się jego zasad etycznych, kiedy odkryje je on oraz zdefiniuje samodzielnie.

Największą radością dla nauczyciela jest zobaczyć ów błysk odkrycia lub wątpliwości, których wcześniej nie było, a które w danej chwili stają się dla studenta bodźcem do myślenia.

Uczenie się to odkrywanie przy pomocy przewodnika, którym jest nauczyciel. Jego wiedza stanowi przestrzeń faktów, po której podróżuje drogą odkryć uczeń, zaś osobisty przykład i umiejętności przywódcze oraz mentorskie nauczyciela dają uczniowi podstawę moralną. Kompetencje nauczyciela składają się zatem z dwóch nierozdzielnie związanych ze sobą części. Nauczyciel musi być ekspertem w swojej dziedzinie wiedzy, a także musi umieć przewodzić. Sama wiedza nie wystarczy. Przywództwo i nauczanie to wyrazy bliskoznaczne. Nie można założyć robienia jednego bez drugiego.

Jako nauczyciel staram się wykonywać obowiązki wyrażone przez powyższą filozofię. Wymaga to ode mnie rozwijania w sobie umysłowych, fizycznych i duchowych cech, które pragnę przekazać i wpoić moim

studentom.

Jako młody kapitan zacząłem zapisywać wszystko, co myślałem na temat mojego rzemiosła. Wyrażałem swoje przekonania, prosiłem innych, aby podawali je w wątpliwość, i starałem się obudować każde z nich wiedzą. Wskutek tego nieustannie je zmieniałem bądź modyfikowałem.

Z czasem moje przekonania podzieliły się na trzy kategorie - takie, których stałem się absolutnie pewien, takie, których słuszności byłem prawie pewien, i te, które z dużą dozą prawdopodobieństwa mogły się znowu zmienić. Owe trzy części były mniej więcej równe; pojawiały się nowe wnioski, niektóre dawne odchodziły w przeszłość; wszystkie zaś cały czas się kształtowały. Nazwałem je moimi „konceptjami bojowymi”. Stały się dla mnie mechanizmem nieustannego uczenia się.

Poszczególne koncepcje nie znaczą tyle, ile cały proces. Ów proces uznałem w moim przypadku za tak ważny, że rozszerzyłem rozważaną problematykę ze sztuki toczenia wojen na inne dziedziny - przywództwo, życie osobiste, innych ludzi, budowanie zespołu. Wciąż zadawałem sobie pytanie: Co napędza ludzi do działania? Czego chcą od życia? Co jest siłą napędową zespołów ludzkich? W jaki sposób mogę bardziej zbliżyć do siebie moich podkomendnych i sprawić, by skuteczniej pracowali?

Spisałbym swoje myśli na te wszystkie tematy, ale zawsze były otwarte na kontrargumenty i zmiany. Zawsze chciałem być w stanie wciąż badać rdzeń swojego wnętrza. Dawno temu nauczyłem się, że kiedy przestanie się to robić, można doznać prawdziwego wstrząsu, kiedy dotknie człowieka jakiś cios.

## **Stany Zjednoczone i świat**

Nasze państwo jest potężne. Stało się takie, ponieważ stara się być

dobrze. To znaczy, jest oparte na wartościach... wartościach, które hołubimy w dobrych i w złych czasach. Nasz kraj jest podziwiany, szanowany, nienawidzony oraz budzi zazdrość z powodu swojej wielkości. Dla niektórych jest wskazującą kierunek latarnią, jaką powinniśmy starać się być, według słów Jeffersona. Ameryka jest dla wielu nadzieją i obietnicą. Jako Amerykanin w pierwszym pokoleniu wiem, co to znaczy. Tutaj wszystko jest możliwe.

Musimy zachować te wszystkie przymioty. Być może nie zawsze będzie nam się udawać, ale zawsze musimy się starać. Ważne, żeby nie przestać być Ameryką, kiedy przydarzają się nam ciężkie chwile. Najważniejsze dla Ameryki jest pozostać Ameryką, kiedy jest najtrudniej być Ameryką. Kiedy dzieje się źle, rodzi się pokusa zdradzenia naszych wartości. Po 11 września ciężko jest być Ameryką. Jednak prawdziwe przywództwo nie może pogrążyć się w moralnych kompromisach.

Jesteśmy teraz imperium. Nie imperium w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, czyli opartym na podbojach. Jesteśmy imperium wpływów. Nasza potęga, nasze wartości i obietnica spełnionych marzeń, jaką ze sobą niesiemy, wywierają wpływ na świat. Stanowimy coś więcej niż latarnię morską Jeffersona. Jesteśmy oczekiwaniem rzeczy lepszych. Świat domaga się od nas zapewnienia mu tego, czym promieniujemy. Postrzega się nas jako mających obowiązek podzielenia się swoim światłem. Inne narody pragną pomocy, przywództwa i wskazówek, jak dojść tam, gdzie się znajdujemy. Chcą, abyśmy pomogli im osiągnąć ich pełen potencjał. Jednak nie chcą ani nie oczekują od nas stałego zasiłku. Powróćmy do tego, co powiedziałem o nauczaniu. Inni chcą, żebyśmy pokazali im, jak wznieść się tam, gdzie my jesteśmy. Nie chcą jałmużny.

Jednak my niechętnie dajemy to, czego od nas oczekują. Nigdy nie pogodiliśmy się do końca z naszą rolą w świecie ani naszymi obowiązkami względem innych jego obywateli. Wilsonowskie marzenie o użyciu tego, czym Bóg nas pobłogosławił, do naprawy świata zawsze ścierało się z przeciwstawną tradycją izolacjonizmu „dla uniknięcia uwikłania w zagraniczne problemy”. W mojej opinii to będzie prawdziwy dylemat, z którym będziemy się musieli zmierzyć w tym stuleciu. Świat u naszych bram żąda od nas tego.

I nie jest to czysty, dobrze uporządkowany świat. Jest zagmatwany. Mnóstwo ludzi nas nie lubi. Albo nam zazdrości. Lub też nie podoba im się sposób, w jaki postępujemy ze swoją siłą.

W pewnym sensie czeka nas powrót do przeszłości - dzisiejszy międzynarodowy krajobraz mocno przypomina pejzaż Karaibów z lat 20. i 30. ubiegłego wieku - niestabilne państwa kierowane przez nieczułych dyktatorów aż do momentu katastrofy i zupełnego upadku. Będziemy obserwowali więcej państw w stanie upadku, takich jak Somalia czy Afganistan - i podobnie niebezpiecznych. I coraz więcej i więcej amerykańskich żołnierzy będzie brać udział w niepewnych, zagmatwanych operacjach, w których aspekt wojskowy będzie o wiele bardziej niż niegdyś zmieszany z politycznym, humanitarnym i ekonomicznym. Ludzie reprezentujący Stany Zjednoczone - najpotężniejsze państwo o największych możliwościach - będą musieli radzić sobie z każdą skomplikowaną sytuacją i koordynować wszystko. Będzie do tego dochodziło coraz częściej.

Niektóre z tych państw w stanie upadku będą schronieniem dla ekstremistycznych ugrupowań, które wciąż będą planować i szkolić się w

tamtejszych bazach i organizować ataki na siły Stanów Zjednoczonych i inne cele. Wciąż będzie coraz więcej naturalnych i spowodowanych przez człowieka katastrof humanitarnych, którym towarzyszyć będą napięcia społeczne najwyraźniej już wymykające się spod kontroli w różnych częściach świata. Regionalni hegemoni i państwa zbójce wyniosą naukę z naszych wojen z Irakiem i rozwiną tak zwane „asymetryczne” możliwości - zagrożenia nakierowane na wykorzystanie ewidentnych pięt achillesowych naszych sił zbrojnych i naszych braków. Owe zagrożenia mogą mieć szerokie spektrum, od broni masowego rażenia i rakiet dalekiego zasięgu poczynając, a na zwykłych minach morskich czy terrorystycznej taktyce kończąc. Wszystkie są obmyślane na przetestowanie naszej zaobserwowanej niezdolności militarnej, politycznej czy też psychologicznej do użycia siły.

Zwycięstwo już nie następuje wraz ze zdobyciem stolicy nieprzyjacielskiego państwa. Nie możemy zakończyć konfliktu, ogłaszając zwycięstwo na pokładzie lotniskowca pośród błysku fleszy. Podobne wydarzenia będą zaledwie sygnałem, że na dobre wkroczyliśmy w konflikt. Ma on swoją logikę i swoje etapy i trwa długo, czasem dłużej niż sobie wyobrażamy; zaś zwycięstwo następuje wtedy, kiedy w rejonie dotychczasowego konfliktu doprowadzi się do powstania trwałej stabilnej sytuacji.

Globalizacja i eksplozja technologii informatycznej sprawiły, że ostatnio świat stał się jeszcze bardziej organiczną całością, której poszczególne elementy zależą od pozostałych. Geograficzne bariery, takie jak oceany i pasma górskie, nie są już nieprzekraczalnymi granicami. Niestabilność gospodarcza, polityczna czy społeczna w odległych

częściach świata będzie wpływała także na nasze bezpieczeństwo, interesy czy dobrobyt, na naszej coraz bardziej kurczącej się planecie. Do tego wciąż będą zyskiwać na znaczeniu ciała niebędące państwami, jak organizacje pozarządowe, międzynarodowe grupy przestępcze, ruchy ekstremistów, światowe korporacje i grupy wojskowych watażków; wszystko to skomplikuje jeszcze bardziej świat dawniej zdominowany przez wzajemne relacje państw narodowych.

W ostatnich latach duża część świata - rozciągająca się od Afryki Północnej aż do Filipin i od Azji Środkowej do Afryki Środkowej - jest niestabilna, objęta politycznym i społecznym wrzeniem. Będziemy się z nim zmagać przez całe dziesięciolecia. Odległe miejsca, takie jak Somalia, Haiti, Bośnia, Serbia, Kosowo, Rwanda, Timor Wschodni, Aceh, Kolumbia i inne, stały się punktami zapalnymi, które wymagały naszej interwencji na stosownym poziomie. Jednocześnie potrzeba powstrzymania zagrożeń regionalnych ze strony takich państw, jak Iran, Irak i Korea Północna, wciąż pozostawała znaczącym wymaganiem względem naszego wojska. Państwa te stały się groźniejsze, rozwijając swoje większe niż dotychczas możliwości militarne, nakierowane na odmawianie nam dostępu do ich regionów oraz do naszych sprzymierzeńców znajdujących się w tychże regionach. Względy naszego bezpieczeństwa narodowego powodują nasze coraz większe zaangażowanie w odległych niestabilnych częściach świata.

W rezultacie tych nowych zadań nasze kurczące się i przystosowujące do nowej sytuacji siły zbrojne stanęły w obliczu dziwacznych, nowatorskich misji, które podziały na nie jak kolejny atak. Malejące zasoby personalne i materialne amerykańskiego wojska musiały

wystarczyć na wszystkie potrzeby. Okazały się one zbyt duże, aby zachowywać takie tempo działania stale. Z paroma wyjątkami amerykańscy dowódcy sprzeciwiali się nowym misjom oraz zmianom, jakie powinny spowodować w naszej doktrynie, organizacji, sposobie szkolenia i wyposażeniu potrzebnemu do sprostania rosnącej liczbie zróżnicowanych zadań. Tradycjoniści w łonie kierownictwa naszych sił zbrojnych naciskali na to, żeby zachować dotychczasowy sposób działania, brać udział tylko w wojnach międzypaństwowych - mieli nadzieję na powrót do „prawdziwej żołnierki”, podczas gdy byli zmuszeni naprawiać zmieniające się wojsko, zmagające się ze wszystkimi zadaniami, jakimi je obarczono. Podobno jeden z naszych najwyższych dowódców powiedział, że „prawdziwi mężczyźni nie zajmują się OOTW”. Tak teraz określa się wszystkie te pogmatwane misje na umiarkowaną skalę. Nazywa się je także misjami stabilizacyjnymi.

## **Wojsko XXI wieku**

Nasze siły zbrojne stoją w obliczu kilku poważnych pytań oraz wyzwań. Pierwsze ma związek z rosnącą liczbą nietradycyjnych zagrożeń. Czy będzie ich coraz więcej i czy pojawią się jeszcze następne ich typy, oraz czy będziemy polegać na wojsku jako naszym głównym instrumencie radzenia sobie z nimi? Po drugie, czy stać nas na taki rodzaj wojska, który będzie w stanie sprostać wszystkim czekającym nas potencjalnym wyzwaniom? Trzecie pytanie ma związek z bardzo potrzebną reformą amerykańskich sił zbrojnych. Czy wojsko jest w stanie zmieniać się, reformować czy też przekształcać, aby sprostać wyzwaniom nowego wieku i przystosować się do szybkiego rozwoju nowych technologii, które mogą sprawić, że oblicze sił zbrojnych będzie wkrótce inne niż obecnie?



Czwarte pytanie wiąże się z reformą strukturalną agend rządowych, potrzebną, aby rozmaite agencje zmieniały się równolegle z reformującym się wojskiem. Czy zdołamy sprostać wymaganiu udoskonalenia procesu podejmowania decyzji oraz integracji wszystkich instrumentów władzy (politycznych, gospodarczych, informacyjnych itp.), aby rozwiązywać czekające nas wielowymiarowe problemy?

Nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłości, możemy jednak osądzać na podstawie rosnącej liczby zagrożeń, w obliczu jakich już się znajdujemy. Niektóre z nich nie są zagrożeniami takiego typu, do jakich się cały czas przygotowywaliśmy.

Nasze bezpieczeństwo narodowe będzie wymagało, abyśmy mieli wojsko zdolne i przygotowane do reagowania na:

- mocarstwo światowe o znacznych możliwościach militarnych;
- regionalnych hegemonów o asymetrycznych możliwościach, takich jak broń masowego rażenia i rakiety, nakierowanych na uniemożliwienie nam dostępu do ważnych dla nas regionów i regionalnych sprzymierzeńców;
- międzynarodowe zagrożenia, takie jak organizacje terrorystyczne, międzynarodowe grupy przestępcze, w tym mafie narkotykowe, wojennych kacyków, kwestie związane z bezpieczeństwem środowiska, choroby oraz nielegalne migracje;
- problemy państw w stanie upadku, które wymagają operacji pokojowych, pomocy humanitarnej bądź międzynarodowych programów odbudowy;
- zagraniczne kryzysy, które stanowią zagrożenie dla amerykańskich obywateli i mienia;

- krajowe zagrożenia przekraczające możliwości innych federalnych bądź stanowych agend rządowych;
- zagrożenia dla naszych kluczowych zasobów oraz nośników informacji.

Powyższa lista trudnych wyzwań nie obejmuje przede wszystkim klasycznych operacji wojennych o jasnych regułach, jakie woleliby nasi wojskowi. Przysięgaliśmy bronić naszej ojczyzny przed „wszystkimi wrogami zagranicznymi i krajowymi”. Ale dziś „wrogowie” zagrażający naszemu spokojnemu bytowaniu mogą się okazać bardzo nieklasyczni, zupełnie inni niż dawniej.

W tym momencie zmagamy się w Iraku ze zwolennikami świętej wojny, którzy zjeżdżają się tam z zagranicy, aby siać śmierć i zamęt; kwitnie przestępczość na ulicach, dawni członkowie partii Baas i fedaini wciąż hasają na wolności wokół naszych wojsk, powodując problemy; amerykańscy żołnierze są wysadzani w powietrze, samobójcze zamachy bombowe doprowadziły do wycofania się z kraju pracowników ONZ i wielu organizacji pozarządowych; grozi rozpad Iraku i wojna domowa - pomiędzy różnymi odłamami szytów, szyitami a sunnitami, Kurdami a Turkmenami - którymkolwiek nich. To beczka prochu. Jeśli istnieje jakiś ośrodek, który jest w stanie utrzymać tę mieszankę razem, nie znam go. Wojna domowa w Iraku może wybuchnąć w każdej chwili. Potrzeba nam na taką okoliczność więcej sił, strategii i planu.

To nie jest typ konfliktu, na jakiego potrzeby zawsze planowaliśmy. Toczenie bitew jest tylko jednym z jego elementów. Niektóre narody na polu walki nie postępują według naszych reguł. Nie nadciągają w postaci standardowo wyposażonych formacji wojskowych. Pojawiają się na wiele

różnych sposobów i mają inne cele niż my.

Destabilizujące środowisko, w którym możemy być zmuszeni użyć naszych sił do przeciwstawienia się wielu spośród wymienionych zagrożeń, może być dodatkowo zdegradowane wskutek urbanizacji, zapaści gospodarczej, przeludnienia oraz wyczerpania się podstawowych zasobów. Świat stał się zależny od surowców, które pochodzą z coraz mniej stabilnych regionów, na co nakładają się problemy ze słabą infrastrukturą i zagrożeniem dla środowiska naturalnego. Dostęp do źródeł energii, wody, drewna, kamieni szlachetnych, rzadkich metali i tym podobnych surowców coraz częściej staje się uzasadnieniem interwencji i konfliktów w różnych częściach globu.

Będziemy również wymagać od naszych sił zbrojnych, aby wciąż spełniały wymagania angażowania się i współkształtowania rzeczywistości w czasach pokoju. Waga zachowania stabilności w regionach poprzez budowanie realnych, zdolnych do wspólnego działania koalicji z siłami naszych regionalnych sprzymierzeńców pozostanie istotna, abyśmy mogli zapewnić sobie bezpieczeństwo w kluczowych miejscach świata. Zaangażowanie wojskowe przynosi dywidendę w postaci odstraszania, budowy zaufania oraz dzielenia się obciążeniami, jak również jest demonstracją naszego zdecydowania. Jednak te zadania będą jeszcze bardziej obciążać nasze już i tak zajęte siły zbrojne.

Przedłożono pewne propozycje mające na celu reformę sił zbrojnych, której podstawą ma być drastyczna redukcja struktury naszych wojsk, wycofanie sił stacjonujących w zagranicznych bazach i zatrzymanie modernizacji. Adwokaci takiej „strategicznej pauzy” sądzą, że możemy wycofać się ze świata i nie przeprowadzać interwencji, które godzą w

nasze interesy. Mylą się. Są ślepi, nie widząc świata, jakim jest. Nie możemy ryzykować świata, który miałby się sam porządkować. Gdybyśmy nie byli w stanie poradzić sobie z nieprzewidzianym zagrożeniem, jakie wyłoniłoby się z owego pozbawionego porządku globalnego środowiska, ryzyko dla nas mogłoby okazać się zbyt wielkie, może nawet śmiertelne.

Koniecznien trzeba w tej chwili przekształcić nasze siły zbrojne w świadomy, dobrze przemyślany sposób, tak aby skutek był pozytywny. Społeczeństwo musi zaakceptować tę potrzebę i wesprzeć starania prowadzące do tej transformacji, aby mogła się udać. Będzie to wymagało silniejszych i bliższych związków Amerykanów z ich wojskiem. Nasze wzajemne relacje ochłodziły się, bywały nawet napięte, od czasów wojny wietnamskiej oraz stuprocentowego przejścia na armię zawodową.

Jaki powinien być kształt tych przemian?

Wojsko tradycyjnie zajmuje się wyruszaniem na front, zabijaniem ludzi i niszczeniem rzeczy. Mając to na uwadze, musimy określić, w jaki sposób naprawiać zniszczenia i rozwiązywać konflikty. Pewnego razu przyjrzelismy się pozostałym elementom potęgi państwa - politycznym, gospodarczym, informacyjnym czy jeszcze innym - aby wywnioskować, w jaki sposób możemy na nie wpływać. Zrobił to George Marshall w obliczu zakończenia II wojny światowej. W ostatnich czasach nic podobnego się nie powtórzyło.

Amerykańskie siły zbrojne doskonale potrafią zabijać ludzi i niszczyć rzeczy. Jesteśmy w stanie wystawić lepszy oddział piechoty niż ktokolwiek na świecie. Potrafimy zbudować lepszy myśliwiec, okręt czy czołg i inteligentniejszą bombę niż ktokolwiek inny. W tych dziedzinach

techniki tak dalece wyprzedzamy każdego potencjalnego nieprzyjaciela, jak też w dziedzinach wiedzy wojskowej, jakości dowodzenia i wszystkich innych, które wpływają na skuteczność jednostek wojskowych na polu walki, że można się zastanawiać, po co jeszcze zaprzątamy komórki mózgowie pracą nad ulepszeniem tego wszystkiego czy też zamianą na coś innego.

Transformacja musi zawierać w sobie znalezienie lepszych i jeszcze bardziej zadziwiających sposobów wykorzystania najnowszej techniki, potencjału naszych umysłów, naszego wykszolenia i wiedzy oraz twórczych metod przekształcenia naszej organizacji tak, aby nasze siły zbrojne były jeszcze wydajniejsze i skuteczniejsze na polu walki.

Jednak transformacja musi wykraczać poza ten aspekt.

Jaka jest rola wojska oprócz zabijania ludzi i niszczenia rzeczy?

W tej chwili w Iraku nasze siły zbrojne mają z tym kłopoty. Mieliliśmy je i w Somalii, i w Wietnamie. Inna rola wojska nie jest niczym nowym ani przemijającym. Musimy zadać sobie pytanie, jak wojsko powinno się zmienić, aby naprawdę radzić sobie z wyzwaniem politycznymi, gospodarczymi, społecznymi, w zakresie bezpieczeństwa oraz zarządzania informacją, w których obliczu stajemy już od dłuższego czasu. Jeśli nie są w stanie im sprostać ludzie w garniturach - nie potrafią dostarczyć niezbędnych zasobów, wiedzy, zorganizować wszystkiego - a wojsko ma wciąż zajmować się tym i popadać w kłopoty, mamy dwie opcje. Albo cywilne agendy rozwiną możliwości, jakich się od nich oczekuje, i nauczą się współdziałać z innymi agendami, aby razem rozprawiać się z problemami, albo wojsko w końcu musi się zmienić w coś, co potrafi nie tylko niszczyć i zabijać.

Cóż to może oznaczać?

Może to oznaczać powrót do wojska, które jest służbą będącą odpowiedzią na powołanie, a nie tylko grupą zawodową. Ponad ćwierć wieku mamy armię zawodową. To przecież ochotnicy - i Amerykanie zdają się o tym zapominać. Przypomną sobie, kiedy żołnierze przestaną się zgłaszać i przedłużać kontrakty. Zaczną odchodzić ze służby, ponieważ są wysyłani na zbyt długie misje oraz zbyt często. Musimy mieć wystarczające siły, aby sprostać operacjom, w które się angażujemy, czas na odpowiednie wyszkolenie naszych żołnierzy oraz zapewniać im jakość życia, która utrzyma w wojsku najlepszych.

Budujemy armię zawodową złożoną z profesjonalistów, nie najemników. Żołnierze na pewno by się nie zmartwili, gdyby zarabiali więcej, jednak przede wszystkim naprawdę chcą tworzyć najlepszą armię świata. Jesteśmy im to winni, jak też i troskę, na którą zasługują, pełniąc służbę dla naszej ojczyzny.

Może to oznaczać, że zaangażowanie cywilne wojska zmieni się. Dziś jest ono w tym aspekcie jedynie używaną ze względów taktycznych organizacją zajmującą się dostarczaniem podstawowej pomocy humanitarnej i współpracującą ze społecznością cywilną, jutro może być służbą potrafiącą w sensie dosłownym odbudowywać państwa. Będzie to wymagało oficerów, a może nawet pracujących w wojsku cywilów w garniturach, wykształconych w zakresie ekonomii i nauk politycznych, którzy udawaliby się do danego kraju i pracowali nad swoimi dziedzinami. Albo będziemy mieli cywilnych urzędników, których będzie można przerzucić w rejon konfliktu, kiedy będą tam potrzebni, zapewnimy im odpowiednie środki i szkolenie oraz stworzymy metody ich współpracy z

wojskiem, albo będziemy robić to wszystko w ramach misji wojskowych.

Mogłoby to oznaczać, że wreszcie interweniowalibyśmy w każdej z tych współczesnych pogmatwanych sytuacji wyposażeni w strategiczny plan, rzeczywiste zrozumienie sytuacji regionalnej i globalnej oraz wiedzę na temat tego, czego potrzeba, aby posługiwać się siłą do budowania bezpieczeństwa. Gdzie są dzisiejsi wizjonerzy, dzisiejsi Marshall, Eisenhowerowie i Trumanowie - ludzie, którzy potrafili postrzegać świat inaczej niż my teraz i którzy rozumieli rolę Stanów Zjednoczonych oraz to, co trzeba zrobić, żeby tę rolę odegrać?

Nasi wojskowi nie powinni nigdy zostać posłani na pole walki bez planu strategicznego; planu nie tylko samej walki - o to zatroszczą się nasi generałowie - ale także postępowania po bitwie i odniesienia zwycięstwa w całej wojnie. Do czego doszliśmy my - amerykański naród, jeżeli wystarcza nam mniej, jeśli akceptujemy poświęcenie jakiegokolwiek liczby naszych żołnierzy, nie zapewniając im planowania na odpowiednim poziomie?

Dobija mnie, kiedy słyszę o wciąż nowych ofiarach w Iraku i Afganistanie. Jak również kiedy słyszę, gdy ktoś mówi, że każda z tych ofiar to osobista tragedia, ale w całościowym ujęciu liczba ofiar jest statystycznie pomijalna. Co za bzdura. Powinniśmy sprzeciwić się wszystkim dowódcom czy też przywódcom politycznym, którzy wymawiają takie słowa. Największym skarbem Stanów Zjednoczonych są nasi żołnierze. Jeśli posyłamy ich na śmierć, powinno to mieć znaczenie. Strata każdego z nich to nasza tragedia narodowa.

Kiedy patrzę wstecz na 40 lat mojej służby wojskowej i późniejsze lata mojej dyplomacji i udziału w rokowaniach pokojowych, muszę

postawić pytanie: jakie jest nasze dziedzictwo? Mój syn jest teraz kapitanem piechoty morskiej. Co pozostawiliśmy dla niego jako perspektywę na przyszłość?

Wszyscy wiemy, że błyskawiczny rozwój techniki poszerzy jego horyzonty w sposób, którego nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Postawi również nowe pytania etyczne, które dziś ledwie zaczęliśmy sobie uzmysławiać. Jednak mój syn musi także żyć wewnątrz instytucji, w której ja musiałem żyć przez 40 lat. Gdyby obudził się dziś Napoleon, rozpoznałby organizację sztabu CENTCOM-u: J-1, pion administracyjny, J-2, pion wywiadu i tak dalej. To przestarzała organizacja, niepomna na to, co robi cały świat poza nami: bardziej poziome struktury, zdecentralizowane operacje, bardziej bezpośrednia komunikacja. Trzeba poprawić strukturę organizacyjną amerykańskich sił zbrojnych.

Mój syn będzie musiał radzić sobie z nieuniknionym rozdźwiękiem pomiędzy wojskiem a cywilami, który w przyszłości stanie się jeszcze głębszy. Będzie także musiał radzić sobie z problemami społecznymi, których nie zdołaliśmy usunąć. I te się pogłębią, w ramach narodowej debaty nad tym, dlaczego wciąż potrzebujemy silnej armii. Pokolenie mojego syna musi ostatecznie zmierzyć się z pytaniem o to, do jakiego stopnia wojsko powinno być odbiciem amerykańskiego społeczeństwa. Obywatele Stanów Zjednoczonych będą mieli takie siły zbrojne, jakich będą chcieli, oczywiście z pewnym opóźnieniem; jednak to do wojska należy ostrzeżenie społeczeństwa o ryzyku i konsekwencjach, jakimi będą skutkować jego decyzje.

Mój syn będzie musiał zmierzyć się z nietradycyjnymi misjami o skomplikowanym charakterze, w miejscach, przy których Somalia,



Afganistan i Irak wydadzą się uporządkowanymi krajami. Będzie oglądał inne pole walki, której tempo będzie szybsze, a baza związanej z nią wiedzy - o wiele większa. Będzie świadkiem powszechnego zaniku poczucia powołania. Ludzie wstępujący do wojska nie wniosą do niego wartości, które zostały jemu wpojone. Jest prawdopodobne, że w czasie całego okresu swojej służby mój syn będzie kiedyś świadkiem użycia broni masowego rażenia. W jakimś mieście, gdzieś na świecie, gdzie znajduje się dużo Amerykanów, zdarzy się kolejny, gorszy 11 września. Po tym jak zostanie użyty ów śmiertelny zarazek, gaz czy też ładunek jądrowy, mój syn i instytucje, w których będzie służył, zmienią się na zawsze. W tym momencie całe gadanie o poradzeniu sobie z taką ewentualnością zostanie zdemaskowane jako gadanie. A on będzie musiał poradzić z nią sobie naprawdę. Mam nadzieję, że jej pokłosiem będzie kolejna - lepsza - ustawa Goldwatera-Nicholsa.

Czego będziemy oczekiwać od mojego syna jako od dowódcy polowego? Inteligencji i wiedzy, odwagi i determinacji - to nic nowego. Jednak od naszych przyszłych dowódców będziemy wymagać więcej niż tylko umiejętności potrzebnych na polu walki. Także charakteru, odpowiedzialności moralnej i standardów etycznych wyrastających ponad te, jakie są potrzebne w innych zawodach. Chcemy, aby nasz syn - dowódca - był modelem człowieka, który uważa zawód żołnierza za odpowiedź na powołanie. Chcemy, aby opiekował się naszymi dziećmi i uważał życie każdego z nich za cenne - posyłał je na śmierć tylko wtedy, kiedy będzie to naprawdę potrzebne. Oczekujemy od niego, że będzie prawdziwym przywódcą, a dopiero potem będzie myślał o własnej karierze.

I mam nadzieję, że będziemy zwracać na niego i jego towarzyszy dość uwagi, aby okazywać im przynajmniej pewien poziom szacunku.

Zjeździłem cały świat i miałem do czynienia z większością jego kultur. Jestem nimi zafascynowany. Kocham różnorodność. Chciałbym zrozumieć wszystkich ludzi i przytulić ich do serca. Nigdy nie potrafiłem pojąć uprzedzeń, nienawiści ani poczucia wyższości, które kierują siewcami nienawiści na tym świecie. Przeżyłem burzliwy okres amerykańskiej historii, podczas którego nasze mniejszości wyrwały się z obywatelstwa drugiej kategorii i mogły w pełni uczestniczyć we wspaniałym marzeniu, jakie nazywamy Ameryką. Jestem dumny z ich osiągnięć i z wnoszonego przez nie wkładu. Udowodniły, że niektórzy dogmatycy się mylili, i uczyniły nasz kraj wspanialszym. Mam nadzieję, że marzenie, które od pokoleń staramy się realizować, może zostać rozszerzone na cały świat.

### **Wykaz skrótów**

AOR - Area of Responsibility - obszar odpowiedzialności

ARVN - Army of the Republic of Vietnam - Armia Republiki Wietnamu

AWACS - Airborne Warning and Control System - Powietrzny System Ostrzegania i Kontroli

AWSSs - Authorized Weapons Storage Sites - Zatwierdzone Składnice Broni

BCTP - Battle Command Training Program - Program Szkolenia Bojowego Dowództwa

CARE - Civil Agency Response Element - Dział Kontaktowy dla

## Agencji Cywilnych

CAT - Crisis Action Team - Zespół Antykryzysowy

CDC - Center for Disease Control - Ośrodek Zwalczenia Chorób Zakaźnych

CENTCOM - Central Command - Centralne Dowództwo (Sił Zbrojnych USA)

CINC - Commander in Chief - naczelny dowódca

CMD - Capital Military District - Stołeczny Dystrykt Wojskowy

CMOC - Civil-Military Operations Center - Cywilno-Wojskowe Centrum Operacyjne

CTF - Combined Task Force - Zjednoczona Grupa Operacyjna

CTZ - Corps Tactical Zone - Strefa Taktyczna Korpusu

D ART - Disaster Assistance Response Team - Grupa Pomocnicza Usuwania Skutków Katastrof

DCINC - Deputy Commander in Chief - zastępca naczelnego dowódcy

EUCOM - European Command - Dowództwo Sił Zbrojnych USA w Europie

FAST - Fleet Antiterrorist Support Team - Antyterrorystyczny Zespół Wsparcia Floty

HAST - Humanitarian Assessment Support Team - Zespół Oceny Potrzeb Humanitarnych

HDC - Henri Dunant Centre for Humanitarian Dialogue - Ośrodek Dialogu Humanitarnego im. Henriego Dunanta

HOC - Humanitarian Operation Center - Ośrodek Operacji Humanitarnej

HRSs - Humanitarian Relief Sectors - Sektory Pomocy Humanitarnej

IGCC - Institute on Global Conflict and Cooperation - Instytut do spraw Konfliktów Globalnych i Współpracy

JCS - Joint Chiefs of Staff - Komitet Szefów Połączonych Sztabów

JFLCC - Joint Force Land Component Command - Dowództwo Połączonych Sił Formacji Lądowych

JTF - Joint Task Force - Połączona Grupa Operacyjna

MACV - Military Assistance Command, Vietnam - Dowództwo Asysty Wojskowej na Wietnam

MATA - Military Assistance, Training, and Advisory - Asysta, Szkolenie i Doradztwo Wojskowe

MCCDC - Marine Corps Combat Development Command - Dowództwo Bojowe Piechoty Morskiej

MCRES - Marine Corps Combat Readiness Evaluation System - System Oceny Gotowości Bojowej Piechoty Morskiej

MEB - Marine Expeditionary Brigade - Brygada Ekspedycyjna Piechoty Morskiej.

Medevac - Medical Evacuation - ewakuacja medyczna

MEF - Marine Expeditionary Force - Korpus Sił Ekspedycyjnych Piechoty Morskiej

MEU (SOC) - Marine Expeditionary Unit (Special Operation Capable) - Pododdział Ekspedycyjny Piechoty Morskiej do Zadań Specjalnych

MILF - Moro Islamie Liberation Front - Islamski Front Wyzwolenia Moro

MNLF - Moro National Liberation Front - Narodowy Front

## Wyzwolenia Moro

MSTP - Marine Air Ground Task Force Staff Training Program - Program Szkolenia Sztabu Powietrzno-Lądowych Grup Operacyjnych Piechoty Morskiej

NEO - Noncombatant Evacuation Operation - Operacja Ewakuacyjna Niebojowa

NVA - North Vietnamese Army - Armia Północnego Wietnamu

OFDA - Office of Foreign Disaster Assistance - Biuro Zagranicznej Pomocy dla Ofiar Katastrof

OSIA - On-Site Inspection Agency - Agencja Inspekcji Bezpośredniej

PLC - Platoon Leaders Class - Klasa Dowódców Plutonów

POLAD - Political Advisor - doradca polityczny

RAG - River Assault Group - Grupa Walki Rzecznej

RSSZ - Rung Sat Special Zone - Strefa Specjalna Rung Sat

SACEUR - Supreme Allied Commander Europe - głównodowodzący

## NATO w Europie

SOCENT - Special Operations Command - Dowództwo Operacji Specjalnych

SSG - Naval Operations Strategic Studies Group - Grupa Studiów Strategicznych do spraw Operacji Morskich

TRADOC - Army's Training and Doctrine Command - Dowództwo Szkoleń i Doktryn Sił Lądowych USA

TRANSCOM - Transportation Command - Dowództwo Transportowe USA

UNITAF - Unified Task Force - Zjednoczone Siły Operacyjne

UNOSOM - UN Operation Somalia - Operacja ONZ w Somalii

UNSCOM - United Nations Special Commission - Komisja Specjalna ONZ

USAFE - US Air Forces Europe - Siły Powietrzne USA w Europie

US AID - United States Agency for International Development - Amerykańska Agencja Rozwoju Międzynarodowego

US-AREUR - US Army Europe - Dowództwo Europejskie Armii USA

USIP - United States Institute of Peace - Amerykański Instytut Pokoju

USLO - US Liaison Office - Biuro Łącznikowe Sił Zbrojnych USA

VC - Vietcong - Wietkong

VNMC - Vietnamese Marine Corps - Wietnamski Korpus Piechoty Morskiej

XO - Executive Officer - zastępca dowódcy

### **Podziękowania**

Praca nad tą książką była długim i trudnym procesem. Realizację tego przedsięwzięcia umożliwiły mi przyjaźń, zachęty, cierpliwość, ponaglenia, kreatywność i fachowy wkład Toma Clancy'ego, Tony'ego Koltza, Neila Nyrena, Marty'ego Greenberga oraz Freda Williamsa. Serdecznie Wam dziękuję.

Tony Zinni